



**LOTTE I SØREN
HAMMER**

**KLUB
SAMOTNYCH SERC**

PRZEKŁAD JUSTYNA HABER-BIAŁY

**LOTTE I SØREN
HAMMER**

**KLUB
SAMOTNYCH SERC**

PRZEKŁAD JUSTYNA HABER-BIAŁY



Tytuł oryginału: Ensomme hjerters klub
Przekład z języka duńskiego: Justyna Haber-Biały

Copyright © Lotte Hammer Jakobsen, Søren Hammer Jacobsen, 2022
This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2022

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński
Redakcja: Maria Zając
Korekta: Justyna Kukian

ISBN 978-87-0235-159-0

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S | Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 1

Trzynastego sierpnia w okolicach placu Polititorvet w Kopenhadze było mgliście i wietrznie. Noc w śródmieściu przebiegła stosunkowo spokojnie: kilka barowych bijatyk, jedno pchnięcie nożem zakończone powierzchownymi ranami, garstka pijaczków, która musiała odespać libację w areszcie, i naćpana dziwka zmarła z przedawkowania – nic specjalnego czy też nadzwyczajnego. Najpoważniejszym przypadkiem okazał się pijany kierowca, który urządził sobie wyścigi ulicami miasta, próbując uciec radiowozom. W końcu mu się udało. Z piskiem opon i przy stu kilometrach na liczniku skręcił z Sydhavnsgade w Sluseholmen, a następnie odbił w prawo, w Ved Stigbordene, gdzie wcisnął gaz do dechy i spoglądając tryumfalnie w lusterko wsteczne, wylądował po chwili w wodach basenu portowego. Teraz szukali go nurkowie, jednak silne podwodne prądy kazały przypuszczać, że upłynie sporo czasu, zanim zostanie odnaleziony. Wszyscy mieli nadzieję, że udało mu się na czas wydostać z pojazdu i ratować się ucieczką w głąb ładu, ale było to mało prawdopodobne.

Chłopiec przecinający Polititorvet miał dużą nadwagę. Przy przejściu dla pieszych na wprost Komendy Głównej Policji najpierw rozejrzał się uważnie w obie strony, zanim wolnym, ciężkim krokiem wszedł na jezdnię. Po drugiej stronie się zatrzymał, by wytrzeć policzki i czoło chusteczką, którą wyciągnął z kieszeni spodni, a dopiero potem ruszył dalej, skręcając w Niels Brocks Gade. Bolały go stopy, a do szkoły został mu jeszcze spory kawałek drogi. Mijający go pojedynczy przechodnie spoglądali nań z troską, a niektórzy posyłali mu nawet przelotne, współczujące spojrzenie, po czym spieszyli dalej. Większość go ignorowała.

Ubranie chłopca było równie przygnębiające jak on sam. Rodzicom nie brakowało pieniędzy, ale ubiór był jego formą protestu. Jedną z wielu. Miał na sobie białe, rozchodzone sportowe buty, kupione w zeszłym roku

na wyprzedzący w lokalnym supermarkecie, zwisające pod brzuchem sprane dzinsy i beżową wiatrówkę z zamkiem rozpiętym do połowy, tak aby oprzeć w tym miejscu rękę, jakby była złamana. Przez kurtkę jeszcze bardziej się pocił, choć z racji swojej tuszy mógł ją sobie dzisiaj darować, aż tak zimno przecież nie było. Potrzebował jej jednak. W ukrytej pod nią dłoni trzymał pistolet maszynowy.

Zegar wskazywał ósmą szesnaście, środa.

* * *

Gdyby szef policji kryminalnej Konrad Simonsen podniósł się ze swojego krzesła i w odpowiednim momencie wyjrzał przez okno, mógłby dostrzec przechodzącego przez ulicę chłopca. Ale tego nie zrobił. Przyglądał się bowiem komendantce kopenhaskiej policji, która rozmawiała przez telefon. Słyszała z niegustownego, dziwaczego stylu, a dziś nie zrobiła wyjątku, to było oczywiste nawet dla niego. Miała na sobie dopasowaną marynarkę w niebiesko-zieloną kratkę, a do tego spodnie w paski, w zbliżonych odcieniach. Pomyślał, że zabrakło tylko jakiegoś martwego zwierzaka owiniętego wokół jej szyi, na przykład lisa, a wtedy można by już mówić o kompletnym bezguściu.

To był jego pierwszy dzień w pracy po ponad ośmiu tygodniach i gdy rankiem pojawił się w biurze, ku własnemu zdziwieniu odczuwał zdenerwowanie. Spojrzał bezradnie na zdjęcie królowej wiszące na ścianie za plecami komendantki, próbując stłumić rosnącą irytację. Posłał grymas w stronę Jej Wysokości, jakby szukał w niej sojuszniczki, a następnie znów skierował wzrok na leżącą przed nim na biurku teczkę z aktami sprawy. Wyglądała na niepozorną.

Wreszcie komendantka zakończyła rozmowę. Posłała mu ciepły uśmiech, który był albo dobrze wyćwiczony, albo też po prostu serdeczny, i zaczęła się rozwodzić o tych wszystkich, którzy się z nią kontaktowali podczas jej choroby, aby dowiedzieć się o jego stan zdrowia.

- Niektórzy wydzwaniali do mnie nawet na numer prywatny.
- No proszę, coś takiego. Jestem pod wrażeniem.

– To dobrze, bo powinieneś. I przestań się zachowywać tak, jakby cię to nie obchodziło. Powinieneś się cieszyć, że masz kolegów, którzy się tobą interesują.

Miała rację, więc jej oznajmił, że się cieszy, a ona ciągnęła:

– Zdecydowałam się nie zmieniać twojego formalnego statusu. Nadal pozostajesz szefem wydziału zabójstw, choć w praktyce pozwolisz, aby to Arne Petersen...

– Arne Pedersen, on nazywa się Pedersen, nie Petersen.

Arne Pedersen był jednym z najbliższych współpracowników Simon-sena, mężczyzną tuż po czterdziestce, kompetentnym i bystrym. Od dawna było wiadomo, że gdy nadejdzie odpowiedni moment, zastąpi go na stanowisku szefa wydziału zabójstw. Naturalną kolejną rzeczą wykonywał jego obowiązki przez ostatnie dwa miesiące. Pani komendant ponownie się odezwała:

– Przepraszam, powinnam o tym pamiętać. Tak więc to on pozostanie faktycznym szefem do czasu, aż uznam, że zdrowie pozwala ci na przejęcie tej funkcji. Na początku masz moją zgodę, aby pracować trzy, najwyżej cztery godziny dziennie. Czy to jasne?

Zrozumiał. Powtórzyła tę kwestię wolno, delektując się każdym słowem: „trzy, najwyżej cztery godziny dziennie”, a po chwili dodała, że wszyscy z jego otoczenia dostali rozkaz raportowania o każdorazowym niestowaniu się do tego polecenia.

– Jeżeli poczujesz się zmęczony, zostajesz w domu. Pamiętaj, cmentarz jest przepełniony ludźmi niezastąpionymi.

– Oczywiście. A mogę chociaż sam zdecydować, w jakich godzinach będę pracować, czy to też ty będziesz rozstrzygać?

Ironia się nie powiodła, a szefowa odpowiedziała z powagą w głosie:

– Możemy zacząć od tego, że sam o tym zadecydujesz, i zobaczymy, jak to się sprawdzi.

– Dziękuję. Mógłbym teraz dostać swoją nową sprawę?

Zignorowała go.

– Przemebłowaliśmy nieco w twoim biurze, gdy byłeś chory. Wygospodarowaliśmy dodatkowe pomieszczenie z miejscem na sofę. Przyda się, gdy będziesz potrzebował odpocząć.

Informowała go o tym z ewidentną radością. Ponownie podziękował, czując się niezręcznie i staro. W końcu otworzyła teczkę z aktami. Gdy się odezwała, jej wzrok zaczął błędzić.

– To nie jest taka typowa sprawa. Chodzi o to, że to mnie zależy na tym, aby została zamknięta w porządnym sposób.

Sięgnęła do teczki i zaczęła referować. Słuchał z coraz większym zdumieniem, stwierdzając, że miała rację – to z pewnością nie było typowe zadanie. Oburzony przerwał jej pytaniem:

– Czy wiceprzewodnicząca Parlamentarnej Komisji Prawnej zwraca się bezpośrednio do ciebie, mieszając się w sprawy policji? To doprawdy niesłychane.

– Simon, zdaję sobie sprawę, że to dość pogmatwane. Ale czy nie mógłbyś przesłuchać kilku świadków i... no tak po prostu się temu przyjrzeć? A potem napisać raport, który...

Zawahała się, dokończył więc za nią:

– ...który będziesz mogła przedstawić wiceprzewodniczącej.

Pani komendant skinęła głową, dodając:

– Możesz też rozdzielić te zadania, nie chcę ci nic narzucać, Zależy mi tylko na tym, żebyś się nie przemęczał. Pomyślałam, że ta sprawa nadaje się na początek. Tak, żebyś powoli zaczął się wdrażać.

Simonsen zabrał teczkę.

– To przecież nie jest żadna sprawa – zauważył.

Nagle usłyszał dźwięki muzyki. Te same nieokreślone tony z przeszłości, które go przenikały, gdy obudził się w szpitalu prawie siedem tygodni temu. Dopadł go strach, przenikał do jego wnętrza, paraliżował go, jak już wiele razy wcześniej od czasu operacji. Jego szefowa odezwała się z troską:

– Czy coś się stało? Źle się czujesz?

– Czy ty też słyszysz muzykę? – odparł z wysiłkiem.

Zaśmiała się serdecznie i przez parę niekończących się sekund nie miał pojęcia, czy usłyszała to samo co on, czy też po prostu okazała się wyrozumiała dla jego urojeń. Wreszcie wstała z krzesła, podeszła do ściany i popukała w nią kilka razy pięścią. Muzyka ucichła.

– Rezonans. Mamy teraz w sekretariacie nową praktykantkę, która ma taki mały, płaski odtwarzacz ze słuchawkami, nazywają to chyba iPodem. Gdy opiera głowę o ścianę, jej czaszka i cała ściana działają jak głośnik.

Odrężył się i natychmiast poczuł zmęczenie. Ta prawidłowość była mu znana – najpierw lęk przed śmiercią, a potem zmęczenie.

– Dlaczego nie zabronisz jej słuchania muzyki?

– Nawet próbowałam, ale niestety jej stosunek do autorytetów jest... Co mam ci powiedzieć?... Dość swobodny i...

Simonsen przestał jej słuchać.

* * *

Chłopiec z pistoletem maszynowym dotarł do swojej szkoły. Mieściła się przy Marmorgade, krótkiej uliczce pomiędzy H.C. Andersens Boulevard a Vester Voldgade, w czteropiętrowym, trójskrzydłowym budynku z czerwonej cegły z początku dziewiętnastego wieku. Dziedziniec szkolny wychodził na ulicę, a od chodnika oddzielało go tylko ogrodzenie. Główne wejście, znajdujące się w cofniętej, centralnej części budynku, wyznaczały okazałe granitowe schody prowadzące do przesadnie wielkich dwuskrzydłowych zielonych drzwi, które sprawiały wrażenie nieproporcjonalnych i niezbyt dobrze się komponowały z ogólną architekturą budynku. I właśnie w ich stronę powoli zmierzał chłopiec.

Dostrzegła go wychowawczynie, wyglądająca właśnie przez okno w północnym skrzydle. Od pewnego czasu zamierzała porozmawiać z nim na temat spóźnień – problem pojawił się jeszcze przed wakacjami, a nowy rok szkolny zaczął się równie kiepsko, jak zakończył poprzedni. Poza tym chciała oddać uczniom jego klasy pewne materiały, więc pomyślała, że gdyby teraz odbyła z nim planowaną rozmowę, zaoszczędziłaby sobie wspinania się na trzecie piętro. W ten sposób mogłaby, jak to się mówi, upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Otworzyła zatem okno i go zawo-

łała, ale on ku jej zdumieniu nie zareagował, choć dzieliło ich zaledwie kilka metrów. Westchnęła. Dawniej taki nie był, ale jemu też nie zawsze było łatwo, biedaczysko.

Koniec końców chłopiec wdrapał się po schodach i skierował korytarzem w stronę swojej sali lekcyjnej, a gdy dotarł w jej pobliżu, usiadł na ławce i odsapnął. Przerwa trwała dłużej, niż się spodziewał, ale on sam był zmęczony i zdenerwowany, potrzebował chwili, aby się pozbierać. Dopiero gdy kilka minut później ujrzał wychowawczynię zmierzającą w jego stronę ze stertą papierów pod pachą, podniósł się i wszedł do klasy.

Żaden z klasowych kolegów nie zwrócił na niego szczególnej uwagi, choć musieli go widzieć, gdy szedł na swoje miejsce. Ponownie odsapnął, ale nie usiadł. Stał obok swojej ławki, plecami do ściany. Nawet wyznaczony w tym roku na zastępstwo nauczyciel, który stał przy tablicy i odmieniał nieregularne angielskie czasowniki, nie zareagował na jego przybycie. Jedyne odwrócił głowę, posyłając mu krótkie, obojętne spojrzenie, po czym wrócił do prowadzenia lekcji. Chłopiec obserwował go przez pięć długich sekund, czując, jak wzbiera w nim nienawiść. Dodawała mu odwagi.

Nauczyciel był jasnowłosym, dość gustownie ubranym mężczyzną tuż po trzydziestce. Miał sympatyczne usposobienie i ładny, klasyczny profil, cieszył się sympatią zarówno dziewcząt, jak i chłopców, a do tego był świetnym pedagogiem. Jakby tknięty przecuciem, odwrócił ponownie głowę i obejrzał się przez ramię. Wtedy dostrzegł broń, której krótka czarna lufa skierowana była prosto na niego. Widzenie tunelowe, wyrzut adrenaliny. Zareagował z imponującym refleksem – w trzech energicznych krokach dopadł do drzwi i zdołał nawet chwycić za klamkę, kiedy pistolet maszynowy zaczął wyrzucać z siebie pierwsze naboje.

Trzydzieści siedem kul w ciągu niecałych pięciu sekund.

Dużo później każdy ze strzałów został dokładnie skalsyfikowany: jedenaście trafiło ofiarę w plecy, trzy w głowę, jeden w lewe ramię. Nauczyciel był martwy, zanim osunął się na podłogę. Pozostałe dwadzieścia dwa pociski przeszły przez drzwi, z czego większość na wysokości dwóch i pół metra nad ziemią, przypuszczalnie dlatego, że chłopiec nie był obyty

z bronią i nie uwzględnił tego, że podczas strzału lufa wybija w górę. Jednak trzy naboje przebiły drzwi na wysokości półtora metra, z czego jeden drasnął wychowawczynię chłopca znajdującą się po drugiej stronie i przebił jej dłoń. Kolejny odłupał z drzwi drzazgę, która poleciała w stronę jej prawego oka i wbiła się pomiędzy gałkę oczną a kość policzkową, powodując tylko powierzchowną ranę.

Gdy wychowawczyni została trafiona, nie poczuła bólu, zdziwiła się jedynie. Odruchowo sięgnęła do oka i wyciągnęła drzazgę. Następnie spojrziała zdumiona na swoją dłoń i zemdląła. Cierpiała na hemofobie, niekontrolowany strach przed widokiem krwi.

Uczniów w klasie ogarnęła panika. Większość krzyczała, próbując się jak najbardziej oddalić od chłopca. Jeden z nich wyskoczył bez namysłu przez otwarte okno znajdujące się na tyłach sali. Miał nieprawdopodobne szczęście, że nie spadł na asfalt pokrywający szkolny dziedziniec, a wylądował na samochodzie dostawczym, który przywiózł zamówienie na zajęcia praktyczno-techniczne. Skończyło się na złamanym nadgarstku i otartym policzku. Jedna z dziewcząt ukryła się w szafie, w której udało jej się zamknąć od środka. Ułożyła się w pozycji embrionalnej i drżąc na całym ciele, starała się zachowywać jak najciszej. Pozostali uczniowie zbili się w gromadę w najodleglejszym miejscu od katedry – jedni leżeli, drudzy siedzieli, jeszcze inni przyciskali się do ściany, jakby to miało pomóc, gdyby padły kolejne strzały. Krzyki ucichły, a rozbrzmiał rozdzierający płacz. Wszyscy z przerażeniem spoglądali na mordercę, wystraszonego wzrokiem śledząc każdy ruch jego broni. W końcu chłopiec usiadł na krześle – zdezorientowany i roztrzęsiony. On też się rozplakał.

* * *

Po spotkaniu z komendantem policji Konrad Simonsen udał się do swojego biura z aktami sprawy pod pachą. Po drodze doszedł do przekonania, że to w gruncie rzeczy może i dobrze, że zacznie powoli, od mało istotnego zadania, i ta myśl zarówno go zaskoczyła, jak i uspokoiła.

Zgodnie z tym, co mówiła szefowa, podczas jego choroby biuro zostało powiększone o przylegające pomieszczenie. Wcześniej był tam składzik,

w jednym końcu znajdowały się artykuły papierniczo-biurowe, a w drugim wycofane z użytkowania komputery z monitorami. Teraz pomieszczenie pełniło funkcję dodatkowego biura. Odmalowano je, położono wykładzinę, wstawiono sfatygowaną skórzaną sofę, lodówkę i ekspres do kawy, a także pięćdziesięciocalowy telewizor, prawdopodobnie po Poulu Troulsenie, dawnym współpracowniku, który odszedł na emeryturę. Na podłużnym stole, na wprost sofy, ustawiono dzbanek z kawą i bułeczki oraz okazały bukiet kwiatów, pod ścianą zaś stanęła garstka jego kolegów, w tym Hrabianka – jedna z jego najbliższych współpracownic, a jednocześnie partnerka życiowa. Od roku mieszkali razem w jej domu w Hillerød, chociaż Simonsen zachował swoje mieszkanie w Valby, a teraz sypiał na pierwszym piętrze, zapewne z powodu swoich problemów z sercem. Powitała go pocałunkiem, co zdarzało się rzadko, gdy byli w pracy.

– Udało ci się utrzymać wszystko w tajemnicy – powiedział, rozglądając się wokół.

– Owszem, przecież to miała być niespodzianka. Za chwilę dołączy też Arne, właśnie ktoś do niego zadzwonił.

Witał się po kolei z obecnymi, aż w pewnym momencie dostrzegł Pauline Berg, kobietę przed trzydziestką, jedną ze swoich najbliższych współpracownic. W każdym razie tak było wcześniej. Zobaczył ją po raz pierwszy po niemal dwunastu miesiącach. We wrześniu zeszłego roku została porwana podczas jednej ze spraw prowadzonych przez wydział zabójstw. Pewien chory człowiek uprowadził ją i jeszcze inną kobietę, a potem przetrzymywał w bunkrze, w Hareskoven. Tę drugą kobietę zabił na oczach Berg, a ją samą zostawił, żeby szczeźła. Została znaleziona w ostatniej chwili. Od tego czasu tylko sporadycznie miał o niej jakieś wieści, sprzedała dom w Reeslev i kupiła mieszkanie w Rødovre, w wieżowcu na szóstym piętrze. Mieszkała sama. Przez dłuższy czas po powrocie ze szpitala bała się wychodzić, zresztą wiele innych rzeczy również wywoływało w niej lęk – od kotów po piwnice. Do tego doszły zmiany nastroju i problemy z obcowaniem z nieznanymi, zwłaszcza gdy zadawała się z mężczyznami. Chyba że akurat sama ich sobie wybierała. Musiała podczas jego choroby wrócić do pracy. Gdy tylko ją dostrzegł, ogarnęło go poczucie

winy. Jako jej przełożony powinien świadomie śledzić, jak sobie ze wszystkim radzi. Jednak akurat w tych kwestiach był kiepski, a do tego doszły jego własne problemy.

Przywitał się z nią uprzejmie i zauważył, że ostrzygła się na krótko i ma na sobie dość nieformalny, żeby nie powiedzieć niedbały strój. Wyprostowała się na sofie, uśmiechając do niego smutno, lekko ironicznie, a następnie wzruszyła ramionami, sygnalizując lepiej niż słowami, że ona też chciałaby, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Pomyślał, że oboje by tego chcieli, a po chwili zwrócił się do zebranych:

– Dziękuję za miłe powitanie i piękne kwiaty. – Nic więcej nie przyszło mu do głowy, więc dodał nieporadnie: – Może zajmiemy się poczęstunkiem. Wygląda wspaniale.

W tej samej chwili drzwi do jego biura otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł Pedersen, patrząc po wszystkich szalonym wzrokiem. Chwycił Simonsena za ramię i krzyknął:

– Zbieramy się. Mamy strzelaninę w szkole, niedaleko stąd, placówka przy Marmorgade. – Zaczął wymachiwać dłonią na rozpiętość sześćdziesięciu stopni w kierunku dokładnie odwrotnym do położenia szkoły. – Jeden z uczniów wpadł w szal i otworzył ogień z broni automatycznej. Tam jest masakra.

* * *

Gdy Konrad Simonsen dotarł do szkoły przy Marmorgade, na miejscu zastał jeden wielki chaos. Najwyraźniej nikt nie panował nad sytuacją i trudno było ustalić, co się właściwie stało. A co gorsze, ewakuacja szkoły odbywała się bez jakiegokolwiek planu i koordynacji, przez co i dzieci, i dorośli biegali wokół jak ośłupiali. Ktoś uruchomił alarm pożarowy, więc wielu nauczycieli sądziło, że to ćwiczenia, po czym zgodnie z planem w wielkim zamieszaniu wygonili uczniów na szkolny dziedziniec i zaczęli liczyć stan swoich klas. Na zewnątrz, na ulicy, zebrał się już spory tłum ciekawskich, napierających teraz na szkolne ogrodzenie, a w budynku na wprost placówki mieszkańcy wychylali się z okien, aby śledzić przebieg wydarzeń. Policja stawiała się gromadnie, jednak ich działania prowadzone

były bez ładu i składu, większość po prostu stała i czekała, spoglądając w stronę sali na drugim piętrze.

Po rozpytaniu kilku przypadkowych nauczycieli, którzy nic konkretnego nie wiedzieli, do Simonsena uśmiechnęło się szczęście. Szkolna sekretarka rozmawiała z uczniem, który wyskoczył przez okno, uciekając z sali lekcyjnej. Został co prawda odwieziony do szpitala, ale jego relacja najbardziej przybliżyła Simonsenowi to, co się rzeczywiście wydarzyło. Udało się ustalić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że uczeń dziesiątej klasy Robert Steen Herz zastrzelił dwoje nauczycieli z broni automatycznej. Teraz znajdował się w sali lekcyjnej na drugim piętrze, w której przetrzymywał swoich kolegów, o ile już ich nie zastrzelił. Nikt tego nie wiedział. Cztery okna tej sali wychodziły na dziedziniec, a sekretarka wskazała szefowi policji ich położenie. Były usytuowane mniej więcej pośrodku budynku.

Simonsen miał ograniczoną wiedzę o strzelaninach w szkole, ale przynajmniej jednej rzeczy był pewien – mianowicie tego, że we wszystkich przypadkach, o których słyszał, zabójcy w amoku i szale zabijania dokładali wszelkich starań, żeby dopaść jak najwięcej ludzi, żeby po prostu zabijać. Rozejrzał się po szkolnym dziedzińcu i zadrżał. Broń automatyczna, odpalona przez okno na drugim piętrze, pozbawiłaby życia dziesiątki osób. Co najmniej.

Priorytety wydawały się więc oczywiste. Trzeba było jak najszybciej opróżnić dziedziniec, następnie pozbyć się gapiów z ulicy, zamknąć ją i dopilnować, by mieszkańcy kamienicy naprzeciwko odeszli od okien. Poinstruował Pedersena, aby zajął się ulicą. Wykrzyczał mu rozkaz do ucha.

– Usuń stamtąd wszystkich, a potem zamknij ulicę na obu końcach.

Następnie zebrał najbliższej stojących funkcjonariuszy oraz kilku przypadkowych nauczycieli i gorączkowo wyjaśnił im, co mają robić. Wszyscy powinni przedostać się na ulicę i zniknąć. Szybkim krokiem, nie biegiem, a już przede wszystkim bez napierania na ogrodzenie. Powtórzył swoje wytyczne, po czym pobiegł na środek dziedzińca i zebrał kolejną grupę,

której przekazał to samo. Jeden z funkcjonariuszy wręczył mu megafon. Jego głos rozbrzmiewał echem między budynkami.

– Proszę natychmiast wyjść na ulicę i się oddalić! Szybko i sprawnie, bez paniki. Dorośli pilnują dzieci. Proszę nie blokować wyjścia. Nie biegać, nie przeciskać się. Policja może użyć pałek lub gazu pieprzowego, żeby udroźnić wyjście. – To ostatnie polecenie było oczywiście skierowane do obecnych funkcjonariuszy i choć zapewne nikt nie dałby mu nagrody za precyzyjną komunikację, to jednak został zrozumiany. – Proszę natychmiast wyjść na ulicę i się oddalić! Szybko i sprawnie, bez paniki. Dorośli pilnują dzieci. Proszę nie blokować wyjścia – powtórzył.

Jego rozkazy okazały się skuteczne, sytuacja zaczynała się stabilizować. Zaskakująco szybko opróżniono dziedziniec, a krótko potem także ulicę przed budynkiem. Simonsen upuścił megafon, który upadł na asfalt i kołysał się w tę i w tę półkolistym ruchem. Inspektor znajdował się na środku dziedzińca i dopiero teraz pomyślał o własnym bezpieczeństwie.

– Simon, musimy stąd spadać.

Za nim stała Hrabianka. Miała na sobie kamizelkę kuloodporną, a drugą trzymała w dłoni. Nie odrywała spojrzenia od okna na drugim piętrze.

– Gdzie, do diabła, jest specjalna jednostka interwencyjna? – zapytał Simonsen. – Wiesz coś na ten temat? Nie mogą tu jechać całą wieczność. Przecież, do cholery, właśnie w takich sytuacjach...

Przerwała mu, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Będą za pięć minut.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że sam przebywa na miejscu od zaledwie dziesięciu. Miał wrażenie, że upłynęła godzina.

– W budynku są jeszcze uczniowie.

– Zostaną wyprowadzeni innymi drogami, chodź już.

Pociągnęła go za sobą i ruszyli truchtem.

– Wiesz, co tu się właściwie stało? – zapytał.

– Wszystko wskazuje na dwoje zabitych, oboje to nauczyciele. Korytarz na drugim piętrze został zabezpieczony, ale nie wchodzimy, zostawiamy

to zawodowcom. Ciało wychowawczynie leży przed drzwiami sali. Została postrzelona w głowę i najprawdopodobniej jest martwa. Póki co musi tam zostać.

– A co z dziećmi w klasie?

– Nikt tego nie wie.

– Ilu ich tam jest?

– Prawdopodobnie dwadzieścioro pięcioro.

Ukryli się za radiowozem zaparkowanym na ulicy przed szkołą. Hrabianka podała Simonsenowi trzymaną w rękę kamizelkę. Gdy ją założył, zauważył z zaskoczeniem, że pasuje idealnie.

Wokół nadal panowało spore zamieszanie. Jednostka interwencyjna przybyła w dwóch pojazdach, ale miała problem, żeby się przebić przy Vester Voldgade. Dwie karetki i spory tłum ciekawskich zatarasowały wjazd. Inspektor odwrócił się zaskoczony. Za jego plecami dziennikarka z Danmark News z egzaltacją w głosie raportowała do mikrofonu o nabojach, które mogły w każdej chwili ponownie pomknąć we wszystkich kierunkach, i o tym, że nikt nie może czuć się bezpieczny, dopóki morderca biega wolno po szkole. Ona także schowała się za samochodem, podczas gdy jej kamerzysta bez lęku stał wyprostowany, filmując obraz za jej plecami. Simonsen wydał jednemu z funkcjonariuszy rozkaz, aby usunąć dziennikarzystę. Po chwili zwrócił się do Hrabianki:

– Jesteśmy pewni, że on ma broń automatyczną?

– Nie, ale wszystko na to wskazuje.

– Co za cholerna, gówniana sytuacja.

* * *

Chłopiec płakał. Po zabiciu nauczyciela przysiadł apatycznie na jego miejscu za biurkiem, nie mając pojęcia, co dalej robić. Tak daleko najzwyczajniej w świecie nie zaszedł w swoich planach. Opuścił to miejsce zaledwie dwukrotnie: pierwszy raz, aby wyrzucić przez okno na dziedziniec, po którym wszyscy biegali bez ładu i składu, drugi raz, aby przewrócić swoją ławkę. Ta czynność nie miała co prawda sensu, ale dzięki niej jego klasowi koledzy, znajdujący się na tyłach sali, zbili się jeszcze ciaśniej w grupkę,

jakby tym sposobem próbowali zmniejszyć swój strach. Część trzymała się za ręce, a wszyscy wytrzeszczonymi oczami i wystraszoną wrokiem śledzili każdy jego ruch. Wstał, przeszedł się po klasie i w końcu ustawił parę metrów przed nimi. Wielu nakryło dłońmi głowę, inni zaczęli żałośnie szlochać. Skierował broń w stronę jednej z dziewcząt.

– Wyjdź, Maju – polecił.

Dziewczyna, którą wytypował, w pierwszej chwili nie zrozumiała polecenia, więc je powtórzył – tym razem krzykiem, z desperacją w głosie.

– Spadaj stąd. Możesz iść... możesz iść do diabła.

Ciężkim krokiem poczłapał z powrotem na miejsce przy tablicy i obserwował, jak dziewczyna wolno, posyłając mu błagalne spojrzenie, przesuwa się przy ścianie w stronę wyjścia. Musiała mocno pchnąć drzwi, aby odsunąć zwłoki nauczycielki i przecisnąć się przez powstałą szparę. Na zewnątrz wdepnęła w kałużę krwi, a potem przekroczyła ciało wychowawczyni leżące na korytarzu. Gdy znalazła się przed budynkiem szkoły, na zewnątrz zanosła się dzikim rykiem. Chwilę później trzy inne koleżanki chciały pójść za jej przykładem, ale chłopiec oddał strzały w powietrze. Dziewczęta krzyknęły i wróciły na miejsce na tyłach klasy. Sam nie wiedział, dlaczego uniemożliwił im opuszczenie sali. Może dlatego, że ich ucieczka oznaczała zmianę, na którą nie wyraził zgody – pewien rodzaj utraconej kontroli, a może dlatego, że mu na nich nie zależało. Oddał krótką salwę w kierunku zwłok przy drzwiach, ale nie poczuł przy tym żadnego zadowolenia. Po chwili ponownie się rozplakał, marząc, aby to wszystko się skończyło.

* * *

Simonsen i Hrabianka przechwycili dziewczynkę wybiegającą z budynku. Zgubiła gdzieś but i była wysmarowana krwią – widoczną na białej bluzce, obcisłych džinsach, twarzy i jasnych włosach. Dopiero po chwili funkcjonariusze zorientowali się, że nie jest ranna. Hrabianka okryła jej ramiona kocem. Dziewczyna drżała i bez wątplenia powinna jechać do szpitala.

Stali za vanem grupy interwencyjnej, od zawsze zwanym Golfem, chociaż w tym przypadku chodziło o mercedesa vito. Samochód był opance-

rzony, a poza tym wydawało się mało prawdopodobne, że w najbliższym czasie z okna padną kolejne strzały. Dowódca grupy właśnie otrzymał wiadomość, że jego strzelec wyborowy znajduje się już na pozycji w budynku mieszkalnym za ich plecami. Hrabianka ostrożnie zaczęła wypytывать dziewczynę:

– Co się tam wydarzyło? Jak udało ci się uciec?

Uczennica odpowiadała urywanymi frazami i Hrabianka pomyślała, że w tej chwili nie powinna zadawać więcej niż trzy, cztery pytania.

– Pozwolił mi odejść, ale innych, którzy chcieli ruszyć za mną, zastrzelił.

– Czy ktoś jeszcze z twoich kolegów został zastrzelony?

Dziewczyna uniosła zakrwawione dłonie do uszu i pochyliła kark.

– Zastrzelił ich z zimną krwią, ten chory psychopata. Nie mieli najmniejszej szansy. Tylko dlatego, że też chcieli stamtąd odejść. Z zimną krwią.

Hrabianka najpierw ją objęła, a po chwili potrząsnęła nią delikatnie. Dowódca grupy interwencyjnej i Simonsen, stojący obok, posłali sobie wymowne spojrzenia.

– Ilu z twoich kolegów żyje?

– Jedni jeszcze żyją, inni są już martwi, trudno powiedzieć, a on za chwilę rozwali resztę. Rozstrzela ich jak króliki.

– Tak powiedział?

Najwyraźniej nie zrozumiała pytania, więc Hrabianka powtórzyła:

– Czy Robert Steen Herz powiedział, że zastrzeli twoich kolegów?

– On się nie odzywa, tylko wali w nas nabojami, gdy uzna za stosowne. Ta tłusta świnia. Dlaczego nikt nic z tym nie robi? Nie możecie odstrzelić mu głowy?

Hrabianka zmarszczyła brwi, a Pedersen, który przed chwilą się do nich przyłączył, wymamrotał:

– To się nam do niczego nie przyda.

– Hrabianko, zaprowadzisz ją do karetki? – włączył się Simonsen.

Dowódca grupy interwencyjnej zmrużonymi oczami obserwował okna klasy, jakby w ten sposób próbował wyrobić sobie opinię o realnej sytuacji w budynku. To on miał podjąć decyzję odnośnie do dalszego rozwoju sytuacji. Od niego zależało, czy jego ludzie wtargną do środka i unieszkodliwią zabójcę, czy należy spróbować negocjacji, jakkolwiek by ona przebiegała, czy też trzeba wydać strzelcowi rozkaz do strzału, gdy pojawi się taka szansa. Nie przekonały go wyjaśnienia dziewczyny, po pierwsze dlatego, że najwyraźniej nadal był w szoku, a po drugie jej język budził wątpliwości – jakby wzięty z amerykańskiego filmu. Nie bardzo miał ochotę wydawać rozkaz snajperowi na podstawie słów dziewczyny. Z drugiej strony, wkraczając do klasy, mogli spowodować kolejne strzały. Ponownie uniósł wzrok w stronę okien, a potem podjął decyzję:

– Wchodzimy do środka po granacie ogłuszającym, mam tylko, cholera, nadzieję, że zdążymy.

W tej samej chwili otworzyły się główne drzwi i stanęła w nich kobieta. Nawet z daleka było widać, że jest cała zalana krwią. Pokuśtykała wolno w dół po kilku schodkach, była najwyraźniej poważnie ranna. Oto dowód na prawdziwość słów dziewczyny. Po kilku krokach wychowawczynie zachwiała się i upadła bez życia na ziemię. Dowódca grupy wskazał najpierw na dwóch swoich ludzi, a potem na kobietę, którą wziął za uczennicę. Mężczyźni podbiegli, aby ją stamtąd zabrać. Dowódca odwinął rąbek kurtki i wydał rozkaz do krótkofalówki:

– Tu Lima. Palle, jak znajdziesz się w pozycji strzału, zabij go. – A zaraz potem krzyknął: – Wezwać karetkę.

* * *

Do strzelca wyborowego uśmiechnęło się szczęście. Gdy wraz ze swoją grupą dotarł do szkoły, szybko znalazł pozycję gwarantującą dobry widok na okna na drugim piętrze budynku szkoły, gdzie rozgrywał się dramat. To było trzecie piętro budynku mieszkalnego po przeciwnej stronie ulicy. Wyjął z Golfa karabin i pobiegł do wytypowanej klatki, a potem ruszył schodami w górę. Znajdowały się tam dwa mieszkania, drzwi do jednego z nich były uchylone, więc tam się skierował. Wewnątrz jeden z funkcjo-

nariuszy wyjaśniał mieszkańcom, że powinien się trzymać z dala od okien wychodzących na ulicę. Właśnie wtedy okazało się, że strzelec ma szczęście. Właściciel lokalu był pułkownikiem w stanie spoczynku, a pomimo swoich niemal osiemdziesięciu lat szybko zrozumiał sytuację i potrzeby snajpera. Funkcjonariusz otworzył jedno z okien, wyjął ostrożnie skrzydło z zawiasów i wstawił je do środka. Strzelec w tym czasie uprzątnął parapet. Potem wspólnie przystawili do okna mahoniowy stół pułkownika, którego wysokość odpowiadała mniej więcej wysokości parapetu. Strzelec położył się na stole i przygotował broń. Był to Heckler & Koch PSG1A1, jeden z najbardziej precyzyjnych karabinów na świecie, więc ten doświadczony strzelec mógłby osiągnąć celu z odległości nawet ośmiuset metrów. W tym przypadku nie było to konieczne, odległość od budynku szkoły wynosiła zaledwie sto pięćdziesiąt metrów. Wszystko było w najlepszym porządku. Zgłosił dowódcy, że jest na pozycji.

Trzykrotnie namierzył cel znajdujący się w klasie, za każdym razem tylko przelotnie. Za pierwszym razem, gdy chłopiec przewrócił ławkę, za drugim i trzecim, gdy przeszedł wzdłuż okna tam i z powrotem. Niestety zrobił to za szybko, aby można było ustalić, jaką ma broń. Po chwili strzelec otrzymał rozkaz, który, miał nadzieję, nigdy nie nadejdzie. Poprosił o powtórzenie i natychmiast je uzyskał.

* * *

Znajdujący się w klasie chłopiec z pistoletem maszynowym zdecydował w końcu, że najlepsze, co może zrobić, to wypuścić swoich kolegów i się poddać. Był zmęczony, wystraszony, głodny i chciał się stamtąd wynieść. Obojętnie dokąd, byle daleko. Wtedy usłyszał ryk karetki i podszedł do okna znajdującego się najbliżej tablicy, uniósł dłoń na wysokość oczu, by osłonić się od światła, i wyjrzał na ulicę, żeby zorientować się, co się dzieje.

Nabój uderzył go w czoło nad lewym okiem i wyszedł u podstawy czaszki, po czym otarł się o nogę przewróconej ławki, odbił rykoszetem pod kątem w dół, przebił drzwi szkolnej szafy i kolano dziewczynki znaj-

dującej się wewnątrz, potem jej gardło i wyleciał w okolicach kręgosłupa, by ostatecznie wbić się w ścianę. Oboje dzieci natychmiast zmarło.

Na zewnątrz strzał odbił się echem między budynkami. Simonsen skierował bezwiednie wzrok w stronę dźwięku, a potem poważnie, bez słowa przeniósł go na Hrabiankę.

– Już po wszystkim – powiedział.

Dochodziła dwunasta, gdy sytuacja w szkole przy Marmorgade została opanowana. Specjalna grupa interwencyjna opuściła już miejsce zdarzenia, w klasie pracowali technicy, wezwano również pomoc psychologiczną. Wszystkim udzielił się posępny nastrój – rozmowy funkcjonariuszy sprowadzały się do spraw czysto zawodowych.

Dzień pracy Simonsena dobiegał końca i Pedersen uparł się, by go zawieść do domu. Do czasu jego powrotu Hrabianka miała przejąć funkcję prowadzącej śledztwo, za godzinę zamierzał wrócić.

Gdy znaleźli się w samochodzie, Simonsen zapytał:

– Nie masz innych zajęć niż bawienie się w mojego kierowcę?

– Owszem, ale chciałem omówić z tobą kolejne ruchy.

– To przecież dość oczywiste. Jeszcze dzisiaj uda się odtworzyć faktyczny przebieg wydarzeń, ale brakuje ci motywu, a także informacji, w jaki sposób Robert Steen Hertz wszedł w posiadanie pistoletu maszynowego. Będziesz też musiał zorganizować konferencję prasową, ale przede wszystkim skoncentrowałbym się na ustaleniu, czy chłopak działał sam. Bo jeżeli ma kolegów z podobną bronią i zamiarami, to powinieneś się tego dowiedzieć jak najszybciej. I jeszcze jedno: jeżeli masz problem z budżetem, to teraz jest najlepszy moment, żeby wystąpić o dodatkowe środki.

Dyskutowali o tym przez chwilę. Pedersen miał kilka pytań, na które Simonsen udzielił mu odpowiedzi. Gdy skręcali w stronę Søllerød, temat był zamknięty.

– A co u ciebie? – spytał Pedersen. – Dostałeś jakąś sprawę? Chodzi mi o to spotkanie z panią komendant.

Było jasne, że pytanie padło z czystej uprzejmości. Jego myśli nadal krążyły wokół strzelaniny w szkole.

– Właściwie coś dostałem.

Pedersen milczał, a Simonsen dodał:

– Usłyszałem też muzykę.

– Muzykę? Jaką muzykę?

– Coś takiego, co wywołuje uśmiech na twarzy.

Wyjaśnił mu sprawę z rezonansem.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – dopytywał zdumiony Pedersen.

Simonsen pokręcił głową. Nie, to nie miało żadnego znaczenia. Miało kapitalne znaczenie wtedy, gdy obudził się po zapaści. Radosna, zniewalająca uwertura rozlegająca się na placu przy rynku, gdzie wszyscy byli mile widziani. Waltornie rozrywające stary świat na kawałki i przenoszące swoją cudowną publiczność do przyszłości. Pieśniarz, który poruszył jego duszę swoim optymistycznym śpiewem, uśmierzając ból w piersi przez ulotną chwilę. Poczul się, jakby dostał dodatkową szansę, możliwość ponownego wyboru, zmiany dotychczasowego życia, a może nawet pojęcia, o co w nim chodzi. Wtedy do jego świadomości przebiło się światło, ciało zaczęło mu ciążyć i wszystko go rozboleło. Na próżno próbował odnaleźć muzykę po tym, jak ucichły ostatnie tony, a najmniejszy ruch stawał się udręką. Ktoś chwycił go za dłoń i wtedy otworzył oczy.

* * *

Simonsen pojawił się w pracy wcześniej, o wiele za wcześniej, gdyby ktoś go pytał o zdanie, ale zabrał się z Hrabianką, która miała wystarczająco dużo roboty w związku ze śledztwem w sprawie strzelaniny w szkole. Musiał się do niej dostosować, jeśli mieli jeździć razem. Uśmiechała się i wyglądała promiennie.

– Pomyśl, Simon, że w ten sposób szybciej wrócisz do domu.

Miała oczywiście rację, ale te wczesne powroty nie były dla niego szczególnie przyjemne. Czas spędzany samotnie w Hillerød mu się dłużył, a Hrabianka wróci do domu zapewne dopiero późnym wieczorem. Poczul się żaloszny i ogarnęła go irytacja na samego siebie. „Jeszcze nie udało mi

się dojsć do siebie po zawale” – pomyślał, próbując skoncentrować się na czymś innym.

W biurze zauważył, że Pauline Berg też już była w pracy. Siedziała na sofie w jego aneksie, jak dość szybko ochrzczono to pomieszczenie, i oglądała poranny program w telewizji. Simonsen położył aktówkę na biurku i podszedł do dziewczyny. Wyłączyła telewizor i się przywitali, choć żadne z nich nie okazało przy tym specjalnej serdeczności. Nie ruszając się z miejsca, obserwował ją przez chwilę, wystarczająco długo, żeby odwrócić wzrok. Usiadł na drugim końcu sofy.

– Wyglądasz jak bezdomna.

Trafił w sedno. Miała na sobie znoszone džinsy i szaroniebieską męską koszulę, mocno sfatygowaną na rękawach i przy kołnierzyku. Skóra podniszczonych sandałów była popękana.

– Jeżeli chcesz ze mną pracować, musisz przychodzić do pracy porządnie ubrana.

– Wydaje mi się, że znajdę gdzieś na dnie szafy jakieś workowate spodnie, mogę je jutro założyć. – A gdy się zorientowała, że ta uwaga nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, burknęła: – Ubieram się, jak mi się żywnie podoba.

– Od jutra będziesz się ubierać tak, jak mnie odpowiada. W przeciwnym wypadku możesz się nie pojawiać wcale. Twój wybór.

Posłała mu wściekłe spojrzenie, ale nie ruszyła się z miejsca. Podał jej teczkę z aktami sprawy od komendantki.

– Jørgen Kramer Nielsen, urodzony w pięćdziesiątym pierwszym roku w Kopenhadze, stan cywilny: kawaler, z zawodu listonosz. Zamieszkały w Hvidovre do czasu upadku ze schodów w swoim domu około dwudziestego lutego, czyli jakieś pół roku temu. Dokładny czas zgonu pozostaje nieznanym, znaleziono go dopiero po kilku dniach.

– Tak to bywa – skomentowała bez większego zaangażowania.

Spojrzał na nią z lekką irytacją.

– W piątek dwudziestego dziewiątego lutego po południu – kontynuował – sąsiad z dołu znajduje zwłoki Nielsena na klatce schodowej. Męż-

czyzna leży martwy od paru dni i ciało zaczyna cuchnąć. Sąsiad dzwoni po karetkę, my też zostajemy rutynowo wezwani. Na miejsce wypadku przyjeżdża radiowóz z dwoma funkcjonariuszami, a krótko potem także lekarz rejonowy. Ten ostatni odsyła policjantów, bada okoliczności śmierci, wypisuje akt zgonu, z którego wynika, że Nielsen pechowo złamał kark, spadając ze schodów. Czyli: brak policji kryminalnej, techników, sekcji zwłok. Facet idzie do chłodni, a potem do trumny.

– Jasny gwint, co za idiota.

– Można tak powiedzieć, ale to da się wytłumaczyć. Lekarz przyjechał prosto z lunchu w męskim gronie, suto zakrapianego, śmierział jak gorzelnia i ledwo trzymał się na nogach.

– Był pijany?

– Jak bela, wszyscy są co do tego zgodni. No, ale na tym nie koniec, będzie jeszcze gorzej. Jeden z przybyłych funkcjonariuszy, Hans Ulrik Gormsen... – Spojrzał na nią pytająco, próbując się zorientować, czy go zna. Zaprzeczyła ruchem głowy, więc ciągnął: – ...zaraz po przybyciu na miejsce nabrał, jak sam twierdzi, podejrzeń, że listonosz został zamordowany. Tak, to niestety cytat. Jego podejrzliwość wynikała z ułożenia ciała oraz faktu, że schody, z których spadł Nielsen, miały tylko siedem stopni. Gormsen zrobił mnóstwo zdjęć zwłok i schodów swoim telefonem, zmierzył schody, jak umiał, i przesłuchał sąsiada, któremu zresztą groził aresztem. Swoją drogą sąsiad okazał się księdzem. Policjant pokłócił się również z lekarzem i to jest prawdopodobnie jedna z przyczyn, dlaczego sprawa została zamknięta w taki nietradycyjny sposób. Taki rodzaj buntowniczej reakcji lekarza w połączeniu ze sporą dawką alkoholu.

– Rozumiem, tylko co my mamy z tym wspólnego? Cała ta sytuacja jest oczywiście przykra, ale przecież znajduje się ludzi u stóp schodów ze złamanym karkiem i w takich wypadkach nad wyraz rzadko mamy do czynienia z morderstwem.

– Racja, również i w tej sytuacji nic nie wskazuje na to, że Nielsen jest wyjątkiem, ku wielkiemu rozczarowaniu Gormsena, który usłyszał taką opinię od prokuratora, po tym, jak pokazał mu swoje zdjęcia. Przez kolejny miesiąc nikt nie podejmował sprawy, do czasu aż policjant dostał

nową pracę jako szef ochrony w prywatnej firmie. Wtedy ponownie wrócił do sprawy listonosza, jak sam ją nazywa, tym razem zwracając się do swojej teściowej. I ją łatwiej było przekonać do wersji z morderstwem. Niestety teściowa jest wiceprzewodniczącą Parlamentarnej Komisji Prawnej.

– Jezu Chryste.

– Masz rację, ale w gruncie rzeczy oczekuje się od nas, że poświęcimy sprawie śmierci Nielsena najwyżej pięć dni, po czym napiszemy raport, z którego będzie wynikało, że mężczyzna spadł ze schodów.

Berg się domyśliła.

– Raport, który komendantka przedstawi teściowej?

– Właśnie tak. Nadal jesteś zainteresowana? Czy mam przekazać Arnemu, że wolałabyś pracować przy strzelaninie w szkole jak pozostali?

Poirytowana zaczęła wymachiwać rękami.

– Przy sprawie tej tłustej świni? Nie, dziękuję, to zbyt deprymujące.

Zignorowała uwagę inspektora „uważaj na słowa” i przez moment nieruchomo wpatrywała się przed siebie. Czekał cierpliwie.

– Co wiemy o listonoszu? – odezwała się w końcu. – Był notowany?

Simonsen zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie wiemy prawie nic, poza tym tutaj. To nasze jedyne informacje.

Wręczył jej teczkę z aktami sprawy.

Piątego marca 1996 Jørgen Kramer Nielsen został napadnięty i pobity podczas roznoszenia listów. Napastnikiem okazał się czterdziestoletni kowal z Rødovre, który zresztą nigdy wcześniej nie był notowany. Nielsen mocno wtedy oberwał, a napastnika powstrzymali dopiero funkcjonariusze, którzy dotarli radiowozem na miejsce zdarzenia. Listonosza odwieziono do szpitala w Hvidovre, ale potem żaden z mężczyzn nie chciał złożyć zeznań, a listonosz odmówił wniesienia skargi. Kowalowi postawiono zarzuty, jednak po pewnym czasie sprawa została wycofana.

Berg dwukrotnie przeczytała raport, co nie zajęło jej dużo czasu, po czym oddała go Simonsenowi.

– Koledzy traktują mnie jak wyrzutka, nawet Hrabianka ma ze mną problem, nikt nie wie, co ze mną począć. Traktują mnie jak niechciany prezent, przedmiot, który nie budzi uznania, a którego nie można tak po prostu wyrzucić. Bardzo chciałabym dostać swoją własną sprawę, ale Arne nie chce mi jej dać.

– Ach tak.

– Każdego ranka, gdy wstaję, czuję, że to ostatni dzień mojego życia. A jeżeli chodzi o to ubranie... no więc, nie mogę chodzić w tym, co nosiłam, zanim... to się stało. Czuję wówczas strach.

– W taki razie włóż mundur, bo nie chcę cię widzieć w tym stroju.

Nagle się do niego uśmiechnęła, ciepło, prawie z optymizmem.

– Okej, powiedz, od czego mam zacząć.

* * *

Arne Pedersen zaangażował spore środki do ustalenia okoliczności strzelaniny w szkole przy Marmorgade i to szybko przyniosło wyniki.

Okazało się, że nauczyciel, który został zabity, był, jak to ujął Pedersen, prawdziwym dupkiem. Nazywał się Tobias Juul, miał trzydzieści dwa lata i dorabiał jako diler, szczególnie wśród nastolatek, w tym kilku z dziesiątej klasy, w której uczył. W jego domu znaleziono spory asortyment różnego rodzaju prochów: ecstasy, amfetaminę, metaamfetaminę i kokainę, a na dodatek facet parał się też innymi plugawymi zajęciami. Gdy jego dziewczyny, jak o nich mówił, uzależniły się już od narkotyków wystarczająco mocno i popadły u niego w długi, zaczął je wykorzystywać seksualnie. Najpierw osobiście, a potem sprzedając je innym.

Pedersen poinformował o szczegółach Simonsena. Nie dlatego, że ten był zaangażowany w sprawę, bo przecież nie kierował śledztwem dotyczącym strzelaniny, ale potrzebował partnera do wymiany pomysłów, kogoś, z kim mógłby przegadać sprawę. Wrócił do historii Juula:

– Ale to wszystko na stosunkowo niewielką skalę, nie był żadną grubą rybą.

– A co to ma wspólnego ze strzelaniną?

– Sądzymy, że motywem była zazdrość. Robert Steen Herz, czyli ten chłopak, który strzelał, chciał najprawdopodobniej pomóc jednej z dziewcząt, a dokładnie Mai Nørgaard. Była przypuszczalnie jedną z dziewcząt Juula, że posłużyć się jego żargonem. Zdaje się, że zabójca się w niej podkochiwał, ale ze swoją tuszą nie miał u niej najmniejszych szans. Może chciał ją uratować, czy jak mam to nazwać?

– Wygląda na to, że wkrótce uda ci się ustalić motyw. A co z bronią, skąd ją miał?

– Dobre pytanie. Skąd szesnastoletni Duńczyk bierze pistolet maszynowy ArmyTox SA-5 o kalibrze dziewięciu milimetrów? Nie mam pojęcia, jeszcze nie. A twój optymizm odnośnie do motywu jest niestety przedwczesny. Te dwie dziewczyny, w tym Maja Nørgaard, nie pomagają nam w najmniejszym stopniu. Obie zaprzeczają, aby wiedziały cokolwiek na temat tego... no, tego wszystkiego, o co je pytamy. Mamy więc niezłe podgórkę. Wspierają ich w tym rodzice, zwłaszcza matka Mai. Wynajęła nawet prawnika. Mówię ci, to jeden z tych beznadziejnych przypadków: jest przerażająco wielka i do tego arogancka jak diabli. Córka potwornie się jej boi i trudno się temu dziwić. W rzeczywistości to właśnie matka blokuje moje śledztwo, ale niewiele mogę z tym zrobić. Nie mamy innego wyjścia, jak poskładać tę historię okrężną drogą i oprzeć się na relacjach z drugiej ręki.

– A czym się kieruje ta matka?

– Trudno powiedzieć, ale wydaje mi się, że nie potrafi znieść perspektywy upublicznienia informacji o tym, że jej mały słodki skarb był zamieszany w coś niestosownego. A powiedz mi – jak idzie z tą sprawą listonosza? – Pedersen zachichotał, zadając to pytanie.

– Powoli do przodu.

– A jak z Pauline? Masz z nią jakiś problem?

– Najmniejszego.

* * *

Simonsen zaczął od księdza, sąsiada z dołu zmarłego listonosza, po części by przyjrzeć się budynkowi, w której nastąpił zgon, a po części by poroz-

mawiać ze świadkiem, który prawdopodobnie miał najwięcej do powiedzenia. Będzie potem miał co pisać w swoim raporcie.

Ksiądz okazał się uprzejmym mężczyzną pod czterdziestkę, który od razu odgadł myśli policjanta, gdy jego zaskoczony wzrok padł na kolo-ratkę.

– Zgadza się, jestem osobą duchowną. Gdy ludzie nie zostaną o tym uprzedzeni, czują się dość niepewnie, dlatego chciałbym od razu oświadczyć, że nie gryzę.

Zaśmiał się ciepło. Simonsen mu zawtórował, po czym podali sobie rękę.

Szybko uporali się ze wspomnieniami wydarzeń z dwudziestego dziewiątego lutego. Ksiądz wrócił do domu z wakacji i wtedy odkrył zwłoki sąsiada z góry. Potem przeszli do najważniejszego pytania:

– Czy zanim dotarł tu ambulans, przeniósł pan zwłoki lub zmienił ich pozycję?

– Dlaczego, do licha, miałbym to robić? Jørgen był przecież niewątpliwie martwy, więc w żaden sposób nie mogłem mu już pomóc.

– Tak, rozumiem. A co z policjantami? Czy któryś z nich dotykał ciała?

– Zanim zabrała go karetka?

– Tak, oczywiście.

Duchowny zastanawiał się przez chwilę, po czym odezwał się z wahaniem w głosie:

– Ten młodszy funkcjonariusz ustawił pudełko zapalek obok twarzy denata, zanim zaczął go filmować telefonem. Odniosłem wrażenie, że chodziło mu o wyznaczenie perspektywy i rozmiarów. Przypominam sobie też swoje zaskoczenie, że ma przy sobie pudełko zapalek, bo kto w dzisiejszych czasach nosi przy sobie coś takiego? Ale on nie dotykał Jørgena.

– Jest pan pewien?

– Tak... tak, jestem tego pewien.

– Swoją drogą to ten policjant nie pracuje w wydziale kryminalnym.

– To pocieszające.

– Też tak uważam. Czy główne drzwi wejściowe są zawsze zamknięte na klucz?

– Zawsze.

– Kto ma klucze?

– Oczywiście ja i moi nowi najemcy na górze. Jørgen też miał, w rzeczy samej, wydaje mi się, że dwa komplety, ale tylko zgaduję.

– I nikt inny? Sprzątaczką czy ktoś taki?

– Nie, o ile mi wiadomo.

– Skoro już jesteśmy przy sprzątanii... Jak często czyszczone są schody?

– Zgodnie z umową raz na czternaście dni. Zmieniamy się, ale... tak, naprawdę mi przykro. Jeżeli myślał pan o mikrośladach, czy jak też wy je tam sobie nazywacie, to niestety od lutego schody zostały dwukrotnie porządnie wyczyszczone. Po pierwsze dlatego, że i ja sam po tym całym zajściu dość starannie wszystko odkurzyłem i wyczyściłem, bo przecież zwłoki leżały tu przez parę dni.

Zasępił się na chwilę, ale Simonsen nie odpuścił:

– A po drugie?

– No cóż, moi nowi najemcy uważali, że tu śmierdzi. Nie, to niesprawiedliwe, tylko kobieta tak uważała i to dopiero po tym, jak usłyszała, w jaki sposób Jørgen pożegnał się z tym światem. Dlatego razem z najemcą złożyliśmy się na profesjonalną firmę sprzątającą, która się tu mocno napracowała. To wszystko tak bardziej dla świętego spokoju, jeżeli pan rozumie, co mam na myśli.

Simonsen westchnął.

– Nic z tym nie zrobimy. Ma pan coś przeciwko temu, żebym się tu trochę pokręcił?

Duchowny nie zgłosił zastrzeżeń.

Korytarz wyglądał typowo. Główne drzwi prowadziły do niewielkiej, wyłożonej płytkami sieni, skąd po trzech niskich stopniach wchodziło się na pierwszy podest, gdzie były drzwi wejściowe do mieszkania na parterze. Wyżej, na kolejnym podeście znaleziono ciało Nielsena. Schody pro-

wadziły dalej na samą górę, gdzie znajdowała się wielka szafa na ubrania oraz drzwi do mieszkania na pierwszym piętrze. Wszystkie podłogi, z wyjątkiem samej sieni, były wyłożone chodnikiem, poręcz została niedawno pomalowana na wysoki połysk na czarno, podczas gdy ściany kłuły w oczy bielą i czystością, ozdobione kilkoma nijakimi reprodukcjami w ramach autorstwa artysty, którego nazwisko nic Simonsenowi nie mówiło. Wielka biała szklana lampa zwisająca z sufitu pierwszego piętra domagała się odkurzenia, a okno znajdujące się na wysokości podłogi na pierwszym podściem swym przydymionym szkłem ołowiowym psuło wrażenie bezpiecznego, drobnomieszczańskiego stylu. Inspektor przeszedł kilkakrotnie tam i z powrotem, zachowując przy tym otwarty umysł, ale jedyne, co uzyskał, to ból w nogach.

* * *

W tym czasie Pauline Berg badała papiery i dokumenty pozostawione przez zmarłego. Okazało się to niełatwym zadaniem. Teraz składała raport Simonsenowi:

– Jego rzeczy są przechowywane w magazynach Express Flyts przy Peter Adlers Vej. Jednak gdy się tam zjawiłam, odbierał je właśnie nowy najemca. Wtedy musiałam użyć wszelkich możliwych gróźb, a potem popędzić do sądu rejonowego w Glostrup i przekonać kuratora spadku do zablokowania tych rzeczy, chociaż zostały już wystawione na sprzedaż. To spowodowało całe mnóstwo różnych biurokratycznych problemów i być może dotrą do ciebie jakieś skargi na mnie, bo kilkakrotnie musiałam w sądzie i paru innych miejscach wykrzyczeć prawdę, żeby załatwić sprawę. To jest jednak wina komendantki, powinna była poinformować ich o wszystkim dużo wcześniej.

– Czy ona była jedną z tych, którym musiałas wykrzyczeć prawdę w oczy?

– Tak, między innymi, chociaż nie należała do najgorszych. Natomiast ci leniwi urzędnicy w sądzie wydawali się niewzruszeni. Wyobraź sobie, znalazłam w jego rzeczach testament, a dokładniej kopertę z takim napisem. Co jest w środku, nie mam pojęcia, bo jej nie otworzyłam, ale oczy-

wiecie zadzwoniłam do syndyka i poinformowałam go o swoim znalezisku. Myślisz, że się ucieszył albo przynajmniej zawstydził, że tak niedbale wykonał swoją robotę? Bynajmniej, a na dodatek bezczelnie mnie przekonywał, żebym przyjechała z tą kopertą do Glostrup. Naturalnie powiedziałam mu, że ma spadać.

– Oczywiście, a cóż by innego.

Uśmiechnęła się, próbując w ten sposób przeprosić za swoje zachowanie.

– Miałam straszny dzień, teraz to widzę, ale co ty zrobiłbyś na moim miejscu?

– Pojechałbym do Glostrup, ale to teraz bez znaczenia. Zajmę się tym, jak zrobi się z tego afery, zwłaszcza skoro dla odmiany jesteś dzisiaj przyzwyczajona ubrana.

Berg miała na sobie porządną spódnicę do kolan i prosty golf, jedno i drugie w szarym kolorze, całość w stylu bibliotekarki z lat pięćdziesiątych, co nie zmieniało faktu, że była to znaczna poprawa w stosunku do zeszłego tygodnia. Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Znalazłaś w ogóle coś interesującego? – dopytał.

– No wiesz, było tam o wiele za dużo różnego rodzaju papierów, żebym mogła je dokładnie przejrzeć, więc musiałam to zrobić pobieżnie. Znalazłam między innymi chyba z milion brulionów z jakimiś wyliczeniami, to musiało być jego hobby. Przechowywał też paragony z lokalnego Netto z ostatnich jedenastu lat, starannie spięte, opatrzone dwoma liczbami na odwrocie. Jedna z nich oznaczała kwotę na paragonie, drugiej nie rozgryzłam. Ale żeby coś szczególnie interesującego... nie, właściwie nie, ale przecież nie tego szukałam. – Po chwili wahania podjęła: – Zawsze znajdzie się coś, co nas zadziwi. To chyba dotyczy wszystkich ludzi.

Listonosz miał na przykład stary aparat fotograficzny oraz powiększalnik z całym sprzętem, ale nigdzie nie natknęłam się na żadne odbitki. Poza tym z paragonów wynikało, że regularnie kupował karty prepaid, znalazła też ładowarkę do telefonu, ale żadnego aparatu. Doszła do wniosku, że ktoś z zakładu pogrzebowego musiał go zakosić. Simonsen miał co do tego wątpliwości, ale ich nie wyartykułował.

– Coś jeszcze?

– Z paragonów wynika, że nabywał w dużych ilościach płyn do mycia szyb. Nie mam pojęcia, w jakim celu, można by sądzić, że miał szklarnię, ale nie ma po żadnej ani śladu. A na dodatek okazał się dość bogaty. Na lokacie trzymał milion siedemset tysięcy koron, pieniądze ze sprzedaży domu duchownemu w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Wówczas sam został najemcą pierwszego piętra willi. W ciągu ostatnich pięciu lat nie ma żadnych ciekawych wypłat ani wpłat, poza tym że regularnie przelewał czterysta czterdzieści koron miesięcznie na konto swojej parafii katolickiej.

– Czyli był katolikiem?

Berg skinęła głową. Potem zerknęła na zegarek.

– Przykro mi, ale za pół godziny muszę być u psychiatry. Ciebie za chwilę pewnie też ktoś odbierze. Czym mam się zająć w poniedziałek?

Nie miał pojęcia, więc tylko obiecał zadzwonić, i Pauline wyszła. Teraz on również spojrzął na zegarek i stwierdził, że faktycznie, wkrótce ktoś się po niego zjawi. Odwozili go do domu na zmianę, może ustalili jakiś system rotacyjny. Miał nadzieję, że dzisiaj przypada kolej Hrabianki. Nie widywali się zbyt wiele, wracała późno do domu i ruszała do pracy, zanim zdążył wstać. Co prawda zbliżał się weekend, ale prawdopodobnie i tak będzie musiała zajmować się sprawą strzelaniny w szkole. Westchnął, a po chwili ucieszył się, że będzie mógł sam prowadzić samochód. Wtedy usłyszał pukanie, punktualnie co do minuty. Naprawdę go pilnowali. W drzwiach stanął jakiś nieznanymi młody funkcjonariusz.

* * *

Poniedziałkowe przedpołudnie Simonsen zmarnował na przesłuchanie dwóch ratowników medycznych, którzy w lutym zabrali zwłoki Nielsena z jego klatki schodowej. Odszukanie ich zajęło mu sporo czasu, a ich zeznania niczego nie wyjaśniły. Telefon do lekarza, który wystawił świadectwo zgonu, też nie wniósł nic nowego. Niestety mężczyzna nie przypominał sobie tego zdarzenia, a Simonsen wierzył, że tak jest rzeczywiście. Nie udało mu się też skontaktować z Hansem Ulrikem Gormsenem i nic wię-

cej tego dnia nie działał. Niesamowite, jak szybko potrafią upłynąć cztery godziny.

Kolejny dzień, wtorek, słoneczny i bezchmurny, zaczął się od rozmowy z policyjną partnerką Gormsena. Funkcjonariuszka przyszła w nieskazitelnie czystym mundurze i policyjną czapkę umieszczoną przesadnie poprawnie pod lewym ramieniem. Wyprostowana niczym ołowiany żołnierz, zatrzymała się pośrodku jego gabinetu, mocno się pocąc, a gdy zaproponował jej, by usiadła, zrobiła to, ale równie sztywno.

Simonsen wypytywał ją o przebieg zdarzeń, nie oczekując żadnych nowych informacji. Okazało się jednak, że policjantka zapamiętała szczegół, który on sam przeoczył. Chodziło o krew albo raczej o jej brak.

– No tak, on tam leżał martwy, ale nigdzie nie było śladów krwi.

– Czyli nie krwawił?

– Nie, właściwie nie, nie zauważyłam niczego, co jednoznacznie można by zidentyfikować jako krew.

– Jednoznacznie?

– Tak jest.

Miał ochotę nią potrząsnąć, żeby się nieco odprężyła, ale niestety nie mógł sobie na to pozwolić.

– Czyli widziałaś coś, co mogło przypominać krew, ale nią nie było?

Pytanie było głupie, ale nie wpadł na nic lepszego.

– Tak.

– Spróbuj zamknąć oczy, wyobraź sobie, że stoisz na tej klatce schodowej, i powiedz mi, co sprawia, że w pewnym momencie nabierasz wątpliwości, czy masz do czynienia z krwią, czy nie.

Zamknęła oczy i się odezwała:

– Denat miał ranę na dłoni. Wyglądała jak otarcie, ale nie krwawiła, przypominała zadrapanie, zapewne po upadku. Być może będzie je widać na zdjęciach, które Hans Ulrik zrobił swoim telefonem. Tak mi się wydaje.

Simonsen sięgnął do półki po segregator i wyjął z niego zdjęcia. Miała rację. Zadrapanie na prawej dłoni Nielsena było widoczne na niemal połowie zdjęć. Dość wyraźne, o ile człowiek wiedział, czego szukać.

– Czy mogę już otworzyć oczy?

– Jasne, oczywiście, i bardzo dziękuję za pomoc.

– Czy mogę już odejść?

Zauważył, że niemal drży z nerwów, wbijając przerażony wzrok w podłogę. Nigdy wcześniej nie widział równie zestresowanej policjantki. Splótł dłonie pod brodą, przyglądał się jej przez parę sekund, a potem powiedział:

– Tak, możesz odejść.

Wyszła, zanim zdążył wyartykułować ostatnie słowo. Wtedy zadzwonił do Pauline i opowiedział o zadrapaniu.

Okazało się, że Berg doskonale zna tę funkcjonariuszkę, bo z nią pracowała, zanim została przeniesiona do wydziału zabójstw. Gdy spotkała się z Simonsenem następnego dnia, zauważyła:

– Jej zachowanie ociera się o wariactwo. Nigdy w życiu jej takiej nie widziałam, wręcz przeciwnie.

– W takim razie szkoda, że cię tu nie było, bo ja nigdy czegoś podobnego nie przeżyłem. No, a co powiedział Melsing?

Simonsen wysłał ją do Instytutu Medycyny Sądowej, żeby szef tej placówki, Kurt Melsing, przyjrzał się zdjęciom zwłok listonosza wykonanym telefonem. Przede wszystkim chciał poznać jego instynktowną reakcję.

– Pochrzakując, przejrzał zdjęcia – relacjonowała Berg – a potem powiedział, że upadek ze schodów może mieć bardzo różny przebieg.

– I to wszystko?

– Mniej więcej. Jeżeli chcemy dokładnej ekspertyzy, musiałby zmierzyć klatkę schodową, dostać oryginały zdjęć, a poza tym czekalibyśmy około pół roku. Niedawno zakupili w USA program, który prawdopodobnie by nam pomógł, ale jeszcze nikt nie nauczył się go obsługiwać. Jeżeli chcemy oficjalnej opinii, ty lub Arne macie do niego zadzwonić.

– Nie, to nieważne. – Konrad pokręcił głową.

– Też mu powiedziałam, że raczej zrezygnujemy. A swoją drogą dzisiaj moja kolej, żeby odwieźć cię do domu, i niedługo ruszamy.

W samochodzie nie rozmawiali zbyt wiele, wymienili tylko kilka luźnych uwag.

– Udało im się ustalić, w jak sposób ten tłuścioch wszedł w posiadanie broni. Arne dzisiaj do ciebie zadzwoni w tej sprawie.

– Wyrażaj się grzecznie o tym chłopaku, przecież już cię prosiłem.

Po dłuższej chwili Pauline dopytała:

– Jesteś pewien, że ona drżała? To do niej w ogóle niepodobne.

– Skoro mówię, że drżała, to drżała.

– Masz coś przeciwko temu, żebym z nią porozmawiała?

Odwrócił głowę, by spojrzeć na koleżankę.

– Telefon Jørgena Kramera Nielsena?

– Właśnie!

* * *

Zgodnie z zapowiedzią Berg Pedersen jeszcze tego samego dnia zadzwonił do Simonsena. Ten ostatni właśnie drzemał.

– Co porabiasz? Spałeś?

– Siedziałem i wspominałem dziewczynę, którą znałem dawno temu.

Nieco ośmielony taką szczerą odpowiedzią, Pedersen przeprosił, że przeszkadza. Tego rodzaju uwagi Simonsen zwykł zachowywać dla siebie. Potem wyjaśnił sytuację z karabinem maszynowym.

Robert Steen Herz, chłopak, który zastrzelił swojego nauczyciela, miał przyjaciela w USA. Ten nazywał się Russ Andrews i mieszkał w Burlington, w Vermoncie. Poznali się rok wcześniej, gdy Herz wraz ze swoją klasą pojechał na obóz do Stanów. Okazało się, że obaj chłopcy interesują się bronią, a właściwie mają obsesję na jej punkcie. Po tym, jak Hertz wrócił do domu, regularnie pisali do siebie przez internet, właśnie na temat broni. W marcu Andrews skończył osiemnaście lat i mógł legalnie nabyć broń w Vermoncie, jako że ten stan wraz z Arizoną i Alaską miał najbardziej liberalne przepisy w tym względzie. Tak też zrobił. Kupił tyle broni, ile mógł, w tym karabin maszynowy dla swojego przyjaciela. Problem z wysyłką broni do Danii chłopcy rozwiązali w ten sposób, że Hertz naj-

pierw wysłał paczkę pod nieistniejący adres w Burlington, która ważyła mnie więcej tyle, co Army Tocx SA-5 i cztery pudełka amunicji. Po niecałym miesiącu przesyłkę odesłano, informując z przykrością, że adresat okazał się nieznanym. Jeszcze tego samego dnia Hertz wysłał kolejną paczkę, naklejając odpowiednią liczbę znaczków, by doszła ekspresem. Włożył do niej opakowanie z poprzedniej, które zawierało wszystkie niezbędne pieczątki i etykiety zwrotne, i zaadresował ją do Andrews. Ten z kolei umieścił broń i amunicję w opakowaniu z pierwszej przesyłki i wysłał ją do Danii, z niewielką pomocą najstarszego brata zatrudnionego w firmie świadczącej usługi pocztowe dla Rady Miasta w Burlington. Dokładnie tak jak chłopcy się spodziewali, przesyłka zwrotna ominęła wszystkie kontrole, skoro była już wcześniej skanowana. Mniej więcej po miesiącu Hertz otrzymał swój karabin, wraz z upomnieniem od listonosza, aby w przyszłości dobrze upewnił się co do adresu, gdy będzie wysyłał paczki do USA.

– Reszta to była dla Hertza bułka z masłem – dodał Arne. – Za pomocą klucza imbusowego, pilnika oraz instrukcji z internetu zamienił półautomatyczny karabin w broń automatyczną, oddającą jakieś dziesięć strzałów na sekundę.

– Zakładam, że służby celne czerwienią się teraz po uszy – zamruczał Simonsen.

– Wygląda na to, że zmieniają procedury dotyczące zwrotu przesyłek, zarówno w Danii, jak i w USA.

– A co z pieniędzmi? Chyba że karabin okazał się prezentem od przyjaciela?

– Nie, bardziej prezentem z karty kredytowej jego ojca. Facet pracuje jako makler giełdowy i zajmuje się tymi bardziej podejrzanymi transakcjami, a to najwyraźniej dość dochodowe zajęcie, bo nie zauważył, że z konta ubyła mu równowartość czterech tysięcy koron. Ewidentnie takie drobniaki go nie zajmują. Szczerze mówiąc, sam to tak ujął.

Simonsen podziękował za informację, którą właściwie mógłby dostać kolejnego dnia, i czekał cierpliwie, aż Pedersen wyjawy prawdziwy powód rozmowy. Upłynęło trochę czasu, zanim to nastąpiło, i chodziło o Maję

Nørgaard, tak jak sądził. Brak współpracy z jej strony stanowił ogromny problem, gdyż bez jej zeznań nie mogli poznać pobudek, które kierowały Hertzem. Pedersenowi skończyły się pomysły. Simonsen zgodził się wziąć udział w spotkaniu nazajutrz, chociaż nie bardzo wiedział, co nowego może wniesić do sprawy.

* * *

Niecały tydzień po powrocie do pracy Simonsen zdołał przygotować raport dla komendantki na temat okoliczności śmierci Nielsena. Wynikało z niego, co nie było żadnym zaskoczeniem, że ostateczną przyczynę śmierci listonosza stanowiły obrażenia doznane podczas niefortunnego upadku ze schodów. Nic nie wskazywało na przestępstwo. Simonsen wydrukował raport, przeczytał go po raz ostatni, naniósł drobne poprawki, ponownie wydrukował i zabrał na spotkanie z Pedersenem. Wręczając mu go, zapytał:

– Czy mógłbyś go przekazać dalej? W końcu to przecież ty zarządzasz teraz tym interesem.

– Nie – odmówił Pedersen. – Im mniej mam z nią do czynienia, tym lepiej. – Miał na myśli komendantkę.

Simonsen zmarszczył brwi, ale nie skomentował.

Chwilę później dołączyło do nich czworo funkcjonariuszy, w tym Hrabianka – wszyscy pracujący nad sprawą strzelaniny w szkole. Pedersen rozpoczął spotkanie, którego tematem była Maja Nørgaard, a zwracał się przede wszystkim do Simonsena.

– Jak wiesz, przypuszczamy, że motywem Herza była banalna zazdrość. Nieszczęśliwie kochał się w Mai z którą chodził do klasy od zerówki. To dla niej zdecydował się kontynuować naukę w dziesiątej klasie, chociaż mógł z powodzeniem wybrać liceum. Ale nie był głupi. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma u niej najmniejszych szans, więc podkochał się w niej na odległość, jeżeli można tak powiedzieć. Jednak gdy dziewczyna dostała się w szpony Tobiasa Juula, co zakładamy z dużym prawdopodobieństwem, coś musiało w chłopaku pęknąć, chociaż zapewne upłynęło trochę czasu, zanim się zorientował, o co w tym wszyst-

kim chodzi. Musiał krok po kroku zbierać i składać informacje, przechwytyjąc...

Więcej nie udało się Pedersenowi przekazać, gdyż przerwała mu Berg, która z impetem wpadła do biura. Podsunęła Simonsenowi pod nos telefon, nie przejmując się wściekłymi spojrzeniami pozostałych obecnych.

– To komórka Nielsena.

Simonsen powściągnął irytację.

– Pauline, czy to nie może poczekać?

Nie odpowiedziała, tylko zaczęła uderzać w klawiaturę, aż na wyświetlaczu pojawił się portret młodej kobiety, uśmiechniętej i jasnowłosej. Poklikała jeszcze, żeby zmienić zdjęcie. Na tym dziewczyna stała sztywno w salonie, w tle widać było jakiś telewizor i żyrandol, a ona sama była naga. Tym razem się nie uśmiechała.

– Maja Nørgaard? – zapytał zdumiony inspektor.

Zabrzmiało jak na wpeł pytanie, a wpeł konstatacja.

– Na telefonie Nielsena! – potwierdziła Pauline.

Nie pierwszy raz okazywało się, że dwie niezależne sprawy prowadzone przez wydział zabójstw są ze sobą powiązane. Telefon krążył już po sali, a Pauline dodała:

– Tobias Juul wysłał te zdjęcia dwudziestego trzeciego lutego z tekstem: „Niedziela dziesiąta rano”. Tylko tyle. Nie wiadomo, gdzie zostały zrobione.

To wiedziała Hrabianka.

– W salonie Juula. Rozpoznaję żyrandol. Ale skąd Juul i Nielsen się znali?

Pedersen uśmiechnął się szeroko.

– Nie mam pojęcia, wiem natomiast, że Maja Nørgaard zrobi naprawdę wiele, żeby jej matka nie zobaczyła tych zdjęć. Muszę tylko dorwać tę dziewczynę na osobności, bez matki i adwokata. Jak to najlepiej zaaranżować, Hrabianko? Znasz dobrze jej zwyczaje.

Hrabianka nie miała wątpliwości:

– W piątek między osiemnastą a dwudziestą w knajpie Gåseøjet, przy Balle Allé, na wprost Enghave Station. Wraz z garstką przyjaciółek robią sobie tam zazwyczaj małą rozgrzewkę, zanim wybiorą się na dyskotekę gdzieś w centrum.

Simonsen dyskretnie wyrzucił swój raport do kosza.

– Sam się nią zajmę – oznajmił.

Nikt nie zaprotestował.

* * *

Gåseøjet okazała się niewielką knajpką w staromodnym stylu. Lokal składał się tylko z jednego pomieszczenia, z barem na jednym końcu i migoczącymi automatami do gry na drugim. Osiem ciężkich bejcowanych na ciemno stolików oraz przynależących do nich krzeseł doskonale się komponowało z mahoniową boazerią, okrywającą ścianę do sporej wysokości. Każdy ze stolików przykrywała podkładka z czerwonego plastiku z czarnymi dziurami pozostawionymi przez niedopałki, a pod sufitem obracał się miedziany wentylator. Grała przytłumiona muzyka, duńskie hity lżejszego kalibru.

Knajpa w połowie świeciła pustkami. Większość klienteli stanowili mężczyźni od pięćdziesiątki w górę, z wyjątkiem trzech dziewcząt siedzących najdalej od baru, najwyraźniej niezainteresowanych brataniem się z pozostałymi gośćmi.

Simonsen z niejakim trudem wspiął się na barowy stółek i zamówił piwo, gdy barman na moment oderwał się od gry w kości z dwoma lekko wstawionymi klientami. Policjant uniósł kufel i ostrożnie upił łyk piwa. Jeżeli już miałby przerwać swoją kurację, to na pewno nie tutaj.

Wkrótce barman wrócił za bar. Był czterdziestolatkiem o energicznych ruchach i szerokim uśmiechu, uważnym i trzeźwym. Simonsen przywołał go skinieniem dłoni i dyskretnie pokazał odznakę. Potem pochylił się nad ladą i pod nosem powiedział cicho:

– Jestem z wydziału zabójstw i nie interesujecie mnie ani ty, ani ta knajpa. Zwłaszcza jeśli będziesz współpracował.

Barman nie wahał się ani sekundy.

– Będę współpracował.

Simonsen ruchem głowy wskazał na dziewczyny siedzące w głębi lokalu.

– Niespecjalnie tu pasują, prawda?

Barman wyjaśnił, że wujek rudowłosej ma udziały w lokalu, a to stwarza możliwość zakupu na kredyt i gwarantuje niższe ceny.

– Czy gdy się za chwilę do nich przysiadę, mógłbyś zadbać, żeby te dwie odwrócone plecami zostały stąd wyrzucone? – spytał policjant.

– Tak, jeżeli panu na tym zależy.

– Tak właśnie jest i chodzi o to, żeby zupełnie stąd zniknęły, a nie kręciły się na zewnątrz.

Barman się zawahał.

– Poza tym wygląda na to, że wszystkie trzy są nieletnie, wasza licencja mogłaby...

Zawiesił głos, a mężczyzna skapitulował z uśmiechem.

– Mają całkiem zniknąć, żadnego wystawiania przed wejściem – dodał Simonsen.

Gdy inspektor przysiadł się do stolika dziewczyn, te zaczęły głośno oponować, co wcale nie było zaskoczeniem. Nie przejmując się obelgami, policjant przyglądał się bez słowa Mai Nørgaard, zadowolony, że dziewczyna siedzi w najdalszym kącie. Gdyby chciała wyjść, musiałaby przejść pod stołem. Inni klienci z zainteresowaniem śledzili całe zajście, zwłaszcza gdy barman, dotrzymując słowa, bez specjalnego dramatyzmu wygościł pozostałe dziewczyny i wsadził je do taksówki.

Maja Nørgaard odezwała się pierwsza:

– Jesteś gliną?

„Nie była głupia”. Pokazał jej swoją odznakę.

– Będę z tobą rozmawiać tylko w obecności swojego adwokata.

Wyjął z kieszeni przygotowany telefon Nielsena, więc wystarczyło tylko nacisnąć jeden klawisz, żeby aktywować wyświetlacz. Przesunął komórkę w jej stronę i czekał.

– A więc leżałeś sobie spokojnie w domu i ślinałeś się na mój widok, ty tłusty wieprzu? – wyszczała po chwili. – Zajmij się swoim życiem.

– Maju, możesz odejść, jeśli chcesz. Nie wydaje mi się jednak, żeby twoja mama była zachwycona, gdy się dowie, że twoje nagie zdjęcia krążą niczym talerz z owocami pośród tych starych...

– Nie zrobisz tego!

– Może zrobię, a może nie – odparł spokojnie. – To zależy wyłącznie od twojego zachowania.

Widział po niej, że ją złamał, chociaż ona sama sobie tego jeszcze nie uświadamiała. Gdy podniosła szklanę, jej ręka drżała. Piła smirnoffa red ice. Simonsen gestem dłoni przywołał barmana, który niemal natychmiast pojawił się przy ich stoliku.

– Byłbyś tak miły i zamienił to tutaj na colę i wodę mineralną?

Wskazał na ich napoje, które szybko zniknęły ze stołu. Maja nie zaprotestowała, tylko odezwała się łamiącym się głosem:

– Co mam zrobić?

– Najpierw porozmawiasz ze mną, potem z Arnem Pedersenem i Hra... i Natalią von Rosen, tych ostatnich zresztą już poznałaś, a na koniec odbędziesz jeszcze rozmowę z pracownikiem opieki społecznej. We wszystkich trzech przypadkach opowiesz prawdę – i to całą.

– I wtedy nie pokażesz zdjęć mojej matce?

– I wtedy nie pokażę zdjęć twojej matce.

– A jeżeli kłamiesz i to zrobisz?

– No to kłamię. Musisz mi zaufać.

Namyślała się przez chwilę, aż w końcu zaakceptowała jego sposób rozumowania.

– Po co mam rozmawiać z tym kolesiem z opieki społecznej?

– Bo pijesz o wiele za dużo i zapewne wciążasz parę kresek, gdy cię na to stać. Oprócz tego, gdy brakuje ci pieniędzy, prostytutujesz się i obracasz w niewłaściwym towarzystwie. Dlatego. Poza tym masz siedemnaście lat i potrzebujesz pomocy, zanim wpakujesz się w poważne kłopoty.

W kącikach jej oczu zabłysnęło kilka łez.

– Zostanę ukarana?

– To zależy od tego, co zrobiłaś. Jeżeli w ogóle coś zrobiłaś. Ale szczerze mówiąc, wyglądasz na kogoś, kto bardziej potrzebuje pomocy niż kary. No więc, co na to powiesz? Tak czy nie?

– Tak.

Zanim wyszedł do toalety, poinformował ją, że jeżeli chce, może odejść. Przyświecał mu dwojaki cel: po pierwsze, nie chciał, żeby mu później zarzucano, że zatrzymał ją wbrew jej woli, a po drugie, chciał jej dać czas do namysłu. Nie musiał korzystać z toalety, więc tylko ochlapał twarz wodą, wytarł ją papierowym ręcznikiem i policzył do trzydziestu. Gdy wrócił, siedziała tak jak ją zostawił, wyglądając smutnym wzrokiem przez okno. Usiadł i od razu przystąpił do pytań.

– Jørgen Kramer Nielsen, ulica Johannes Lindevej dwadzieścia jeden, w Hvidovre, niedziela dwudziestego siódmego stycznia godzina dziesiąta?

– To był pierwszy raz, gdy zostałam wysłana sama, to znaczy bez Tobiasa, i byłam śmiertelnie wystraszona – odparła szeptem.

– Tobiasa Juula?

– Tak. Wcześniej tylko... próbowałam tego u niego w domu. Zapraszał przyjaciela... – zrobiła cudzysłów w powietrzu – czy też dwóch, ale zawsze były dwie dziewczyny. Miałam pozwolić się poderwać jednemu z nich,ostałam o tym uprzedzona. Potem dostawałam połowę kwoty, a Tobias zabierał drugą. Bez problemu płacili po dwa tysiące, a jak miałyśmy szczęście, to i trzy. Kilka razy płacił mi też koką czy kryształem, ale zawsze był dla mnie miły i mnie nie oszukiwał.

Simonsen pomyślał, że wszystko zależało do tego, jak na to spojrzeć.

– Ale w przypadku Nielsena było inaczej? – zapytał cicho.

Skinęła głową.

– Chciał zapłacić sześć tysięcy, nie miałam robić nic poza spędzaniem czasu w jego domu, to znaczy oglądaniem telewizji, rozmawianiem, jedzeniem... takimi zwykłymi czynnościami... tylko bez ubrania. A wieczorem miałam wrócić do domu. To wszystko.

– I zrobiłaś to?

– Początkowo nie chciałam. Wydawało mi się to koszmarnie, a do tego on był stary. Jednak Tobiasz mnie przekonał i obiecał, że nie zdarzy się nic więcej. Gwarantował, że Jørgen nawet mnie nie dotknie i sam przez cały czas będzie ubrany. No więc się zdecydowałam.

– W niedzielę dwudziestego siódmego stycznia przed południem?

– Możliwe.

– Opowiedz wszystko.

– Nie ma wiele do opowiadania, bo nic z tego nie wyszło. Po tym, jak Jørgen przez chwilę ze mną porozmawiał, odesłał mnie do domu. Byłam tam najwyżej pół godziny.

– Nie spodobałaś mu się?

– Właściwie to nie była jego wina. Zastrzegł sobie, że mam mieć osiemnaście lat, a miałam tylko szesnaście. Tobiasz kazał mi kłamać, gdyby o to pytał, i tak też zrobiłam. Twierdziłam, że mam osiemnaście lat i chodzę do drugiej liceum, ale od razu mnie przejrzał. Zapytał o kilka przedmiotów i parę tematów, a ja przecież nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć. Wtedy odesłał mnie do domu, ale nie w jakiś nieprzyjemny sposób. Właściwie okazał się naprawdę miły, dał mi dwa tysiące za fatygę, a do tego dołożył jeszcze na taksówkę.

– Mówił coś o tym, dlaczego miałaś chodzić po jego domu rozneglizowana?

– Nie, to nie zabrnęło tak daleko.

– Czy masz wrażenie, że Juul załatwiał Nielsenowi inne dziewczyny?

– Tak mi się wydaje. W przeciwnym razie nie znalazłyby jego preferencji. Ale nie mam pewności.

– Wiesz, skąd Juul znał Nielsena?

– Tobiasz dorabiał swego czasu na tej samej poczcie, gdzie Jørgen był listonoszem. Wydaje mi się, że to placówka w Rødovre, ale to było dawno temu.

„To by się zgadzało, dziewczyna zapewne mówiła prawdę”.

– Jørgen Kramer Nielsen został przedwczoraj aresztowany. Podejrzujemy go o co najmniej siedem brutalnych napaści. Na młode dziewczyny

– powiedział, wpatrując się w nią intensywnie.

Dziewczyna zbladła, krew zupełnie odpłynęła jej z twarzy. Wiedział, że takich reakcji nie da się symulować. Po chwili trochę się uspokoiła.

– Nie powiem, że coś mi zrobił, bo tak nie było – powiedziała.

Simonsen opowiedział o prawdziwym przebiegu zdarzeń, wyjaśnił, dlaczego skłamał, i przeprosił. Potem zadał jeszcze kilka dodatkowych pytań, ale odpowiedzi dziewczyny nic mu już nie dały. Na koniec rozmowy ją pochwalił:

– Maju, poszło świetnie. Zostały ci jeszcze dwie rozmowy. Jeżeli będziesz równie szczerą, to na pewno wszystko się ułoży.

– Spróbuję, ale... mógłby pan być tak miły i zostać ze mną, gdy zjawią się ci pozostali?

– Nikt tu nie przyjdzie, pójdziesz ze mną na komendę, ale nie musisz się denerwować. Wszystko przebiegnie bardzo spokojnie, a po drodze zorganizujemy ci jeszcze coś do jedzenia. I oczywiście zostaną tam z tobą, jeżeli tego chcesz.

W drodze na komendę dziewczyna przez większość czasu milczała. Odezwała się tylko dwa razy. Po raz pierwszy, gdy wracali do samochodu z torebkami z McDonalda.

– Naprawdę wtedy myślałam, że zastrzelił moich kolegów. Na własne oczy widziałam, jak zostali przedziurawieni i padli martwi. A okazało się, że to nieprawda. Nie mogę tego zrozumieć.

Simonsen jej wierzył. Przypuszczalnie była przekonana, że widziała to, o czym im powiedziała zaraz po tym, jak opuściła klasę. W sytuacjach stresowych mózg potrafi tworzyć swoje własne obrazy. Próbował jej to wyjaśnić, ale bez powodzenia.

– Czy to dlatego zastrzeliliście Roberta? Z powodu tego, co wam powiedziałam?

– Absolutnie nie. Zastrzeliliśmy go, bo nie było innego wyjścia. To nie miało z tobą nic wspólnego.

Zerknął na nią z ukosa i zorientował się, że mu nie wierzy. Porzuciła jednak ten temat.

– Przepraszam za to wszystko, co o panu mówiłam w knajpie – powiedziała.

Wyśmiał to, dobry Boże, przecież wielokrotnie słyszał znacznie gorsze rzeczy.

Gdy wsiedli do samochodu, ponownie się odezwała:

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której zapomniałam.

– Opowiedz.

– To trochę... sama nie wiem. Może powinnam poczekać.

Domyślił się, gdy się zarumieniała.

– Aż porozmawiasz z kobietą?

– Tak, nie... właściwie to wszystko jedno. Kiedy miałam wyjść do Jørgena i gdy robiono mi zdjęcie, ważne było, żebym była owłosiona. Nie mogłam być ogolona w intymnym miejscu, jeśli rozumiesz, o co chodzi. Musieliśmy poczekać, aż... no, aż tak się stanie.

– Interesujące – odparł Simonsen i naprawdę tak pomyślał.

* * *

Fakt, że Maja Nørgaard nie była jedyną dziewczyną, którą Tobias Juul wypozyczał zarówno Jørgenowi Kramerowi Nielsenowi, jak i innym mężczyznom, nie budził u nikogo z wydziału zabójstw najmniejszych wątpliwości. I w tym świetle nieuzasadnione napaści na listonosza w 1996 roku okazały się nie takie bezpodstawne.

Kobietę, której Simonsen szukał, spostrzegł na ławce w najodleglejszym kącie placu zabaw. Siedziała, przeglądając jakiś kobiecy magazyn, drugą ręką huśtała dziecięcy wózek. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i uśmiechała się do dziewczynki leżącej na brzuchu w piaskownicy i energicznie kopiącej łopatką w piasku.

Usiadł na ławce obok niej. Zerknęła na niego, po czym wróciła do lektury. Pogrzebał w kieszeni, szukając swojej legitymacji, ale zirytowany stwierdził, że jej zapomniał. Po chwili przedstawił się nieśmiało i wyjął:

– Niestety zapomniałem swojej legitymacji.

Kobieta odłożyła czasopismo pod wózek, po czym zdjęła okulary i starannie schowała je do futerału, który trzymała w torebce. Na koniec głęboko westchnęła.

– Rozpoznaję pana z telewizji, zakładam, że chodzi o Tobiasa Juula? – powiedziała.

– Częściowo tak.

– Tobias jest najgorszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Wiele lat zajęło mi uporanie się ze wspomnieniami. Mimo to zrobiło mi się przykro, gdy zobaczyłam w telewizji, że nie żyje. To dziwne, bo bardzo go nienawidziłam.

– Kiedy go pani poznała?

– Minęło już sporo czasu, ponad dziesięć lat. Miałam siedemnaście, gdy postanowiliśmy razem zamieszkać, a teraz mam dwadzieścia dwie, więc, więc sam może pan to policzyć. Czy mój mąż dowie się o... tamtym czasie? Wolałabym tego uniknąć.

– Jestem mistrzem dyskrecji, więc nie ma się pani czego obawiać. Mieszkaliście razem, pani i Tobias?

– Tak, przez dwa lata. Ale nieoficjalnie, bo nadal byłam zameldowana u rodziców. Powie mi pan, jak mnie znalazł?

– Zgadłem. Pani ojciec dokonał napaści na listonosza piątego marca dziewięćdziesiątego szóstego roku.

– Tak, ten nieszczęśnik nazywał się Jørgen Nielsen. To było okropne i stało się z mojej winy. On sam zresztą zmarł pół roku temu, czasami o nim myślę.

Simonsen poinformował ją krótko o okolicznościach śmierci i poprosił, aby własnymi słowami opowiedziała, co się wtedy działo. Jej opowieść w dużym stopniu pokrywała się z relacją Mai Nørgaard, z wyjątkiem tego, że jej Nielsen nie odesłał do domu. Przez dwa lata odwiedzała go regularnie w ostatnią niedzielę nieparzystego miesiąca. Dostawała cztery tysiące koron za każde spotkanie, aż do chwili, gdy jej ojciec przypadkowo dowiedział się o tych wizytach.

– Od kogo? – dopytał Simonsen.

– Od sąsiadki, takiej starej, wścibskiej plotkary. Wiem, że ona już nie żyje.

– I nie musiała pani robić nic innego poza rozbieraniem się?

– Zupełnie nic. Właściwie mogłam tam robić wszystko, na co przyszła mi ochota. Często było naprawdę miło, a ja przyzwyczaiłam się do tej nagości, zresztą Tobias w innych miejscach zmuszał mnie do rzeczy, które były znacznie gorsze. Czasami trochę marziałam, ale to była jedyna niedogodność.

– Nielsen nigdy pani nie podrywał?

– Nigdy. Nie zachowywał się też obscenicznie ani w ogóle nic w tym stylu. Jednak wydaje mi się, że musiał mieć z tego jakąś seksualną satysfakcję.

– Zapytała go pani, dlaczego to robi? Zakładam, że z czasem zdążyliście się dość dobrze poznać.

– Tak właśnie było. Kupował mi prezenty urodzinowe i świąteczne. To było wzruszające. Ale nie, nigdy go nie zapytałam, co mu daje moja obecność. Natomiast podczas jednej z ostatnich wizyt pokazał mi strych i mogłam się tego mniej więcej domyślić. Wydaje mi się, że byłam swego rodzaju dublerką tej dziewczyny z góry, chociaż nigdy mi o niej nie opowiedział. Jednak strych był jego wielką tajemnicą i musiałam mu obiecać, że nigdy jej nikomu nie zdradzę, i nie zrobiłam tego aż do teraz, ale chyba już był pan tam na górze?

* * *

Zadzwoił do duchownego zaraz po tym, jak opuścił plac zabaw i zamówił taksówkę. Trzy kwadranse później dotarł do willi, w której mieszkał Nielsen. Ksiądz wprowadził go po schodach do mieszkania na pierwszym piętrze, wyjaśniając po drodze:

– Zajęło nam sporo czasu, żeby znaleźć tę klapę. Pomógł mi mężczyzna, który tu mieszka, ale niestety musiał pójść do pracy, zanim się pan zjawił. Przez pewien czas sądziliśmy, że nie ma żadnego wejścia, ale w końcu je znaleźliśmy. Jørgen wbudował klapę tak, że przypomina typowy panel sufitowy w łazience. Jako pierwszy dostałem się na górę i gdy

włączyłem światło i zobaczyłem, co tam urządził, pomyślałem, że najlepiej będzie, jak zejść na dół i na pana poczekam.

Strych robił obezwładniające wrażenie. Simonsen nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego i poczuł się dziwnie wyobcowany. Wspiął się na górę, zrobił kilka kroków, zatrzymał się i naszły go głupie myśli, czy nie powinien ściągnąć butów. Z przygnębieniem zdał sobie sprawę z tego, kim teraz jest: intruzem, nieproszonym gościem, podglądaczem, który wymusił dostęp do duszy nieżyjącego mężczyzny.

Pomieszczenie zostało wyłożone lusterkami. Kwadratowymi, oszlifowanymi małymi lusterkami, nie większymi niż dłoń, ułożonymi skrupulatnie w taki sposób, że pokrywały wszystkie powierzchnie: skośne ściany aż po sam dach oraz dwie boczne, a także podłogę. Zwisający z góry rząd świetlówek wysyłał silne promienie światła, tworząc niekończące się refleksy, które chciwie kopiowały każdego, kto odważył się wtargnąć do środka. W środku nie było żadnych okien ani mebli.

Najbardziej niezwykle okazały się zdjęcia. Policzył je, aby nabrać dystansu. Było ich łącznie osiemnaście, wszystkie w rozmiarze plakatu i w ramach, dopasowane pod względem wysokości i szerokości w taki sposób, że co do milimetra pokrywały powierzchnię kilku luster. Motyw był ten sam, a jednak każde ze zdjęć wydawało się unikatowe. Niekończąca się wariacja na ten sam temat: świetliste góry po horyzont pod lodowatym błękitem nieba ze zmieniającym się światłem słonecznym. I do tego dziewczyna. Wszędzie ta dziewczyna. To był jej pokój. Jej piękna twarz znajdowała się na każdym plakacie na tle nieba – kolaż wykonano z techniczną precyzją w taki sposób, że w zależności od kąta spoglądania na niego, mogła bawić się w chowanego ze swoim obserwatorem. Raz pojawiała się wyraźnie uśmiechnięta, a kilka sekund później, gdy odbiorca nieznacznie obrócił głowę, znikwała w chmurach, by jednocześnie wyłonić się w jednym ze swoich niezliczonych odbić.

Gdy podszedł bliżej, dostrzegł, że każdy z plakatów składa się z różnych fotografii, ale połączono je tak, że nawet z odległości kilku centymetrów musiał wyteńczyć wzrok, żeby je odnaleźć. Wtedy wyjaśniła się także tajemnica intrygującego spojrzenia dziewczyny, które z określonej per-

spektrywy zmieniało się pod wpływem zimnych promieni słońca. W lustrze pokrywającym tylną ścianę wyłobiono dziesiątki mikroskopijnych dziurek, które sprawiały, że jej spojrzenie nabierało niezwyklej intensywności, jakby w jej źrenicach kalejdoskopową nieprzewidywalnością iskrzył się diamentowy pył.

Simonsen zamknął oczy i na krótką chwilę przeniósł się do czasów, które dawno już minęły. Po chwili powrócił myślami, a w powietrzu zawisło jego ciche pytanie:

– Kim ty właściwie jesteś?

Rozdział 2

Odkrycie zdjęć na strychu było oczywiście ważne dla Konrada Simonsena w kontekście jego śledztwa w sprawie listonosza – bo tak je coraz częściej nazywał. Jednocześnie obraz tej nieznaney dziewczyny przyniósł osobisty pozytywny skutek uboczny, gdyż zaczął wypierać inny widok, który od czasu operacji prześladował inspektora bardziej, niżby sam tego chciał.

Jego córka Anna Mia i Hrabianka towarzyszyły mu, gdy obserwował na monitorze, jak rurka prowadzona ręką rezydenta, doktora Sheara, poszerza jego mocno zwapnione tętnice wieńcowe. To było jak film, którego powtórki nie chciał oglądać: ciało obce grzebiące w jego sercu, prowadzone obcymi dłońmi – całkowita utrata kontroli. Miał szczerą nadzieję, że następny zawał okaże się szybki i nadejdzie bez ostrzeżenia. Bum, koniec i po wszystkim. To o wiele lepsze, niż po raz kolejny poczuć w sobie instrumenty doktora Sheara.

Kilka dni później ten sam lekarz dokładnie omówił stan zdrowia Simonsena, wspierany hasłami rzucanymi przez Hrabiankę i Annę Mię. Całość wywodu gdzieś uleciała, ale do inspektora przyłgnęły długie, nieprzyjemne określenia: „uszkodzenie tylnej ściany”, „zapaść tętnicy sercowej”, „poszerzenie balonem”, „problemy z krążeniem”, „płuca palacza”, „zdiaгноzowana cukrzyca”, „dozowanie leków”, „okres rekonwalescencji”. Liczył, że usłyszy od lekarza obco brzmiącą łacinę, ale tak się nie stało. Anna Mia zanotowała te wszystkie okropieństwa, Hrabianka dyskutowała z lekarzem, potakując z poważną miną i zadając kolejne, istotne pytania. On sam się nie odzywał. Siedział w szlafroku na wózku. Kto by umiał zachowywać się racjonalnie w szlafroku? Poza tym potrzebował czasu, żeby oswoić się z diagnozą. Pod warunkiem, że tego czasu mu jeszcze zostało.

Jako prezent pożegnalny otrzymał nad wyraz pogładowe kolorowe zdjęcie, przedstawiające jego fatalnie zniszczone tętnice. Lekarz ochoczo

wskazywał długopisem, co jest żywą tkanką, a co martwą. Obraz: kiepsko poskładana mozaika w czerwono-czarnych barwach z licznymi małymi niebieskimi plamkami oznaczającymi zdradzieckie kryształki wapnia, które nabudowywały się warstwa po warstwie, żeby któregoś pięknego dnia zablokować żyły na dobre.

Od tego czasu obraz mozaiki odwiedzał go regularnie, wprawiając w ponury nastrój. Najgorzej było tuż przed zaśnięciem i musiał zwalczać chęć, by zejść na dół i porozmawiać o tym z Hrabianką. Jednak zdecydował się zachować ten niepokój dla siebie – ostatnia rzecz, o jakiej marzył, to żeby uznała go za żalosego – a poza tym co zmieniłaby taka rozmowa? A teraz problem sam się rozwiązał. Nie zasypiał już z obrazem mozaiki na siatkówce, tylko z wizerunkiem dziewczyny z lustrzanej galerii listonosza, zastanawiając się, kim była i co mu chciała przekazać. To oznaczało sporą poprawę.

Jeśli chodzi o postępy w śledztwie, to sprawa stała w miejscu. Fakt, że Nielsen płacił młodym dziewczynom za chodzenie nago po mieszkaniu i zbudował na strychu dziwną lustrzaną galerię, wydawał się wystarczającym powodem, by na razie wstrzymać się z oddaniem raportu. Ale od tej decyzji jeszcze daleka droga do tego, aby poprosić o dodatkowe środki, które mógłby spożytkować na włączenie do śledztwa innych funkcjonariuszy. Nadal nie mieli nic, co wskazywałoby na to, że śmierć listonosza nastąpiła w wyniku przestępstwa. Simonsen musiał poczekać na wyniki badań kryminalistycznych i ocenę zdjęć z telefonu, dokonaną przez Kurta Meslinga, a to mogło jeszcze potrwać. Jego sprawa nie otrzymała wysokiego priorytetu, co stanowiło dla niego pewne novum. Nieustannie sobie powtarzał, że to bardzo zdrowa sytuacja, co nie zmieniało faktu, że uważał ją za niezwykle irytującą. Raz jeden spróbował przyspieszyć sprawę, gdy przypadkowo wpadł do biura Pedersena, zamienił z nim luźno parę zdań i od niechcienia zapytał:

– Słuchaj, nie mógłbyś zadzwonić do Meslinga i przekonać go, żeby skupił się trochę bardziej na mojej sprawie? Dopóki nie dostanę od niego odpowiedzi, nie ruszę dalej.

Pedersen najpierw go wyśmiał, po chwili zaś po prostu odmówił.

– A ty byś to zrobił na moim miejscu?

Simonsen poszedł sobie wkurzony i rozdrażniony. A co gorsze, natknął się jeszcze na korytarzu na zaganianą Hrabiankę. Zaczął narzekać, choć nie miał takiego zamiaru. Zachęciła go, aby zrobił sobie parę dni wolnego, i pospieszyła dalej.

Dzień upłynął na przesłuchaniu Gormsena, co zajęło kwadrans i nie dało żadnych pozytywnych rezultatów, bo okazało się, że telefon, którym Gormsen sfotografował martwego listonosza, padł po przypadkowym wyłączeniu w muszli klozetowej. Wydział techniki operacyjnej musiał się więc zadowolić papierowymi odbitkami, które zresztą już posiadał. Zeznania policjanta pokrywały się z zebranymi przez Simonsena zeznaniami innych świadków. Jednocześnie Gormsen okazał się nieznośnie irytujący i zdaniem Simonsena był zdecydowanie przemądrzały, więc gdy okazało się, że funkcjonariusz nie może wnieść nic nowego do sprawy, inspektor pożegnał go bez entuzjazmu i miał nadzieję nie spotkać go nigdy więcej.

Później zadzwonił do Berg. Zlecił jej zebranie ogólnych informacji na temat wizerunku Nielsena, pozostawiając swobodę w doborze szczegółów. Przynajmniej miała jakieś zajęcie. Przyznała, że jest jeszcze ze swoim zadaniem daleko w polu, ale ucieszyła się, że zadzwonił. Poczul ulgę, bo obawiał się, że funkcjonariuszka zareguje inaczej. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że zostały mu dwie godziny, zanim ktoś odwiezie go do domu.

* * *

W sobotę wybrał się na swoją codzienną przechadzkę, tym razem w towarzystwie córki. Anna Mia była w znakomitym humorze. Oboje mieli na sobie sportowe ubranie i buty do biegania, kropił wrześnieowy ciepły deszczyk, a dzielnica willowa, którą podążali, zdawała się pogrążona we śnie. Minał ich wysłużony chevrolet z czworgiem młodych ludzi w środku, a okrzyki na moment zakłóciły panującą wokół ciszę. Anna Mia pomachała im z zadowoleniem, a oni odwzajemnili gest, po czym dodali gazu.

– Miło się trenuje w twoim towarzystwie. Od dawno się na to cieszyłam.

Jej nastrój okazał się zaraźliwy i Simonsen się uśmiechnął. On też coraz bardziej lubił te swoje spacerunki, choćby dlatego, że był to jedyny czas w ciągu doby, gdy nie tęsknił za paleniem. Nawet gdy zasypiał, nachodziła go ochota na papierosa, w każdym razie tak to odbierał.

– Dla ciebie to przecież żadne wyzwanie, jesteś młoda, sprawna i rozsądna.

– Liczy się każda drobna zmiana. Zauważyłeś, że ruch przychodzi ci z coraz większą łatwością?

– Nie, w zasadzie nie.

– Gdy zaczynałeś, nie potrafiłeś iść i mówić jednocześnie i już nie rżysz jak świnia.

Miała rację. Nie pomyślał o tym.

– Świnie nie rżą, robią to konie, ewentualnie krowy i jelenie, ale nie świnie.

– I szefowie wydziału zabójstw.

– Ale nie ten.

– Poczekaj, aż zaczniemy razem biegać. Przyjdzie na to czas. Powiedz mi, jak ci idzie w pracy? Dobrze było wrócić? Ludzie są dla ciebie mili? Czy nasza oziębła szefowa dała ci już jakąś sprawę?

Dla zasady upomniał ją, aby wyrażała się przyzwoicie o komendantce, a potem bez większego entuzjazmu zreferował jej sprawę listonosza.

– Zabójstwo, no proszę, proszę. Sądziłam, że zaczniesz od czegoś lżejszego. Ukazało się coś na ten temat w prasie?

– Do zdarzenia doszło ponad pół roku temu i listonosz prawdopodobnie nie został zabity, ale to właśnie mam wyjaśnić, jeżeli zdołam.

– A teraz zbierasz dowody, żeby go ekshumowali?

– To niezupełnie tak działa. A poza tym został skremowany.

– Zadanie wydaje się niewykonalne. Co chcesz zrobić?

– Próbuję sobie wyrobić ogólny ogląd sytuacji.

– Tato, kim jest Rita?

Typowe zagranie Anny Mii – zmieniała temat bez żadnego wstępu. Jej matka miała tę samą cechę, którą uważał za potwornie irytującą, ale

w przypadku córki tak bardzo mu nie przeszkadzała.

– Dlaczego o to pytasz, dzieciaku?

– Najwyższy czas, byś przestał mnie tak nazywać. Po prostu mów do mnie po imieniu.

Miała rację, nie była już dzieckiem. Trzeci rok w szkole policyjnej, a do tego sporo kursów zaliczonych na prawie, ile dokładnie, nie pamiętała. Wiedział jedynie, że brała udział w projekcie pilotażowym, który zapewniał jej czas i wsparcie na studiach, a jednocześnie pozwalał kontynuować naukę w szkole policyjnej. Poza tym miała bardzo rozsądne podejście do życia. Często uważał, że o wiele za rozsądne.

– No, przepraszam. Dlaczego o to pytasz, Anno Dziecino Ptaszyno Mio? Zignorowała jego przekomarzanie.

– Nathalie twierdzi, że gdy się wybudziłeś, nazwałeś ją Ritą.

Anna Mia konsekwentnie nazywała Hrabiankę jej prawdziwym imieniem. Nikt inny tego nie robił. Konrad spróbował zakończyć temat niewyraźnym chrząknięciem.

– Nathalie na pewno sama cię o to zapyta.

– Tak, wyobrażam to sobie.

Krótko potem znowu przystąpiła do przepytywania.

– Dlaczego nigdy nie chcesz mówić o sobie? Tak naprawdę o sobie. O tym, co czujesz.

– Czuję ochotę na papierosa, a do tego niechęć do wszystkiego, co jest niskotłuszczowe, z wolnego wybiegu i ekologiczne.

– Jasne, jak zwykle jesteś nieznośny.

– Bzdura. Ty mi też nic nie mówisz o swoich partnerach.

Powinien był się ugryźć w język, ale mleko już się rozlało. Nie dało się ruszać energicznie i jednocześnie myśleć. Anna Mia zareagowała niczym uwolniona sprężyna.

– Masz dwie partnerki? Daj spokój, mogłabym przysiąc, że to niemożliwe.

– Kobieto, nie przesadzaj. Nie wiem nawet, czy mam choć jedną partnerkę. Czterdzieści lat temu znałem kogoś o imieniu Rita i to tyle. Nie pa-

miętam ani grama więcej, poza tym to bez znaczenia.

To było kłamstwo. Od kiedy się przebudził, myślał o niej każdego dnia, jakby do jego serca otworzyły się jakieś drzwi, wcześniej zamknięte na głucho. Początkowo sądził, że jej obraz ponownie zniknie, ale stało się na odwrót. Po tej historii z dziewczyną ze strychu wspomnienia jeszcze częściej go nachodziły. Tak jakby te dwie kobiece postaci wzajemnie się uzupełniały. Widział jej twarz, piegi, figlarne oczy, zadarty nos, nieco krzywe zęby – a jeśli miał szczęście, nawiedzała go także w snach.

Jego córka postanowiła tym razem odpuścić, ale dodała bardzo rozsądnie:

– Skoro pamiętasz jej imię, musisz pamiętać coś jeszcze. Musiała wywrzeć na tobie spore wrażenie, jeżeli budzisz się po czterdziestu latach i za nią tęsknisz.

Udało mu się zignorować jej pytanie, bo stanowczo zasłaniał się słabą pamięcią, aż w końcu się poddała, lekko poirytowana. Bronił się tym samym argumentem co wcześniej.

– Ty mi też nie opowiadasz o swoich partnerach.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż nagle powiedziała:

– Podczas zimowych ferii poznałam kogoś o imieniu Kim. Studiuje pedagogikę. Słusznego wzrostu, ładna figura, jędrne pośladki i pełne gracji ruchy. Wspólny wyjazd na narty i...

Zatkał sobie uszy dłońmi.

– Daj spokój. Nie chcę nic o nim wiedzieć.

– A kto powiedział, że chodzi o mężczyznę? – Podniosła głos.

– Nie chcę o tym słuchać, nawet gdyby miało chodzić o lampę.

Kończyli swoją przechadzkę i Anna Mia wróciła do tematu pracy ojca.

– Ta nowa sprawa wydaje się nudna, ale co słyszeć u twoich ludzi? Ucieszyli się z twojego powrotu?

– Przykro mi, że moja praca cię nie bawi. Gdy spotkam listonosza w zaświatach, na pewno mu przekażę, że miał nudną śmierć.

– Tato, nie żartuj sobie z takich spraw.

Zatrzymała się, on też, trochę na siebie zły.

– Jest mi cholernie przykro, gdy tak mówisz.

– Przepraszam, nie chciałem ci sprawić przykrości, ale próbuję się bronić. Czasami nie jest mi łatwo. Mam wrażenie, że zabrakło mi okresu przejściowego między czasem gdy leżałem i walczyłem, żeby się wybudzić, a tym tu i teraz, gdy jestem ciągle zależny od pomocy innych, a jednocześnie wszystko wydaje się jakby nowe i jakieś inne... nie wiem, jak mam ci to wyjaśnić... chyba oczekiwałem jakiejś przerwy, ale jej nie miałem.

– Nie cieszy cię, że możesz liczyć na pomoc przyjaciół?

– Owszem. Sam bym sobie z tym nie poradził i niekiedy jestem naprawdę wzruszony, ale problem polega na tym, że nie potrafię tego okazać. Jak dotąd się tego nie nauczyłem.

– Naprawdę mam wrażenie, że teraz jesteś na najlepszej drodze.

– Łatwo ci mówić. Gdy byłem w twoim wieku, nigdy od nikogo nie potrzebowałem żadnej pomocy.

– Wydaje mi się, że mieszasz różne rzeczy. Po prostu potrzebujesz kogoś do kochania.

– Mam kogoś do kochania.

– Tak, wiem, no to może jeszcze kogoś.

Trzymając się za ręce, szli ścieżką w stronę pałacu Hrabianki. Ścieżka była wąska, ale nie wolno było nadepnąć na trawę. Bez powodu, tak po prostu ustalili. Posuwali się naprzód niczym para rozbawionych dzieciaków, aż w pewnym momencie Anna Mia wyprzedziła ojca o pół kroku, nie puszczając jego dłoni.

* * *

We wtorek Berg zreferowała mu swoje ustalenia na temat Nielsena. Nie było ich zbyt wiele i być może wykonała niepotrzebną pracę, dlatego Simonsen miał problem z okazaniem zainteresowania referowanemu tematowi, zwłaszcza że omówienie było dość chaotyczne. Oględnie mówiąc. Pauline stanęła przy tablicy i starannie zapisała dwa hasła tym swoim bezosobowym charakterem pisma. Matematyka i fotografowanie. Każde z nich zakreśliła.

– Nie pojedę kolejny raz do tej hali magazynowej – powiedziała. – To okropne miejsce, napawa mnie strachem.

– Nie będzie takiej potrzeby.

Stała w bezruchu, wpatrując się pustym wzrokiem przed siebie. Simonsen zawahał się, czy nie powinien jej zapewnić, że ją rozumie, jakoś pocieszyć czy coś w tym stylu. Po chwili jednak sama wróciła do tematu listonosza.

Wiele z książek pozostawionych przez Nielsena dotyczyło matematyki i powiązanych z nią zagadnień. W swoich rozlicznych notatnikach rozwiązywał zadania matematyczne, sporządzał staranne obliczenia, robiąc odręczne notatki, posługując się przy tym wiecznym piórem i bibułą. Były to w dużej mierze równania różniczkowe, zadania z rachunku prawdopodobieństwa i całkowania numerycznego. Zeszyty nabywał w księgarni przy Hvidovrejevns Butiktorv, której właściciel doskonale go pamiętał. Okładki zeszytów od czasu do czasu się zmieniały, więc ich wzór mógł wskazywać na czas zakupu, i chociaż właściciel sklepiku nie dałby sobie za to uciąć głowy, to twierdził z przekonaniem, że pierwsze zeszyty zostały zakupione jeszcze w latach siedemdziesiątych, o ile nie wcześniej. Poradził Berg, żeby skontaktowała się z producentem.

Policjantka odwiedziła również Uniwersytet Kopenhaski i pokazała notatki wykładowcy matematyki, który uznał, że w liceum Nielsen dostałby piątki. Naukowiec nie dopatrzyl się większych ambicji w podejmowaniu intelektualnych wyzwań, a nawet stwierdził, że uczeń przez niemal czterdzieści lat nie zrobił żadnych postępów. Jego wyliczenia należało więc uznać za sposób spędzania wolnego czasu porównywalny z rozwiązywaniem krzyżówek czy układaniem puzzli.

Odhaczyła matematykę, uznając ten punkt za omówiony. Simonsen stłumił ziewnięcie, a Berg dodała:

– Ojej, o mało nie zapomniałam. Te paragony z Netto... chodzi o tę liczbę, która nic nam nie mówiła, pamiętasz?

– Tak, oczywiście. Nie mam sklerozy.

Zaśmiała się, a to nieco rozładowało atmosferę.

– Skoro tak mówisz. No, ale ta liczba to po prostu długość paragonu w centymetrach. Raz do roku listonosz przeprowadzał analizę regresji dotyczącą łącznej kwoty na paragonie i... – Urwała na widok jego miny.

– Nie jest to zbyt interesujące.

– No nie.

Przeskoczyła do kolejnego punktu. Listonosz sam wywoływał zdjęcia, miał do dyspozycji własną ciemnię. Rozmawiała o tym z monterem instalacji sanitarnej.

– O ile mi wiadomo, to miało miejsce ponad sześć lat temu w związku z przeprowadzką Nielsena z parteru na pierwsze piętro. Często odwiedzał sklep fotograficzny, położony przy Hvidovrevejens Butiktorv, no, właściwie tuż obok księgarni. Sklep nazywa się Foto-Kompan.

Wspomniała, że właściciel sklepu i listonosz często ucinali sobie na zapleczu sklepu pogawędki o fotografowaniu i wywoływaniu zdjęć przez profesjonalistów. Poza tym Berg opracowała też datowaną listę artykułów fotograficznych, które Nielsen zakupił w ciągu ostatnich kilku lat. Następnie odhaczyła kolejny punkt – „fotografowanie” – i na wpół pytającym tonem powiedziała:

– To nie było zbyt dobre. – Zdawała sobie z tego sprawę.

– No nie.

– Praca w pojedynkę nie jest łatwa.

Przyznał jej rację. Poza tym dotarło do niego, że to on jest odpowiedzialny za sprawę i powinien dać Pauline dokładniejsze wytyczne. Po prostu nie sądził, że to będzie konieczne, jednak nie wspomniał nic na ten temat. Przeniósł wzrok na tablicę, żeby się zorientować, czy da się wycisnąć jakieś przydatne informacje z tej bezużytecznej pracy. Nie było to proste. Zapytał jeszcze o ujęcia zdjęć dziewczyny ze strychu i krajobrazów, ale Berg nie znała odpowiedzi. Przeszedł do drugiego punktu.

– Wiesz może, kiedy zdał maturę?

– Nie, ale to z pewnością było pod koniec lat sześćdziesiątych.

– Jakie dostał oceny z matematyki na maturze? Udało ci się to ustalić?

– Nie, bo podczas przeszukiwania nigdzie nie znalazłam jego świadectwa dojrzałości. Musiał je spalić.

– Jak to spalić? Po co, do diaska, miałby to robić?

– Na wiedzy o społeczeństwie oglądaliśmy kiedyś taki film, to było też w czasach licealnych, moich oczywiście, no i była tam mowa o latach sześćdziesiątych i buncie młodzieży czy coś w tym stylu. Był taki rok, w którym świeżo upieczeni studenci palili swoje świadectwa maturalne na Kongens Nytorv w ramach protestu przeciwko czemuś... systemowi edukacji, wojnie w Wietnamie czy w geście solidarności z robotnikami, skąd mam to wiedzieć? Nie mam, do cholery, pojęcia, o czym wtedy myśleli. Z pewnością byli pod wpływem, nie chcieli nawet zakładać czapek studenckich.

Jej negatywne nastawienie sprawiło, że Simonsen – ku własnemu zdziwieniu – poczuł ukłucie irytacji. Co ona mogła wiedzieć o tamtych czasach? Nawet jej wtedy nie było na świecie.

– Sprawdź, czy można dotrzeć do jego świadectwa maturalnego. W Ministerstwie Edukacji, w Archiwum Państwowym. Ustal, gdzie chodził do liceum. Chciałbym też mieć kopię jego testamentu.

– Wszystko po to, żebym miała coś do roboty? – zapytała, notując.

– Nie, mam przecucie...

Jego słowa zawisły w powietrzu, ale nie miały nic wspólnego z prawdą. Nie chodziło o przecucie, a rzeczywiście o to, by zapewnić Pauline jakies zajęcie, chociaż to rzecz jasna nie należało do jego obowiązków. Nie skomentowała jego słów, za to niespodziewanie zaproponowała:

– Odwieźć cię dzisiaj do domu?

Przyjął tę propozycję.

Gdy godzinę później zmierzali w stronę samochodu, poskarżyła się:

– Tak bardzo chciałabym dostać swoją własną, samodzielną sprawę. Jak ty i wszyscy pozostali.

Ograniczył się do potakiwania i pomrukiwania, chociaż mógłby powiedzieć coś innego. Na przykład, że sprawy w wydziale zabójstw nie są przydzielane po to, aby sprawiać przyjemność funkcjonariuszom, albo że

Bergdopiero co wykazała się ewidentnym brakiem orientacji w sprawie, co nie stawiało jej w pierwszym szeregu osób, którym przydzielano kierowanie śledztwem. Zamiast tego zapytał tylko jakby od niechcenia:

– Może wybierzemy nieco okrężną drogę i pójdziemy na spacer? Chciałbym coś zobaczyć.

Zawahała się.

– Chciałabym, jasne, ale nie bardzo wiem...

– Nie mogę się doczekać dnia, kiedy sam wcisnę pedał gazu.

– Tak, doskonale cię rozumiem, chodzi o to, że...

Nie mogła się zdecydować, chciała mu ustąpić, lecz najwyraźniej obawiała się konsekwencji.

– Rozumiem, że nie masz w tej chwili ochoty wykonywać poleceń.

– Nie o to chodzi.

– Boisz się, że padnę trupem?

– Tak.

Nie mógł jej mieć za złe tej szczerości.

– Pauline, posłuchaj... Nic takiego się nie stanie. Spójrz na mnie. Od lat nie byłem w lepszej formie.

Oboje wiedzieli, że przesadza.

– To potrwa najwyżej kwadrans i nikomu o tym nie powiesz. Nawet Hrabiance, a raczej na pewno nie jej.

– Słowo harcerza.

Jechała zgodnie z jego wskazówkami i mieli szczęście, bo znaleźli miejsce parkingowe. Gdy przecinali Goethersgade, chwyciła go pod ramię i nie puściła, dopóki nie przeszli na drugą stronę. Darował sobie komentarz. Ucięli sobie pogawędkę, idąc wzdłuż kutego żelaznego ogrodzenia parku Kongens Have.

– To zamek Rosenborg, prawda? – Wskazała budynek wolną ręką, żeby nie było wątpliwości, o czym mówi.

– Tak, bez wątplenia.

– Wiesz, że od czasu do czasu miewam ataki paniki? – zapytała nagle.

– Tak, i zdaję sobie sprawę, że to nic przyjemnego.

– Nikt, kto ich sam nie doświadczył, nie jest w stanie zdać sobie z tego sprawy. To jest okropne, ale zawsze mam przy sobie tabletkę. Truxal, trzydzieści miligramów, i dopiero po dwudziestu minutach od połknięcia jestem w stanie się ruszyć, a potem zasnąć. Problem polega na tym, że jeżeli nie mam jej przy sobie, dopada mnie lęk przed lękiem, dlatego przynajmniej pięćdziesiąt razy dziennie upewniam się, że jej nie zapomniałam. Dosłownie.

Domyślił się, do czego zmierza, i przejął inicjatywę.

– Chciałabyś, żebym ja też miał przy sobie jedną z twoich tabletek? Na wypadek gdybyś jej potrzebowała?

– Nie miałbyś nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie. Włożę ją do portfela, noszę go zawsze przy sobie.

Wręczyła mu niewielką kulkę z folii aluminiowej.

– Moglibyśmy zajrzeć do środka, zanim ją schowasz?

Ostrożnie, pod jej czujnym okiem, rozwinął folię. W środku znajdowała się czarna tabletką.

Przez kolejnych parę minut szli w milczeniu. Oboje czuli, że trudno im ponownie nawiązać rozmowę. Wreszcie odezwała się Pauline:

– Powiesz mi, gdzie właściwie idziemy?

Właśnie odbili w lewo, kierując się w Kronprinsessegade, nadal mając po lewej park Kongens Have.

– Nie mamy konkretnego celu. Jesteśmy tam, gdzie powinniśmy. Była-byś tak miła i zostawiła mnie na parę minut samego?

Berg była nieco zdziwiona, ale nie zadając pytań, puściła ramię Simonsena, a on podszedł do tego masywnego parkowego ogrodzenia z kutego żelaza. Ostrożnie zacisnął obie dłonie na prętach i się zamyślił.

To tutaj Rita grała na gitarze i śpiewała dla niego pewnego letniego wieczoru, gdy poza nim nikogo innego nie było. Przyniosła kanapki i koc, a on kupił cztery piwa. Miała piękny głos, ale nie potrafiła grać na gitarze, a mimo to on całkowicie się w niej zatracił, zwłaszcza tamtego wieczoru. Jej piosenki były proste, melodyjne i zawsze po angielsku.

Stop complaining, said the farmer,

*Who told you a calf to be?
Why don't you have wings to fly with,
Like the swallow so proud and free?*

Próbował jej wtórować, a ona śpiewała cicho, żeby dało się usłyszeć również jego głos. Na koniec zapytał ostrożnie, co oznacza słowo *complaining*. Przetłumaczyła mu, ale jej pobłażliwy uśmiech go zabolął. Zamierzała zdać maturę, podobnie jak jej przyjaciele, o ile już tego nie zrobili i nie studiowali teraz na uniwersytecie. Wszyscy byli lepiej wykształceni od niego, mieli większe możliwości, więc dlaczego, do licha, nie pilnowali teraz swoich studiów? Nie potrafił tego pojąć.

Właśnie tutaj rozmawiał z Ritą po raz ostatni, potem już nigdy jej nie spotkał. Całowali się przez ogrodzenie. Był wtedy w mundurze, więc ludzie się przyglądali – funkcjonariusz i hipiska całujący się w miejscu publicznym, niecodzienny widok w tamtych czasach. Jej przyjaciele siedzieli po drugiej stronie ogrodzenia, pokrzykując od czasu do czasu. Byli już upaleni, ona zapewne też, chociaż przestała być jedną z nich. Wybrała inną drogę – polityczną – i przyszła, aby się z nimi pożegnać. Grupa rozłożyła się na trawniku, zaledwie kilka metrów od szyldu z informacją, że zabrania się siedzenia na trawie. Fajka z haszyszem nadal wśród nich krążyła. Cała sytuacja wyglądała beznadziejnie.

Ocknął się z zamyślenia i wrócił do Pauline, która ponownie ujęła go pod ramię. Poczul, że powinien się jakoś wytłumaczyć.

– Ostatnio miewam sny związane z przeszłością. Brzmi to może dość dziwnie, ale dla mnie ma sens.

– Wcale nie uważam, że to dziwne. Ani trochę.

– Dziękuję. Miło usłyszeć, że jestem normalny.

– Sama mam niekiedy sny jak z filmów animowanych albo nawet takie czarno-białe.

– To dziwne, powinnaś to skonsultować z psychologiem.

– Już lecę się u dwóch psychiatrów, to musi wystarczyć.

Trąciła go biodrem. Zaśmiali się, przyglądając się niebu, tak bezchmurnemu i banalnie niebieskiemu, jakiego należało oczekiwać późnym

latem w Kongens Have.

* * *

Po dwóch dniach nareszcie nadszedł czas na sprawę Simonsena w wydziale techniki operacyjnej w Vanløse.

Rana na dłoni Nielsena stanowiła główny temat spotkania Simonsena i Kurta Melsinga w biurze tego ostatniego. Samo pomieszczenie nie wyróżniało się niczym szczególnym i pod wieloma względami przypominało gabinet inspektora, jednak za wielką przeszkloną ścianą znajdowała się sala wypełniona różnymi sprzętami, przywodzącymi na myśl wyposażenie laboratorium chemicznego, a nie placówki podlegającej Komendantowi Głównemu Policji. Nowoczesna technika kryminalistyczna korzysta z osiągnięć technologii i wymaga specjalistycznej wiedzy oraz ustawicznego dokształcania. Wśród kolegów z branży krążył taki żart, że w dzisiejszych czasach eksperci od linii papilarnych nie są już zwykłymi specjalistami, tylko doktorami od daktyloskopii, i ta tendencja dotyczyła niemal wszystkich dziedzin. Sama zmiana nazw stanowisk nie oznaczała jednak, że w ostatnim dziesięcioleciu technicy zaczęli stanowić dla śledczych większe wsparcie, niż stanowili wcześniej.

Kurt Melsing posadził swojego gościa przed okazałym monitorem komputera i bez zbędnych słów zaczął uderzać w klawisze. Słyszał ze swojej niezawodności, podobnie jak cały kierowany przez niego wydział z wysuwania niezawodnych wniosków, ale z pewnością mężczyzna miał problemy z komunikacją. Teraz też dawały o sobie znać – zaczął metodycznie wyświetlać wszystkie zdjęcia z telefonu Hansa Ulrika Gormsena i przy każdym kolejnym ograniczał się do wymówienia przyporządkowanego mu numeru. Niczym prowadzący grę w bingo, z tą różnicą, że był bardziej systematyczny. Jednocześnie regularnie bezradnie spoglądał na przeszkloną ścianę. Gdy Melsing skończył prezentację, Simonsen doszedł do wniosku, że w ciągu dziesięciu minut dowiedział się tego, co można było opowiedzieć w dziesięć sekund. Chodziło o mało zaskakujący fakt, że zdjęcia z telefonu komórkowego zostały przeniesione na komputer. Potem Melsing wyjawiał powód swojego niepokoju.

- Za chwilę przyjdzie mój współpracownik, który przedstawi szczegóły. Simonsen ograniczył się do skinienia głową.
- Cieszę się, że nie umarłeś – przyznał Melsing.
- Obaj skierowali wzrok na przeszkloną ścianę.

Po powrocie do domu w Søllerød Simonsen wspomniiał Hrabiance o problemach z komunikacją Meslinga. Leżeli na trawniku, ona z głową na jego ramieniu. Stłumił irytację i zaczął jej opowiadać o czasie spędzonym na oczekiwaniu w biurze technika.

- Siedzieliśmy tam jakiś czas, gapiąc się głupio przed siebie, aż w końcu nadeszła pomoc. Nie czekaliśmy co prawda dłużej niż pięć minut, ale wydawało się, że minęła wieczność.

- Rozumiem, to mogło być dość krępujące.

- Naprawdę go lubię, ale jest dość dziwny w obejściu. Ciągłe mnie zastanawia, jak on może kierować paruset pracownikami, a na dodatek takimi, którzy są pod każdym względem nieprawdopodobnie efektywni, podczas gdy on ledwo potrafi się przedstawić.

- Przesadzasz.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Nie powiem, bo chyba jeszcze nie jesteś gotowy na tę rozmowę.

- Czy Kurt był przy moim zawale?

- Tak.

- Poważnie?

- Oczywiście, że tak. Nic z tego nie pamiętasz?

- Pamiętam, że rano pojechałem do pracy i obudziłem się w szpitalu cztery dni później. Reszta to czarna dziura.

- Przecież większość czasu przespałeś. Mam ci opowiedzieć czy chcesz z tym jeszcze poczekać?

- Chyba już najwyższa pora.

- Byliśmy na przyjęciu pożegnalnym Poula Trolsen. Stałeś z kieliszkiem wina w jednej dłoni i kanapką w drugiej. Najpierw narzekałeś na ból w klatce piersiowej, a później też w plecach. Z trudem łąpałeś oddech,

a potem upuściła kieliszek i osunęła się na kolana. Lekarz nazwał ten twój atak *myocardial infarction*, co oznacza rozległy zawał serca. Wszyscy spanikowali, ja też. Ja i Malte wybuchliśmy płaczem, Troulsen poluzował ci krawat, Pedersen zrobił to samo ze swoim i wszyscy zaczęli pleść od rzeczy. Z wyjątkiem Meslinga. Zabrał mi torebkę, wyrzucił ją do góry dnem, znalazł telefon, wskoczył na stół, krzyknął: „Zamknijcie się”, a jego głos poniósł się po całym KG. Potem zadzwonił pod sto dwanaście, wezwał karetkę kardiologiczną i opisał twoje objawy dokładnie i płynnie niczym prawnik procesowy. Chwilę potem pojawił się wolontariusz z Czerwonego Krzyża i udzielił ci pierwszej pomocy.

KG oznaczało Komendę Główną w wewnętrznym slangu ludzi z wydziału zabójstw, więc zapewne nieco przesadziła. Jednak wniosek był oczywisty.

– Czy to znaczy, że Melsing uratował mi życie? – zapytał.

– Nie wiadomo. Ale na pewno już w karetce dostałaś coś na rozrzedzenie krwi i na uspokojenie.

– Dzięki Melsingowi?

– ...zdaje się więc, że nie zawsze ma problemy z komunikacją. Poza tym nie raz widziałam, jak całkiem dobrze sobie radził w innych, mniej dramatycznych okolicznościach.

Simonsen wysunął ramię spod jej głowy, która gwałtownie uderzyła o ziemię, po czym usiadł.

– Auć, do licha, mogłeś mnie uprzedzić.

– Przepraszam, po prostu mi głupio. Nawet mu nie podziękowałem. Pewnie ma mnie za jakąś niewdzięczną bestię.

– Nie, bo doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że nic nie pamiętasz i że początkowo nie chciałaś wiedzieć, co się wtedy stało.

– To się cieszę. Ale skąd o tym wie?

Simonsen ponownie się położył.

– Dzwoni do mnie regularnie i pyta, jak się czujesz.

– Nic mi nie mówiłaś.

– Nie można być jednocześnie poinformowanym i niepoinformowanym. Dawaj to ramię. Jak się w końcu zakończyło to wasze spotkanie? Znalazł coś, co ci się przyda?

– Tak, a wkrótce będzie tego dużo więcej.

Gdy rzecznik Meslinga w końcu się odnalazł, sprawy nabrały tempa. Szef pracował przy komputerze, jego młody współpracownik zajął się objaśnianiem, a Simonsen uważnie się przysłuchiwał. Takie rozwiązanie doskonale się sprawdziło.

– Sporo czasu poświęciliśmy temu odgnieceniu na grzbiecie prawej dłoni denata.

Na monitorze ukazał się powiększony obraz dłoni.

– Miałeś nosa, ale sami długo nie wiedzieliśmy, czy to się nam do czegoś przyda. Wiadomo, że zdjęcia z komórki nie są najlepszej jakości, a my mamy tylko skany papierowych odbitek. Dlatego nie mogliśmy wyostrzyć fragmentu z grzbietem dłoni, to znaczy powiększyć go tak, żeby było widać szczegóły.

– Rozumiem. Powiększenie niewiele w takich wypadkach daje.

– Właśnie. Ale zrobiliśmy coś innego, prawie tak samo dobrego. Wykryliśmy pudełko zapalek jako punkt odniesienia, obróciliśmy, a potem przesunęliśmy obiekty we wszystkich trzech kierunkach i w tym procesie transformacji, zwanym...

– Wykręciliśmy dłonie we wszystkich możliwych kierunkach – wtrącił uprzejmie Mesling. Pokazał rezultat na ekranie.

Simonsen był pod wrażeniem.

– A niech mnie!

Znak na grzbiecie dłoni Nielsena nabrał wyrazistości. Jakby został sfotografowany z odległości pięciu centymetrów. Tuż obok umieszczono zbliżenie chodnika schodów pod pewnym kątem. Widać było tkany na płasko sisał w łatwym do rozpoznania wzorze. Odgniecenie na dłoni i struktura chodnika do siebie pasowały, a rzecznik pokusił się o konkluzję:

– To bez wątpienia dowód na to, że denat spadł ze schodów. Poza tym skaleczenie to dowód na to, że cały ciężar ciała oparł na dłoni, w przeciwnym wypadku zadrapanie nie byłoby tak wyraźne.

– Są też złe wieści – wtrącił Melsing.

– Mamy niestety sporo wątpliwości – wyjaśnił jego młody współpracownik. – Nie podoba nam się ułożenie ciała na dole schodów. Sporo już widzieliśmy i zapala nam się lampka alarmowa...

– Niewiele z tego rozumiem – przyznał Simonsen.

Melsing nieznacznie się uśmiechnął, ale rzecznik nie wyglądał na zrażonego.

– Dziwne jest to, że Nielsen wylądował w takim miejscu po upadku z wysokości zaledwie dwóch metrów ze schodów wznoszących się pod kątem około trzydziestu stopni. Do tego skręcił kark i musiał podwinąć prawe ramię pod siebie, bo skaleczył wierzch dłoni o któryś ze stopni. Na dodatek zadrapanie biegnie od ramienia w kierunku kości dłoni, a nie odwrotnie. Gdybyśmy tylko wiedzieli, o który stopień się otarł, byłoby mniej problemów. Ale tego nie ustalimy, bo po komórkach naskórka, które pozostawił, nie ma już śladu. Do tego należy pamiętać, że gdy człowiek upada, odruchowo podpira się wnętrzem dłoni.

– Czy to oznacza, że Nielsen mógł być martwy, gdy uderzył o schody?

– Być może, ale to tylko nasze przypuszczenia, oparte na dotychczasowych doświadczeniach. Ciała podczas upadku mogą się zachowywywać bardzo różnie. I może ten przypadek Nielsena należy do ekstremalnych. Może nic podobnego dotąd nie widzieliśmy i dlatego nic nam się nie składa.

– Innymi słowy: nie jesteście w stanie tego jednoznacznie ocenić?

Twarze obu techników rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Być może nam się uda.

– Jak to?

– Pomoże nam w tym twój stażysta, a przy okazji i tobie.

– To chyba wymaga dodatkowego wyjaśnienia.

Melsing wyczarował na swoim komputerze jakąś aplikację, wpisał kilka słów, a następnie wskazał palcem w kierunku przeszklonej ściany. Simonsen odwrócił głowę i ku swojemu zdumieniu ujrzał Maltego Borupa, który podniósł się ze swojego miejsca w najodleglejszym kącie pomieszczenia i popędził w ich stronę. Borup pracował jako stażysta w wydziale zabójstw. Miał być teraz na wakacjach, ale najwyraźniej zdecydował się spędzić je tutaj. Gdy wszedł do biura, technik zaproponował:

– Może otworzysz teraz swój program i przygotujesz prezentację, a ja w międzyczasie wyjaśnię, nad czym pracujesz?

Odwrócił się w stronę Simonsena i zaczął tłumaczyć, zanim jeszcze student przystał na jego propozycję.

– Kilka miesięcy temu zakupiliśmy od FBI nowy program komputerowy o nazwie Human Object Movement Simulator. Pod tą skomplikowaną nazwą kryje się zaawansowane narzędzie, które potrafi z zaskakującą precyzją symulować ludzkie reakcje na bodźce fizyczne. Pracowali nad nim naukowcy z różnych dziedzin – przede wszystkim fizycy i fizjology. I właśnie tego nam teraz potrzeba.

Przerwał na moment, prawdopodobnie, by zaczerpnąć powietrza, a Simonsen wykorzystał chwilę na wtrącenie.

– Ale?

– Rzeczywiście, jest też „ale” i w tym przypadku chodzi o czas. Obsługa aplikacji HOMS wymaga korzystania z aż jedenastu instrukcji, a my nie mieliśmy ani czasu, ani środków, aby się z nimi zapoznać. W październiku wybieram się na szkolenie do Waszyngtonu, ale to nie pomoże ci teraz, w sierpniu. Na szczęście Malte zaproponował pomoc i muszę przyznać, że nauczył się bardzo wiele w dość krótkim czasie.

– Tak, rzeczywiście jest zdolny.

– Nie ma co do tego wątpliwości, zobaczymy więc, co udało mu się zdziałać.

Borup uruchomił program i na monitorze pojawiło się nieco stylizowane wnętrze korytarza w willi Nielsena. Kliknięcie myszką i u szczytu schodów zmaterializował się ludzik. Rzecznik powrócił do wyjaśniania:

– Obraz może nie wygląda zbyt imponująco, ale pomieszczenie i ludzik mają odpowiednie parametry i już samo ich dopasowywanie zajęło nam sporo czasu. Program pozwala prześledzić upadek mężczyzny ze wszystkich możliwych miejsc. Można też prześledzić wszystkie reakcje ciała. Oprócz tego możemy uwzględnić różne czynniki zewnętrzne, zarówno przed upadkiem, jak i po nim... Malte, spróbuj sprawić, żeby się potknął na schodach i poleciał do przodu.

Borum nie zareagował.

– Yyy, nie opanowałem jeszcze wszystkich instrukcji.

– To bez znaczenia, chodzi tylko o ogólne wrażenie.

Ponownie kliknął myszką, tym razem niechętnie. Ludzik wzbił się w powietrze i uderzył o sufit niczym mucha na spidzie.

– Yyy, muszę doczytać jeszcze parę instrukcji.

– Później – podsumował Melsing. – Będziemy gotowi za jakiś czas i damy ci znać – zapewnił Simonsena.

Później nastąpiło szybciej, niż przypuszczał inspektor. Ktoś musiał siedzieć po godzinach, bo już po trzech dniach ponownie zawitał do wydziału techniki operacyjnej, a na dodatek dotarł tam własnym samochodem, po tym, jak lekarz w końcu pozwolił mu prowadzić. Poza tym odniósł też pewne osobiste zwycięstwo, o którym wiedział tylko on sam: udało mu się przebiec nieduży dystans. Dwadzieścia, może trzydzieści metrów – na miejsce startu i metę starannie wybrał dwie połamane płytki chodnikowe i jeszcze tego samego przedpołudnia swój marsz na tym odcinku zastąpił biegiem. Był to powolny, kiepsko skoordynowany ruch, a jednocześnie cudowny bieg.

Tym razem informacje pochodziły od technika, którego poznał ostatnio. Nie dostrzegł ani Maltego Borupa, ani Kurta Melsinga. Liczył na jakąś jasny, jednoznaczny wniosek i jego życzenie się spełniło, niestety nie tak, jak zakładał.

– Przeprowadziliśmy wiele prób, uwzględniając różne okoliczności – wyjaśnił technik – ale tylko jedna symulacja pasuje do naszej sprawy.

Uruchomił program. Ludzik ponownie pojawił się u szczytu schodów, ale tym razem nie był sam. Drugi chwycił go od tyłu, objął jego głowę ramieniem i skręcił mu kark. Całe zajście wyglądało nadzwyczaj realnie. Człowieczek został następnie zepchnięty ze schodów i potoczył się bezwładnie w dół. Po drodze otarł dłoń o stopień, co było dobrze widać dzięki sekwencji w zwolnionym tempie, a potem wylądował siedem stopni niżej w pozycji, która wyglądała identycznie jak ta ze zdjęć Gormsena. Obejrzelili animację trzykrotnie, zanim Simonsen zapytał z powagą w głosie:

– Jesteście pewni?

– Tylko na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Bo?

– W wersji, którą obejrzałeś, ofiara musiała zostać zepchnięta ze schodów z dużą siłą i trudno nam pojąć, dlaczego po prostu nie ograniczono się do pchnięcia, skoro Nielsen był już martwy. Jednak niezależnie od tego, ile byśmy próbowali, ten człowiek po pierwsze, musiał być martwy, gdy spadał ze schodów, po drugie, złamano mu kark przed upadkiem, po trzecie, upadł tyłem, bo inaczej nie wylądowałby i nie leżał w takiej pozycji, w jakiej go znaleziono. No i, jak wspomniałem, konieczne było silne pchnięcie już po tym, jak skręcono mu kark. Niestety, te cztery okoliczności dadzą spójny obraz, tylko jeśli założymy, że...

Urwał, a Konrad Simonsen dokończył za niego:

– ...że Jørgen Kramer Nielsen został zamordowany przed drzwiami do własnego mieszkania.

Rozdział 3

Sprawa śmierci Nielsena została uznana za sprawę o zabójstwo. Simonsen poinformował o tym panią komendant, która nie wydawała się zachwycona, ale nie mogła zrobić nic poza czekaniem na efekty śledztwa. Szczęśliwie okazała się na tyle rozsądna, że nie skomentowała faktu na głos. Sprawy nie przebiegały szybszego obrotu tylko dlatego, że popędzano kierujących śledztwem, tę lekcję odrobiła już dawno temu. Jednak Simonsen niezbyt elegancko próbował zasugerować coś odwrotnego, gdy domagał się zwiększenia środków od Pedersena.

– Potrzebuję co najmniej pięciu ludzi przez trzy dni, w tym Hrabianki albo ciebie. Trzeba sprawdzić, co porabiał listonosz, może nie szczegółowo, na początek tylko ogólnie, a do tego zadania nie wystarczy mi Pauline. Niewykluczone, że potem będę potrzebował jeszcze paru ludzi.

Pedersen aż się spocił, taką odczuwał presję.

– Tak, ona ma teraz co prawda na karku Parlamentarną Komisję Prawną, ale może powinienem ją poprosić, żeby do ciebie zadzwoniła, zamiast odgrywać rolę pośredniczki – dodał Simonsen.

Nawiązanie do pani komendant pomogło, dostał, o co prosił. Zwiększone środki szybko zaprocentowały i w krótkim czasie udało się ustalić sporo o życiu zamordowanego listonosza.

Nielsen chodził do podstawówki, a potem do liceum Brøndbyøster w gminie Hvidovre. Po maturze latem 1969 roku został zatrudniony w urzędzie pocztowym przy Framlev Allé, zwanej dzisiaj Framlev Postkontor, gdzie jego ojciec był naczelnikiem. Wiosną 1972 roku jego rodzice i młodsza siostra, jedyna rodzina, zginęli w katastrofie lotniczej na Majorce. Odziedziczył dom rodzinny, w którym mieszkał aż do śmierci. Okazało się, że prowadził nadzwyczaj ciche i spokojne życie, najwyraźniej nie miał żadnych przyjaciół, a koledzy z pracy właściwie go nie znali.

Simonsen posłał funkcjonariuszy, żeby rozejrzeli się po okolicy – zajrzeli do lokalnych sklepików i odwiedzili sąsiadów, jednak to działanie nie przyniosło imponujących rezultatów. Nielsen co sobotę jadał na mieście, zawsze w tej samej restauracji i zawsze to samo danie – befsztyk w sosie bearneńskim z frytkami – wybierał najdroższą pozycję z karty za sto trzydzieści pięć koron. Simonsen tylko westchnął, gdy to usłyszał, ale nawet nie chciało mu się zanotować informacji. Listonosz bywał też regularnie w lokalnej bibliotece, a wybór książek przez lata był niezmienny. Pozycje matematyczne, opisy podróży, ale wyłącznie z Norwegii, Szwecji i Finlandii, a do tego biografie naukowców.

– Miał ksywkę dziewięćdziesiąt dziewięć kropka cztery – Nielsen – dodała Hrabianka, która wcześniej odwiedziła bibliotekę.

– Dlaczego?

– Dziewięćdziesiąt dziewięć kropka cztery to biblioteczne oznaczenie biografii. To miał być żart.

– Rzeczywiście zabawne! Coś jeszcze?

Nie było nic więcej.

Zbadali również sytuację finansową listonosza i w tej kwestii Berg miała coś do dodania, choć nie było tego wiele. Nielsen korzystał z karty płatniczej, a rachunki opłacał gotówką.

– Czy to wszystko? – odezwał się rozczarowany Simonsen.

Pauline zaczęła nerwowo przeglądać swoje notatki.

– Gdy przeszedł na katolicyzm, podpisał umowę o przekazywaniu dwóch procent swojego dochodu na kościół. To dość powszechne, a na dodatek podlega odliczeniu od podatku, chociaż nie jest to żaden oficjalny podatek, bo jak wiadomo, w Danii poszczególne wyznania mają różny status.

– Kiedy zmienił wyznanie?

– Nie mam pojęcia.

– A co z jego testamentem, dowiedziałas się czegoś na ten temat?

– Tak. Spisał go już w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku i resztę zysku ze sprzedaży domu, to znaczy jakieś półtora miliona

koron, przekazał brytyjskiej organizacji humanitarnej pod nazwą Missing Children. Główna siedziba mieści się w Londynie, ale filie znajdują się w większych brytyjskich miastach. Możesz obejrzeć w sieci ich stronę internetową. Nie wskazał też nikogo, kto miałby przejąć jego majątek ruchomy, dlatego ten przeszedł na własność Skarbu Państwa.

– Jak wpadł na pomysł z Missing Children?

– Nie wiadomo. Adwokat, który swego czasu zajmował się jego testamentem, nie pamięta sprawy. Zdziwiłabym się zresztą, gdyby było inaczej.

Simonsen przydzielił jej nowe zadanie.

– Spróbuj ustalić, jak spędzał wakacje. Przecież, do licha, coś musiał w życiu robić poza pracą i siedzeniem w domu. A do tego jeszcze te dziewczyny. Zorientuj się, czy nie było ich więcej. One i strych to jedyne, co nadawało jego życiu wyrazistszy charakter.

– Odpychający charakter, gdyby mnie ktoś pytał o zdanie.

– To może być motyw zabójstwa.

Poszła sobie, chociaż zamierzał poprosić ją o coś jeszcze.

* * *

Lato trwało w najlepsze, było ciepło. Nad krajem zalegał wyż i zdaniem meteorologów przez najbliższe dni nie zamierzał się nigdzie przemieszczać.

Simonsen spływał potem w salonie Hrabianki, bo choć minęła już dwudziesta, upał nie ustępował. Ściągnął kurtkę i koszulę i został w samej podkoszulce i cienkich bawełnianych krótkich spodenkach. Klimatyzacja chodziła na pełnych obrotach, a on nadal się pocił. Zerknął na zegar – podłogowy, antyczny, ustawiony przy bocznej ścianie, którego wieczne tykanie przez pierwsze tygodnie po przeprowadzce doprowadzało go do szału. Teraz zdążył się już do niego przyzwyczać i nie słyszał przeskakujących wskazówek. Przez chwilę rozważał krótką drzemkę na sofie, ale było zbyt późno i ryzykowałby, że w nocy nie zaśnie. Zabrał się więc za sudoku, które znalazł pod dziennikiem, ale gdy napotkał pierwszy problem, zamyslił się.

Czuł się w mieszkaniu Hrabianki jak w domu, nie dało się temu zaprzeczyć. W swoim w Valby był ostatnio kilka tygodni temu, nie licząc krótkich wizyt dwa razy w tygodniu, podczas których tylko odbierał pocztę. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy to dobrze, czy źle. Zarówno on sam, jak i Hrabianka zrećcznie unikali konkretnych ustaleń, na przykład co do zmiany adresu pocztowego, pozwalając, aby decyzje zapadały w swoim własnym tempie dzień po dniu. W zeszłym tygodniu dostał klucze do domu. Wcześniej korzystał z tylnego wejścia i posługiwał się kluczem schowanym w budynku gospodarczym. To było dość uciążliwe. Musiał biegać tam i z powrotem, najpierw po sam klucz, a potem żeby go odwieźć. Hrabianka wręczyła mu komplet pewnego poranka, gdy zbierali się do pracy, niemal w przelocie, komentując, że to najpraktyczniejsze rozwiązanie – jakby był jakimś rzemieślnikiem – a potem już do tego nie wracali. Podała mu również numer konta w swoim banku internetowym, aby mógł się dołożyć do rachunków. To też wydawało się takie praktyczne.

Siedział w salonie i gapił się pustym wzrokiem przed siebie. Co to właściwie znaczyło mieszkać wspólnie? Pod tym samym adresem? A może liczyło się spanie w jednym łóżku? Dzielenie się wydatkami? Czy też, tak jak u nich, po prostu wspólne korzystanie z jednego mieszkania?

Hrabianka się spóźniała, dochodziła już dwudziesta pierwsza, gdy wreszcie dotarła do domu. Próbował ukryć irytację, bo nie chciał być niesprawiedliwy. Jak mało kto zdawał sobie sprawę, jak bardzo praca wpływała na życie rodzinne.

– Cześć, Simon, przepraszam za spóźnienie. Spotkanie się przeciągnęło.

– W porządku, ale mogłaś zadzwonić.

Pocałowali się. Nieco bardziej powściągliwie niż zazwyczaj.

– Tak, przepraszam, masz rację. Przygotowałeś coś do jedzenia?

– Tartę z porem, teraz już na zimno.

– Właśnie tego mi potrzeba.

Trudno się było na nią gniewać i naprawdę ucieszył go jej widok, mimo że przygotowanie jedzenia kosztowało go ponad dwie godziny. Przepis w książce kucharskiej wydał mu się mało zrozumiały, więc dwukrotnie

zadzwoił do córki, która zresztą i tak niewiele potrafiła mu pomóc. Nie znał jednak nikogo innego, kogo mógłby poprosić o radę.

Zasiedli do jedzenia, które doczekało się zasłużonej pochwały. Podczas posiłku z dumą opowiedział jej o swoich sportowych wyczynach.

– Udało mi się przebiec ponad sto metrów, to pewne. A właściwie to mogło być nawet dwieście.

– Wspaniale, wkrótce zostaniesz prawdziwym sportowcem. A jak sprawa twojego listonosza?

Miał nadzieję, że o to zapyta, a jednocześnie postanowił, że sam nie poruszy tego tematu. To była jedna z tych przykrych konsekwencji utraty statusu szefa: Hrabianka i Arne Pedersen już nie przychodzili do niego, żeby przedyskutować szczegóły jego śledztwa. Zajmowali się innymi, ważniejszymi sprawami i za każdym razem musiał ich prosić, jeżeli chciał, aby wzięli w coś udział. Rzadko pojawiali się z własnej inicjatywy. Najczęściej miał do dyspozycji tylko Pauline Berg, która była dzisiaj nieobecna z powodu wizyty u psychiatry – niestety kolejnej.

– Wybrałem się ponownie na pocztę, ale w kółko słyszę tę samą śpiewkę. Nielsen prowadził, jak już dobrze wiesz, bardzo ciche i nieprawdopodobnie uporządkowane życie. Gdy podczas pogrzebu Kaspera Plancka usłyszałem, jak pastor zredukował jego życie do dwóch minut, wydało mi się to bardzo przygnębiające.

Planck był przyjacielem Simonsena i wcześniejszym szefem wydziału zabójstw.

– Długie, pełne wigoru życie zredukowane do chłodnej dwuminutowej relacji przytaczanej przez obcego człowieka, który przypadkowo został pastorem – ciągnął inspektor – robiło smutne wrażenie. Jednak myślę, że w przypadku Nielsena dość trudno byłoby wypełnić nawet te dwie minuty.

– Opowiedz mi o tym.

– Naprawdę chcesz tego słuchać? Nie wolałabyś odpocząć?

– Odpoczywam i chciałabym o tym posłuchać.

Kochał ją. Już wcześniej wcisnął notes do tylnej kieszeni spodni, na wypadek gdyby go potrzebował. Teraz go wyjął, przekartkował i zaczął opowiadać:

– Tuzin jego dawnych kolegów, z którymi rozmawiałem, wypowiedziało się wzruszająco zgodnie: „Samotnik, solidny, ale nudny; nigdy nie dawał się nigdzie wyciągnąć, bardzo skryty, nie miał na poczcie żadnych przyjaciół; nigdy nie chorował, nigdy też nie sprawiał wrażenia zadowolonego; cichy, uprzejmy, obojętny; rzadko odzywał się z własnej inicjatywy; po pracy wracał do domu, niezależnie od tego, co się działo, nie miał zdania na żaden temat”. Pracował w tym samym miejscu przez ponad czterdzieści lat, a równie dobrze mogło go tam nie być.

– A co z przyjaciółmi? Jakies stowarzyszenia, kluby, hobby i tego typu sprawy?

– Nie zdążyłem tego jeszcze ustalić. Wiem jedynie, że lubił matematykę. Nie zapominaj, że pracuję z ludźmi o najlepszych intencjach, którzy są jednocześnie nad wyraz skrupulatni, więc dbają o to, żebym wracał do domu punktualnie po czterech godzinach pracy. Ktoś tam zapewne siedzi ze stoperem.

Uśmiechnęła się, ale nie skomentowała, a on opowiadał dalej:

– Jutro zamierzam porozmawiać z pewnym emerytowanym listonoszem. Nikt z obecnie zatrudnionych nie pracował nawet w przybliżeniu tak długo jak Nielsen. A w poniedziałek, a może i we wtorek, przejrzę jego rzeczy. Może coś w nich znajdę. Czymś przecież musiał się w życiu zajmować. Zresztą Arne obiecał mi pomoc, chociaż nie wiem, jak znajdzie na to czas. Jesteście przecież potwornie zajęci.

W jego głosie pobrzmiwał sarkazm, ale nie dała się sprowokować.

– Na tym między innymi polega jego praca, żeby interesować się twoim śledztwem. Ale zgadzam się z tobą, że listonosz w wolnym czasie musiał robić coś poza siedzeniem w domu. Wszystko inne byłoby wbrew naturze.

– Tak, bo nie oglądał nawet telewizji. Nie miał ani odbiornika, ani komputera. Pauline to sprawdziła. Samochodu zresztą też nie.

– Może to i dobrze, że był taki anonimowy.

– Co masz na myśli? Na tym etapie kompletnie nie rozumiem, po co ktoś miałby pozbawiać go życia.

– Bo to bez znaczenia, czy żył, czy nie?

– Oczywiście nie z etycznego czy też prawnego punktu widzenia, jednak w praktyce tak. No, ale brakuje mi jeszcze paru kawałków, aby wyrobić sobie ogólne wrażenie. Ale dlaczego sądzisz, że to dobrze, że nie rzucał się w oczy? Żeby nie powiedzieć nieistotny.

– Bo wtedy to, co nietypowe, staje się bardziej widoczne.

– To oczywiście prawda. Chodzi ci o te dziewczyny i jego strych?

– Nie do końca, miałam raczej na myśli katastrofę lotniczą. Utrata całej rodziny w wieku dwudziestu lat może wpłynąć na całe dalsze życie. Zwłaszcza gdy, jeśli można to tak ująć, okoliczności mu nie sprzyjały. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim nie istniały instytucje, które zajmowałyby się wsparciem psychologicznym dla poszkodowanych, więc najprawdopodobniej musiał sobie ze wszystkim radzić sam.

– Właśnie dlatego chciałbym porozmawiać z kimś, kto znał go z tamtego okresu, ale jest też jeszcze jedna rzecz, która go wyróżnia. Najpewniej był katolikiem, a w naszym kraju nie ma ich zbyt wielu.

– Rozmawiałeś już z księdzem?

– Nie, jeszcze nie, mam to w planach. Wiem natomiast, że nasz listonoszłożył na Kościół katolicki i że został pochowany na cmentarzu przy Kościele św. Mikołaja, więc pewnie tym katolikiem był.

– Myślisz, że to ma coś wspólnego z jego sąsiadem z dołu? Nielsen sprzedał mu przecież w pewnym momencie dom. Przyjrzałeś się temu?

Simonsen pokręcił z zalem głową.

– Jak już wspominałem, niewiele jestem w stanie ustalić w ciągu czterech godzin.

– Mógłbyś zwrócić się do Arnego o przydzielenie dodatkowych środków. To jest przecież teraz już oficjalnie sprawa o zabójstwo.

To akurat zdołał już załatwić, ale korzystał z tej pomocy tylko wtedy, gdy nie miał innej możliwości. Z jednej strony dobrze było mieć w zanzardzu garstkę funkcjonariuszy do dyspozycji, dlatego poprosił o nich Pe-

dersena. Z drugiej jednak polubił to swoje skromne śledztwo, które nie zajmowało zbyt wiele miejsca na tle innych działań wydziału zabójstw. Było mu z tym dobrze, nie widział powodu, aby angażować więcej ludzi, niż to konieczne. Ułożył sobie plan działania: najpierw koledzy listonosza, potem należące do niego rzeczy, a na końcu ksiądz. Gdy się już z tym upora, może będzie chciał włączyć do sprawy dodatkowych ludzi. Nie odrzucał tego pomysłu.

– Mam Pauline.

– No tak, rzeczywiście.

Zabrzmiała obcesowo, niemal zazdrośnie. Od czasu do czasu potrafiła być dość zaborcza, choć nie zwrócił uwagi na tę cechę jej charakteru, dopóki się nie wprowadził. Zorientował się też, że swego czasu śledziła dawnego męża i jego nową rodzinę – nie sama, ale przy pomocy detektywa, który obserwuje cel z ukrycia, a czasem nawet go fotografuje. Simonsen przez przypadek się o tym dowiedział, ale nie rozmawiał z nią o tym. To przecież nie miało z nim nic wspólnego.

Wyszła do kuchni, żeby wstawić wodę na herbatę. Gdy wróciła, jej głos znowu brzmiał normalnie.

– Prawda jest taka, że polubiłeś tę swoją małą sprawę, którą niewiele się interesuje. Prawda, Simon?

– Z całą pewnością mnie zaintrygowała. Powiedz mi, paliłaś kiedyś hasz?

Uwielbiał moment, w którym udawało mu się ją zaskoczyć. To nie zdarzało się zbyt często.

– Czy paliłam hasz? Dlaczego o to pytasz?

– Bo twoje powieki robią się coraz cięższe i pomyślałem, że nie zaszkodziłoby cię trochę pobudzić. Przecież zwyczaj to ja pierwszy robię się senny. A poza tym chciałbym to wiedzieć.

– W odróżnieniu od ciebie nie ucinam sobie dwugodzinnej drzemki w południe.

– To prawda, szczęściarz ze mnie. To co z tym haszem?

– Próbowałam haszu. Wiele lat temu.

– I jak było?

– Na początku zabawnie, ostatnie razy kiepskawo. Będziesz tak miły i wyjaśnisz mi, po co pytasz?

– Chciałbym spróbować.

– Spróbować czego? – zapytała ponownie.

– Zapalić hasz, do diaska. Przypalić gibona, jointa, skręta, blanta czy jak je tam nazywają.

Usiadła gwałtownie, oparła dłonie na biodrach, po czym zdecydowanie się temu sprzeciwiła:

– Konradzie Simonsenie, nie ma mowy, żebyś kiedykolwiek jeszcze zapalił, obojętnie, czy to miałyby chodzić o tytoń, hasz, marihuanę, liście buku czy cokolwiek innego. Jeśli chcesz, możesz co najwyżej dostać filiżankę herbaty.

Nie pomyślał o tym wcześniej, a teraz zatrzymał ją, gdy kierowała się do kuchni.

– Ależ, Hrabianko, to nie chodzi o palenie. Można się przecież odurzyć w inny sposób, wiem o tym. Chciałem tylko spróbować.

Dała się trochę udobruchać.

– A skąd zamierzasz wytrzasnąć hasz? Pójdiesz do narkotykowego i zapytasz, czy nie została im jakaś dodatkowa porcja? Tak na prywatny użytek.

– Miałem nadzieję, że wiesz, jak go zdobyć.

– Czy ja ci wyglądam na dilerkę? Czy właśnie to próbujesz mi tak elegancko zasugerować?

– Tak, świetnie byś się nadawała. Od dawna cię podejrzewałem.

Zatrzymała się i przyglądała mu się przez chwilę.

– W porządku, ale zaczniemy od herbaty, a potem zobaczymy, co przyniesie przyszłość.

Poszedł za nią do kuchni i pomógł z filiżankami, nie podejmując więcej tematu haszu.

Następnego dnia Simonsenowi udało się potwierdzić przypuszczenie Hrabianki o tym, że życie Nielsena zupełnie się załamało po tym, jak jego rodzice i siostra zginęli w katastrofie lotniczej. Ustalił to w domu spokojnej starości na obrzeżach Køge.

Dojechawszy na miejsce, przedstawił siebie i cel swojej wizyty, i wyjaśnił, że odnalazł swojego gospodarza dzięki aktom personalnym zachowanym w urzędzie pocztowym. Starszy mężczyzna przyglądał mu się z niechęcią, a Simonsen uśmiechnął się szeroko i pomyślał, że ta rozmowa będzie udaną.

Mężczyzna pachniał kwaśno, aż trudno było wytrzymać. Na szczęście pamięć go nie zawodziła.

– Jørgen był bystrym i radosnym chłopakiem, gdy swego czasu zaczął u nas pracę. To było na początku lat siedemdziesiątych. Wtedy, gdy jego ojciec pełnił funkcję naczelnika.

– Latem sześćdziesiątego dziewiątego.

– To by się zgadzało.

– Dlaczego w ogóle został listonoszem? Można by sądzić, że po maturze miał inne, bardziej atrakcyjne możliwości.

– Nie miał wcale zamiaru pracować przez dłuższy czas jako listonosz. Zbierał pieniądze na podróż dookoła świata, pamiętam wyraźnie, że jego ojciec nie przyklaskiwał temu pomysłowi, wolał, żeby syn od razu kontynuował naukę, poszedł na uniwersytet czy coś w tym stylu. Ale Jørgen zdawał się niezwykle podekscytowany swoim pomysłem i nie mówił o niczym innym niż o tej swojej wyprawie i egzotycznych miejscach, które zamierzał zwiedzić. Nawet trochę mu zazdrościliśmy, bo nie mieliśmy takich możliwości jak on. Wszystkie zarobione pieniądze szły na utrzymanie rodziny i czynsz, a on na swoje szczęście nie miał takich zobowiązań.

– I wtedy zdarzyła się katastrofa lotnicza?

– Tak, i najwyraźniej właśnie wtedy życie Jørgena straciło blask.

– Mówi pan, jakby to pana ucieszyło. Nie lubił go pan?

Starszy mężczyzna pokręcił głową, a jego oczy zaszły łzami. Inspektor miał ochotę podać mu chusteczkę. A także odsunąć nieco krzesło, ale nie

zrobił żadnej z tych rzeczy.

– To moja sprawa, nic panu do tego – odezwał się ponuro staruszek.

– Tak, oczywiście. Jak Jørgen zareagował na tę katastrofę?

– Całkowicie się zmienił, kompletnie go to załamało i od tego czasu nigdy już nie był taki sam.

– Może pan powiedzieć coś więcej?

– Od dnia, w którym otrzymał tę wiadomość, snuł się jak duch. Sprawiał wrażenie, jakby nie miał siły żyć, ale brakowało mu odwagi, żeby ze sobą skończyć.

Tą wypowiedzią mężczyzna dołączył do grupy świadków, którzy podkreślali brak społecznego zaangażowania Nielsena. Staruszek opowiedział też o kilku epizodach, o których Simonsen słyszał już wcześniej. Ujawnił kilka nowych szczegółów, ale nie były zbyt istotne, bo tylko potwierdzały to, co inspektor już wiedział.

Simonsen skapitulował kilka pytań później, pożegnał się i z radością wyszedł na świeże powietrze, chociaż było ciężkie i gorące. Właściwie dostał to, po co przyjechał, ale jakoś nie zapalał sympatią do tego mężczyzny. Najwyraźniej z wzajemnością. Uznał jednak, że rozmowa była warta zachodu. Życie Nielsena zaczynało mu się powoli układać w spójną całość.

Po wizycie w domu spokojnej starości Simonsen pojechał na komendę, chociaż została mu tylko godzina pracy. Na miejscu, w aneksie, natknął się na Pauline Berg, rozłożoną na sofie z gazetą w dłoni. Od pewnego czasu można było ją tam spotkać częściej niż w jej własnym pokoju. Również wtedy, gdy inspektora tam nie było. Ta sytuacja wydawała się przeszkadzać wszystkim innym bardziej niż jemu samemu. Docierały do niego różne komentarze – na stołówce i w innych okolicznościach. Uważano, że powinien zamontować zamek ze specjalnym kluczem zamiast tego standardowego, żeby kompletnie nikt nie mógł tam wejść. Żaden współpracownik nie powiedział tego wprost, ale stwierdzenie „kompletnie nikt” odnosiło się do Berg. Do tej pory ignorował te dobre rady. To było przecież, do cholery, jego biuro i sam potrafił zareagować – zabronić innym wstępu

podczas swojej nieobecności – jeżeli nie odpowiadało mu czyjeś towarzystwo. Nie potrzebował do tego pomocy kolegów. Zajrzał do aneksu i skinął Pauline głową, ale po chwili zasiadł za biurkiem i uruchomił komputer. Podeszła do niego, a on wstrzymał się z podłączeniem sprzętu do sieci.

– Dowiedziałam się czegoś na temat jego wakacji – odezwała się Berg.

– Nielsena?

– Tak, a kogóż by innego? No więc loty czarterowe i tym podobne zupełnie go nie interesowały, to niemal pewne, ale miałam nieprawdopodobne szczęście w Duńskich Kolejach Państwowych. Kasjerka, którą swoją drogą powinno się teraz nazywać asystentką sprzedaży biletów... W każdym razie ta kobieta ze stacji Hvidovre rozpoznała Nielsena, gdy pokazałam jej zdjęcie. Co roku kupował bilet do Esbjerg tam i z powrotem. Zawsze w te same dni, czyli odjazd ze stacji głównej w Kopenhadze dziewiętnastego czerwca i powrót ze stacji Esbjerg dwa dni później.

– Czy on miał coś wspólnego z koleją?

– Nie, o ile mi wiadomo. Spróbowałam tam, bo byłam dość zdesperowana. Założyłam, że skoro nie latał, to może jeździł pociągiem. Jak już mówiłam, po prostu miałam fart.

– Bo asystentka sprzedaży biletów go rozpoznała?

– Tylko z wyglądu.

– Czyli widziała go parę razy?

– Owszem, ale podróżował tylko raz do roku, o ile dobrze zapamiętała.

– Spotkałam w swoim życiu wielu znakomitych świadków, ale ona bije wszystkich na głowę. Jakim cudem zapamiętała tego gościa, skoro pojawił się u niej tylko raz do roku?

– W tym rzecz. Zapamiętała go, bo nie chciał stać blisko ludzi, właśnie wtedy po raz pierwszy zwróciła na niego uwagę. Przez cały czas cofał się na koniec kolejki, a nigdy nie miała takiego klienta. Rok później zachowywał się dokładnie tak samo. Jej zdaniem to miało miejsce w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym i tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku. Od tego czasu obsługiwała go jeszcze kilka razy, ale oczywiście nie co roku, to zależało do tego, czy akurat była w pracy. Potem

sprawdziłam jeszcze na poczcie z pomocą naczelnika. Nielsen był bardzo wyrozumiały, jeśli chodzi o godziny pracy i terminy urlopu, jednak bezwzględnie domagał się wolnego w konkretnym tygodniu czerwca. Chodziło dokładnie o ten tydzień od dziewiętnastego do dwudziestego pierwszego. I oczywiście dostawał wtedy wolne.

– Dlaczego nie chciał stać w kolejce?

– To zagadka. Może przez nieśmiałość, ale kasjerce wydaje się, że nie chciał, aby inni poznali cel jego podróży. Z dużym naciskiem na „wydaje się”.

– Co porabiał w Esbjerg, wiesz coś na ten temat?

Pokręciła głową – nie miała pojęcia.

Pamiętał o pochvale, ale jego słowa nie zrobiły na niej wrażenia. Bardzo różnie reagowała na jego słowa uznania. Niekiedy wydawała się zadowolona, czasami nawet bardzo, a od czasu do czasu reagowała obojętnie, jak tym razem.

– Zadbaleś o to, żeby ta krowa dostała upomnienie? – zapytała.

Krową nazywała nerwową funkcjonariuszkę, która przywłaszczyła sobie telefon komórkowy Nielsena, chociaż nie zrobiła tego ze złej woli, a już na pewno nie chciała go ukraść. Po wejściu po schodach na podest, na którym leżał denat, stanęła za Gormsenem. Zauważyła, że policjant o mało co nie nadepnął na telefon, nie zwróciwszy na niego uwagi. Podniosła go i przez chwilę ważyła w dłoni, podczas gdy jej partner robił zdjęcia zwłokom, mówił, że to bez wątpienia było zabójstwo, i kłócił się z duchownym. W roztargnieniu schowała telefon do kieszeni i przejęta rozwojem sytuacji całkowicie o nim zapomniała, aż kolejnego dnia wyjęła go z kieszeni na posterunku w Glostrup. Umieściła go w torebce dowodowej, ale zamiast nadać mu odpowiedni numer, opisała znalezisko paroma słowami, po czym włożyła opakowanie do szuflady swojego biurka. Następnie wyjaśniła sprawę w mailu do bezpośredniego przełożonego i spytała, jak powinna się zachować i co zrobić z telefonem. Nigdy nie otrzymała odpowiedzi, a komórka Nielsena tkwiła w jej szufladzie. Kilka miesięcy póź-

niej funkcjonariuszka została wezwana na rozmowę do Simonsena i wtedy zrozumiała, że to niedopatrzenie wywołało niezły bajzel, więc próbowała ukryć sprawę z telefonem. Podobnie zachowywała się podczas przesłuchania prowadzonego przez Pauline Berg, kłamiąc w żywe oczy, ze strachu przed konsekwencjami. Jednak jej zachowanie wzbudziło podejrzenia, kobieta zachowywała się nerwowo i drażliwie, jakby jednocześnie gdzieś w duszy sprzeciwiała się ukrywaniu dowodów w sprawie o zabójstwo. W końcu jej własny mąż wydusił z niej, w czym rzecz, i po wielu dyskusjach z żoną skontaktował się z Berg. Przywiózł też na komendę telefon.

Berg pogroziła Simonsenowi palcem.

– Straciłam cholernie dużo czasu przez tę idiotkę.

Inspektor przyznał jej rację, zdobył się też na pojednawczy ton, licząc, że okaże się zaraźliwy. I o dziwo podziałało.

– Wiem, że powinnam nieco wyluzować... – przyznała Pauline. – Ale...

Nagle do oczu napłynęły jej łzy i Simonsen dostrzegł, jak zaciska zęby. Szybko się opanowała.

– Pytaj dalej, już w porządku – zapewniła bezbarwnym tonem.

– Gdzie znalazła telefon? Wiadomo coś?

– Na podeście, tam gdzie znaleziono zwłoki, tuż przy ścianie po prawej stronie. Leżał odwrócony ekranem do dołu, a jak już wiesz, ma niemal taki sam kolor jak chodnik.

– Jesteś tego pewna?

– Nie, wiem to od jej męża, a nie od tej idiotki... od niej.

Simonsen namyślał się przez chwilę, a potem zdecydował:

– Zabierz swoją koleżankę i jedź z nią do Hvidovre. Niech ci dokładnie pokaże, gdzie znalazła telefon, a ja obiecuję pomówić z jej przełożonym przy najbliższej okazji.

Berg tylko miną wyraziła, jak bardzo wierzy w tę obietnicę.

* * *

Nastała połowa września, zazwyczaj zapowiadająca deszcz i wiatr, ale nie tym razem. Upał nie odpuszczał, na świecie działy się wielkie rzeczy. Mię-

dzynarodowe rynki walutowe pikowały, do duńskiego przedostawały się nowe, zabawne wyrażenia: kredyty hipoteczne typu subprime, obligacje zabezpieczone długiem czy fundusze hedgingowe. Niby nic, co powinno obchodzić porządnych obywateli, ale szybko okazało się, że jednak musi. Bo nagle zaczął się kryzys finansowy. Banki domagały się wsparcia z państwowej kasy, a państwo dobrobytu znalazło się pod presją. Ludzie już nie mogli sobie na wszystko pozwolić.

Pewnego nieznośnie ciepłego przedpołudnia w hali magazynowej Express Flyt w Hvidovre udało się zdobyć nowe elementy układanki w sprawie Nielsena, choć nie było ich zbyt wiele i z pewnością nie zapowiadały znalezienia sprawcy.

Simonsen i Pedersen pracowali wspólnie. Pełniący obowiązki szefa wydziału zabójstw wspierał tego rzeczywistego. I chociaż sprawa została zaklasyfikowana jako śledztwo dotyczące zabójstwa, to Simonsen odnosił wrażenie, że Pedersen przyjechał do Hvidovre nie tylko po to, aby pomóc mu podczas przeszukania, ale również żeby zorientować co do jego samopoczucia. Nigdy jednak o to nie zapytał, nie chcąc wprawiać kolegi w zakłopotanie. Poza wszystkim przyjemnie było podzielić się zadaniem przeszukania ruchomości Nielsena, bo sama praca była nudna i łatwo przeoczyć jakiś szczegół, gdy mózg się lasuje, a ciało spływa potem w nagrzaną, niewietrzoną hali. Zwłaszcza że nie wiedzieli, czego dokładnie szukają.

Firma przeprowadzkowa uprzejmie przygotowała im miejsce pracy – solidną płytę wiórową wielkości stołu do ping-ponga, wspartą na solidnych kołach. Od czasu do czasu przychodził właściciel z kawą, herbatą czy lemoniadą. Drugiego dnia, we wtorek, gdy nieznośny upał jeszcze przybrał na sile, właściciel zorganizował nawet przedłużacz i wentylator stołowy, żeby nieco ulżyć policjantom.

Pedersen trzymał w dłoni aparat fotograficzny.

– Leica M-cztery. Najnowocześniejszy model pod koniec lat sześćdziesiątych, musiał wtedy kosztować majątek i nie zdziwiłbym się, gdyby nadal tak było. Mówimy o prawdziwej perełce, spójrz tylko na ten sprzęt.

Simonsen podniósł wzrok znad stery papierów, które właśnie przeglądał. Oględziny nie sprawiły, że stał się choć odrobinę mądrzejszy.

– Na co mam spojrzeć? Moja wiedza o fotografowaniu jest dość ograniczona.

– To jest powiększalnik. Jeżeli się nie mylę, pochodzi z tego samego okresu co aparat. A tutaj masz teleobiektywy, statywy, projektory oraz kuwety, minutnik, szczypce, utrwalacz, komory bezcieniowe, papier fotograficzny, właściwie wszystko, co jest potrzebne w ciemni. Wywoływał zdjęcia w tradycyjny sposób. Dzisiaj to wszystko robi się w komputerze.

– Zdawałem sobie z tego sprawę, ale nigdzie nie znalazłem zdjęć. Oczywiście oprócz tych ze strychu. Nie dotarłem też do żadnych negatywów, ale pewnie gdzieś są.

– Z pewnością, mamy do przeszukania jeszcze z milion skrzynek.

– Nawet o tym nie wspominaj.

Za moment Pedersen wrócił do tematu.

– Ciemnia wymaga dostępu do bieżącej wody oraz odpływu. Ustalenie, czy Nielsen dysponował czymś takim, nie powinno być trudne. Ci, którzy sprząтали jego mieszkanie, powinni coś na ten temat wiedzieć, sprzedawca z lokalnego sklepu fotograficznego zresztą też.

– Miał swoją ciemnię, Pauline już to potwierdziła. Tylko, jak już mówiłem, zdjęć i negatywów jeszcze nie udało nam się znaleźć.

– Mogę ci przydzielić paru ludzi. Nie ma powodu, żebyś sam musiał to wszystko wyjaśniać – skomentował po chwili Pedersen.

W uszach Simonsena słowa kolegi zabrzmiały jak echo wypowiedzi Hrabianki, która również regularnie przekonywała go do zwiększenia zespołu śledczego, chociaż w tej chwili nie czuł takiej potrzeby. Odpowiedział to, co zwykle:

– Mam Pauline.

Gdy wymówił jej imię, zerknął z ukosa na Pedersena i dostrzegł lekką grymas irytacji na jego twarzy. Nie żeby go to zaskoczyło, wyraźnie było widać, że ich relacje zawodowe nie należą obecnie do najlepszych. Bez wątplenia przyczyniło się do tego prowokujące zachowanie Berg. Jednak

problem był poważniejszy i Simonsen nie miał pewności, czy szef wydziału zdaje sobie z tego sprawę. Wielokrotnie widział swoją młodszą koleżankę, jak wychodziła zapłakana z toalety czy z jego pokoju telewizyjnego, a przy najbliższej okazji uciekała taksówką do domu. Najprawdopodobniej chodziło o ataki lęku i te jej czarne tabletki.

– A jak się ona właściwie miewa? Jak tam wasza współpraca? – zapytał ostrożnie Pedersen.

– Doskonale.

Odpowiedź mówiła sama za siebie, ale Pedersen się nie poddawał:

– Jej zachowanie jest skandaliczne i robi się coraz gorzej.

– Nie w stosunku do mnie.

Simonsen pracował dalej ze stoickim spokojem.

– Wiedziałaś, że gdy boi się być sama w nocy, potrafi zgarnąć do siebie jakiegoś faceta z hotelowego baru albo knajpy?

– Nie, nie wiedziałem i wolałbym nadal nie wiedzieć.

Podniósł głos, a jednocześnie utkwiał w swoim dawnym podwładnym nieruchome spojrzenie.

Milczenie się przedłużało, a Pedersen czuł się niezręcznie. W końcu lekko zdenerwowanym głosem wrócił do rozmowy, wskazując na stertę papierów, którą zajmował się Simonsen.

– Powiedz mi, czy ten facet nie miał żadnego paszportu ani prawa jazdy? Jakiegokolwiek dokumentu ze zdjęciem?

– Nie, ani paszportu, ani prawa jazdy. I nie wiem też o żadnym dokumencie ze zdjęciem. Może tutaj coś znajdziemy.

– Zaczyna mnie irytować. Jak to w ogóle możliwe, żeby przejść tak samotnie przez życie? Aż mi go szkoda.

– Pozory często mylą. Kto wie, czy któraś z tych skrzyń nie odsłoni tajemnic z jego życia w całej okazałości.

– Wiesz, Simon, zawsze ci zazdrościłem tego twojego optymizmu. Ja sam zaczynam już wątpić.

– Zamilknij na moment.

Jakaś myśl przemknęła Simonsenowi przez głowę, coś ważnego, czego nie zdołał uchwycić. Ogarnęło go poczucie, że dostrzega jakiś związek, choć jego istota gdzieś się ulotniła. Na darmo próbował wrócić myślami do tego przebłysku pamięci.

– Mógłbyś powtórzyć to, co przed chwilą powiedziałeś?

– Zawsze ci zazdrościłem tego twojego optymizmu. O to chodziło?

Usiłował się skoncentrować, ale było za późno. W końcu się poddał, mając nadzieję, że ten impuls pojawi się znowu później. Często się tak zdarzało, gdy się nie zapierał.

– To tylko luźna myśl, ale niestety mi uleciała. No więc wydaje mi się, że to ta katastrofa lotnicza sprawiła, że życie Nielsena się zatrzymało.

– Jaka katastrofa?

Simonsen doszedł do wniosku, że nie dałoby się posądzić Pedersena o zbyt dokładne czytanie przesyłanych mu raportów. Mimo to powściągnął irytację i cierpliwie wyjaśnił, o co chodziło.

Trzy godziny później, po trzydziestu kolejnych skrzyniach, zbliżali się do końca. Efekty ich działań nie były zbyt imponujące. Przeszukanie rzeczy listonosza, a zwłaszcza pozostawionych przez niego papierów i dokumentów, które w większości potwierdzały zamiłowanie do matematyki, nie wniosło niczego istotnego do sprawy. Przeczesanie ruchomości potwierdziło jedynie istnienie tego, czego nie udało im się znaleźć – zdjęć i negatywów.

Simonsen próbował sobie wmówić, że nie napocił się na darmo. Mimo wszystko udało się zebrać sporo drobnych informacji, które pewnego dnia mogą okazać się przydatne w szerszym kontekście. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Życzliwą atmosferę panującą zazwyczaj między Simonsenem a Pedersenem udało się dość szybko odbudować, a żaden z nich nie wspominał już więcej o Berg. Milczeniem pominięto też fakt, że Simonsen pracował dzisiaj powyżej ustalonego limitu czasowego. Żaden z nich nie miał najmniejszej ochoty zajmować się skrzyniami również następnego dnia.

Simonsen zabrał się za przedostatnią skrzynię. Była wypełniona książkami i zapewne zbyt ciężka dla pracowników firmy przeprowadzkowej,

ale przecież sami wypchali ją po brzegi.

– Do diabła, ale z nas matoly!

Pedersen uniósł wzrok.

– O co chodzi?

– No powiedz mi, co się zwykle znajduje w środku aparatu fotograficznego?

Odnaleźli leicę i stwierdzili, że zrobiono nią cztery zdjęcia.

– Jeżeli ludziom z wydziałowi techniki operacyjnej wywołanie tych zdjęć ma zająć dwa tygodnie, to sam, do cholery, zaniosę film do tego lokalnego fotografa – zastrzegł Simonsen.

Pedersen obiecał sprawdzić, co zdoła zrobić w tej sprawie.

* * *

Haszyszowy debiut inspektora policji kryminalnej Konrada Simonsena przypadł na przypadkowe czwartkowe popołudnie, odbył się na trawniku w Søllerød i nie zakończył się żadnym spektakularnym sukcesem. Simonsen oczekiwał większych wrażeń i nieco się rozczarował. Trzy konopne ciasteczka, których pochodzenia Hrabianka nie chciała mu zdradzić, okazały się bez smaku, a na efekty ich działania musiał trochę poczekać. Ona sama nie zamierzała uczestniczyć w konsumpcji, więc usadowił się w ogrodzie i czekał na doznania z rosnącym podejrzeniem, że ciasteczka nawet nie leżały koło konopi, tylko zostały zupełnie legalnie upieczone w lokalnej piekarni. Tę teorię miał potwierdzać fakt, że jego partnerka zdobyła je w rekordowo krótkim czasie.

Nieco później postanowił złożyć reklamację. Zamierzał odwiedzić piekarza i wyklócić się o to, że jego wypieki nie zawierały żadnych konopi. Chciał mu wygarnąć na głos, na środku sklepu: „Zdemaskowałem całą piekarnię”. Wyobraził sobie reakcję piekarszowej i zachichotał. A może powinien tylko powtórzyć: „Skórka, skórka” – donośnie i z powagą, i pozwolić kobiecie zgadnąć, o co chodzi. A poza tym sprzedawali tam również nieaktualne gazety. Powinien zabrać jedną z nich ze sobą, żeby się mogła o tym przekonać. Zaśmiał się jeszcze donośniej i wierzchem dłoni otarł łzę z kącika oka. Pozostali klienci z pewnością wezmą jego stronę.

Przestarzałe gazety, to ci matacze. „Może nie mam racji, założymy się?” Wybuch śmiechu sprawił, że rozłożył się na trawie, ale po chwili rechet ustał. Leżał na plecach i spoglądał od dołu na rabatkę Hrabianki, a z tej perspektywy rośliny wydały mu się nieprawdopodobnie wysokie, a do tego lśniły w odcieniach żółci i zieleni. Po chwili trawnik zaczął się przyjemnie kołysać, a Simonsen wyobraził sobie, że siedzi w kajaku niesionym bezwiednie prądem jakiejś egzotycznej rzeki – krzewy fuksji w oddali zamieniły się w drzewka mandarynkowe porastające brzeg rzeki, a gdy wysunął język, poczuł, że bryza wiejąca nad wodą ma smak słodkiej marmolady. I to by było na tyle. Liczył na spotkanie z diamentową dziewczyną gdzieś w obłokach, tak, a nawet uważał, że ma do tego prawo, ale ona się nie pojawiła. A potem zapadł w sen.

Pogoda się zmieniła, ze wschodu nadciągnął niż, a temperatura w Kopenhadze ponownie stała się akceptowalna. Zażółciły się pierwsze liście, ludzie powyciągali z szaf wiatrówki. W wydziale zabójstw Simonsenowi udało się tymczasem wreszcie ustalić, co było na zdjęciach wykonanych przez Nielsena. Wywołano kliszę z aparatu listonosza, a inspektor wraz z Berg pokazali odbitki Pedersenowi, który niespiesznie przyglądał się pierwszej fotografii, co miało dowodzić jego zainteresowania sprawą. Zdjęcie było piękne, niemal zbyt piękne, a tym samym nieco nudne. Ponad monumentalnym krajobrazem urwistych skał zachodziło nisko słońce, którego promienie odbijały się w ołowianoszarym fiordzie. Czas się zatrzymał, fotograf uchwycił niekończący się dzień. Pedersen sięgnął również po pozostałe zdjęcia – temat był ten sam, chociaż różniły się motywami. W pewnym momencie, tknięty przecuciem, zerknął na prawy dolny róg monitora i odezwał się niezdecydowanym głosem:

– Widziałem ostatnio coś takiego. To było w... czy to nie z...

– W jednej z tych ilustrowanych książek przyrodniczych o Norwegii, którą wypożyczył Nielsen, tej, która nadal leży w magazynie Express Flyt. Swoją drogą kara za nieterminowe oddanie książki ciągle rośnie.

– *Lofoty w fotografii?*

– Pudło. *Zdjęcia z Lofotów.*

- Robił zdjęcia ze zdjęć?
- Właśnie, a do tego z wykorzystaniem najlepszej fachowej wiedzy.
- Po jaka cholere to robił?
- Wydaje mi się, że na swój strych.

Wyraz twarzy Pedersena wskazywał, że potrzebne będą dodatkowe wyjaśnienia.

- Z nich i ze zdjęć tej nieżyjącej dziewczyny tworzył coś na kształt plakatów, które potem rozwieszał na strychu - odezwała się nad wyraz uprzejmie Pauline. - Gdzieś musi mieć też negatywy jej zdjęć, ale jeszcze ich nie znaleźliśmy.

Simonsen spojrział na nią zdumiony.

- Dlaczego twierdzisz, że ona nie żyje?
- To chyba dość oczywiste. Czy się mylę?

Pedersen nie miał na ten temat zdania. Simonsen natomiast, ku własnemu zaskoczeniu, pomyślał, że zgadza się z Pauline.

Rozdział 4

Kochali się przewidywalnie, ostrożnie i delikatnie. Żadne z nich nie czuło potrzeby, aby potem o tym rozmawiać, słowami tak łatwo było zranić, a poza tym nie musieli nic dodawać.

Hrabianka usiadła i podłożyła sobie pod plecy poduszkę. Odruchowo naciągnęła kołdrę, by zakryć piersi. Potem poprawiła włosy, przeczesując je kilkukrotnie palcami.

Niedzielny poranek powoli się kończył.

Simonsen poczuł przemożną ochotę na papierosa, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Dobrym zamiennikiem okazałby się pewnie spacer, a właściwie przebieżka, bo tak już mógł nazywać swoje sportowe wyczyny. Potrafił teraz przecież przebiec około jednej trzeciej swojej codziennej trasy. Inną alternatywą był sen, co wydawało się mało osiągalne. Zaczął się zastanawiać, czy od dzisiaj będzie spał w miejscu, w którym się właśnie znajduje, czyli w łóżku Hrabianki, czy też może na pierwszym piętrze. Może się spodziewała, że już z nią tu zostanie. Niełatwo byłoby jej wytłumaczyć, że najchętniej nadal spałby sam. Nawet mu nie przyszło na myśl, że ona też mogłaby potrzebować samotności w łóżku. Odsunął swoją dłoń spoczywającą na jej kolanie. Była lepka i ciepła, wytarł ją dyskretnie w kołdrę, starając się, by tego nie zauważyła. Następnie założył ręce za głowę, spojrzał jej w twarz i zapytał:

– Czy kiedykolwiek zostałaś oddelegowana do jakiejś demonstracji?

– Masz na myśli taką agresywną? Bo do demonstracji oddelegowywano mnie wielokrotnie.

– Tak, chodzi mi o taką z użyciem przemocy. Naprawdę agresywną, taką, podczas której wszystko wydaje się kompletnie nieprzewidywalne i w końcu człowiek przestaje myśleć tylko o sobie.

– Nie, właściwie to nigdy. Po pierwsze, gdy byłam młoda, w trakcie takich akcji funkcjonariuszki zazwyczaj trzymano w odwodzie. Chociaż nigdy nie mówiono o tym wprost. A po drugie, nie pełniłam służby podczas tych rzeczywiście wielkich demonstracji, tych, które gromadziły prawdziwe tłumy. W przeciwieństwie do ciebie.

To prawda.

Gdy Simonsen był młodym funkcjonariuszem, pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, demonstracje trwały nieprzerwanie. W każdym razie tak to zapamiętał. Demonstracje w sprawie podwyżek i poprawy warunków pracy, równouprawnienia kobiet, a ponadto jednego dnia demonstracje przeciwko broni jądrowej, a kolejnego przeciwko członkostwu Danii we wspólnotach europejskich, a jeszcze tydzień później przeciwko rakietom średniego zasięgu. Do tego demonstracje studentów przeciwko ministrowi edukacji, niezależnie od tego, kim był i co robił. I jeszcze wszelkie możliwe demonstracje poparcia: dla ludności Palestyny, uciśnionych w Ameryce Środkowej, Christianii i wielu innych miejscach, o których już zapomniał, czy sprzeciw wobec dyskryminacji rasowej w Afryce. Demonstracje w Kopenhadze gromadziły często ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, stosunkowo młodych. Takie były czasy, to nie był wyłącznie duński fenomen. Sytuacja w całym zachodnim świecie wyglądała podobnie, a nierzadko jeszcze gorzej – zabici demonstranci, a w konsekwencji agresja pozostałych uczestników manifestacji, również funkcjonariuszy. Deutsche Oper w Berlinie Zachodnim w 1967 roku, Paryż w 1968, Uniwersytet Stanowy w Kent w 1970 roku.

Chciewie połączyć jej przynętę. To prawda, został skierowany do kilku większych protestów.

– Najgorsze okazały się demonstracje przeciwko interwencji w Wietnamie. A także szczyt Banku Światowego, ten był paskudny. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się wtedy bałam. Miałem kolana jak z waty, drżały tak, że martwiłem się, że koledzy to zauważą, ale pewnie czuli po prostu ten sam strach. Niestety wtedy tak o tym nie myślałem, gdy stałem w pierwszym szeregu w hełmie, z tarczą i pałą niczym jakiś żołnierz na wojnie, o której nie miałem pojęcia. To było przerażające.

– To była też część pracy.

Chciała go wesprzeć swoim komentarzem, wyczuła to po tonie jej głosu. Jednak ku swojemu zaskoczeniu zareagował dość ostro:

– Praca była wyborem, mogłem dokonać innego, złożyć wypowiedzenie, poszukać innej. Nikt mnie nie zmuszał do bycia policjantem. To żadne wytłumaczenie.

Jej dłoń powędrowała do czubka jego głowy i ostrożnie pogłaskała miejsce, które wcześniej porastały włosy.

– Potrzebujesz takiego wytłumaczenia?

Zignorował jej pytanie i ciągnął dalej ponurym tonem:

– Gliniarz, pies, świnia, lokaj, faszysta, czarna bestia i parę innych określeń, którymi mnie wtedy obrzucano.

– Przecież nie wszyscy tak się do ciebie odnosili.

Robili to demonstranci i jak on ich wtedy nienawidził. Ich długich włosów, haseł na transparentach, tej ich elokwencji i solidarności, nienawidził tego wszystkiego razem. Przede wszystkim jednak nie znosił tego ich bezkarnego braku szacunku, sposobu, w jaki z pogardą niszczyli wszystko to, w co on wierzył i o co przez całe życie w pocie czoła walczyli jego rodzice, te tradycyjne wartości, które umierały jedna po drugiej podczas aroganckich pieśni i okrzyków radości demonstrantów. Nie, źle zapamiętał, najbardziej ze wszystkiego nienawidził ich odwagi – ich zaangażowania i właśnie tej odwagi.

– Demonstranci się nie bali. Walczyli o swoją sprawę i czuli solidarność.

W jego głosie nie było teraz nienawiści, raczej zdziwienie.

Hrabianka skrzętnie wyłapywała wszelkie dwuznaczności.

– Ty tego nigdy nie zaznałeś, bo stanąłeś na straży ustalonego porządku?

– Tak, stałem na straży. Przed amerykańską ambasadą z widokiem na falujące morze wściekłości, niczym tarcza strzelnicza, odpowiedzialny za czyjeś błędy. Ja przecież, do cholery, nigdy nie rzucałem bombami napalmowymi w dzieci ani nie zrzucałem *bombies* na wioski.

I te niekończące się czerwone flagi. Niekiedy były to zwykle czerwone szmaty nasunięte na bambusowy patyk, innym razem eleganckie sztandary związków zawodowych. Nie pochwalał zaangażowania USA w Wietnamie, ale niezależnie od tego, co twierdzili ci wszelkiej maści rozpuszczeni hipisi, to przecież Stany Zjednoczone, w przeciwieństwie do Związku Radzieckiego, były demokracją. Tam na wschodzie nie było żadnych młodzieżowych demonstracji, w każdym razie tych wymierzonych we władzę, bo podziwiane komunistyczne państwo starannie o to zadbało. Jednak foldery i broszury demonstrantów wypełniały zdjęcia wietnamskich dzieci cierpiących podczas okropieństw wojny, natomiast zdjęcia inwazji radzieckich czołgów podczas Praskiej Wiosny rzadko miały okazję ujrzeć światło dzienne. Poza tym wolność tych wszystkich młodych ludzi była przecież opłacana amerykańskimi dolarami przez dwadzieścia pięć lat od drugiej wojny światowej, ale żaden z demonstrantów o tym nie pomyślał.

– Bombardowanie Hanoi w okresie Bożego Narodzenia... Pamiętam, że szwedzki premier osobiście wziął udział w protestach i wtedy przyznawałem mu rację. „Nie możesz uratować wioski, niszcząc ją – paląc pola, burząc domy, więzząc mieszkańców albo ich zabijając”. Jego słowa miały sens, chociaż nie podobały się w USA. Wojna w Wietnamie była okropna, ale nie rozumiałem, co to ma wspólnego z duńską policją, i do dzisiaj tego nie rozumiem. Dlaczego się uśmiechasz?

Usiadł, a ona pocałowała go w policzek.

– Bez powodu, to nie ma znaczenia.

– No, powiedz.

– Bombardowanie Hanoi w okresie Bożego Narodzenia miało miejsce w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, Olof Palme demonstrował przeciwko wojnie w Wietnamie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, gdy był jeszcze ministrem edukacji. Został premierem dopiero rok później, ale to prawda, że jego zaangażowanie wzbudziło niezadowolone Waszyngtonu i prezydent Johnson odwołał ze Szwecji swojego ambasadora.

Niekiedy ta jej wiedza ogólna całkowicie go przytłaczała, zwłaszcza gdy sobie uświadomił, że w czasie, o którym tyle wiedziała, chodziła do przedszkola. A jednak zawsze wydawała się dobrze poinformowana, to było nie do wytrzymania. Nie zdając sobie z tego sprawy, Hrabianka zaprzeczyła jego wyobrażeniu.

– O co chodziło z tymi *bombies*? – zapytała. – Nic mi to nie mówi.

Z irytacją pokręcił głową.

– Ależ to głupie, że zacząłem o tym mówić. Szkoda naszej uwagi.

– Nie, w porządku, Simon.

Uchwycił jej spojrzenie i przez chwilę patrzył jej w oczy.

– Naprawdę w porządku.

Od dawna zdawał sobie sprawę, że od zawału w jego głowie zapanował kompletny chaos. Ale dlaczego właśnie teraz, w najmniej odpowiednim momencie, pomyślał o takich nieprzyjemnych rzeczach, które przez wiele lat leżały głęboko ukryte, nie miał pojęcia. Powinien w takiej chwili okazać jej odrobinę serdeczności i ciepła, zainteresowania – to byłoby, do diaska, o wiele stosowniejsze. Zamierzali przecież wrócić jeszcze do stołu zastawionego śniadaniem, którego nie dokończyli. Nagle zdał sobie sprawę, skąd te nieprzyjemne wspomnienia. Uśmiechnął się do siebie i powiedział:

– Nie wiem, dlaczego wracam do tych starych bzdur. To się zaczęło po mojej operacji.

– Nie zawsze da się wszystko wyjaśnić.

Może miała rację, jak zwykle.

– Od tego czasu jak zarazy wystrzegam się kilku słów – powiedział cicho. – Wszystkie po angielsku – jedno z nich to *bombies*, które oznacza miny przeciwpiechotne wielkości piłeczek tenisowych. Przypominają zabawki.

– O mój Boże.

– Tak, łagodnie mówiąc. A do tego *crowd control*.

Jako młody funkcjonariusz ponownie zasiadł w szkolnej ławie – wówczas te spędy nazywano szkoleniem, ale to bez znaczenia. *Crowd control* –

nowe, zgrabne pojęcie, atrakcyjnie brzmiące w sali lekcyjnej. Policja miała kontrolować tłum, ale nawet najbardziej wyszukana nazwa na niewiele się zdawała, gdy policjanta od żelaznego ogrodzenia ambasady dzieliły nie więcej niż trzy metry, a przed sobą miał do dyspozycji kawałek ziemi niczyjej podobnej szerokości – niewielkie pole manewru, chroniące go przed zmiążdżeniem przez tłum. Wtedy *crowd control* sprowadzało się do brutalnej walki o przeżycie, z czego doskonale zdawali sobie sprawę ci wszyscy decydenci. Niestety dopiero wtedy to sobie uświadomił. *Crowd control...*

Prychnął z pogardą.

– Powinni to raczej nazwać *generation control*, wtedy wiedzielibyśmy, z czym przyjdzie nam się zmierzyć.

Odrzucił kołdrę na bok i wstał.

– Przecież ty też należałeś do tego pokolenia, chodzi mi o to, że ty również miałeś prawo tam być.

– To były inne czasy... Ci o poprawnych poglądach domagali się tolerancji, choć sami nią nie grzeszyli. Idziemy do łazienki?

Zaskoczona Hrabianka przez chwilę zastanawiała się nad jego propozycją, a potem się roześmiała.

– W sumie czemu nie? Ale najpierw opowiedz mi o tej demonstracji.

Odezwał się smutnym głosem:

– Właśnie wtedy po raz pierwszy zapaliłem. I tylko Bóg jeden wie, jak mi się teraz chce palić.

– Stałeś tam i paliłeś?

– A jak ci się wydaje? Oczywiście, że nie, to był tylko skutek.

– Opowiedz.

– Później, później. Mam wrażenie, że jutro będę musiał stanąć przed całym Kościołem katolickim. Zobacz, to dopiero będzie godny przeciwnik, a grupa długowłosych hipisów nie może się z nim równać. Może byś mnie wsparła swoją błyskotliwością? Sporo czytasz dla przyjemności, a ja nie zdążyłem się przygotować do tego spotkania.

– Tylko pod warunkiem, że przestaniesz się na mnie tak gapić.

Ubiegła go i zdążyła zająć lepsze miejsce pod prysznicem.

* * *

Duchowny przyjął Simonsena na tarasie ze stołem, na którym stały filiżanki do herbaty. Gospodarz domu je napełnił, tymczasem inspektor wodził wzrokiem po małym zadbanym ogrodzie, żeby ocenić, czy wiatr zabawiający się z wierzbą nie spowoduje za wiele szumu w jego dyktafonie. W końcu umościł się wygodnie i spojrzał księdzu prosto w oczy. W innych okolicznościach byłoby to zapewne całkiem miłe spotkanie, jednak wyraźne obiekcje ze strony duchownego od razu wprowadziło pewne napięcie.

– Już na wstępie chciałbym powiedzieć, że prawdopodobnie mamy problem. Jak pan zapewne wie, Jørgen Kramer Nielsen był członkiem naszego kościoła, w związku z czym jako jego spowiednik dysponuję informacjami, którymi nie mogę się z nikim podzielić.

Jasno i bez niedomówień. Simonsen zmarszczył brwi, zachowując przy tym srogą minę, chociaż ksiądz już po chwili starał się nieco załagodzić sytuację, zapewniając, że dołoży wszelkich starań, aby pomóc w śledztwie.

– Musi pan wiedzieć, że jeżeli odmówię odpowiedzi, nie będzie to wynikać z mojej złej woli.

Uśmiechnął się przeproszająco, na jego twarzy malował się stoicki spokój, a Simonsen domyślił się, że nawet nie warto zacząć protestować.

– Tak, skoro nie mogę nic na to poradzić, muszę to zaakceptować.

Zastrzeżenie duchownego nie było dla niego niespodzianką. Wziął pod uwagę te ograniczenia, choć najchętniej zignorowałby te religijne wykręty, które teraz wybrzmiały niczym wstęp do modlitwy. Próbował zyskać na czasie.

– Czy nie może się ksiądz wypowiadać nawet po śmierci wiernego? Sądziłem, że tajemnica spowiedzi dotyczy wyłącznie żywych.

– Śmierć niczego nie zmienia.

Inspektor milczał i się namyślał. Ksiądz czekał cierpliwie, a na dodatek swoim uprzejmym zachowaniem starał się sprawić, by przedłużająca się

cisza nie wydała się aż tak krępująca. Czy ciało, siedzące dwa metry od Simonsena na krześle ogrodowym, rzeczywiście potrafiło być takie uprzejme? W przypadku księdza okazało się to możliwe. Zachowanie duchownego zapraszało do otwartości, mimo że on sam nią nie grzeszył. W zasadzie dość imponująca umiejętność. Simonsen wrócił do rozmowy.

– Zdaje sobie ksiądz sprawę, że niechęć do przekazania istotnych informacji dotyczących popełnionego przestępstwa może skutkować odpowiedzialnością karną? Taka postawa nie jest chroniona duńskim prawem.

– Tak.

Mężczyzna zgodnie z oczekiwaniem inspektora nadal imponował spokojem, dlatego Simonsen zdecydował się zacząć od zupełnie czegoś innego, niż pierwotnie planował. Był przekonany, że jeżeli dopisze mu szczęście i jego nowa strategia zadziała, dostanie odpowiedź na swoje najważniejsze pytanie. Oczywiście pośrednie pytanie. To jednak lepsze niż nic i z pewnością warte zachodu.

– Opowie mi ksiądz o sakramencie spowiedzi?

Duchowny nie sprawiał wrażenia zaskoczonego pytaniem.

– Co chciałby pan wiedzieć? To temat, o który mógłbym rozprawiać godzinami, gdyby pan sobie tego życzył, ale wydaje mi się, że nie o to panu chodzi.

– Nie, to musi poczekać na następną okazję. Chciałbym wiedzieć, o co mogę księdza zapytać, a o co nie. Skoro już ksiądz powiedział o własnych ograniczeniach, wskazane byłoby również omówienie zasad obowiązujących w Kościele.

– Może pan pytać, o co zechce, bo te zasady pana nie obowiązują.

– Nie, zdaję sobie z tego sprawę, chyba źle się wyraziłem. Nie będę ukrywał, że łagodnie rzecz ujmując, nie jestem przyzwyczajony do takich sytuacji. To znaczy nie chodzi o to, że świadkowie zachowują pewne informacje dla siebie, jak ksiądz zastrzegł na samym początku, do tego jestem dość przyzwyczajony. Nowość polega na tym, że niejako z góry rezygnuję z konfrontacji, przede wszystkim dlatego, że nie bardzo wierzę, że mógłbym ją wygrać. Może niech mi ksiądz po prostu wyjaśni, tak czysto teoretycznie, kiedy obowiązuje księdza tajemnica spowiedzi.

Duchowny zareagował uśmiechem wyrażającym ciche zadowolenie. Po chwili zaczął z zaangażowaniem opowiadać o wyznawaniu grzechów przez wiernych, o niezbędnej skruszce, o wybaczeniu oraz rozgrzeszeniu, które pozwala skruszonemu odzyskać łaskę chrztu.

– Spowiedź może się odbywać w wielu formach. Jedna z nich, i zapewne właśnie ta pana interesuje, to osobista rozmowa z wyznaczonym do tego duchownym.

– Na przykład takim jak ksiądz?

– Tak, mam do tego uprawnienia. Częściowo dzięki przyjętym święceńom, a częściowo na mocy kościelnego pełnomocnictwa, które nazywamy uprawnieniem do sprawowania sakramentu pokuty i pojednania. Jeżeli o mnie chodzi, uważam, że to okropne określenie.

– I to, co ksiądz usłyszy podczas spowiedzi, jest objęte tajemnicą?

– Tajemnicą spowiedzi rozumianą jako całkowite milczenie.

Dolał im herbaty. Simonsen podziękował uprzejmie, próbując się skupić. Chodziło o wycucie czasu – wycucie czasu i łut szczęścia. Postanowił zmienić ton na swobodniejszy.

– Czy nie ma ksiądz nic przeciwko temu, żebym nagrywał naszą rozmowę?

– Nie widzę problemu, proszę bardzo.

– Wspaniale, to znacznie ułatwi mi pracę, musiałbym tylko przedtem zrobić jeszcze próbę dźwięku, żeby wyeliminować ewentualne hałasy w tle.

Wskazał palcem na wierzbę, ksiądz posłał mu wyrozumiałe spojrzenie, a on zaczął grzebać przy dyktafonie, mówiąc do duchownego nieco rozkojarzonym głosem:

– Proszę mi powiedzieć... a ksiądz przed kim właściwie się spowiada, gdy zajdzie taka potrzeba? Nie można chyba rozgrzeszać siebie samego?

– Nie, to tak nie działa. Zwracam się wtedy do swojego biskupa.

– A on zapewne do kogoś jeszcze wyżej w hierarchii?

– Owszem, tak to zwykle funkcjonuje.

Inspektor nie przestawał majstrować przy dyktafonie, który zdawał się nie reagować na jego polecenia.

– Jak często odbywa się taka spowiedź? Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to zależy od grzechów, jeżeli można tak powiedzieć. Ale jak często ludzie się spowiadają? Tak przeciętnie? Jak to na przykład wygląda u księdza? Czy był ksiądz u biskupa w ciągu ostatniego pół roku?

Duchowny się roześmiał. Nie miało sensu mówienie o jakiegokolwiek przeciętnej częstotliwości spowiedzi, ale spróbował odpowiedzieć jak najszczerzej, zadowolony z zainteresowania swoją wiarą.

– Nie, nie byłem u niego w ciągu ostatniego pół roku, od ostatniej spowiedzi minął zapewne już rok, ale od nas, księży, oczekuje się przecież służenia dobrym przykładem, chociaż to nie zawsze się udaje.

Uwadze Simonsena nie umknął grymas na twarzy duchownego. Cierpliwy uśmiech był szczery – szczery jak naga, oczywista prawda.

Ksiądz długo wpatrywał się w wierzbę. Nie było wątpliwości, że właśnie się zorientował, co przed chwilą zaszło. O dwadzieścia sekund za późno. Inspektor odłożył dyktafon do torby, nie był już potrzebny jako pretekst do odwrócenia uwagi. Obserwował smutek na twarzy księdza i się zawstydził. To było dziwne. Wielokrotnie dopuszczał się znacznie gorszych rzeczy w stosunku do świadków, a mimo to teraz dopadły go wyrzuty sumienia. Jeszcze trzy miesiące temu taka sytuacja nie zmartwiłaby go ani odrobinę. Próbował sam siebie przekonać, że jego manipulacja była przecież uzasadniona, bo koniec końców zrobił to dla dobra tego księdza. Chciał za wszelką cenę wyeliminować go z kręgu podejrzanych, a on sam powinien mieć świadomość, że jako sąsiad z dołu i wynajmujący mieszkanie jest oczywistym kandydatem na sprawcę. Albo samodzielnym, albo takim, który z kimś współpracował. Nawet termin jego wakacji sugerował aż nadto, że chciał zapewnić sobie alibi. A do tego jeszcze tajemnica spowiedzi, która w wygodny sposób zwalniała go z odpowiedzi na pytania policji. Nie, Simonsen nie miał powodu do wstydu. A mimo to tak właśnie się czuł.

– Czy to było naprawdę konieczne? – przerwał w końcu ciszę duchowny.

– To moja praca. Wykluczyłem księdza z grona podejrzanych.

– Zniszczył pan spotkanie dwojga ludzi. Nie mógł mnie pan po prostu zapytać?

Simonsen próbował być twardy. Spotkanie dwojga ludzi? Naprawdę trzeba uderzać w takie wysokie tony? A na dodatek to smutne spojrzenie księdza mówiące „Nie ma co ronić łez” – pracował przecież nad sprawą o zabójstwo. Duchowni nie stali ponad prawem.

Jego wymówki nie zdawały egzaminu, słowa księdza mocno go dotknęły.

– Może powinniśmy na dzisiaj zakończyć?

– Tak, to dobry pomysł.

– Mam nadzieję, że uda mi się namówić księdza, żeby w pewnym momencie zajrzał do nas na komendę? Niezależnie od wszystkiego jest jeszcze sporo do omówienia.

– Owszem, w zasadzie nawet nie rozpoczęliśmy rozmowy. Przyjdę na pewno. Proszę zadzwonić, znajdziemy dogodny termin.

– Przykro mi z powodu tego incydentu.

Pożegnali się szybko. Simonsen spieszył się do domu, a duchowny do pracy.

Tego samego wieczoru inspektora odwiedził Pedersen, aby zagrać w szachy. Kolega nie zdążył nawet zdjąć wierzchniego okrycia, gdy zapytał o spotkanie z księdzem. Simonsen zaprosił gościa do kuchni, aby mogli swobodnie porozmawiać. Już wcześniej przygotował szachy i zegar. Sięgnął do lodówki po piwo dla Pedersena, a sobie nalał herbaty.

– Ksiądz nie ma nic wspólnego z zabójstwem – odezwał się w końcu. – Zreferował mu ich rozmowę, nie wdając się w szczegóły, i podsumował: – W ogóle się nie zorientował, na co się zanoszą, ani na wstępie, ani gdy zadałem zasadnicze pytanie, czy sam był niedawno u spowiedzi. Nie był. Nie zauważył nawet, że uważnie go obserwowałem, gdy odpowiadał. Jestem pewny: on nie zabił Jørgena Kramera Nielsena i nie wie też, kto to zrobił. Dam sobie za to uciąć głowę.

– Żadnych wątpliwości? Może przydałoby się więcej pokory wobec własnych ograniczeń?

Simonsen nigdy nie twierdził, że potrafi się zorientować, gdy ktoś kłamie. Niektórzy okazywali się tak zdolnymi kłamcami, że potrafili oszukać każdego, a już na pewno jego. Ale niekiedy, w określonych sytuacjach, umiał jednoznacznie stwierdzić, czy ktoś mówi prawdę. W każdym razie ustalić, czy dana osoba sama wierzy w to, co mówi – a czy kłamała, czy nie, to już inna kwestia. Przesłuchanie duchownego zaliczało się do takich sytuacji.

– Kawał dobrej roboty. To nie byle co, zagiąć takiego faceta za pomocą retoryki – pochwalił go Pedersen.

Simonsen pomyślał, że nie w tym rzecz. Zachowawczość duchownego wynikała z tajemnicy spowiedzi, a nie z jego złej woli i dlatego miałyby być inaczej? Jeśli się na to spojrzy z perspektywy księdza, nie było powodu, by mieć się na baczności. Nie zrobił przecież nic niewłaściwego. Chociaż, do diaska, nie było to wiadome od samego początku. Spotkanie dwojga ludzi – jakieś bzdury, przecież inspektor nie zachował się nieetycznie, naprawdę nie. Mimo to najchętniej zapomnieliby o całej rozmowie. W odpowiedzi wymruczał coś niewyraźnie. I można to było interpretować na różne sposoby.

– Podobno na tych seminariach duchownych przez lata ćwiczą te swoje scholastyczne metody – ciągnął niezrażony Pedersen.

– A jeśli chodzi o sprowadzenie roli Kościoła katolickiego do mrocznej sekty, która pierze mózgi swoim wyznawcom – w tym przypadku nie ma o tym mowy. Nasz ksiądz studiował siedem lat w St Michael's Pastoral Center w Dublinie i ukończył kilka bardzo renomowanych kursów. I nie ma znaczenia, jakie standardy akademickie masz na myśli. Same modlitwy i nauka na pamięć tu nie wystarczą.

– Nieprawdopodobne, jak wiele wiesz o katolicyzmie. Musiałeś się dobrze przygotować.

– A żebyś wiedział.

– Powinien sobie przecież zdawać sprawę, że jest najbardziej oczywistym podejrzanym. A jednak odmówił odpowiedzi na twoje pytania. Co on

sobie wyobrażał? Myślał, że w sprawie o zabójstwo będzie go chronił immunitet?

– Zapędzasz się, nasze spotkanie przebiegało zupełnie inaczej. Moim zdaniem to bardzo przyzwoity człowiek. Raczej po prostu nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby podejrzewać go o jakieś przestępstwo, tym bardziej o zabójstwo. To jest dla niego kompletnie niepojęte.

– Niewinny nie dostrzega winy w kimś innym.

– No tak, można by tak powiedzieć.

– Co w takim razie? Skończyliście ten temat?

– W żadnym wypadku. Przerwałem spotkanie, a kolejna runda odbędzie się u nas w komendzie. Myślę, że dołączy Hrabianka albo Pauline. Dam ci znać w swoim czasie.

Pedersen podziękował.

– Wiesz już, kiedy wracasz na swoje miejsce? Chodzi mi o szefowanie. Zakładam, że to nie kwestia miesięcy? – zapytał.

Simonsen też nie znał odpowiedzi, decyzja należała do lekarza. I do Hrabianki, która z pewnością wtrąci w tej sprawie słówko, był o tym przekonany. Zignorował pytanie i wskazał na szachownicę.

Partie szachów między Simonsenem i Pedersenem przerodziły się z czasem w dość tendencyjne rozgrywki. Gdy jeszcze żył dawny szef inspektora, Kasper Planck, Simonsen przez wiele lat grywał z nim w szachy ku obopólnemu zadowoleniu, między innymi dlatego, że byli na tym samym poziomie. Po śmierci Plancka miejsce partnera szachowego zajął Pedersen. Pierwsze rozgrywki należały jeszcze do Simonsena, ale to już zamierzchła przeszłość. Teraz Pedersen wygrywał w zasadzie każdą partię i to bez specjalnego wysiłku. Po prostu miał talent, chociaż nie interesował się przesadnie szachami. Dla niego liczyło się przede wszystkim wspólne przyjemne spędzanie czasu, czego nie można było powiedzieć o jego szachowym przeciwniku.

Simonsen przez dłuższą chwilę myślał nad utraconą figurą, aż w końcu, licząc na cud, zapytał z nadzieją w głosie:

– Kolejny ruch chyba już nie ma sensu?

– Obawiam się, że nie.

Podali sobie dłonie, taki mały rytuał, starannie przestrzegany po zakończeniu ostatniej partii, nigdy pierwszej.

– Nie znudziło ci się jeszcze? – zapytał Simonsen. – Nie jestem już w stanie być dla ciebie godnym przeciwnikiem.

– Nie, nie znudziło. Przeciwnie, cieszę się na te nasze szachowe spotkania. Mam nadzieję, że nie zamierzasz z nich zrezygnować tylko dlatego, że wygrywam nieco częściej od ciebie?

Simonsen powtórzył za nim szyderczo:

– Nieco częściej od ciebie. Bzdura, wygrywasz za każdym razem.

– Niech będzie, że za każdym razem. Prawie, bo przecież ostatnio był remis.

– To było przedostatnio i tylko dlatego, że prawie usnąłeś ze zmęczenia.

Pedersen ponownie ustawił figury na szachownicy, a Simonsen przeanalizował swoje błędne ruchy.

Wieczór okazał się bardzo udany i obaj tego potrzebowali. W pewnym momencie przysiadła się do nich Hrabianka, a jej obecność nie zmieniła atmosfery. Operacja serca Simonsena zbliżyła do siebie Hrabiankę i Pedersena. Nie zawsze tak było. Jeszcze zupełnie niedawno z trudem znosił swoją obecność na gruncie pozazawodowym.

Gdy Pedersen zbierał się do domu, zbliżała się północ. Przed wyjściem powiedział, że ma dla nich wiadomość, że chce im coś przekazać – skoro już są tu we troje, jak się wyraził. Sięgnął dłonią do miejsca, gdzie zazwyczaj znajdował się węzeł krawata, i zarejestrował, że nie ma go na sobie. Dla pewności sprawdził też drugą ręką. Simonsen i Hrabianka spojrzeli po sobie, aż za dobrze znali ten gest.

– Arne, byłbyś najgorszym na świecie graczem pokerowym – stwierdził Simonsen. – O co chodzi? Mów.

– Nic takiego. I tak bym wam tu jutro przekazał, ale, no więc, przyszła do mnie, tak ni stąd, ni zowąd, bez zapowiedzi, no tak, myślę, że mnie kontroluje, próbuje przyłapać na jakichś błędach czy czymś w tym ro-

dzaju, a potem usiadła, obdarzając mnie tym swoim chłodnym spojrzeniem...

– Czekaj, czekaj – wtrącił się Simonsen.

Pedersen zamilkł. Inspektor musiał ponownie go zmobilizować do mówienia.

– Zakładam, że mówiąc ona, masz na myśli naszą szefową.

– Możecie mówić, co chcecie, ale ona na mnie poluje.

Hrabianka wstała, podeszła do Pedersena i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Posłuchaj mnie. Prawda jest taka, że świetnie sobie radzisz na stanowisku szefa wydziału zabójstw, lepiej niż przypuszczaliśmy, a pani komendant jest bardzo zadowolona z twojej pracy. Musiałaby być głupia, żeby oceniać cię inaczej.

– Ona nie jest głupia, tylko złośliwa. Ale to oczywiście mój problem, nie wasz. Krótko mówiąc, zakomunikowała mi, że możesz teraz samodzielnie decydować o swoim czasie pracy, Simon. A my mamy się nadal przyglądać i pilnować, żebyś nie przesadził. Podkreśliła, że mam to mieć na uwadze. A do tego nie możesz na razie pełnić żadnej kierowniczej funkcji. Przykro mi z tego powodu, ale doskonale to rozumiem.

Simonsen i Hrabianka z trudem powstrzymali śmiech. Już dwa dni temu dotarła do nich ta wiadomość, powtarzana teraz przez Pedersena. A swoją drogą, uzyskali ją dzięki rozmowie telefonicznej Hrabianki z komendantką, która odbyła się za wiedzą i aprobatą Simonsena.

Gdy za gościem zatrzasnęły się drzwi wejściowe, Hrabianka oceniła:

– Simon, będziesz musiał coś wymyślić. On się przecież naprawdę jej boi. Nie sądziłam, że jest aż tak źle.

– Racja, nie wygląda to najlepiej.

– Nie najlepiej?! To jakaś paranoja. Nie możemy mieć w wydziale dwóch osób, które widzą duchy.

– Masz na myśli Pauline?

– Tak, a kogóż innego?

To fakt. Pauline, a któżby inny? Obiecał, że o tym pomyśli.

Pełniąc funkcję szefa wydziału zabójstw, Simonsen zdążył się przyzwyczaić do tego, że wiele osób prosiło go o spotkanie. Zapytania przychodziły w formie maili, listów, telefonów, a nierzadko ktoś po prostu przychodził do Komendy Głównej, żeby spotkać się z nim tu i teraz. Większość takich osób była przejmowana przez personel niższego szczebla i nigdy do niego nie docierała, niezwykle rzadko musiał się angażować osobiście. Gdy do tego dochodziło, zazwyczaj zwracał się do młodszych funkcjonariuszy z prośbą, aby zajęli się sprawą w jego imieniu.

Interessantów można było zasadniczo podzielić na cztery grupy. Do pierwszej należały osoby z zaburzeniami psychicznymi, doświadczające jakichś nieprawdopodobnych sytuacji, którymi za wszelką cenę chcieli się podzielić z inspektorem. I tak dla przykładu, wystarczyło, żeby podczas oglądania audycji telewizyjnej prowadzący program zrobił określoną minę, a zdaniem zgłaszającego przestępstwo ten podstępnie czyhał na jego życie. Druga grupa obejmowała wszelkiej maści amatorów o jak najlepszych intencjach, święcie przekonanych, że dzięki swojemu sprytowi i roztropności rozwiążą jakąś przedawnioną czy też aktualną sprawę, zazwyczaj dotyczącą zabójstwa. Trzecią grupę stanowili oszuści, ludzie, którzy uwielbiali być przesłuchiwanymi przez policję i wymyślali niestworzone historie, składając z reguły fałszywe zeznania. Do ostatniej – zdecydowanie najgorszej – zaliczali się krewni, którzy nie potrafili się pogodzić ze śmiercią członków rodzin czy przyjaciół i wmawiali sobie, że doszło do popełnienia przestępstwa. Ci nieszczęśliwcy często niezwykle wytrwale próbowali się dostać do wysokiej rangi funkcjonariusza, a gdy im się udało, nie można było się ich pozbyć.

Właśnie dwoje ludzi z tej ostatniej kategorii czekało na Simonsena, gdy we wtorkowy poranek wybierał się do biura. Funkcjonariusz dyżurujący w recepcji zdążył go ostrzec telefonicznie, zanim jeszcze inspektor zjawił się w komendzie. Dlatego też, chcąc uniknąć kontaktu z petentami, wybrał boczne wejście.

Gdy wszedł do swojego biura, zauważył na biurku stertę papierów, starannie ułożoną na klawiaturze komputera, żeby nie mógł jej przeoczyć.

Na samej górze dostrzegł żółtą karteczkę samoprzylepną z informacją, że te dwie osoby, które czekają na niego przy głównym wejściu, przesłały wcześniej jakiś materiał.

Pobieżnie przewertował kilka stron. Pierwsze były wydrukiem trzech długich maili, wszystkich adresowanych do niego, ale przechwyconych przed podwładnych, zanim dotarły do jego skrzynki odbiorczej. Do każdego dołączono uprzejmą odpowiedź, zredagowaną przez funkcjonariusza, którego nazwisko nic mu nie mówiło. Z jednobrzmiących listów wynikało, że kopenhaska policja nie miała możliwości zająć się sprawą. Funkcjonariusz skierował zainteresowanych do policji okręgu północnej Zelandii, dodając lakonicznie na zakończenie: „...szef policji kryminalnej, inspektor Konrad Simonsen, w związku z powyższym nie będzie mógł uczestniczyć w żadnym spotkaniu”. I to była jak najbardziej prawidłowa odpowiedź.

Ostatnie kartki stanowiły kopię raportu z obdukcji i gdy ją przeglądał, zatrzymał się na krótko przy imieniu i nazwisku denatki: Juli Denissen. Coś mu zaświtało. Jakiś rok temu kobieta jako świadek dostarczyła istotnych informacji w związku z porwaniem Pauline Berg. Już później, gdy wszystko się szczęśliwie zakończyło, Simonsen wybrał się z Hrabianką w innej sprawie do Hundested. W drodze do domu zajechali pod mieszkanie Denissen w Frederiksværk, a wtedy Hrabianka podarowała jej swój telefon komórkowy. Jej komórka się zepsuła, a zdaniem Simonsena, na swój sposób zafascynowanej kobietą, ta zasługiwała na nowy aparat. Jednak od tego czasu ani jej nie spotkał, ani o niej nie słyszał, i dawno o niej zapomniał.

Lekko poirytowany zwinął papiery w rulon i przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie wyrzucić ich do kosza, ale wtedy wyjrzał przez okno na ciężkie, szare jesienne niebo. Dzień nie sprzyjał wystawianiu godzinami na dworze. Jeżeli jednak ci ludzie zachowują się standardowo, prawdopodobnie tam czekają. I jutro znów tu wrócą. Zamiast zignorować korespondencję od nich, wyszedł na korytarz, zdecydowany przekazać sprawę pierwszemu lepszemu napotkanemu niższemu stopniem funkcjonariuszowi. Nie było to takie trudne.

Niestety natknął się na Berg.

Większość tego szarego jesiennego wtorku Simonsen poświęcił na czytanie raportów funkcjonariuszy z wydziału kryminalnego, którzy odwiedzili sąsiadów i sklepikarzy w Hvidovre, bo chciał się jeszcze czegoś dowiedzieć o życiu Nielsena. Jednak oprócz kilku notatek, do których zamierzał jeszcze wrócić, lektura raportów nie przyniosła spodziewanego rezultatu, może poza tym, że teraz czuł się jeszcze lepiej zorientowany w prowadzonej sprawie. Wczesnym przedpołudniem odbył spotkanie z komendantką i to takie, które przebiegło znakomicie pod każdym względem, zwłaszcza że wyglądała na zachwyconą pomysłem, który jej przedstawił.

– Simon, skoro już tu jesteś, to chciałabym ci powiedzieć, że godzinę temu otrzymałam informację, z którą powinieneś się zapoznać. Zamierzałam ci ją przesłać, ale skoro już rozmawiamy... – odezwała się, zanim Simonsen opuścił jej biuro.

Obróciła monitor w jego stronę, aby mógł przeczytać wiadomość. Informacja pochodziła od Komendanta Głównego Policji i przypuszczalnie należało ją potraktować jako zalecenie, aby poszczególne okręgi policji uważniej przestrzegwały zakresu swoich obowiązków. Simonsen nie bardzo wiedział, o co właściwie chodzi, co nie było niczym zaskakującym, gdyż zwykle, gdy czytał wiadomości od głównego komendanta, reagował podobnie. Pozostali zresztą też.

– A co to ma ze mną wspólnego?

Pani komendant oparła łokcie na biurku, a potem złączyła opuszki palców obu dłoni, opierając podbródek na palcach wskazujących.

– Właściwie nic. Ale wygląda na to, że Pedersen ma teraz sporo roboty, więc być może ty mógłbyś się tym zająć.

– Zająć czym? Wyrażasz się jeszcze mniej precyzyjnie niż nasz szef.

– Zadzwoń do naczelnika w Frederikslund, najlepiej zanim jeszcze wrócisz do domu. Dowiesz się o całej historii od niego, bo ja mam informacje z drugiej ręki.

Simonsenowi powinny się w tym momencie zapalić lampki ostrzegawcze, ale tak się nie stało. Wróciwszy do swojego biura, uznał, że równie do-

brze może przełożyć rozmowę telefoniczną z naczelnikiem na jutro. I poszedł do domu.

Wieczorem Simonsen i Hrabianka znowu przyjmowali gości.

Malte Borup – pupilek Hrabianki – przyszedł do nich ze swoją dziewczyną Anitą Dahlgren i wspólny wieczór upłynął o wiele przyjemniej, niż inspektor odważyłby się założyć. Hrabianka wynajęła kucharza specjalizującego się w kuchni niskotłuszczowej. Simonsen zdążył się już przyzwyczaić do tego, że od czasu do czasu jego partnerka porywa się na tego rodzaju ekstrawagancje, i chociaż kucharz swą aparycją nieszczególnie reklamował stosowanie kuracji odchudzającej, to pieniądze okazały się dobrze wydane. Kolacja została znakomicie przyrządzona: ostrygi z grzankami, stek z polędwicy wołowej z ryżem i papryką, a na deser sorbet z czarnej porzeczki.

Simonsen tym razem sobie nie żałował, nie miał też najmniejszych wyrzutów sumienia. Po kulinarnej orgii kobiety gdzieś zniknęły, a on został w towarzystwie Borupa, który z zaraźliwym entuzjazmem trajkotał ciągle o działaniu aplikacji HOMS – programu, na który poświęcił większość swoich wakacji i który najwyraźniej stwarzał nieograniczone możliwości jako narzędzie śledcze.

Później grali we czworo w chińczyka. Ostro i bezlitośnie, walcząc o zwycięstwo. Każdy z nich miał swoją strategię. Hrabianka posiłkowała się niestabilnymi sojuszami, Simonsen zdał się na twarde rachunek prawdopodobieństwa, a Borup nie przestawał oszukiwać, choć przyłapywano go na tym za każdym razem. A mimo to wciąż kantował. Reguły gry traktował najwyżej jako sugestie. Wygrała Anita. Uparła się, że musi jej dopisać szczęście, i ta strategia pozwoliła jej wyprzedzić konkurentów dwa razy z rzędu.

Hrabianka odwiozła Borupa i jego dziewczynę do domu. Zanim wróciła, Simonsen zdążył już posprzątać i siedział na sofie, pogrążony we własnych myślach. Na stoliku kawowym ustawił w jednym szeregu pionki do gry, zaledwie kilka centymetrów od brzegu. Usiadła obok niego.

– Zamierzasz teraz zdziesiątkować wojska z powodu swojej przegranej? W takim razie zabraknie nam pionków.

Zdawało się, że usłyszał jej komentarza.

– Tak wtedy staliśmy. W jednym zwartym szeregu, broniąc ambasady, podczas gdy nasz szef siedział w opancerzonym radiowozie lata świetlne dalej. Ale wcześniej dobrze nas do tego przygotowali, naprawdę, terapia pałkowa była dla nas codziennością.

– Demonstranci też nie byli aniołami.

– To prawda, ale dzisiaj próbujemy przynajmniej stłumić przemoc, a wtedy wysyłano nas na bitwę.

– Przypomina mi się, że słyszałam coś o koktajlach Mołotowa i ziemniakach naszpikowanych żyletkami.

– To było podczas szczytu Banku Światowego, a poza tym to przesada. Ja mówię o Wietnamie. Bóg mi świadkiem, że demonstranci nie byli aniołami. Wydawali się przerażający. „Ho! Ho!, Ho Chi Minh, Ho! Ho!, Ho Chi Minh”, krzyczało rytmicznie tysiące ludzi. To dlatego nie mogę znieść meczów piłki nożnej. Sama gra i związana z nią radość jest w porządku, ale nie cierpię tych agresywnych skoordynowanych okrzyków kibiców.

– Szkoda, Simon. Pewnego dnia pokażę ci coś naprawdę pięknego. Co jeszcze?

– Najbardziej obawiałem się falującego tłumu. Nacierał na nas bez trudu. Nasi tak zwani przeciwnicy byli o wiele silniejsi, tylko o tym nie wiedzieli. Podobnie jak nasz nauczyciel z kursu o *crowd control*. Do diabła, jakie on nam wtedy plótł nienawistne bzdury i jak bardzo chciałem mu odpyskować, ale podobnie jak wszyscy inni, schowałem głowę w piasek i skierowałem złość na hipisów i prowokatorów, czyli tę czerwoną hołotę, która musiała oberwać. Strach i złość to obrzydliwe połączenie, zwłaszcza gdy człowiek czuje się wielki i silny... i trzyma w dłoni pałkę, tak jak ja wtedy.

Hrabianka ostrożnie przyznała mu rację, chociaż z trudem za nim na-
dążała.

– *Der Staat ist auf dem rechten Auge blind*, państwo jest ślepe na prawe oko. A w zasadzie całe to młode pokolenie było ślepe na lewe. To jasne, że

musiało dojść do zwania.

– Zapewne tak było.

Przez chwilę wpatrywał się nieruchomo przed siebie, pogrążony we własnych myślach.

– I wtedy pojawiła się ta dziewczyna. Rozdawała róże. Uśmiechnięta i nieustraszona, jakby to było najnaturalniejszą rzeczą na świecie, że przechodziła od jednego do drugiego uzbrojonego funkcjonariusza, oferując mu kwiat, gdy ze wszystkich stron otaczały ją złość i nienawiść. Oczywiście żaden z nas go nie przyjął, ale ona cierpliwie podążała wzdłuż naszego szeregu. Gdy przyszła moja kolej, upuściła bukiet, może została popchnięta, już nie pamiętam. W każdym razie kwiaty wylądowały na ziemi, gdzieś pomiędzy mną a moim kompanem, jakby nieco za nami, z dziesięć centymetrów, a może i pół metra – niezbyt daleko, ale to wystarczyło. Pochyliła się, aby go podnieść, i przerwała kordon, a wtedy uderzyłem ją w ramię, z całej siły. Kiedy opadła na kolana, kopnąłem ją w bok. Miała siedemnaście lat, szczupła siedemnastoletnia dziewczyna, uczennica liceum, która chciała mi podarować kwiat – wyznał cicho.

– O nie.

– O tak. Potem rozpętało się piekło, wszyscy zaczęli się bić, jakby przez cały ten czas tylko na to czekali. Następnego dnia dostałem pochwałę za swoją determinację.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, pozwalając wybrzmieć ciszy. Hrabianka pochyliła się w jego stronę i powiedziała:

– Od dawna potrzebowałeś o tym porozmawiać.

– Nigdy nie miałem z kim. Poza tym wydaje mi się, że wcześniej bym nie potrafił, chociaż chyba coraz lepiej sobie radzę z tymi rzeczami.

– Mówimy o uczuciach.

– Okej, niech będą uczucia. To stało się łatwiejsze, odkąd jesteśmy razem, a zwłaszcza po...

– Po tym, jak mnie uwiodłeś.

Gdy to powiedziała, jego smutek gdzieś się ulotnił.

– No wiesz, jak możesz? To się nazywa fałszowanie historii, a poza tym nie to miałem na myśli.

– Kłamiesz.

– Ani trochę.

– Kłamiesz, przyznaj, że kłamiesz.

– Okej, kłamię, daj już temu spokój. Posłuchaj lepiej o pewnym pomysśle, który mi przyszedł do głowy w związku z Pedersenem. Wiesz zapewne, że nasz ksiądz na czwartkowe przesłuchanie zabierze ze sobą biskupa. I chyba wymyśliłem coś, co pozwoli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Chcesz posłuchać?

– Jeżeli się streścisz.

* * *

Hrabianka uznała pomysł Konrada za rozsądny i oryginalny, co w jej ustach zabrzmiało jak spory komplement, gdyż nie należała do osób zbyt często wyrażających uznanie.

Natomiast Pedersen okazał się nieco bardziej powściągliwy, gdy w środowe przedpołudnie Simonsen poinformował go, co zamierza. Rozmawiali w biurze inspektora.

– Zwariowałaś? W żadnym wypadku nie można do tego dopuścić. Kategorycznie się nie zgadzam.

Simonsen uniósł dłonie w obronnym geście.

– Spokojnie. Wiadomo, że musisz to najpierw przetrwać.

– Niczego nie będę przetrwał, co za idiotyczny pomysł. I co ona niby ma takiego wnieść do całej sprawy? Jest prawniczką i dyrektorką, nie ma bladego pojęcia o przesłuchaniu. A poza tym zupełnie nie ma czasu na takie rzeczy. Dzięki Bogu.

– Znajdzie czas, już się cieszy na to spotkanie i doskonale zdaje sobie sprawę, że ma trzymać gębę na kłódkę i odzywać się tylko wtedy, gdy dasz jej znak.

Pedersen wstał z krzesła i zaczął przemierzać biuro Simonsena tam i z powrotem. Iskra nadziei szybko zgasła.

– Żarty sobie ze mnie stroisz, Simon. Przyznaję, to dość zabawne, ale to tylko żart, prawda?

– Rozmawiałem z nią wczoraj po południu. Mam cię zresztą od niej pozdrowić i pochwalić za ten pomysł.

– To gorzej niż źle. Nie łykasz przypadkiem jakichś środków na uspokojenie, które mógłbym od ciebie wydebić?

– Biorę wiele innych, ale nie takie.

– A co z alkoholem? Masz coś w biurku?

– Kiepski pomysł. Lepiej, żebyś był zupełnie trzeźwy, kiedy będziesz musiał ją wdrożyć w sprawę, co nastąpi już dzisiaj między wpół do czwartej a czwartą. Zarezerwowałem termin w twoim kalendarzu, więc nie musisz się niczym martwić.

– Pomocy, ratujcie.

– Wiedziałem, że mnie wesprzesz.

Przez kolejne trzy godziny pracowali intensywnie i efektywnie. Zwłaszcza Pedersen wykazał się sporą przenikliwością. Świadomość, że ma się później udać do pani komendant i przedstawić jej wyniki, podziałała na jego umysł jak katalizator. Po wielu owocnych dyskusjach zdecydowali się na pięć ogólnych pytań, licząc, że uzyskają na nie odpowiedź następnego dnia podczas przesłuchania księdza w obecności biskupa. Duchowny uparł się, żeby towarzyszył mu jego zwierzchnik.

Pedersen przepisał na czysto listę pytań, wydrukował je, a następnie, trzymając papier w dłoni, zażądał jeszcze jednego omówienia. Wyczerpany pracą Simonsen niechętnie na to przystał.

– Pierwszy punkt dotyczy codziennej relacji księdza z Nielsenem. Chodzi o jego ogólną wiedzę na temat dawnego współlokatora, taką, która nie jest objęta tajemnicą spowiedzi.

– No właśnie, chodzi nam o punkt widzenia współmieszkańca czy też wynajmującego. Wszystko to, co nie ma związku z religią.

– Kolejnym krokiem będzie ustalenia szczegółów dotyczących życia religijnego denata. Część informacji zapewne okaże się objęta tajemnicą, ale musimy się dowiedzieć, dlaczego Nielsen przeszedł na katolicyzm,

a zwłaszcza czy utrzymywał bliższe kontakty z kimś ze swojej parafii, no i kto uczestniczył w jego pogrzebie.

– Ceremonii spopielenia.

– Wszystko jedno. No więc, kto uczestniczył w tej ceremonii. Skupimy się zwłaszcza na ewentualnych przyjaciółach czy też znajomych... Chwila, Simon, poczekaj moment.

– Czekam.

– Jaka jest różnica między pogrzebem a tym spopieleniem?

– To proste. Podczas pochówku tradycyjnego ciało składane jest do ziemi, a w tym drugim przypadku zostaje po prostu wysłane do kremacji.

– A co się dzieje, jeśli zmarły nie ma żadnej rodziny ani przyjaciół? No przecież nie można zapytać zwłok. Wtedy cię kremują czy chowają w ziemi?

– Sądzę, że chowają.

– Nielsen został spalony.

Simonsen namyślał się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział. Odezwał się z wątpliwościami w głosie:

– Wiem, do czego zmierzasz. W jego przypadku Kościół katolicki przejął niejako obowiązek pochówku od państwa, ale nie wiem, czy obowiązują jakieś inne standardy. Możliwe też, że w testamencie Nielsena był jakiś zapis o formie pochówku.

– W tym, który Pauline znalazła pół roku po kremacji zwłok? Myślę, że tę możliwość możemy wykluczyć. I wydaje mi się, że jeśli zdecydowano się na spopielenie zwłok, to ktoś musiał wiedzieć, że takie było życzenie listonosza. No więc ktoś musiał z nim o tym wcześniej rozmawiać. Obstawiam księdza.

– Interesujące. Spróbuję posprawdzać to dla ciebie jutro rano. Możliwie, że wyniknie z tego całkiem dobre pytanie, ale teraz prześledźmy ostatnie punkty, bo zaczynam się robić zmęczony.

To było kłamstwo, ale czuł, że Pedersen nie przestanie drażnić, dopóki nie spotka się z panią komendant. I nie chciało mu się w tym uczestniczyć.

– Trzecim punktem jest spowiedź Nielsena. Czego dotyczyła? Czy duchowny wie o jakichś sprawach, o których i my powinniśmy wiedzieć? Czy religijny aspekt życia Nielsena ma jakikolwiek związek z jego śmiercią? We wszystkich tych przypadkach spodziewam się niechęci świadków.

– Przede wszystkim chcemy się dowiedzieć, czy ksiądz sądzi, że wspólnymi siłami udałoby się nam rozwiązać sprawę zabójstwa, gdyby mógł się z nami podzielić swoimi informacjami

– Główny punkt przesłuchania będą stanowiły hipotezy, zaprzeczenia i różnego typu powiązania, więc jako główny śledczy będę musiał szybko wyciągać prawidłowe wnioski między „nie” a „nie mogę odpowiedzieć”. Wahanie, ukradkowe spojrzenie czy wyraz niepewności mogą się okazać kluczowe. Do tego decydujące będzie tempo, w jakim przejdę do kolejnych pytań. Liczy się wycucie czasu, a nie przesłuchiwanie pod presją – podsumował Pedersen.

Simonsen zgodził się z koncepcją kolegi i pomyślał, że właściwie nie dotyczy ona samego przesłuchania, tylko przedstawienia komendantce przygotowań do niego.

– Szybkie tempo i żelazna logika są kluczem do sprawy – podkreślił Pedersen. – Tak, wszystko się zgadza. Zajmijmy się ostatnim punktem.

Tym razem chodziło o powiązania Nielsena z dziewczyną ze strychu, włącznie z tym, kim była, dlaczego go tak opętała i tak dalej. Ustalenie tego okaże się możliwe, tylko jeśli duchowny ją znał, dlatego od tego pytania trzeba zacząć. Żeby mieć pewność – zaznaczył Pedersen.

– Najważniejsze pytanie: kim jest ta dziewczyna?

– Albo kim była. Sporo o tym myślałem i podobnie jak Pauline sądzę, że nie żyje. To, co Nielsen urządził na strychu, przypomina mauzoleum. Ustalenie, czy dziewczyna żyje, czy nie, to już będzie to duży postęp. Aha, Kurt Melsing obiecał jej zdjęcie na jutro rano. Technicy przygotowali jej portret na podstawie tych fragmentów z plakatów. Kończymy na dziś. Jutro pokażesz, co potrafisz, bo całkowicie panujesz nad sytuacją. A teraz chcę do domu i coś zjeść.

– Chwila. A co z... nią?

Oczywiście miał na myśli komendantkę. Pedersen wyrzucił z siebie jednym tchem:

– A co jeśli na przykład powie... albo zapyta o... a jeszcze gorzej, jeżeli pomyśli, że on...

– Arne, przestań chrzanić. Jesteś znakomicie przygotowany, a poza tym przez większość czasu komendantka zapewne będzie cię zapewniała o swoich najlepszych intencjach – przerwał mu Simonsen.

– Niby z jakiej racji?

– Raczej nietrudno zgadnąć.

– Chyba nie powiedziałeś jej, że się jej boję? Zrobiłeś to?

– A nie boisz się?

– No tak, ale... ale... co ona na to?

– Zrobiło jej się przykro i nie powinno tak być. A ty nie możesz się wiecznie stresować. Od tego można umrzeć.

Rozdział 5

Jesień rozgościła się na dobre. Winorośl porastająca mury ratusza na wprost okien wydziału zabójstw, wychodzących na ulicę Niels Brocks Gade, zmieniała barwy – zmęczona zieleń ustępowała miejsca żółci i pomarańczy, które mieniły się złotem w kroplach łagodnego deszczu poranka. Wkrótce po raz kolejny liście zmieniają kolor i obleją się szkarłatem, a wtedy zdaniem Konrada Simonsena sezon letni będzie można uznać za definitywnie zakończony. Mężczyzna uniósł głowę, spoglądając ponad dach. Jasnoszare chmury, które ledwo dało się wyróżnić na tle srebrzystego nieba, sunęły wolno na wschód, niczym rozrzedzony dym z komina.

Przez to, że wyjechał z domu o tej samej porze co Hrabianka, dotarł do pracy wcześniej niż zwykle. Kobieta miała sporo do zrobienia i potrzebowała więcej czasu, a jednocześnie nie chciała zbyt późno wrócić do domu. Pomyślał, że zapewne i tak jej się to nie uda i że to była z jego strony głupota, aby wyruszyć wraz z nią, skoro każde z nich jechało własnym samochodem, ale to przecież był jego pomysł, więc...

Otrząsnął się z tych rozmyślań, gdy zauważył karteczkę przyklejoną taśmą na samym środku ekranu telewizora, który stał w jego aneksie. Jak tylko ją dostrzegł, od razu wiedział, że to od niej. Nikt poza Pauline Berg nie wpadłby na to, aby umieścić wiadomość w takim miejscu, chociażby z tego powodu, że nikt inny nie znał jego nowego zwyczaju rozpoczynania każdego dnia od przeglądu wiadomości, zanim zabierze się za właściwą pracę.

Oderwał karteczkę od monitora i na widok niewielkiego, a jednak wyraźnego śladu po taśmie klejącej z irytacją pokręcił głową. Czy nie mogła, do cholery, jej przykleić na obudowie? Przeczytał wiadomość i się zdziwił. Berg napisała krótko, że dzisiaj nie będzie jej w komendzie, bo pojechała do Frederikslund, aby popracować nad sprawą Juli. Nic więcej, pominąw-

szy to nieco zbyt poufałe: serdeczne pozdrowienia Pauline. Czy zostawiła mu tę wiadomość już wczoraj przed opuszczeniem biura, czy też zjawiała się wcześniej rano w pracy – nie miał pojęcia. Przemówił do karteczki, marszcząc przy tym brwi:

– Sprawa Juli? – Wreszcie jego mózg zaczął łączyć ze sobą różne elementy układanki, a wtedy oparł czoło na zaciśniętej pięści. – Nie, to nie może być prawda.

Długa rozmowa z naczelnikiem z Frederikslund uświadomiła mu, że niestety tak jest. W rzeczywistości naczelnik okazał się bardzo rozsądnym człowiekiem i gdy Simonsen najlepiej, jak potrafił, wyjaśnił mu przyczyny zachowania Berg, szef tamtejszej policji nieco się uspokoił i wyraził chęć współpracy. Dostrzegał problem, z jakim borykał się Simonsen, ale nie mógł zaakceptować, żeby przypadkowy funkcjonariusz z wydziału kryminalnego biegał po jego terenie i prowadził dochodzenie w jakiejś nieistniejącej sprawie, która bez najmniejszych wątpliwości sprowadzała się do naturalnego, aczkolwiek stosunkowo tragicznego zgonu. Simonsen musiał się zgodzić z naczelnikiem i przyznać, że cała sytuacja była bardzo niefortunna. Obiecał oddzwonić jeszcze tego samego dnia i oczywiście zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby zapanować nad zawziętą podwładną. Już w momencie, gdy wypowiadał te słowa, uświadomił sobie, że to może się okazać dość trudne. Jego niepokój wzmógł się już chwilę później, gdy po rozmowie z funkcjonariuszem próbował skontaktować się telefonicznie z Berg, ale odpowiedziała mu tylko automatyczna sekretarka. Poprosił, aby w trybie natychmiastowym, bez najmniejszej zwłoki, wróciła do komendy. Zaczął się też zastanawiać, czy nie skorzystać z nieformalnych kontaktów Hrabianki w branży telekomunikacyjnej i w ten sposób nie namierzyć telefonu Pauline, przynajmniej po to, aby się dowiedzieć, gdzie ona się, do cholery, podziewa. Po chwili namysłu, gdy się nieco odprężył, doszedł do wniosku, że to jednak byłaby przesada. Ostatecznie stwierdził, że spróbuje umówić się na rozmowę z Komendantem Głównym Policji.

Sekretarka w biurze naczelnego kategorycznie odmówiła, gdy usłyszała jego prośbę.

– Simon, nie dzisiaj. Nie ma nawet jednej wolnej minuty, chyba że chodzi o coś naprawdę ważnego.

Znakomicie znał tę uprzejmą, skuteczną kobietę, która zawsze przywozicie traktowała wszystkich petentów.

– Nie, niestety nie mogę tego potwierdzić – odparł poirytowany.

Obróciła się na krześle i spojrzała na niego.

– Chodzi o Pauline Berg?

Nie zaskoczyło go, że była tak dobrze zorientowana, więc przytaknął.

– Dotarło już do mnie, że dopuszcza się samowolki, ale jeżeli myślisz o jakichś karach dyscyplinarnych, to możesz sobie odpuścić. W tej sprawie nie wyznaczę ci terminu na jutro, bo to strata czasu. Jeżeli nie dopuściła się niczego niezgodnego z prawem i nie stanowi zagrożenia dla siebie i innych, to jest w najwyższym stopniu chroniona. I to nie podlega dyskusji.

Ta informacja również nie stanowiła zaskoczenia dla Simonsena, zdawał sobie sprawę, że takie były procedury. To oznaczało, że w takim razie ma problem i sekretarka komendanta mogłaby mu pomóc.

Jej odpowiedź zabrzmiała sztucznie, niemal kokieteryjnie: Co ona takiego mogła zrobić?

Wy tłumaczył jej najlepiej, jak potrafił. Berg jest przekonana o tym, że wreszcie dostała własną sprawę, o której tak marzyła. Swoją własną sprawę. Pomijając fakt, że w ogóle nie było żadnej sprawy, ta rzekoma wykazywała wyraźne podobieństwa do tej, którą prowadził teraz Simonsen, co najprawdopodobniej jeszcze bardziej pobudziło Berg do działania.

– Twój zabity listonosz?

– Tak, mój zabity listonosz. Jednak ta kobieta z Frederikssund nie została zabita. Jej rodzina i tak już bardzo cierpi z tego powodu, więc gdyby dodatkowo miała jeszcze przechodzić przez zbędne i nieautoryzowane dochodzenie...

Przeciągał strunę, ale nie za bardzo, bo inaczej by się zorientowała.

– Obawiasz się, że Berg się nie podporządkuje, gdy ją o to poprosisz? – zapytała sekretarka.

– Mam co do tego wątpliwości. Często zachowuje się tak, jak jej to pasuje, i najwyraźniej może sobie na to pozwolić.

– Tak, to prawda. Powiedz, co mam zrobić.

Simonsen wskazał palcem na zamknięte drzwi gabinetu komendanta.

– Przekonaj go, żeby przekierował sprawę śmierci tej kobiety do mnie. A wtedy ja spróbuję dyskretnie zamknąć ten temat.

– Jak niby mam do ciebie przekierować jakaś nieistniejącą sprawę?

– Nie mam pojęcia jak, ale jesteś w tym dobra, jeżeli tylko ci się chce. No co, nie poradzisz sobie z tym?

– A jak myślisz, co powie na to policja okręgu północnej Zelandii? Pomyślała, że mają do czynienia z idiotami.

– Jutro przed południem pojedę do Frederikssund i naświetlę naczelnikowi sprawę w cztery oczy.

Namyślała się przez chwilę. Wcześniejsze wątpliwości dotyczące jej uprawnień zniknęły.

– Okej, Simon, umówmy się tak – powiedziała w końcu. – Najpóźniej jutro dostaniesz to od komendanta na piśmie.

* * *

Simonsen czuł się poirytowany kiepskim początkiem dnia. Zabarykadował się na kilka godzin w swoim biurze i odizolował od świata, zajęty czytaniem dwóch raportów z Interpolu, z którymi już od dawna zamierzał się zapoznać. Sprawę listonosza zostawił na później. Od czasu do czasu dzwonił na telefon komórkowy Berg, za każdym razem z tym samym negatywnym rezultatem.

Jego humor uległ jednak znacznej poprawie, ponieważ przy przesłuchaniu księdza i biskupa odwalili kawał dobrej policyjnej roboty, najlepszej od wielu lat.

Tuż przed przybyciem duchownych udał się do biura Pedersena, a ten, ku zaskoczeniu Simonsena, nie wydawał się już zdenerwowany. Niedługo potem zjawiała się również pani komendant – uśmiechnięta, zrelaksowana, pełna oczekiwań, ubrana w krzykliwy żółty kolor niczym wielkanocny

kurczak, ale niestety w wydaniu z telefonem komórkowym. Nie zdążyła dobrze wejść do biura, gdy rozległ się dzwonek. Simonsen i Pedersen wymienili spojrzenia. Aż za dobrze znali te sytuacje z szefami, którzy niby to byli obecni na miejscu, a jak przychodziło co do czego, ponad połowę czasu poświęcali tym niecierpiącym zwłoki rozmowom telefonicznym. Jednak w tym przypadku niesprawiedliwie ją ocenili, bo to, co pierwotnie wzięli za kiepską opcję, okazało się rozsądnym krokiem. Rozmowa trwała krótko. Pani komendant szybko ją zakończyła i się odezwała:

– Tak myślałam, tak myślałam. Dzwonili z recepcji, nasi goście są w drodze i wygląda na to, że czeka nas pokaz kościelnej liturgii. Ale my też potrafimy grać w tę grę, a ja również mam się czym pochwalić. Wracam za pięć minut, a wy się nie denerwujcie, bo funkcjonariusz w recepcji przetrzyma ich do tego czasu. Dostaną takie powitanie, na jakie zasługują.

I zniknęła.

– O co, do cholery, w tym wszystkim chodzi? – zapytał Pedersen.

– Wydaje mi się, że o strój, ale nie mam pewności. Za pięć minut poznamy odpowiedź. Czujesz łaskotanie w brzuchu?

– Wczoraj miałem ochotę cię udusić, a dzisiaj cię kocham.

– Mam nadzieję, że jakoś to wypośredkujesz. Ale pamiętaj, żeby nie napierać. Czasem brakuje ci cierpliwości.

Gdy pani komendant wreszcie zjawiła się z powrotem, miała na sobie mundur. Jej drobna postura sprawiała, że teraz prezentowała się naprawdę imponująco: była nienagannie ubrana, z odznaczeniami, które intrygowały i podsycaly ciekawość. Simonsen i Pedersen nie należeli do mało spostrzegawczych, więc szybko wstali. Symbolika stroju miała demonstracyjny charakter: ekstremalnie udekorowane pagony oraz trzymana pod ramieniem galowa czapka, na której złotą nicią wyhaftowano wieniec z liści dębu otaczający królewską koronę, przemawiały językiem władzy, którego nie dało się z niczym pomylić.

– Arne, przywitamy naszych gości? – spytała głośno i wyraźnie. – Są już w drodze, tak, to nie pierwszy raz w historii Danii, gdy korona i krzyż się ze sobą ścierają. Ciekawe, komu dzisiaj dopisze szczęście.

Otworzyła drzwi i przepuściła Pedersena, który ruszył szybkim krokiem. Simonsen pozostał w biurze do czasu, aż nie zatrzasnęły się drzwi w pokoju przesłuchań, a potem szybko przeszedł do przyległego pomieszczenia, aby przez lustro fenickie śledzić bieg wydarzeń.

Biskup przybył w kompletnym ornacie. Był czterdziestoparoletnim mężczyzną o pulchnej twarzy i otwartym, choć skupionym spojrzeniu. Jego szaty liturgiczne wykonano z purpurowego jedwabiu, które opływały jego postawną sylwetkę. Na głowie nosił biret, uzupełniający kościelny strój i ukrywający niewielką łysinę, którą przyuważał Simonsen, gdy duchowny nieznacznie unióśł nakrycie, aby podrapać się po czole. W oczy najbardziej rzucał się sporych rozmiarów krzyż z cierpiącym Chrystusem, zwisający na grubym złotym łańcuchu, opadający na pierś kościelnego zwierzchnika. A do tego ten niezmacony spokój.

Pani komendant wskazała gościom ich miejsca, zaproponowała kawę, herbatę oraz wodę mineralną, a następnie w uprzejmy sposób przedstawiła Arnego Pedersena i siebie. Potem położyła swoją czapkę na stoliku przed sobą i zainicjowała rozmowę, płynnie przechodząc od podziękowań za przybycie do obietnicy szacunku względem spraw wiary obu świadków. Simonsen zauważył, że zwracała się niemal wyłącznie do biskupa, podczas gdy Pedersen uważnie śledził wzrokiem księdza. O współpracy i wzajemnym szacunku komendantka mówiła w taki sposób, że jej wstęp do rozmowy okazał się o niebo lepszy od najbardziej płomiennych przemówień podczas wznoszenia toastów.

Nawet biskup nie pozostał niewzruszony, a jego zapewnienia o chęci niesienia pomocy policji, o ile będzie to możliwe, wyglądały na poważną deklarację. Natomiast w momencie, w którym wszyscy oczekiwali, że pani komendant przekaże pałeczkę pozostałym uczestnikom spotkania, ta zaczęła opowiadać o swoich wakacjach w Rzymie wiosną zeszłego roku. Biskup przysłuchiwał się z zainteresowaniem i zanim ktokolwiek zdołałby pomyśleć, że to czysta strata czasu, tych dwoje przełożonych zagłębiło się w sympatycznej rozmowie o Koloseum, Schodach Hiszpańskich i wąskich uliczkach w kolorze ochry, podczas gdy ich podwładni niecierpliwie spo-

glądali to w sufit, to na siebie. Simonsen podparł głowę rękoma i przysięgł sobie, że już nigdy więcej nie zaangażuje w śledztwo żadnej prawniczki.

Dopiero dwadzieścia minut później, gdy pani komendant zakończyła opowieść o swoich wnukach, a biskup historię o powierzeniu mu urzędu i gdy uporali się z niekończącymi się zachwykami nad kaplicą Sykstyńską, podczas gdy siedzący jak na szpilkach pozostali uczestnicy spotkania nie potrafili już opanować ani dyskretnego, ani ostentacyjnego ziewania, do Simonsena dotarło, że to była skrupulatnie przemyślana zagrywka. Z miejsca, na którym siedział, dostrzegł, jak Pedersen nagle poklepał panią komendant pod stołem, a na dodatek ze wszystkich dostępnych miejsc wybrał właśnie udo. Było dla niego oczywiste, że nikt w całej komendzie, a już na pewno nie Pedersen, nie odważyłby się na obmacywanie uda szefowej bez wyraźnych wcześniejszych uzgodnień. Dlatego na zrezygnowanej twarzy Simonsena w sekundzie zagościł pełen zrozumienia uśmiech. Wspomnienia z wakacji i te osobiste opowieści odegrały swoją rolę. Po pierwsze, luźna rozmowa bez wątpienia wytworzyła nowe relacje w grupie – także między przełożonymi a szeregowymi pracownikami, a po drugie, opór wewnętrzny, z którym z całą pewnością zmagał się ksiądz od samego początku spotkania, został ostatecznie złamany. Trudno o bycie w nieustannej gotowości, gdy człowiek się nudzi.

Pani komendant właśnie kończyła swoją wypowiedź, gdy Pedersen rzucił znieńacka:

– Kto podjął decyzję o tym, że Jørgen Kramer Nielsen powinien zostać skremowany?

Pytanie przywodziło na myśl granat ręczny, zadane zostało ostrym, nie do końca uzasadnionym tonem i skierowane do biskupa. Pani komendant, która zdążyła się odchylić do tyłu, wyraźnie przyjmując pozycję oczekiwania, podchwyciła zdumiona:

– Został skremowany?

Zabrzmiało to, jakby denat został wypchany i sprzedany, a ona na tym samym oddechu zdążyła się jeszcze zmiętygować:

– Przepraszam, już się nie będę wtrącać.

Pedersen milczał. Wystarczająco długo, aby to biskup zdecydował się zareagować na pierwsze istotne pytanie skierowane do księdza.

– No tak, kto właściwie zdecydował o tym, że został skremowany?

Duchowny się zawahał i wtedy Pedersen ponownie doskonale wyczuł moment i rozdał nowe karty.

– To chyba nie był najlepszy początek, wrócimy do tego później. – Przeniósł wzrok na księdza. – Chciałbym poprosić, żeby ksiądz własnymi słowami opowiedział wszystko, co wie o Jørgenie Kramerze Nielsenie, bez naruszania tajemnicy spowiedzi.

Duchowny zaczął opowiadać. W jego historii nie było zbyt wiele nowości, ale wyłaniał się z niej obraz samotnika. Ich wzajemne relacje jako współmieszkańców tej samej nieruchomości pozostawały uprzejme, ale nie miały żadnego bardziej osobistego charakteru, a mimo to Simonsen uzyskał odpowiedź na kilka pytań, które zadawali sobie dzień wcześniej wraz z Pedersenem. Odpowiedź na większość z nich brzmiała „nie”. Okazało się, że listonosz, o ile księdzu było wiadomo, nie nawiązał bliższych kontaktów z nikim ze swojej wspólnoty religijnej, o katastrofie lotniczej duchowny nic nie wiedział, a jedynym człowiekiem, którego zapamiętał w związku z odwiedzinami u sąsiada z góry, był hydraulik. Ponadto niezmiernie rzadko zdarzało się, że w pomieszczeniu na górze przebywały dwie osoby, chociaż... tak, nawet tego ksiądz nie był całkowicie pewien. Ale jedna sprawa okazała się dość interesująca. Chodziło o przejście denata na katolicyzm. Pedersen wtrącił wtedy z zaangażowaniem:

– Chętnie byśmy o tym posłuchali.

– To była kwestia, o której Jørgen myślał od bardzo dawna, na długo zanim go poznałem. Wszystko doszło do skutku między innymi dlatego, że byłem jednym z wielu, którzy chcieli kupić jego dom, gdy został wystawiony na sprzedaż. Zgłosiło się kilkoro oferentów i z pewnością zostałbym odrzucony, gdyby chodziło wyłącznie o względy ekonomiczne. To nie znaczy oczywiście, że dostałem ten dom w prezencie, bynajmniej, ale to już zapewne sprawdziliście.

– Tak, oczywiście, i wszystko przebiegło zgodnie z prawem – potwierdził Pedersen. – Biorąc pod uwagę ówczesne ceny rynkowe, cena wcale nie

była najniższa.

Simonsen się uśmiechnął. Pedersen nie miał najbledszego pojęcia, o czym mówił.

– Byli inni, którzy zaproponowali więcej. Mnie nie było na to stać. Jednak każdy z oferentów został zaproszony na krótką rozmowę, która zresztą odbyła się na pocztce. Właściciel chciał się upewnić, że nie zamieszka z kimś, kogo nie polubi. Jak tylko się zorientował, że jestem księdzem, to znaczy katolickim duchownym, opowiedział mi o swoim marzeniu o konwersji. Naturalnie obiecałem mu w tym pomóc, skoro takie było jego życzenie, a jednocześnie z całą mocą zapewniłem go, że dołożę w tej sprawie wszelkich starań, niezależnie od tego, komu sprzeda dom. A mimo to wydaje mi się, że ta kwestia zadecydowała o tym, że postanowił sprzedać dom mnie.

– Wie ksiądz, dlaczego Nielsen przeprowadził się na pierwsze piętro? I dlaczego w ogóle zdecydował się sprzedać dom?

– Tak, wiem. Z tego, co mi powiedział, nie miał już ochoty zajmować się ogrodem.

– Ale on nie jest wcale taki duży.

– To prawda, ale Jørgen tak się wyraził. A sprzedawał, ponieważ jego dotychczasowy najemca otrzymał mieszkanie od opieki społecznej. To był konkretny powód.

Simonsen pomyślał, że to by się doskonale zgadzało z tym, że Nielsen zaczął urządzać swój strych dziewięć lat temu. Wnioski inspektor snuł na podstawie paragonów z Netto z tamtego czasu, na których widniały ogromne ilości sprayu do okien. Natomiast część plakatów z dziewczyną listonosz stworzył z całą pewnością już kilka lat wcześniej.

– Czy Nielsen rozważał przejście na katolicyzm od dłuższego czasu? – dopytywał księdza Pedersen.

– Tak, od bardzo dawna.

– Dlaczego?

– Nie mogę odpowiedzieć.

– Bo ksiądz tego nie wie?

– Nie mogę odpowiedzieć.

Obaj duchowni pokręcili przeprasząco głowami, a Simonsen zanotował, że ostatnia wypowiedź – „Nie mogę odpowiedzieć” – była stanowczą odmową. Pedersen krótko podsumował pierwszy etap rozmowy, a ksiądz potwierdził informacje. Wtedy inspektor dyskretnie ponownie szturchnął panią komendant i powiedział:

– Zebraliśmy już bardziej ogólne informacje, a teraz...

– Jeszcze jedno, obiecał ksiądz opowiedzieć, dlaczego Nielsen został skremowany – weszła mu w słowo szefowa.

Ponownie zwróciła się do biskupa. Simonsen z przyjemnością śledził rozwój rozmowy. Pytanie o to, kto podjął decyzję o kremacji, zostało najpierw wstrzymane, a następnie przeformułowane na „dlaczego” tak postąpiono, z wyraźnym przypomnieniem obietnicy udzielenia odpowiedzi. A na dodatek zapytano o to biskupa, który nie miał o sprawie zielonego pojęcia.

– Tak, to prawda, obiecałem. Dlaczego wybraliśmy kremację? – spytał biskup swojego podwładnego.

Ksiądz odpowiedział dopiero po chwili namysłu.

– Ja podjąłem tę decyzję, bo Nielsen życzył sobie kremacji.

– On ci o tym powiedział? – dopytał kościelny zwierzchnik po chwili niezręcznej ciszy.

Ksiądz nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

– Nie, nie bezpośrednio, ale to wyczułem. On bał się... mroku.

Ledwo duchowny to powiedział, Pedersen rzucił na stół tuż przed nim zdjęcie.

– Czy to miało z tym coś wspólnego?

– Tak, ale nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Zna ją ksiądz?

– Nie.

– Nawet jej imienia?

– Nie.

Pytania padały niczym grad, a Pedersen nie spuszczał wzroku z duchownego.

- Czy ksiądz coś o niej wie?
- Nie mogę odpowiedzieć.
- A gdyby ksiądz nic nie wiedział, to mógłby odpowiedzieć?
- Wtedy nie byłoby co odpowiadać.
- Ale wtedy mógłby ksiądz odpowiedzieć?
- Tak.
- A gdybym zapytał, czy ona nie żyje, odpowiedziałby mi ksiądz?
- Chciałbym, ale nie mogę.
- Czy ona nie żyje?

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich rudowłosa praktykantka z sekretariatu pani komendant, niosąc na tacy kolejne butelki schłodzonej lemoniady. Bez słowa, obdarzając ich uprzejmym uśmiechem profesjonalnej kelnerki, wymieniła puste naczynia na nowe, po czym opuściła gabinet. Nawet Simonsen nie zwrócił szczególnej uwagi na ten epizod. Gdy w spotkaniach brali udział szefowie, zawsze nieco naginano procedury. Pedersen powtórzył pytanie sprzed chwili:

- Czy ona nie żyje?
- Nie mogę odpowiedzieć.

Refleks pani komendant był imponujący. Nie więcej niż o pół sekundy przedziła biskupa, zwracając się do Pedersena:

- Coś się tutaj nie zgadza.
- Tak, też tak uważam – zawtórował jej biskup.

Ksiądz łączywie zaczerpnął powietrza, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, co się wokół niego dzieje. Pedersen bezsprzecznie również nie miał o tym pojęcia.

- W czym leży problem? – zapytał biskupa.
- Problem w tym, że ona przed chwilą tutaj była. – Wskazał palcem drzwi, za którymi niedawno zniknęła praktykantka.

Komendantka upomniała Pedersena ostrym tonem:

– Arne, musisz ogarnąć te zdjęcia, to była naprawdę niezręczna sytuacja.

Inspektor spokojnie kartkował zawartość swojej teczki. Zdjęcie praktykantki nadal leżało na wprost księdza. Nagle duchowny odezwał się przeprasającym tonem:

– Bardzo mi przykro. Tamta dziewczyna była od tej tutaj jakieś trzy, cztery lata młodsza.

Przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie, a potem odwrócił wzrok i patrzył gdzieś daleko przed siebie. Pedersen zabrał fotografię i zastąpił ją kolejną, którą ludzie Kurta Melsinga przygotowali na podstawie dostępnych ujęć. Przedstawiała piękną młodą dziewczynę.

– A może to ta jest martwa? – spytał, pokazując nowe zdjęcie.

Biskup zdecydowanie pokręcił głową.

– Jeśli o mnie chodzi, to się robi zbyt skomplikowane. Czy ty, młody człowieku, nie uzyskałeś jeszcze odpowiedzi na swoje pytanie? Uważam, że nie wniesiemy już do sprawy nic nowego.

Pedersen porzucił temat. Nieco rozkojarzonym tonem zadał jeszcze tylko kilka luźnych pytań dotyczących korytarza, na którym znaleziono denata. Pani komendant podziękowała duchownym za współpracę, równie elokwentnie jak na dzień dobry.

– Przykro mi z powodu tej pomyłki ze zdjęciem – powiedziała przepraszająco w drodze do drzwi. – Może moglibyśmy wrócić do tematu, gdy będziemy mieć pełniejszy obraz sytuacji?

Pedersen zarumienił się jak uczeń. Biskup ochno mu przebaczył. Był zadowolony, że przesłuchanie już się skończyło i przebiegało w atmosferze współpracy.

– Tak niekiedy bywa, ale cieszymy się, że mogliśmy pomóc. Mimo wszystko.

– Jak najbardziej, a do tego było naprawdę miło. Mam nadzieję, że w żaden sposób księży nie urażiliśmy, bo nie do końca wiemy, o czym mogą księża rozmawiać, a co stanowi tajemnicę.

Ksiądz wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu i odparł:

– Chyba na wszelki wypadek też zrobię porządek w swoich zdjęciach.

* * *

Po południu, zaraz po powrocie do domu, Simonsen zabrał się za malowanie – pracę, która sprawiała mu przyjemność.

Dostał od Hrabianki zgodę na zajęcie jednego skrzydła jej domku gościnnego i przerobienia go na tymczasową galerię plakatów ze strychu Nielsena. Nie znalazł dobrej wymówki, dlatego zamierzał je przenieść do prywatnego domu: jego zdaniem obrazy powinny zawisnąć w ładnym pomieszczeniu, do którego zaprosi psychologów, behawiorystów czy entuzjastów fotografii, aby podzielili się z nim swoimi opiniami na temat zdjęć. Nikt nie kupił takiego tłumaczenia, ale też nikt nie miał ochoty na dociekanie prawdziwego motywu. Koniec końców plakaty z laboratorium Melsinga zostały przetransportowane do Søllerød. Teraz stały w rogu i czekały na zawieszenie w odnowionym pomieszczeniu. Uprzątnięcie pokoju i kilka drobnych napraw Simonsen pozostawił rzemieślnikom, ale uparł się, że samodzielnie pomaluje ściany, i gdy Hrabianka wróciła do domu, właśnie kończył trzecią. Kobieta zastała go przy pracy. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo w drzwiach i mu się przyglądała. W radiu leciała jakaś piosenka z duńskiej rewii, a on nucił, metodycznie przeciągając wałkiem po ścianie. Od czasu do czasu robił krok w tył, aby przyjrzeć się efektom. Gdy dostrzegł Hrabiankę, wyłączył muzykę.

– Podglądasz mnie?

– Coś w tym stylu. Jak Arnemu poszło przesłuchanie?

Wszystko jej opowiedział, stojąc z wałkiem malarskim w dłoni.

– Pewnie po wszystkim byli z siebie dumni?

– Szkoda, że ich nie widziałeś. Paradowali ramię w ramię niczym para zakochanych nastolatków, delektując się aplauzem publiczności, a chwaliли się przy tym tak, że aż robiło się niedobrze.

– A tą publicznością byłeś ty?

– Tak, i po ósmym bisie występy stały się nieco nudnawe, ale trzeba im przyznać, że świetnie się uzupełniali i dostarczyli mi kilka bardzo istotnych informacji.

– Dobra robota.

– Ksiądz po prostu założył, że pokazano mu zdjęcie dziewczyny ze strychu. Jego zachowanie stanowi jasny dowód na to, że musiał o niej wcześniej słyszeć.

– Rozumiem. A czy Arne przestał się już bać komendantki?

– Bać? Zwracał się do niej per Gurli i ścisnął ją jak jakieś zwierzątko do kąpieli.

– Chciałabym to zobaczyć.

– Wszystko się nagrało. W tym zachwycie nad własnymi dokonaniem zapomnieli wyłączyć kamerę, a ponieważ to nie było moje przesłuchanie, nie chciałem się wtrącać. Musisz to zobaczyć. Niezły widok.

– Zabrzmiało jak dobry żart, który można opowiedzieć podczas świątecznego obiadu. No, ale przyszłam właściwie po to, żeby spytać, kiedy przyjdiesz coś zjeść, i zobaczyć, jak ci idzie. – Hrabianka rozejrzała się dookoła. – Zrobiło się bardzo... kolorowo. Widzę, że postawiłeś na mocne kolory podstawowe.

– Podoba ci się? Jeszcze nie skończyłem.

Podeszła do niego. Ale nie za blisko. Nie miała nic przeciwko temu, że jedno skrzydło domku gościnnego zostało zamienione w tęczę, ale jej nowy kardigan nie musiał przecież dzielić losu tych pomieszczeń.

– Ty mi się podobasz. Sprawia ci to przyjemność?

– Tak. Dużą.

– Biegałeś dzisiaj?

– Oczywiście. Za parę tygodni będę w stanie przebiec całą trasę.

– Simonie, jestem z ciebie dumna, ale jest coś, o czym musimy porozmawiać.

Zesztywniał ledwo dostrzegalnie. Tego typu uwagi z ust kobiety nigdy nie zapowiadały niczego dobrego.

– Nie owijaj w bawełnę.

Zaczęła opowiadać.

Koledzy z wydziału zaczęli snuć swoje teorie, oczywiście tylko wtedy, gdy Simonsen ich nie słyszał. I naturalnie bez udziału Berg, której zaczęto

unikać, bo nikt nie potrafił jej wyczuć. A co, jeżeli szef wydziału zabójstw podążał w złym kierunku? Wyglądało na to, że przywiązał się do koncepcji, że zabójstwo listonosza należało wyjaśnić, odsłaniając przeszłość mężczyzny. A jeżeli chodziło o jakiegoś włamywacza, który został przypadkowo nakryty? A może to sprawka jakichś małolatów, którym się wydawało, że listonosz śpi na pieniądzach?

– Jest mnóstwo podobnych scenariuszy, ale ty skupiasz się wyłącznie na przeszłości Nielsena – dodała ostrożnie Hrabianka.

– Zapycham dziurę, przez którą deszcz wlewa się do środka, wypełniam szczeliny, które powinienem zabezpieczyć już dawno temu – odparł enigmatycznie. Zabrzmiało to dość niepokojąco.

– W swoim własnym świecie?

Odłożył wałek do malowania na tackę i wyjaśnił:

– To, czym mam rację, czy się mylę, właściwie nie ma większego znaczenia. Może to ślepa uliczka, a może nie. Pamiętaj, że gdy Nielsen żył, pies z kulawą nogą się nim nie interesował. Dlatego ja to teraz robię, już po jego śmierci. A jeżeli chodzi o mnie, to zacząłem zajmować się rzeczami, które wcześniej nie były dla mnie ważne. Okoliczności sprawiły, że dostałem kolejną szansę. Nie mam pojęcia po co. Ale dopóki mam ciebie i Annę Mię, to jestem pewny, że nic złego nie może się wydarzyć.

Hrabianka zareagowała radosnym uwalniającym śmiechem i zdecydowała się poświęcić swoje ubranie. Farba była z tych wodnych, więc pewnie się spierze, a jeżeli nie, to będzie mieć dobry pretekst, żeby wyruszyć do miasta na zakupy po nowy kardigan. A może nawet dwa.

– Niezłe wyjaśnienie. Bałam się, że nie potrafisz spojrzeć na sprawy całłościowo.

– To dla mnie żaden problem, ale nie mam już na to ochoty.

Hrabianka pogłaskała go po plecach. Po chwili zabrała dłoń i powiedziała:

– Słyszałam, że masz problemy z Pauline.

Nie mógł zaprzeczyć, ale zdecydował się poczekać z ich rozwiązywaniem do jutra. Poza tym udało mu się nieco wyciszyć. Prawdę powie-

dziawszy, Pauline zachowywała się podobnie do niego, a jednak zupełnie inaczej. Ale teraz i tak sprawa musiała poczekać. Po prostu nie miał ochoty się tym zajmować.

Hrabianka przyznała, że to rozsądne podejście. Uznała, że najważniejsze, aby się zbyt nie angażował. Wskazała palcem na stojące w kącie plakaty i zapytała:

– A co z nią?

Spojrzał we wskazanym kierunku.

– ...rozumiem, że nie muszę czuć się zazdrosna?

– Co masz na myśli? Nie znałem jej. A poza tym mamy coraz więcej poszlak, że dziewczyna nie żyje. Strych Nielsena to najpewniej było jej mauzoleum.

– A teraz budujesz jej nowe?

Wahał się przez chwilę, a gdy się wreszcie odezwał, starał się, żeby zabrzmiało to w miarę obojętnie, trochę jak żart.

– Przywykła do bycia na świeczniku.

– A co z Ritą? Ona też się odnajdowała w świetle jupiterów?

Powietrze zadrżało na dźwięk jej imienia. To, że jej temat wyniknie, było tylko kwestią czasu. Nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć, więc milczał.

– Ta dziewczyna z kwiatami, ta, która uderzyłeś podczas demonstracji – spotkałeś ją jeszcze później, prawda?

– Tak.

– I miała na imię Rita?

– Zgadza się, ale to moja historia i opowiem o niej tylko wtedy, gdy będę miał na to ochotę. W tej chwili wolałbym zająć się malowaniem.

Uważał, że to uczciwa odpowiedź, ale Hrabianka ją zignorowała.

– Czy ona żyje?

– Nie mam pojęcia, ale pewnie tak. Ale jeśli ci się wydaje, że to jej obraz powieszę na ścianie jako pewien rodzaj zamiennika, to jesteś w błędzie. Tak myślałaś, prawda?

– Raczej tego się obawiałam.

Stanął na wprost plakatów, próbując nawiązać kontakt wzrokowy i spojrzął na twarz z najbliższego zdjęcia.

– Ona była piękniejsza od Rity – powiedział.

– Była piękniejsza od większości.

– Czy zostałem uznany za zdrowego psychicznie?

– Tak, można tak powiedzieć. Twoja nagrodą będą brokuły, kalafior i pomidory za jakieś pół godziny.

– A co, gdybym oblał egzamin?

– Brokuły, kalafior i pomidory za godzinę.

* * *

Spotkał Ritę dwa dni po demonstracji. W tamtym czasie mieszkał w Brønshøj i akurat zmywał naczynia z poprzedniego dnia, gdy – dobrze to zapamiętał – usłyszał dzwonek do drzwi. Długi, uporczywy dzwonek. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył dwie młode dziewczyny. Nie chciały powiedzieć, jak udało im się go znaleźć, a na początku nie zamierzały się nawet przedstawić. Przyszły wyłącznie po to, aby mu pokazać, co zrobił. Nawet teraz, trzydzieści pięć lat później, Simonsen dokładnie pamiętał swoje zakłopotanie, gdy Rita bez żadnego ostrzeżenia ściągnęła koszulkę przez głowę, żeby pokazać niebieskie plamy na swoim ciele. W tamtych czasach biustonosze nie były w modzie. Niestety większość mieszkańców jego klatki była na bakier z modą, więc gdy usłyszał trzask otwieranych drzwi piętro wyżej i zbliżające się kroki, niewiele myśląc, wciągnął dziewczyny do środka i zamknął drzwi. Negliż na klatce schodowej budynku socjalnego państwa dobrobytu to nie były żarty, a już na pewno nie w przypadku funkcjonariusza, od którego oczekiwano, że będzie przeciwdziałal wywrotowej młodzieży – zarówno pod względem moralnym, jak i politycznym.

Sporo czasu zajęło mu przekonanie swoich niechcianych gości, że uderzył, ponieważ sam się bał. Najpierw dziewczyny sądziły, że kłamie. Gliny to faszyci, którzy otrzymywali potajemne rozkazy od rządu, aby pobić jak najwięcej demonstrantów. „Wyjąć pałki i uderzać, wyjąć pałki i uderzać”. Czyżby nie pamiętał tego ostrego tonu przez megafon, gdy tłuczono ludzi, aż połała się krew?

Upierał się przy swoim, bo prawda była taka, że nienawidził demonstracji, podobnie jak większość jego kolegów. A wtedy, gdy stali w kordonie – na początku nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak bardzo się bał. Ale szybko dotarło do niego, że to było podczas poprzedniej demonstracji. W końcu mu uwierzyły, ale jeszcze wtedy nie darowały. „A jak to było z Chilijczykami? Czy oni się nie bali? Nie bali się katów Augusto Pinocheta, po tym jak CIA obaliła i zamordowała prezydenta Salvadora Allendego?” Czy rzeczywiście chodziło wtedy o Chilijczyków? Nie potrafił sobie przypomnieć. Rita zawsze umiała przywołać jakiś uciśniony naród. Może to Palestyńczycy się bali, tak, pewnie o nich chodziło. Pownownie wdali się w dyskusję, ale nawet one zrozumiały, że niezależnie od tego, jak bardzo uciskani byli ludzie w Palestynie, to on nie bał się przez to mniej na demonstracji w Østerbro. Koniec końców przyjęły do wiadomości jego tłumaczenie, a on przeprosił Ritę. Było mu naprawdę przykro i rzeczywiście mówił prawdę.

Liczył, że po tym wszystkim sobie pójdą. Tak mu się wydawało. Jednak zamiast się pożegnać, zaczęły się ciekawie rozglądać po jego mieszkaniu. Bez najmniejszych zahamowań, jakby grzebanie w cudzych meblach było najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Rita wkroczyła do sypialni i zaczęła przeglądać zawartość jego szafy z ubraniami, podczas gdy on gorączkowo chował bieliznę, która nie zdążyła jeszcze wylądować w koszu na pranie.

– Gdzie trzymasz sól? – krzyknęła przyjaciółka Rity z kuchni.

Była głodna i postanowiła ugotować ryż. Gdy poszedł jej pomóc, usłyszał wołanie dochodzące z dużego pokoju. Rita włożyła jego policyjny mundur. Był na nią o kilka numerów za duży, niemal się w nim topiła, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Stała na balkonie i udawała, że aresztuje przypadkowych przechodniów. Próbował ją wciągnąć do środka, ale przytrzymała się poręczy, ludzie coś do niego wykrzykiwali, on uśmiechał się wymuszenie i przepraszał stojących na balkonach sąsiadów, aż poczuł, że ryż się przypala. Przyjaciółka zagroziła mu drogę do kuchni.

– To dziecko to naprawdę ty? Ale byłeś słodki. – W dłoniach trzymała jego rodzinny album. W końcu udało mu się wyłączyć gaz i uratować ryż,

podczas gdy Rita zorganizowała licytację jego policyjnej czapki wśród ludzi zebranych na dole.

– Cała kwota pójdzie na organizację Ochrona Kotów, wszystko na Ochronę Kotów – kto da dwadzieścia koron? Jest dwadzieścia koron, kto zaofერuje dwadzieścia pięć? A co z tobą, krawaciarzu, wygląda na to, że cię stać – nie dasz dwudziestu pięciu?

Nie dało się nad nimi zapanować. Odpuścił.

Wieczorem pili wspólnie herbatę i oglądali telewizję. W kolorze! Telewizor był jego dumą. Nawet wtedy, gdy Rita nazwała go kolorowym pudełkiem dla proletariatu w kołnierzykach, i naśmiewając się z niego, klepnęła go w ramię, zanim zaczęli oglądać film. Jego telewizor to był dwudziestojednocalowy odbiornik marki Arena, w eleganckiej obudowie z tekowego drewna, z takim nagłośnieniem, że dźwięk bez najmniejszych zakłóceń docierał aż do kuchni. Kupił ten sprzęt na raty, kilka lat temu, aby obejrzeć lądowanie Amerykanów na Księżycu. Pierwsze kroki człowieka na srebrnym globie, był pewien, że właśnie ten obraz zapamięta najlepiej z całej młodości. To był obraz na żywo i do tego w kolorze. Jednak mały wielki krok Neila Armstronga nie okazał się tym, który najbardziej wrył mu się w pamięć. Zastąpił go inny i jak na ironię czarno-biały.

Hrabianka wyrwała go ze wspomnień.

– Simon, masz we włosach żółtą farbę. Musisz się wykapać, zanim pójdziemy spać. Nie chcę mieć żółtej sypialni.

Zgodził się i pomyślał, że teraz nagle to była jej sypialnia. W innych okolicznościach mówiła o ich sypialni – na przykład gdy trzeba było zmienić pościel.

– Zupełnie odpłynąłeś. O czym myślisz?

Po kolacji usiedli na sofie, ona z książką, on z gazetą, której nie czytał.

– O zdjęciu, które mi się przypomniało.

Przedstawiało mężczyznę i zostało zrobione pod kątem. Zakola i splecione dłonie kontrastowały z długim czarnym płaszczem i wypolerowanymi butami. Mężczyzna klęczał. W tle widać było fotografów, przypadkowych obserwatorów i żołnierza w czapce i z naszywkami na pagonach. Wszystkie oczy zdawały się zwrócone na mężczyznę, a ludzie stali w odpo-

wiedniej odległości, jakby już wtedy wiedzieli, że ten moment okaże się historyczny. Na drugim planie można było dojrzeć zarysy bloków, brzydkie szare kwartały, jakby zbudowane naprędce. W mieście, w którym wszystkie budynki były nowe. Zdjęcie niemieckiego kanclerza klęczącego przed warszawskim Pomnikiem Bohaterów Getta obiegało świat, a Willy Brandt był jedynym politykiem, którego Simonsen i Rita wspólnie szanowali. Podobnie jak miliony innych ludzi. Niemcy miały kanclerza, który łączył zamiast dzielić, to nie było byle co w czasach studenckich protestów. Rok później Brandt otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla i zasługiwał na nią jak mało kto.

– O jakim zdjęciu mowa? – zapytała Hrabianka.

– Chodzi o zdjęcie męża stanu, największego swoich czasów.

Oczywiście zgadła, kogo miał na myśli, to zresztą nie było takie trudne. Poszedł do łazienki.

* * *

Gdy zadzwonił budzik i Simonsen otworzył oczy, od razu przyszło mu do głowy, że wcale nie ma ochoty na czekający go dzień. Poranek też nie wprawił go w lepszy nastrój, zwłaszcza że nadal nie mógł się dodzwonić do Berg, a miał serdecznie dość wysłuchiwania automatycznej sekretarki. Podczas śniadania też był poirytowany, więc Hrabianka zostawiła go w spokoju. Z czasem nauczyła się doskonale wyczuwać jego nastrój i jeżeli miała na to ochotę, potrafiła się do niego dostosować. Tego poranka opuściła dom dużo wcześniej niż on, ledwo zdążył pocałować ją na pożegnanie, a już jej nie było. Posprzątał po śniadaniu, bez przekonania spędził kwadrans nad poranną prasą, a potem pojechał do Frederikssund.

Naczelnik okazał się miłym i rozsądnym mężczyzną. Przyjął Simonsona w pokoju dyżurnym, bo jego gabinet był właśnie remontowany. Usiedli w rogu, aby móc porozmawiać w spokoju, a wtedy naczelnik streścił mu okoliczności zgonu, który Pauline najwyraźniej potraktowała jako sprawę zabójstwa.

Dwudziestoczteroletnia kobieta, Juli Denissen z Frederiksværk, została znaleziona martwa dziesiątego lipca w Melby Overdrev, dawnym poligo-

nie wojskowym, wychodzącym na Kattegat, pomiędzy Asserbo a Hundested. Okolica jest pod ochroną i stanowi część Parku Narodowego Kongernes Nordsjælland. Okoliczności znalezienia denatki nie należały do przyjemnych – nieprzerwany płacz dwuletniego dziecka zaalarmował leśniczego. Nietypowa sprawa – zwłoki młodej kobiety i totalne pustkowienie. Policja okręgu północnej Zelandii dokładnie zbadała sprawę, ale nie znalazła niczego podejrzanego. W protokole z sekcji zwłok wskazano jednoznacznie, że przyczyną śmierci kobiety był udar krwotoczny mózgu, więc policja zakwalifikowała sprawę jako naturalny zgon i ją zamknęła. Pogrzeb Denissen odbył się drugiego sierpnia w kościele Kregme Kirke.

– W skrócie to tyle – podsumował naczelnik. – Jest jeszcze naturalnie parę szczegółów, które pominąłem. Mam kilka teczek dotyczących tej sprawy, które mogą panu dać, jeśli pan chce. Wtedy będzie się pan mógł ze wszystkim zapoznać.

Simonsen energicznie pokręcił głową.

– Nie, dziękuję, w żadnym razie. Nie mam żadnych wątpliwości, że to była naturalna śmierć.

– Dobrze wiedzieć. Ale Komendant Główny Policji polecił właśnie panu przekazać sprawę okoliczności śmierci tej kobiety. Wczoraj dostaliśmy maila, ale o tym zapewne pan już wie. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli ponownie angażować dodatkowych środków, bo to byłaby strata czasu.

Simonsen zapewnił naczelnika, że to nie będzie konieczne. Przekazanie nastąpiło wyłącznie po to, żeby policja obszaru północnej Zelandii mogła odesłać do niego każdego, kto... zacząłby grzebać w tej sprawie. Nie potrafił znaleźć lepszego określenia, a naczelnik od razu je podchwycił.

– Grzebać w sprawie, tak, można to tak nazwać. Ale jedyną osobą, która się tym zajmuje, jest pana podwładna, aspirant Pauline Berg.

– To niestety prawda. A tak przy okazji, niech mi pan powie, co już zdążyła tu nawywijać.

– Nic ponad to, o czym wczoraj rozmawialiśmy przez telefon. Teraz jest mi już wszystko jedno, bo to pan zajmuje się tą sprawą.

– Chciałbym pana prosić o przygotowanie sygnatur tych dwóch teczek, o których pan wspominał, na wypadek gdyby ktoś chciał się zapoznać z tymi materiałami bez pana albo mojej zgody.

– Nie ma sprawy. Nie może się pan z nią skontaktować?

– To niestety dość trudne... – Po chwili uniósł jedną dłoń w obronnym geście. – Wiem, że można to załatwić inaczej, ale jak już mówiłem, jej sytuacja jest dość specyficzna.

– Czy ona cierpi na zespół stresu pourazowego?

Simonsenowi przeszła przez głowę taka myśl. Okresami Pauline zachowywała się autodestrukcyjnie. Pakowała samą siebie oraz ludzi ze swojego otoczenia w sytuacje, które nie mogły zakończyć się inaczej niż... trudno to ująć... postawieniem jej do pionu, pokazaniem jej miejsca w szeregu, a niekiedy po prostu ignorowaniem jej. Obawiał się, że policjantka niedługo zacznie się okaleczać. Oboje musieli zagłuszyć jakąś traumatyczną sytuację z przeszłości. Simonsen nie był jednak psychiatrą i nie zamierzał diagnozować podwładnych.

– Tego nie wiem – odparł wprost. – Niekiedy bywa nieźrównoważona, a czasami pracuje zupełnie tak jak w czasach przed porwaniem. Oczywiście mamy nadzieję, że sytuacja z czasem się ustabilizuje. Niestety obawiam się, że w śmierci tej kobiety aspirant Berg zobaczyła szansę na samodzielne śledztwo. I jest jeszcze jedna rzecz. Gdy wtedy siedziała przetrzymywana w tym bunkrze, Juli Denissen powiedziała coś, co pozwoliło nam szybciej do niego dotrzeć. Wydaje mi się, że Pauline łączy te dwie sprawy i uważa – jeżeli mogę to tak ująć – że jest tej kobiecie coś winna. Ale to tylko moje przypuszczenia, nie rozmawiałem z nią o tym. Bez wątpienia Pauline ostatnio unika wszystkich swoich przełożonych.

Naczelnik zrozumiał problem. Przejął się sytuacją Berg, o której już wcześniej słyszał, podobnie jak większość funkcjonariuszy duńskiej policji. – Umówiła się dzisiaj po południu w miejscu, w którym znaleziono ciało.

– Z kim? Mam nadzieję, że z nikim od was.

– Z krewnymi tej kobiety – jej ojczymem i siostrą.

– Skąd pan to wie?

– Mąż siostry Juli Denissen zadzwonił do nas wczoraj. Martwi go, nazwijmy to, zaangażowanie żony i chciał się dowiedzieć, dlaczego grzebiemy w tej sprawie. A swoją drogą to nie jest rodzona siostra tej kobiety, tylko tak o sobie mówi.

Naczelnik wskazał na mapie miejsce spotkania. Simonsen podziękował. Jeszcze przez parę minut rozmawiali niezobowiązująco o innych sprawach, wspólnych znajomych i nowej reformie policji.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie, a gdy Simonsen zmierzał już do drzwi, naczelnik zapytał:

– Czy to prawda, że pan ją znał? Chodzi o tę młodą kobietę, która zmarła.

– Nie, nie znałem jej – odpowiedział z wahaniem.

Simonsen uruchomił GPS i próbował znaleźć miejsce znalezienia zwłok Juli Denissen. Kierował się wskazówkami naczelnika, ale mu się nie udało. Przez chwilę się zastanawiał, czy się nie wrócić i nie poprosić o dodatkowe informacje, ale zamiast tego zdecydował się jednak zatrzymać w Frederiksværk, gdzie bez problemu odnalazł lokalny dom kultury, przy którym znajdowało się biuro informacji turystycznej. Na miejscu zjadł pysznego niskotłuszczowego burgera i mniej smaczną sałatkę, a także zopatrzył się w folder z mapą terenu, który zamierzał odwiedzić. Kobieta w informacji wyznaczyła mu trasę długopisem. Prowadził samochód, kierując się jej wskazówkami. Zaraz za tablicą Asserbo zjechał z wiejskiej drogi w leśną ścieżkę. Musiał jechać slalomem, żeby ominąć najgorsze dziury. Po dziesięciu minutach dotarł na ogromny parking. Zaparkował w najdalszym rogu, tuż przy samej plaży, wysiadł z auta i rozejrzał się dookoła. Teren otaczały pomalowane na biało głązy, poprzątkane smagany wiatrem młodymi dębami. Poza samochodem inspektora stały tam jeszcze tylko dwa inne. Padało, lecz niezbyt intensywnie. Wyciągnął co prawda z bagażnika parasol, ale go nie otworzył. Zaczął wspinać się na jedną z wydm oddzielającą go od plaży. Była dość stroma i parę razy musiał przytrzymać się kłosów wydmuchrzycy piaskowej, żeby podejść wyżej. Ze szczytu spojrzął na roztaczające się przed nim morze – zielone

i wzburzone, ze spienionymi grzywami, które tworzyły się i znikały aż po sam horyzont, gdzie niebo zlewało się z wodą. Po jego lewej stronie linia brzegowa tworzyła regularny łuk, zakończony cyblem. Nieco dalej ponownie się cofała, ale już nie tak wyraźnie – dostrzegał jedynie czerwone dachówki na skupisku chat położonych w stronę Hundested. Wiatr szumiał Simonsenowi w uszach, jego huk przypominał łopot płótna, który zagłuszał nawet odgłos fal.

Inspektor stał jeszcze przez chwilę, obserwując krajobraz. Potem zaczął schodzić po piasku, kierując się na północ i przecinając pastwisko, rozciągające się jak okiem sięgnąć, między wydmami a szkółką leśną. Tutaj mógł schronić się przed wiatrem, ale deszcz przybrał na sile, więc otworzył parasol. Ścieżka, którą podążał, miejscami była ledwo widoczna. Doprowadziła go do znaku przedstawiającego żółty okrąg z połówką czarnej bomby, od której odpryskiwały czerwone odłamki – kiepska grafika, ale jasne ostrzeżenie. Teren był dawnym poligonem wojskowym i wchodziło się na niego na własną odpowiedzialność. Simonsen szedł dalej. W górę i w dół po miękkich wzniesieniach, gęsto porośniętych wrzosem i tylko gdzieniegdzie poprząkanych kępami niskich oklapłych kwiatów, przywierających do piasku. Nie widział niczego poza naturą. Od czasu do czasu zatrzymywał się, sprawdzając, czy ktoś nie schronił się na plantacji drzew po jego lewej stronie. Na skraju lasu rosły przeważnie stare sosny wydmowe, których kora, przypominająca skórę gładzicy, i dziwnie powyrzywane pnie przywodziły na myśl ilustracje z baśni jego dzieciństwa – zapraszały, a jednocześnie nieco odstraszały.

Po niecałych dziesięciu minutach marszu ze szczytu kolejnego wzniesienia dojrzał w oddali dwie postaci. Zmienił kierunek i ruszył im naprzeciw. Gdy się zbliżył, zorientował się, że jedną z tych osób jest Pauline Berg. Zwolnił kroku, upominając się w myślach, aby podejść spokojnie do całej sytuacji, gdy już się przy nich znajdzie. Nadymając się, niczego nie zyska.

Dwie kobiety wyglądały na przemoczone. Żadna z nich nie była ubrana stosownie do pogody. Simonsen uprzejmie przywitał się z Pauline, jakby wszystko było w idealnym porządku, a potem przedstawił się nieznajomej.

Wyciągnął do niej dłoń, ale ona ograniczyła się do podania swojego imienia.

Linette Krontoft była jasnowłosa, korpulentną dwudziestolatką z niebieskimi, blisko osadzonymi oczami i smutnym uśmiechem, który najpewniej wynikał z tej przykrej sytuacji. Simonsen pomyślał, że ma prawdopodobnie białe i równe zęby, zarejestrował też, że przydałaby się jej się dieta, a na koniec uznał, że nie miał najmniejszej ochoty przebywać w jej towarzystwie. A mimo to stał tam razem z nimi.

– No to gdzie znaleziono zwłoki? – zapytał spokojnie.

Krontoft wskazała palcem na dno zagłębienia, nad którym właśnie stali. Simonsen dał kobietom swój parasol, bo one dużo bardziej go potrzebowały. Następnie zrobił kilka kroków i zszedł bokiem do dołka, powstał tam przez chwilę i rozejrzał się dookoła. Najpierw przebiegł wzrokiem po okolicznych wydmach, a potem przeniósł go na piasek, w którym pogrzebał butem. W końcu wspiął się z powrotem. Złapał spojrzenie Berg i pomyślał, że jej przekora i zdecydowanie nie wróżą miękkiego lądowania.

– Nie przyjechał pan tutaj, żeby nam pomóc, a wręcz przeciwnie, dotarł pan tu, żeby przeszkodzić Pauline w jej pracy. Mam rację? – spytała Linette Krontoft.

Nie odpowiedział jej, spoglądał tylko to na jedną, to na drugą i nagle zatęsknił za papierosem.

– Macie wybór – powiedział po chwili namysłu. – Chcecie posłuchać?

Przystąpiły na jego propozycję z rezerwą, a Pauline to nawet z wrogością.

– Pierwsza opcja jest taka, że kontynuujecie swoje śledztwo na własną rękę, beze mnie. Jeżeli tak, niedługo się przekonacie, że od nikogo z policji nie dostaniecie żadnej odpowiedzi ani wsparcia. Ponadto wszyscy ci, którzy okazali się pomocni dziesiątego lipca, gdy zmarła Juli Denissen, otrzymają ode mnie list z instrukcją, żeby was ignorować, gdyby przyszło wam do głowy ich nachodzić. Ale możemy też wspólnie, we troje, nieoficjalnie i prywatnie, nawiązać kontakt z bardzo zdolnym patologiem, którego znam. Od razu uprzedzam, że to może potrwać i w tym czasie nie możecie podejmować żadnych działań. Jeżeli patolog po zapoznaniu się z raportem

z sekcji zwłok będzie miał choćby cień wątpliwości, czy Juli Denissen zmarła śmiercią naturalną, wznowię oficjalne śledztwo. Obiecuję. Jeżeli natomiast uzna, że to była naturalna śmierć, zostawicie sprawę w spokoju.

– Czy masz na myśli profesora Arthura Elvanga? – zapytała Pauline Berg. To były jej pierwsze słowa od chwili, gdy się spotkali.

Simonsen zwrócił się bezpośrednio do niej z odpowiedzią twierdzącą.

– Teraz wrócę do samochodu i poczekam tam kwadrans – dodał po chwili. – Jeżeli uzgodnicie coś do tego czasu, porozmawiamy na miejscu, jeżeli nie, zadzwoń do mnie wieczorem.

Odszedł, nie czekając na ich reakcje i zostawiając im parasol.

Odpowiedź otrzymał dopiero wieczorem. Pauline Berg zadzwoniła z informacją, że przedyskutowała z grupą jego propozycję i zdecydowali się ją zaakceptować. Zastrzegła jednak, że muszą dokończyć nagrania wideo w mieszkaniu Juli, bo wkrótce trzeba je będzie uprzętnąć. „Grupa, Chryste Panie, a do tego to jej poufałe Juli, bez żadnego nazwiska – to był kompletny bezsens”. Pokręcił głową, a jednocześnie pochwalił Pauline za rozsądną decyzję. I wtedy znienacka, gdy ostrożnie zapytał, czy będzie w poniedziałek w pracy, ta zaczęła płakać. Była taka nieudolna, zdawała sobie z tego sprawę. Do niczego się nie nadawała. Obwinianie się i wyrzuty zdawały się nie mieć końca. Nie miał pojęcia, jak na to zareagować, i to, jak udało mu się przetrwać kolejne pół godziny, pozostawało dla niego zagadką. Gdy w końcu przerwała, szlochając i przeprasząc za wszystko, po raz pierwszy od kilku miesięcy nalał sobie lampkę koniaku i wypił ją jednym łykiem bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Wyłączył telefon, włączył telewizję i zasnął.

Obudziła go Hrabianka, która wróciła do domu godzinę później. Oczywiście natychmiast się zorientowała, że pił. Ochrzaniła go – jego stan zdrowia na to nie pozwalał, kiedy to zrozumie? Tym samym dzień zakończył się w równie irytujący sposób, jak się zaczął. Tę noc Simonsen spędził na pierwszym piętrze w swoim starym pokoju.

Lato, które trwało dłużej z powodu fali ciepła przetaczającej się na początku miesiąca nad krajem, teraz już definitywnie odchodziło. Pogoda zrobiła się niepewna i wietrzna, a poranki chłodne. Simonsen musiał wykrzesywać z siebie dodatkową energię na poranne przebieżki. Zdążył to już polubić, ale bieganie pod wiatr i bez względu na aurę nie było już takie przyjemne.

Śledztwo w sprawie zabójstwa Nielsena utknęło w miejscu, dlatego, żeby pchnąć sprawę do przodu, Simonsen postanowił się spotkać z Pedersenem i Hrabianką. Była już ku temu najwyższa pora.

Spotkali się w biurze Pedersena, w środę, dwudziestego czwartego września przed południem. Simonsen zaczął od przedstawienia nowych ustaleń. Nie napawały optymizmem.

Do laboratorium chemicznego w Niemczech zostały przesłane małe fragmenty papieru fotograficznego z każdego z osiemnastu plakatów, aby na podstawie jego składu ustalić w przybliżeniu, kiedy je wykonano.

– Interesuje mnie zwłaszcza ten pierwszy plakat, ale pewnie będzie trzeba trochę poczekać na odpowiedź. Niestety jak dotąd udało się tylko ustalić, że zdjęcia nie przedstawiają ani siostry Nielsena, ani jego matki z czasów młodości.

Pedersen i Hrabianka powtórzyli lojalnie jego słowa. „Nie siostra ani nie matka” – tak, przynajmniej to już wiedzą. Było wyraźnie widać, że oboje mieli na głowie inne, ważniejsze sprawy, chociaż bardzo się starali odpowiednio skomentować sprawę.

– Oprócz tego spędziłem trochę czasu nad ustaleniem metod kradzieży w dzielnicy.

Nic nie wskazywało na to, że zabójstwo było powiązane z kradzieżą czy też rozbojem, który wymknął się spod kontroli. Zdawało się ponadto, że złodzieje zamiast wili wybraliby raczej jakiś położony bardziej na uboczu dom.

„Ani kradzież, ani rozbój”. Co można było na to odpowiedzieć? Hrabianka próbowała to jakoś skomentować, ale bez przekonania. Pedersen

zerkał na swój zegarek, a Simonsen kontynuował swoją krótką prezentację.

– Najbardziej irytuje mnie to, że nigdzie nie mogę znaleźć tych negatywów, które, jak wiemy, muszą gdzieś być i które przedstawiają dziewczynę z plakatów. Ale nigdzie ich nie ma. Być może zabójca albo zabójcy Nielsena zabrali je ze sobą. W każdym razie zniknęły. Przeszukaliśmy pocztę, przeszukaliśmy mieszkanie listonosza, a także jego rzeczy – wszystko czterokrotnie, niestety prawie bez żadnego rezultatu... Ale historię przecieżyć znacie.

Simonsen utworzył trzy zespoły, każdy składający się z dwóch funkcjonariuszy. Skrupulatnych, doświadczonych, którzy nie narzekali nawet wtedy, gdy po raz czwarty wysłał ich na poszukiwanie negatywów, chociaż nikt z nich już nie wierzył, że uda się je odnaleźć. Na szczęście młoda para, która wprowadziła się do mieszkania po Nielsenie, okazała się chętna do współpracy. Przed wyjściem do pracy zostawili policji klucze.

Niestety, zespół, który został oddelegowany do przeszukania mieszkania, wpadł na pomysł użycia psa. Nowy właściciel mieszkania zadzwonił do Simonsena natychmiast po powrocie do domu. Jego żona miała silną alergię na psią sierść i policja musiała zapłacić tej parze za hotel, dopóki mieszkanie nie zostanie posprzątane. Jakby tego było mało, mężczyzna zgłosił jeszcze jedną... nieprawidłowość.

Simonsen wezwał obu funkcjonariuszy na koleżeńską rozmowę, którą poprzedziła długa i głośna przemowa.

– Ta biedna kobieta teraz kicha i się krztusi, ledwo oddycha, bo została otruta przez dwóch durniów we własnym domu – podsumował. – Ale muszę przyznać, że sprytnie to wymyśliliście. Pies do poszukiwania negatywów, dlaczego nie? Czyj to właściwie jest pies?

Jeden z mężczyzn przyznał się, że jego pies właśnie odbywał tresurę, a efekty były obiecujące. Mimo tego zajścia był niewątpliwie dumny ze swojego pupila.

– Dałem mu do powąchania rolkę negatywów, a potem kilka zdjęć, a następnie przeszukaliśmy przestrzeń pod panelami, drzwi, strych, parapety... wszystkie te miejsca, w których wcześniej nic nie znaleźliśmy.

– Czy twoja suczka ma cieczkę?

– Nieee. Skąd ten pomysł?

– Mylisz się, ma. Bo prawda jest taka, że coś znalazła. Trudno będzie wy tłumaczyć, dlaczego w jednym z pudeł zawierających prywatne zdjęcia zrobił się nagle okropny bałagan. To nad wyraz prywatne zdjęcia. Na razie powiedziałem, że nie pobieramy odcisków palców, żeby wyjaśniać takie sytuacje. Fakty są takie, że suka okazała się na tyle napalona, że nie potrafiła trzymać łap z daleka od skrzynki z tymi zdjęciami.

Żaden z funkcjonariuszy nie zdobył się na komentarz, obaj spuścili wzrok, poczerwieniali na twarzach.

– Nie chcę tam widzieć ani jednego psiego włosa. Najmniejszego nawet włoska tego napalonego zwierzaka. Odkurzycie tak, jakby cała wasza dalsza kariera miała zależeć od tego sprzątnia. A teraz wynocha.

– A właściwie to udało im się usunąć całą sierść? – spytała Hrabianka.

– Tak sądzę. Przypuszczam, że to była dość kosztowna impreza.

– Ale sam pomysł z psem nie był przecież taki głupi. Próboweś to powtórzyć w budynku poczty albo w magazynie, gdzie znajdują się rzeczy Nielsena?

– Sam o tym myślałem i nagrałem się na pocztę tego funkcjonariusza, który ma psa. Facet w przyszłym tygodniu wraca z wakacji, więc pewnie najpóźniej w środę zadzwoni.

– Lepiej się o to nie zakładajmy – wtrącił Pedersen.

Simonsen zignorował jego uwagę i kontynuował swoją niezbyt optymistyczną prezentację:

– Ostatnią kwestią są zdjęcia, które wiszą teraz w Søllerød.

– W twojej galerii – weszła mu w słowo Hrabianka.

Pedersen się zaśmiał, choć nie szyderczo. Simonsen nie zareagował, tylko skupił się na opowieści o ekspertach z różnych dziedzin, którzy oglądali zdjęcia dziewczyny w chmurach. Profesjonalni technicy fotograficzni i behawiorysta nie potrafili ustalić nic konkretnego. Ten ostatni tylko się miotał.

– Niech zgadnę. Ostateczne wnioski wymagały konsultacji z innymi psychologami?

Hrabianka nie mogła tego ująć lepiej.

– Koniec końców ta moja galeria, jak ją nazywacie, okazała się klapą – przyznał Simonsen.

– A co z tym twoim medium? – zapytał Pedersen. Nie zaprosiłeś jej tam?

W wydziale zabójstw było tajemnicą poliszynela, że Simonsen od czasu do czasu dyskretnie włącza do swoich śledztw kobietę medium. W niektórych sytuacjach udawało się dzięki niej dojść do bardzo zaskakujących wniosków, innym razem jej obecność nie wносиła nic wartościowego.

– Była w szpitalu, bo złamała biodro, ale może rzuci okiem na te zdjęcia, gdy dojdzie do siebie.

Hrabianka i Pedersen stwierdzili, że to dobra opcja – jeśli medium nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi. Simonsen klasnął w dłonie, próbując wprowadzić nieco optymizmu.

– To by było na tyle, skończyłem. Czy któreś z was ma jakiś pomysł, jak mam ruszyć dalej?

Nie potrafili mu pomóc. Zapadła głucha cisza. Pedersen poddał się jako pierwszy.

– Simon, może powinniśmy dać sobie chwilę na zastanowienie się?

* * *

Kolejnego dnia to Berg wniosła coś nowego do sprawy. Nie było to co prawda nic przełomowego, ale Simonsen nauczył się cieszyć z każdego postępu. Gdy przybył do biura w czwartkowy poranek, już tam siedziała i z dumą oświadczyła, że ma dla niego prezent, chociaż go nie zapakowała.

Po swoim wybryku z zeszłego tygodnia w poniedziałek przyszła do pracy, jak gdyby nic się nie stało, i żadne z nich nie wracało już do tego incydentu. Dokumenty, której jej wcześniej przekazał, zwróciła bez żadnego komentarza i teraz leżały w najniższej szufladzie jego biurka, czekając, aż

inspektor zbierze się w sobie i skontaktuje z profesorem Arthurem Elvan-
giem w sprawie protokołu z sekcji zwłok. Zgodnie z tym, co jej obiecał
tam, na pastwisku Melby, prawie siedem dni temu. Ona z kolei nie naci-
skała, nie wracała do tej obietnicy, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że
o niej nie zapomniła, więc wkrótce będzie musiał umówić się na spotka-
nie z profesorem.

Wbrew jego przewidywaniom w ciągu ostatniego tygodnia Berg spra-
wiało wrażenie bardziej zadowolonej. Miał wrażenie, że pracuje z tą
dawną Pauline, sprzed wypadku. Uważał, że stała się też bardziej
uprzejma – i to nie tylko w stosunku do niego.

Przyjrzał się prezentowi.

– To świadectwo maturalne Nielsena. Wreszcie je mamy. Jak je znalaz-
łaś?

– Wisiało oprawione w biurze ojca Nielsena w budynku poczty, aż
zmienił się naczelnik. Dwaj starsi listonosze mówią, że wisiało sam na
sam z portretem króla Fryderyka Dziewiątego. A przez pół roku, do czasu
katastrofy, chyba też w towarzystwie królowej Małgorzaty, ale nikt dziś już
tego dokładnie nie pamięta. Znaleźliśmy świadectwo w piwnicy poczty.

– Czyli tatuś musiał być dumny z syneczka z maturą.

– Z pewnością. Ojciec był pierwszym urzędnikiem na poczcie, którego
synowi udało się zdać maturę, więc naprawdę miał powód do dumy, ale
popatrz tutaj. – Wręczyła Simonsenowi stos kartek i wyjaśniła: – To jest
korespondencja między Tomem Kramerem Nielsenem a Ministerstwem
Edukacji z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Możesz
mnie już pochwalić, bo nawet sobie nie wyobrażasz, ile musiałam się
nadzwoić, żeby dostać te kopie. A z tych wszystkich ślamazarnych insty-
tucji najbardziej nienawidzę ministerstw. W innych miejscach, gdy słyszą
„sprawa o zabójstwo” czy „pilne”, potrafią ruszyć tyłek, ale w administracji
centralnej efekt jest raczej odwrotny.

– Tak, rzeczywiście często się ociągają, więc zasłużyłaś na pochwałę.

Powiedziała mu, co udało jej się ustalić.

Nielsen nie przyszedł na ostatni egzamin maturalny – na ustną mate-
matykę. Nie do końca wiadomo dlaczego, bo jego ojciec nieustannie zmie-

niał wersje. W każdym razie Jørgen nie zdał matury i musiał podejść do egzaminu w późniejszym terminie. Jednak tak się nie stało.

– Dlaczego nie? – spytał zdziwiony Simonsen.

– Nie mam pojęcia, ale ojciec uparcie domagał się wstawienia Jørgenowi dwóji, co by pozwoliło zamknąć sprawę. Pozostałe oceny były na tyle wysokie, że ta dwójka nie szkodziła. Właśnie tego dotyczy korespondencja między ojcem Nielsena a Ministerstwem Edukacji. Ministerstwo konsekwentnie upierało się przy swoim. To zresztą jedyna słuszna interpretacja obowiązujących przepisów.

– Ale w końcu Jørgen zdał ten egzamin?

– Tak, żyjemy przecież w Danii. Widzisz, jeden z dawnych kolegów Toma Kramera Nielsena, jeszcze z czasów wojska, zrobił karierę we właściwym miejscu. Został rektorem duńskich uniwersytetów ludowych, a starzy kumple przecież sobie pomagają, gdy mają taką możliwość, więc czary-mary i Jørgen Kramer Nielsen dostał świadectwo maturalne. Wyjmij je z ramki i zerknij na podpis po drugiej stronie.

Simonsen zastosował się do jej polecenia, komentując:

– Naprawdę się zagłębiłaś w tę historię. Kto ci o tym wszystkim opowiedział?

– Rektor uniwersytetów ludowych we własnej osobie. To sprawny na umyśle, niemal stuletni staruszek. Mówił przez dwie godziny. Było naprawdę sympatycznie i niezwykle interesująco. No, a co sądzisz o tym podpisie?

– No, no, robi wrażenie. Osobisty podpis złego Helgego.

– Dlaczego tak go nazywasz? Chyba coś mi umknęło.

– Przezwisko jest bardzo niesprawiedliwe, bo ten radykał Helge Larsen był zdolnym ministrem edukacji, ale okazał się tarczą strzelniczą dla ruchów protestacyjnych młodzieży, więc dostało mu się naprawdę niewdzięczne stanowisko. W tamtym czasie żaden polityk pełniący tę funkcję nie miał szansy na popularność. Jasny gwint, spójrz, Jørgen Kramer Nielsen miał naprawdę wysokie oceny.

– Zgadza się, a spójrz na pisemną matematykę albo fizykę.

– A mimo to nie przestąpił do ustnej matematyki ani nie rozpoczął studiów. Ciekawe dlaczego.

– Niestety nie wiem. Swoją drogą to pomyliłam się w sprawie roku, w którym młodzież paliła świadectwa. To było rok później, w tysiąc dwieście siedemdziesiątym, na Kongens Nytorv. – Przerwała na moment. – Szkoda, że tego nie doświadczyłam. To musiało być niesamowicie ekscytujące.

Simonsen pokręcił głową.

– Nie dla mnie. Pracowałem, a poza tym nigdy nie poszedłem na studia.

* * *

Kolejny drobiazg, który przy odrobinie dobrej woli można było potraktować jako niewielki postęp w sprawie listonosza, pojawił się tydzień później z kompletnie nieoczekiwanej strony i w niespodziewanym przez Simonsena czasie. Wziął wolne na poniedziałek i wtorek. Urlopu miał aż nadto, a chciał znaleźć dla siebie jakąś nową dyscyplinę sportową. Gdy pogoda się popsowała, miał spory problem, żeby zmusić się do codziennych przebieżek. Za kilka miesięcy mógł się również spodziewać śniegu i lodu na chodniku, a wtedy bieganie ustaloną trasą będzie po prostu głupie. Zdecydował się więc na zakup roweru stacjonarnego i ustawił go w swojej galerii. W poniedziałkowy poranek, gdy dopiero po raz drugi wyciskał z siebie siódme poty, trenując na nowym sprzęcie pod czujnym okiem łobuzersko uśmiechniętej dziewczyny ze zdjęcia, trening przerwał mu nieznanymi gość.

Klavs Arnold pochodził z Esbjerg. Był postawnym mężczyzną pod czterdziestkę – barczystym i grubokościstym. Na jego ciele trudno by szukać gramów zbędnego tłuszczu i należało się domyślać, że raczej nikt nie szukał u niego zaczepki. Miał na sobie praktyczne, nieco zniszczone ubranie. Zdjął solidne skórzane buty z cholewami, które nadawałyby się na ćwiczenia na poligonie wojskowym jesienią i ustawił je przed drzwiami wejściowymi, a potem zapukał i wszedł do środka.

– Przepraszam, czy pan Konrad Simonsen, szef wydziału zabójstw?

Inspektor zaczął pedałowac nieco wolniej, przyglądając się mężczyźnie, który schylił lekko głowę, przestępując przez próg.

– A kto pyta?

– No tak, przepraszam, powinienem się najpierw przedstawić. Klavs Arnold, aspirant policji z Esbjerg.

Wyciągnął dłoń i potrząsnął przedramieniem Simonsena, a potem zmniejszył obciążenie roweru.

– Tamto było stanowczo za duże, nie powinien pan przekraczac trójki. Dopiero pan zaczyna?

Simonsen odrobinę szorstko przyznał, że faktycznie. Chwilę później poczuł, że mężczyzna miał rację. Przestał pedałowac, ale dalej siedział na siodełku.

– A pan się na tym zna? Jest pan trenerem?

– Nie, to zbyt dużo powiedziane. Czasem dorabiam w lokalnej siłowni, żeby podreperowac domowy budżet. – Podał Simonsenowi ręcznik. – Nie chciałbym zabierac panu zbyt wiele czasu. Przyjechałem wraz z żoną do Kopenhagi, żeby poszukać jakiegoś mieszkania, przeprowadzamy się jesienią, więc pomyślałem, że przy okazji uporam się z problemem, który od miesiąca próbuje rozwiązać.

– Jaki to problem?

– No więc tak. Ludzie z pańskiej komendy zwrócili się do mnie z zapytaniem o pewną osobę, która co roku przyjeżdża do miasta – mam na myśli Esbjerg – z prośbą o ustalenie miejsca noclegu. Jeżeli to możliwe. Dostałem tylko nazwisko i na tej podstawie niewiele mogłem zrobić, dlatego mailowałem i dzwoniłem po dodatkowe informacje – wiek, zdjęcie, cokolwiek jeszcze macie. Najpierw nikt mi nie odpowiadał, a po jakimś czasie dostałem informacje o przypuszczalnym terminem przyjazdu na Dworzec Główny w Esbjerg i odjazdu z niego. – Zrobił krótką przerwę, a po chwili ciągnął dalej: – To jasne, że Esbjerg to nie Kopenhaga, ale... mimo to nie udało mi się nic ustalić.

Simonsen zrozumiał, że zadanie należało do tych niemożliwych.

– A z kim pan korespondował? – zapytał złowróźnie.

– O nie, nie, nie powiem panu. Koledzy mnie ostrzegali, że lepiej panu nie nadeptywać na odcisk, a ja nie przyszedłem, żeby się skarżyć na kolegów, tylko po pomoc.

– Czyli nie powiesz mi, z kim utrzymywałeś kontakt? – Simonsen przestał się bawić w konwenanse i zaczął mówić do aspiranta per ty.

– Nie ma mowy.

– A co, jeżeli wydam ci taki rozkaz?

– Nie może pan, jestem na urlopie, pan zresztą też.

Simonsen przyjrzał się uważnie torsowi aspiranta. Nie było to zbyt widoczne, ale miał oko do takich rzeczy.

– Widzę, że jesteś uzbrojony – powiedział nieufnie.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo wiosną otrzymywałem pogrożki. Moja rodzina też. Wolałabym o tym nie wspominać, ale... tak, od tego czasu bardziej uważam. Kupiłem do domu szafę pancerną, więc wszystko jest zgodne z przepisami. Nie jestem żadnym kowbojem, nic z tych rzeczy.

Mężczyzna wygładził wybrzuszenie kurtki w miejscu, gdzie znajdowała się kabura.

– Chcesz piwa albo wody? – zapytał Simonsen.

Omówienie szczegółów sprawy listonosza zajęło inspektorowi deprecjująco niewiele czasu, co Arnold zauważył z irytującą szczerością:

– Niewiele zdołał pan ustalić. Mógłbym obejrzeć plakaty? – Mężczyzna przemierzał wolno pomieszczenie, nie odzywając się ani słowem.

Simonsen poszedł za nim i poczuł się jak kustosz. Gdy zakończyli zwiedzanie, Jutlandczyk zapytał:

– Które z nich powstał jako pierwszy?

Simonsen wskazał palcem.

– Uważamy, że jeden z tych dwóch.

Ustawili się na wprost plakatów. Aspirant milczał jeszcze przez chwilę, aż w końcu przyznał:

– Trudno to ocenić gołym okiem, ale technik fotograficzny mógłby w tym pomóc.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o to, że pierwsze z tych zdjęć prawdopodobnie zrobił Nielsen, to znaczy, że nie pochodzi z albumu, o którym wspominałeś. Z pewnością spotkał ją podczas jednej z takich wypraw, o ile nie była z nim przez cały czas. Może zdecydował się na tę słynną podróż promem Hurtigruten z Bergen do Tromsø. Mówiłeś, że zbierał pieniądze na ten wyjazd.

Simonsen był pod wrażeniem, czemu dał wyraz. Jednak pochwałę mógł sobie darować. Nie zrobiłaby wrażenia na aspirancie, który zapytał:

– Kto pomalował to pomieszczenie? To pańska robota? Naprawdę nie-
zła. Moje dzieci byłyby zachwycone.

– Dziękuję. Wszyscy inni sądzą, że to nieco zbyt odważne. Ile masz dzieci?

– Pięcioro, ale ostatnia dwójka to bliźnięta, więc nic nie mogłem na to poradzić.

Zaśmiał się ujmująco.

– Dlaczego przeprowadzacie się do Kopenhagi? Chodzi o zmianę otoczenia?

– Nie, do diaska, moja żona dostała nową pracę, więc wraz z dziećmi zabieramy się razem z nią. Chociaż trudno mi było coś tu znaleźć. Nikt, do cholery, nie kwapił się do zatrudnienia takiego wieśniaka jak ja, ale w końcu się udało.

– A gdzie dokładnie zamieszkacie?

– Helsinge. To miejscowość, która leży między...

– Wiem, gdzie leży Helsinge. Czym zajmuje się twoja żona?

– Pracuje w parlamencie. Cóż, miałem nadzieję, że to nigdy nie nastąpi. Dostała jakieś stanowisko w zastępstwie, ta właściwa osoba tak się rozchorowała, że złożyła rezygnację.

– Jak długo zostaniesz w Kopenhadze?

– Wieczorem wracam do domu. Muszę być jutro w pracy.

- Nie, nie musisz. Zamiast tego musisz się stawić w moim biurze. Porozmawiam z twoim komendantem.

- Ale dlaczego?

- Bo znam paru ludzi, z którymi powinieneś się spotkać.

Rozdział 6

Restauracja Sult przy Vognmagergade w sercu Kopenhagi była jasnym, przyjemnym lokalem, ze sporą ilością miejsca między stolikami i przyjemną atmosferą. Tak uważał Simonsen, który przyszedł tam o umówionej porze. Przypuszczał, że Hrabianka, która wcześniej wybrała się na zakupy, nie dotrze na czas. I się nie pomylił. Zamówił herbatę, a teraz siedząc przy stoliku przy oknie, z roztargnieniem mieszał w filiżance, chociaż nie dodał ani cukru, ani mleka. To była jego przerwa na lunch i dopadły go wyrzuty sumienia. Najpierw dwa dni wolnego, na które w swoim odczuciu niezbyt zasłużył po długiej nieobecności spowodowanej chorobą, a teraz jeszcze kolejna przerwa, która łatwo mogła się przeciągnąć do półtorej godziny, jeżeli Hrabianka zaraz nie dotrze.

Przedpołudnie okazało się niejednoznacznie przyjemne. Zła informacja była taka, że może minąć sporo czasu, zanim w końcu będą mogli przeszukać meble Nielsena z udziałem psa i być może znaleźć negatywy. Zwierzę podobno się przeziębilo. Tak twierdził właściciel, gdy skontaktował się z Simonsenem dziś rano. Najpewniej kłamał, żeby się zemścić za ochrzan, który inspektor spuścił funkcjonariuszowi i jego partnerowi tydzień wcześniej. Ale co mógł z tym zrobić? Zażądać, aby psa przebadał weterynarz, bo coś tu śmierdzi? Oczywiście można było też zamówić innego psa, ale obowiązywał czas oczekiwania. Ten chory miał tę zaletę, że nie został jeszcze w pełni wyszkolony. Dlatego nie przydzielano go do stałej pracy i nie trzeba było na niego czekać, co Simonsen i tak musiał teraz robić. Włączając w to dwie soboty, robił się z tego prawie tydzień – frustrująca myśl. Przydzielił do tej sprawy Pauline, mając nadzieję, że dziewczyna będzie w stanie jakoś obłaskawić przewodnika i pies pojawi się nieco szybciej.

Lepiej poszło mu z Klavsem Arnoldem. Po rozmowie z komendantem z Esbjerg bez problemu udało mu się przedłużyć pobyt Jutlandczyka w Kopenhadze o dwa dni. Aspirant zyskał tym samym dodatkowy wolny dzień, by móc rozejrzeć się w spokoju po mieście. To było zresztą bardzo pożądane, bo mężczyzna ledwo potrafił odnaleźć drogę z jednego końca placu Ratuszowego na drugi. Dzisiaj Simonsen przedstawił Arnolda wybranym osobom z komendy i w sumie odnotował sukces. Hrabianka polubiła go od pierwszego wejrzenia, o czym otwarcie mówiła, zanim wybrała się na zakupy. Również Pedersenowi Jutlandczyk przypadł do gustu, co też nie było bez znaczenia. Inspektor obawiał się, że podczas spotkania obu mężczyzn zacznie rządzić testosteron i skończy się na znaczeniu własnego terytorium, ale nic takiego się nie stało. A nawet przeciwnie – Pedersen poświęcił swój czas, aby oprowadzić Arnolda po komendzie, a potem jeszcze zgodził się, żeby Jutlandczyk zabrał ze sobą do Esbjerg dodatkowego funkcjonariusza, aby ten wsparł go w poszukiwaniach. Nielsen musiał tam po sobie zostawić jakiś ślad. Jeździł tam przecież co roku. Śledztwo nabrało nieco bardziej realnego wymiaru, po tym, jak Arnold wreszcie otrzymał zdjęcie listonosza. Simonsen zobowiązał się znaleźć dla aspiranta odpowiedniego partnera, ale jeszcze nie zdążył się za to zabrać. Zdołał natomiast usłyszeć spontaniczną reakcję Pauline, gdy przedstawiono jej Jutlandczyka. „Wieśniacki i nijaki” – zawyrokowała. Pomyślał wtedy, że właściwie to ją powinien wysłać z nim do Esbjerg, ale... to chyba jednak nie był najlepszy pomysł.

Poczuł czyjąś dłoń na swoim ramieniu i przez moment sądził, że to Hrabianka.

– Mógłby pan przestać? To dość irytujące.

Mężczyzna z sąsiedniego stolika wskazał na filiżankę Simonsena i upłynęła chwila, zanim się zorientował, że chodziło o łyżeczkę, którą nieustannie mieszał herbatę.

Przeprosił i odłożył łyżeczkę. Potem spojrzął na swój zegarek, chociaż na bocznej ścianie lokalu wisiał duży zegar. Wtedy usłyszał pukanie w szybę. Obrócił głowę i zobaczył na ulicy swoją partnerkę, obładowaną zakupami. Wyglądała jak tragarka w takim nieco droższym wydaniu.

Ustawili jej torby na podłodze pod stołem, a potem zamówili jedzenie.

– Rozważam zatrudnienie tego Jutlandczyka – odezwał się Simonsen. – A raczej, zamierzam przekonać Arnego, żeby go zatrudnić. Co o tym sądzisz?

– Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Potrafi coś?

– Tak twierdzi jego komendant. A do tego jego koncepcja, że pierwsze plakaty z dziewczyną nie są zdjęciami wcześniejszych fotografii, brzmiała niezłe.

– Ale jest błędna?

– Niestety tak. Melsing już to badał, jakkolwiek to możliwe. Ale uważam, że pomysł sam w sobie był niezły.

– Zgadza się. Ale to chyba za mało, żeby zatrudnić tego Arnolda?

– Poprosiłem o jego teczkę personalną, przysła ją jutro. Wydaje mi się, że będzie dobrze pasował do zespołu. I to jest chyba najważniejsze. Przyjdzie na okres próbny, bo przecież nie ma pośpiechu, a wtedy mu się spokojnie przyjrzymy.

Hrabianka myślała tak samo – że okres próbny to dobra opcja i że aspirant odnajdzie się w zespole.

Gdy skończyli jeść, Hrabianka postanowiła mu pokazać swoje zakupy. I nie miał żadnej możliwości, żeby jej odmówić. Wszystkie kawałki tkaniny zostały wyciągnięte z siatek, rozłożone, skomentowane i odłożone z powrotem. To zajęło im trochę czasu, bo naprawdę solidnie się obkupiła. Simonsen robił, co w jego mocy, ale już pod koniec miał spory problem z różnicowaniem komentarzy, po prostu najzwyczajniej w świecie zabrakło mu superlatyw. Okazało się, że gdy nie pochwalili wystarczająco jakiejś bluzki, musiał natychmiast odnieść się do poprzedniej. „Bardziej podobała ci się ta różowa w paski?” Prawda była taka, że już dawno zdążył zapomnieć o tej różowej w paski. Gdyby jednak Hrabianka to odkryła, bluzka zostałaby ponownie wyjęta, żeby mógł porównać. „Która ci się bardziej podoba?” A odpowiedź „równie ładna” mógł sobie od razu darować. Wtedy cały pokaz ciągnąłby się bez końca. Ten jednak nastąpił. Została jeszcze ostatnia paczka i ta nie była miękka. Hrabianka wyciągnęła zawar-

tość z reklamówki i z dumą ustawiła na stole. To był aparat fotograficzny, a dokładniej nikon F6, co wyczytał z etykiety na opakowaniu.

– Co to jest? – zapytał mimo to.

– Prezent urodzinowy dla Anny Mii. Nie pamiętasz, rozmawialiśmy o tym, żeby kupić jej lustrzanekę. Tego właśnie sobie życzyła.

Teraz sobie przypomniał. Nieufnie przyglądał się paczce.

– Skoro ma zabrać aparat na Bornholm, to nie można było już dłużej czekać z zakupem – dodała Hrabianka. – Chyba wyjeżdża już w przyszłym tygodniu?

– Tak, ale sprzęt wygląda na bardzo drogi.

Jej gestykulacja sugerowała, że to nie ma dla niej znaczenia. Nie zdziwiło go to, nie przejmowała się takimi drobiazgami. Większość pieniędzy odziedziczyła po ojcu, który według jej własnych słów dorobił się ogromnej fortuny na legalnych przekrętach: zakupie i sprzedaży mieszkań, które wcześniej odnawiał w najtańszy możliwy sposób. Stała się bogata w dość późnym wieku i teraz regularnie szastała pieniędzmi na prawo i lewo. Ale to nie nadwyrężało jej budżetu. A ta jej ekstrawagancja bywała niekiedy przesadna. Tak jak tym razem.

– Jeżeli mam dać swojej córce prezent na urodziny, chciałbym wiedzieć, ile kosztuje – powiedział wprost. – No i zamierzam ci oddać połowę.

Kiwnęła nieznacznie głową, a potem rzuciła kwotę:

– Czternaście tysięcy za aparat i cztery za teleobiektyw, który przyślą mi jutro.

Jak tylko wymówiła te słowa, oboje już wiedzieli, że mają problem. Siędzili przez chwilę, spoglądając na siebie, jakby chcieli wziąć rozbieg.

– To nie przejdzie, będziesz musiała oddać ten aparat – oznajmił kategorycznie Simonsen.

– Co takiego nie przejdzie? Nie chcesz wydać dziewięciu tysięcy na własną córkę?

Poczuł się upokorzony, ale odpowiedział jej ostro:

– Owszem, chcę, ale w mojej rodzinie nie dajemy sobie takich drogich prezentów. Poza tym nie chcę upokarzać matki Anny Mii i jej przyrod-

niego brata, którzy pewnie kupią coś skromnego za pięćset koron.

– Możesz im powiedzieć, że to rekompensata za to, że nie dałeś jej żadnego prezentu na bierzmowanie. A swoją drogą to od kiedy martwisz się o to, co czuje matka Anny Mii?

Zarumienił się i prychnął w odpowiedzi:

– Potrafię się dogadać ze swoją ekszoną, nie robiąc jej przy tym świadomie przykrości.

– Co masz na myśli? – syknęła Hrabianka. – No powiedz, co takiego masz na myśli?

– Doskonale wiesz, co mam na myśli.

Nerwowymi, szybkimi ruchami pozbierała swoje siatki i wybiegła z lokalu wyprostowana i z wysoko podniesioną głową.

Godzinę później Simonsen dotarł na komendę, niosąc pod pachą pudełko z aparatem fotograficznym. Nadal był wkurzony, ale gotów omówić tę sprawę z Hrabianką nieco spokojniejszym tonem. Poszedł prosto do jej biura, ale nikogo tam nie zastał. Na korytarzu natknął się na Pedersena.

– Cześć, Simon. To był naprawdę dobry pomysł, żeby posłać Hrabiankę do Esbjerg.

Wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta. Pedersen zwrócił uwagę na etykietę na paczce.

– Jasny gwint, to nikon Fsześć, niezłe cacko. Mogę obejrzeć?

Wręczył mu paczkę.

– Proszę bardzo. I zapytaj Hrabiankę, bo to jej.

We własnym biurze zastał Berg. Rozłożyła się na sofie i zajęła czytaniem jakiejś notatki. Była w świetnym humorze.

– Co prawda zajęło mi to trochę czasu, ale posłuchaj. Umówiłam się z przewodnikiem psa na jutro o dziesiątej w magazynach Express Flyt w Hvidovre.

Wystawił palec w jej kierunku.

– Wynocha z mojego biura!

Zaśmiała się i wyszła. Rzuciła jeszcze, że to naprawdę miłe móc zobaczyć, że on też potrafi się awanturować. Gdy zatrzasnęły się za nią drzwi,

usiadł na sofie i pomyślał, że to wszystko jest do dupy.

* * *

Robiło się coraz chłodniej, poranki były niemal mroźne, a w ogrodzie Hrabianki łądygi rosnącej przy garażu pnącej róży pokryły się pajęczyną: starannie utkany mi nici, obciążonymi mnóstwem kropel rosy, błyszczących w słońcu. Simonsen chętnie tam przystawał i przez parę sekund rozkoszował się tym widokiem.

Rząd schładzał gospodarkę, ludzie zaczęli oszczędzać, bo choć wiedzieli, ile mają, to nie potrafili przewidzieć, co się stanie. Zwiększała się świadomość nadchodzącego kryzysu, a niepewność rosła.

W tym okresie Komendant Główny Policji zaprosił wszystkich na entuzjastyczne spotkanie do Øksnehallen w Kopenhadze, skąd miano prowadzić transmisję do pozostałych jedenastu policyjnych okręgów – dla tych, którzy nie mieli tyle szczęścia, żeby wziąć udział w spotkaniu na żywo. Kiepskie czasy, oszczędności, cięcia należało postrzegać jako wyzwanie, punkt wyjścia dla nowych procesów twórczych oraz niepowtarzalną okazję do wykazania się kreatywnością. Głównym tematem rozmów w wydziale zabójstw w tym tygodniu było poszukiwanie wymówki, aby nie pojawić się na spotkaniu.

Simonsen tęsknił za Hrabianką. Poprzedniego wieczoru długo rozmawiał z nią przez telefon i przeprosili się za ostatnie zajście. Mimo to uważała, że dobrze im zrobi kilka dni, rozłąki – trzy, może cztery. Wtedy się z nią zgodził, ale dzisiaj rano, gdy obudził się w pustym domu, trudno mu było zrozumieć, co takiego dobrego miała na myśli. Pospiesznie wziął prysznic i zjadł śniadanie i już godzinę po obudzeniu dotarł do magazynów Express Flyt w Hvidovre, nadal nieco zaspany, ale zadowolony, że może pracować. Wtedy mniej myślał o Hrabiance.

W hali magazynowej spotkał się ze zrzędliwym i mrukliwym przewodnikiem oraz z psotnym labradorem, który nie wyrósł jeszcze ze szczenięcych figli. Meble Nielsena zostały wyjęte z kontenerów, a teraz czterech barczystych mężczyzn w niebieskich kombinezonach ustawiało je na podłodze. Pracowali efektywnie, bez zbędnych słów, i wyglądało na to, że

wkrótce skończą. Simonsen pomyślał, że Pedersen z pewnością otrzyma fakturę od Express Flyt, ale to na szczęście nie był jego problem. Chwilę później pojawiła się Pauline, pogłaskała psa i jedząc jogurt z niewielkiego kubka, zaczęła się przymilać do właściciela zwierzaka. Była w znakomitym humorze.

Pies dostał do powąchania kliszę i zabrał się do pracy. Przez jakiś czas kręcił się między meblami, aż wreszcie zatrzymał się przy pustym regale na książki, który zaczął intensywnie obdrapywać. Został pogłaskany, a następnie jego przewodnik wydusił z siebie:

– Znalazł coś.

Trzech policyjnych funkcjonariuszy dokładnie przeszukało regał. Wykonano go z tekowego drewna i obito od tyłu. Mebel miał sześć półek. Policjanci odwrócili regał do góry nogami, żeby sprawdzić jego podstawę, ale niczego nie znaleźli. Pies usadowił się obok. Machał ogonem na boki, uderzając nim o posadzkę, i w napięciu spoglądał na swojego przewodnika. Funkcjonariusze zdjęli półki z metalowych bolców i dokładnie przeszukali jedną po drugiej, później zaczęli obracać regał we wszystkich możliwych kierunkach, wyjęli nawet metalowe bolce z otworów i dokładnie je zbadali. Nic nie znaleźli. Simonsen zerknął z ukosa na psa. Po kolejnym kwadransie się poddali, a właściciel psa wydał krótką komendę i zwierzę ponownie ruszyło do pracy. Pies pobiegł pół metra do przodu, po czym zaczął dreptać na jednej z półek leżących na podłodze.

– Coś znalazł – stwierdził jego właściciel.

Simonsen i Berg dokładnie zbadali półkę.

– Jest tam coś? – dopytywał przewodnik.

– Tak, laminowana deska z drewna tekowego, tak około sześćdziesiąt na trzydzieści centymetrów, gruba na dwanaście do czternastu milimetrów, z otworami na bolce po obu stronach – odparł sucho inspektor.

– Coś jeszcze?

– Tak, po jednej stronie widoczne są ślady zadrapania, jakby po psich pazurach. – Nikt nie zareagował na ironiczny komentarz Berg.

– Coś jest nie tak z tą półką – upierał się właściciel psa.

– Wszystko jest z nią w porządku.

– Spróbuj pozamieniać półki, ale zapamiętaj, gdzie kładziesz tę podejrzaną.

Odciągnął psa na kilka metrów, a potem odwrócili się plecami. Najwyraźniej nie należało ignorować psiej intuicji, dlatego Simonsen z zaangażowaniem pozamieniał półki miejscami. Berg już się poddała.

– Pilnuj, żeby nie oszukiwał – upomniała przewodnika.

– Na pewno nie będzie.

Gdy Simonsen skończył, psu wydano kolejną komendę. Błyskawicznie doskoczył do właściwej półki i zaczął drapać po drugiej stronie.

– Znalazł coś – powiedział Simonsen.

Po raz kolejny obejrzał półkę, a potem pokręcił głową. Tym razem i on się poddał. Przekazał półkę przewodnikowi, który najwyraźniej lepiej się znał na drewnianych deskach.

– Ona nie jest laminowana – stwierdził tamten. – Po obu bokach od zewnątrz znajduje się trzymilimetrowa warstwa okleiny tekowej, a w środku czteromilimetrowa płyta wiórowa, więc gdy ma się wystarczająco dużo cierpliwości, można zębami piły ręcznej wydrążyć środek płyty. Ona jest miększa niż okleina, więc piła sama ją znajdzie. Robi się z tego niezła kryjówka. To nic nowego.

Wyjął z kieszeni telefon, a Berg zapytała przekornie:

– Dzwonisz po nowego psa?

Mężczyzna nie odpowiedział. Długo wpatrywał się w otwór na bolec po jednej ze stron.

– Wydaje mi się, że wewnątrz jest jakaś szczelina. Może facet dorobił dodatkowy kawałek z jakiejś innej płyty wiórowej, który można wsunąć, aby zasłonić otwór? Macie coś ostrego i elastycznego? Jakiś spinacz albo cienki stalowy drucik?

Simonsen poszedł aż w najodleglejszy róg hali magazynowej. Tam za szklaną ścianą znajdowało się niewielkie biuro. Wewnątrz nie było nikogo. Zakradł się do środka i zabrał garść spinaczy z magnetycznego uchwytu, który na szczęście znalazł na jednym z biur. Potem wrócił do

reszty, podał spinacze przewodnikowi, a ten wybrał jeden i wygiął go w niewielki haczyk. Resztę rzucił na podłogę. Następnie podał swój telefon Berg, prosząc, żeby mu poświeciła, a sam w skupieniu zaczął grzebać spinaczem w płycie. Udało się już przy pierwszej próbie i cienka listewka wypadła na zewnątrz. Poświecił w głąb schowka.

– W środku jest jakaś koperta.

– Kopertę zostawimy technikom – powiedział z uśmiechem Simonsen.

– Kończymy na dzisiaj. Ty i twój pies wykonaliście kawał dobrej roboty, chociaż z początku miałem wątpliwości.

Zanim wyszli z hali, pies dostał smakołyk, a Simonsen pomyślał, że powinien też zadbać o jakiś drobiazg dla przewodnika. Naprawdę na to zasłużył. Zamiast tego poklepał go parokrotnie po ramieniu.

* * *

Aż cztery długie dni Simonsen czekał na informacje, czy w śledztwie nastąpi w końcu jakiś przełom, którego tak desperacko potrzebował. Ten czas postanowił wykorzystać na wyjaśnienie pewnej niejasności, która od dawna nie dawała mu spokoju.

Emerytowany listonosz, którego swego czasu odwiedził w domu spokojnej starości, go okłamał. W 1969 roku młodzi ludzie nie oszczędzali latami pieniędzy, żeby gdzieś pojechać. Jeżeli postanawiali gdzieś wyjechać, pakowali kanapki do plecaka i gnali w świat. Już za pierwszym razem – gdy z Pedersenem przeglądali rzeczy listonosza – Simonsena zastanowiło, że Nielsen nigdy nie miał paszportu, co nie bardzo pasowało do tego rzekomego żadnego podróży młodego mężczyzny. Ale potem o tym zapomniał. Po dłuższym czasie podczas porannego prysznica przypomniał sobie o swoich wątpliwościach. Mózg to zagadkowy organ. Potem Simonsen polecił jednemu z funkcjonariuszy, aby przeświecił emeryta, a wtedy klocki układanki wskoczyły na swoje miejsce.

Gdy dotarł do domu spokojnej starości, skonfrontował staruszkę z nowymi ustaleniami:

– Okłamał mnie pan, kiedy byłem tu ostatnim razem. Powiedział pan, że Nielsen zbierał na podróż dookoła świata. To nieprawda.

– Nie pamiętam. – Mężczyzna próbował się zasłonić wiekiem.

– Wmawiał mi pan też, że do czasu katastrofy lotniczej, w której zginęła jego rodzina, był energicznym, radosnym chłopakiem. To też nie jest prawda.

– Rozmawialiśmy dawno temu. Ledwo sobie przypominam, że tu pan był.

– I znowu pan kłamie. Nie ma pan żadnych problemów z pamięcią.

– Skąd ta pewność? Każdy może się pomylić.

– Nie przepada pan za policją?

Twarz staruszka wykrzywił grymas złości. Nie odpowiedział na pytanie, tylko pokręcił z irytacją głową.

– W młodości kilkukrotnie starał się pan o przyjęcie do policji.

– Ciągłe słyszałem, że jestem za niski. To potwornie niesprawiedliwe.

– Czy dlatego pan kłamał? A może nie przepadał pan za naczelnikiem poczty? A może jego syna też pan nie lubił?

– Nikogo nie lubię.

Simonsen pomyślał, że ta ostatnia odpowiedź zabrzmiała prawdziwie. Z torby wyciągnął dwa kartony papierosów. Próbował znaleźć jakiś sposób na zmotywowanie staruszka. Niestety nie wpadł na nic innego poza zakupstwem.

– Słyszałem, że gdy nie ma się emerytury kapitałowej ani udziału w żadnych programach oszczędnościowych, to życie emeryta nie należy do łatwych. Kierownik tej placówki powiedział mi, że jest pan właśnie w takiej sytuacji. – Położył papierosy na stole i dodał: – Cała prawda, bez owijania w bawełnę.

Staruszek wpatrywał się chciwie w dwa kartony papierosów, aż w końcu pękł.

– Jørgen wydawał się dziwny od pierwszego dnia pracy i nie lubiłem jego ojca, bo był chwalipiętą jakich mało. Jego syn nikomu nie dokuczał, chociaż też nikomu nie pomagał, po prostu był.

– Już to słyszałem.

– Wszyscy uważali, że był dziwny, nawet jego ojciec. Dziwny, ale nie-szkodliwy.

– I wcale nie zamierzał wyjechać w żadną podróż?

– Nie wydaje mi się, żeby potrafił się na to zdobyć. Nie był tacy jak inni.

– Inni?

– No, ci wszyscy młodzi, zatrudniani w tamtych czasach. Tak, nie mogłem ich znieść, tych długowłosych brudasów, którzy do niczego ani do nikogo nie mieli szacunku. Potrafilo tylko niszczyć. Jedynie na to było ich stać. Niestety wszyscy byliśmy wtedy po imieniu. Tamte czasy przypominały wyprzedaż przed zamknięciem sklepu, ci młodzi powinni wtedy obe-rwać, naprawdę.

– A pan pewnie chętnie przyłożyłby do tego rękę?

– A żeby pan, cholera, wiedział, ale niestety nie dostałem takiej możliwości. Całe społeczeństwo wchodziło im wtedy w dupę. Zezwolono na wszystkie możliwe rodzaje tych pornograficznych świństw, nikt już nie bronił tradycyjnej moralności, nie wspominając nawet o starej dobrej przyzwoitości, która się rozleciała domek z kart, bo byliśmy tacy cholernie tolerancyjni. Władza dzieci kwiatów zamieniła się w czerwony terror, narkomanie, hałas zamiast muzyki, a na dodatek jeszcze ta cała emancypacja i te Czerwone Pończochy na pieprzonej wyspie Femø, podczas gdy my, idioci, harowaliśmy i płaciliśmy podatki.

– Okej, wystarczy – przerwał mu Simonsen. – Wydaje mi się, że mam już pełny obraz, więc spróbujmy przejść do rzeczy. Czy naczelnik poczty też był taki tolerancyjny?

– Na pewno nie, gdy mnie zatrudniano. Wtedy najchętniej sprawdzałby nam o poranku uszy, żeby sprawdzić, czy się umyliśmy. Ale dzie-sięć lat później ci młodzi mogli robić, co chcieli. Wchodzili do jego biura bez pukania. Tak, niestety poszedł z duchem czasu.

– Co z jego synem? Czy on też był długowłosy i brudny?

Staruszek się zastanawiał. Nie było wątpliwości, że próbuje zasłużyć na swoje papierosy.

– Nie, nie był długowłosy. Jørgen strzygł się na krótko. Dobrze to pamiętam. A brudny pewnie był, jak oni wszyscy.

– Czy Jørgen był dziwny już jako dziecko?

– Nie mam pojęcia. Po raz pierwszy zetknąłem się z nim, gdy przyszedł do pracy.

– Czy jest coś jeszcze, co mógłby mi pan o nim opowiedzieć?

Staruszek ponownie się zamyślił, a w końcu zapytał:

– Czy mimo wszystko dostanę papierosy?

– Tak, już są pana.

– Więc nie mam nic do dodania. No może jedną rzecz. Za wszelką cenę chciał mieć wolne w czerwcu. W konkretne dni, nie pamiętam jakie, i wtedy wyjeżdżał na tydzień na żagle. Nie wiem dokąd.

– Mówił, że jedzie popływać?

– Nie, ale wracał opalony w szczególnie sposób, na przykład pod brodą. To pewnie od słońca odbijającego się od wody.

– Interesujące, coś jeszcze?

– Nie.

Simonsen wstał.

– Niech mi pan jeszcze powie, czy ostatnio kłamał pan z powodu nauczelnika, czy przez niechęć do policji.

– Policja to dziadostwo, brakowało mi tylko dwóch centymetrów.

– Chodziło o to, by móc tłuc hipisów?

– To by była prawdziwa przyjemność. Dwa pieprzone centymetry.

– Brakowało panu dziewięciu. Do tego dochodziły jeszcze słabe oceny na świadectwie gimnazjalnym. I dla jasności – nie łyknąłem tej historyjki o żeglowaniu. Kiedy pan kłamie, unika pan kontaktu wzrokowego. To podstawowa zasada z podręczników o metodach wykrywania kłamstw i oszustw.

Staruszek skrzywił się na pożegnanie.

W drodze powrotnej Simonsen próbował wyrzucić z głowy słowa zgorzkniałego staruszka. Ale było już za późno – wspomnienia, które przez wiele

lat drzemały gdzieś głęboko ukryte, nagle zaczęły wychodzić na światło dzienne. „Władza dzieci kwiatów, która zamieniła się w czerwony terror” – na swój sposób miał rację, choć inne państwa dużo bardziej niż Dania odczuły te zmiany. Co by nie mówić, to jednak trudno było nie dostrzec determinacji tych wybrańców losu, awangardy, liderów rewolucji, czy też – jak oni się wtedy sami ochrzcili – krótko ostrzyżeni długowłosi. Tak nazywał przyjaciół Rity, tych, którym nie wystarczały kwiaty, haszysz czy muzyka. Zamierzali przeprowadzić rewolucję i surfując na fali zrywu, z czerwoną książeczką przewodniczącego Mao w kieszeni, sprawiali, że idee rewolucji znajdowały coraz większe poparcie wśród młodych ludzi. Czy raczej wśród zdolnej młodzieży pochodzącej z klasy średniej, która studiowała na uniwersytetach w Kopenhadze albo Aarhus. Zaczęto odrzucać demokrację, cudowna dyktatura proletariatu czekała tuż za rogiem... jednak ten róg okazał się na tyle odległy, że kwiaty zdążyły uschnąć.

Rita, zanim przeprowadziła się do akademika, mieszkała w pokoju w piwnicy willi swojej matki w Gentofte. Potem zerwała plakaty rockowych idoli ze ściany i zastąpiła je plakatami propagandowymi różnych grup partyzanckich z całego świata. Tłumaczyła Simonsenowi potrzebę mobilizacji przeciwko mieszczaństwu i temu faszystowskiemu państwu. Recytowała wyuczona na pamięć tekst. Oddała komuś swoją gitarę, a piosenki ustąpiły miejsca książkom, których on nie rozumiał, a które ona czytała bez przyjemności.

Pewnego czerwcowego dnia wybrał się rowerem do Louisiany, muzeum sztuki nowoczesnej w Humlebæk, w północnej Zelandii. Kupił wtedy plakat z *Guernicą* Pabla Picassa, symbol okrucieństw hiszpańskiej wojny domowej. W drodze do domu złapała go ulewa i kartonowa rolka ze zwiniętym w rulon plakatem przemokła. Nie było go stać na nowy. Poza tym dotarł już w okolice Vedbæk i nie miał ochoty zawracać. Kilka dni później подарował Ricie plakat w prezencie urodzinowym. Ucieszyła się i powiesiła go na drzwiach – honorowym miejscu dla plakatów. Wisiał tam przez jakieś dwa tygodnie, pomarszczony od wilgoci, co tylko potęgowało jego atrakcyjność. Ale pewnego dnia zniknął. Zastąpiła go Lajla Chalid, palestyńska porywaczka w Kefiji ze swoim karabinkiem AK-47 i czu-

łym spojrzeniem, jakby zaglądała do kołyski z niemowlęciem. Rita wyjaśniała: kubizm był zdegenerowaną sztuką klasy średniej, która podważała sens rewolucji klasy robotniczej, a poza tym muzeum Louisiana, które wydrukowało plakat, prowadził kapitalista, który dorobił się na sprzedaży sera, a ponadto był nazistą.

– Czyli, że gdy nadejdzie rewolucja, muzeum zostanie zburzone? – spytał wtedy sarkastycznie. – Widziałem tam spore tłumy.

Jednak i na to miała odpowiedź. Ludziom mydlono oczy, zwodzono ich mieszczańską ideologią, a kapitalistyczna prasa zajmowała się praniem mózgow. Używała tego uniwersalnego argumentu za każdym razem, gdy ludzie nie pasowali do forsowanych przez nią i jej przyjaciół koncepcji.

Potem się kochali.

Miał wówczas podejrzenie, że seks miał być rekompensatą za to, że wyrzuciła jego prezent urodzinowy. Już później, gdy leżała z głową na jego piersi i sprawiała wrażenie nieobecnej, zagadnął przebiegle:

– Rito, jest coś, czego nie potrafię zrozumieć. Dlaczego taki nazistowski dyrektor muzeum wystawia Kandinsky'ego i Klee? Przecież naziści tego zakazali. Ci nowocześni naziści muszą się wykazywać niezłym sprytem. Strach się bać.

Wyjaśniła, że chodzi o represyjną tolerancję. Poglaskał ją wtedy po włosach i spokojnym głosem zaproponował, żeby nieco bardziej zainteresowała się Kandinsky'm i Klee, a nieco mniej Marcusem i Habermasem.

Wstała z łóżka. Co on mógł o tym wiedzieć? On z tym swoim przeciętnym świadectwem maturalnym i spojrzeniem gliniarza. Jeszcze pod koniec tego samego miesiąca została studentką.

Te przygnębiające wspomnienia z przeszłości nie opuszczały go, dopóki nie zaparkował w garażu w Søllerød. Dopiero wtedy się zorientował, że przecież wcale nie zamierzał wracać do domu. Doświadczył czegoś podobnego już parę razy w życiu, ale nigdy nie chodziło o taką dużą odległość jak dzisiaj. To było przerażające. Chociażby dlatego, że tak się zagłębił we własnych wspomnieniach, że kompletnie nic nie zapamiętał z podróży.

Siedział przez chwilę w samochodzie, nie mogąc się zdecydować, czy powinien zawrócić, czy nie. Stało na tym, że zmienił ubranie i wybrał się na swoją stałą przebieżkę, zdeterminowany, aby pobić własny rekord. Ostatecznie tak się przeforsował, że osiągnął najgorszy czas od wielu tygodni. Następnie zjadł lekki posiłek i wyruszył w stronę budynku Tellium, w pobliżu Szpitala Królewskiego w Kopenhadze. Był ciekawy, gdzie tym razem wylądaje.

Profesor Arthur Elvang po wielu latach spędzonych w Instytucie Medycyny Sądowej w Kopenhadze, przeszedł wreszcie na emeryturę. Dostał status profesora emeritusa z prawem do odwiedzania instytutu, kiedy tylko przyjedzie mu na to ochota. Personel zdradził Simonsenowi, że staruszek niezbyt często korzystał z tego prawa, nad czym wszyscy zgodnie ubolewali, bo nadal był jednym z najlepszych patologów w kraju. To była zła wiadomość dla inspektora, bo oznaczała, że będzie musiał go odwiedzić w domu. Udał się do Klampenborga, na północ od Kopenhagi, ciekawy, żeby nie powiedzieć lekko wystraszony, jak ten stary mężczyzna go przyjmie. Chodziło o to, że profesor Elvang raczej nie grzeszył uprzejmością.

Inspektor bez problemu odnalazł willę profesora na jednej z bocznych uliczek prowadzących do Klampenborgvej, blisko ogrodu zoologicznego Dyrehaven. Chwilę zbierał się w sobie, siedząc w samochodzie, a potem wysiadł i zadzwonił do drzwi. Upłynęła dłuższa chwila, zanim drzwi się otwały i stanął w nich szczupły i łysy Arthur Elvang. Simonsen nie mógł z siebie wykrztusić zaplanowanego uprzejmego powitania, gdy profesor skupił na nim wzrok w tych swoich okularach z grubymi szklami, których moc można było porównać z węchem psa przewodnika.

– Czego tu, do cholery, szukasz?

Simonsen odetchnął z ulgą. Obawiał się, że staruszek zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. Udało się nawiązać kontakt. Zaczął wyjaśniać, najlepiej, jak potrafił, a Elvang słuchał z przekrzywioną głową i sceptycznym wyrazem twarzy. Gdy inspektor skończył, profesor zarządził:

– Jeszcze raz!

Gdy powtarzał informacje, dotarło do niego, że jego historia jest... nietypowa. Profesor miał podobne zdanie i wyraził to bardziej bezpośrednio:

– Nie słyszałem podobnych bzdur od czasów, gdy uczęszczałem do szkółki niedzielnej. Chodź!

Profesor Elvang okrążył dom, a Simonsen szedł za nim. W mieszczącym się na tyłach posesji budynku gospodarczym profesor odszukał grabie i wręczył je Simonsenowi, przejmując dokumenty, które inspektor trzymał w dłoni. Profesor wskazał sękatym palcem na trawnik, który płocie sąsiada pokrywała gruba warstwa liści kasztanowca.

– Możesz je w tym czasie zgrażyć. Nie pracuję za darmo.

Grabienie liści zajęło Simonsenowi godzinę, podczas gdy profesor wykonał swoje zadanie w pięć minut. Spotkali się na tarasie. Elvang odezwał się pierwszy:

– Jeżeli chce ci się pić, możesz pójść do kuchni i przynieść sobie szklanekę wody.

Simonsen podziękował. Ważniejsza były dla niego wnioski z lektury protokołu sekcji zwłok Juli Denissen. To musiało jednak poczekać.

– Słyszałem, że twoja druga żona też cię opuściła. – Profesor chrząknął.

Inspektor z rumieńcami na twarzy zdementował plotki. Hrabianka pojechała do Esbjerg służbowo, nie było w tym drugiego dna. Przez moment zastanawiał się, skąd też profesor czerpał takie informacje. W końcu zapytał:

– Jaka jest twój wstępny wniosek?

– Mój wstępny wniosek jest taki sam jak ostateczny, a ten z kolei jest jedyną słuszną opcją. Sądziłem jednak, że z tym poczekamy i przyjdiesz do mnie z tymi dwiema kobietami. Czy nie o tym wcześniej mówiłeś?

– Zgadza się, ale odpowiedź chciałbym znać już teraz.

– Moja odpowiedź brzmi następująco: przyczyną śmierci tej kobiety był krwotok śródmózgowy. Człowieku, masz to tutaj czarno na białym. Student pierwszego roku medycyny mógłby ci to powiedzieć.

Już dziesięć minut później Simonsen włóczył się starymi, znajomymi ścieżkami ogrodu zoologicznego Dyrehaven i zastanawiał, co też w 1972 jeszcze mogłaby mu powiedzieć studentka pierwszego roku architektury

na Akademii Sztuk Pięknych. Rozstali się w złej atmosferze, każde poszło w swoją stronę, pamiętał to tak wyraźnie, jakby zdarzyło się wczoraj. Zachował w pamięci nawet dokładną datę – drugiego listopada.

Miała na sobie afgański kożuszek, długi do kostek, z owczej skóry, gładkiej od zewnątrz, z kunsztownie wyhaftowanymi klapami w czerwone i żółte kwiaty oraz długim włosiem wystającym z każdej strony, jakby fabryce nie chciało się go wykończyć. Okrycie wierzchnie, które nosili uczniowie pracujący rolnicy. Co prawda kosztował fortunę w butiku Janus przy Larsbjørnsstræde w Kopenhadze, ale liczyła się przecież symbolika. Simonsen uwielbiał, gdy go zakładała, a jednocześnie często się z niego naśmiewał. Był zapinany z przodu na sprzączki, więc marzła w nim, gdy było zimno. Wkładała go zapewne w geście solidarności z ciężko pracującą społecznością rolników, co nie zmieniało faktu, że był nader niepraktycznie w listopadzie.

Pojechali rowerami do Dyrehaven, to był jej pomysł, chciała z nim o czymś porozmawiać. Usłyszała w jej głosie przez telefon, że chodzi o coś poważnego, i zaczął się powoli oswajać z myślą, że będzie chciała zakończyć ich związek. To może i dobrze. Ostatni rok nie należał do łatwych, tak wiele ich różniło. Często odnosił wrażenie, że ją kocha i nienawidzi jednocześnie, podobnie jak ludzi z jej środowiska. Jednego dnia spory dystans, a drugiego chorobliwa zazdrość. W każdym razie w stosunku do ludzi, których poznała dawniej. Nie zazdrościł jej tych nowych politycznych przyjaciół.

Rita zaczęła studia na Wydziale Architektury, a ślęczała nad ekonomią marksistowską i teorią leninizmu. Udział w rewolucji w tamtych czasach nie był za darmo. Dostała własny pokój w akademiku Grønjordskollegiet w dzielnicy Amager, na siódmym piętrze z pięknym widokiem na zieleni Amager Fælled, a nieco w oddali widać było miejskie wieże i iglice. Pomógł jej z przeprowadzką i malowaniem. Zrobił też naprędce regał na książki – prosty i brzydki. Zajmował jedną całą ścianę, bo Rita miała sporo książek. Przebiegł tytuły wzrokiem, gdy ustawiał książki na miejsce, i zastanawiał się wtedy, kto kiedyś będzie budował w Danii domy przyszłości, skoro studenci architektury się tego nie uczą.

1972 był rokiem wielkich wydarzeń. Mieli z Ritą odmienne zdanie na temat prawie każdego z nich, ale najbardziej się różnili w ocenie masakry w Monachium. Podczas letnich igrzysk olimpijskich jedenastu izraelskich sportowców zostało zamordowanych przez grupę palestyńskich terrorystów z organizacji nazywanej Czarnym Wrześniem. Świat był w szoku. Simonsen też. To było takie tchórzliwe i wstrętne jednocześnie. Po uroczystościach żałobnych wznowiono rywalizację, ale czar prysł. Simonsen wyłączał telewizor, bo sportowe konkurencje przestały go obchodzić. Chciał się skonfrontować z Ritą i tym razem nie owijał w bawełnę.

– Gratulacje, Rito. Twoi przyjaciele wreszcie odnieśli wielkie zwycięstwo. Jedenastu bezbronnych sportowców, mam nadzieję, że jesteś dumna.

Zaczęła wymachiwać rękoma. Miała w dupie to, co wydarzyło się w Monachium. Dopóki jej współtowarzysze przebywający w więzieniu Stammheim będą izolowani, a opinia publiczna nie zacznie się tym przejmować, dopóty ona w żadnym razie nie zamierza się przejmować przypadkową garstką martwych sportowców. Ogarnęła go złość. Towarzysze w Stammheim – Andreas Baader, Ulrike Meinhof, Gudrun Ensslin i Jan-Carl Raspe – czworo morderców. Jak dla niego mogli zgnić w tej swojej izolacji. Nieco później załatwił list gończy od kolegi z policji granicznej w Kruså. Nie było to trudne, bo takie listy gończe wisiały we wszystkich instytucjach publicznych w całych zachodnich Niemczech. Czarno-białe portrety dwudziestu młodych ludzi, wydrukowane w dobrej rozdzielczości. Nagłówek brzmiał ni mniej, ni więcej, tylko „Terrorysty”. Czarnym tuszem grubą linią skreślił twarze tych, którzy byli martwi lub zostali złapani. W tajemnicy przed nią zawiesił ogłoszenie na drzwiach jej akademika. Wisiało tam prawie dobę. Gdy je w końcu dostrzegła, nie mogła oddychać ze wściekłości, a on stanowczo zaprzeczał, że to jego sprawa. On? Ależ skąd. To musiał być któryś ze studentów. Może nie podzielał jej poglądów. Czy brała to pod uwagę?

Na dodatek drugiego października ona sama i ubóstwiana przez nią lewica dostały mocnego pstryczka w nos. Obywatele Danii większością głosów zadecydowali o przystąpieniu państwa do Wspólnot Europejskich.

Rita i Simonsen siedzieli wtedy u niego w domu i śledzili wyniki w telewizji. Nie krył swojego zadowolenia, ale ona nie zareagowała, jak się tego spodziewał. Porażka nie miała dla niej większego znaczenia. Jeszcze pół roku wcześniej angażowała się pełną parą w Ruch Ludowy przeciw Wspólnotom Europejskim, a teraz było jej niemal wszystko jedno. I nie chodziło o to, że przegrała. A o coś bardziej przerażającego. Tego wieczoru po raz pierwszy dotarło do niego, że coś jest bardzo nie w porządku. Ona się bała.

Dąb, pod którym wtedy siedzieli, nadal tam stał. Rozpoznałby go pośród tysięcy innych. Przysiadł w tym samym miejscu. Poczul się prawie, jakby była obok niego. Może dlatego, że zawsze potrafiła go zaskoczyć, kochał ją pomimo tych wszystkich sprzeczności. Nie umiał przewidzieć, co powie ani jak się zachowa. Nie dało się jej zaszufadkować. Gdy już mu się wydawało, że ją zna, zaraz się okazywało, że jednak nie. I ten dzień sprzed trzydziestu pięciu lat nie należał do wyjątków. Oparła głowę na jego ramieniu, to był ich pierwszy kontakt fizyczny od dłuższego czasu. Pomyślał, że to musi być koniec.

– Konradzie, jestem w ciąży – powiedziała cicho.

Przez jego głowę przemknęły setki myśli. Ślub, odpowiedzialność, finanse. To było przytłaczające. Dziecko, dla którego będzie ojcem.

– Nie jestem pewna, czy to dziecko jest twoje. Tak sądzę, ale... nie wiem.

Nie pamięta, co wtedy odpowiedział. Czy w ogóle jakoś odpowiedział. Ale jej kolejne zdanie wryło mu się w pamięć.

– Nie chcę tego dziecka. Nie dam rady. Nie teraz.

Zaprotestował. Bez przekonania. Zignorowała go.

– Przytulisz mnie chociaż?

Przytulił ją, jak prosiła. To było na rok przed tym, jak Dania wprowadziła prawo do aborcji.

Willa w Søllerød wydawała się wielka, gdy przebywał w niej sam. Simon- sen tęsknił za Hrabianką, taka była prawda i nie widział powodu, żeby temu zaprzeczać. A już na pewno nie przed samym sobą.

W sobotę pracował nad sprawą listonosza, bo chciał spożytkować czas na coś sensownego. Ponownie przeczytał kilka raportów, które zabrał do domu, i przez większość popołudnia zajmował się przeglądaniem parago- nów Nielsena, żeby się upewnić, czy Berg coś nie umknęło. Nie znalazł nic interesującego. Potem zdecydował się napisać mail do księdza, a przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie złożyć mu wizyty. Po prostu dlatego, że miał na to ochotę. Duchowny zrobił na nim wrażenie. Dobre wrażenie. W mailu zapytał go krótko, czy w związku ze swoją pracą nie zetknął się z angielską organizacją Missing Children, o której Nielsen wspomniał w swoim testamencie. Godzinę później dostał od księdza link do strony in- ternetowej organizacji, a także serdeczne pozdrowienia i podziękowania za ostatnie spotkanie. Stronę oglądał już wcześniej, więc niczego nowego się nie dowiedział. W każdym razie próbował.

Późnym popołudniem wydarzyło się coś, co sprawiło, że zrobiło mu się ciepło na sercu. Ktoś nieśmiało zadzwonił do drzwi. Gdy otworzył, na ze- wnątrz stała Maja Nørgaard z delikatnym uśmiechem i ogromnym bukietem kwiatów. Nie widział jej od dnia, kiedy przesłuchiwał ją w knajpie przy Enghave Station dobry miesiąc temu. Wyglądała świetnie, spoglądała na niego bystro, jak przystało na dziewczynę w jej wieku.

Podawała mu dłoń i dziękowała nieco zakłopotana, płacząc słowa, które na pewno wcześniej ćwiczyła. Jednak ich sens nie budził wątpliwości. Za- panowała nad swoim życiem, postanowiła unikać alkoholu i narkotyków, dopóki nie dobieje setki. Pomogły jej w tym mama, psycholog i doradca so- cjalny. Simonsen usiadł na schodach, nie chciał zapraszać Mai do środka, to się wydawało niewłaściwe. Nie zamierzał jej też zniechęcać, jeżeli miała ochotę na rozmowę. Usiadła pod drugiej stronie schodów i odezwała się niepewnie, starając się ubrać swoje myśli w słowa:

– To dziwne. W szkole ciągle słyszałam o tym, że nie wolno nikogo za- straszać ani wykluczać. Ale dopiero teraz zrozumiałam, jakie to ważne. Mogłam być miłsza dla Roberta, tak, wszyscy mogliśmy. Zakochał się we

mnie i nie było w tym przecież nic złego. Powinnam była poznać go lepiej, nie myśleć o tym, że był gruby, porozmawiać z nim, powiedzieć, że w sumie to go lubię. Mogłam to zrobić, a wtedy... wtedy... – Nie dokończyła, przez chwilę milczała, a potem powiedziała: – To z pewnością wiele by dla niego znaczyło.

– Pewnie masz rację, Maju – odparł cicho Simonsen. – Ale to, co się wydarzyło, to nie twoja wina. O tym też powinnaś pamiętać.

Uśmiechnęła się niepewnie. Opowiedział jej o innych znanych mu przypadkach, w których ludzi sami pakowali się w kłopoty, mimo że ich otoczeniu nie można było niczego zarzucić. Słuchała z wdzięcznością, a on nieco podkolorował opowieść, aby lepiej pasowała do tej całej sytuacji. W końcu oboje wstali.

– Psycholog mówi to, co pan. Też uważa, że to nie moja wina.

– Pewnie dlatego, że to prawda.

Podziękował jeszcze raz za kwiaty, a ona zrobiła kilka kroków w tył, tylko po to, aby zebrać się na odwagę i spontanicznie wrócić biegiem, a potem go przytulić. Stali tak przez chwilę, aż go puściła, a później, machając na pożegnanie, wybiegła z ogrodu do czekającego na nią samochodu. Radosna.

* * *

W niedzielę wpadła niezapowiedziane Anna Mia. Byli umówieni na kolejny dzień, zaprosił ją na obiad na mieście, więc był nieco zaskoczony, ale oczywiście mile. Siedział w kuchni, a Anna Mia szperała w lodówce, była głodna.

– Skoro masz dla mnie prezent, to czy nie mogłabym zabrać go teraz, żeby nie taszczyć go jutro po całym mieście? – spytała, szykując sobie kanapki.

To pytanie nie wróżyło nic dobrego. Po kłótni z Hrabianką wyparł wszystko, co było związane z urodzinami córki. A ona od razu wyłapała jego zaskoczone spojrzenie.

– Tato, zapomniałeś o moich urodzinach?

Stąpali po niepewnym gruncie. Tak naprawdę pragnęła tylko prezentu od niego – i teraz, i wiele razy wcześniej. To mógł być nawet drobiazg. Do oczu napłynęły jej łzy, odłożyła nóż. Nie miał wyjścia, musiał jej powiedzieć prawdę.

Wytrzeła oczy i znowu była sobą. A nawet bardzo sobą.

– Gdzie to w ogóle teraz jest, to znaczy ten aparat? – zapytała niby od niechcenia. – Fajnie byłoby go obejrzeć.

Paczkę zostawił w oranżerii wraz z teleobiektywem, który parę dni temu dostarczył kurier. Dwadzieścia sekund po tym, jak zdradził jej miejsce, paczki stały już na stole w jadalni. Wyjęła aparat.

– Ja cię kręcę, jest naprawdę świetny.

Dokończył smarowanie kanapek, a ona podziwiała lustrzanekę. Rozmawiali przy tym niezobowiązująco. Może mogłaby pokryć samą część kosztów, jeżeli udałoby się je rozłożyć na raty. Odmówił, po czym przyniósł nożyczki, taśmę i papier do pakowania prezentów. Doskonale wiedział, że decyzja już zapadła.

– Tato, ale na pewno możesz sobie na to pozwolić? – zapytała.

Oczywiście, że mógł. Naprawdę dobrze zarabiał, ale odkąd wprowadził się do Hrabianki, często porównywał finanse swoje i jej – i niezmiennie blado wypadał na jej tle. Tak czy owak wydawał nieco mniej, niż zarabiał. Między innymi dlatego, że to głównie Hrabianka robiła zakupy i stanowczo odmawiała, gdy chciał się sprawiedliwie rozliczać. Nie zamierzała marnować na to swojego czasu. Ale nie powiedział o tym córce. Ograniczył się do krótkiego potwierdzenia:

– Tak.

Wspólnie zapakowali prezent Anny Mii. W papier świąteczny, bo tylko taki znalazł.

– A co powie twoja mama? – zapytał.

Wydawało się, że córka rozumie argumentację, że prezent od niego i Hrabianki nie powinien przyćmić pozostałych. Szybko zaproponowała rozwiązanie:

– Zabiorę ze sobą tylko teleobiektyw.

To było przecież oczywiste. W czym problem?

Gdy Simonsen w poniedziałek rano zjawił się w pracy, na jego biurku leżała koperta z wydziału techniki operacyjnej. Otworzył ją z ciekawością i wysypał zawartość na stół. Tak jak się spodziewał, w środku znajdowały się fotografie – dwanaście dużych czarno-białych zdjęć, które wyglądały jak ujęcia z wakacji. Przejrzał je niespiesznie, przy jednym zatrzymał się na dłużej. Z tego, co zdążył zauważyć, wszystkie przedstawiały młodych ludzi w różnych codziennych sytuacjach, na tle domku letniskowego. Na wszystkich rozpoznał dziewczynę z plakatu, na sześciu była tylko ona. Dostał też negatywy, pocięte na klatki, aby można je było włożyć do koperty. Uniósł jedną przypadkową pod światło i stwierdził, że odpowiada jednemu ze zdjęć. Ilość też się zgadzała.

Najbardziej zaskakującym elementem okazała się strona wycięta z gazety. Wnosiła też najwięcej do sprawy. Była złożona na pół, więc czym prędzej ją rozłożył. Zanotował źródło: dziennik „Jyllands-Posten”, pierwsza strona drugiej sekcji, niedziela, 17 lutego 1974 roku. Artykuł zdominowało zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny. Tekst zatytułowano *Cena za bunt*, a podpis pod zdjęciem głosił: „Lucy Selma Davison opuściła swój dom w Liverpoolu w maju 1969 i była po raz ostatni widziana ją w Harwich czternaście czerwca tego samego roku”.

– Lucy Selma Davison – powiedział Simonsen. Jego głos zabrzmiał głucho.

Przez kolejną minutę przyglądał się fotografii dziewczyny. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat, gdy zrobiono to zdjęcie. Najwyżej siedemnaście, ale na pewno nie więcej. Miała delikatnie zaokrągloną twarz, dość szpiczasty nos i kilka piegów u jego nasady. W oczach tliła się zapowiedź szelmowskiego uśmiechu – może subtelnego, a może nieco prowokacyjnego. Długie ciemnoblonde włosy były założone za uszami i przytrzymywane dwiema czerwonymi spinkami, po jednej z każdej strony, a równa grzywka sięgała jej prawie do brwi. Nie miała żadnego makijażu, to nie było konieczne.

Ostrożnie, niemal jakby robił coś zakazanego, przesunął opuszkami palców po zdjęciu z gazety, szepcząc:

– Ależ byłaś piękna, Lucy, naprawdę piękna.

Potem złożył wycinek i zaczął się zastanawiać, co właściwie wie o Liverpoolu. Prawie nic. Titanic wypłynął z Liverpoolu, pamiętał z filmu, Beatlesi pochodzili z Liverpoolu. „Liverpool w maju 1969 roku”. Co się wydarzyło w Liverpoolu w maju 1969 roku? W głowie miał pustkę, czyli doskonały punkt wyjścia.

Nagle Simonsenowi zaczęło bardzo pasować, że Hrabianka odłożyła swój powrót z Jutlandii na środę. To dawało mu znacznie większe pole manewru, bo chciał pewne sprawy wyjaśnić od ręki. Przez telefon opowiedział jej o swoim odkryciu i wspólnie uznali, że wobec tego dokładne ustalenie, gdzie i w jaki sposób Nielsen co roku spędzał wakacje, nabiera jeszcze większego znaczenia. Hrabianka i Arnold wciąż nad tym pracowali.

Dopiero gdy się rozłączył, przyszło mu do głowy, że zapomniał jej wspomnieć o rozstrzygnięciu sprawy prezentu urodzinowego Anny Mii. Pokręcił głową, niezadowolony z siebie. Rozstrzygnięcie było świetnym eufemizmem na określenie poniesionej porażki. Wtedy też zdał sobie sprawę, że powinien od razu odwołać wieczorną kolację z córką. Nie znajdzie na nią czasu. Miał szczęście, bo nie odebrała telefonu, więc mógł po prostu przestać na nagraniu przeprosin na pocztę głosową. Potem rzucił się w wir pracy.

We wtorek przed południem do biura Simonsena przyszła Pauline Berg – radosna i wypoczęta. Ucieszył się na jej widok. Mógł jej opowiedzieć o swoich postępkach, których trochę się już nabierało. Poza tym z czasem polubił ten jej niekiedy dość prowokacyjny sposób bycia i anarchistyczne zachowanie. Pod warunkiem, że nie przesadzała.

– Cześć, Pauline. Mam nadzieję, że masz chwilę. Jest parę spraw do omówienia, a poza tym mam pewien konkretny, przy którym będę potrzebował twojej pomocy.

Pauline usiadła, rozglądając się podejrzliwie po biurze inspektora. Zobaczyła korkowe tablice obwieszane zdjęciami, stosy segregatorów na biurku i różne diagramy narysowane na suchościernalnych tablicach.

– Dzwoniła do ciebie Hrabianka. Dlaczego nie odbierasz telefonu?

– Większość dnia spędziłem dziś w piwnicy, ale o tym później. Najpierw mi powiedz: jak jest z twoim angielskim?

– Mój angielski ma się dobrze. Wydzwaniał też Arne, on również nie mógł się do ciebie dodzwonić. Podobnie jak twoja córka, która wczoraj cię nie zastała. Byliście umówieni.

– Odwołałem spotkanie.

Posłała mu pełne dezaprobaty spojrzenie i czekała na ciąg dalszy.

– Okej, rzeczywiście dość późno dotarłem wczoraj do domu, ale posłuchaj: Chciałbym, żebyś dzisiaj w ciągu dnia zadzwoniła do Anglii. Mój angielski jest za słaby na rozmowy telefoniczne, mógłbym nie zrozumieć zbyt wiele. Nie wiem dokładnie, od czego powinnaś zacząć, nie zdążyłem tego przygotować, ale znajdę jakiś kontakt, żebyś miała dobry punkt wyjścia. Ktoś przecież musi mieć jakiegoś znajomego, który mógłby nam pomóc, może ktoś z kierownictwa policji, ale tym, jak już mówiłem, zajmę się później.

– A czego konkretnego mam się dowiedzieć?

– Wszystkiego na temat siedemnastoletniej dziewczyny, która zaginęła latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Pochodziła z Fairfield w Liverpoolu i miała na imię Lucy.

– Dziewczyna z twoich plakatów?

– Tak, ostatnio sporo się działo, między innymi zidentyfikowano dziewczynę. Nazywa się Lucy Davison i zanim zaginęła, miała kontakt z Nielsenem.

– Nie żyje?

– Tak sądzę, ale jeszcze nie mam stuprocentowej pewności. Dlatego musisz być ostrożna, gdy będziesz dzwonić do Anglii. Nie chciałbym dawać jej rodzinie fałszywych nadziei. Niewykluczone, że jej rodzice nadal żyją.

– A co konkretnie miałabym ustalić?

Decydujące było oczywiście sprawdzenie, czy Lucy Davison nie wróciła do Liverpoolu cała i zdrowa, albo czy nie wyjaśniono, co się z nią stało. Simonsen nie znalazł nic na jej temat w archiwum, mimo że zdołał się przedrzeć przez wiele spraw związanych z zaginięciami dzieci i młodzieży od 1969 do wczesnych lat siedemdziesiątych.

– Ale mam jej dwanaście zdjęć, na niektórych jest sama, na innych z grupą – mówił dalej. – Zostały zrobione przez Nielsena, a teraz powoli zaczynam zawęzać czas ich wykonania. Jutro wybieram się do Archiwum Krajowego, żeby się przyjrzeć listom egzaminacyjnym i podpisom egzaminatorów. Wyobraź sobie, że przechowują takie rzeczy bezterminowo. W zasadzie nie mam już wątpliwości co do dat.

– Chodzi o tę coroczne wakacje Nielsena?

– Tak, jestem pewny na dziewięćdziesiąt pięć procent.

– Muszę przyznać, że sporo zdziałałeś.

– Musiałem się trochę napocić, ale jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, już jutro będę mógł przedstawić całkiem solidne tropy. Mam nadzieję, że wiesz o jutrzejszej nasiadówce. Hrabianka powinna już do tego czasu wrócić, a i Pedersen będzie wtedy wolny.

– Co jest w tych pudłach?

– Wypracowania naturalne z duńskiego z sześćdziesiątego dziewiątego roku klasy trzeciej igrek z liceum Brøndbyøster, a do tego egzaminy próbne z tego samego roku. Te pierwsze skopiowałem w Archiwum Krajowym, a te drugie w piwnicy liceum, natomiast te zielone pudła to szkolna gazetka, wydawana od sześćdziesiątego siódmego do sześćdziesiątego dziewiątego roku. Miała tytuł „Sztafeta”.

– I zamierzasz to wszystko przeczytać do jutra?

– Tylko przejrzeć. W większości nie ma zapewne niczego istotnego.

– Simonie, mogę cię przeprosić na moment? Muszę coś pilnie załatwić. Wrócę za piętnaście minut.

Trwało to rzeczywiście kwadrans, tyle że do biura nie wróciła Berg. Simonsen dostrzegł komendantkę, dopiero gdy usiadła na wprost niego.

– Cześć, Simonie. Dużo ostatnio pracujesz.

– Cześć, tak wyszło. W czym mogę pomóc?

– Właściwie to ja przyszedłam, żeby ci pomóc. Słyszałam, że masz problem z angielskim. Natknęłam się na Pauline Berg, która powiedziała mi, że chcesz zadzwonić do Liverpoolu, żeby coś ustalić.

Simonsena to zaintrygowało.

– Mój angielski niestety nie jest wystarczający, a do tego potrzebujemy jakiegoś rozsądnego kontaktu, najlepiej kogoś stojącego wyżej w hierarchii, kto będzie nam mógł otworzyć parę drzwi.

– W takim razie mogę się przydać, chociaż mój angielski też raczej nie wystarczy. Kiedyś byłam na konferencji w Liverpoolu i mogłam posłuchać, jak oni tam ze sobą rozmawiają. W sumie to niewiele z tego rozumiałam, więc miejmy nadzieję, że gdy do nich zadzwonię, okażą się bardziej uprzejmi.

– Zrobiłabyś to? To by bardzo pomogło. Naprawdę masz czas na takie rzeczy?

– W tym tygodniu mieliśmy względny spokój. Musimy co prawda przygotować spotkanie z pracownikami w Øksnehallen, ale większość rzeczy już zrobiłam. Nie będę też ukrywać, że zaciekawiła mnie ta twoja sprawa, po tym, jak sama się w nią trochę zaangażowałam.

– To wspaniale. Przygotuję listę pytań, na które potrzebuję odpowiedzi. Będziesz je miała jutro rano na biurku.

– Widzisz, Simon, i właśnie w tym miejscu nasze plany nieco się rozjeżdżają. Będziesz musiał się z tym wstrzymać. Najpierw opowiesz mi o tej dziewczynie, która tak cię interesuje, a potem pojedziesz do domu i się spakujesz.

– Spakować się, po co? Dokądś się wybieram? Jutro mam ważne spotkanie.

– Już nie, zostało przesunięte o tydzień. To niesamowite, jak szybko potrafią pracować nasi informatycy, gdy wyniknie jakaś pilna sprawa.

– Co to za pilna sprawa? W ogóle nie jestem na bieżąco.

Miał pojechać na konferencję zorganizowaną przez Interpol, albo właściwie to na seminarium – nie potrafiła tego rozstrzygnąć. Właśnie się zorientowała, że kopenhaska policja dostała trzy, a nie dwa miejsca na seminarium. To przecież dość ważne, aby przy takich okazjach zaznaczyć swoją obecność, choćby kosztem straty czasu. To całe seminarium, cholera wie dlaczego, rozciągało się na weekend. Komendantka pomyślała, że to dobrze, że Simonsen jest dyspozycyjny, bo w przeciwnym razie nie miałyby pojęcia, kogo tam wysłać.

– Wylatujesz jutro o wpół do pierwszej i masz być na lotnisku Kastrup dwie godziny wcześniej – powiedziała spokojnie, ale zdecydowanie.

– Gdzie jest ta konferencja?

– W Nesebar w Bułgarii, nad Morzem Czarnym. Bardzo przyjemne miejsce, mają tam też spa, gdyby ktoś chciał się odprężyć po przedpołudniowych wykładach.

– A jaki jest temat?

Tematów było wiele i wszystkie ważne. Współpraca międzynarodowa, transgraniczna praca zespołowa, wirtualne grupy wymiany doświadczeń, wszystko o dużym znaczeniu, nie tylko dla Danii, która miała przecież swoje regulacje prawne dotyczące współpracy wewnątrz Unii. Nie rozumiał związku – co Interpol miał wspólnego z UE? Wyjaśniła: chodziło o osobiste kontakty, podstawę współpracy międzynarodowej, zwłaszcza w dużych krajach unijnych. Jej entuzjazm okazał się zaraźliwy, słuchał więc z zainteresowaniem.

– Dostaniesz oczywiście dokładny program. Wszystko będzie za chwilę na ciebie czekało w sekretariacie.

Simonsen zerknął z ukosa na swoje tablice, a komendantka podążyła za jego wzrokiem.

– Tak, Simonie, ona będzie musiała tydzień poczekać. Wiesz, jak ważna jest międzynarodowa współpraca policyjna i jak dużą wagę przykładają do niej kierownictwo. Bułgaria niedawno przystąpiła do Unii, dlatego tym ważniejsze wydaje się, żebyśmy byli godnie reprezentowani. „Interpol to nasz kręgosłup”, sam tak mówiłeś, prawda?

– Tak, zgadza się, tylko to wydaje się nieco przytłaczające... A moja sprawa... no dobrze, będzie musiała tydzień poczekać.

– Pauline Berg odwiezie cię jutro na lotnisko. Po drodze wprowadzisz ją w sprawę, a ja jestem pewna, że ona odpowiednio przygotowuje to twoje spotkanie za tydzień. Jeżeli nie, będziesz je musiał przesunąć o kilka kolejnych dni.

– W porządku, tak trzeba będzie zrobić.

– Dziękuję, Simon. Cieszę się, że się dogadaliśmy. W międzyczasie spróbuję się czegoś dowiedzieć w Liverpoolu. Przysługa za przysługę.

Jej uśmiech od ucha do ucha był zaraźliwy.

– A teraz opowiedz mi o tej dziewczynie.

Ściągnął z tablicy jedno ze zdjęć i położył je przed komendantką. Po chwili dołożył wycinek z gazety. Szefowa przyglądała się fotografii.

– Ależ była piękna. Wiesz, jak się nazywała?

Opowiedział jej, co dotąd ustalił, a potem streścił artykuł.

Jak wskazywał sam tytuł, autor artykułu skupił się na ukazaniu brawury buntującej się młodzieży i wszystkich negatywnych konsekwencji takich zachowań, koncentrując się na nastolatkach, którzy uciekali z domów i gromadzili się w dużych miastach. Tu w kraju, zwłaszcza w Christianii, którą zresztą dziennikarz konsekwentnie nazywał koszarami przy Bådsmandsstræde.

– W artykule chodziło przede wszystkim o to, aby wyrzucić presję na nowy rząd, by ten zrobił porządek z haszyszowym miasteczkiem – wyjaśnił Simonsen. – No może nie do końca tak, ale na pewno wiesz, o co mi chodzi.

– Nadażam. Dobrotliwy premier Poul powinien wysłać buldożery.

Miała rację. Gazeta właśnie na coś takiego liczyła. Dla Simonsena ważniejsze było jednak symboliczne obalenie murów. Dziennikarze – żeby podkreślić sprzedaż – skupiali się na przedstawianiu losów konkretnych ludzi, a nie na statystykach dotyczących zaginięć wśród młodzieży, choć było ich sporo. Często chodziło o biedaków, którzy zapłacili naprawdę wysoką cenę za rozwój społeczny, a narkotyki i prostytutka zaprowadziły ich

na dno. A historia o zrozpaczonym starszym małżeństwie z przyzwoitej liverpoolskiej klasy robotniczej, które co roku objeżdżało duńskie i szwedzkie miasta w poszukiwaniu zaginionej córki, poruszyła mieszkańców Jutlandii.

– Chodzi o rodziców Lucy?

– Margaret i George Davisonowie. Przez okrągły rok oszczędzali i ciułałi grosz do grosza, żeby móc każdego roku wyjechać, by rozdawać ulotki, rozwieszać własnoręcznie wykonane plakaty i szukać jakichkolwiek informacji o córce. Swoją drogą byli katolikami, a może trzeba powiedzieć, że nimi są – nie wiem, czy nadal żyją.

– Zaczyna się to układać w spójną całość, prawda, Simonie?

– Być może, zobaczymy. W każdym razie do Davisonów dotarło, że ich córka może nie żyć. I wtedy zaczęli się modlić, żeby ją znaleźli, żeby mogli ją pochować w poświęconej ziemi.

– Biedni ludzie.

– Taa, z pewnością mieli ochotę ten cały ruch Flower Power czy też wolną miłość posłać do wszystkich diabłów. Posłuchaj tego. – Założył okulary i zaczął czytać: – Pewnej środy znaleźliśmy list pożegnalny. „»To był najgorszy dzień w naszym życiu. Zniknęła, nasza mała dziewczynka uciekła«. Łzy płyną po policzkach pana Davisona, ale on nawet nie próbuje ich wycierać, siedzi bezradny i płacze. Głos zabiera pani Davison: »Nie rozumiemy, co zrobiliśmy nie tak, dostawała od nas wszystko, wszystko, na co było nas stać. Jak mogła nas tak potraktować? Jak mogła nam to zrobić?«. Pytania zawisły w powietrzu. Kto potrafi na nie odpowiedzieć?« Dobra, i tak dalej, i tak dalej... „szkodliwy wpływ zbuntowanych elementów”... potem mamy akapit, który nie ma większego znaczenia, ale poczekaj, dalej jest coś jeszcze: „»Wiemy, że dwa dni później wyjechała z młodym mężczyzną, zatrudnionym w lokalnym salonie samochodowym. Zawiózł ją do Harrwich, skąd zamierzała zakraść się na prom do Danii, i wydaje nam się, że jej plan się powiódł«. Pani Davison kiwa głową. »Była miłą, radosną dziewczyną, która potrafiła oczarować każdego. Jako dziecko nie sprawiała żadnych problemów, ale w ostatnim roku wpadła w złe towarzystwo. Hipisi, uliczni muzykanci«. W tym miejscu, jak się domyślasz, dzienni-

karz „Jyllands-Posten” wtrąca swoje trzy grosze, ale zaraz potem omawia najświeższe ustalenia. – Przebiegł palcem po akapicie i szybko odnalazł istotny fragment. – „Dostaliśmy pocztówkę ze Szwecji. Miała pieczętkę z Orsy, z dwudziestego drugiego czerwca sześćdziesiątego dziewiątego, a później w pobliżu Lycksele, w niewielkiej miejscowości na północy Szwecji, znaleziono jej namiot i plecak. To zdarzyło się dopiero w kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Namiot został rozbity pośrodku lasu». Ojciec dziewczyny, gdy wraca do tamtych wydarzeń, nie potrafi się opanować i zaczyna płakać, głos ponownie zabiera pani Davison. »Szwedzka policja potraktowała sprawę Lucy bardzo poważnie. Zarządzili śledztwo i przeszukiwali las. Wiele osób wzięło udział w tych poszukiwaniach – policjanci, ochotnicy i żołnierze szwedzkiej armii (Hemvärnet – szwedzka Gwardia Narodowa, przypis redakcji), ale nic nie znaleziono. Później policja uznała, że Lucy wcale nie dotarła do Szwecji, tylko ktoś obcy rozbił jej namiot i wysłał pocztówkę w jej imieniu. Niestety, duńska policja nie chciała nic z tym faktem zrobić. Próbowaliśmy wielokrotnie, podobnie jak nasz pastor, jednak daremnie. Dlatego mamy ogromną nadzieję, że pomoże nagłośnienie sprawy Lucy w prasie«.

Simonsen zamilkł.

– Jednej rzeczy tu nie rozumiem – powiedziała komendantka. – Jak ktoś mógł wysłać pocztówkę w jej imieniu? Ustalenie, czy to jej pismo, nie powinno chyba być zbyt trudne.

– Racja, też się nad tym zastanawiałem i to jedna z tych rzeczy, o którą warto zapytać angielską policję, jeżeli w ogóle dysponują jakimiś materiałami na temat tej sprawy. Myślę też, że dobrze by było na początek nie informować rodziny, że być może mamy coś nowego. Dość się już nacierpieli.

– Oczywiście, masz rację. A co ze szwedzką policją? Wygląda na to, że niemal na pewno mają o tej dziewczynie jakieś informacje. Skontaktowałeś się z nimi?

– Obiecali jak najszybciej przesłać kopię końcowego raportu.

– Mam ich przycisnąć, skoro już się w to angażują?

– To nie będzie konieczne, zazwyczaj bywają dość efektywni, chociaż kolega z ichniejszej policji kryminalnej zaznaczył, że już raz otrzymaliśmy ten raport, mianowicie pod koniec siedemdziesiątego drugiego roku. Nie udało mi się ustalić, gdzie się podział ani jakie w związku z nim podjęliśmy działania, więc pani Davison miała rację. Nic w tej sprawie nie zrobiliśmy.

– Ty też nie wierzysz, że dziewczyna dotarła do Szwecji?

– Sądzę, że Lucy Davison została zabita między piętnastym a dziewiętnastym czerwca sześćdziesiątego dziewiątego roku w jakimś domku letniskowym nad Morzem Północnym i zakopana w jakimś przypadkowym miejscu przez Nielsena i jego pięciu kolegów z klasy trzeciej igrek w liceum Brøndbyøster. Wydaje mi się też, że Nielsen zapłacił życiem za to, co zrobił.

Rozdział 7

Gdy samolot wystartował z lotniska Kastrup, Simonsen pomyślał o Lucy. Przez pięć minut pozwolił sobie nazywać ją po imieniu, szukając jej w chmurach, które przesuwwały się po niebie i przypominały popcorn w rozmiarze XXL. Potem zapomniał o swojej sprawie. Komendantka miała rację, że do czasu jego powrotu powinni zająć się powiązaniem luźnych wątków w całość. Poza tym cały poranek szczegółowo instruował Pauline Berg. Szybko zapadł w sen i obudził się dopiero, gdy stewardesa łagodnie nim potrząsnęła. Maszyna schodziła do lądowania i powinien zapiąć pas bezpieczeństwa.

Tylko raz podczas konferencji otrzymał informacje o sprawie listonosza. Miało to miejsce podczas przerwy na lunch, gdy odpoczywał w hotelowym jacuzzi po trudach przedpołudnia w towarzystwie Argentyniczka i Koreańczyka. Swój telefon odłożył z tyłu, na krawędź basenu, na wypadek gdyby miała zadzwonić Hrabianka. Gdy zawibrował, nie mógł go sięgnąć, ale jeden z tych wszędobylskich pracowników obsługi hotelowej okazał się pomocny. Mężczyzna szybko podbiegł i podał Simonsenowi telefon, a on przyłożył go do ucha, ale nic nie usłyszał. Kilkakrotnie powtórzył swoje imię, aż w końcu się poddał, a wtedy siedzący obok Argentynczyk zaczął coś niezrozumiale tłumaczyć, wskazując na jego smartfon. Gdy Simonsen chciał mu go podać, mężczyzna wykonał rękoma obronny gest, nie przerywając mówienia. Koreańczyk po jego drugiej stronie przetłumaczył, nie otwierając nawet oczu:

– *You got mail. Not a phone call.*

Ostatecznie okazało się, że Simonsen dostał esemesa. Nienawidził ich i wśród swoich współpracowników wprowadził bezwzględny zakaz komunikowania się z nim w ten sposób. Nawet Anna Mia szanowała jego nie-

chęć, choć uważała że to głupie. Z trudem doklikał się do wiadomości od Berg.

Cześć, Simonie. Mam nadzieję, że dobrze się bawisz na swojej „konferencji” J Arne i ja jesteśmy na wykładzie o kryzysie. Kompletnie bez sensu, ciesz się, że Cię tu nie ma. Raport z za Sundu już dotarł. Lucy D. nigdy nie była w Szwecji. Chcesz się dowiedzieć więcej? Mam mnóstwo czasu.

Potwierdził, wystukując „tak”, a napisanie i wysłanie tej odpowiedzi zajęło mu niemal pięć minut. Trzydzieści sekund później odebrał drugą wiadomość:

Szwedzi przeprowadzili znakomite dochodzenie w 1969 roku. Namiot rozbity w głębokim lesie. Nikt nie nocowałby w takim miejscu. Zbyt daleko od drogi i miasta. W namiocie żadnych śladów codziennej aktywności. Tylko jej rozwinięty śpiwór i rozpakowany plecak. Ciąg dalszy nastąpi...

Czekał, nie wiedząc, czy nie powinien coś odpisać. Krótco potem przyszedł kolejny esemes.

W jej portmonetce 12 dziesięciokoronowych banknotów. Ślady prowadzące do banku w Kopenhadze! Żadnych szwedzkich drobnych. Żadnych odcisków palców na banknotach. Nawet jej!! Ale daktyloskopia to była w tamtych czasach nowa technika.

Tym razem nie zareagował i po spodziewanych trzydziestu sekundach nadeszła następna wiadomość:

Pocztówka ma motyw z Esbjerg. Napisana przez nią, ale ze szwedzkim znaczkiem z Orsy. Nic nie napisano na temat przyjazdu do Szwecji. Tylko, że wybierała się na Nordkap, aby zobaczyć dzień polarny. Znaczek (z motywem Wazów) sprzedawany tylko w całych arkuszach. Nie znaleziono u niej pozostałych znaczków.

Simonsen uśmiechnął się do Argentyńczyka, który bez skrepowania śledził wzrokiem jego esemesy – ciekawe, czy cokolwiek potrafił z tego zrozumieć.

Zapomniałam napisać, że Gurli (słowa Arnego) dostanie oryginał pocztówki z Wielkiej Brytanii. Więcej poszlak, że Lucy nigdy nie dotarła do Szwecji. Najbardziej wiarygodny jest jednak podpis na raporcie. Nie uwierzysz! Spróbujesz zgadnąć?

Przeklął w duchu, literując „nie”. Chwilę później wpatrywał się w nazwisko najślawniejszego funkcjonariusza wydziału kryminalnego w całej Skandynawii. Osoby, której sława sięgała daleko w świat, co Argentyńczyk błyskawicznie wychwytił, wskazując palcem na wyświetlacz.

– *Es mi hero grande. Un hombre fantastico* – powiedział, a potem z pluską zanurzył się w wodzie.

Koreańczyk otworzył jedno oko. Simonsen wyjaśnił z dumą:

– *I just received a message from a legend.*

Mężczyzna ledwo zauważalnie skinął głową i ponownie przymknął oko.

– *Lucky you.*

* * *

Stewardesa przez urządzenie głośnomówiące oznajmiła optymistycznym tonem, że samolot wylądowuje w Kastrup za około trzydzieści minut. Pogoda w Kopenhadze była chłodna i wietrzna, temperatura około dwunastu stopni.

Simonsen drzemał, ale ten komunikat w połączeniu z niewielkimi turbulencjami go obudził. Potarł oczy i wyjrzał przez okno. Wokół samolotu rozpościerały się gęste szare chmury, przez które nie było widać lądu. Czuł się dobrze, był zrelaksowany. W Bułgarii nie poświęcił wielu myśli sprawie listonosza. Podobnie było z Ritą, wspomnienia już nie wracały, co go, szczerze mówiąc, trochę złościło. Łączyło ich przecież tak wiele wspólnych przeżyć, zarówno tych dobrych, jak i złych, z czasów... z czasów, któ-

rych nie potrafił pojąć. Ani wtedy, ani teraz. „Chłodno i wietrznie” – czy to nie tak wyraziła się stewardesa? To nie była odpowiednia pogoda dla dziewczyny w afgańskim kożuszk.

W Kopenhadze wiał zimny wiatr, który z wyciem uderzał o bramę. Rita marzła. Przycisnęła się do muru, szczękając zębami. Simonsen spoglądał na drzwi prowadzące do tylnego wejścia po schodach, były zielone, pokryte łuszczącą się farbą. Jakiś chłopak wnosił koks na strych. Raz za razem kilogramy koksu wnoszone w worku na plecach. Chłopak był szczupły, szedł niepewnym krokiem, jakby przygnieciony niesionym ciężarem, gdy zniknął w drzwiach. Należący do niego rower towarowy long john stał zaparkowany parę metrów dalej. Zostały mu jeszcze dwa worki.

Za kwadrans Simonsen i Rita będą mogli pójść na górę. Dokładnie o jedenastej, ani minuty wcześniej czy później, tylko o pełnej godzinie. Instrukcje otrzymał, gdy rozmawiał z tamtą kobietą przez telefon. Zajmowała się aborcją, nazywano ją twórczynią aniołków – ich rozmowa nie trwała nawet pół minuty, co nie zmieniało faktu, że mu się nie spodobała. Mówiła łamanym duńskim i wplatała niezrozumiałe słowa. Może dlatego nie budziła jego sympatii, pewnie tak.

Pieniądze udało się zebrać bez problemu. Był gotowy sprzedać swój telewizor, wykorzystać oszczędności przeznaczone na wakacje, a w razie konieczności wziąć kredyt. Miał przecież stały dochód, więc nie powinno być kłopotu. Jednak żadna z tych opcji nie okazała się potrzebna. Trzy koleżanki Rity ze studiów bez jej wiedzy zebrały dla niej pieniądze – część w jej akademiku, a część wśród studentów z jej roku. W tamtym środowisku solidarność nie była tylko pustym słowem, więc w ciągu zaledwie paru dni udało się zebrać całą kwotę. Większość osób, która się dołożyła, nie miała pojęcia, kim jest Rita. Natomiast dziewczyny zajmujące się zbieraniem funduszy nie wyjaśniały szczegółowo sytuacji, ograniczając się do stwierdzenia, że jedna z ich koleżanek miała przechlapane... A mimo to kapelusz rzadko krążył na próżno, bo przecież, do cholery, spokojnie można było przeżyć bez jednego dziesięciokoronowego banknotu. Tym

sposobem wkrótce zebrano cztery tysiące, tyle kosztowała nielegalna aborcja.

Simonsen i Rita przeszli przez drzwi, po czym zaczęli się wspinać po tylnych schodach – ona pierwsza, on za nią, z głową wypełnioną potwornymi historiami o brudnych drutach do robótek, wstrzykiwaniu wody z mydłem do macicy czy o podawaniu dużych dawek niebezpiecznej dla życia chininy. Rita zapukała. Trzy razy, potem przerwa i ponownie trzy. Kara za tego typu szarlatanerię wynosiła osiem lat więzienia, to nie były żarty.

Kobieta, która im otworzyła, a następnie poprowadziła ich wąską kuchnią do pokoju stołowego, stanowiła uosobienie obaw Simonsena. Była w średnim wieku, niska i gruba, jej twarz miała słowiańskie rysy, a ciemne, niemal czarne oczy pały chciwością. Gdy usiedli, kobieta zażądała swoich pieniędzy. Rita wręczyła jej kopertę, którą tamta skwapliwie otworzyła. Przeliczyła banknoty dwukrotnie i właśnie wtedy Simonsen przyjrzał się uważnie jej palcom i paznokciom. Potem obrócił głowę i spojrział na pobladłą Ritę. Wstał zdecydowanie, odebrał kobiecie pieniądze i pociągnął za sobą swoją dziewczynę.

Skierowali się do kawiarni, żeby przedyskutować sytuację, a on próbował namówić ją na inne rozwiązanie. Oddanie do adopcji, skoro ona... oni nie chcieli tego dziecka. Odmówiła, odrzucała wszystkie inne propozycje poza aborcją, a on obiecał coś wymyślić, nie mając najmniejszego pojęcia jak. Lekarzy zajmujących się takim procederem nie można było przecież tak po prostu znaleźć w książce telefonicznej. Należało mieć kontakty, a on nie miał żadnych. Jednak w krótkim czasie problem rozwiązał się sam.

Kilka dni później – w każdym razie tak to zapamiętał, ale może minął nawet tydzień – dostał wezwanie do zgonu z powodu zatrucia gazem. Na listopad i grudzień przypadał szczyt sezonu samobójstw, a jedną z najpopularniejszych metod było odkręcenie kurka z gazem i położenie się spać w kuchni. Skuteczny, choć niemoralny sposób na skończenie ze sobą. Jeżeli sąsiedzi nie zdążyli wyczuć gazu na czas, to wystarczała jedna iskra,

żeby na całej klatce schodowej rozpętało się piekło. Simonsen widział taką sytuację już dwukrotnie i słyszał o niej wiele razy. W tym jednak przypadku, podobnie jak zazwyczaj, sąsiad z dołu na szczęście zorientował się na czas. Ludzie z całej klatki zostali ewakuowani, a do środka weszli strażacy. Otworzono niemal wszystkie okna i drzwi, a tam, gdzie to się nie udało, wybito szyby.

Simonsen siedział na najwyższym schodku przed drzwiami wejściowymi. Miał chwilę wytchnienia. Policję w takich wypadkach wzywano rutynowo, żeby pilnowała porządku podczas pracy strażaków, a potem ewentualnie rozgoniła gapiów, gdy będą zabierać zwłoki. Tym razem nic takiego nie okazało się konieczne. Dlatego właśnie schronił się przed chłodem, czekając z niecierpliwością, aż strażacy skończą swoją robotę i będzie mógł wrócić na posterunek, żeby napić się ciepłej kawy.

Wtedy podszedł do niego jakiś mężczyzna, a on uniósł wzrok. Facet musiał dobiegać czterdziestki, miał ostre rysy twarzy, inteligentny wzrok i spojrzenie wzbudzające taki respekt, że Simonsen wstał. Przez chwilę mężczyzna prześlizgiwał się po nim wzrokiem, nie ukrywając, że nie podobało mu się to, co widział. Wyjął dłoń z wewnętrznej kieszeni zamszowej kurtki i szybko pokazał odznakę, po czym schował ją z powrotem i zapiał kurtkę na zamek.

– Bądź jutro u siebie ze swoją dziewczyną. Przyjadę po was koło południa. – Uniósł do góry otwartą dłoń. – Żadnych pytań.

I sobie poszedł. Zakłopotany Simonsen ruszył za nim biegiem.

– A co z pieniędzmi? Mamy tylko cztery tysiące. Dokąd nas zawieziesz? Muszę to wiedzieć. I skąd wiesz, że my...

Mężczyzna się zatrzymał i mu przerwał:

– Do szpitala oczywiście, a pieniądze nie będą potrzebne. Widziałem, jak wchodziliście do tej szarlatanki, bo obserwujemy ją w związku z pewną grubszą sprawą. Reszta nie powinna cię obchodzić. Wracaj i pilnuj swojej pracy, zanim zgłoszę zaniebdywanie obowiązków służbowych. I nie waż się nawet myśleć o siadaniu na schodach, to nie jest stowarzyszenie emerytów.

Mężczyzna dotrzymał słowa. Następnego dnia o dwunastej zaparkował swoim oplem recordem pod oknami mieszkania Simonsena. Przywitał się uprzejmie z Ritą i szorstko z Konradem, po czym wskazał im miejsca na tylnym siedzeniu. Całą drogę milczał. Kierował się na północ wzdłuż Gammel Køge Landevej, w stronę szpitala Roskilde Amts Sygehus w Køge, minął izbę przyjęć, okrążył wiatę na rowery i wolno wjechał na wąską ścieżkę, na której samochód ledwo się mieścił, a potem zaparkował na trawniku przed niskim budynkiem. Krótco zatrąbił, a po chwili odwrócił się i uprzejmie poinstruował Ritę:

– Masz silne, nieregularne krwawienia...

– Ale przecież ja nie mam żadnych krwawień – przerwała mu dziewczyna.

– Jasne, że nie, do diaska. Chodzi przecież o nieregularne krwawienia. Za chwilę przyjdzie po ciebie kobieta, to moja siostra i ordynatorka oddziału ginekologicznego. Przyjmie cię na skrobankę w trybie ambulatoryjnym. Wrócimy po ciebie o dziesiątej, zrozumiałaś?

Rita zrozumiała i podziękowała.

– Zwracaj się do niej per „pani”, moja siostra nie uznaje tego modnego przechodzenia na ty – dodał jeszcze.

Pięć minut później Ritę rzeczywiście odebrała jakaś kobieta i Simonen został w samochodzie już tylko z mężczyzną, który natychmiast przestał być miły.

– Powiedz mi, nigdy nie słyszałeś o prezerwatywach, ty palancie? – warknął ze złością.

To był pierwszy raz, kiedy dostał ochrzan od Kaspera Plancka, ale na pewno nie ostatni.

Później, gdy Rita chciała oddać zebrane pieniądze, był problem z ustaleniem, kto powinien je dostać. Po długiej debacie wybór został ograniczony do dwóch opcji: organizacji wpierającej walkę z juntą wojskową w Grecji albo innej, która angażowała się w kampanię przeciwko faszystowskiemu reżimowi Francisca Franco w Hiszpanii. Organizowano w tej sprawie zarówno sesje grupowe, jak i ogólne zebrania, przez okres świąt Bożego Narodzenia w akademiku prowadzono ożywione dyskusje.

W końcu wygrała junta. Simonsen zaproponował organizację humanitarną wspierającą młode matki, *Mødrehjælpen*, ale nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

Z lotniska odebrała go Hrabianka. Minęło niemal czternaście dni od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni, więc powitanie było gorące. Dostał buziaka w podziękowaniu za figurkę, którą jej przywiózł, i kolejnego za piękny bukiet kwiatów, który zastała po powrocie do domu z Esbjerg. Przyjmując pochwały, Simonsen pomyślał ciepło o Mai Nørgaard.

– Arne, Pauline i Klavs czekają na komendzie, jeżeli chciałbyś się spotkać dzisiaj – powiedziała Hrabianka. – Wszyscy są także skłonni przełożyć je na jutro, jeżeli jesteś zmęczony po podróży.

Nie czuł zmęczenia, wręcz przeciwnie, od wielu lat nie był równie wypoczęty, w każdym razie sam tak to odbierał. Uśmiechnęła się.

– Dobrze, w takim razie jedziemy na komendę, zwłaszcza że sporo się wydarzyło w sprawie listonosza podczas twojej nieobecności.

Simonsen siedział teraz opalony i pełen oczekiwań pomiędzy Hrabianką a Berg, podczas gdy Pedersen rozpoczynał zebranie, które odbywało się w jego gabinecie. Z tyłu pomieszczenia Malte Borup sterował komputerem prowadzącego spotkanie.

Pedersen sprawiał wrażenie zdenerwowanego, co zdziwiło Simonsena. Przecież wielokrotnie koordynował już różne dochodzenia, a pięciu jego słuchaczy to byli starzy znajomi, oczywiście z wyjątkiem Klavs Arnolda, ale nie było powodu, żeby się go obawiać. A może Berg była dzisiaj bojowa nastawione, nie zdążył o to zapytać Hrabianki w samochodzie.

– Przede wszystkim witaj w domu, Simonie. Mam nadzieję, że wyjazd był ciekawy i pożyteczny.

Simonsen zdał krótką relację, owszem, jego wyjazd można było zaliczyć do udanych. Gdy opowiadał, zwrócił uwagę, że Pedersen unika z nim kontaktu wzrokowego. Zaczęło się robić jeszcze gorzej, gdy tymczasowy szef wydziału zabójstw zaczął go zapewniać, że absolutnie nie zamierza przejąć jego śledztwa w sprawie listonosza. Absolutnie nie! Podczas nie-

obecności Simonsena wydział zabójstw zajmował się wyłącznie próbą połączenia informacji, które on wcześniej uzyskał, z tymi, które się pojawiły w ostatnim czasie. Starał się to wyraźnie podkreślić. Powtarzał to do znużenia na wszystkie możliwe sposoby i wszystko wskazywało na to, że zamierza spróbować po raz kolejny. Na szczęście przerwał mu Arnold.

– To nadal jest twoje śledztwo, ale potrzeba nam więcej rąk do pracy – powiedział do Simonsena. – Przypuszczalnie mamy do czynienia z podwójnym zabójstwem, dlatego chyba góra oczekuje, że zaangażowani zostaną wszyscy i wszystkie dostępne środki. Co wydaje się zrozumiałe w tej sytuacji.

Pedersen potwierdził słowa Arnolda, tyle że w bardziej dyplomatycznym. Następnie spojrzął na Simonsena i po kilku długich sekundach wszyscy usłyszeli odpowiedź, na którą liczyli.

– Dla mnie to żaden problem, dopóki to ja będę o wszystkim decydował. Arne, nie dam sobie odebrać tej sprawy. Jeżeli dołączysz do zespołu, to ja będę twoim szefem, a nie odwrotnie.

Pedersen odetchnął z ulgą, takie rozwiązanie było mu na rękę.

– Wypożyczyliśmy Arnolda na pewien okres – powiedział. – Część sprawy wiąże się z Esbjergiem, a on jest tam ekspertem. Poza tym, jak widzicie, dostałem nową tablicę. To taka wersja interaktywna, która może służyć jako monitor komputera albo zwykła tablica. Jest podobna do tej, która wisi w sali posiedzeń, ale nie ma aż tylu funkcji. Dzisiaj steruje nią Malte, bo jeszcze nie zdążyłem się z nią zapoznać.

Wszyscy zachichotali, bo dokładnie w tym momencie, gdy Pedersen wypowiedział jego imię, policjant wyświetlił na ekranie swoje zdjęcie. Zaraz jednak przybrali poważne miny, kiedy zastąpiono je portretem Lucy Davison.

Lucy Selma Davison urodziła się 20 kwietnia 1952 roku w Liverpoolu. Ojciec ma na imię George i jest emerytowanym operatorem maszyn, matka ma na imię Margaret i pracowała jako kelnerka. Małżeństwo miało jeszcze dwoje dzieci, a Lucy młodszego brata i siostrę. Dziewczyna opuściła rodzinny dom 28 maja 1969, zostawiając lakoniczną wiadomość. Policja hrabstwa Merseyside w Liverpoolu, na wniosek duńskich kolegów po

fachu, ponownie zbadała sprawę jej zaginięcia – dyskretnie, nie informując o niczym rodziny – i ustaliła, że Lucy Davison nigdy nie wróciła do domu. Policja była również zdania, że nikt w Anglii nie słyszał o dziewczynie przez ostatnie bez mała czterdzieści lat.

– Nie wiemy nic konkretnego na temat motywu jej ucieczki, ale zgadujemy, że po prostu połknęła bakcyła wolności, jak inni w jej wieku w tamtych latach – ciągnął Pedersen. – Dorastała w drobnomieszczańskim katolickim domu, a miasteczko Beatlesów zapewne skusiło ją atrakcyjniejszymi ofertami. Mamy całkowitą pewność co do tego, że Lucy Davison była w Harwich czternastego czerwca sześćdziesiątego dziewiątego roku i przypuszczalnie dotarła do Esbjerg między szesnastym a siedemnastym tego samego miesiąca. Zamierzała wybrać się na północ Norwegii, aby obejrzeć dzień polarny, co wynika z przesłanej widokówki. *I want to see the midnight sun*. W Esbjerg poznało sześcioro uczniów z klasy trzeciej igrek z liceum Brøndbyøster, którzy wyjechali do domku letniskowego, aby uczyć się do ostatniego egzaminu maturalnego, czyli ustnej matematyki, który odbył się dwudziestego czerwca.

Pedersen upił łyk wody, a Hrabianka wyjaśniła Pedersenowi:

– Nazywamy ich Bandą Sześciu.

Przyjął nazwę do wiadomości, chociaż mu się nie spodobała. Uważał, że miała zbyt oskarżający wydźwięk i dlatego mogła prowadzić do błędnych wniosków.

– Zakładamy, że Lucy Davidson zmarła w tym domku letniskowym, a Banda Sześciu ukryła zwłoki – kontynuował Pedersen. – Następnie dwie osoby wyjechały do Lycksele w Szwecji, do okręgu administracyjnego Västernorrland, licząc w linii prostej, jakieś tysiąc kilometrów od Malmö, w sporej odległości od miasta, w głębi lasu, gdzie rozbiły namiot Lucy. Mniej więcej w połowie trasy, w miejscowości Orsa, wysłały pocztówkę w jej imieniu. Nadal pozostają trzy zasadnicze pytania, na które ciągle nie znamy odpowiedzi: Jak umarła? Co stało się z jej zwłokami? I wreszcie – gdzie jest położony ten domek letniskowy? Jakies pytania?

Przeniósł wzrok na Simonsena, który miał kilka:

– Czy jej rodzice nadal żyją?

– Tak.

– Zakładam, że znamy skład Bandy Sześciu.

– Owszem. Wrócę do tego za moment.

– Co z pozostałymi uczniami klasy trzeciej igrek? Wiemy, gdzie obecnie przebywają?

– Nie, nic nie ustaliliśmy w tej sprawie. A czego od nich chcesz?

Ku zaskoczeniu wszystkich odpowiedział Arnold:

– To naprawdę dobry trop. Mamy przecież tylko jedną szansę z tymi sukinsynami.

– Nie nadażam – przyznała Berg.

– Tak, to prawda – wtrąciła się Hrabianka. – Jeżeli nie uda nam się dokładnie prześledzić życia członków Bandy Sześciu z ich czasów licealnych, nie będziemy potrafili ocenić ich wersji historii podczas przesłuchań. Zapewne dlatego poświęciłam długie godziny na zapoznanie się z beznadziejnymi wypracowaniami uczniów tej klasy oraz szkolnymi gazetkami z liceum Brøndbyøster z lat sześćdziesiąt siedem–sześćdziesiąt dziewięć, podczas gdy ty korzystałaś z kąpieli błotnych w Morzu Czarnym. Nie mogłeś mi tego wyjaśnić, gdy rozmawialiśmy przez telefon?

– Skąd mogłem wiedzieć, że zabrałaś się za czytanie wypracowań? – bronił się Simonsen.

Już po chwili wszyscy mieli coś do powiedzenia, mówili jeden przez drugiego, podczas gdy Pedersen stał ogłupiały, nie wiedząc, czy ma się w mieszać w dyskusję, poczekać, aż się sama zakończy, czy też zacząć wszystkich uciszać. Problem rozwiązał za niego Borup. Na tablicy ukazał się komunikat, przypominający napisy z czasów niemych filmów: „Uspokójcie się i posłuchajcie Arnego”. Jednak to sygnał karetki pogotowia przyniósł lepszy efekt. Wszyscy zamilkli, a Berg zatkała sobie uszy.

Pedersen posłał Borupowi pełen wdzięczności uśmiech, po czym powrócił do tematu, jakby nic się nie wydarzyło:

– Simonie, oddeleguję kilka osób do sprawdzenia pozostałych uczniów. Okej?

– W porządku, ale chodzi tylko o fakty. Żadnego osobistego kontaktu, my się tym zajmujemy.

– W porządku, przejdźmy zatem do zdjęć.

Nie było wątpliwości, że to Jørgen Kramer Nielsen bawił się w fotografa, jako że sam pojawił się tylko na jednym z dwunastu zdjęć, mianowicie na tym grupowym, które przypuszczalnie zrobiono za pomocą samowyzwalacza. Poza tym negatywy znaleziono właśnie u niego. W przeciwieństwie do przyszłego listonosza Lucy Davison pozowała do każdej fotografii, choć nie można było wykluczyć, że Nielsen postanowił zachować tylko te ujęcia, na których się znalazła. To była dość prawdopodobna wersja, zwłaszcza że technicy jednoznacznie ustalili, że listonosz wykorzystał ujęcia dziewczyny z dwunastu fotografii do wykonania swoich plakatów. Natomiast co do tego, czy zdjęcia przedstawiały kompletną grupę, określaną teraz jako Bandę Sześciu, i że nie liczyła ona ani siedmiu, ani ośmiu członków, nie było w wydziale zabójstw pewności. Teoretycznie można było wziąć pod uwagę dodatkową osobę, która po prostu wymknęła się fotografowi, bo nie lubiła zdjęć. Niewykluczone też, że Nielsen po prostu odrzucił zdjęcia tej dodatkowej osoby, bez względu na to, czy była na nich Lucy Davison, czy też nie.

Pedersen upił kolejny łyk wody, tym razem nikt z słuchaczy mu nie przerwał. Odchrząknął i kontynuował:

– Na podstawie tych zdjęć udało nam się ustalić kilka interesujących szczegółów, przede wszystkim oczywiście tożsamość osób wchodzących w skład Bandy Sześciu. Mamy o nich już sporo danych, ciągle też spływają nowe. Nielsena już znamy, potem mamy tego chłopaka, ale z nim sobie szybko poradzimy.

Borup wyświetlił portret przyszczatego wyrostka z odstającymi uszami i głupawym uśmiechem.

– Nazywa się Mouritz Malmborg.

Berg zachichotała bez powodu, aż Pedersen spojrział na nią zaskoczony.

– Pauline, co cię tak śmieszy?

– Przepraszam. Chodzi po prostu o to, że... Mouritz Malmborg i taki wygląd. Ten biedny chłopak nie dostał od życia zbyt wielkich szans. Dajcie spokój, naprawdę żal patrzeć.

Ponownie parsknęła śmiechem.

Coś w tym było. Malmborg nie cieszył się życiem zbyt długo, zginął w 1973 w wypadku motocyklowym, w czasach gdy studiował biologię na uniwersytecie w Århus. Pedersen zaproponował, żeby go pominęli i zajęli się żyjącymi.

Ponownie zmienił się obraz. Tym razem wyświetliło się zdjęcie dziewczyny – przysadzistej i nijakiej.

– Jej też niczego nie brakuje.

To był kolejny komentarz Pauline. Nikt się nie odezwał, ale Hrabianka posłała jej poirytowane spojrzenie.

Hanne Brummsted skończyła studia medyczne w 1977 roku, pięć lat później obroniła doktorat o aberracjach chromosomowych, a dzisiaj jest ordynatorką Oddziału Genetyki Klinicznej szpitala w Herlev. Mieszka w Roskilde i jest po rozwodzie. Dość późno urodziła dzieci, które mają teraz osiemnaście i piętnaście lat. Poza tym ma czystą kartę w Krajowym Rejestrze Karnym i dobrą sytuację finansową.

– Malte, następne.

Następne zdjęcie przedstawiało kolejną dziewczynę, tym razem o nieregularnych rysach i w rzucających się w oczy okularach z rogowymi oprawkami. Pedersen przekartkował swoje notatki.

– Helena Brage Hansen. Z tego, co nam wiadomo, bez wykształcenia. Obecnie ma norweskie obywatelstwo i mieszka w Hammerfest. Jest niezamężna i często zmienia pracę – na przykład w sezonie turystycznym pracuje jako pilot wycieczek. Nic nie wiemy o jej konflikcie z prawem ani o sytuacji finansowej, ale już zwróciliśmy się z prośbą o te informacje.

– Malte, teraz to ostatnie.

Tym razem wyświetliły się dwa zdjęcia. Chłopak o miłym spojrzeniu, odsłaniający w uśmiechu białe zęby. Obok dziewczyna – blada i wyglądająca na chorowitą.

– Zestawiłem ich razem, bo są małżeństwem. Wtedy jeszcze nie byli. On nazywa się Jesper Mikkelsen, a ona Pia Muus...

Pauline roześmiała się pogardliwie, ale tym razem Pedersen nie wytrzymał.

– Przestań w tej chwili. Być może nie mają twojej aparycji, ale jeżeli ci to przeszkadza, zatrzymaj to, proszę, dla siebie.

Berg pokazała mu środkowy palec i nieporuszona jego komentarzem zapytała:

– Co on ma na twarzy?

– Znamię, tak zwane uszczyknięcie bociana.

– To musiał być bocian o wielkim dziobie.

– Mogę kontynuować?

– Ja nie mam nic przeciwko.

Pia Muus nazywa się teraz Pia Mikkelsen, a para mieszka w Ålborg. W 1978 oboje podjęli studia na tamtejszym uniwersytecie, ale żadne z nich ich nie ukończyło. Studiowali socjologię, którą porzucili po trzecim semestrze. Przez wiele lat prowadzili sklepik muzyczny AntikvarPladen w centrum miasta. Specjalizowali się w longplayach z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Dzisiaj sklep już nie działa, ale sprzedaż przez internet okazała się wielkim sukcesem, bo obroty za zeszły rok oscylowały w granicach niemal czterech milionów koron. Nie mieli dzieci, a ich sytuacja materialna była z oczywistych względów bardzo dobra.

W ciągu ostatnich lat policja odwiedzała ich kilkakrotnie w związku z awanturami domowymi, ale nigdy żadne z nich nie złożyło doniesienia, a z raportów wynika, że są siebie warci. Poza tym prawdopodobnie prowadzili jakieś interesy w środowiskach narkomanów i pornograficznym w Ålborg, ale miejscowa policja nie potrafiła udzielić żadnej jednoznacznej informacji, co sama zresztą z ulgą przyznała. Para nie była jednak nigdy o nic oskarżona ani za nic skazana.

Pedersen odłożył swoje notatki.

– To tyle w skrócie na temat Bandy Sześciu. Jakież uwagi?

Arnold uniósł dłoń, choć było widać, że nie jest do tego przyzwyczajony. Mimo to grzecznie poczekał, aż Arne udzieli mu głosu.

– Klavs, proszę.

– Powiedz, co miałeś na myśli, wspominając o środowisku pornograficznym w Ålborg. Mówimy o burdelach, filmach czy jeszcze czymś innym?

– O filmach, które swoją drogą są legalne. Wygląda na to, że oboje interesują się młodziutkami dziewczynami, a właściwie młodziutkami, wrażliwymi dziewczętami. Ale policja w Ålborg nie dotarła do niczego konkretnego, więc to tylko spekulacje.

Simonsen podniósł się ze słowami:

– Zamilknijcie na chwilę. Malte, czy masz jakieś zdjęcie, na którym jest cała szóstka, włącznie z tymi, którzy dzisiaj nie żyją, ale bez Lucy Davison?

Praktykant pokręcił przecząco głową, nie miał niczego takiego.

– Nie mógłbyś wygenerować czegoś takiego na swoim komputerze i nam pokazać. Nie szkodzi, że to będzie fotomontaż.

To dało się zrobić, więc Borup wstał i wyszedł, aby to przygotować.

Podczas nieobecności praktykanta Simonsen przez większość czasu wpatrywał się tępo przed siebie, a pozostali milczeli, nie chcąc mu przeszkadzać. Wyjątek stanowił Arnold, który w pewnym momencie wykrzyknął: „Tak, oczywiście!”. Zaraz potem przyszedł Malte i przedstawił im wynik swojej pracy. Simonsen wrócił na swoje miejsce i zapytał:

– Pauline, możesz nam powiedzieć, co ci przychodzi do głowy, gdy spoglądasz na ich portrety?

Dziewczyna postanowiła się asekurować i odpowiedziała grzecznie:

– No tak, widzę tutaj sześciu zwykłych licealistów...

Simonsen natychmiast na nią naskoczył:

– No nie, daj sobie z tym spokój. Opowiedz, co naprawdę o nich myślisz. Przestań być taka poprawna.

Lekko się zaczerwieniła. Co innego Pedersen – z nim potrafiła sobie poradzić, a co innego Simonsen. Postanowiła wykonać polecenie.

– No więc, wiem, że wyjdę na sukę, ale prawdę powiedziawszy, jeden jest brzydszy od drugiego. Przyjrzyjcie im się i wybaczcie, że to powiem, ale wszyscy wyglądają na nieudaczników, i to takich większego kalibru. Co za typy. Jeżeli reprezentują te słynne lata sześćdziesiąte, to cieszę się, że urodziłam się dopiero...

Simonsen jej przerwał.

– Dziękuję, Pauline, wystarczy. Mam już swoją puentę.

– Czyli?

– Chodzi o to, że prawdopodobnie już wtedy byli outsiderami i mogę coś w tej sprawie dodać na temat Jespera Mikkelsena – próbowała wyjaśnić Hrabianka. – Autor artykułu ze szkolnej gazetki na temat kończącej edukację klasy trzeciej igrek napisał o nim Yes, yes, yes, yes Jesper. W młodość podobno potwornie się jąkał.

– Musimy ustalić, jak bardzo byli ze sobą zżyci – stwierdził Simonsen. – Tworzyli grupę czy nie? I musimy się tego dowiedzieć, zanim zaczniemy z nimi rozmawiać, jeżeli to w ogóle okaże się możliwe.

– Będziemy harować dzień i noc.

Tymi słowami Arnold próbował zasygnalizować, że ton przełożonego wydał mu się zbyt rozkazujący.

Zrobili dziesięciominutową przerwę, aby przynieść sobie kawę, wyjść do toalety i rozprostować nogi. Pauline minęła Simonsena na korytarzu.

– Zdaję sobie sprawę, że dopiero co wróciłeś do domu, ale czy mógłbyś zrobić coś w sprawie tego spotkania z Arthurem Elvangiem, które nam obiecałeś? Grupa się trochę niecierpliwi, ja zresztą też.

„Grupa!” Miał wielką nadzieję, że grupaprzestała istnieć.

– A ilu ludzi liczy ta grupa? – spytał poirytowany.

– Jest nas pięcioro.

– Ach tak. W takim razie możesz przekazać grupie, że otrzymasz informacje w sprawie spotkania jeszcze w tym tygodniu. Ale grupa nie będzie zaproszona na spotkanie z Elvangiem. Pójdziecie tylko ty i ta twoja przyjaciółka z Melby Overdrev – nikt inny.

Hrabianka przejęła rolę prowadzącej spotkanie. Pozostała jednak na swoim miejscu, gdy zaczęła omawiać informacje związane z domkiem letniskowym.

Wspólnie z Arnoldem przeczესali Esbjerg i okolice w poszukiwaniu miejsca, w którym Nielsen się zatrzymywał podczas swoich corocznych trzydniowych wypadów do miasta. W końcu, po wielodniowych, ciężkich i bezowocnych poszukiwaniach, udało im się coś ustalić. Listonosz kwatrował się co roku w hostelu Nørballe. Po raz pierwszy zatrzymał się tam w 1980 roku, ale nikt z personelu nie wiedział, co w tym czasie porabiał. Zazwyczaj spędzał czas samotnie. Zawsze natomiast wypożyczał rower, więc Hrabianka uznała za prawdopodobne, że w tym czasie odwiedzał grób Lucy Davison, chociaż nie został zapamiętany w żadnej z kwiaciarni w Esbjerg. Jeżeli zabierał na grób kwiaty, musiał zrywać je sam. Próbowali się również dowiedzieć, czy Nielsen spotykał się z kimś z Bandy Sześciu podczas tych wizyt. Hrabianka nie dałaby sobie co prawda uciąć za to głowy, ale była dość pewna, że do takich spotkań nie doszło. Z pewnością też nie spotkał się z nimi wszystkimi naraz.

– Powiesz coś na temat tego domku letniskowego? – zwróciła się do Arnolda.

– Nie, ty to zrób. Masz taki ujmujący akcent.

– Dziękuję, to miłe. W porządku, to ja opowiem, chociaż nie ma tego zbyt wiele.

Wyszli z założenia, że Nielsen wypożyczył rower podczas pobytu w hostelu, to poszukiwania można ograniczyć do promienia około piętnastu kilometrów. Niestety na tym obszarze znajdowały się setki domków letniskowych, a na dodatek na zdjęciach nie było żadnych istotnych szczegółów, więc czekały ich żmudne przeszukiwania jednego domku po drugim. Na dodatek na zdjęciach nie znaleźli żadnych wskazówek dotyczących lokalizacji, a to oznaczało, że nie wystarczy same odwiedzić posesji, każdy domek trzeba będzie gruntownie sprawdzić, żeby go wykluczyć. A jakby tego jeszcze było mało, w ciągu minionych niemal czterdziestu lat okolice Esbjerg też znacząco się zmieniły. Ostatecznie sprawdzanie każdego

domku wymagałoby ogromnych nakładów i wiązało się z nieprawdopodobnymi kosztami.

– Na podstawie zdjęć, które mamy, nie jesteśmy w stanie ustalić, czy domek jest położony w głębi łądu, czy też gdzieś przy plaży, więc najlepszym rozwiązaniem byłoby ustalenie, czy ktoś z Bandy Sześciu nie był właścicielem takiej nieruchomości w okolicach Esbjerg. Pracujemy nad tym. Klavs może też odwiedzić wykonawców, stolarzy i składy drewna, żeby fachowcy przyjrzeni się fotografiom dziewięciu dość konkretnym fragmentom domku, które mamy.

– Czy jeśli staniemy przed konkretnym budynkiem z tymi zdjęciami, będziemy mogli bez wątpliwości stwierdzić, że to ten domek?

– Zdecydowanie tak – odparł Arnold.

– W takim razie metoda „dom po domu” mogłaby się okazać skuteczna, pod warunkiem, że funkcjonariusze okażą się skrupulatni.

– Z całą pewnością. To może się udać, ale zajmie sporo czasu i takiego zadania nie można przydzielić komukolwiek. Poza tym, jak wspomniała Hrabianka, to będzie kosztować majątek. Ale to byłoby możliwe, bez wątpienia.

– Poprowadziłbyś takie dochodzenie?

– Tak.

– To się tym zajmij.

– Dobrze, pod warunkiem, że weźmiecie na siebie wszystkie formalności.

– Oczywiście, to nie będzie problem. Jak Arne zaznaczył na wstępie, mamy prawdopodobnie do czynienia ze sprawą podwójnego zabójstwa, a w takiej sytuacji nie powinniśmy być małostkowi. Co powiedziałyby prasa, gdyby coś takiego wyciekło?

Pedersen zaczął coś bez przekonania mamrotać o budżecie i dostępnych środkach.

– Arne, Simonsen ma rację – weszła mu w słowo Berg. – Brukowce nie zostawiłyby na Gurli suchej nitki. Aż strach pomyśleć, co znalazłoby się na okładkach.

Pedersen odpuścił i ponownie przejął prowadzenie spotkania. Na ekranie ukazało się mocno powiększone zdjęcie jakiegoś mężczyzny. Uśmiechał się radośnie do kamery. Trudno było stwierdzić, w jakim jest wieku.

– Mieli gościa. Pojawia się na dwóch zdjęciach i jak widzicie, cierpi na zespół Downa. Zakładamy, że ma między dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć lat. Nie wiemy, czy jego obecność ma jakiegokolwiek znaczenie, ani czy był turystą, czy tubylcem. W tym drugim przypadku mógłby nam pomóc zawęzić obszar poszukiwań. Teoretycznie mógł być jednym z uczestników tej wyprawy, ale to mało prawdopodobne, między innymi ze względu na jego strój. Na ten moment nic więcej na jego temat nie wiemy.

– Zanim mi umknie, chciałbym powiedzieć, że Nielsen ostrzygł się krótko po powrocie do domu i zanim zatrudnił się na poczcie u swojego ojca – wtrącił Simonsen. – To może nie mieć znaczenia, ale lepiej, żebyście wiedzieli.

– Pozwolę sobie na krótką dygresję, zanim przejdziemy do ostatniego zdjęcia – ciągnął Pedersen. – Zakładamy, że to Jørgen Kramer Nielsen i Hanne Brummsted przetransportowali rzeczy Lucy Davison do Szwecji, jako że oboje nie pojawili się na ostatnim egzaminie maturalnym. Dziewczyna zdała go później, a Nielsen nigdy do niego nie przystąpił. Poza tym ona jako jedyna z Bandy Sześciu miała wtedy prawo jazdy.

– Co wiadomo o tym, jak długo przebywali w Szwecji? – dopytała Hrabianka. – Lycksele leży spory kawałek na północ.

– Trzy, może cztery dni, chyba że prowadziła całą dobę bez przerwy albo on przejął kierownicę, chociaż nie miał prawa jazdy. Rodzice Brummsted mieli wtedy samochód, ale nie wiemy, czy go od nich pożyczyla. Równie dobrze mogła jakiś wynająć, miała wtedy skończone osiemnaście lat. Jeszcze jakieś pytanie?

Nie było.

– Przejdźmy zatem do ostatniego zdjęcia, zrobionego najprawdopodobniej za pomocą samowyzwalacza. Przyjrzyjcie się mu dobrze, żeby wyrobić sobie własne zdanie na jego temat.

Na zdjęciu było siedmioro nastolatków. Stali w jednym szeregu, obejmując sąsiadujące osoby ramionami, zdjęcie zrobiono na zewnątrz. Wszy-

szy byli mniej lub bardziej roznegliżowani. Nielsen znajdował się po lewej stronie od zewnątrz, Lucy Davison po prawej. Trzech chłopców było całkowicie nagich, choć mieli na sobie sandały. Hanna Brummensted też nie miała na sobie ubrania – stała w dziwacznej pozie, machając dłonią i próbując zasłonić swoje łono. Dwie ostatnie dziewczyny stały w samych majtkach. Również Lucy Davison była roznegliżowana pod afgańskim futerkiem, które kokieteryjnie rozchyliła. Pozostali mieli spuszczone wzrok. Pogoda była przygnębiająca, podobnie jak samo zdjęcie.

– Okej, nie trzeba być profesorem psychologii, żeby się zorientować, że nie czuli się komfortowo w tym ustawieniu – przerwała ciszę Hrabianka. – Mój Boże, biedne dzieciaki – wydają się takie zakłopotane i zawstyżone, wszystkie z wyjątkiem Lucy Davison. Co ci chłopcy mają wysmarowane na brzuchach?

– No study. To chyba czerwona farba. Spójrzcie też na palec wskazującą Lucy Davison.

– Doskonale rozumiem, że się wstydzą – powiedziała Berg. – Ja też bym się wstydziła na ich miejscu. A kto nie?

– To nie jest istotne – wymruczał Arnold z tym swoim jutlandzkim akcentem. – Pytanie brzmi, czy byś coś takiego zrobiła.

– Za żadne skarby świata i do tego przed aparatem.

– A oni zrobili.

– Gdy spotkali tę piękną małą hipiskę z wielkiego świata – powiedział cicho Simonsen. – Witajcie w latach sześćdziesiątych. Czyżby zapłaciła za to życiem? Zazdrość, seks, podczas którego coś poszło nie tak, prochy?

– Grzybki, może skusili się na muchomory. – Berg się rozpędziła. – Były wtedy popularne.

– Czerwiec to raczej nie jest sezon na muchomory. – Arnold ponownie sprowadził ją na ziemię. – Podobnie było także wtedy.

– Doskonale potrafię sobie wyobrazić potencjalne napięcia, a może Banda Sześciu nie była akceptowana przez kolegów z klasy, co wcale nie poprawiało sytuacji – zauważyła Hrabianka. – Ten wątek wydaje się dość istotny i musimy go sprawdzić, ale zanim się wszyscy rozpędzimy, to chciałabym powiedzieć, że szczerze mówiąc, ciężko mi uwierzyć, że sze-

ścioro nastolatków tak po prostu zabiło siódmą osobę. Jeden człowiek, w najgorszym wypadku dwoje, ale sześcioro wydaje się czymś niepojętym. Czytałam ich wypracowania i możliwe, że natura poskąpiła im urody, ale to byli zwyczajni duńscy licealiści. Nie zaplanowali tego zabójstwa, a jeżeli któremuś z nich przydarzył się wypadek, to pozostali nie byłoby w stanie kryć tego kogoś. Nie, gdy już dotarli do swoich domów i się nad tym wszystkim zastanowili. Musiało się zdarzyć coś innego. Coś, o czym jeszcze nie pomyśleliśmy.

Ta wypowiedź sprawiła, że wszyscy w zamyśleniu pokiwali głowami.

Simonsen zorientował się nieco po czasie, że pozostali oczekują, że dokona podsumowania. Z Pedersenem na czele. Wstał, dając tym samym sygnał do zakończenia spotkania, a jednocześnie nakreślił plan działania na najbliższy czas:

– Musimy się dyskretnie dowiedzieć jak najwięcej na temat Bandy Sześciu. Domek letniskowy to nasz priorytet. Musimy porozmawiać z ich kolegami z klasy i się przekonać, czy coś nowego wypłynie. Obecnie mamy zdecydowanie za mało, żeby ich konfrontować.

Wnioski spotkały się z szerokim poparciem, a Borup wrzucił na ekran końcową fanfarę, tym razem w formie klipu wideo. Generał z Arystokratów, animowanego filmu Disneya, powtarzał niczym katarynka: „Jestem szefem, ja decyduję, kiedy jest koniec filmu. Jestem szefem i ja decyduję, kiedy jest koniec filmu. Jestem szefem i ja decyduję, kiedy jest koniec filmu”.

Przerwał, dopiero gdy dostrzegł gniewne gesty Hrabianki, po czym błyskawicznie zniknął w drzwiach.

Po spotkaniu Simonsen pojechał do domu w Søllerød, żeby się rozpakować. Gdy się z tym uporał i włączył pralkę, postanowił wybrać się na swoją przebieżkę, która okazała się trudniejsza, niż się spodziewał. Dobre bułgarskie jedzenie pozostawiło po sobie ślad, ale kilka dni regularnego ruchu pozwoli mu wrócić do formy. Na zewnątrz było szaro, powietrze wilgotne – idealne warunki. Nie pocił się, nawet gdy dawał z siebie wszystko, a kiedy momentami decydował się na marsz, nie marzył. Równoległe do

niego ulicą sunął samochód, na który zerknął z ukosa bez specjalnego zainteresowania. To był niebieski jaguar i Simonsen pomyślał, że pewnie zaparkuje na podjeździe przy wili, którą właśnie mijają. Dopiero gdy auto podążyło jego śladem, przyjrzał mu się uważniej i stwierdził, że zna kierowcę. Helmer Hammer był mężczyzną po czterdziestce, pracował jako sekretarz stanu w Kancelarii Premiera i zajmował stanowisko, które zapewniało mu miejsce w ścisłej elicie władzy w administracji państwowej. Był też facetem, który – gdy zachodziła taka potrzeba – potrafił się doskonale kryć ze swoimi zamiarami. Samochód stanął, a szyba się opuściła.

– Wskakuj. Mam tylko pół godziny, a potem muszę wracać do pracy. No i witaj w domu.

Skołowany Simonsen usadowił się na tylnym siedzeniu.

– Przyjechałem, żeby obejrzeć twoją galerię, o której wszyscy mówią – wyjaśnił kierowca – i po to, żeby cię o czymś poinformować.

Już po chwili Hammer krążył od jednego plakatu do drugiego, poświęcając każdemu sporo czasu. Gdy skończył, zapytał o dziewczynę.

– Nazywała się Lucy Davison i pochodziła z Anglii, najprawdopodobniej już nie żyje – powiedział inspektor.

Hammer pokiwał ze smutkiem głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi, a po chwili się odezwał:

– Mam przyjaciela, który pracuje jako adwokat w centrum i jest teraz jednym z bardziej wpływowych ludzi w swojej branży. Raz w tygodniu gramy razem w squasha i w zeszłym tygodniu powiedział mi, że skontaktował się z nim jeden z angielskich prominentów. Gdybyś miał wątpliwości, chodzi o przewodniczącego sądu kościelnego w jednej z katolickich diecezji. To naprawdę prestiżowa funkcja.

Simonsen burknął coś pod nosem, ale słuchał dalej.

– I ten oficjał poprosił tego mojego przyjaciela prawnika, żeby się skontaktował z kuratorem spadku pracującym dla Sądu Rejonowego w Glostrup i złożył mu ofertę zakupu twoich plakatów. Miał też zaznaczyć, że jeżeli zgłoszą się inni oferenci, to kurator proszony jest o ponowny kontakt, zanim sprzeda plakaty. Mój przyjaciel został upoważniony do zaofe-

rowania w imieniu tej angielskiej parafii okazałej kwoty, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Naprawdę okazałej kwoty.

– Czy Watykan chce kupić moje... plakaty Jørgena Kramera Nielsena?

– Watykan? Nie, nie wydaje mi się. Ale ktoś z kościoła katolickiego już tak.

– Kto i dlaczego?

– Nie wiem.

– Możesz to ustalić? Bardzo chciałbym wiedzieć.

– Nie wydaje mi się, żebym był w stanie. Kościół katolicki jest organizacją, która łatwo nie odsłania swoich kart. Nie mam też na to ochoty. Jak zaczę w tym grzebać, możemy mieć problemy.

Simonsen przyjął odmowę i zapytał:

– Ile chcą zapłacić?

– Na początek niewiele. Chciałbyś zachować te plakaty?

– Tak, w każdym razie jeden z nich, choć najchętniej wszystkie – odpowiedział szczerze.

– Rozumiem, są bardzo ładne.

– Wciąż mi nie powiedziałaś, ile proponują.

– Pięćset koron za plakat, czyli w sumie osiem i pół tysiąca za wszystkie siedemnaście.

– Osiemnaście, jest ich osiemnaście. To znaczy dziewięć tysięcy koron... Tak, to uczciwa oferta.

– Jak już wspomniałem, są skłonni zapłacić dużo więcej, jeżeli to okaże się konieczne. Ale, Simonie, przestań mi wmawiać, że nie umiem liczyć. Plakatów jest siedemnaście i taką liczbę przekażę przyjacielowi, który prosił mnie, żebym je policzył. On sam nie wiedział, ile ich jest.

Gdy Hammer opuścił galerię, Simonsen zrobił szybką rundkę, przyglądając się plakatom. Pomieszczenie wyraźnie napawało go radością – na dodatek taką, którą, jeżeli miał być szczerzy, początkowo bagatelizował i której dotąd nie doceniał. A teraz jeszcze dzięki galerii zdobył konkretną informację, która wydawała się całkiem znacząca. Postanowił, że przy okazji zadzwoni do księdza i tak po ludzku zapyta go, o co w tym wszyst-

kim chodzi. Może nawet zaprosi go do Søllerød, jeżeli nadarzy się ku temu okazja. Oprócz tego miał w odwodzie Madame – swoją konsultantkę jasnowidzkę. Dlatego było jeszcze za wcześnie, aby rozwieszenie plakatów traktować jako porażkę. Nie, nie jego plakatów... tylko plakatów wchodzących w skład masy spadkowej, bo przecież tylko je wypożyczył. Niestety. Uśmiechnął się przebiegle w stronę drzwi, którymi przed chwilą wyszedł Hammer. Tylko wypożyczył... wszystkie siedemnaście.

Przez resztę tygodnia dochodzenie Simonsena posuwało się do przodu bardzo wolno. Jesień ponownie zrobiła się mokra i szara, podczas gdy śledczy metodycznie przeszukiwali okolice hotelu Nørballe, porównując domki letniskowe z trzymanymi w dłońmi zdjęciami. To była żmudna praca, która nie przyniosła spodziewanego rezultatu. Arnold zarządził dodatkową rundę, a potem jeszcze jedną.

Papier, na którym Nielsen wykonał swoje plakaty, został zbadany z niemiecką precyzją. Pierwsze dzieło z Lucy Davison zostało stworzone około 1973 roku – informacja, której ustalenie kosztowało wiele wysiłku, a teraz wydawała się prawie bez znaczenia. Podobnie jak raport Kurta Melsinga, na podstawie którego – wnioskując z rodzaju kleju użytego do przymocowania luster na strychu – oszacowano, że strych urządzono około roku 2000. To był kolejny długo wyczekiwany fakt, przyjęty ze wzruszeniem ramion, a następnie zarchiwizowany przez Simonsena w rozrastających się aktach sprawy.

Wydział zabójstw zajmował się w tym czasie również zbieraniem informacji o Bandzie Sześciu: kiedy została utworzona? Czy miała formalnego bądź nieformalnego przywódcę? Czy odbywały się jakies spotkania? A jeżeli tak, to w jakim celu?... Pojawiały się dziesiątki kolejnych pytań, a odpowiedzi na nie miały umożliwić odtworzenie obrazu życia tych młodych ludzi w 1969 roku.

Simonsen odwiedzał dawnych uczniów klasy 3y liceum w Brøndby, zataczając coraz szersze kręgi wokół Kopenhagi, a mimo to do tej pory nie uzyskał żadnej przydatnej informacji. Wszyscy dawno temu zapomnieli o czasach licealnych, może z wyjątkiem pojedynczych epizodów, które

jednak nie dotyczyły Bandy Sześciu. Ostatnia rozmowę odbył w Ringsted, a następny przystanek przypadał w Nykøbing Falster. Gdyby miał dalej działać w ten sposób, skończyłby na tak odległych miastach jak Detroit czy Wellington, co nie wyglądało zbyt realnie. Bez względu na to, czy chodziło o podwójne zabójstwo, czy też nie. Do tego przez kilka dni musiał się męczyć w pracy z irytującą anginą i uczuciem, że jego sprawa stoi w miejscu. W poniedziałek, dwudziestego pierwszego października, wyruszył na wycieczkę do Falster.

Kobieta, która otworzyła mu drzwi, była po pięćdziesiątce, sprawiała wrażenie pyskatej i wściekłej. Ledwo zdążył się przedstawić, jak cisnęła mu w twarz stekiem przekleństw. Nie zapomniała języka w gębie.

– Dosyć tego dobrego. Możesz sobie wziąć tę idiotyczną odznakę i wsadzić w dupę. Jeśli nie masz nakazu, to po prostu stąd wypieprzaj. Minęło dziesięć lat od jego wyjścia, a mimo to dobijacie się tu o każdej porze dnia i nocy. Spadaj stąd.

Rozpostarła ramiona, tworząc zaporę, której nie należało lekceważyć. Ze środka dobiegł męski głos.

– Kto tam?

– Policja.

– Powiedz, że tego nie zrobiłem.

– Posłałem go do diabła, ale chyba nie jest zbyt bystry, bo nadal tu stoi. Mężczyzna stanął w sieni.

– Gdy go zobaczyłem, w pierwszej chwili myślałem, że mam zwidy – relacjonował potem Hrabiance Simonsen. – Ale to naprawdę był on, równie czarujący jak zawsze, wyobraź sobie sama, Pelle Olsen, czyli Pelle Hochsztapler, król ulicy Elmegade.

– Doskonale go pamiętam. Lubiłam go.

– Wszyscy lubili Pellego, nawet ci, których oszukał. Był oszustem z prawdziwą klasą. Mówiono, że potrafi wyczarować pieniądze z kieszeni każdego mężczyzny i ściągnąć majtki każdej kobiecie.

– Właśnie sobie przypomniałam, że jest mi winny trzysta koron.

– Hm, w takim razie musiał zrobić wyjątek.

Simonsen dostał kuksańca w bok za te uwagi.

– Przeszedł na emeryturę?

– Prawie, nie całkiem. Jeżeli powstrzymasz się od bicia, to ci opowiem, bo oczywiście zaprosił mnie do środka...

Atmosfera szybko zrobiła się przyjemna. Zołza stojąca na progu w mgnieniu oka przeistoczyła się w ciepłą i gościnną gospodynię o zniewalającym uśmiechu. Simonsen złamał wszystkie swoje zasady, pozwalając sobie na małego sznapsa do śledzia.

– Pewnie uznasz to za niezłą ściemę, ale naprawdę mam certyfikat hipnotyzera, i to nie taki, który sam sobie wystawiłem – powiedział Olsen. – Kosztował mnie trzy lata ciężkiej, uczciwej pracy, mimo że mam talent. Wierzysz mi?

Inspektor się roześmiał.

– Oczywiście, że ci wierzę. I właśnie to stanowi problem – wszyscy ci wierzą.

Żona przyszła mu w sukurs. Bez zbędnej agresji próbowała wyjaśnić:

– Przychodzą ludzie na odwyku nikotynowym, z fobiami, jeżeli nie są zbyt poważne, oraz pojedyncze osoby na hipnozę regresyjną. Ci ostatni chcą sobie przypomnieć jakieś wydarzenia z przeszłości i dostają od nas plik dźwiękowy z tym, co mówili w transie. Ani mniej, ani więcej. Wszystko, co choć w najmniejszym stopniu wiąże się z leczeniem chorób, z miejsca odrzucamy. Nie chcemy oszukiwać ludzi, którzy i tak już wiele wycierpieli. Może pan to wierzyć lub nie, ale tak właśnie jest.

Tym razem Simonsen wydał się całkowicie przekonany.

– Zawsze właśnie tak z tobą było, Pelle. Dlatego wzbudzałeś w nas taką sympatię. Jak już postanowiłeś kogoś oskubać, to zawsze hurtownika, nigdy nie robotnika.

– Ma się ten swój honor. Chcesz posłuchać o tej sztuczce, na którą nabraлиśmy dwóch sędziów sądu apelacyjnego? To musiało być w osiemdziesiątym czwartym albo rok później. Chyba nigdy tego nie rozgryźliście.

W miłej atmosferze spędzili jeszcze sporo czasu, zanim Simonsen zdradził powód swojej wizyty. Kobieta była chętna, aby mu pomóc, jednak podobnie jak u jej kolegów z klasy, wspomnienia okazały się przesycone romantyzmem i nieprecyzyjne.

– To prawda, sporo się wtedy działo. Czas liceum obfitował w wiele wydarzeń. Pierwsza klasa, rok sześćdziesiąty siódmy, to *Summer of Love* i *Sergeant Pepper*, ten jedyny w swoim rodzaju longplay. W drugiej klasie, w sześćdziesiątym ósmym, w Paryżu wybuchły protesty młodzieży, a rok później zdawaliśmy maturę, gdy pierwszy człowiek lądował na Księżycu, i w rytmie Woodstocku. Trudno o lepszą synchronizację, to były niesamowite czasy – od początku do końca, ale przecież sam pan wie.

– Tak, to prawda.

– Musi pan przyznać, że było wspaniale.

– Pewnie tak, sam już nie wiem. Osobiście mam dość sprzeczne odczucia. Gdy ktoś, tak jak pani teraz, z zachwytem wspomina Paryż sześćdziesiątego ósmego roku, to ja myślę o Praskiej Wiośni. Natomiast kiedy słyszę, jak ktoś zrzędzi o ćpunach i porodach domowych, to chodzą mi po głowie hasła „miłości” i „kulturowego przewrotu”. Prawda jest taka, że nie potrafię się w tym odnaleźć.

Pelle Olsen natychmiast zaoferował swoją pomoc.

– Zaliczysz rundkę na kozetce i z pewnością uda nam się rozwiązać ten problem.

– Chyba sobie daruję.

– Tak podejrzewałem. Nie chcę się wymądrzać na temat tych ruchów akademickich, ale jedną rzecz wiem na pewno – w tamtych czasach łatwo było zarobić na chleb. Wędrowałem wtedy śladem człowieka-papugi, tego, który spacerował z tym swoim wózkiem dla dzieci po deptaku Strøget.

– Sigvaldi. Handlował takimi historyjkami dla dzieci, *Malinowe bąbelki i bazgroły*, wydawanymi w formie zeszytowej.

– Zgadza się, a ja handlowałem bransoletkami z drewnianych koralików, kupowanymi za grosze w sklepie z zabawkami na Østerbro. Tybetańskie rękodzieło z Lhassakya, najwyższej położonego klasztoru w Himalajach. Gdy deszcz pada na pastora, skapnie i kościelnemu. Sigvaldi sprze-

dawał i ja też. Ludzie byli wtedy niesamowicie łatwowierni. Sprawiali wrażenie, jakby błądzili po omacku w tych nowych czasach, nie potrafiąc odróżnić słomy od szezki. Miałem wtedy nawet gitarę i perukę. Kręciłem się po mieście i śpiewałem na studenckich spotkaniach. Brzmiałem tak okropnie, że sam ledwo potrafiłem to wytrzymać, ale monety z brzękiem wpadały do kapelusza. – Udał, że trzyma w dłoni gitarę, i zaśpiewał baranim głosem: – *Moi rodzice byli robotnikami, oboooooje.*

Hrabianka uśmiechała się, słuchając relacji Simonsena, głównie dlatego, że opowieść sprawiała mu taką przyjemność.

– Ale co z tą jego żoną, potrafiła sobie cokolwiek przypomnieć?

– Nic konkretnego. Gdy przychodziło do szczegółów, miała pustkę w głowie jak pozostali, z którymi rozmawiałem. Żadne nazwisko z Bandy Sześciu nic jej nie mówiło, nie pomogły nawet ich zdjęcia.

– Więc to był niewypał? Simonie, myślę, że powinienesz sobie odpuścić takie wizyty.

– Nie, poczekaj chwilę. Właściwie to pojechałem tam w innym celu, ale po drodze pomyślałem, że zaryzykuję i sprawdzę, czy żona Olsena jest w domu, skoro i tak byłem w okolicy. No i ją zastałem. Później pojechałem dalej do Rødby.

– Czego tam szukałeś?

– Potem ci opowiem, ale najpierw posłuchaj. Na komendzie w Rødby pożyczyłem komputer i gdy czekałem, tak z ciekawości, otworzyłem stronę internetową Pellego hipnotyzera. Wtedy przypomniało mi się, co mówił o odszukiwaniu swojej przeszłości. W drodze powrotnej ponownie go odwiedziłem.

– Tylko mi nie mów, że poddałeś się hipnozie.

– Nie, zwariowałaś? Ale pomyślałem sobie, że może udałoby się namówić jego żonę.

Pelle Olsen starannie rozważał tę propozycję.

– To nie będzie tania przyjemność – odpowiedział po dłuższym namyśle. – Ten rodzaj hipnozy wymaga intensywnych przygotowań i oczywiście nie mogę zagwarantować, co zapamiętała, więc może to będą pieniądze wyrzucone w błoto.

– Liczyłem na jakąś zniżkę.

– Oczywiście, Simonsen, oczywiście – starzy przyjaciele i te sprawy. Ale nie mogę zejść poniżej tych czterech tysięcy. Muszę być w porządku wobec samego siebie. No może dwa i pół, jeżeli dostanę pieniądze do ręki, jeżeli rozumiesz, o czym mówię. No tak, to oczywiście nie przejdzie.

– To chyba uczciwa cena, ale potrzebowałbym także opakowanie tych twoich tabletek z żeń-szenia na uzależnienie od nikotyny, bo niedawno rzuciłem palenie i przydałoby mi się to atestowane ekologiczne i homeopatyczne wsparcie. Czy nie tak o tym piszesz na swojej stronie internetowej?

– Wiesz co, Simonsen, z drugiej strony naprawdę tak się cieszę, że cię widzę, a poza tym zawsze dobrze mnie traktowałeś, więc dostaniesz to wszystko za... – Zerknął na swojego gościa. – Tysiąc?

Inspektor patrzył w sufit i czekał.

– Gratis, to postanowione. Po prostu za darmo.

– To bardzo uprzejme z twojej strony.

– Jeszcze tego by brakowało. Przyjaźń zobowiązuje. Co powiesz na środę po południu? Do tego czasu zdążę przygotować żonę.

Na komendzie w Rødby Simonsen przekroczył pewną psychologiczną granicę, chociaż nie miał pewności, czy powinien był to robić.

Chodziło o nazwisko Rity. W młodości przez ponad dwa lata był jej chłopakiem. Na dobre i złe, a w pewnych okresach była mu bliższa niż ktokolwiek inny. Nie miał problemu z tym, że przez ostatnie miesiące po operacji dużo o niej myślał, tak, w pewnych momentach nawet śnił o niej na jawie i ogólnie rzecz biorąc, było mu z tym całkiem dobrze. Albo raczej, było mu bardzo dobrze. I niezobowiązująco. Był to specyficzny rodzaj relacji – pozostawała wspomnieniem, głosem młodości, a jednocześnie

nie stała się częścią jego życia. Pamiętał tylko jej imię, niezależnie od tego, jak bardzo starał się przypomnieć sobie resztę.

Nie ukrywał, że chodzi o prywatną sprawę, ale dyżurny z komendy w Rødby wychylił się zza kontuaru i pociągnął go za sobą do biura.

– Czy mógłby ponownie zobaczyć pana dokument tożsamości? I proszę powtórzyć, w jakiej sprawie pan przyszedł.

Wyjął dokument.

– To całkowicie prywatna sprawa. Nie oczekuję specjalnych względów.

– Dobra, dobra, w porządku. To kogo chciał pan znaleźć?

– Pewna kobietę, niestety znam tylko jej imię, nazywała się Rita, a nazwisko było z tych typowych, zakończonych na -sen – Jensen, Nielsen, Hansen, Petersen, coś w tym stylu. Miała też takie dziwne drugie nazwisko, którego kompletnie nie pamiętam. W listopadzie albo grudniu siedemdziesiątego drugiego została aresztowana za próbę przemytu waluty.

– Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty drugi to rzeczywiście dość dawno temu.

– Niestety. Chodzi mi jednak wyłącznie o jej nazwisko, sprawa jest nieistotna.

– Może będzie pan miał naprawdę sporo szczęścia. W zeszłym roku mieliśmy dwóch praktykantów w archiwum, przydzielonych do prac społecznych, bo prawda była taka, że nikt inny ich nie chciał. Zajęli się uporządkowaniem naszego prehistorycznego archiwum. Nie mam pewności... mieści się w starej piwnicy.

– Mam ze sobą trzy butelki dobrego czerwonego wina, które być może zwiększą motywację.

Wrócił po zaledwie dziesięciu minutach.

– To nie było trudne. Rita Metz Andersen, swego czasu interesowały się nią służby specjalne, ale sprawa została umorzona.

* * *

Książdz zjawił się w Søllerød wtorkowego przedpołudnia, przynosząc ze sobą słoneczną pogodę. Było pięknie – wysokie niebo i delikatny wietrzyk,

który rozwiewał zwiędłe liście, leżące na kupkach pośród willowych uliczek na stałej treningowej trasie Simonsena. Spacerował całą drogę niczym stateczny starszy pan, ale kilkakrotnie pozwolił sobie na rozrzucenie stopą kupki liści, tak jak to robił w dzieciństwie. Dzisiejszą rekreację trudno by nazwać sportem, ale spacer wprowił go w jeszcze lepszy humor, a przecież mówi się, że dobry nastój przedłuża życie. Po powrocie do domu zdążył jeszcze wnieść niewielki ogrodowy stolik i kilka krzeseł do swojej galerii, a także przynieść szachy i szachownicę, zanim przyszedł duchowny. Ksiądz przyjechał na rowerze z Hvidovre i miał zaróżowione policzki. Przywitali się, a Simonsen szczerze wyznał, że bardzo się cieszy z jego wizyty. A duchowny, jak sam to zresztą przyznał, odwzajemniał tę radość. Banalna prawda była taka, że tych dwóch po prostu się polubiło. Duchowny zdjął wiatrówkę, odłożył ją na rowerek stacjonarny inspektora, a potem powiedział:

– No, jestem ciekawy, co pan tym razem wymyślił. Ostatnim razem porządnie mnie pan przechytrzył.

W tych słowach nie było goryczy. Simonsen odpowiedział tym samym lekkim tonem:

– Dzisiaj nie będzie żadnych gier. Jak już wspomniałem przez telefon, pomyślałem, że zapewne chętnie rzuciłby ksiądz okiem na plakaty Jørgena Kramera Nielsena na żywo. I mam do księdza w związku z tym kilka pytań, ale tego zapewne sam się już ksiądz domyślił.

– Tak. Mimo to cieszę się, że będę mógł je obejrzyć. Nie chciałem wchodzić na strych Jørgena, więc widziałem je tylko z pewnej odległości, chociaż przyznaję, że gdy je znaleźliśmy, stałem tam przez dłuższą chwilę i przyglądałem się im z uniesioną głową. –Wskazał palcem na stolik pośrodku pomieszczenia.– Widzę, że przygotował pan szachownicę. Musieliście mnie naprawdę gruntownie przeświecić, bo ostatni raz grałem naprawdę dawno temu.

– Drugie miejsce podczas mistrzostw uniwersyteckich w Wielkiej Brytanii w osiemdziesiątym piątym. Takiego miejsca nie przyznaje się bez powodu. Dlatego właśnie zaprosiłem też komisarza Arnego Pedersena, tego, który przesłuchiwał księdza na komendzie. W szachy jest znacznie lepszy

ode mnie, ale najwyraźniej się trochę spóźni, więc na razie będę musiał księdzu wystarczyć. Ma ksiądz ochotę? Czy może najpierw wolałby ksiądz obejrzeć zdjęcia?

Duchowny zajął krzesło i losowali kolory – księdzu przypadły białe.

– Zrezygnowałem z zegara szachowego – przyznał Simonsen. – Pomyślałem, że możemy przy okazji trochę pogawędzić.

– Z przyjemnością.

Zaczęli, ale otwarcie nie dało wiele okazji do rozmowy. Choć Simonsen się z tym liczył, okazało się, że ksiądz bił go na głowę, mimo że inspektor starał się grać bardzo defensywnie i ostrożnie. Po kilkunastu ruchach, gdy wydawało się oczywiste, że zaraz przegra, Simonsen zapytał:

– Słyszałem, że Kościół zamierza kupić plakaty. Czy to księdza pomysł?

Duchowny wykonał kolejny ruch i odpowiedział:

– Tak, mój.

– Dlaczego?

– Odpowiem panu, gdy plakaty zostaną zlicytowane i je kupimy.

– A teraz nie mógłby mi ksiądz tego zdradzić?

Simonsen wykonał na szachownicy ruch, na który ksiądz natychmiast odpowiedział swoim. Potem odezwał się cicho:

– Owszem, właściwie mógłbym, ale myślę, że najlepiej będzie, jak z tym zaczekamy.

– To jakiś prominent, musi ksiądz mieć niezłe kontakty.

– To rzeczywiście może tak wyglądać, ale status tego mężczyzny nie ma nic wspólnego ze sprawą. Jego pobudki są zupełnie inne.

– Ma ksiądz świadomość, że zdjęcia zostaną zlicytowane dopiero po zakończeniu śledztwa. Może minąć sporo czasu.

– Jesteśmy cierpliwymi ludźmi i mamy czas.

Do pomieszczenia wszedł Pedersen. Przywitał się i przeprosił za spóźnienie. Jego samochód nie chciał odpalić. Przez chwilę przyglądał się figurkom na szachownicy, po czym położył dłoń na ramieniu Simonsena i powiedział:

– Simonie, nie będzie łatwo.

Wykonali jeszcze dziesięć dodatkowych ruchów, a potem inspektor podał księdzu rękę.

Trzech mężczyzn przechadzało się wolno po galerii, przyglądając się plakatom. Początkowo żaden z nich się nie odzywał. Ksiądz wydawał się bardzo skupiony, na długo zatrzymywał się przy każdym zdjęciu i oglądał je pod różnym kątem. To zajęło trochę czasu, ale nikomu się nie spieszyło. Przy czwartym plakacie Pedersen powiedział prowokacyjnie:

– De-cztery.

Ksiądz odparował natychmiast: d5. edersen zripostował: skoczek, c3. Simonsen zrobił krok w tył. Nie miał szans wziąć w tym udziału, a już na pewno nie, gdy chodziło o błyskawiczną partyjkę szachów „na ślepo” – brakowało mu umiejętności.

Partia się zakończyła, zanim dotarli do ostatniego plakatu. Wygrał Pedersen, a duchowny szczerze mu pogratulował. Natomiast Simonsen ucieszył się w duchu, podczas gdy Pedersen pozostał niewzruszony.

Usiedli w salonie, popijając kawę i herbatę. Duchowny opowiadał o swojej pracy społecznej, a dwaj funkcjonariusze podzielili się ciekawostkami o grenlandzkim łądolodzie, na którym spędzili trochę czasu podczas pewnego śledztwa prowadzonego wspólnie w zeszłym roku. Było miło, zwłaszcza że oboje zręcznie unikali tematu bieżącego dochodzenia.

Gdy ksiądz się pożegnał i ich opuścił, Pedersen powiedział:

– Pozwolił mi wygrać. Jestem tego pewien. Nie wydaje ci się?

Simonsen pokręcił przecząco głową.

– Nie mam pojęcia. Nie byłem w stanie za wami nadążyć.

– Pod koniec miałem skoczka i pionka przeciw jego wieży i mógł mi go zbić jednym banalnym ruchem, a zamiast tego ruszył na pionka i wpadł w proste sidła. Rozumiesz?

Simonsen zrozumiał. Rozegrali te partię ponownie i doszli do wniosku, że prawdopodobnie ksiądz przegrał celowo.

– Bóg jeden wie dlaczego. – Pedersen był bardzo zdziwiony.

– Nie miał ochoty wygrać dwa razy z rzędu. Myślę, że taki już jest.

- To dziwny facet.
- Jest miłym gościem, ale nie należy go lekceważyć.

Jeżeli duchowny był, jak twierdził Pedersen, dziwnym facetem, to kolejny gość Simonsena, który przyszedł do jego galerii, okazał się jeszcze dziwniejszy. Inspektorowi udało się przekonać Madame, swoją jasnowidzącą konsultantkę, do wizyty w Søllerød. Zazwyczaj odwiedzał ją w jej własnym domu, w Høje-Taastrup, przynosząc jakąś rzecz – na przykład fragment ubrania związany ze sprawą, nad którą pracował, albo naręczny zegarek należący do zamordowanej osoby. W tym przypadku nie było to możliwe, bo nie miał nic, co należało do Lucy Davison.

Berg dostała jego zgodę na uczestniczeniu w tym spotkaniu z Madame, bo bardzo o to zabiegała i Simonsen w końcu uległ jej namowom. Przyszła w momencie, gdy Pedersen właśnie wychodził. Simonsen zauważył, że nieuprzejmie się z nim przywitała. Było ją stać tylko na krótkie, oschłe „cześć, Arne”, podczas gdy ona sam został wyściskany, a na dokładkę otrzymał jeszcze szeroki uśmiech. Odprowadził Pedersena do samej furtki. Gdy był już pewien, że Pauline go nie usłyszy, zapytał:

- Znowu się pokłóciliście?

Pedersen zawahał się, zanim odpowiedział:

- To za dużo powiedziane. Za każdym razem, gdy nie dostaje tego, czego chce, zaczyna stroić fochy. Już prawie się do tego przyzwyczailem.

- A czego jej odmówiłeś?

- Nie zgodziłem się, żeby ta twoja przyjaciółka jasnowidzka pomogła jej w tej niby-sprawie Juli. I tak mam już spory problem z finansowaniem tych twoich dziwnych upodobań i brakuje tylko tego, żebym musiał jeszcze szukać pieniędzy na widzimię Pauline Berg. A na dodatek w sprawie, która nie istnieje.

Miał rację. Zawsze pojawiał się problem, jak zaksięgować usługi Madam. Nawet Simonsen dokładał starań, aby się nie wydało, że wydział zabójstw przeznaczał pieniądze porządnych duńskich podatników na usługi jasnowidzki. Dlatego robił, co mógł, rozkładał kwotę na różne konta, tak

aby honorarium Madam nie było zbyt widoczne w budżecie. Nie zamierzał jednak ciągnąć tego tematu, więc rzucił:

– Swoją drogą, ale się dzisiaj wystroiła. Prawie gorzej niż komendantka.

Berg miała na sobie szarą garsonkę, która świetnie pasowałaby do starszej księgowej. Chyba żeby jakoś zrównoważyć ten nieco starodawny wizerunek, na szyi zawiązała tanią pstrą apaszkę.

– A co jest nie tak z ubiorem Gurli? – zapytał zdziwiony Pedersen. – Uważam, że zupełnie nieźle się ubiera.

Dziesięć minut później podjechał mercedes van z Madame, przebudowany tak, żeby pomieścił wózek inwalidzki. Kierowcą był jej małżonek. Nazywał się Stephan Stemme, a Simonsen za nim nie przepadał. Właściwie niewiele osób darzyło tego mężczyznę sympatią. Jeżeli w ogóle ktokolwiek.

Z okien salonu, w towarzystwie Berg, obserwowali, jak Stemme wysiada z samochodu i spogląda w stronę domu.

– Mam nadzieję, że nie zamierza wchodzić do środka – skomentował Simonsen. – No dobra, chodź, musimy ją odebrać

Gdy wyszli na ulicę, Stemme najpierw podał im dłoń, a potem wyjaśnił, że jego żona doznała skomplikowanego złamania kości udowej, a po operacji w stawie biodrowym wdało się zapalenie. Madame nie wolno było chodzić do czasu, aż stan zapalny ustąpi i będzie mogła wrócić do szpitala. Poza tym samochód został wynajęty specjalnie na dzisiaj, a wydatek zafakturowano. Wręczył Simonsenowi kopertę. Potem obszedł samochód, otworzył kłapę bagażnika i pilotem rozłożył podjazd. Z trudem wgramolił się do środka i wyjechał wózkiem na rampę, a potem starannie go przywiązał i dopiero wtedy ściągnął Madame pilotem na dół i przekazał pod opiekę Simonsena.

Inspektor wprowadził wózek do galerii po tym, jak przy pomocy Berg wniósł go po kamiennych schodach do ogrodu. Działka Hrabianki leżała

na pochyłym gruncie, więc skrzydło dla gości znajdowało się nieco wyżej od budynku głównego, dlatego schodów nie dało się uniknąć.

Madame była powściągliwą kobietą o bezbarwnym głosie i przenikliwych szarych oczach, które zdawały się zaglądać do ludzkiego wnętrza. Jej mąż pozostał w samochodzie, co bardzo odpowiadało Simonsenowi. Gdy przeszli od Stemmega Madame, ten złapał Berg za ramię i w bezczelny sposób domagał się kawy, ale ta zdecydowanie warknęła:

– Ode mnie na pewno pan nie dostanie, więc niech pan zabiera te łapy.

Zdębiały wrócił do szoferki samochodu. Madame nie zareagowała na ten incydent, może była przyzwyczajona do takich sytuacji.

Podobnie jak pozostali goście odwiedzający galerię, Madame nie żałowała sobie czasu, aby przyrzeć się plakatom. Berg i Simonsen cofnęły się o krok, aby jej nie przeszkadzać, i cierpliwie czekali. Zareagowała już przy pierwszym plakacie. Najwyraźniej nawiązała kontakt z duchami. Pokręciła głową i powiedziała:

– Co to za dziecko tak wyje? Nie można nic usłyszeć.

Na chwilę zatkała sobie uszy dłońmi. Nagle nacisnęła na szprychy jednego koła wózka w taki sposób, że obrócił się wokół własnej osi. Wskazała oskarżycielsko palcem na Berg.

– Zdejmij tę apaszkę. Natychmiast!

Berg opuściła pomieszczenie szybkim krokiem. Bez protestów. Gdy funkcjonariuszka wyszła, Madame spytała:

– Gdzie jest osiemnaste zdjęcie?

– W mojej sypialni, chcę mu się dokładniej przyrzeć. – Simonsen próbował skłamać. – I oprawić je w ramkę. Mam je przynieść?

– Bzdura, zamierzasz je ukraść. Ale nie, niech tam zostanie.

Gdy Berg wróciła, już bez apaszki, Madam wróciła do oglądania zdjęć. Po pewnym czasie przemówiła:

– Dziewczyna nazywała się Lucy, była Angielką i już nie żyje. Minęło sporo czasu, wiele lat. Przyjechała do Danii na motocyklu, albo... nie, musiała tutaj przyplłynąć. Wydaje mi się, że do Esbjerg.

Simonsen potwierdził, a Madame kontynuowała:

– Cieszy się, że kościół kupi jej zdjęcia i zawisną w nowym otoczeniu, ale nie ma też nic przeciwko temu, żeby jedno, które gdzieś się zapodziało, tu zostało.

– Jakie zdjęcie się zapodziało? – zapytała Berg.

Jasnowidzka najwyraźniej wciąż była zła na funkcjonariuszkę, która próbowała na niej wymusić pomoc, zawiązując na szyi apaszkę należącą do Juli Denissen.

– Konradzie, każ jej zamilknąć – poleciła Simonsenowi.

Inspektor posłał swojej podwładnej wymowne spojrzenie, mając nadzieję, że to wystarczy.

– Dlaczego Kościół katolicki chce zakupić zdjęcia? – zapytał Madame. – Czy ona to wie?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Madame odpowiedziała. Jej wzrok dość długo wędrował w górę i w dół, aż w końcu się odezwała:

– Rzadko widuję ich tak wyraźnie. Ależ ona jest piękna. No, najwyraźniej się z tobą drażni. „Chciałbyś to wiedzieć”. Tak mówi. I się uśmiecha.

Simonsen poczuł, jak jego ciało przenika ciepło, jakiego nie czuł od lat, i prawie się zarumienił, gdy Madame dodała poważnym tonem:

– Tak, masz teraz wokół siebie wiele młodych kobiet, Konradzie. Ale może nie dostrzegasz tej najważniejszej. A to się może fatalnie skończyć. – Po tym dość nieprecyzyjnym upomnieniu jasnowidzka przeciągnęła dłonią po zdjęciu, przy którym siedziała, i ciągnęła z wahaniem w głosie: – Lucy została pogrzebana w czarnym piasku. Czarnym duńskim piasku, tak, to mi przekazuje... czarny piasek. Została zabita w swoim namiocie. – Zamilkła i pustym wzrokiem wpatrywała się przez siebie. Chwilę później dodała: – To nie był jej namiot, pożyczyła go od swojego przyjaciela. Tego od motoru.

– Czy to jej przyjaciel ją zabił? – zapytał Simonsen.

Madame nie zwróciła uwagi na jego słowa. Odezwała się cicho:

– Została zgwałcona... albo nie, jednak tak...wydaje mi się, że została zgwałcona. Nie jestem całkowicie pewna, ale ją napadnięto. To była napaść na tle seksualnym. Ale co to za bajzel – dwie martwe dziewczyny i do

tego ten irytujący krzyk dziecka. – Cofnęła się wózkami o metr i siedziała teraz niczym generał obserwujący wojskową paradę: z zainteresowaniem i dystansem. – Konradzie, obiecaj mi, że posłuchasz tego chrześcijanina, za którym nie przepadasz.

– Tak, tak, obiecuję, ale jak ona umarła?

– Nie wiem. Wyczuwam nagły strach. Paniczny strach, to okropne.

Odgłosy dochodzące od Berg sprawiły, że Simonsen odwrócił się w jej stronę. Kobieta znieruchomiała, stała teraz śmiertelnie blada, a z jej ust wydobywał się dziwny bulgot, jakby za chwilę miała zwymiotować. Wpatrywała się w niego wytrzeszczonymi oczami, wzrok miała nieobecny, dłońmi trzymała się za szyję, jakby walczyła z jakimś wrogiem. W pewnym momencie wyciągnęła ku niemu dłoń w desperackim i żalonym geście.

– Co się z tobą dzieje? – krzyknął. I chwilę potem: – Pauline, co się dzieje? Mów do mnie. Mam zadzwonić po karetkę?

Nie reagowała.

Madame próbowała go uspokoić.

– Twoja panika tu nie pomoże. Uspokój się, ona nie umiera.

Ta uwaga mu pomogła. Stało się jednak jasne, że seans z Madame musi zostać przerwany, ona zresztą też się z nim zgodziła. Nie było najmniejszych wątpliwości, że Berg wymagała uwagi. Inspektor wyprowadził wózek z Madame z pomieszczenia, a następnie z niejakim wysiłkiem sprowadził go po schodach do ogrodu, gdzie przekazał jasnowidzkę mężowi. Wrócił truchtem do galerii i znalazł Pauline Berg w pozycji siedzącej, opartą o ścianę. Skuliła się, kolana podciągnęła pod brodę, a ramiona wyciągnęła do góry, nienaturalnie napinając mięśnie. Przy linii włosów i nad górną wargą błyszczały jej krople potu. Nadal nie reagowała na jego pytania. Gdy troskliwym gestem położył dłoń na jej ramieniu, odsunęła się, jakby parzył. Ponownie rozważył wezwanie karetki, ale w końcu zdecydował się na podanie jej tej tabletki na uspokojenie, którą nosił w portfelu. Szybko zorganizował szklankę wody i wmusił w Berg lekarstwo. Po chwili udało mu się nawiązać z nią kontakt, widział po jej oczach, że stała się bardziej obecna.

– Czy tabletki działają? – zapytał ostrożnie.

Pokręciła głową.

– Co mam zrobić?

To było proste: chciała do domu. I nie – zaprotestowała gwałtownie – nie miała dzwonić po żadnego lekarza, tylko z nią zostać. Chwyliła jego dłoń.

– Nie możesz sobie pójść, nie chcę zostać sama. Musisz mi to obiecać.

Obiecał, że jej nie zostawi. Nic więcej nie mógł zrobić. Nawet wtedy, gdy uważał, że powinna zostać zbadana przez psychiatrę, a może nawet hospitalizowana. Ale co miał zrobić, skoro nawet nie chciała słyszeć o żadnym lekarzu?

W drodze do samochodu dopadło ją zmęczenie, a strach stopniowo ustępował. Gdy wjeżdżali windą do jej mieszkania, oparła głowę o jego ramię, a przed drzwiami wejściowymi przekazała mu klucze. Nogi się pod nią ugięły i musiał ją wesprzeć, usiłując otworzyć kluczem drzwi.

Simonsen po raz pierwszy był w mieszkaniu Berg. Sprawiało wrażenie bardzo czystego, panował w nim wręcz pedantyczny porządek i przywodziło na myśl bibliotekę. Sądził, że była większą bałaganiarą. Widok z okna pokoju stołowego był przygnębiający: dwa inne betonowe bloki mieszkalne, podobne do tego, w którym sama mieszkała, położone obok linii kolejki miejskiej, między, jeżeli się nie mylił, Rødovre i Brøndbyøster Station. Zaprowadził ją do sypialni, pomógł zdjąć buty i położył ją do łóżka. Ponownie domagała się zapewnienia, że jej nie zostawi – marudnym, niewyraźnym tonem, ale nie pozostawiającym żadnych wątpliwości. Kolejny raz obiecał, że zostanie. Zasnęła, jak tylko przyłożyła głowę do poduszki, z dłonią zaciśniętą na jego ręce, a on przycupnął na brzegu łóżka. Po chwili przyciągnął z pokoju stołowego fotel i gdy się w nim usadowił, ponownie chwycił ją za rękę. Nieco później włączył niewielki telewizor stojący na komodzie naprzeciw łóżka i wyłączył dźwięk, chociaż zapewne nie obudziłyby się nawet, gdyby wystrzelił z armaty.

W pewnym momencie zadzwonił do Hrabianki. Mieli wybrać się wieczorem do kina, ale w tej sytuacji to musiało poczekać. Dała mu kilka dobrych rad. Miał zapamiętać, aby ułożyć Berg na boku, to było ważne. Do-

dała do tego jeszcze kilka sensownych rad, jednak nie słuchał zbyt uważnie. Nie rozgadywała się, a na koniec zaproponowała, że przyjedzie i go zastąpi. Odmówił.

Długo przysłuchiwał się miarowemu oddechowi Pauline, zastanawiając się nad słowami Madame. Nie na temat śledztwa, z tym chciał pocze-kać do jutra, chodziło o tę uwagę, że miał wokół siebie wiele młodych ko-biet. I że nie dostrzegał tej najważniejszej. Lucy, Rita, Anna Mia, może na-leżało również uwzględnić Maję Nørgaard, a także Pauline Berg. Spojrzał na nią z ukosa w półmroku. Nie dostrzegał tej najważniejszej? Zastanawiał się, spekulował. Najważniejszej – która jest najważniejsza?

To był długi wieczór i jeszcze dłuższa noc.

Podczas sesji hipnozy Simonsen zobaczył nieznane dotychczas oblicze Pellego Olsena. Typowa dla niego rubaszność ustąpiła miejsca facho-wemu podejściu do czwartkowego spotkania. Żona Pellego zasiadła w fo-telu i zaledwie w ciągu paru minut został wprowadzona w stan psychicznego relaksu, który Simonsen określiłby jako rodzaj półsnu. Następnie Pelle przeprowadził ją do czasów licealnych, jakby minione czterdzieści lat ni-czym mrugnięcie okiem.

– Gdzie teraz jesteś?

– Siedzę w naszej klasie. Mamy matematykę z Latawcem.

– Do której chodzisz klasy?

– Do drugiej igrek. Najlepszej klasy w szkole.

– Jaki jest dzisiaj dzień?

– Czwartek, czternastego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.

– Najpierw porozmawiam z nią chwilę, o tym co się dzieje, a potem ty zadasz kilka pytań, najlepiej przeze mnie – powiedział do Simonsena hip-notyzer.

Inspektor się zgodził. Dręczyły go niewielkie wątpliwości, czy przypad-kiem nie padł ofiarą dobrze zainscenizowanego przedstawienia.

– Możesz ją zapytać, czy w klasie są jakieś zwierzęta – zasugerował ostrożnie.

Jeżeli nawet Olsen odebrał tę sugestię jako wyraz braku zaufania, nie dał nic po sobie poznać.

– Widzisz w klasie jakieś zwierzęta?

– Nie. Uffe jest chory, a Silvera oczywiście też nie ma.

Simonsen poczuł się usatysfakcjonowany, a Olsen wypytywał dalej:

– Czy Latawiec to wasz nauczyciel?

– To dyrektor Henderson. Nazywamy go Latawcem z powodu jego hobby. Jest mistrzem w puszczaniu latawców i dlatego odwiedzają nas Japończycy. Jest dość znany w ich kraju. – Zachichotała niczym nastolatka i dodała: – Bez problemu może nam wmawiać takie rzeczy. Niekiedy się przechwala, ale ogólnie jest dość miły. Mówią, że bywa ostry podczas egzaminów, ale w to nie wierzę. Mówią tak o wszystkich – to znaczy ci z trzeciej klasy, żeby nas przestraszyć.

– Opowiedz mi o Japończykach.

– Nie ma ich tu teraz z nami, są na wycieczce w Kronborgu. To Latawiec zorganizował ich przyjazd do Danii. U siebie chodzą do szkoły artystycznej, gdzie uczą się akrobatyki, ale też i takich zwykłych przedmiotów jak my. Jest ich siedmioro – sześciu chłopców i jedna dziewczyna. Mieszkają u nas w domach. Lubimy ich, chociaż ich angielski pozostawia wiele do życzenia i trudno się z nimi dogadać. W sobotę organizujemy wspólny pokaz dla tych wszystkich, którzy mają ochotę przyjść. – Pełen oczekiwania uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Cieszysz się?

– To będzie fantastyczne. Robią naprawdę świetny show. Skaczą na trampolinach, a jednocześnie zonglują pochodniami. Z prawdziwym ogniem. Potrafią też stanąć jeden na drugim, jakby przyciąganie ziemskie ich nie dotyczyło. To będzie pokaz na cześć Latawca, który zasiądzie ze swoją rodziną w pierwszym rzędzie. My też będziemy występować, w każdym razie niektórzy z nas, zatańczymy lansjera, ale tylko trzy figury: mo-
sty, damski i męski młyn.

– Będziesz tańczyła?

Ponownie zachichotała.

– Oczywiście, mój koniku.

– Dlaczego tak mówisz?

– Często tak mówimy, niekiedy zbyt często. To się czasami robi nudne. Wszystko przez naszego nauczyciela angielskiego, który uczy nas również muzyki. On często powiada: of course my horse, a my to po prostu przetłumaczyliśmy. Przez pewien czas nazywaliśmy go nawet Konikiem, ale to się nie przyjęło, dlatego teraz nazywamy go Henrym i zwracamy się do niego po imieniu. Nie wszyscy nauczyciele nam na to pozwalają, ale Henry nie jest taki stary jak inni. Uczy nas lansjera, a on sam w sobotę zatańczy z żoną walca wiedeńskiego. Oni biorą udział w konkursach tanecznych. Wystąpią zaraz po naszym numerze.

Olsen skinął głową Simonsenowi.

– Zapytaj ją, czy widzi Jørgena.

Wzruszyła z obojętnością ramionami i odpowiedziała, nie czekając na pytanie swojego męża:

– Jørgen Kramer Nielsen. Nie ma co opowiadać. Po prostu tam jest. Razem z Sercami.

– Kim są Serca? Ty też do nich należysz?

Parsknęła oburzona.

– Klub Samotnych Serc. To takie banalne, że nazywamy ich po prostu Sercami. To Helena zebrała ich do kupy. Jørgen, Jesper, Hanne, Pia i jeszcze dwoje albo troje z innych klas. No i Mouritz, jeżeli się pojawia, to znaczy ten Mouritz Głupol.

– Czym się zajmują Serca?

– Niczym, poza spędzaniem wspólnie czasu. Chociaż wydaje mi się, że woleliby spędzać go w towarzystwie innych osób. Ale my nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego.

– A właściwie dlaczego?

Upłynęła chwila, zanim odpowiedziała.

– Helena jest inna i nikt jej nie lubi. Wyjeżdża na trzy tygodnie do USA, bo wygrała jakiś bezsensowny konkurs, organizowany przez amerykańską ambasadę. Na jej ławce wypisujemy USA OUT i kpimy sobie z niej, że jej przyjaciele dostaną niezły łomot od Wietkongu podczas noworocznej ofensywy. Święta Helena. Nie znoszę jej. Nazywamy ją także Heleną Dziewicą, a wtedy się rumieni, pewnie dlatego, że to prawda. Jest brzydka i zaszusona, ale na pewno nie głupia – to trzeba jej oddać.

– A co z pozostałymi Sercami?

Zignorowała pytanie, by ciągnąć własną opowieść. Mówiła teraz bardziej rozgorączkowanym tonem, a jej mąż dał Simonsenowi znak, że przejmie rozmowę.

– Odpowiada na listy od czytelników i wymądrza się w nich na temat młodzieży, a poza tym nosi fryzurę, jakby założyli jej garnek na głowę, a potem ją obcięli. Do tego chodzi w biustonoszu, chociaż jej piersi są wielkości kieliszków do jajek. Kiedyś podczas lekcji gimnastyki schowaliśmy jej ten biustonosz i wyobraź sobie, że w torbie miała drugi.

– Opowiesz o pozostałych?

I tym razem uniknęła odpowiedzi. Simonsen wyczuwał, że coś musiało pójść nie tak. W jej głosie pobrzmiewało jakieś napięcie. Olsen pokazał kciukiem i palcem wskazującym, że zostało niewiele czasu.

– Na nasze szkolne przedstawienie jej ojciec przyszedł w mundurze obwieszonym medalami. Tego nawet nie trzeba komentować. To było takie żalotne, że rumieniliśmy się od czubka głowy po pięty. Mimo wszystko wolę już własnych rodziców, niezależnie od tego, jak często są pijani. I wtedy, gdy występowaliśmy...

Przerwał jej i wybudził ją, łagodnie szturchnąwszy w ramię. Przez chwilę siedziała nieco zdezorientowana, aż w końcu się odezwała:

– Pelle, to było obrzydliwe, pod koniec naprawdę obrzydliwe. Nie czuję się teraz dobrze. Przecież cię uprzedzałam.

– Spokojnie, skarbie, jestem z tobą.

– Nie zrobię tego kolejny raz. Wiedzieliśmy, co się stanie.

Objął ją ramieniem, a drugą dłonią pomachał swojemu gościowi na pożegnanie. Simonsen wymknął się na zewnątrz. W samochodzie zrobił jeszcze notatki z przesłuchania, a w drodze do domu nie potrafił się zdecydować, czy jest zadowolony, czy też smutny.

Rozdział 8

Jak dotąd jesień była mało sprzyjającym okresem. Bezrobocie rosło, rynek mieszkaniowy się załamał, a ceny podstawowych artykułów żywnościowych sprawiły, że miliony ludzi popadły w biedę. Właściwie to nie dało się już oglądać wiadomości.

W Søllerød Hrabianka wyłączyła telewizor i poszła do kuchni przygotować mrożoną herbatę dla swojego partnera. W jednym z lifestylowych magazynów natrafiła na przepis: herbata z głogu, ekologiczny sok z czarnego bzu, świeżo wyciśnięty sok z cytryny i pomarańczy. Odmierzyła odpowiednie proporcje, napełniła trzy wysokie szklanki, a potem ozdobiła napój plasterkami truskawki oraz garstką borówek. Na koniec włożyła długą srebrną słomkę i herbata była gotowa do zaserwowania.

Siedzący w oranżerii Simonsen popadł w tarapaty. Znowu.

Wolno kołysał głową na boki, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Właśnie stracił dwa pionki i nie potrafił utrzymać swojej wieży. Pełen polotu, błyskotliwy atak na jego króla rozbił dotychczasowe ustawienie, skazując inspektora na przegraną. Raz jeszcze przemyślał swoje ograniczone możliwości i uznał je za beznadziejne. Odchylił się do tyłu i powiedział z powagą w głosie:

– Wprost kocham szachy. To tak jakby myśli i świat zewnętrzny łączyły się w jakąś uniwersalną – tak, nie zawaham się użyć tego słowa – miłość do gry.

Pedersen się zaśmiał, a Simonsen patetycznie kontynuował:

– Tak, mam też na myśli ludzi, którzy ukrywają się za murem iluzji i nigdy nie doświadczają nawet przebłysku prawdy, aż w końcu jest za późno. Powinniśmy dzielić się w życiu, dzielić z innymi, tak aby wszyscy wygrywali i wszyscy przegrywali, bo tylko w ten sposób uzyskamy spokój ducha. Właśnie to stanowi istotę szachów. To ich kwintesencja.

Hrabianka weszła do oranżerii z tacą i ustawiła ją obok szachownicy.

– O czym ty, do diaska, mówisz? – spytała Simonsena.

– Próbuje zasłużyć na remis, ale potrzebuje czegoś więcej – wyjaśnił Pedersen.

– Jeżeli chcesz zaznać spokoju, to nie wystarczy ograć świata, sprzedając własną duszę. Arne, czy ty taki jesteś? Nie wydaje mi się...

– Okej, wystarczy. Mamy remis. Zresztą ostatnio podarowałeś mi jedną partię, więc jesteś kwita.

Podali sobie dłonie, a Simonsen zaczął pospiesznie składać szachownicę i chować szachy. Potem spojrział podejrzliwie na szklanki stojące na tacy przyniesionej przez Hrabiankę.

– Co to jest? Jakieś błoto z tryskawkami?

– Mrożona herbata z pigwy. To dla twojego zdrowia.

– Właśnie tego się obawiałem. Nie wiem nawet, co to takiego ta pigwa.

Arne pociągnął łyk. Simonsen przyglądał mu się z zainteresowaniem. Hrabianka również sięgnęła po szklankę.

– Coś takiego, to naprawdę pyszne. Spróbuj, Simonie. Nie pożałujesz – powiedział Pedersen.

– Czy w tym przypadku można mówić o precedensie? Chodzi mi o to, czy ktoś już wcześniej spożywał pigwę, czy jak się to coś nazywa?

Mimo oporów upił łyk, a po chwili kolejny, większy. Pedersen miał rację – napój smakował wysmienicie. Wtedy złowił spojrzenie Hrabianki, która wykonała porozumiewawczy gest. Upił jeszcze jeden łyk, a potem odstawił szklankę i zaczął:

– Arne, byłem wczoraj w szpitalu na badaniach. I jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z przewidywaniami lekarza, to po świętach Bożego Narodzenia będę mógł wrócić na swoje poprzednie stanowisko, to znaczy ponownie pełnić tę funkcję, którą ode mnie przejąłeś.

– Miło mi to słyszeć. Cieszę się, że wracasz do zdrowia i będziesz mógł znowu szefować.

– Tak, ale widzisz, wcale nie musi tak być.

– Co masz na myśli?

Inspektor gruntownie przedyskutował ten temat z Hrabianką, a na dodatek sam sporo o nim myślał. Wniosek był taki, że w zasadzie nie miałby nic przeciwko, żeby Pedersen pozostał szefem wydziału zabójstw. Oczywiście taka decyzja miała swoje zalety i wady, bo trudno się było pogodzić zwłaszcza z utratą prestiżu. Oznaczała jednocześnie, że mogłoby uwolnić się od obowiązków, za którymi nigdy, naprawdę nigdy nie przepadał. Do tego dochodziły sprawy finansowe, kierowanie personelem, obowiązki reprezentacyjne, nie wspominając o mailach od Komendanta Głównego Policji. Szachy były tylko pretekstem do omówienia kwestii szefowania w wydziale.

– Doszedłem do wniosku, że obecny stan rzeczy bardzo mi odpowiada, więc jeżeli chcesz, możesz nadal szefować, o ile uda nam się uzyskać zgodę góry, ale nie wydaję mi się, żeby był z tym problem.

Pedersen milczał. Simonsen i Hrabianka pozwolili mu spokojnie pomyśleć.

– Nie będę ukrywał, że mi schlebiasz tą ofertą – powiedział po dłuższym czasie. – Jesteście pewni, to znaczy, jesteś pewny?

– Tak, jesteśmy pewni.

Pedersen znowu zaczął się nad czymś zastanawiać, a w końcu odparł:

– No więc z czasem rzeczywiście poczułem, że potrafię sprostać nowym obowiązkom, ale koniec końców muszę odmówić. Na to jeszcze za wcześnie. Wolałbym poczekać, aż odejdiesz na emeryturę. Nie obraż się, ale to już całkiem niedługo.

No to postanowione. Decyzja została podjęta i nie było powodu, aby się dłużej nad nią pochylać.

– Odejdę, gdy skończę sześćdziesiąt cztery lata, to nie jest żadna tajemnica – powiedział Simonsen. – Pracę w Komendzie Głównej zacząłem w wieku dwudziestu pięciu lat, a potem zostałem przeniesiony do wydziału zabójstw, jak tylko został utworzony, a miałem wtedy trzydzieści sześć lat. W wieku czterdziestu dziewięciu zostałem jego szefem.

Wyglądało na to, że Pedersenowi ulżyło, choć jego decyzja nie należała do prostych. Propozycja wydawała się bardzo kusząca.

– Nie wiedziałem, że lubisz numerologię, ale w takim razie przejmę fotel w swoim czasie, jeżeli nadal będą mnie chcieli. To dla mnie lepsza opcja. Prawda jest taka, że najlepiej czuję się w te dni, kiedy pracuję z tobą, to znaczy pod tobą. Może to zabrzmie dość dziwnie, ale na przykład cieszę się na nasze jutrzejsze spotkanie. Jeszcze trzy miesiące temu traktowałbym to jako zwyczajny dzień, ale teraz czekam na to z niecierpliwością. I dlatego właśnie myślę, że powinienem się wstrzymać jeszcze parę lat, zanim zajmę się szefowaniem czymkolwiek.

Hrabianka wypija swoją mrożoną herbatę i odstawia szklanę z powrotem na tacę obok szklanki Simonsena, która została opróżniona dużo wcześniej.

– Skoro już jesteśmy przy kwestiach administracyjnych, to co sądzisz o Klavsie Arnoldzie? – zagała. – I żebyś nie czuł się w nic wmanewrowany, zaznaczę od razu, że Simon i ja dyskutowaliśmy o nim i jesteśmy zgodni.

– Chodzi o to, aby zaproponować mu etat?

– Tak, co o tym sądzisz?

Pedersen spojrział na Simonsena.

– Tu nie chodzi tylko o zatrudnienie, zamierzasz go włączyć do ścisłego zespołu, mam rację?

– Owszem, taki jest plan.

– Myślę, że to dobry pomysł, zdecydowanie dobry. Pomijając fakt, że będzie się musiał nauczyć poprawnie mówić po duńsku.

– Zgoda, czasem używa dialektu.

– Najpierw powinien się nauczyć poprawnej deklinacji. On mówi „ten flaga” i „ta dom”.

– A ty powinienes nauczyć się gramatyki – wtrąciła się Hrabianka. – To, o czym mówisz, nie ma nic wspólnego z deklinacją. Ale poza tym jesteś raczej na tak?

– Jest miłym, metodycznym, pracowitym, byстрыm facetem, z konstruktywnym podejściem do autorytetów, więc jestem na tak. Nie jestem pewien, co na to Pauline. I czy ona ma coś do powiedzenia w tej sprawie?

– Owszem, ma coś do powiedzenia w tej sprawie – oświadczył chłodno Simonsen. – Tyle samo co pozostali, ani mniej, ani więcej, tak to wygląda. A swoją drogą, pomyślałem, że dobrze by było, żeby któreś z was pojechało razem z nią do Esbjerg – żeby się zorientować, jak tam Klavs i jego przeszukiwanie domków letniskowych. To zapewne nie ma większego praktycznego znaczenia, ale pokaże jemu i biorącym w tym udział, że traktujemy sprawę poważnie i...

– Rozumiemy, o co chodzi, Simonie – mamy pokazać, że się angażujemy. Pojadę tam, Arne z pewnością nie ma na to czasu. Zresztą już dawno nie rozmawiałam z Pauline na osobności. Ale jeżeli okaże się, że Klavs przeprowadził porządne przeszukanie, a wszystko na to wskazuje, to chyba będziemy mogli uznać, że został wystarczająco sprawdzony.

Simonsen przyznał jej rację, a potem zapytał:

– Nie masz jeszcze trochę tego soku z pigwy?

Następnego poranka Simonsen i Hrabianka dość wcześnie siedli do śniadania. Policjantka w dużym pośpiechu przygotowywała się do wyjazdu do Esbjerg w towarzystwie Berg. Jako że zamierzały pojechać i wrócić jeszcze tego samego dnia, było ważne, żeby nie wyruszyły zbyt późno.

Hrabianka przeglądała wczorajszą prasę, bo dzisiejsza jeszcze nie dotarła. Simonsen zajął się pałaszowaniem śniadania. Bez większego zainteresowania dopytywał o Berg. Zapytał, czy Hrabianka zamierza ją odebrać z miasta. Chodziło mu bardziej o to, żeby wykazać jakieś zainteresowanie. Hrabianka potwierdziła dość chłodnym tonem, składając gazetę.

– Pojechałeś do Rødby po to, żeby ustalić nazwisko Rity, którego nie potrafiłeś sobie przypomnieć, mam rację? Nazywa się Rita Metz Andersen.

Potwierdził, nie bardzo rozumiejąc, co się właściwie dzieje. Dopiero po przerwie, która nastąpiła, zorientował się, że Hrabianka miała informacje, których nie powinna znać, chyba że...

– Powiedz mi, sprawdzałaś mnie za moimi plecami? Skąd wiesz, jak się nazywa Rita?

Hrabianka mówiła dalej złowieszczym, niemal inkwizytorskim tonem:

– Chciałeś ją znaleźć, taki właśnie miałeś cel. Wy tłumacz mi, o co w tym wszystkim chodzi!

Z wyrazem pogardy rzuciła na stół w jego stronę broszurę. Sięgnął po nią i zaczął kartkować, nie bardzo rozumiejąc po co. Wtedy sobie przypomniał. To był folder, który dostał w biurze informacji turystycznej w Frederiksværk, gdy był w drodze z Frederikssund do Melby Overdrev na spotkanie z Berg. W środku znajdowała się mapa, którą się kierował. Zostawił folder w schowku swojego samochodu, przypadkowo – zostałby wyrzucony podczas najbliższego sprzątanía. A teraz leżał przed nim oskarżycielsko.

– *Piosenki dla babci*, strona trzecia.

Jeszcze wczoraj nic takiego się nie działo – Hrabianka była miła, przygotowała mu posiłek i dobrą herbatę, aż tu nagle taka zmiana rano... nie rozumiał kobiet, a już na pewno nie tego, co miała z tym wspólnego broszurka. Zignorował ten fakt i zamiast tego próbował przemówić jej do zumu: to nie mogło iść w tę stronę – jeżeli mieli coś razem zbudować, musiała mu zaufać. Wręcz nie miała innego wyjścia. A on nie miał najmniejszej ochoty się dowiadywać, skąd ma te wszystkie informacje na jego temat. Albo o Ricie. Kochał Hrabiankę, kochał z nią mieszkać i zdawał sobie sprawę, że obawiała się straty. Nie wspomniał o tym, że kiedyś już straciła dziecko, zamiast tego nawiązywał pośrednio i z podtekstami do jej historii, jej przeszłości. Doskonale ją rozumiał, musi mu uwierzyć, ale... słowa zaczęły mu się plątać, powtarzał je z coraz większą intensywnością, żywo gestykulując.

Czekała, aż skończy. Potem odezwała się opanowanym, melodyjnym tonem, niemal z czułością, jakby to on miał problem, a nie ona.

– Tak, wszystko się zgadza. Dobrze o tym wiemy.

Nie doczekał się wyjaśnienia tego, o czym niby oboje wiedzieli, a on sam nie zapytał. Po krótkiej przerwie dodała:

– Oczywiście zrób to, co musisz zrobić. Tak to już musi być.

Potem wstała, wypila na stojąco swoją herbatę, pocałowała go na do widzenia, jakby wszystko toczyło się tak jak każdego poranka. Gdy zatrza-

snęły się za nią drzwi, wydało mu się, że odgłos był donośniejszy niż zwykle.

Siedział, sącząc wystudzoną herbatę, i miał wrażenie, że nie potrafi policzyć do czterech.

Już później, w drodze na komendę, podłączył GPS, mimo że mógłby przejechać tę trasę z zamkniętymi oczami. „Przed tobą skręt w prawo” – poinstruował go kobiecy głos. Nieznoszący sprzeciwu. „Za sześćset metrów skręć w lewo”.

– Zamknij się, idiotko – krzyknął. Cudowne uczucie móc być takim grubiańskim. – Zamknij się, nie mam już ochoty cię słuchać.

Przez kolejne dwa, a może pięć kilometrów delektował się swoim niestosownym zachowaniem, aż w końcu mu się znudziło. Wyłączył GPS i zmusił własne myśli do powrotu do przeszłości. To on będzie, do cholery, decydował, o czym i o kim będzie rozmyślał. Albo z kim się spotykał.

* * *

– A może po prostu wyjedziemy do Vordingborga?

Pamiętał to pytanie bardzo wyraźnie. Była niedziela, wczesny szary poranek na siódmym piętrze akademika Grønjordskollegiet, w kwietniu 1973 roku. Wydawało mu się, że spała. W każdym razie próbował zachowywać się cicho, gdy wstawał z łóżka, aby się ubrać. Nie było powodu, żeby ją budzić. Wybierał się do pracy, ale wcześniej zamierzał jeszcze zajrzeć do swojego mieszkania, więc nastawił budzik na piątą, ale obudził się sam z siebie, jeszcze zanim ten zadzwonił. Zdążył włożyć tylko skarpetki, a potem ponownie położył się na chwilę do łóżka obok niej, rozkoszując się ciepłem, chociaż naglił go czas.

– Masz na myśli pierwszego maja?

Tak, chodziło jej o ten dzień.

Jej propozycja go zaskoczyła. Zapytał ponownie, żeby się upewnić. Poprzedniego wieczoru dyskutowali, jak spędzą pierwszego maja. Nie kłócili się, tylko rozmawiali, co już samo w sobie było nietypowe w porównaniu z ubiegłym rokiem. W zeszłym roku w ogóle go nie uwzględniła w swoich planach. Pierwszy maja – ważne robotnicze święto należało uczcić udziałem

łem w demonstracji w Fælledparken wraz z towarzyszami, a nie wspólnie z nim. Jednak w tym roku wyglądało to inaczej. Jej entuzjazm związany z tym wydarzeniem wyraźnie osłabł i jej zdaniem wystarczyłoby, gdyby wspólnie, tylko we dwoje, spędzili ten czas przy piwie, gdzieś w Fælledparken, i po prostu darowali sobie demonstrację.

Tym razem nie zamierzała protestować, wolała wybrać się do Vordingborga.

To był dla nich dziwny okres, te ponad pół roku, które upłynęło od zabiegu w szpitalu w Køge do czasu, gdy wyemigrowała i stracił z nią kontakt. Pod pewnymi względami był to kiepski, a może raczej przerażający okres. Z drugiej strony zbliżyli się do siebie. Różnice ideologiczne przestały ich dzielić w takim stopniu jak wcześniej. Rzadko się teraz kłócili, a jeżeli w ogóle, to jeszcze rzadziej o politykę. Jego tradycyjne ironiczne pytania już jej nie denerwowały.

– Rita, co się właściwie ze mną stanie, gdy rewolucja osiągnie już swoje cele?

Jeszcze rok temu cieszyłby się z indoktrynacji, zamiast strzały w głowę. Wtedy zapewne wywiązałby się z tego długi dialog, a ona nigdy by nie zauważyła, że się z niej naśmiewał.

– Ile w zasadzie trwa takie indoktrynacyjne szkolenie?

To wymagało indywidualnego podejścia, ale szczegóły nie zostały jeszcze doprecyzowane.

– Mogłabyś zostać moją nauczycielką? Byłoby miło.

Wątpiła, ale też nie wykluczała tego całkowicie. Humor nie był mocną stroną logików, zachłyśniętych Kapitałem Karola Marksa.

Gdyby o to samo zapytał ją teraz, zapewne odpowiedziałyby, że nie wie. Smutnym głosem, pozbawionym radości związanej z rewolucją. Jakby nie miała już ochoty o niej myśleć.

Znaleźli miejsce niedaleko Vordingborga, jedenaście kilometrów od miasta, w połowie wysokości niewielkiej mierzei Knudshoved Odde, w kolektywie, który zakupił zlikwidowane gospodarstwo rolne. Można się tam było pojawiać i zniknąć, kiedy komu pasowało. Rita знаła wcześniej jednego z mieszkańców kolektywy, ale okazało się, że wyprowadził się już

jakiś czas temu, jednak gdy się pojawili, nikomu nie wydało się to dziwne. Simonsen uwielbiał to miejsce. Schronienie dla hipisów, od pięciu lat jakby zawieszony w czasie, anarchistyczne Klondike, gdzie panował jeden wielki bałagan i nic nie przebiegało zgodnie z planem, ale wszyscy czuli się znakomicie. Gdy pojawiał się ktoś nowy, do wspólnej kasy wrzucał pieniądze, bez których mógł się obejść. Funkcję kasy spełniała stara blaszana puszka po kawie Cirkel z profilem afrykańskiej kobiety. Dokładali się tylko ci, którzy mogli, jak nie mieli takiej możliwości, też nikt nie oponował. Kiedy ktoś zgłodniał, mógł skorzystać z produktów znajdujących się w lodówce, a rano zaopatrzyć się w parę skarpetek ze wspólnego kosza, w którym nie dało się znaleźć dwóch jednakowych. Już odpowiedni rozmiar był powodem do radości.

Obok kolektywu mieszkało małżeństwo – on zajmował sprzedażą używanych rzeczy, ona pracowała w okolicy jako położna. Mieli oboje koło czterdziestki – gdy chodzili na spacer, trzymali się za ręce i zwracali do siebie, używając pieszczotliwych określeń. Byli właścicielami zlikwidowanego wcześniej gospodarstwa rolnego, które sami odnowili od piwnicy aż po komin. On sprawiał wrażenie jowialnego dziwaka, który niemal każdego dnia przynosił przeterminowane produkty spożywcze tym młodym ludziom mieszkającym tuż obok. Zależało mu na dobrosąsiedzkich stosunkach, a wielu towarów i tak by nie sprzedał. Tak w każdym razie twierdził za każdym razem, gdy pojawiał się ze swoimi skrzynkami, śmiejąc się donośnie i oczekując, że ktoś zaproponuje mu herbatę. Ona była kościstą kobietą o masywnych nogach i specyficznej uprzejmości, która zaskakiwała przy pierwszym kontakcie. Wściekała się tylko wtedy, gdy hipisi – bo tak ich konsekwentnie nazywała – opalali się nago przed domem na ich trawniku. Długim, bocianim krokiem i nieskoordynowanymi ruchami wkraczała na podjazd. „Do czego to podobne, żeby tak epatować nagością i to wtedy, gdy Arnold właśnie bieli dom? Mogliby przynajmniej przenieść się na tył ogrodu, naprawdę”.

Simonsen uwielbiał tę parę. Potrafił godzinami siedzieć i wpatrywać się w ich piękną posiadłość, podczas gdy siedząca obok Rita czytała jakąś książkę. Wyobrażał sobie, że oni kiedyś tak właśnie zamieszkają. W ci-

chym, pięknym, spokojnym miejscu. Rita mogłaby pracować jako nauczycielka, a potem może nawet wykładowczyni w liceum w Vordingborgu, a on mógłby... no cóż, nie miałby nic przeciwko pracy gliniarza. Zresztą co innego miałby robić? Mogliby mieć wtedy dzieci, trójkę radosnych maluchów, biegających w drewniakach – stuk, stuk – albo boso i sprawiających radość swoim pogodnym śmiechem. Z czasem nauczyłyby się żeglować, kupiliby niewielką żaglówkę i w weekendy przemierzali szlaki wodne między Wielkim Bełtem a Morzem Baltyckim.

Rita uniosła wzrok znad książki.

– Konradzie, o czym tak rozmyślasz? Tylko siedzisz i się gapisz.

Opowiedział jej. Westchnęła i odparła:

– Tak, byłoby pięknie. Mogłoby tak być.

Ponownie westchnęła, może nawet otarła łzę, nie wiedząc, że to założyła, po czym na powrót spróbowała się skoncentrować.

Jeżeli pogoda dopisywała, chodzili na długie spacerunki po mierzei i właśnie tutaj spędzili najlepszy wspólny czas. Spacerowali wolno po pagórkowatych morenach, poprzecinanych równinami polodowcowymi. Napotykali rybołowy i kanie rude, nasłuchiwali rzadkiego kumkania kumaka nizinnego, przyglądali się kwitnącemu białemu głogowi, ze świadomością, że Kopenhaga leży daleko stąd.

* * *

W przeciwieństwie do wypoczętego Simonsena Pedersen sprawiał wrażenie niewyspanego, gdy spotkali się w biurze tego ostatniego. Tymczasowy szef wydziału zabójstw przez niemal pół nocy próbował zbilansować budżet. Wyglądał na pobudzonego i jak tylko zobaczył Simonsena, powiedział:

– Simonie, zacznijmy od razu.

Ledwie wypowiedział te słowa, do pomieszczenia wpadł Malte Borup i przerwał ich rozmowę zdyszany, a jednocześnie przepaszającym tonem.

– Nie miałem zamiaru wam przeszkadzać, ale napisałeś, że to bardzo pilne.

Pedersen poluzował krawat, a potem odezwał się zrezygnowany:

– Miałem nadzieję, że zdążysz przed Simonem.

– Przykro mi. Robiłem, co mogłem, ale musiałem pozmywać naczynia, bo inaczej Anita by się wściekła po powrocie do domu. Obiecałem jej to.

– W porządku. W takim razie obaj będziecie świadkami mojej porażki. Głupio mi, ale naprawdę nie byłem w stanie uruchomić tej dziwacznej tablicy interaktywnej i... – Wstał i usunął zasłone przysłaniającą tablicę. – Postanowiłem zamiast tego użyć zwykłego flamastra, a teraz okazuje się, że napisu nie można zmazać.

Simonsen przyglądał się tablicy z zainteresowaniem. Notatka składała się z trzech krótkich punktów.

Odpowiedzi na listy do redakcji?

Mundur ojca – o jaki chodzi?

Czy Simona za bardzo nie poniosła wyobraźnia?

Pierwsze dwa punkty rozpoznał bez trudu, bo pochodziły z jego własnego raportu, który sporządził kilka dni wcześniej.

Tymczasem Pedersen kontynuował swoje wynurzenia:

– Próbowałem ze wszystkich sił, używając wszystkiego, co mi wpadło w ręce, ale nic to nie dało.

– Czy mówiąc „wszystko”, masz na myśli wodę? – zapytał sarkastycznie Simonsen.

– Również płyn do mycia naczyń. Okej, doskonale wiem, że alkohol potrafi zdziałać cuda, dlatego przeproszam cię, Malte, ale gdy to się stało, uznałem, że trzeba działać szybko. Nie zdążyłeś kupić coli, prawda?

– Nie, nie było na to czasu.

– W takim razie zrób to teraz i załatw jeszcze butelkę alkoholu. Gdy skończymy z Simonem rozmawiać, wytrzesz tablicę i pokażesz mu ten klip z Mouritzem Malmborgiem, który znalazłeś. Zrozumiałeś?

Borup potwierdził, a potem wyszedł. Pedersen coraz bardziej się kręcał.

– No tak, miałeś nie widzieć tego ostatniego punktu, ale się stało i zajmujemy się tym na koniec. Przeczytałem twoje notatki z seansu hipnotycz-

nego w Nykøbing Falster i informacje, że Helena Brage, cytując: „odpowiadała na listy i tam się wymądrzała na temat młodzieży”. Rozumiem, że odpowiadała na jakieś listy do redakcji, ale do tego zapewne sam doszedłeś. Żona pana Olsena powiedziała też w hipnozie, że ojciec Heleny nosił mundur. Ciągłe nie wiemy, o jaki mundur chodzi, ale szczerze mówiąc, wydaje mi się, że to nie ma szczególnego znaczenia, natomiast dowiedziałem się innej rzeczy. Helena Brage Hansen ma starszego brata i zdają sobie sprawę, że nie chcesz, aby się dowiedziała, że ją prześwietlamy, ale... chodzi o to, że dobrze go znasz. To Finn B. Hansen.

– Ten Finn B. Hansen?

– Tak, aplikant sędziowski w sądzie rejonowym w Næstved. Oczywiście nie mam pojęcia o jego relacjach z młodszą siostrą, ale zgaduję, że powstrzyma się od wyjawienia jej, że się nią interesujemy, jeżeli go o to poprosimy. Niewykluczone, że i nam nie będzie chciał nic powiedzieć, ale to już zupełnie inna sprawa.

Simonsen się z nim zgodził.

– W każdym razie warto spróbować. Wybierzesz się ze mną?

– Jeżeli chcesz, to ja chętnie, ale mam mało czasu. Jeżeli mam jechać z tobą, musimy się pośpieszyć i szybko wszystko omówić.

– Tak zrobimy. A o co chodzi z tym, że ponosi mnie wyobraźnia?

Pedersen zaczął wyjaśniać bez zbędnych ogródek. Simonsen już dawno temu uzyskał potwierdzenie, że ich sześcioro uczniów pod względem towarzyskim nie cieszyło się specjalną popularnością w swojej klasie w liceum.

– W tej chwili wygląda na to, że każda najmniejsza błahostka wymaga sprawdzenia – ciągnął Pedersen. – Rodzic w mundurze czy jakieś listy. Dlaczego po prostu nie wezwiesz ich na przesłuchanie?

– A jeżeli nikt z tych czworga niczego nie pamięta? Zbiorowy zanik pamięci. Co zrobimy w takim wypadku?

– Zrobimy to, co zawsze w takich sytuacjach, mianowicie skonfrontujemy ich ze sobą. Znajdziemy drobne nieścisłości w ich zeznaniach i będziemy im wiercić dziurę w brzuchu. Będziemy im grozić, zwodzić ich i kusić – zrobimy wszystko to, co już wałkowaliśmy milion razy.

– A kiedy ostatnio prowadziłeś dochodzenie w sprawie przestępstwa, które miało miejsce prawie czterdzieści lat temu?

Pedersen zawahał się na moment, ale nie przestawał się upierać przy swoim.

Czas dokonania przestępstwa rzeczywiście stanowił jakiś argument i dlatego właśnie początkowo zgodzili się, że należy gruntownie prześwietlić przeszłość Bandy Sześciu, tak drobiazgowo, jak tylko się da. Ale to zostało już zrobione, a niektórzy twierdzą nawet, że dość dawno temu.

– W końcu będziesz musiał zaakceptować, że nadszedł odpowiedni moment. A ty zamiast tego nadal masz wątpliwości. A co gorsza – nie masz najmniejszej gwarancji, że zabójstwo Nielsena jest powiązane ze zniknięciem Lucy Davison. To tylko przesłanka. I to niezbyt solidna. Najwyższy czas, żebyś wezwał ich na przesłuchanie, zamiast kręcić się w kółko w tych twoich latach sześćdziesiątych do czasu, aż sam dobiejesz siedemdziesiątki.

Simonsen przyznał mu rację bez złości. Wyczuł w jego argumentacji te same tony, które ostatnio usłyszał od Hrabianki. Ale te od niej miały nieco łagodniejszą formę.

– W porządku, jedziemy do Næstved, to znaczy do Finna B. Hansena. Sprawdź, czy przyjmie nas jeszcze dzisiaj. Po tym spotkaniu zaczniemy przesłuchania, chyba że wcześniej wypłynie coś rewolucyjnego. Możemy się tak umówić?

– Umowa stoi, pod warunkiem, że to ja decyduję, co to znaczy „coś rewolucyjnego”.

– W porządku. Idę teraz do siebie, mam maile do przeczytania. Zadzwoń do mnie, gdy uda ci się wytrzeć tablicę i będę mógł obejrzeć swój film.

Gdy Simonsen obejrzał klip, był zmuszony przyznać, że mężczyźnie przeprowadzającemu wywiad nie można odmówić uroku. Za długimi włosami i okularami w stalowej oprawce ukrywało się elokwentne poczucie humoru, któremu dość trudno było się oprzeć, mimo że dziennikarz bezlito-

śnie skierował je przeciw dwojgu nastolatkom, wybranymi na ofiary. Za nim stali Mouritz Malmborg i jakaś nieznana dziewczyna.

– Naszą młodzieżową redakcję często oskarża się o to, że nie interesujemy się zwykłą młodzieżą, a tylko prowokatorami, upalonymi nierobami, aktywistami na rzecz pokoju i tego rodzaju społecznymi wyrzutkami – zaczął wywiad prowadzący. – Dlatego też wybrałem się na stację Hvidovre, gdzie spotkałem dwoje zwyczajnych młodych ludzi. Normalną, typową dziewczynę i normalnego, zwyczajnego chłopaka. Z tej małej grupy to właśnie ty wydajesz się najzwyczajniejsza. Jak się nazywasz?

– Susanne.

– Susanne, słyszałem, że potrafisz obieć cały stadion w bardzo krótkim czasie, a w nieco dłuższym nawet dwa razy. Czy to prawda?

– Yyy, tak.

– Pewnie masz nadzieję, że pewnego dnia będziesz równie dobra jak dziewczyny z NRD. Jak ci się wydaje, czy powodem ich znacznie lepszych czasów jest fakt, że w NRD w przeciwieństwie do Danii istnieją obiekty sportowe i obowiązują zasady zdrowego socjalistycznego wychowania, czy też bieżnie tam są po prostu krótsze?

– Nie wiem... ale bieżnie za granicą wcale nie są krótsze.

– Wspaniale, że udało się nam to ustalić. A ty, Mouritz, powiedz, jak się nazywasz?

– Mouritz.

– Tak myślałem. Uprawiasz rzut dzidą, nie mógłbyś pokazać naszym widzom, jak rzucasz tą swoją dzidą? Nie, nie ruszaj się z miejsca. Udaj, że trzymasz ją w dłoni i rzucasz.

Mouritz Momberg zrobił to, o co został poproszony. Wyglądało, jakby wbijał młot w sufit.

–Trochę szybciej, żebyśmy mogli obejrzeć kilka rzutów.

Chłopak podkreślił tempo i udało mu się jeszcze powtórzyć rzut kilkakrotnie, zanim prowadzący wywiad mu przerwał:

– To było naprawdę świetne, Mouritz. I bardzo, bardzo zwyczajne. Susanne, mogłabyś bić brawo Mouritzowi, kiedy powiem widzom parę słów?

Dziewczyna zaczęła bić brawo, a prowadzący zakończył audycję.

Simonsen był pod wrażeniem, gdy zwracał się do Maltego Borupa:

– No, no, muszę przyznać, że wygląda jak prawdziwy lewicowy poplecznik. Kiedy powstało nagranie?

– Dziesiątego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, znalazłem je w Googlach. Przyda ci się?

– Bez wątplenia, to naprawdę użyteczne, bardzo ci dziękuję.

– Dlaczego on był taki nieprzyjemny? Przecież doskonale wiedział, że chodzi o oszczep, i dlaczego robił z nich głupków, nie było ku temu żadnych powodów. Nic takiego mu nie zrobili.

– Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że był głupią świnią, a może dlatego, że potrafił. Malte, to były inne czasy.

Używał tego wyrażenia jako standardowego argumentu, gdy chciał zamknąć dyskusję o przeszłości: „To były inne czasy”. I chociaż to, co powiedział nie miało się z prawdą, to kiedy czasy nie były inne? W tym przypadku jego argument nie wystarczył. Borup zastanawiał się przez chwilę, ale nadal nie potrafił zrozumieć tej sytuacji mimo innych czasów.

– Czy to wtedy było zabawne? – spytał ze zdziwieniem. – Mam na myśli uprzykrzanie życia innym.

Co miał mu odpowiedzieć? Tak, na swój sposób było to zabawne. Trudno to wszystko wyjaśnić.

Gdy siedzieli w samochodzie, w drodze do Næstved, Pedersen zagrzebał się w stosie wyciągów bankowych i kopii arkuszy kalkulacyjnych, które analizował z długopisem w dłoni i kalkulatorem. Od czasu do czasu wydawał z siebie głośne westchnienie, ale się nie odzywał. Simonsen również się zagrzebał. W przeszłości, podobnie jak dzisiaj o poranku. Wspominał ostatni okres, który spędził z Ritą.

Rita zaczęła znikać na pewien czas i nie miał pojęcia, gdzie przebywała, a często także w ogóle nie wiedział, że wyjechała. Gdy wracała, odmawiała odpowiedzi na jego pytania, więc upłynęło sporo czasu, zanim się zorientował, że była kurierem. Przewoziła pieniądze z Danii do Niemiec lub

Francji, pieniądze zebrane w Skandynawii, które miały stanowić wsparcie dla Armii Wyzwolenia Palestyny. Nigdy nie ustalił z dużą dozą pewności, jaka organizacja za tym stała. Zapewne PFLP – Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny, ale nie miał pewności, ani wtedy, ani teraz. Pojawiło się wtedy tyle różnych organizacji i równie wielu pożytecznych idiotów, którzy nie mieli pojęcia, dla kogo tak naprawdę pracują. Rita była małym trybikiem wielkiej maszyny, która w tamtych czasach robiła się coraz okrutniejsza. Porwania samolotów i ludzi, zestrzelenia – terror przybierał na sile, ale i reakcje były coraz gwałtowniejsze: Mosad – izraelska agencja wywiadowcza – śledziła terrorystów odpowiedzialnych za zamach podczas olimpiady w Monachium i systematycznie likwidowała jednego po drugim.

Wiosną 1973 roku Rita zniknęła na prawie dwa tygodnie. Gdy wreszcie wróciła, była opalona i przygnębiona. Jak zwykle odmówiła mu jakichkolwiek wyjaśnień. To było nie do wytrzymania, zrobili sobie przerwę, tak jak już wiele razy wcześniej, tylko po to, żeby po pewnym czasie ponownie się zejść. Gdy przychodziło co do czego, nie potrafili bez siebie żyć. Tak im się wydawało.

Jeszcze tej samej wiosny doznał prawdziwego szoku, który uzmysłowił mu dosadnie, że jego dziewczyna stąpa po cienkim lodzie. Jeżeli dobrze pamiętał, zdarzyło się to podczas festiwalu, organizowanego przez redakcję „Land og Folk” – dziennika Komunistycznej Partii Danii – w Fælledparken. Przyszły dziesiątki tysięcy ludzi, a samo wydarzenie było prawdziwym pokazem perfekcyjnej organizacji. A może się mylił, możliwe, że te festiwale zaczęły się dopiero później, nie był też pewny pory roku. W każdym razie jako funkcjonariusz został wtedy oddelegowany do utrzymania porządku podczas jakiegoś wydarzenia, organizowanego przez duńskich komunistów. To była dobra fucha. Niezależnie od swojej niechęci do tej partii musiał przyznać, że mieli porządek w swoich szeregach. U komunistów nigdy nie było awantur, nawet nikt na niego nie pokrzykiwał – najczęściej był po prostu ignorowany, ale zdarzało się też, że proponowano mu kawę.

Podeszło do niego dwóch mężczyzn, robotników w średnim wieku, spokojni goście. O ile pamiętał, usiedli na ławce przy stoliku pod namio-

tem. Wyraźnie za to przypominał sobie serwetę przykrywającą stół – materiał w biało-czerwonej kratce, charakterystyczną dla tańszych kopenhaskich restauracji. Mężczyźni położyli przed nim dwie niemal identyczne fotografie. Obie przedstawiały Ritę wchodzącą po schodach do samolotu. Miała kulę i jedną nogę w gipsie. Samolot należał do linii El Al i leciał do Tel Awiwu.

Mężczyźni zachowywali się uprzejmie, ale nie chcieli mu powiedzieć, skąd mają zdjęcia ani skąd wiedzą o jego relacji z Ritą. Mieli dla niego tylko jedną radę, aby wyciągnął ją z tego bagna, w które wpadła. Nigdy nie zdołał ustalić, czy mężczyźni zostali wysłani przez swoją partię – jeżeli to w ogóle byli komuniści – czy też kierowała nimi zwykła przyzwoitość.

Drażył problem przez dwa dni i dwie noce, aż w końcu z tą swoją nową wiedzą udał się do PET – policyjnej służby wywiadowczej. Jej główna siedziba mieściła się wówczas na pierwszym piętrze posterunku policji w Bellahøj. Trzej koledzy Simonsena spisali jego zeznania i szczegółowo wypytywali o jego relację z Ritą. Otrzymał od nich listę z dodatkowymi pytaniami, na które miał spróbować uzyskać odpowiedź. Zanim wyszedł, paradoksalnie otrzymał tę samą radę, której udzielili mu komuniści. „Wyciągnij ją z tego bagna, im szybciej, tym lepiej” – usłyszał na pożegnanie. Potem poszedł do knajpy, czuł się paskudnie. Przesłuchanie przez PET nie należało do przyjemnych, poczuł się w stosunku do Rity jak zdrajca, niezależnie od tego, ile razy próbował sobie wytłumaczyć, że podjął rozsądną decyzję. Nie wspominając o tym, że zapewne i tak nie byli już razem.

Aplikant sędziowski Finn B. Hansen był przez wiele lat kierownikiem Wydziału XV Sądu Apelacyjnego Vestre Landsret, gdzie zajmował się przygotowywaniem spraw cywilnych. Dobre dziesięć lat temu przeniesiono go do sądu rejonowego w Næstved, po tym, jak został zmuszony do ponadpółrocznego urlopu w związku z poważnym problemem alkoholowym. Ostatecznie udało mu się odzyskać kontrolę nad własnym życiem, ale jego kariera się załamała i musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Pogodzić się z tym, że już nigdy nie zostanie sędzią. Był postawnym mężczyzną o rzadkich, siwych włosach i zmęczonej twarzy. Uprzejmie przywitał się z poli-

cyjantami i zaproponował swoim gościom miejsce po drugiej stronie biurka, gdzie ustawiono kilka krzeseł w stylu Bauhaus. Simonsen się zawałał. Meble może i były ładne, ale gdy już na nich zasiadał – z pewną niechęcią – obawiał się nieco, czy cienkie metalowe rurki dadzą sobie radę z ciężarem. Do tego przecież brakowało dwóch nóg.

– Powiedzcie mi, panowie, w czym mogę pomóc. Muszę przyznać, że mnie zaintrygowaliście.

Simonsen postanowił zaryzykować i usiadł. Potem wyjawiał cel wizyty. Siostra aplikanta wiele lat temu wybrała się z kilkoma kolegami na edukacyjny wyjazd nad Morze Północne, a tam odwiedziła ich pewna młoda Angielka, która później zaginęła. Pokazał mężczyźnie kilka zdjęć, ale nie to, na którym byli w negliżu.

Jowialność aplikanta ustąpiła miejsca powściągliwości. Długo przyglądał się zdjęciom, chociaż nie było ku temu powodu, aż w końcu zapytał:

– I sądzicie, że ta Angielka nie żyje?

Jego konkluzja wydawała się zrozumiała, przyszli w końcu z wydziału zabójstw. Simonsen potwierdził podejrzenia Hansena co do śmierci Lucy Davison. Aplikant pokiwał wolno głową i powiedział jakby do siebie:

– Minęło sporo czasu. Może zaproponuję coś do picia – kawy, herbaty?

Było wyraźnie widać, że Hansen potrzebuje przerwy, żeby przetrawić informacje od nich. Pedersen podziękował i powiedział, że on i Simonsen nie mają ochoty na nic do picia, po czym możliwie jak najłagodniej zaczął wyjaśniać aplikantowi potencjalną rolę jego siostry w tej sprawie. Następnie pokrótce przedstawił okoliczności śmierci Jørgena Kramera Nielsena. Potem pałeczkę przejął Simonsen:

– Doskonale zrozumiemy, jeżeli nie będziesz chciał nam pomóc. Nie wiem, jak sam zareagowałbym w twojej sytuacji, ale musisz mieć świadomość, że niezależnie od tego, jaką podejmiesz decyzję, nie pozostanie po niej żaden ślad. Ani oficjalnie, ani w naszej wewnętrznej dokumentacji. Bylibyśmy jednak bardzo wdzięczni, gdybyś nie wspominał siostrze o naszej rozmowie.

Hansen potrząsał głową, jakby chciał się otrząsnąć z tej sytuacji. Jego siwe włosy sterczały teraz we wszystkich kierunkach.

– Czyli dwoje ludzi nie żyje? – spytał po pewnym czasie.

– Tak, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

– I w najgorszym przypadku moja siostra może zostać oskarżona o morderstwo?

– Tak, w najgorszym. Ale to mało prawdopodobne w przypadku Esbjerg. Nie wierzymy w morderstwo z premedytacją, a wszystko inne już dawno się przedawniło, ale o tym wie pan dużo lepiej niż my. Jeżeli natomiast chodzi o listonosza, to jasne, że...

– Helena przecież, do cholery, nie skrzyła karku jakiemś listonoszowi. Przecież dobrze wiecie, że mieszka na północy Norwegii.

– Tak, wiemy.

– Może się przejdziecie? Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć. – Podniósł się z krzesła, nie pozostawiając im wyboru. Gd wychodzili, zapewnił ich: – Nie musicie się obawiać, że się z nią skontaktuję, bo tego nie zrobię.

Gdy tylko opuścili gabinet Hansena, Pedersen zajął się swoimi rozliczeniami. Były jakieś zalety posiadania wielu obowiązków – czas oczekiwania człowiek zawsze mógł spędzić pożytecznie. Simonsen krążył po korytarzach gmachu sądu. Budynek był stosunkowo nowy – na surowych czerwonych ceglach powieszono szereg obrazów, zapewne z inicjatywy stowarzyszenia artystycznego pracowników sądu. Obrazy trudno było zinterpretować, a poza tym były nudne.

Po niecałej półgodzinie Finn B. Hansen podjął decyzję:

– Pomogę wam na tyle, na ile potrafię. Koniec końców tak będzie najlepiej dla Heleny. W każdym razie taką mam nadzieję. Macie panowie jakieś konkretne pytania?

– Wydaje się nam, że pana ojciec w pewnym okresie pojawiał się w liceum Brøndbyøster w mundurze – zaczął Pedersen. – Czy z czymś się to panu kojarzy, czy też po prostu coś źle zrozumieliśmy?

– To z pewnością prawda. Był numerem jeden, marszałkiem generalnym w ruchu skautowym. Nie pamiętam, czy chodził w zielonym, niebieskim, szarym albo w paski czy co też tam nosił, pamiętam jedynie, że w pewnym okresie nosił mundur na okrągło. Najczęściej nie w porę i mu-

sze przyznać, że potwornie się wtedy kłóciliśmy. Studiowałem prawo na uniwersytecie, a mój ojciec nie mógł przeżyć, gdy zawiesiliśmy naukę i zaczęliśmy okupować gabinet rektora. Nie było lepiej, gdy paliliśmy haszysz na schodach wejściowych do budynku razem z tymi tam pisarzami.

Simonsen kopnął Pedersena w kostkę, zanim ten zdążył to skomentować. Po kilku rundach rozmów o latach sześćdziesiątych z uczniami klasy 3y liceum w Brøndbyøster wiedział, że większość z nich we własnym przekonaniu uczestniczyła wtedy w czym się dało. Przedstawiane przez nich fakty nieco się rozmywały, bo niewłaściwie osadzali w czasie przedstawiane wydarzenia – kilka lat w tę czy we w tę – żeby dopasować je do wspomnień i celu opowieści. Aplikant sędziowski najwyraźniej nie stanowił wyjątku.

– ...więc ojciec chodził w mundurze na znak swego rodzaju buntu wobec tych nowych czasów. Dzisiaj wydaje mi się, że był odważny, wtedy uważałem, że był głupcem.

– Czy pana siostra też należała do skautów?

Długo się zastanawiał, zanim odpowiedział.

– Nie pamiętam tego, ale bardzo prawdopodobne. W każdym razie bardzo się od siebie różniliśmy. Może dlatego, że byliśmy chłopakiem i dziewczyną, ale pewnie też dlatego, że ja sprzeciwiałem się rodzicom, a ona z kolei mnie. Gdyby była starszą siostrą, zapewne byłoby odwrotnie. W czasach młodości to często przypadek i drobiazgi decydują o tym, gdzie człowiek ląduje.

– Ale nie pamięta pan tego dokładnie?

– Nie, niestety. Była moją młodszą siostrą, więc nieszczególnie interesowałem się jej otoczeniem czy zainteresowaniami.

– Podczas nauki w liceum odpowiadała na listy nadsyłane do redakcji. Czy mogło chodzić o rubrykę w gazetce wydawanej przez ruch skautowy?

– Jak najbardziej. Zostało mi jeszcze parę rzeczy po rodzicach, więc będę mógł sprawdzić, w którym ruchu skautowym działał mój ojciec, i wtedy będziecie mogli ruszyć dalej.

– Bylibyśmy bardzo zobowiązani. Co działo się z pana siostrą po zakończeniu nauki w liceum?

– Zaczęła chorować psychicznie. To chyba było zaraz po tym, jak zdała maturę. Tak mi się wydaje. Upłynęło kilka lat, zanim znowu zaczęła w miarę normalnie funkcjonować, jeżeli można to tak określić. Z tego czasu pamiętam przede wszystkim to, jak okropnie się wtedy czuła, czasami mam też jakieś przebłyski wydarzeń z naszego dzieciństwa. Zaliczyła pobyty we wszystkich możliwych instytucjach, co mocno odbiło się na naszej rodzinie, oczywiście najbardziej na mamie i ojcu. No i na niej samej też.

Ponownie zamilkł, a oni czekali cierpliwie. Simonsen nie krył zdziwienia. Podczas prześwietlania życia Heleny Brage Hansen nie natrafili na informacje o jej chorobie psychicznej. To było wyraźne przeoczenie, za które, koniec końców, on musiał wziąć odpowiedzialność.

– Wiem, jakie pytanie się teraz nasuwa. Ale naprawdę nie mam pojęcia, czy jej choroba miała coś wspólnego z tą wyprawą do Esbjerg, o której wspominaliście. Mogę tylko gdybać. W każdym razie ostatecznie udało się ją ustabilizować. Myślę, że zawdzięczamy to rozwojowi farmakologii. Psychiatrzy dobrali leki, które powstrzymywały jej demony. W latach osiemdziesiątych zamieszkała w pewnym kolektywie rolniczym, odwiedziłem ją tam parokrotnie, chociaż znajdował się aż na Bornholmie. Gdy zmarli nasi rodzice – co miało miejsce odpowiednio w osiemdziesiątym czwartym i osiemdziesiątym szóstym roku – odziedziczyliśmy trochę pieniędzy, które wydała na przeprowadzkę do Norwegii. Najpierw przeprowadziła się do Bergen, a potem daleko na północ, do Hammerfest, gdzie pracuje jako przewodniczka przyrodnicza i turystyczna. Po pewnym czasie uzyskała też norweskie obywatelstwo. Nie pamiętam, kiedy to było.

– Czy ma rodzinę albo dzieci?

– Nie, ale prawdopodobnie ma partnera.

– Masz z nią kontakt?

– Sporadyczny, od czasu do czasu ze sobą mailujemy, czasem raz na miesiąc, czasem raz na pół roku.

– Nie widujecie się?

– Przyjechała na moje sześćdziesiąte urodziny, a mój najmłodszy syn odwiedził ją podczas swojej podróży do Laponii kilka lat temu. Jeżeli nie

zapomnę, dzwonię do niej z okazji świąt Bożego Narodzenia. I to właściwie tyle.

Simonsen ani Pedersen nie mieli więcej pytań, z wyjątkiem jednej rzeczy, która jednak mogła się okazać dość istotna. Umówili się wcześniej, że pytanie zada ten, z którym aplikant sędziowski złapie lepszy kontakt. Bez wątplenia był to Simonsen, dlatego powiedział:

– Jak zapewne się domyślasz, będziemy musieli porozmawiać z twoją siostrą. Dla obu stron byłoby najlepiej, gdyby ta rozmowa mogła się odbyć w Danii, bo nie możemy pojechać do Norwegii, aby przesłuchać norweską obywatelkę, nie informując o tym tamtejszej policji. Ale takich rzeczy nie musimy ci przecież wyjaśniać.

– Zobaczę, co da się zrobić. Kiedy to miałyby nastąpić?

– Zadzwoimy do ciebie. Nie wcześniej niż za tydzień albo dwa, bo zaczniemy od jej kolegów z klasy, a może się też okazać, że sprawa zrobi się nieaktualna.

– Miejmy taką nadzieję.

Funkcjonariusze z wydziału zabójstw ledwo zdążyli opuścić gmach sądu w Næstved, gdy Simonsen nagle się zatrzymał i stanął jak wryty.

– Co się dzieje? Źle się czujesz? – spytał zaniepokojony Pedersen.

– Nie, ale myślę coraz wolniej. Chodź, musimy tam wrócić.

Hansen ze spokojem przyjął ich nagłe wtargnięcie do jego biura.

– Zapomniałem zapytać o jedną rzecz – wysapał zdyszany Simonsen. – Czy ten ruch skautowy, w który angażował się twój ojciec, nie miał przypadkiem jakiejś placówki kolonijnej w okolicach Esbjerg?

– Gospodarstwo nad Morzem Północnym – Vesterhavsgården. Pamiętam tamto morze i że bywaliśmy tam kilkukrotnie jako dzieci, ale czy ośrodek znajdował się w okolicach Esbjerg czy Blokhus, tego nie wiem.

Funkcjonariusze podziękowali. Aplikant sędziowski nagle się skurczył, jakby dopiero teraz do niego dotarło, jakie znaczenie mogła mieć ta informacja. Po chwili dodał cicho:

– Niestety wydaje mi się, że to dość spory obszar. W każdym razie tak to zapamiętałem.

Vesterhavsgården okazał się idealną wskazówką, mimo że obecnym właścicielem gruntu była gmina Esbjerg, a samo miejsce zmieniło nazwę. Na podstawie zdjęć zrobionych przez Jørgena Kramera Nielsena nie dało się ustalić, czy miejscem pobytu Bandy Sześciu był ośrodek kolonijny, ani tego wykluczyć. Funkcjonariusze przeszukujący tereny w pobliżu hotelu Nørballe otrzymali rozkaz poszukiwania domku letniskowego i właśnie to zrobili. Omijali ośrodek kolonijny do czasu, dopóki Simonsen nie zadzwonił do Arnolda.

Zdjęcia pasowały. Arnold osobiście pofatygował się z aparatem, a po zrobieniu zdjęć natychmiast wysłał je mailem do Simonsena i wszystko stało się jasne: ściany z drewnianych desek, konstrukcja wieńcowa i położone z tyłu wzniesienie przypominały te sprzed niemal czterdziestu lat. Wiatrownice zostały wykończone stylizowaną głową smoka, najpewniej scyzorykiem, a potwór istniał również w 1969, choć na czarno-białych odbitkach trudniej go było dostrzec. Wytropiono również mężczyznę z zespołem Downa. Mieszkał w gospodarstwie naprzeciwko aż do swojej śmierci w 1991 roku, ale starsi ludzie z okolicy nadal pamiętali Toelsa Głupka – nieszkodliwą, radosną istotę, której nie było już wśród żywych. Jedyną łyżką dziegiu w tej beczce miodu okazał się fakt, że Hansen niestety miał rację w sprawie wielkości gruntu, obejmującego ponad trzydzieści hektarów pagórkowatego terenu, pokrytego trawą, żarnowcem miotlastym, wrzosem, drzewami iglastymi i gąszczem jeżyn. Simonsen i Berg powiększyli interesujący ich obszar na Google Earth. To nie był optymistyczny widok, jeżeli poszukiwało się zwłok.

Berg pokręciła głową, gdy zobaczyła ośrodek kolonijny z lotu ptaka.

– Nie damy rady się przekopać przez cały teren, skoro nie mamy pojęcia, gdzie ona leży. Mogli ją ukryć wszędzie.

– Nie sądzę, żeby targali ją dalej, niż to absolutnie konieczne – zauważył Simonsen.

– Może i nie, ale nie mamy żadnych wskazówek. Może leżeć nawet dziesięć metrów od drzwi wejściowych, a i tak jej nie znajdziemy.

– Masz rację. Tak to na ten moment wygląda.

– Podobno są takie skanery, które potrafią zlokalizować kości i tego typu przedmioty. Działają tak jak detektory metalu, tyle że chodzi o zwłoki. Czy Kurt Melsing nie dysponuje takim sprzętem?

– Nie w przypadku piasku i nie po tylu latach.

– Wielka szkoda. Co w takim razie zrobimy?

– Będziemy czytać.

Załatwił trzy roczniki „Młodych Skautów” z lat 1967–1969 i zostawił je na biurku. Helena Brage Hansen odpowiadała na listy nadsyłane do redakcji i Simonsen uważał, że lektura jej rubryki to znakomita okazja do poznania osobowości Heleny.

Berg przystała na jego pomysł bez większego entuzjazmu. Nie miała wielkiej ochoty wczytywać się w niemal czterdziestoletnie artykuły ruchu skautowego, ale dla odmiany zrobiła to, o co została poproszona.

Dopiero później Simonsen zorientował się, że wyznaczył swojej młodszej koleżance zbyt trudne zadanie. Dotarło to do niego, gdy po półtorej godziny lektury nagle się odezwała:

– Nie jestem pewna, czy rozumiem, czego mam szukać.

Uniósł wzrok znad czytanego czasopisma.

– Na podstawie rad, których tam udziela, masz spróbować ocenić, jakim była człowiekiem, jakie miała poglądy, wizje, marzenia, jakie zasady wyznawała i tak dalej. W swoich odpowiedziach często przecież przedstawia własny punkt widzenia.

– Sama była młoda.

– Tak, i co z tego?

– Wydaje mi się, że to dziwne, że udzielała rad. Zazwyczaj robi to ktoś starszy. Ale poza tym pisała całkiem nieźle.

– Chciała zostać dziennikarką.

– Skąd to wiesz?

– Z odpowiedzi, które właśnie przeczytałem, a które ty miałas w ręku dziesięć minut temu.

Berg potarła oczy.

– Chyba nie idzie mi zbyt dobrze. Mógłbyś mi podać jakiś przykład?

– Przykład czego?

– Czegoś, co znalazłeś i uznałeś za istotne.

Simonsen spojrział na swój blok z notatkami i wyjął jedno z czasopism.

– Posłuchaj tego. Odpowiada dziewczynie, która nie może znaleźć chłopaka i czuje się wyobcowana w swojej klasie. Cytuje: „Powinnaś pozostać sobą. Zdaję sobie sprawę, że to może być trudne. Jednak nie warto zabiegać o towarzystwo, jeżeli bilet wstępu oznacza, że trzeba zrezygnować z samego siebie. To zbyt wysoka cena, niezależnie od tego, jak atrakcyjna wydaje się oferta”.

– Tak, to oczywiste, ale co z tego wynika? – zapytała Berg.

Zignorował ten przykład i poszukał kolejnego.

– Tutaj mamy chłopaka, który został skarcony przez swojego druha, bo powiedział, że nie podoba mu się wojna w Wietnamie.

– Nikomu nie podoba się wojna.

– On ma na myśli zaangażowanie USA w Wietnamie. Posłuchaj, co mu między innymi odpowiedziała. Cytuję: „Możesz uważać, co ci się tylko podoba, to twoje prawo, i tak odpowiedz swojemu druhowi. Zastanów się jednak też nad faktem, że Wietnam Północny jest dyktaturą, podobnie jak Południowy. Nie mówi się o tym zbyt często, ale to prawda. Spróbuj sobie wyobrazić, że USA również są dyktaturą. To nie takie proste, ale spróbuj i potem pomyśl, jak wtedy wyglądałaby sytuacja w Danii. Nie jest sztuką opluwanie muru, gdy się wie, że i tak się nie zawali.

– Brzmi bardzo sensownie. Zgodzisz się ze mną?

– To nie ma znaczenia, do cholery, czy się zgadzam, czy nie. Chodzi o to, co musieli o niej myśleć koledzy z klasy.

– A skąd mam to wiedzieć? Przecież tylko skauci do niej pisali.

– Musiała na nich działać jak płachta na byka.

Berg nie odpowiedziała, a Simonsen stwierdził z satysfakcją, że wreszcie udało mu się skierować jej myśli na właściwe tory. Ale zaraz się okazało, że jednak nie.

– Chyba już rozumiem, o co ci chodzi – powiedziała. – Powinna bardziej się postarać. Oczywiście to nie jej wina, że tak wyglądała, ale mogła

spróbować trochę zabłysnąć i sprzedać się nieco lepiej. To nie musiałyby dużo kosztować. Ale... może wtedy kosztowało, skąd mam to wiedzieć.

– Pauline, zapomnij o tym, to bez znaczenia.

– A co z pozostałymi? Dlaczego to właśnie ona tak bardzo cię interesuje?

– Bo jest jedyną osobą, o której znaleźliśmy jakieś informacje. Poza tym była kimś w rodzaju ich nieformalnej przywódczyni.

– Przywódczyni Klubu Samotnych Serc.

– Tak, coś w tym stylu.

– Skąd właściwie wzięli tę głupią nazwę?

Simonsen zwolnił Berg z czytania odpowiedzi Heleny, chociaż chyba nie do końca, bo gdy zebrała czytane czasopisma i ułożyła je chronologicznie na kupkę, zapytał:

– A co z Klavsem Arnoldem? On też powinien trochę zabłysnąć?

Już dawno chciał ją o to zapytać, kiedy nadarzy się ku temu okazja, tak jak teraz – nie tyle o jego wygląd, co o ewentualne zatrudnienie. Gdy usłyszał jej odpowiedź, pożałował, że nie zadał tego pytania dużo wcześniej.

– Gdy go zatrudnisz, Hrabianka i ja poradzimy sobie z tym.

– Skąd wiesz, że chcę go zatrudnić? Czy Hrabianka z tobą o tym rozmawiała? A może Arne?

– Nie, ale to przecież przez cały czas wisiało w powietrzu. A nie zamierzasz tego zrobić?

– Owszem, i to w najbliższym czasie, jeżeli się zgodzi.

* * *

W sobotnie przedpołudnie Simonsen i Hrabianka wybrali się na zakupy do centrum handlowego w Lyngby. Kobieta ochoczo zapełniała koszyk. Miała do tego bardzo swobodne podejście, po prostu bez większego namysłu zdejmowała z półek różne produkty. Na dodatek z wyrazem twarzy sugerującym, że dokładnie przemyślała każdy zakup. Na początku Simonsen dawał się nabrać na to zachowanie, ale te czasy dawno minęły. Od czasu do czasu wyławiał z koszyka jakiś produkt i odkładał go z powrotem na

półkę, co nawet niespecjalnie jej przeszkadzało. Niekiedy robił to bez słowa komentarza, czasami próbował tłumaczyć: „Nasze szafki kuchenne są wypychane kawą. Po co nam trzy dodatkowe opakowania?”. Hrabianka w odpowiedzi machała ręką i pchała wózek dalej. Po odejściu od kasy skierowali się z wózkiem do windy, a potem popchali go w kierunku samochodu Hrabianki, zaparkowanego na podziemnym parkingu. Tutaj przełożyli zakupy do plastikowych torebek i zapakowali do bagażnika.

– Zdaję sobie sprawę, że byłam niesprawiedliwa, gdy wypominałam ci tę broszurę z Frederiksværk i robiłam ci wyrzuty z powodu wizyty w Rødby – przyznała Hrabianka. –Przepraszam. Nie chciałam cię urazić i teraz jest mi przykro.

Mruknął coś w odpowiedzi, a ona nie przestawała wyjaśniać, używając tych samych co zwykle argumentów. Mimo to poczuł, że sporo myślała o tym, co miała mu teraz do powiedzenia: Jeszcze nie doszła do siebie po rozwodzie, chociaż minęło już prawie pięć lat. Oczywiście nie była już zakochana w swoim byłym mężu, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nadal jednak odczuwała zazdrość, myśląc o jego życiu rodzinnym i dzieciach. Zdarzało się, że gdy przebywała w przestrzeni publicznej, nie mogła się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że być może natknie się na jego nową rodzinę, a co gorsze, zobaczy ich z dziecięcym wózkiem. Przyznała bez ogródek, że jest nadpobudliwa i zapewne też trochę małostkowa, ale tak to właśnie z jej strony wyglądało.

Powiedział, że ją rozumie, i pomyślał, że zna powód takiego zachowania, ale nie może o nim wspomnieć. To było tabu. Dawno temu straciła dziecko, jedyne – nic więcej nie wiedział, ale to i tak wystarczyło. A teraz ta jej strata odbijała się na ich związku i co on mógł z tym zrobić? Nic, pozostawało tylko mieć nadzieję, że z czasem wszystko się zmieni.

– Skąd wiedziałaś, że byłem na komisariacie w Rødby i dowiadywałem się w sprawie Rity? – spytał tonem, który sam uznał za zdecydowany.

Posłała mu ironiczny uśmiech.

– Mogłam się tego domyślić. W czwartkowy poranek, gdy brałaś prysznic, na naszą sekretarkę stacjonarnego telefonu nagrał się funkcjonariusz z policji w Rødby. Najwyraźniej wcześniej poinformował cię, że PET inte-

resowała się Ritą Metz Andersen, gdy w 1974 roku została aresztowana za szmuglowanie waluty. Zdaje się, że zainteresowały się nią dopiero parę miesięcy później. Coś w tym stylu, ale sam to możesz odsłuchać.

Ta wiedza poprawiła mu humor. Obawiał się, że wyjaśnienie mogło okazać się dużo bardziej nieprzyjemne. Domyślał się, że pozostałe niejasności omówią po drodze.

– Simonie, myślę, że najlepiej będzie, jak odwiedzisz ją jak najszybciej i będziesz mieć to z głowy.

Nie było wątpliwości, że miała na myśli Ritę. Niczego jej nie obiecał, pokiwał tylko z namysłem głową do przodu i do tyłu, a ten gest można przecież różnie interpretować.

Gdy dojeżdżali do domu, atmosfera między nimi powoli się rozluźniała. Sugerowały to krótkie, niezobowiązujące komentarze na temat ruchu drogowego i pogody.

– Wiesz, zostałam zaproszona do Teatru Królewskiego w niedzielę, na *Fausta* Goethego, w gościnnym wykonaniu Deutches Theater – zagaiła Hrabianka.

Simonsen zaczął wietrzyć problemy, ale nieco mniej poważne niż te sprzed pół godziny.

– Nie ze mną. Umówiłem się sam ze sobą, że tego wieczoru nigdzie się nie wybieram.

– Spokojnie, nikt cię nie zaprasza, idziemy ze Stellą tylko we dwie.

– Kim jest Stella? Nie znam żadnej Stelli.

– Stella to przebojowa kobieta, matka pięciorga dzieci, chociaż ona twierdzi, że sześciorga, i przyszała członkini Parlamentarnej Komisji Kultury. Najwyraźniej dostaje bezpłatne wejściówki na tego typu imprezy. Jej mąż najprawdopodobniej jest tak samo na bakier z kulturą jak ty, więc bilety dostały się mnie.

– Ach tak. A właściwie to jaką partię reprezentuje?

– Nie mam pojęcia, nigdy nie pytałam. To zresztą całkowicie drugorzędna sprawa.

– Taa, masz rację.

– A zmieniając temat. Powiedz mi, jak tam Klavs. Jak zorganizował poszukiwania? Sprawdził się?

– Tak, świetnie. I ucieszył się, że przyjechałyśmy, chociaż Pauline była bardzo powściągliwa, żeby nie powiedzieć milcząca.

– Czyli uważasz, że facet wie, co robi? Chodzi mi nie tylko o wczoraj, ale też o zeszły tydzień, gdy pracowaliście razem.

– Wspaniale się z nim współpracuje, nie ma co do tego wątpliwości. Chociaż na początku było trochę bałaganu. Musiał się przyzwyczaić, że współpraca dotyczy obu stron. Nawet z kobietami. Ale potem nie było już najmniejszych problemów.

– Zabrzmiało jak mowa obronna. Czy to najlepsze, co możesz o nim powiedzieć?

– Jest zdolny, metodyczny i kreatywny. Teraz lepiej?

– Znacznie lepiej.

– W pewnym momencie nawet mi zaimponował i chyba ci jeszcze o tym nie opowiadałam. Za pierwszym razem, gdy tam pojechałam, miałam ze sobą zdjęcie Jørgena Kramera Nielsena po retuszu. Trudno było się domyślić, że to zdjęcie nieboszczyka, ale jego oczy wydawały się dziwne, żeby nie powiedzieć nieprzyjemne.

– Technik od zdjęć musiał mu wstawić otwarte oczy.

– Tak i nie było w tym nic niewłaściwego z anatomicznego punktu widzenia, ale w praktyce to trochę utrudniło nam pracę. Potencjalni świadkowie, których poprosiliśmy o przyjrzenie się zdjęciu, szybko odwracali wzrok. Wielu z pewnością nawet nie zdawało sobie z tego sprawy. Klavs zwrócił na to uwagę i potem już pokazywaliśmy portret Nielsena zamiast tej fotografii. Dzięki temu właścicielka hostelu Nørballe go rozpoznała, choć za pierwszym razem się to nie udało. A teraz już kończymy na dzisiaj z pracą. Nie mam już na to ani siły, ani ochoty.

– Dobrze, umowa stoi. Zadzwonię do Klavsa i zapytam, czy nie wpadłby wieczorem do komendy, jeżeli znajdzie na to czas.

– Wieczorem? To nie może poczekać? A swoją drogą, czy musi przyjeżdżać? Nie możesz z nim porozmawiać przez telefon?

– Mógłbym poczekać albo porozmawiać z nim przez telefon, ale nie chcę tego odkładać. Jak Klavs przyjedzie, możesz pojechać ze mną, jeżeli masz ochotę.

Zaakceptowała fakt, że sprowadzi tu Jutlandczyka, skoro tak wołał. Dzisiaj nie była w nastroju do kłótni.

Nawet wtedy, gdy parę godzin później nadarzyła się ku temu kolejna okazja. Zajmował się odkurzaniem i czyszczeniem ich samochodów, a ona przysiadła na rozkładanym krzeselku z książką w dłoni. Gdy wyłączył odkurzacz, zagadnęła:

– Gdy będziesz próbował odnaleźć Ritę...

– Przecież powiedziałem, że to nic pewnego – wszedł jej w słowo.

– A ja mówiłam, że najlepiej będzie załatwić to jak najszybciej.

– Nie ma nawet pewności, że mieszka w Danii. Właściwie to nie sądzę, żeby tak było.

– Dlaczego tak uważasz?

– Wyjechała do USA. Jej marzeniem był wyjazd do San Francisco.

– Z dała od Danii?

– To też, tak, to też.

* * *

Skonfrontował Ritę ze swoją wiedzą o tym, że była w Izraelu. Ze złamaną nogą. I nie przebierał w słowach. Porywanie samolotu, zamach, podczas którego niewinni ludzie giną tylko dlatego, że są Żydami czy Amerykanami, z powodu wydarzeń na Bliskim Wschodzie, z którymi nie mają nic wspólnego – czy w takim świństwie chciała brać udział? Tak, mogła teraz płakać, ile jej się żywnie podobało, miał to głęboko gdzieś. Naprawdę chciała być odpowiedzialna za śmierć niewinnych ludzi, przypadkowych pasażerów, którzy nic jej nie zrobili, czy jakichkolwiek innych osób? Wtedy też ją uderzył. Uderzył ją otwartą dłonią w czołko, gdy siedziała z głową ukrytą w dłoniach i płakała. Kilka razy i mocno. Domagał się odpowiedzi. W końcu zaczęła coś niemrawo tłumaczyć. Nie wiedziała, dla kogo pracowała, było takich dwóch mężczyzn – jeden Duńczyk, drugi obcokrajowiec, chyba Syryjczyk. Spotykali się w różnych kawiarniach

i wtedy dowiadywała się, co ma zrobić. Podczas wyjazdu do Izraela miała przyjrzeć się kontroli bezpieczeństwa na lotnisku i sprawdzić, czy jej gips będzie prześwietlany.

Wyciągał z niej informacje, wypytywał bez końca i notował, nie zastanawiając się, co ona o tym myśli. W końcu wyczerpał listę pytań, ona przestała płakać i siedziała jak skamieniała, wpatrując się pustym wzrokiem przed siebie.

– Nie można stamtąd odejść. To tak nie działa – odezwała się nagle.

Nie pamiętał, co na to odpowiedział, nie potrafił sobie też przypominieć, jak zareagował później, gdy dodała:

– Konradzie, ucieknijmy od tego wszystkiego. Możemy wyjechać do USA i zacząć wszystko od początku. Tam nigdy mnie nie znajdą.

Następnego dnia zadzwonił do PET i złożył raport. Podziękowali za informacje, ale domagali się kolejnych. Odmówił.

– Wydaje mi się, że Rita wróciła. – Spokojny głos Hrabianki przywrócił go do rzeczywistości.

Właśnie wysypywał popiół i niedopałki z samochodowej popielniczki do plastikowej torebki, którą zabrał ze sobą do tego celu. Pety były stare, jeszcze z czasów, gdy palił.

– Tylko mi nie mów, że zaczęłaś jej szukać.

– Spokojnie, nikogo nie szukałam. Zresztą w twoich ustach brzmi to tak, jakby chodziło o jakieś skomplikowane dochodzenie. Może wystarczy po prostu otworzyć książkę telefoniczną.

– Możliwe, ale nadal nie jestem pewny, czy tego chcę. Dlaczego sądzisz, że ona jest w Danii?

– Nie miała żadnego rodzeństwa, prawda?

– Tak, i co z tego?

– Czy kiedykolwiek przejrzałeś tę broszurę, którą dostałeś w gminie Halsnæs?

Potrząsnął przecząco głową. W przypiływie złości odłożył gdzieś ten folder, nawet do niego nie zaglądając. Przyniosła go teraz i otworzyła na odpowiedniej stronie.

– Wydaje mi się, że jej wnuczka wystąpi jutro po południu w domu kultury Gjethuset w Frederiksværk. Szkoły muzyczne organizują tam swój coroczny wspólny koncert, a jeden z występów to Piosenki dla babci – interpretacje trzech piosenek Joan Baez w wykonaniu Teresy Metz Andersen. Bardzo prawdopodobne, że to twoja Rita jest tą babcią.

Simonsen przyglądał się programowi, po czym odezwał się wolno, jakby smakował każde słowo:

– Taak, to wydaje się możliwe.

* * *

Zatrudnienie Klavsa Arnolda zostało nieformalnie przyklepane w sobotni wieczór. Simonsen ściągnął Jutlandczyka do komendy pod pretekstem omówienia strategii przeszukiwania terenu ośrodka skautowskiego. Trudno było w tym przypadku mówić o jakiejś strategii, co funkcjonariusz parokrotnie słusznie zauważył, ale Simonsen upierał się przy swoim. Spotkanie zostało zaplanowane na dwudziestą, bo wcześniej nie dało się tego zrobić. Pedersen nieco protestował, że mają się spotkać w sobotni wieczór, skoro sprawa nie należała do pilnych i można ją było omówić w zwykłych godzinach pracy w kolejnym tygodniu. Simonsen nie przyjmował tych argumentów do wiadomości. Co prawda zaaranżował spotkanie pod wpływem impulsu, ale nikogo nie zmuszał do udziału. Po prostu czuł, że nadszedł odpowiedni moment, by uporządkować sprawę zatrudnienia Arnolda. Czuł – nowe słowo w jego słowniku, ale taka była prawda, więc jego współpracownicy mogli to zaakceptować albo i nie.

Pauline Berg przyszła w eleganckiej kreacji i wyglądała obłądnie, najwyraźniej miała jakieś spotkanie tuż po ich zebraniu, ale jakie i z kim, nie chciała powiedzieć. Miło było móc ponownie zobaczyć ją radosną i otwartą. Niezależnie od tego, jak długo to potrwa.

Zanim pojawił się Arnold, na zewnątrz zapadł zmrok. Dni zrobiły się wyraźnie krótsze, a reszty dopełniła ta przygnębiająca, ciężka od deszczu warstwa chmur, która od tygodnia wisiała nad miastem.

Gdy najważniejszy uczestnik spotkania wreszcie dotarł, Simonsen od razu przystąpił do rzeczy. Ledwo Arnold zdążył się rozsiaść, gdy usłyszał

pytanie:

– Co byś powiedział na to, żeby pracować na stałe u nas zamiast w Helsinge?

Wszyscy zgromadzeni sądzili, że mężczyzna spodziewał się takiego pytania, ale gdy opadła mu szczeka i zaczął zdezorientowany rozglądać się dookoła, zrozumieli, że się pomylili. Chyba że był po prostu świetnym aktorem.

– Mówicie poważnie?

– Nie, tak sobie tylko gadamy i przyjechaliśmy tutaj, bo nie mamy nic lepszego do roboty w sobotni wieczór – odparła oschle Berg.

Trochę jednak spuściła z tonu, gdy Arnold zwrócił twarz w jej stronę i odwzajemnił jej się komplementem:

– Ależ pięknie wyglądasz. Kim jest twój wybranek?

– Yyy, dziękuję. To mój znajomy.

– Ma facet szczęście. I tak, bardzo chętnie będę tu pracował, jeżeli mnie przyjmiecie.

Nie było już wiele do dodania. Pedersen i Berg niczym podczas zawodów pospieszyli w kierunku drzwi, Hrabianka też się wymknęła. Było parę drobiazgów, które chciała załatwić, skoro się już tu pofatygowała. Simonson zamierzał na nią poczekać. Uderzyło go, że kiedy Arne Pedersen zostanie szefem, to on przestanie się spotykać z ludźmi, którymi tak lubił się otaczać. Minutę później w drzwiach ponownie stanęła Berg.

– Nie powiedziałam tego wyraźnie wcześniej, bo miałam inne rzeczy na głowie. Nie mniej cieszę się, że będziemy razem pracować. Naprawdę bardzo się cieszę.

I ponownie zniknęła.

Dwóch mężczyzn powiodło za nią wzrokiem bez słowa komentarza, aż w końcu odezwał się Simonsen:

– Jak długo zostaniesz w mieście?

– Do jutra. Sądziłem, że będziemy omawiać strategię przeszukania tego gruntu przez całą noc, chociaż moim zdaniem szybko wyczerpalibyśmy temat.

– Bo nie uda nam się jej znaleźć?

– Spędziłem tam zaledwie godzinę. Moja żona ma teraz mnóstwo na głowie, więc muszę jej trochę pomóc z dziećmi. Wczoraj jedna z dziewczynek zachorowała i musiałem spędzić pół dnia w domu. Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

– I co sądzisz o tych poszukiwaniach?

– Nie mamy najmniejszych szans, dopóki nie będziemy wiedzieć, gdzie szukać.

– Słyszę to już drugi raz w ciągu krótkiego czasu. Pojadę jutro z tobą do Esbjerg. Chcę zobaczyć to miejsce.

Rozdział 9

Koncert odbywał się w najpiękniejszej scenerii, jaką można było sobie wyobrazić. Dom kultury Gjethuset w Frederiksværk wyglądał przepięknie w promieniach chłodnego jesiennego słońca tego niedzielnego popołudnia. Pierwotnie ten trójskrzydłowy budynek funkcjonował jako odlewnia armat, więc sala koncertowa była połączeniem surowej hali fabrycznej z XVIII wieku i współczesnej sceny teatralnej o doskonałej akustyce.

Simonsen przyjechał do Frederiksværk razem z Arnoldem. Po koncercie mieli się wybrać do Esbjerg, a potem cały poniedziałek sprawdzać teren Vesterhavsgården. Zatrzymali się na parkingu przed domem kultury i przyglądali, jak napływają kolejni goście.

– Jesteś pewny, że nie chcesz wejść do środka? – zapytał Simonsen. Już chyba po raz trzeci.

Arnold był pewny. Miał pięcioro dzieci, w tym troje w wieku szkolnym, więc naoglądał się już dziecięcych występów i teraz niespecjalnie za nimi przepadał, niezależnie od tego, czy chodziło o szkolny teatrzyk, jasełka, cyrk dziecięcy czy też grę na instrumentach lub śpiew. Simonsen trochę nieswojo czuł się z tym, że Arnold będzie musiał na niego czekać.

– Co będziesz robił w tym czasie?

– Na razie, Simonie. – Klavs się roześmiał. – Do zobaczenia za parę godzin.

Sala koncertowa była wypełniona po brzegi, głównie rodzicami, którzy przyszli podziwiać swoje pociechy. Już przy wejściu Simonsen pomyślał, że musiałyby mieć piekielne szczęście, żeby dostrzec Ritę. Jeżeli w ogóle postanowiła przyjść, a on byłby w stanie ją rozpoznać. W każdym razie nie zamierzał celowo jej szukać. Małe krocзки, cały czas małe krocзки, z pewnością nadarzy się jeszcze inna okazja, żeby ją spotkać.

Zajął miejsce w sali, z tyłu na lewo od sceny, i poczuł się przyjemnie anonimowy w tym tłumie.

Program został przedstawiony przez burmistrza gminy Halsnæs, Helgego Friisa – łysiejącego mężczyznę po pięćdziesiątce, ze sceniczną osobowością i głosem o wyjątkowej głębi, która ujęła Simonsena, choć wcześniej sądził, że taki wstęp trzeba będzie po prostu przeczekać. Burmistrz opowiedział o budynku – fabryce, w której robotnicy przez wiele pokoleń odlewali armaty, a która obecnie stała się miejscem dla kultury, wspólnych spotkań i muzyki – języka, który rozumieli wszyscy.

Przemówienie okazało się przyjemnie krótkie i oklaski wypełniły salę. Były naprawdę gromkie, bo ludzie klaskali dlatego, że chcieli, a nie dlatego, że powinni. Simonsen również do nich dołączył, bo burmistrz na to zasłużył. Program został przedstawiony i koncert mógł się zacząć.

Jako druga wystąpiła Teresa Metz Andersen i wykonała Piosenki dla babci. Gdy dziewczynka wyszła na scenę, Simonsena niemal wbiło w krzesło. Jego reakcja była tak gwałtowna, że po raz pierwszy od kilku miesięcy obawiał się o swoje serce, i na początku musiał aż odwrócić wzrok. Nie był w stanie rozstrzygnąć, czy to jego własne wspomnienia dopasowały się do jej wizerunku, czy też dziewczynka rzeczywiście tak bardzo przypominała swoją babcię, ale podobieństwo między Ritą z początków lat siedemdziesiątych a dziewczynką na scenie było wręcz przerażające.

Dopiero po dłuższej chwili, po tym, jak zaczęła wykonywać swój pierwszy numer, Simonsen był w stanie skupić się na słuchaniu. Dziewczynka śpiewała jasnym i czystym sopranem i z dużą wprawą podgrywała sobie na dwunastostrunowej gitarze. Rozbrzmiało *Sweet Sir Galahad* i Milan Melvin ponownie wszedł przez okno młodszej siostry Joan Baez, tym razem w znakomitej, choć nieco uproszczonej wersji, którą nagrodzono zasłużonymi oklaskami. Według programu dwie kolejne piosenki dziewczynki też były interpretacjami utworów Baez. Było to nieco naciągane, a mimo to Simonsen ponownie wrócił myślami do przeszłości. Teresa Metz Andersen śniła o Joe Hillu, a on o Ricie. Interpretacja piosenki o morderstwie szwedzkiego pracownika najemnego zaproponowana przez wnuczkę okazała się ładna, prosta i przyjemna. Jednocześnie bezpieczna, mało wyrazi-

sta i niezbyt pasująca do osobowości babci. I nagle Simonsen poczuł, jak zalewają go wspomnienia, tak jak to się działo już wielokrotnie w ostatnich miesiącach.

W 1972, mimo lutowego zimna, wybrali się z Ritą na rowerach do Reprise Teateret w Holte, żeby pójść do kina od razu na dwa filmy Bo Widerberga. Najpierw obejrzeni *Ådalen 31* o sporze pracowniczym szwedzkich robotników w Sandviken i Utansjö, w Ådalen w 1931 roku, który zakończył się tragicznie – śmiercią pięciu robotników, gdy szwedzkie wojsko otworzyło ogień do demonstrantów. Pokłócili się już w przerwie między filmami. Rita zgrabnie przeskoczyła ostatnie czterdzieści lat i z niezachwianą pewnością twierdziła, że coś podobnego mogłoby się z powodzeniem wydarzyć dzisiaj w Danii. Wojskowa presja na duńskie związki zawodowe była jej zdaniem scenariuszem, z którym należało się liczyć. On sam uważał, że film był znakomity, ale niespecjalnie aktualny. Przytoczył ten niewygodny argument, że przecież przedstawiciele duńskich związków zawodowych regularnie umawiali się na spotkania koordynacyjne z rządem i z pewnością nikt nie zamierzał ich rozstrzelać, nawet po zmianie władzy. Później złożyli się na cztery grillowane kiełbaski, z których ona zjadała aż trzy. Stwierdziła, że jest głupi. Zaprotestował.

– Czyżbym miał zmańdrzeć, gdy zgłodnieje?

Przeżuła swoją porcję i pocałowała go w odpowiedzi. Ich związek wciąż był nowy, więc pocałunek smakował lepiej niż kiełbaska.

Jednak po kolejnym pokazie kłótnia przybrała na sile. Drugi film nosił tytuł *Joe Hill*, a Bo Widerberg naprawdę porywająco przedstawił losy szwedzko-amerykańskiego agitatora związków zawodowych. Syndykalista, krytyk społeczny i autor satyrycznych tekstów piosenek został stracony w 1915 roku w Utah po politycznym procesie pokazowym. Po seansie Rita dała upust wszystkim swoim emocjom. Sprawiała wrażenie, jakby za wszelką cenę dążyła do kłótni, aby móc wyładować gdzieś swój gniew. A dokładniej na Simonsenie. Wściekł się. Ani ona, ani ta jej lewicowa frakcja nie miały żadnego patentu na sprawiedliwy proces, a on z kolei siły na tłumaczenie kontekstu pomyłki sądowej, nie mówiąc już o tym, że nie

czuł się osobiście odpowiedzialny za egzekucję Joego Hilla, niezależnie od tego, czy był gliniarzem, czy nie.

W drodze powrotnej kłócili się zaciekle, aż w Sorgenfri wykorzystwała po chamsku okazję, że musiał pójść na stronę, i przebiła oponę jego roweru. Przez następne kilometry jechała wolno przeciwległym pasem i śpiewała mu piosenkę o Joe Hillu:

*Widziałam nocą Joe Hilla we śnie,
Żywego jak ty i ja,
„Jak to, Joe, przecież nie żyjesz od dziesięciu lat”
„Nigdy nie umarłem”, odrzekł.
„Nigdy nie umarłem”, odrzekł.*

Jej piękny, mocny głos przebijał się przez zimową noc i z chęcią zaarrestowałby ją za zakłócanie porządku publicznego, gdyby był w stanie ją dogonić. Jakiś poirytowany mieszkaniec domagał się przez okno spokoju, a ona zaczęła śpiewać jeszcze głośniej. A potem odjechała, a on musiał ciągnąć swój rower, koszmarnie zły z powodu zniszczenia, którego się dopuściła, a jednocześnie smutny, że jej przy nim nie było. Poza tym był mocno zazdrosny o jej zaangażowanie społeczne, ale do tego nigdy by się nie przyznał. I nagle okazało się, że wcale nie odjechała. W Lyngby dostał od niej śnieżką w plecy. Rita ukryła się w wiacie przystanku i postanowiła się poużalać nad Simonsenem. Był przecież tylko niedoinformowanym gliną, który nie potrafił pozbyć się tych swoich urojeń. Mógł wrócić z nią do domu, skoro było tak zimno. Razem ciągnęli swoje rowery, obejmując się i wydychając marznące powietrze w górę, w stronę ulicznych latarni, zapominając o chłodzie. Ze wzniesienia przy Klampenborg Bakke zjechali na rowerze. To znaczy on prowadził, z Ritą siedzącą na bagażniku, przytrzymując drugą ręką swój własny rower i marząc o tym, aby nie spotkać w okolicy kolegów z patrolu. Niemal u podnóża wzniesienia, na zakręcie, rower się pod nimi zapadł i oboje wylądowali w rowie, w śnieżnej zaspie. Na szczęście nikomu nic się nie stało, długo tam leżeli, zaśmiewając się jak szaleni. Potem Rita chwyciła jego głowę w swoje dłonie i ponownie zaśpiewała. Tym razem cicho i pięknie, tylko dla niego.

*Od San Diego aż po Maine,
W każdej kopalni, w każdym młynie,
Gdzie robotnicy bronią swoich praw,
Joe Hilla nie zabraknie,
Joe Hilla nie zabraknie!*

Teraz jej wnuczka śpiewała tę samą piosenkę, tak nieskazitelnym głosem, że żaden nauczyciel muzyki nie mógłby jej nic zarzucić, a Simonsen pogrążył się w myślach, będących nieprzyjemną mieszanką skrywanych uczuć i ponurej terażniejszości. Piękne amerykańskie i szwedzkie krajobrazy z filmu Bo Widerberga wdarły się do jego umysłu na krótką chwilę, tylko po to, żeby za chwilę ustąpić miejsca obrazowi piaszczystego terenu plantacji nad Morzem Północnym, który wysłał mu Klavs Arnold, gdy odnalazł chatkę skautów. Simonsen poczuł złość, której źródła nie potrafił ustalić, może na dziewczynkę na scenie, która śpiewała tak poprawnie, a może na jej babcię, która przebiła mu oponę, czy też może na Lucy Davison, ukrytą w piaszczystej ziemi. A może na nie wszystkie razem.

Teresa Metz Andersen wykonywała swój ostatni numer. *We Shall Overcome* dyskwalifikował ją ostatecznie jako piosenkarkę śpiewającą protest songi. Uprzejmie i poprawnie udawiała swym śpiewem, że jedyne, co ją łączy z plantacją bawełny, to dobrze dopasowana tunika marki Patrizia Pepe. Gdy skończyła, ukloniła się nieśmiało. Została nagrodzona burzą oklasków, a na scenie pojawił się kolejny geniusz.

W przerwie Simonsen rozważał wyjście z sali. A mimo to został i skusił się na filizankę nieco rozwodnionej kawy, ustawivszy się w rogu. Mógł się tam trochę schować, a jednocześnie przyjrzeć się stamtąd pozostałym gościom. Od czasu do czasu rozglądał się na boki, ale zasadniczo trzymał się z dala od ludzi.

Gdy wrócił na miejsce, zauważył, że ktoś rozłożył jego program i przewiesił go przez poręcz krzesła. Sięgnął po niego i wtedy w prawym rogu spostrzegł napisane w pośpiechu, choć czytelnie adres i godzinę. Wtedy postanowił wyjść. Program zabrał ze sobą.

W poniedziałkowy poranek Simonsen i Arnold rozpoczęli poszukiwania zwłok Lucy Davison od wizyty w ratuszu w Esbjerg, gdzie pewien uprzejmy, choć małowówny zastępca kierownika administracyjnego wydał im specjalne legitymacje środowiskowe. Zostały wystawione przez wydział techniczny i uprawniały do inspekcji terenu kolonijnego wokół Vesterhavsgården pod kątem ewentualnego zanieczyszczenia gleby – stanowiły przykrywkę. Arnold uznał, że to niepotrzebne, ale Simonsen był wdzięczny. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowali, była prasa kolorowa. A z własnego doświadczenia wiedział, jak niespodziewanie może się na miejscu zmaterializować jakiś dziennikarz, albo dwóch. Ze swoimi niewygodnymi i zabierającymi czas pytaniami.

Przez trzy godziny włączyli się po terenie, poprzecinanym wzdłuż i w szerz różnymi wysłużonymi drabinkami dla dzieci. Na terenie ośrodka przebywali goście, więc w najmniej spodziewanych miejscach pojawiały się ciekawskie dzieciaki, ale w końcu znudziły się szpiegowaniem i zostały funkcjonariuszy w spokoju.

Od czasu do czasu, gdy Arnold odczuwał taką potrzebę, wymieniali kilka zdań.

Simonsen był milczący i maksymalnie skoncentrowany, jakby sądził, że odkryje grób dziewczyny, jeżeli będzie przeszukiwał teren wystarczająco uważnie. Arnold ze swoim doświadczeniem w pracy w terenie cały czas doskonale się orientował, gdzie w danej chwili się znajdują, a za punkt odniesienia przyjął teren ośrodka i okoliczne szutrowe ścieżki. Po pewnym czasie, gdy po raz trzeci lub czwarty podążali własnymi śladami, Simonsen również zaczął rozpoznawać okolicę.

– W każdym razie możemy pominąć miejsca, gdzie rosną duże sosny – stwierdził Arnold. – Grube korzenie bardzo utrudniają kopanie w ziemi. Nie dokładaliby sobie pracy.

– Czy wiesz, ile sosna potrafi urosnąć przez czterdzieści lat?

– To zależy od gatunku, ale musisz liczyć około dziesięciu centymetrów rocznie.

– Skąd ty to wiesz?

– Sprawdziłem rano w sieci, kiedy ty jeszcze smacznie spałeś.

Simonsen nocował w pokoju gościnnym u Arnolda, a na śniadanie obudziło go dwóch ciekawskich chłopców w wieku siedmiu, ośmiu lat. Patrzyli na niego z ciekawością, a potem, gdy ojciec poszedł do kuchni, żeby przygotować kanapki, szybko przełamali nieśmiałość i zaczęli szczegółowo wypytywać: „Czy to prawda, że byłeś w telewizji? Czy ty rządysz tatą? Nie masz swojego samochodu?”. Kiedy Arnold wrócił, zagonił ich do pokoju po plecaki i chłopcy pojechali do szkoły rowerami. Dopiero wtedy Simonsen mógł zjeść swoje śniadanie.

Później, po kolejnej półgodzinnej wędrówce, Arnold stwierdził:

– Stawiałbym na otwarte piaszczyste tereny do pięćdziesięciu metrów od ośrodka.

– Jest tego trochę.

– Niestety tak, o wiele za dużo.

– A może pod którymś z domków – zasugerował Simonsen. – Stoją przecież na cokołach. To by się dało bez problemu sprawdzić, chyba że trzeba by było wsunąć się głębiej.

– Nie, gdyby kopali w tym miejscu, zostawiliby widoczne ślady. Otwarty piaszczysty teren jest o wiele lepszy.

Usiedli pod kilkoma sosnami i z apetytem zjedli przez Arnolda kanapki. Pogoda była słoneczna, ale gdy jakaś chmura zasłoniła słońce, szybko robiło się chłodno. Simonsen spojrzął na wierzchołki drzew i wypatrywał dziury w pokrywie chmur. Wysoko na niebie ujrzał duże stado ptaków ciągnących na południe, które nagle zmieniły kierunek. Zrobiły to bardzo sprawnie, jednomyślnie podjęły decyzję.

Po chwili wstał. Wrócili do pracy.

I nagle ich trzygodzinna, mniej lub bardziej przypadkowa wędrówka przyniosła rezultat. To Klavs Arnold pierwszy to zauważył. Mniej więcej w najodleglejszym zakątku działki, przy kamiennym murku, tuż przy ścieżce prowadzącej do wiejskiej drogi, nagle się zatrzymał, niczym wietrzący zwierzynę drapieźnik. Pomiędzy bażyną, mchem i warstwą torfu,

powyżej niewielkiej, niepozornej kępki wrzośca bagiennego, którego smętne fioletowe kwiaty kiwały się subtelnie tam i z powrotem. Simonsen również to zauważył – kamień w murku, odstający od pozostałych, który specyficznym odbijał światło. Obaj mężczyźni się pochylili, a Arnold zaczął go skrobać paznokciem.

– Stearyna.

Nie minęło wiele czasu, gdy znaleźli torebkę. Była zapakowana w solidny przezroczysty plastikowy worek i wepchnięta w wyrwę w murze kilka metrów od kamienia pokrytego stearyną. Założyli rękawiczki, a Arnold wyciągnął aparat.

– Nie powinniśmy wezwać techników?

Simonsen pokręcił głową.

– Nie, ale bądź ostrożny.

– Zawsze jestem ostrożny w takich sytuacjach.

I rzeczywiście był. Upłynęło trochę czasu, zanim otworzyli torebkę, a jej zawartość – jeden przedmiot po drugim – umieścili w woreczkach na dowody. W środku znaleźli opakowanie podgrzewaczy, trzy szklane osłonki na świece, Biblię i niewielką poduszkę. Załedwie dwadzieścia metrów dalej, w gąszczu malin, natrafili na wiązaną zwiędłych łądy, spiętych czerwoną gumką.

– Kwiaty mają ponad rok, a może dwa lub trzy – skomentował fachowo Arnold. – Zgaduję, że znajdziemy kolejne, jeżeli przeszukamy gęstwiny. Zachodni wiatr przywiał bukiety aż tutaj.

– Myślisz, że tutaj leży? – Simonsen wskazał palcem kamień pokryty stearyną.

– Nie, wydaje mi się, że po prostu dalej niż tu nie miał odwagi podejść. Tutaj mógł uklęknąć i się pomodlić, niewidoczny z domku i ze ścieżki. Ale mamy jakiś wybór?

– Nie, nie mamy.

Koparka pracowała irytująco wolno, gdy łyżka za łyżką wgryzała się w piaszczystą ziemię. Kolejne porcje piasku były przynoszone kilka me-

trów do tyłu, a następnie żmudnie wysypywane na hałdę ziemi, która za nimi rosła w stronę gąszczy malin. Za każdym razem, gdy łyżka wdierała się kolejne dziesięć centymetrów w glebę, funkcjonariusze przyglądali się temu w skupieniu, na moment wstrzymując oddech. Stali z pochylonymi głowami na skraju wyrwy i mieli nadzieję, choć jednocześnie nie chcieli jej mieć, że w ziemi znajdą szczątki Lucy Davison. Obciążające doświadczenie, trwające niemal dwie godziny, które nie przyniosło nic poza znacznym nadwyrężeniem systemów nerwowych obu policjantów. W końcu przerwali kopanie i kazali operatorowi maszyny ponownie zasypać dziurę.

Simonsen zachował na tyle realizmu, aby przyznać przed sobą, że jego możliwości powoli się wyczerpują. Znalezienie miejsca modlitwy Jørgena Kramera Nielsena nie było przełomowym odkryciem. We wtorek rano na swoim biurku w komendzie inspektor znalazł księgę gości z chatki skautów z 1969 roku. Nie miał pojęcia, kto ją tam zostawił, ale ona też nie oznaczała żadnego radykalnego postępu w śledztwie. Co prawda Banda Sześciu wpisała się do książki w niedzielę, 15 czerwca 1969 roku, a kompleksowy przegląd wpisów wykazał, że nikt inny nie korzystał z chatki w ciągu następnego tygodnia, jednak to w żaden sposób nie pomogło określić miejsca pochówku Lucy Davison. Żadne z tych dwóch ustaleń nie upoważniały do kolejnego przesunięcia terminu konfrontacji czworga podejrzanych. Poza tym za następnym krokiem przemawiały trzy argumenty, artykułowane przez Hrabiankę, Berg i Pedersena. Temu ostatniemu Simonsen obiecał przecież uroczyście, że rozpocznie przesłuchania, i nadszedł już najwyższy czas, żeby spełnić tę obietnicę.

Powód, by odłożyć przesłuchania o tydzień lub dwa, żeby dokładnie prześwietlić Bandę Sześciu, pojawił się niespodziewanie. Simonsen zwołał naprędce kolejne zebranie i tym razem zdecydował się pominąć podsumowanie, które i tak nie wniosłoby niczego nowego do sprawy. Niechętnie ogłosił długo wyczekiwaną decyzję:

– Bierzemy się za nich teraz. Najpierw Hanne Brummsted, potem Pia i Jesper Nikkelsenowie. Jeżeli to możliwe, pojedynczo. Na koniec Helena Brage Hansen, jeżeli uda nam się ściągnąć ją do Danii. Rozmawiałem

wczoraj z jej bratem i poprosiłem, żeby do niej zadzwonił i z nią porozmawiał.

– Najwyższy czas, ale lepiej późno niż wcale. – Pedersen dał wyraz panującemu nastrojowi.

Berg i Hrabianka głośno przyznały mu rację. Jednak Arnold zaproponował:

– To nie jest dobry pomysł. Mamy jakiś plan B? A co, jeśli nie wyrażą zgody na przesłuchanie?

Jutlandczyk wyglądał jak ktoś, komu przydałby się tygodniowy urlop. Sporo teraz jeździł w tę i z powrotem, a poza tym musiał organizować przeprowadzkę i zajmować się swoją liczną gromadką.

– Skąd przypuszczenie, że odmówią? – spytała Hrabianka.

– A skąd wiecie, że nie? Nie będą musieli nawet wydawać pieniędzy na dobrego adwokata, bo i kiepski rozszarpie nas na kawałki. Nie mamy na nich nic, kompletnie nic.

Simonsen pomyślał, że w postawie Arnolda musi być coś ujmującego, bo mimo że był nowy w zespole, liczono się z jego zdaniem.

Ale Hrabianka nie wydawała się przekonana jego argumentacją.

– Gdybyśmy za każdym razem mieli wstrzymywać się z przesłuchaniami do czasu, aż zdobędziemy niezaprzeczone dowody, to nie udałoby się nam wyjaśnić wielu spraw. Ale co chcecie w takim razie zrobić? Tak, mówię wy, bo wiem, co o tym myślisz, Simonie. Ta kwestia wciąż pozostaje otwarta.

– Przestańcie już, do cholery – westchnęła Berg.

Simonsen zmierzył ją zmęczonym spojrzeniem. Jej wahania nastroju były istnym utrapieniem, choć z czasem nauczył się rozpoznawać, jaki ma humor i co się z nią dzieje. Jeżeli sporo kłęła – rzadko się w tej kwestii mylił – to albo właśnie miała okres, albo była tuż przed nim. Rano, jeszcze przed zebraniem, umówił się z nią i z kobietą z tej jej irytującej grupy – nie pamiętał, jak się nazywała – że następnego dnia spotkają się z Arthurem Elvangiem w Instytucie Medycyny Sądowej. Tak jak jej to obiecał w Melby Overdrev. Miał co prawda nikłą nadzieję, że odmówi, ale szybko

pozbył się złudzeń. A teraz Berg klęła i się dąsała. Zastanawiał się, czy te dwie sprawy – jej kiepski humor i zbliżające się spotkanie z Arthurem Elvangiem – są ze sobą jakoś powiązane. Na logikę to nie miało za bardzo sensu, ale w jej przypadku wiele spraw wyglądało inaczej. Po chwili powiódł wzrokiem po pozostałych i uciął dyskusję:

– Bierzemy ich na przesłuchanie.

Arnold zaakceptował tę decyzję. Obrażanie się nie było w jego stylu. Decyzja została podjęta. Czas miał pokazać, czy nie popełniono błędu.

Do Simonsena należał wybór, kto przeprowadzi poszczególne przesłuchania. Pedersena mógł pominąć, bo ten miał za dużo na głowie. Pozostawali Hrabianka, Berg i Arnold, o ile nie zdecyduje się na włączenie innych funkcjonariuszy, którzy nie należeli do ścisłego zespołu, ale to robił tylko w wyjątkowych przypadkach.

Gdyby mógł wybierać ponad miesiąc temu, sprawa byłaby prosta, ale w komendzie zdążyła się już rozejść plotka, że inspektor, który dochodzi do siebie po zawale, prowadzi sprawę podwójnego zabójstwa. Okazało się, że z pozoru błaha sprawa dotycząca śmierci listonosza, który potknął się na schodach, wymaga ostatecznie skomplikowanego dochodzenia. O takim śledztwie marzył każdy ambitny funkcjonariusz kryminalny. Niewielu z nich miało sposobność uczestniczyć w wyjaśnieniu sprawy zabójstwa sprzed ponad czterdziestu lat. Nawet Hrabianka w domu kilkukrotnie dawała Simonsenowi do zrozumienia, że chętnie wzięłaby udział w przesłuchaniach. Mówiła o tym niejako przy okazji, pozornie nie oczekując od niego odpowiedzi, ale nie miał wątpliwości co do jej intencji. Nawet Pedersen próbował zaplanować swoje obowiązki tak, aby od czasu do czasu znaleźć czas na sprawę Nielsena, choć nie bardzo mu to wychodziło.

Dlatego nie bez pewnego napięcia zespół oczekiwał teraz na decyzje Simonsena. On sam też sporo o tym myślał, usiłując się kierować wyłącznie merytorycznymi przesłankami. Jego wybór był ostateczny i nie podlegał dyskusji.

– Hrabianka i ja zajmiemy się Hanne Brummsted i Heleną Brage Hansen, jeżeli przyjedzie z Norwegii. Klavs i ja wybierzemy się pojutrze do Ålborga, żeby przyjrzeć się Pii i Jesperowi Mikkelsenom. Jeżeli pojawi się

możliwość, żeby przesłuchać ich osobno, to Hrabianka i ja przepytamy Pię, a sam zajmę się Jesperem Mikkelsenem, chyba że Arne znajdzie czas.

– To cholernie niesprawiedliwe – zaprotestowała gwałtownie Berg. – Uczestniczę w tym śledztwie od samego początku, a gdy zaczyna się robić ciekawie, zostaję pominięta. Nie wspomnę już o tym, że w domu, w wolnych chwilach, haruję jak wół, czytając wszystkie możliwe pozycje o latach sześćdziesiątych i tego rodzaju pierdoły.

– Ależ Pauline, to nie tak – próbował ją uspokoić Simonsen. – To ważne, żebyś była na bieżąco, po pierwsze, na wypadek gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, na przykład gdyby ktoś z nas nie mógł uczestniczyć w przesłuchaniach, a po drugie, gdyby kogoś trzeba było przesłuchać ponownie, bo wtedy chciałbym wymienić Hrabiankę. Niewykluczone też, że w drugiej rundzie zastąpisz mnie.

Berg niewybrednym gestem pokazała, co myśli o tym jego kazaniu.

– Pauline, weź się, do diaska, w garść i posłuchaj przez chwilę – napomniął ją Arnold. – Propozycja Simona brzmi rozsądnie i możemy przecież podyskutować jak dorośli.

Hrabianka uśmiechnęła się szeroko na te słowa, a zdezorientowany Simonsen spojrział na Jutlandczyka. Propozycja? Podyskutować? Nie było o czym dyskutować, bo przed chwilą zdecydował, jak to będzie przebiegać.

– Klavs, w ogóle nie brałem cię pod uwagę w swoich planach – wyjaśnił. – Nie wiem, jakie techniki stosujesz podczas przesłuchań, a to nie jest sprawa, przy której chciałbym eksperymentować. Poza tym nie współpracowałeś jeszcze ściśle ani ze mną, ani z nikim z zespołu.

Arnold po raz kolejny udowodnił, że potrafi rozgranaczyć pewne sprawy.

– W porządku. Też bym tak zdecydował. Ale razem z Pauline nie moglibyśmy poszperać trochę w życiorysie Hanne Brummsted? No i oczywiście zapomniałeś dodać, że Pauline też wybiera się z nami do Ålborga.

– Yyy, zapomniałem?

Przytoczył sensowne argumenty. Małżeństwo z Ålborga, a zwłaszcza Jesper Mikkelsen, prowadziło interesy w branży dyskotekowej i nocnych

klubów wokół ulicy Jomfru Ane Gade w centrum miasta. W grę wchodziły przede wszystkim sprawy finansowe, jako że mieli pięćdziesiąt procent udziałów w klubie nocnym Rainbow Six, cieszącym się popularnością wśród młodzieży z północnej Jutlandii, ale nie można też było wykluczyć innych – o charakterze przestępczym i/ oraz seksualnym... Właśnie to musieli sprawdzić. I tu Pauline mogła się bardzo przydać, bo bezbłędnie wtopiłaby się w dyskotekowe towarzystwo, czego nie można by oczekiwać ani od niego, ani od Simonsena.

Tak w każdym razie uważał Arnold.

Simonsen postanowił ustąpić.

– Owszem, zgadza się... zapomniałem wspomnieć, że Pauline Berg również wybierała się do Ålborga.

Zachowanie dziewczyny zmieniło się w ciągu jednej sekundy – kwaśny grymas ustąpił miejsca uśmiechowi. Simonsenowi przebiegło przez myśl, że choroba, czy co to tam było, czasem stanowi dla Pauline świetny argument, żeby zachowywać się jak naburmuszona uczennica. Zamierzał z nią o tym porozmawiać, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja.

– O co chodziło z tym grzebaniem w życiorysie Hanne Brummsted? – spytała Arnolda Hrabianka. – I dlaczego właśnie ona?

– Była w Szwecji razem z Nielsenem i jest jedną z tych czterech osób, które mają największą szansę dostrzeżenia.

– Dlaczego? – dociekała dalej Hrabianka. – Małżeństwo z Ålborga prowadzi milionowy interes.

– Oni sprzedają te swoje płyty z domowego salonu, w większości bez bezpośredniego kontaktu z klientami. Natomiast pani ordynator ryzykuje własnym wizerunkiem. Może stracić szacunek swoich córek i pracę. Nie mówiąc już o dwóch stanowiskach w zarządach spółek. Dlatego z pewnością nie chciałaby zobaczyć swojego zdjęcia na pierwszych stronach gazet.

– Może masz rację, ale nie bierzesz pod uwagę, co mogą zyskać Mikkelsonowie. To znaczy, oczywiście pod warunkiem, że nie są zamieszani w zabójstwo dziewczyny ani swojego dawnego kolegi z klasy.

– Zyskać? Co tu jest do zyskania?

– Z tego, co udało mi się ustalić, ich małżeństwo wisi na włosku. A jednak coś ich przy sobie trzyma. Jak myślisz, co to jest?

Arnold się ugiął.

– Uważasz, że jeżeli dostaną szansę, będą mówić? Chodzi o to, żeby uporządkować przeszłość i teraźniejszość. Taak, to dość interesujący punkt widzenia.

– Może Nielsen zerwał jakiś pakt, którego inni przestrzegają, a może tych czworo jednak miało ze sobą kontakt? – zasugerował ostrożnie Simonsen.

– Może jest tu za dużo tych „może” – podsumował Arnold.

Berg pokręciła z rezygnacją głową, ale nie sprawiała wrażenia złej.

– Jeżeli, o ile, w razie i dziesięć razy może. Nie mogę pojąć, dlaczego nie wysłamy tej pocztówki, którą przysłano z Anglii, do analizy DNA u Kurta Melsinga i nie sprawdzimy, czy to nie aby nasza pani ordynator za tym stoi. Istnieje jakieś pięćdziesiąt procent szans, że to ona polizała znaczek.

Wszyscy zamilkli i wpatrywali się w nią, jakby właśnie wzbiła się w powietrze. Wróciła niepewność Berg, którą pamiętali z czasów przed napaścią.

– Dlaczego tak się patrzycie? Powiedziałam coś głupiego? Nie można tego zrobić po tylu latach? A może już to sprawdziliśmy? Nie wszystko udało mi się ostatnio przeczytać. No dobrze, przepraszam, teraz to widzę, nie mamy z czym porównywać, a Hanna Brummsted może oczywiście odmówić dostarczenia próbki. Przepraszam, po prostu przejdźmy dalej.

– I masz ten swój plan B – powiedziała Hrabianka do Arnolda. Ona pierwsza zdecydowała się przerwać ciszę.

Simonsen uśmiechnął się szeroko.

– Pauline, jesteś genialna, po prostu genialna.

I znowu Hrabianka podjęta temat, który wszyscy omijali:

– Czy w ogóle istnieje możliwość pobrania DNA po czterdziestu latach? Na twarzy Simonsena zagościł jeszcze szerszy uśmiech.

– Nie wiem.

- Dlaczego cię to bawi?
- Bo skoro ja tego nie wiem, to Hanne Brummested tym bardziej.
- To prawda. Jako środek perswazji to może podziałać, ale podczas procesu jest bezwartościowe, chyba że dobrowolnie odda próbkę do analizy porównawczej.
- Błędny wniosek, Hrabianko. Pobierzemy materiał bez jej wiedzy i zlecimy badanie DNA. W ten sposób uzyskamy wiążący dowód.
- Co to za bzdury? Przecież każdy sędzia to odrzuci.
- Każdy duński sędzia, owszem. A co w przypadku szwedzkiego czy angielskiego? Nie mamy pewności, czy nie dopuści takiego nielegalnego dowodu.
- Okej, to rzeczywiście sprytne, i pewnie o wiele za sprytne.
- Możliwe, ale jeżeli nasza pani ordynator rzeczywiście polizała ten znaczek, to może mieć spore problemy. A jeżeli tego nie zrobiła, to nadal istnieje dość duża szansa, że zapomniała, jak to wszystko się odbyło.

Wieczorem Hrabianka nawiązała do pozytywnych efektów prowadzonej dzisiaj dyskusji. Chodziło bardziej o wymiar osobisty, bo spraw stricte zawodowych póki co nie poruszała w domu. Czasem pozwalała sobie na takie komentarze i Simonsen odnosił się do nich ze zrozumieniem. Nawet wtedy, gdy łamała wprowadzony przez siebie wcześniej zakaz mieszania życia zawodowego z prywatnym, jeśli akurat miała na to ochotę.

Byli w kuchni. Simonsen szatkował kapustę – z czasem stał się w tym mistrzem – a Hrabianka kroїła buraki, podczas gdy Anna Mia siedziała na krześle i udzielała im moralnego wsparcia.

- Jak to dobrze, że pochwaliłeś dzisiaj Pauline – zagaiła Hrabianka. – Uwierz mi, bardzo się z tego ucieszyła i naprawdę tego potrzebowała.

- Zasłużyła. Aż dziwne, że nikt wcześniej nie wpadł na ten pomysł z DNA na znaczku.

- Fajnie, że to była ona. Odkąd Klavs dołączył do zespołu, nie jest jej łatwo. Poza tym ma jeszcze te swoje problemy.

- Przecież Arnold nic jej nie zrobił.

– To prawda, doskonale się wpasował, ale wydaje mi się, że ona czuje się jak najslabsze ogniwo, chociaż nie jest już najmłodsza stażem w naszym zespole.

– Nie ma co ukrywać.

– Wiem, zgadza się, ale naprawdę potrzebowała pochwały.

– To dlaczego nikt wcześniej czegoś z tym nie zrobił? Pochwała nic nie kosztuje.

– Konradzie Simonsenie, wygadujesz głupstwa.

Anna Mia wtrąciła się do rozmowy. Chrupała już drugą marchewkę, a teraz skierowała niedojedzone warzywo w stronę ojca w oskarżającym geście.

– Zadowoleni współpracownicy pracują lepiej. Pokazują to wszystkie badania.

– Nie, one pokazują, że pracownicy, którzy dobrze pracują, są zadowoleni. Jednak ten wniosek nie przystaje do wszechobecnej kobiecej wrażliwości w miejscu pracy, więc zamieniono przyczynę i skutek. A na dodatek stworzono tysiące zbędnych stanowisk administracyjnych, żeby mierzyć, ważyć i dbać o te bzdury.

Hrabianka oparła głowę na jego ramieniu.

– Wcale w to nie wierzysz, a my nie damy się nabrać. Za dobrze cię znamy. Powiedz mi, ile kilogramów kapusty zamierzamy dzisiaj zjeść?

– Uwielbiam szatkować. Nóż i kapusta potrafią mną całkowicie zafundnąć.

– Ostatni okres był dla Pauline naprawdę trudny. Po tym, jak odsunęła ją od wątku listów do redakcji, zaczęła studiować materiały o latach sześćdziesiątych, zarówno w internecie, jak i w książkach. Wieczorami, w swoim wolnym czasie.

– Wiem, dzisiaj to do mnie dotarło. Jednak fakt, że została odsunięta od listów do redakcji Hansen, nie miało nic wspólnego z latami sześćdziesiątym. Chodziło o to, że nie potrafiła się wczuć w osobowość drugiego człowieka.

Hrabianka zignorowała jego słowa i ciągnęła dalej:

– Było jej też przykro, że sama musiała cię poprosić o możliwość odwiedzenia galerii podczas pobytu Madame, zresztą te obrazy muszą wkrótce wrócić do kuratora spadku. Wszyscy zostali tam zaproszeni, oprócz niej. Swoją drogą to ona niedługo znów tam pójdzie. Jej psychiatra uważa, że powinna to zrobić.

– Nie mam z tym problemu. Ale przecież ty już dawno temu mogłaś zabrać ją do domu i pokazać jej... te obrazy.

– Głupolu, to nie byłoby to samo. Niekiedy nie zdajesz sobie sprawy, jakie wrażenie wywierasz na ludziach.

Anna Mia podkraśniała kolejną marchewkę, po czym skomentowała:

– Niekiedy, czyli zawsze. Poczta pantoflowa donosi, że ostatnio poklepałeś po plecach opiekuna psa tropiącego. Pewien kolega z Glostrup się tym chwalił. Wiedziałaś o tym?

– Nawet kierownictwo policji jest łase na twoje komplementy, nie wspominając już o Arnem – dodała Hrabianka. – Gdy raz na ruski rok go pochwalisz, cały się rozpromienia.

Simonsen wzruszył ramionami bez przekonania, a Hrabianka z rezygnacją spojrzała na Annę Mię, która pokręciła głową i powiedziała:

– Nigdy się tego nie nauczy. Moglibyście obrać trochę więcej marchewek? Chyba nam się skończyły.

– Możesz dostać białej kapusty. – Simonsen obrócił się w stronę Hrabianki i zapytał z zaskakującą powagą: – Mówisz tylko o innych czy ty też?... Chodzi o te pochwały...

W odpowiedzi objęła go ramionami i przytuliła. Anna Mia zagwizdała.

– Czyżbym słyszała weselne dzwony?

– Pytasz, czy twój ojciec uczyni ze mnie przyzwoitą niewiastę? Taa, jeszcze nawet się nie oświadczył.

Powiedziała to lekkim, wesołym głosem. Mimo to obie kobiety ustawiły swoje ultraczułe wewnętrzne anteny w oczekiwaniu na reakcję Simonsena. To okazało się jednak zupełnie niepotrzebne. Jego odpowiedź była szczerą i bezpośrednią.

– A co, jak przejdę na emeryturę? Nadal będziesz mnie potrzebowała? I chciała, żebym tu mieszkał, gdy ty będziesz chodziła do pracy?

Ponownie go objęła.

– Będę to uwielbiać. Możesz wyremontować piwnicę, kosić trawę, wypieścić nasze buraki. Może nawet znajdziesz czas na naprawienie tego kontaktu w domku gościnnym, o który prosiłam już prawie dwa tygodnie temu. Poza tym nie zapominaj, że ja też robię się coraz starsza. Będę prześadywać w bujanym fotelu przy kominku i zrobię ci na drutach czapkę, taką ciepłą, która będzie ci zachodzić na uszy i zakryje twoją łysinę.

– Tato, wystarczy tylko wymówić te magiczne słowa, a zostaniesz tutaj na zawsze – krzyknęła radośnie Anna Mia.

Hrabianka pokręciła głową, ale zrobiła to za plecami Simonsena. Uśmiechnęła się przebiegle do Anny Mii.

– Nie, chwila, to nie tak. Zrobię na drutach maleńki sweterek dla twojego trzeciego wnuka.

Simonsen odwrócił się gwałtownie, spoglądając na swoją córkę. Albo raczej na brzuch swojej córki. Hrabianka go puściła i podążyła za jego spojrzeniem. Anna Mia wstała, niezadowolona z takiego nagłego obrotu sprawy.

– Nie macie prawa mieszać się w moje prywatne życie. Nakryję do stołu.

* * *

Finn B. Hansen, starszy brat Heleny Brage Hansen, przybył do Kopenhagi, a dokładniej do biura Simonsena. Na stole między nimi stał przyniesiony przez aplikanta sędziowskiego magnetofon taśmowy. Był toporny, przedpotopowy, ale sprawny.

– Mam nadzieję, że nie zdradzisz Helenie, że ją nagrałem, jeżeli kiedykolwiek będziesz z nią rozmawiał.

– Nie zdradzę. To zostanie między nami.

– Gdy będę stąd wychodził, zabiorę taśmę ze sobą. I ją zniszczę.

– To twoja taśma.

– Tak, wiem. Po prostu cię o tym informuję.

– Dlaczego ją nagrałeś?

– Bo pomyślałem, że jeżeli ona w jakiś sposób opowie, gdzie ta biedna dziewczyna została pochowana... a nie będę mógł wszystkiego zapamiętać...

– Rozumiem.

– Zaczniemy od środka rozmowy. Początek jest prywatny i nie ma dla ciebie znaczenia.

– W porządku.

Mężczyzna powtórzył, tym razem nieco agresywniej:

– Usłyszysz tylko to, co ma związek ze sprawą. To już postanowione.

– Oczywiście.

Nacisnął przycisk, a Simonsen skupił się na głosie z magnetofonu:

– Heleno, jest pewna sprawa, o której muszę ci powiedzieć. Kopenhaska policja kryminalna prowadzi obecnie śledztwo w sprawie pewnego wyjazdu do Esbjerg, na którym dawno temu byłeś ze swoimi kolegami z klasy.

Długo milczała, zanim się odezwała.

– *Ach tak.*

– *Heleno, czy coś ci to mówi? Wyprawa do Esbjerg?*

Ponownie zamilkła.

– *Heleno, jesteś tam?*

– *Nie.*

– *Nie? Co nie?*

– *Nie w sprawie Esbjerg.*

– *Mają twoje zdjęcia. Stare zdjęcia, na których się pojawiaasz. Mieszkałście w ośrodku dla skautów, który wynajął dla was ojciec, gdy uczyliście się do egzaminu. Byłeś w tej grupie.*

– Nie byłam w żadnej grupie. Nie byłam na obozie dla skautów. Nigdy nie byłam w Esbjerg. Nie ma mnie na żadnych zdjęciach. Nikogo nie zabiłam!

– Dlaczego to mówisz? Że nikogo nie zabiłaś?

– Bo to prawda.

– Heleno, nie sądzisz, że to dobry pomysł, aby przyjechać do Kopenhagi?

– Nie chcę do Kopenhagi. Jestem obywatelką Norwegii, nie możecie mnie zmusić.

– Tam wtedy zmarła dziewczyna. W waszym wieku. Miała tylko siedemnaście lat.

– Nie chcę tego słuchać.

– Heleno, nie możesz tego ignorować.

– Owszem, mogę. Dania zniknęła.

– Dania nie zniknęła. Będziesz musiała...

Zatrzymał nagranie i się odezwał:

– Wtedy przerwała połączenie.

Simonsen spojrział na magnetofon. Aplikant sędziowski podążył za jego wzrokiem.

– Nie dostaniesz tego.

– W porządku, rozumiem.

– I tak w niczym by ci to nie pomogło.

– Dlaczego nie?

– No bo jako dowód nagranie jest beużyteczne, a jeżeli zaczniesz na nią naciskać, załamie się i stracisz z nią kontakt. Wierz mi, wiem o czym mówię, bo w młodości widziałem to wiele razy. Żaden z nas tego nie chce.

– Racja, nikomu nie przyniosłoby to korzyści. Czyli próbujesz mi powiedzieć, żebym zostawił ją w spokoju?

– Myślę, że tak trzeba.

– Powiedziała, że nikogo nie zabiła, jeszcze zanim zdążyłeś wspomnieć o Lucy Davison, tej młodej Angielce. I... no tak, przecież wiesz, co to oznacza.

Aplikant sędziowski pokiwał ciężko głową i odezwał się niemal prosząco:

– Nie mógłbyś zacząć od jej kolegów z klasy?

– Owszem.

– Będziesz starał się o jej ekstradycję?

– Wolałbym nie. Chyba że będę do tego zmuszony.

– Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. I tak już jest zaburzona psychicznie.

Simonsen powiedział, że mu przykro. Nie będzie mógł nic zrobić, jeżeli nadal będzie reagowała tak jak do tej pory. Na koniec dodał:

– Muszę zatrzymać tę taśmę, ale to już zapewne wiesz.

– Tak, wiem. Miałem tylko nadzieję, że to nie okaże się konieczne.

* * *

Simonsen najchętniej uniknąłby wizyty w Instytucie Medycyny Sądowej, dlatego do tej pory odsuwał od siebie tę perspektywę.

Poirytowany otworzył najniższą szufladę biurka i wyjął znajdujące się w środku papiery, po czym ze wszelkimi oznakami dyskomfortu przebiegł wzrokiem pojedyncze strony. Tak jak się tego spodziewał, sprawa tragicznej śmierci Juli Denissen była roztrząsana w sposób sugerujący konspiracyjne układy między policją w Frederikssund, pogotowiem ratunkowym i zdrowym rozsądkiem. Chodziło o nad wyraz beznadziejną notatkę, zwieńczoną dokładnie dziesięcioma, ni mniej, ni więcej, pytaniami, w których podawano w wątpliwość fakt, że śmierć kobiety nastąpiła z przyczyn naturalnych. Prześledził tę listę i uznał ją za godną pożałowania. Mimo to wziął głęboki wdech, po czym zadzwonił do komendanta posterunku w Frederikssund. Podczas rozmowy od razu uzyskał rozsądne odpowiedzi na większość pytań. „Dlaczego nigdy nie ustalono, w jaki sposób kobieta i jej córka dotarły do pastwiska Melby Overdrev?” Odpowiedź była prosta: to zostało ustalone. Pożyczyła samochód przyjaciółki, a ponadto widziało

ją wtedy dwóch innych użytkowników drogi, jechała niepewnie i powoli, najpewniej dlatego, że zaledwie parę dni przed śmiercią uzyskała prawo jazdy. Jakim sposobem leśniczemu, który znalazł ciało, udało się zadzwonić pod 112, skoro w okolicy Melby Overdrev nie było zasięgu? Mógł to zrobić, bo jego operator komórkowy, w przeciwieństwie do innych bardziej popularnych, miał tam znakomity zasięg.

Simonsena zastanowiło tylko jedno pytanie. Chodziło o to, dlaczego Juli Denissen zdecydowała się oddalić od parkingu na odległość aż dwóch kilometrów. To wydawało się dość dziwne, bo miała ze sobą swoje dwuletnie dziecko. Rzeczywiście dziwne, choć nie na tyle, żeby po prostu uznać, że nie mogła tego zrobić. Pytanie zdawało się jeszcze mniej istotne, gdy zestawiał je z faktem, że przyczyną śmierci kobiety był krwotok śródmózgowy. Zerknął na swój zegarek. Nadal poirytowany. A w zasadzie poirytowany bardziej niż na początku. Pierwotnie planował przespacerować się do Instytutu Medycyny Sądowej, ale ponieważ stracił trochę czasu, zdecydował się pojechać tam samochodem. Cisnął papiery w głąb szuflady, domknął ją jedną nogą, po czym ruszył do wyjścia.

Miał szczęście, bo znalazł miejsce parkingowe przy Trepkaskgade i dotarł do instytutu dziesięć minut przed godziną, na którą umówił się z Arthurem Elvangiem. Na schodach prowadzących do głównego wejścia czekały na niego trzy osoby. Przywitał się krótko z Pauline Berg, która uśmiechnęła się na jego widok i wyglądała na zadowoloną. Potem chłodnym, formalnym gestem podał dłoń drugiej kobiecie, którą po raz pierwszy spotkał na Melby Overdrev. Nagle przypomniał sobie, że nazywała się Linette Krontoft. Wyglądała, jakby powinna dziś zostać w łóżku – miała niezdrowe zaczerwienienia w okolicy nosa i na policzkach i błyszczące oczy, jakby wróciła z mocno zakrapianej imprezy. Do tego wiotki uścisk dłoni. Dyskretnie wytarł swoją dłoń o rękaw, mając nadzieję, że niczym się nie zaraził. Potem odwrócił się w stronę mężczyzny.

Był w okolicach trzydziestki, szczupły, średniego wzrostu, o nieco niepozornym wyglądzie. Swobodnym gestem wyciągnął dłoń w stronę Simonsena.

– Pan musi być Simon. Mam na imię August i jestem członkiem grupy, która chce wyjaśnić okoliczności śmierci Juli.

Simonsen przywitał się z nim – łagodnie mówiąc – powściągliwie. Bez słowa zmierzył mężczyznę od stóp do głów.

– Tak, właściwie to mieszkam w Helsinge, ale mam w Frederiksværk sklep z serami – zaczął gorączkowo tłumaczyć August, jakby w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie. – Tuż przy torach, po lewej stronie, gdy jedziesz od strony Hillerød, pomiędzy kwiaciarnią a sklepem z kanapkami, nie da się go nie zauważyć.

Simonsen pomyślał, że jak do tej pory wszystko przebiega zgodnie z planem, i gotów był dołożyć starań, żeby już tak zostało. Swoim milczeniem wymusił na mężczyźnie dalsze wyjaśnienia.

– Juli pracowała u mnie parę razy w tygodniu, mieszkała przecież na tej samej ulicy – ciągnął August – nie dalej niż trzysta metrów, więc to było bardzo praktyczne... – Przyłożył palec do ust i dodał mało elegancko: – Tak, pracowała na czarno, więc niech pan nikomu o tym nie mówi. W pewnym okresie bardzo dobrze się znaliśmy... naprawdę bardzo dobrze, jeśli się pan domyśla, o czym mówię.

Mrugnął lubieżnie do Simonsena, który pomyślał wtedy, że w sumie rzadko spotyka osoby, które od pierwszego wejrzenia wydają mu się odpychające. Zerknął na obrączkę na palcu handlarza serami i powiedział:

– Juli i August, ależ zabawnie. Musieliście mieć niezły ubaw, gdy spotkaliście się po raz pierwszy. Juli i August – to naprawdę świetnie pasuje... Pytanie, czy pana żona również uważa, że to takie czarujące? Być może będę miał okazję ja o to zapytać, jeżeli sprawa, wbrew moim przypuszczeniom, zostanie ponownie otwarta.

Mężczyzna oblał się rumieńcem, a potem cofnął o krok za Linette Krontoft, jakby chciał się za nią ukryć. Co mu się zresztą udało, bo było sporo miejsca. I nagle Simonsen zamarł. Handlarz serami nosił niezapiętą wiatrówkę, spod której wylaniały się rozpięte górne guziki koszuli, jakby po męsku chciał pokazać otoczeniu, że przy tej pogodzie nie marznie. Na szyi srebrny łańcuszek z rybą. Krzyż, ryba i chrystogram Chi Rho – trzy znaki chrześcijaństwa. I słowa Madame, które padły podczas jej wizyty

w galerii, o tym, żeby uważnie wsłuchiwać się w słowa chrześcijanina, którego nie będzie darzył sympatią, rozbrzmiały mu teraz w uszach. Może ten czas nie okaże się jednak całkiem stracony. Uśmiechnął się do własnych myśli, po chwili skierował palec na Linette Krontoft i z udawaną srogością oznajmił:

– Umawialiśmy się na obecność dwóch osób i tak ustaliłem z profesorem. Teraz jest was troje i jeżeli tylko będzie miał coś przeciw temu, to pani nas opuści i to bez najmniejszego sprzeciwu. Czy to jasne?

Zrozumiała. Przytknęła nieco zaskoczona.

Pomieszczenie, w który profesor zElvang przyjął swoich gości, było niemal puste. Miało niedawno pomalowane na biało ściany i wycyklinowaną podłogę, którą następnie pociągnięto lakierem. Wewnątrz nadal pachniało farbą, lakierem i sosną. Umeblowanie należało do wyjątkowo oszczędnych i wyraźnie kontrastowało z odnowionym wnętrzem. Pięć starych szkolnych ławek, topornych, drewnianych, stanowiących połączenie siedziska i blatu, które Simonsen pamiętał jeszcze z czasów szkolnych, ustawiono w półokręgu wokół katedry nowszego typu. Na pulpicie znajdował się starannie ułożony stosik dokumentów, umieszczony równolegle do krawędzi mebla. Obok stał jakiś cylindryczny przedmiot o wysokości około trzydziestu centymetrów, przykryty czarnym materiałem, który uniemożliwiał bliższe oględziny. Za katedrą siedział Arthur Elvang.

Profesor przywitał się życzliwie ze wszystkimi naraz i poprosił o zajęcie miejsc. Z trudem wcisnęli się do swoich ławek. Zwłaszcza Simonsen i Linette Krontoft mieli problemy z usadowieniem się na swoich miejscach. Skąd profesor wytrzasnął te stare meble, nie zostało im wyjaśnione, ale można było zgadywać, że znalazł je w jakimś najodleglejszym zakątku piwnicy. Gdy wszyscy już zajęli miejsca, profesor był gotowy na swoją prelekcję.

Simonsen nie miał najmniejszych wątpliwości, że Elvang ustawił ławki po to, żeby go upokorzyć – to był jego ironiczny komentarz do całej sytuacji. Natomiast jego wcześniejsze obawy, że profesor nie zada sobie trudu, aby wyrzeć przekonujące wrażenie na swojej niewielkiej publiczności, okazały się błędne. lvang przedstawił się, po czym zaczął wyliczać cały

szereg swoich naukowych tytułów i stanowisk w wielu zarządach. Simonsen słyszał to po raz pierwszy, bo choć można było wiele powiedzieć o tym starszym mężczyźnie, to z pewnością nie należał do snobów i samochwał. Jego prezentacja podziałała, Krontoft z szacunkiem uniosła palec w górę i czekała, aż Elvang udzieli jej głosu.

– Czy będzie miał pan coś przeciwko nagrywaniu wypowiedzi? Znamy kilka osób, które chętnie by się z nią zapoznały.

Simonsen próbował zaoponować, jednak bezskutecznie, bo zagłuszył go głos profesora, który stwierdził, że mogą sobie nagrywać do woli. Po tym, jak Krontoft uzyskała zgodę, wygramoliła się z ławki i ustawiła dyktafon na blacie Elvanga. Chwilę później profesor zaczął swoim cienkim głosem omawiać protokół sekcji zwłok Juli Denissen.

– Juli Denissen, dwadzieścia cztery lata, zmarła po południu dziesiątego lipca dwa tysiące ósmego roku w Melby Overdrev, w gminie Halsnæs, sekcję zwłok przeprowadził w dniach jedenastego i dwunastego lipca w Oddziale Medycyny Sądowej szpitala w Hillerød ordynator Hans Arne Tholstrup. – Zmrużył oczy, wczytując się w raport, a potem, ku zadowoleniu Simonsena, wyjaśnił, że zwykle sekcje zwłok dla rejonu wschodniej Danii wykonywane są w Szpitalu Królewskim, jednak w sytuacjach szczytowego zapotrzebowania na takie badania do pomocy wykorzystuje się szpital w Hillerød. To było jedna z tych dziwnych wątpliwości z listy grupy Juli.

Elvang uniósł wzrok, daremnie próbując przyjrzeć się dokładniej każdemu z słuchaczy przez swoje grube okulary. Potem dodał z naciskiem:

– Rzetelność tego protokołu nie budzi najmniejszych wątpliwości. – Pokiwał kilkukrotnie głową, jakby chciał przekonać samego siebie, a po chwili wrócił do swojego wywodu, kartkując przy tym notatki. – Pobrano szereg próbek. Wymaz z pochwy, z odbytu oraz z jamy ustnej i gardła. Ponadto wykonano biopsję skóry, wątroby i nerek oraz tarczycy, a do tego pobrano próbki krwi i włosów. Powodem tych licznych badań była obecność podczas sekcji zwłok dwojga studentów w związku z odbywanymi praktykami. Można zatem stwierdzić, że kobieta została zbadana wyjątkowo gruntownie, o wiele dokładniej, niż to się dzieje zazwyczaj. Jednak

przeprowadzone analizy nie wykazały żadnych śladów otrucia czy też czegośkolwiek... podejrzanego.

Profesor przyjrzał się sceptycznie jakiemuś fragmentowi raportu – Simonsen ze swojego miejsca nie był w stanie stwierdzić któremu – a potem z irytacją pokręcił głową. To był czytelny znak, który inspektor widział już wcześniej, i oznaczał, że ktoś musiał coś zawalić. Nikt z pozostałych nie zarejestrował reakcji Elvanga, który swoje wnioski przedstawił teraz bez wahania:

– Kobieta nie została otruta. Poza tym nie ma żadnych śladów trucizny ani substancji chemicznych, które mogłyby wywołać śmierć. Zmarła w wyniku bardzo silnego krwotoku śródmózgowego.

Starannie wyjaśnił, jak udar krwotoczny mózgu wpłynął na układ oddechowy, w wyniku czego kobieta przestała oddychać. Następnie poświęcił chwilę, aby opowiedzieć, że około jednego procenta populacji rodzi się z tego rodzaju tętniakami – workowatymi wybrzuszeniami w tętnicach mózgowych – i że takie nieprawidłowo zbudowane naczynia mogą pęknąć w sytuacji dużego obciążenia psychicznego lub podczas sporego wysiłku fizycznego, na przykład w czasie uprawiania sportu albo seksu.

– Objawy to silne bóle głowy, sztywność karku, wymioty i utrata przytomności. W tym przypadku śmierć w wyniku udaru krwotocznego nastąpiła nadzwyczaj szybko, przypuszczalnie w ciągu minuty, najwyżej dwóch. Było to spowodowane bardzo rozległym krwotokiem, co może nie jest zbyt typowe, ale medycyna zna takie przypadki. – Ponownie spojrzął na swoich słuchaczy i oznajmił: – Poprosiłem o zdjęcia z sekcji zwłok ze szpitala w Hillerød. Po otwarciu czaszki kobiety i usunięciu części mózgu krwotok był bardzo widoczny. Nie jestem pewien, czy chcecie państwa oglądać te zdjęcia, więc posłużę się podobnym, ale bardziej anonimowym przykładem. – Wskazał na cylinder osłonięty czarnym materiałem. – Jaka jest państwa decyzja? Wolicie państwo obejrzeć oryginalne zdjęcia Juli Denisen czy raczej preparat?

Simonsen uśmiechnął się w duchu. Profesor naprawdę postanowił się zrewanżować za skoszony trawnik. Elvang nie doczekał się odpowiedzi, więc sam podjął decyzję i uniósł czarny materiał okrywający cylinder.

Głowa w szklanym naczyniu została rozpreparowana tak, żeby można było zobaczyć mózg. Simonsen znów uśmiechnął się lekko w duchu, gdy zobaczył bladego jak ściana Augusta od serów. Również obecne dwie kobiety przełknęły głośno ślinę. Profesor wyciągnął długopis z kieszeni swojego fartucha i użył go jako wskaźnika, gdy zaczął wyjaśniać:

– Ten mężczyzna zmarł w wieku dwudziestu lat. Swoją drogą zdarzenie miało miejsce w tysiąc dziewięćset trzecim, a przyczyną śmierci był rozległy krwotok śródmózgowy, który...

Przeanalizowanie procesu śmierci tego młodego człowieka zajęło mu kwadrans i była to efekciarska sztuczka, która miała na celu wyłącznie wykazanie, że śmierć Juli Denissen nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Gdy profesor skończył, spojrział zmęczonym wzrokiem na swoje nieliczne audytorium.

– Czy ktoś z państwa chciałby o coś zapytać?

Jego postawa nie zachęcała zbytnio do zadawania pytań, a jednak sprzedawca serów spytał ostrożnie:

– Czy od momentu pęknięcia tętniaka do czasu, gdy ona... do czasu śmierci, czy Juli zdążyła coś pomyśleć lub poczuć?

Elvang przyglądał się mu z powątpiewaniem przez swoje grube szkła.

– A skąd, do licha, miałbym to wiedzieć? Nigdy nie próbowałem umrzeć w wyniku krwotoku śródmózgowego.

Profesor miał rację, wszyscy to wiedzieli, i przez krótką chwilę Simonsen prawie uwierzył, że skończyli. Sprawa mogła zostać uznana za zamkniętą, grupa – czy jak oni się tam zwali – rozwiązana, ale przede wszystkim Berg powinna zrozumieć, że jej prywatne zaangażowanie w wyjaśnienie śmierci Denissen było pomyłką.

Miał szczęście trwać w tej swojej iluzji przez kolejne pięć sekund, bo właśnie w momencie, gdy już zamierzał przerwać dywagacje i podziękować Elvangowi, Linette Krontoft zadała pytanie:

– A skąd pan wie, że Juli żyła tylko przez dwie minuty od wystąpienia krwotoku? Mówił pan, że to dość nietypowy przypadek.

– To wiadomo na podstawie pomiarów poziomu adrenaliny, częściowo z jej krwiobiegu, a częściowo z krwi, która nagromadziła się w mózgu. Poziom adrenaliny we krwi szybko spada, gdy krew jest dotleniana, jednak krew zgromadzona w mózgu nie była dotleniana, bo nie krążyła w ciele. Takie rzeczy można wyliczyć, a potem dość precyzyjnie określić czas, który upłynął od krwotoku do momentu śmierci. Z wyliczeń wynika, że trwało to najwyżej dwie minuty.

– Ale dlaczego we krwi była adrenalina? Czy to typowe? – spytała Berg.

– Tak, to dość typowe dla sytuacji, w których ktoś się czegoś boi – odparł profesor. – Zwykle bada się poziom adrenaliny w moczu, a w przypadku Juli Denissen wyniósł ona jedenaście i pięćdziesiąt pięć setnych mikromola na litr, co oznacza dość niebotyczną wartość, siedemdziesięciopięciokrotnie przewyższającą normę – jednym słowem to jeden z najwyższych wskaźników, jakie kiedykolwiek widziałem. Ta kobieta przeżyła nad wyraz silny napad lęku i prawdopodobnie on spowodował pęknięcie krwiaka. Niemniej jednak ten tętniak i tak by ją kiedyś zabił.

– Ale czego Juli się tak wystraszyła?

– No właśnie. Nikt się przecież nie boi celowo – wtrącił sprzedawca serów.

Profesor spojrział z rezygnacją na Simonsena, który musiał przejąć paczkę:

– To nie jest pytanie medyczne. A poza tym nie da się na nie odpowiedzieć, bo przyczyny mogą być bardzo różne.

– Ale przecież czegoś musiała się wystraszyć, właśnie się tego dowiedzieliśmy – stwierdziła ożywionym tonem Berg.

– Do licha, to mogło być cokolwiek. Coś, o czym pomyślała i co ją zderwowało, a może jakaś żmija, która za bardzo się zbliżyła do jej córki, jakiś grzmot... to mogło być wszystko. Nikt tego nie wie.

Simonsen zauważył, że sprzedawca serów i Krontoft wymienili spojrzenia, a potem oboje pokręcili głowami. Wyraźnie było widać, że w ich przypadku wyjaśnienia profesora odniosły zamierzony skutek. Ale nie można było tego powiedzieć o Berg. Inspektor zerknął na nią z rezygnacją. Wytrzymała jego wzrok, a potem powtórzyła:

– Simonie, coś tam przecież musiało się zdarzyć. Coś ją wystraszyło, ale co?

Pokręcił głową i pomyślał, że teraz przynajmniej straciła swoją tak zwaną grupę. Potem zaczął się zastanawiać nad słowami sprzedawcy serów. „Nikt się przecież nie boi celowo”. To była jedyna sensowna wypowiedź mężczyzny, jeżeli w grę w ogóle wchodził jakiś sens. „Nikt się przecież nie boi celowo” – tylko co on, do diaska, miał z tą mądrością zrobić?

* * *

Hanne Brummsted, ordynatorka w szpitalu w Herlev, przyjęła Hrabiankę i Simonsena w miejscu pracy, w pokoju rozmów, który nie różnił się zbyt- nio od tych znanych inspektorowi ze Szpitala Królewskiego. I właśnie tutaj tych dwoje funkcjonariuszy napotkało mur niepamięci.

Brummsted nie pamiętała, że była w Esbjerg. Nie pamiętała swoich kolegów z klasy. Kompletnie nie pamiętała żadnej Angielki. Nie wiedziała, czy była w Szwecji, a już na pewno nic na temat jakiegoś namiotu. Ani jakiejś tam widokówki. Zapomniała również, że zdawała poprawkowy egzamin z matematyki na maturze. Nie potrafiła sobie też przypomnieć, dlaczego nie stawiała się na pierwszy termin egzaminu. Nie utkwilo jej w pamięci, żeby kontaktowała się z kimkolwiek ze swojej klasy od czasów ukończenia liceum, więc raczej tego nie robiła. Nie wiedziała, kim był Jørgen Kramer Nielsen, i nie miała bladego pojęcia, dlaczego on również nie przyszedł na egzamin z matematyki.

Powtarzała słowa o zaniku pamięci niczym długą, wyuczoną rymowan- kę, utwierdzając dwoje funkcjonariuszy w przekonaniu, że prawdopodobnie od lat przygotowywała się na rozmowę, która się teraz odbywała. Gdy w końcu skończyła, a Hrabianka dopytała, czy istnieją jakieś inne sprawy, o których nie pamięta, odpowiedziała bez cienia autoironii, że niestety nie pamięta.

Simonsen położył przed ordynatorką cztery zdjęcia z ośrodka Vesterha- vsgården.

– Jest pani na tych zdjęciach. Może to pomoże pani pamięci?

– Nie zaprzeczam, że tam byłam. Po prostu tego nie pamiętam. – Mówiła takim tonem, jakby wyjaśniała dziecku jakąś trudną zależność.

– Może coś sobie pani przypomni, jak przyjrzy się pani tym zdjęciom.

– To nie będzie konieczne. Dobrze znam samą siebie i wiem, że to nic nie pomoże.

– Czy imię i nazwisko Lucy Davison coś pani mówi? Lucy Selma Davison?

– Absolutnie nic.

– Tak nazywała się ta Angielka, z którą jest pani na zdjęciach.

– Skoro tak pan twierdzi. Niestety nie pamiętam żadnej Angielki.

– Zabiła ją pani wspólnie ze swoimi kolegami z klasy, a potem zakopaliście jej zwłoki.

– Nic takiego nie pamiętam i nie wydaje mi się, żeby tak było.

– Zabiła pani również Jørgena Kramera Nielsena, skręcając mu kark.

– Nie zabiłam Jørgena Kramera Nielsena, kimkolwiek on jest.

Simonsen zwrócił jej uwagę na ten dziwny fakt, że nie pamiętała, czy zabiła Lucy Davison, natomiast doskonale wiedziała, że nie zabiła Jørgena Kramera Nielsena. Odparła mu chłodnym, swobodnym tonem, że pamięć to dość specyficzny fenomen. I co on mógł na to poradzić?

– Proszę nam opowiedzieć o swoim dzieciństwie.

– Nie, nie chcę.

– Owszem, chce pani – wtrąciła ostrym tonem Hrabianka. – Chyba że woli pani, żebyśmy wezwali radiowóz i dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, którzy panią skują i odprowadzą do samochodu.

Simonsen i Hrabianka zauważyli, że przez chwilę drżała jej górna warga.

– Moje dzieciństwo było bardzo normalne – powiedziała zaraz potem do Simonsena. – Dorastałam w Valensbæk, ojciec był piekarzem, a mama pomagała mu w sklepie, mieszkaliśmy w bloku. Było nas dwoje rodzeństwa: ja i mój starszy brat.

– Do której szkoły pani chodziła?

– Gammel Valensbæk Skole.

– Jak się nazywał pani wychowawca?

– Miałam dwie wychowawczynie: pannę Juncker od pierwszej do siódmej klasy, a potem już do końca pannę Guldbrandsen.

– Dobrze się pani uczyła?

– Tak, dość dobrze.

– Po dziewiątej klasie poszła pani do liceum?

– Tak, wtedy to się nazywało szkoła średnia drugiego stopnia.

– Liceum w Brøndbyøster, profil matematyczno-fizyczny.

– Tak, ale niczego nie pamiętam z tamtych czasów.

– Nic pani nie pamięta z czasów liceum, ale z podstawówki już tak?

– Owszem, zgadza się.

– A kolejne wspomnienia z jakiego są okresu?

– Z czasów studiów medycznych.

– A czasy liceum to czarna dziura?

– Bardzo trafnie pan to ujął.

– Należała pani wtedy do grupy, która nazywała się Klub Samotnych Serc, w skrócie Serca.

– Nie pamiętam.

– To niewiarygodne, że pani pamięć zawodzi, akurat gdy chodzi o czasy licealne.

– Tak to działa. Nic nie pamiętam. Wydaje mi się, że wtedy trochę popalałam haszysz. Ale nawet tego nie potrafię sobie przypomnieć.

Simonsen podniósł się poirytowany z krzesła.

– Bardzo sprytnie sobie to pani wszystko wymyśliła. I pewnie się pani teraz zastanawia, co ja z tym wszystkim zrobię.

Podszedł do parapetu i sprawiał wrażenie, jakby się namyślał, co ma dalej zrobić. Nagle uchylił okno i zapalił papierosa. Smakował jak mydło – był ostry i nieprzyjemny.

– Tutaj nie można palić – powiedziała Brummsted.

– Za późno, już zapaliłem.

Zauważył dezorientację ordynatorki, która w końcu zdecydowała, że nie będzie prowokować żadnych zbędnych konfrontacji. Otworzyła szu-

fladę biurka, wyjęła popielniczkę, ustawiła ją przed nim na blacie i sama zapaliła. Simonsen wrócił na miejsce.

– Zapalimy po jednym, ale potem będzie się pan musiał powstrzymać.

– Będę palił, gdy najdzie mnie ochota. Niech pani spojrzy na to zdjęcie.

Popatrzyła, a po chwili zapytała:

– Jakie jest pytanie?

– Nie ma pytań – odpowiedziała jej Hrabianka.

– Co w takim razie? Skończyliśmy?

– Nie, nie skończyliśmy. Wydaje mi się, że się pani boi.

Kobieta milczała, a Hrabianka ciągnęła dalej:

– W głębi duszy doskonale zdaje sobie pani sprawę, że cały pani prestiż, pani wysokie wykształcenie, karty członkowskie znakomitych stowarzyszeń, kontakty i przyjaciele, że to wszystko w niczym pani nie pomoże. Jedyne, czego może się pani chwycić, to zaniki pamięci.

– Wcale się nie boję.

– Nie wierzę. Przede wszystkim umiera pani ze strachu, że ktoś się dowie o tych zanikach pamięci, że sprawa ujrzy światło dzienne.

– Niby jakim cudem? Nie macie prawa...

– Spokojnie, najwyraźniej trafiłam w czuły punkt. Głos pani drży. My nie możemy nic poradzić na pani zaniki pamięci, a pani nie ma wpływu na to, co napiszą gazety.

– Nie zrobicie tego.

Tym razem to Hrabianka wstała. Sięgnęła po popielniczkę i wysypała jej zawartość przez okno.

– Faj, ależ śmiesz. No to na czym skończyliśmy? No tak, sądzi pani, że jesteśmy przyzwoitymi, uczciwymi ludźmi, którzy nie posuną się do tego, żeby poinformować kolorową prasę o solidnym skandaliku ze znaną panią ordynator. Jeśli tak, to jest pani strasznie naiwna. Pozostaje też oczywiście pytanie, czy jest coś, co poprawi pani pamięć.

– Czy pani mi grozi?

– Na to wygląda.

Kobieta siedziała przez chwilę z zaciśniętą szczęką i gapiła się w przestrzeń.

– Nic nie pamiętam – wykrztusiła w końcu.

Hrabianka zmieniła wątek.

– Lucy Davison miała siedemnaście lat. Czy to pani nie obchodzi?

– Nie wiem, o kim pani mówi.

– Jej rodzice nadal żyją, mieszkają w Liverpoolu. Przed długie lata podróżowali, próbując ją odnaleźć. Modlili się do Boga i oszczędzali pieniądze na kolejną podróż. Teraz są już starzy, ale nadal mają nadzieję, że przed śmiercią sprowadzą szczątki córki do domu.

– Ktoś powinien im powiedzieć, że Bóg najwyraźniej zdecydował, że ich córka spocznie w innym miejscu, niżby chcieli.

Oczy Hrabianki ciskały błyskawice. Przybliżyła swoją twarz do twarzy ordynatorki, zdecydowanie naruszając jej przestrzeń osobistą, spojrzała jej prosto w oczy i odezwała się cicho, lodowatym tonem:

– Jeszcze pani gorzko zapłacze nad tym komentarzem.

Rozdział 10

– Bądź tak miły i przedstaw mnie ludziom, którzy wiedzą coś o Jesperze i Pii Mikkelsenach.

Głos Simonsena zabrzmiał zdecydowanie, choć dało się wychwycić także lekkie znużenie. Siedział w salce konferencyjnej, którą wynajął w hotelu Budolfi w Ålborgu. Okna pomieszczenie wychodziły na cieśninę Limfjorden, a po drugiej stronie stało dwóch funkcjonariuszy z aalborgskiej policji. Od pół godziny opowiadali o nocnym życiu w mieście, wyglądali na dobrze poinformowanych, niestety nie wiedzieli nic o małżeństwie Mikkelsenów, a właśnie ten temat interesował Simonsena. Obok niego siedziała rozparta w fotelu Pauline Berg.

– To nie ma z wami nic wspólnego – wyjaśniła w jego imieniu. – Nie jesteście odpowiedzialni za to, że was tutaj oddelegowano, ani za to, że nie wiecie o ludziach, którzy nas interesują. Obiecano nam rozmowę z kilkoma kolegami, którzy znają temat, ale to najwyraźniej nie o was chodziło.

Mogła jeszcze dodać, że nie jest dla nich zaskoczeniem, iż Ålborg, czwarte co do wielkości miasto ze stu dwudziestu pięciu tysiącami mieszkańców, ma problemy z przemocą, narkotykami i prostytutką. Jednak tego nie zrobiła. Zdecydowała się natomiast na krótką pauzę, po której podzieliła się swoimi wnioskami:

– Dobrze by więc było, gdybyście teraz wrócili na komendę i poinformowali swoich przełożonych, że zaszła pomyłka, i wspomnieli, że jeżeli ktoś szybko nie zrobi czegoś w tej sprawie, to możecie się spodziewać, że komendant główny...

– Dziękuję, Pauline – przerwał jej Simonsen. – Wystarczy. Myślę, że wszyscy zrozumieli, o co ci chodzi.

Mało entuzjastycznie podziękował dwóm funkcjonariuszom za informacje i odprowadził ich do drzwi. Zanim wyszli, jeden z nich powiedział:

– Jeżeli macie w planach wyjść na miasto i przesłuchać ludzi, to byłoby rozsądnie pomyśleć o wsparciu. Zamierzacie pracować dzisiaj wieczorem?

– Tak, i dziękujemy za ofertę. Poprosimy o pomoc, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale teraz najbardziej potrzebujemy informacji o Jesperze i Pii Mikelsenach.

– Gdybyśmy mieli zorganizować nalot na Rainbow Six, to najwcześniej jutro albo w sobotę. Wtedy będzie tam też znacznie więcej młodych ludzi, w czwartki nie ma wielkiego tłoku.

Berg zsunęła nogi z oparcia fotela, westchnęła przesadnie, a potem powiedziała:

– Nie potrzebujemy żadnego nalotu, nie możecie tego, do cholery, zrozumieć? Jedyne, czego od was chcemy, to kilka wiarygodnych informacji.

Funkcjonariusze wyszli. Simonsen pomyślał, że Berg głupio postąpiła. Życzliwość i wsparcie lokalnej policji często odgrywały kluczową rolę. Nikt nie lubił arogantów z Kopenhagi, którym się wydawało, że rządzą krajem. Stwierdził, że to wszystko przez przemęczenie, i obiecał sobie, że później skontaktuje się z dyżurnym komendy Ålborg Wschód, skąd przybyło dwóch funkcjonariuszy, i przeprosi za swoje zachowanie. Potem spojrział na Berg i się poprawił – przeprosi za zachowanie swojej koleżanki.

– Jak się właściwie czujesz? – spytał cicho.

Chciał ją o to zapytać już w samolocie – zdecydował się na to jeszcze przed wyjazdem – ale siedzieli z dala od siebie, a taksówka w drodze do hotelu też nie sprzyjała rozmowie. Teraz jednak miał okazję. Zostało trochę czasu do przybycia Arnolda, który jechał z Esbjerg samochodem i zapewne nie zdąży dotrzeć przed lunchem.

Berg uniosła głowę i skupiła wzrok na Simonsenie. Przez moment sądził, że w ogóle mu nie odpowie, ale wtedy odparła wolno:

– Chyba niezbyt dobrze. Ale dziękuję, że zapytałeś.

Milczenie się przedłużało. Za oknem, na nabrzeżu jakiś dźwig przenośli kontener ze statku. Mężczyzna miniaturowych rozmiarów gestykulo-

wał żywo, ale Simonsen nie wiedział dlaczego.

– W nocy śni mi się, że mnie woła – powiedziała wreszcie Berg.

Zamarł, a potem nieznacznie pokręcił głową.

– Chciałbym, żebyś zostawiła tę... sprawę.

– Ja też bym chciała. Czasami. A niekiedy jestem pewna, że coś jest nie tak. Coś w tym wszystkim nie pasuje i nigdy nie zostało zbadane.

Żadne z nich nie wymieniło nazwiska, jakby oboje chcieli tego uniknąć. Jednak doskonale wiedzieli, o kim rozmawiali. O sprawie Juli Denis-sen, nieistniejącej sprawie Juli – zmarłej młodej kobiety, o której Berg naj-wyraźniej nie potrafiła zapomnieć.

Simonsen pożałował, że zapytał.

– Ta sprawa będzie mnie jeszcze długo prześladować, czuję to – przyznała Berg. – Nie potrafię jej zostawić, chociaż bym chciała, ale pewnie cię ucieszy, że zostałam z tym sama. Nikt inny nie zamierza tracić na nią czasu.

– Chodziło mi bardziej o to, jak się czujesz, tak ogólnie.

– Wiem. I odpowiedź brzmi, że często dość kiepsko. W ciągu ostatnich tygodni pracy niemal każdego dnia bałam się, że się rozplaczę. Rozbeczę zupełnie bez powodu. Podobnie jest teraz.

– Dlaczego? Przecież nic takiego by się nie stało.

Zaśmiała się oschle i zmierzyła go poważnym wzrokiem.

– Hipokryta. Nie możesz znieść płaczących kobiet.

To była prawda. Uśmiechnął się do niej i chociaż dwie sekundy temu czuł coś zupełnie przeciwnego, teraz pomyślał, że od czasu do czasu udaje im się nawiązać zupełnie niezły kontakt.

– Czytam sporo materiałów o latach sześćdziesiątych i oglądam filmy z tamtego okresu – ciągnęła Berg. – To pozwala mi zachować... dystans do sprawy, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. W sobotę byłam w bibliotece i czytałam gazety z sześćdziesiątego dziewiątego roku na mikrofilmach. Czytelnia mieści się w piwnicy i była tam świetlówka, która przez cały czas migiała. To było cholernie irytujące.

– Czy to dlatego, że nie chciałem twojej pomocy przy wątku listu do redakcji i odpowiedzi Heleny Brage Hansen?

– Nie, właściwie nie. – Zapatrzyła się przed siebie, a potem dodała: – Gdy się czymś zajmuję, często popadam w przesadę, a niekiedy wręcz w skrajność. To dotyczy również mężczyzn, ale o tym chyba nie chcesz słuchać, prawda?

– Tak, bez wątpienia.

Co, do cholery, miałby na to odpowiedzieć? Jasne, że nie chciał.

– Zdaję sobie sprawę, że jestem utrapieniem. Ale powiem ci teraz, jak się naprawdę czuję. Moje życie przypomina bolesny sen, ciemną nawałnicę, z której nie mogę się obudzić. W nocy rzadko udaje mi się zasnąć, a jeżeli nawet, to nie dłużej niż na dwie minuty, chyba że wezmę tabletki, ale potrzebuję ich coraz więcej. Poza tym miewam problemy z koncentracją i pamięcią, a do tego dochodzi ciągły lęk, który towarzyszy mi zawsze, raz mniej, raz bardziej. Myślę, że już nigdy mnie nie opuści. – Przerwała, po czym dodała bez użalania się nad sobą: – Nic nie mogę na to poradzić.

– Tak, oczywiście, że nie możesz. Nikt nie boi się celowo.

Zignorowała jego pocieszenie.

– Niekiedy myślę... chodzi o tę nostalgię, która cię wypełnia, a co ze mną, co z tym, co tu i teraz?

Simonsen objął się ramionami, spojrzał na nią i przeklął w duchu. Rozpląkała się. Niemniej jednak jej głos brzmiał spokojnie, gdy powiedziała:

– Idź stąd i zostaw mnie samą. Zobaczymy się na lunchu.

Gdy zamknął za sobą drzwi, zastanawiał się, czy nie powinien zanieść jej chusteczki. Jednak po głębszym namyśle... przecież powiedziała, że chce zostać sama. Zateśknił za papierosem i poczuł się jak tchórz. Jednocześnie sprawiał wrażenie ożywionego – dziwne połączenie. Nikt nie boi się celowo. To były słowa sprzedawcy serów, wypowiedziane w Instytucie Medycyny Sądowej. I naraz dotarło do niego, co właściwie oznaczały.

– Pomożemy jej się pozbyć lęku, Lucy. Dręczył ją przez niemal czterdzieści lat, więc gdy się zjawimy, przyjmie nas z otwartymi ramionami. Ty

i ja wyruszamy do Norwegii, oczywiście, że tak, przecież zawsze chciałaś tam pojechać. Po prostu wcześniej nie słuchałem cię uważnie, ty moja diamentowa dziewczynko.

Rozmawiał z nią po raz pierwszy i to było miłe uczucie.

Po lunchu zjawiła się nowa funkcjonariuszka z policji w Ålborg, która okazała się znacznie lepiej poinformowana w sprawie Jespera i Pii Mikkelsenów niż je poprzednicy. Kobieta pracowała w specjalnej sekcji młodzieżowej policji, zajmującej się dozorem i kontrolą młodzieży z trudnych środowisk, zarówno w samym Ålborgu jak i w całym policyjnym okręgu. Z tego powodu miała dogłębny wgląd w życie nocne w mieście, a zwłaszcza w to, co działo się w dyskotekach, knajpach i klubach nocnych położonych przy ulicy Jomfru Ane Gade, centrum wieczornych i nocnych rozrywek. Znała również Rainbow Six, dyskotekę, w której pięćdziesiąt procentów udziałów mieli Pia i Jesper Mikkelsenowie. I poza wszystkim starannie odrobiła lekcję.

Mikkelsenowie pobrali się w 1973 roku i już pięć lat później przeprowadzili się do Ålborga, a potem jeszcze w tym samym roku otworzyli antykwariat z płytami. W 1986 roku zakupili willę położoną na przedmieściach, w dzielnicy Hasseris, gdzie nadal mieszkali, a w 1993 nabyli też niewielki, ale ekskluzywny domek letniskowy w Gammel Skagen. Kartoteki obojga z rejestru karnego okazały się czyste, poza sporadycznymi sprzeczkami rodzinnymi, po których żadne z nich nie wносиło skarg. Słowem, policja nic na nich nie miała. W 1994 zakupili połowę dyskoteki i klubu nocnego Rainbow Six, a także znajdujące się nad klubem mieszkanie, gdzie Jesper Mikkelsen urządził dla siebie niewielkie biuro. Pozostałą część mieszkania przeznaczono na magazyn płyt. Wszystko wskazywało na to, że każde z nich ma swoje pieniądze. Z urzędem skarbowym też rozliczali się osobno.

Pia Mikkelsen często bywała w Kopenhadze, gdzie odwiedzała brata i jego dorosłe dzieci. Poza tym wydawała się zafascynowana austriackim piosenkarzem Hansim Hintersserem i przynajmniej kilka razy w roku jeździła na jego koncerty. Jesper Mikkelsen nie miał żadnego hobby, które znane byłoby policji, natomiast często widywano go, zwłaszcza wieczoro-

rami w czwartki, piątki i soboty, albo w jego własnej dyskotecie, albo w innym zakątku miasta. Nierzadko w towarzystwie młodziutkich dziewczyn. Jednak czy podczas tych wypadów działo się coś nielegalnego, trudno było powiedzieć, a jeszcze trudniej dowieść, więc policja, która musiała zajmować się wieloma innymi, znacznie poważniejszymi sprawami, nie bardzo się Mikkelsenem interesowała.

Większość tych informacji była już wcześniej znana wydziałowi zabójstw, a mimo to Simonsen pozwolił funkcjonariuszce zdać relację. W nawiązaniu do ostatniej kwestii Berg zauważyła z oburzeniem:

– Jeżeli facet wykorzystuje młode dziewczyny, to z pewnością nie chodzi o drobiazg.

Klavs Arnold się z nią zgodził. Siedział na odwróconym tyłem krześle, z głową opartą o ścianę, i od czasu do czasu drzemał.

– Nie, oczywiście, że nie, gdyby tak było – wyjaśniła funkcjonariuszka. – Jednak nic nie wskazuje na nadużycie w rozumieniu kodeksu karnego. Zupełnie nic. Osobiście wątpię, czy mamy do czynienia z motywem seksualnym. A jeżeli nawet, to te dziewczyny spotykają się z Mikkelsenem dobrowolnie, czyli zgodnie z prawem. W grę może też oczywiście wchodzić seks za pieniądze. Ale mamy sporo innych pilniejszych spraw.

Simonsen, który wyczuł wahanie funkcjonariuszki, gdy ta opisywała eskapady Jespera Mikkelsena – jeżeli tak można było nazwać to, co ten facet robił – zapytał:

– Czyli nie wierzysz w to, że wykorzystuje dziewczyny, z którymi nawiązuje kontakt?

Odpowiedź funkcjonariuszki była nieco wymijająca.

– Słyszałam już wiele różnych historii o upodleniu, brutalności i niegodziwości. Są bardzo odrażające i przerażająco do siebie podobne, przybywa ich z miesiąca na miesiąc. Nigdy do mnie nie dotarło, żeby Jesper Mikkelsen był zamieszany w którąkolwiek z tych spraw. A przecież kręcę się w tym środowisku od niemal siedmiu lat. Zdziwiłoby mnie, gdybym nic nie słyszała, a on jednak...

Nie dokończyła zdania.

– Czy w jego klubie nocnym rozprowadza się narkotyki?

– Z pewnością, to gówno jest przecież wszędzie, ale w klubie w każdym kącie są kamery, a menadżer i personel nie patrzą na te sprawy przez palce, jeżeli coś odkryją. Sądzę, że ani ona, ani on nie mają nic wspólnego z narkotykami. Zdecydowanie nie. Słyszałam też plotki, które krążyły swego czasu po mieście, że Mikkelsen w nocy zawsze ma obstawę – ochroniarza, a nawet dwóch. W dzień nierzadko też.

Arnold się przebudził.

– Ochroniarze. Wiesz o nich coś więcej?

– Goryle, wielcy mężczyźni z nabrzmiętymi mięśniami, typ rockersów, chociaż nimi nie są.

– Profesjoniści?

– W żadnym wypadku.

– Uzbrojeni?

– Nie wydaje mi się. Nie, nie są uzbrojeni. Co najwyżej mają jakieś kasty czy coś w tym rodzaju.

Rozmowa z funkcjonariuszką trwała jeszcze z pół godziny, ale do niczego nie doszli. Potem Arnold udał się do swojego pokoju na krótką drzemkę.

– Co będziesz teraz robił? – zapytała Simonsena Berg.

Inspektor nie miał żadnych konkretnych planów, być może zamierzał wybrać się na krótki spacer. Dziewczyna zaproponowała, że mu potowarzyszy, co było mu wyraźnie nie w smak.

Rainbow Six mieściło się pośrodku Gabrielsgade, bocznej uliczki odchodzącej od Jomfru Ane Gade. Simonsen, Berg i Arnold przyglądali się fasadzie budynku. Była dwudziesta trzecia, na zewnątrz panował ziąb i P Berg marzła. Wielokrotnie próbowała zwrócić na to uwagę krótkimi, niecierpliwymi komentarzami, ale Simonsen ją ignorował. Spoglądał w kierunku ulicy i wejścia do dyskoteki, mieszczącego się po jej drugiej stronie. Znajdujący się nad bramą portal wystawał niemal do połowy szerokości chodnika, a na samej górze mrugał neon w kształcie tęczy, której kolory pojawiały się i znikwały w odstępie ćwierci sekundy. Był brzydki, ale skutecznie

przykuwał uwagę. Pod portalem, nieco z tyłu za reklamą, widoczne były drzwi wejściowe, przed którymi stało dwóch bramkarzy, oświetlonych niebieskawym światłem, przywodzącym na myśl „koguty” pojazdów uprzywilejowanych. Rzucalo ono na ochroniarzy niezdrową, niemal toksyczną poświatę. Obaj byli ubrani na czarno, a na plecach ich koszulek widniał ułożony z wielkich białych liter napis Security.

Młodzi ludzie przychodzili zazwyczaj w niewielkich grupkach i grzecznie ustawiali w kolejce pod portalem, gdzie czekali, aż bramkarze ich wpuszczą. Simonsen zauważył, że niektórych gości wpuszczano do klubu poza kolejką i bez kontroli. Pozostałym przetrząsano torebki i sprawdzano dokumenty, zanim zostali zaakceptowani przez ochroniarzy. Dwukrotnie goście zostali odesłani z kwitkiem. Za pierwszym razem dwie młode dziewczyny próbowały ominąć kolejkę, ale bramkarz natychmiast zareagował i odesłał je gniewnym gestem. Za drugim razem sprawa wydawała się poważniejsza i mogło się zrobić nieprzyjemnie. Z grupy ośmiu, może dziewięciu młodych mężczyzn, trzech zostało odesłanych. W dyskotecie obowiązywał dress code i najwyraźniej nie obejmował bluz z kapturem, czapek z daszkiem czy spodni typu baggy. Wywiązała się głośna dyskusja, ale do dwóch bramkarzy szybko dołączyło czterech kolegów ze środka i chłopcy się wycofali.

– Są bardzo młodzi – zauważył Arnold.

Berg wyjaśniła, że klub zmieniał klientelę w zależności od tego, czy był czwartek, piątek czy sobota. W czwartki wpuszczano już siedemnastolatków, w piątki dolna granica wieku wynosiła dwadzieścia, a w soboty dwadzieścia trzy. Jako że nikt z młodych ludzi nie lubił imprezować z młodszymi od siebie, to przypuszczali, że dzisiejszego wieczoru trudno będzie spotkać tu kogoś powyżej siedemnastego roku życia.

– Czy nie mogłabym się już ustawić w kolejce? – spytała zaraz potem Simonsena. – Nawet zęby mi już zamarzają.

– W porządku, idź – zgodził się inspektor. – Czy to nie ty twierdziłaś, że świetnie wpasuje się w to środowisko? – odezwał się oschle do Arnolda. – Okazuje się, że pasuje tu tak samo jak my.

– Nie miałem pojęcia, że czwartki są przeznaczone dla nastolatków.

– Nie mogłeś tego wiedzieć, to prawda. Powiedz mi, masz przy sobie broń?

– Tak.

– Jeśli te mięśniaki zaczną cię przeszukiwać, to po prostu się wylegitymujesz. Nie chcę tu żadnego zamieszania. I tak mocno rzucamy się w oczy, więc to, że będą wiedzieć, kim jesteśmy, niewiele już zmieni.

Pomysł Simonsena sprowadzał się do tego, żeby najpierw anonimowo rozejrzeć się na miejscu, a następnie udać się na piętro i skonfrontować się z Jesperem Mikkelsenem. Pod warunkiem, że go zastaną, bo nie mieli żadnej pewności. Jednak w tej sytuacji część planu musieli odpuścić. Mimo to Simonsen postanowił się trzymać pierwotnej koncepcji i dziesięć minut po tym, jak Berg została wpuszczona do środka, przeszedł przez ulicę i wszedł do dyskoteki, pierwszy raz od trzydziestu lat. Arnold podreptał za nim.

Bramkarze najwyraźniej zauważyli funkcjonariuszy już dawno temu, bo pomachali do nich, zanim tam zdążyli się ustawić w kolejce.

– Czego tu chcecie? – zapytał Arnolda młodszy z nich.

– Wejść.

Mężczyzna zamienił parę słów ze swoim kolegą, który następnie odwrócił się i wskazał palcem wejście z pominięciem kolejki.

Weszli do zaciemnionego pomieszczenia z wysoką czarną ladą po lewej stronie. Za nią stała jakaś kobieta i pobierała opłatę za wejście – osiemdziesiąt koron, jak zauważył Simonsen. Po uiszczeniu należności klienci otrzymywali stempel na jednym z nadgarstków. Zapłacił za nich obu i kręcąc przecząco głową, podziękował za stempel. W szatni Arnold oddał ich wierzchnie ubranie, podczas gdy Simonsen studiował wiszącą na ścianie, oprawioną w ramkę certyfikat straży pożarnej. Wynikało z niego, że w lokalach mogło przebywać jednocześnie sto pięćdziesiąt osób. Szatniarz przyglądał się im z z troskaniem. Jego obawy wzrosły jeszcze bardziej, gdy Simonsen powstrzymał Jutlandczyka przed wejściem w głąb pomieszczenia i przez pewien czas stali tak, oparci o czarną ladę,

przyglądając się, jak młodzi ludzie wchodzą i schodzą po krótkich, szerokich schodach, prowadzących do toalet. Głównie dziewczęta, chcące poprawić makijaż.

Chwilę później przeszli przez łukowate przejście i wkroczyli do wysokiej, wypełnionej w połowie sali. Wewnątrz znajdowali się wyłącznie młodzi ludzie. Dziewczyny miały gołe nogi i króciutkie spódniczki, a do tego wysokie szpilki, z którymi większość miała problem podczas chodzenia. Chłopcy byli ubrani w dzinsy i na wpół rozpięte koszule. W oczy rzucały się też ich nawoskowane włosy oraz błyskotki na szyjach. Wnętrze sprawiało nudne wrażenie: brązowa tapeta w stylizowane złote kwiaty, miękkie światło padające z kryształowych żyrandoli, których było na suficie całe mnóstwo. Przy jednym z dłuższych boków lokalu stały skórzane sofy i ciężkie stoliki z litego drewna. Arnold siedł jako pierwszy i wkrótce znalazł im wolną sofę w najodleglejszym rogu pomieszczenia. Gdy usiedli, zaraz zwolnił się stolik obok, bo grupa nastolatków przeniosła się gdzie indziej na ich widok. Simonsen powiódł wzrokiem po lokalu. Naprzeciwko ich miejsc parkiet taneczny wcinał się w ścianę niczym ciemna grotka. Jakiś didżej, którego nie widział, ale słyszał, gdy mężczyzna zapowiadał kolejny numer, dbał o oprawę muzyczną. Na szczęście było ciszej, niż inspektor się spodziewał, i dało się znieść te decybele. Garstka młodych wiała się na parkiecie, niektórzy w parach, inni solo. Od czasu do czasu tańczących spowijał siwy dym o specyficznym mdłym zapachu, którego Simonsen nie potrafił zidentyfikować.

Podszedł do nich bramkarz rozmiarów stodoły. Nosił biały smoking i zachowywał się uprzejmie, ale miał zimne spojrzenie.

– Czy czegoś wam potrzeba?

Młodzi ludzie musieli sami pofatygować się do baru, położonego przy naprzeciwległej ścianie lokalu, jeżeli chcieli się w coś zaopatrzyć, ale funkcjonariuszy traktowano inaczej.

– Tak, spokoju – splawił ochroniarza Arnold.

Mężczyzna odszedł, nadal z kamiennym wyrazem twarzy.

– Widzisz jakieś drzwi na pierwsze piętro? – spytał Simonsen.

Klavs od razu wskazał kciukiem drzwi bezpośrednio za sobą. Były obłożone tapetą i stapiały się ze ścianą. Niełatwo było je dostrzec. Simonsen się uśmiechnął. Potem sięgnął po kartę drinków – laminowany czarny papier zadrukowany białymi literami, umieszczony pod lampką imitującą świeczkę. Chciał się przekonać, czy serwowano tutaj drinki bezalkoholowe. Ponad połowa młodzieży nie miała jeszcze osiemnastu lat. Przeczytał parę nazw, ale te egzotyczne określenia nic mu nie mówiły.

– Nikt z tutejszej młodzieży nie kupi Mai Tai czy Caipirinha za sto koron, skoro może dostać Tequila Sunrise czy Sex on the Beach za połowę – poinformował go fachowo Arnold. – Ich drinki muszą być ładne, kolorowe, nosić zabawne nazwy...

Simonsen mu przerwał, wskazując w stronę wejścia, w którym właśnie stanął Jesper Mikkelsen. W towarzystwie młodej dziewczyny. Arnold zamilkł i obaj przyglądali się, jak właściciel klubu prowadzi swoją partnerkę do baru. Chwilę później oboje skierowali się w ich stronę. Dziewczyna niosła jakiś niebieskawy drink w wysokiej szklance ze słomką, on trzymał w dłoni mały kufel piwa. Simonsen pomyślał, że mężczyzna wygląda na starszego, niż się spodziewał, starszego i bardziej zmęczonego. Ta niedobra para przecinała pomieszczenie. Arnold wyjął telefon i zaczął ich filmować, nie próbując nawet ukryć, że to robi. Mikkelsen posłał mu krótkie zdziwione spojrzenie, ale go zignorował. Para zatrzymała się przed drzwiami w ścianie, zaledwie metr od nich, a dziewczyna otrzymała całusa w policzek, zanim właściciel klubu zniknął w drzwiach.

Dziewczyna wyglądała na zagubioną. Simonsen zaczął się jej przyglądać. Miała na sobie czarną sukienkę z krótkim rękawem, krótką, ale nie wulgarną, dość luźną, z wielkimi kieszeniami z przodu, nadającymi jej dodatkową objętość. Rozpuszczone włosy spryskała o wiele za grubą warstwą lakieru. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Simonsen powiódł za nią wzrokiem, gdy chwilę później skierowała się w stronę baru. Średnio sobie radziła w butach na zbyt wysokich obcasach. A może była pijana, trudno powiedzieć. Usiadła na wysokim stołku przy barze, a inspektor pokiwiał w zamyśleniu głową, jakby chciał sam przyznać sobie rację, a wtedy u ich boku pojawiła się Pauline Berg.

– *Smoky eyes*, brokat na kościach policzkowych, kiczowata, a na dodatek lalunia – podsumował Arnold.

– To niebezpieczne, ile ty wiesz o dyskotekach – stwierdził rozczarowany Simonsen.

– Byłem bramkarzem w Esbjerg przez dwa sezony. – Arnold się roześmiał. – To tak jakby wrócić do domu.

– Funkcjonariusz, bramkarz i pracownik siłowni. Powiedz mi, ile zajęć można wykonywać jednocześnie?

Simonsen nigdy nie doczekał się odpowiedzi. Ochroniarz, który wcześniej chciał im coś zaszerwować, teraz wraz z kolegą o podobnych gabarytach przecinał salę, zmierzając w kierunku ich stolika. Po niedawnej uprzejmości nie było już śladu. Do tego wciąż mierzył ich swoim zimnym spojrzeniem.

– Pójdziecie z nami. Teraz! – zarządził.

Drugi mężczyzna otworzył drzwi w ścianie i poczekał, aż Simonsen i Arnold wejdą do środka. Następnie brutalnie pchnął Simonsena między łopatki i wysyczał coś ledwie słyszalnie. Dwóch funkcjonariuszy pchnięto na schody tak wąskie, że można było po nich iść tylko pojedynczo. Jeden z ochroniarzy szedł przodem, drugi za nimi. Schody prowadziły do krótkiego korytarza, a na jego końcu znajdowały się pojedyncze drzwi.

Simonsena i Arnolda wprowadzono do niewielkiego pomieszczenia. Nie było w nim okien, oświetlały go dwie ostro świecące świetlówki umocowane na suficie. Ściany po trzech stronach wypełnione były stalowymi regałami, na których umieszczono teczki i segregatory we wszystkich możliwych kolorach i rozmiarach. Najdalej, po przeciwnej stronie drzwi, przy biurku siedział Jesper Mikkelsen. Z dezaprobatą popatrzył na swoich gości. Przed nim na blacie stał nietknięty kufel piwa.

Simonsen z trudem orientował się w tym, co wydarzyło się w ciągu kolejnych pięciu sekund. Arnold zrobił krok do przodu w stronę biurka, ostrożnie, jakby nie wiedział, o co tu chodzi, i natychmiast został otoczony przez ochroniarzy. Wtedy jednym błyskawicznym i kompletnie zaskakującym ruchem wykonał półobrót i wpakował pięść w nos jednego z nich. Kość się złamała, wydając głuchy chrzęst. Podczas tego samego ruchu

wierzgnął nogą w tył i bokiem stopy kopnął drugiego mężczyznę w krocze. Facet opadł na kolana, a następnie zwinął się w kłębek na podłodze. W następnym ruchu Klavs kolejnym kopnięciem podciął nogi pierwszemu ochroniarzowi, który nawet nie zdążył przyłożyć dłoni do zakrwawionego nosa, zanim też wylądował na podłodze.

– Żadnych gwałtownych ruchów!

Arnold trzymał pistolet w dłoni. Jakby go wyczarował, opowiadał potem Simonsen. Lufę skierował w stronę piersi Mikkelsena i słychać było krótkie, metaliczne kliknięcie, gdy odbezpieczał broń. Klavs powtórzył rozkaz. Spokojnie i złowieszczo, podpierając lewą dłonią wyciągnięte przed siebie prawe ramię.

– Spokojnie, żadnych gwałtownych ruchów. I wyjmij dłonie z szuflady. Powoli!

Mikkelsen zrobił, co mu kazano. Wyciągnął dłonie i założył ręce za głowę, mimo że taki rozkaz nie padł. Arnold zbliżył się do niego i ściągnął go za krawat na podłogę, przeszukał sprawnie, żeby sprawdzić, czy nie ma broni, a następnie wcisnął pomiędzy dwóch zawodzących mężczyzn. Po tem zabezpieczył swój pistolet i wsunął go do kabury.

Simonsen podszedł do biurka i zajrzał do otwartej szuflady. Wewnątrz leżał telefon. Sprawdził wyświetlacz. Mikkelsen zdążył wystukać numer policji w Ålborgu. W tym samym momencie zapukano do drzwi, a gdy Arnold je otworzył, zobaczyli Berg. Tuż za nią stała ta młoda dziewczyna. Rozejrzała się przerażona dookoła i gdy zauważyła, że Mikkelsen leży na podłodze, ukucnęła przy nim i zaczęła płakać. Berg również powiodła wzrokiem dookoła, a potem skomentowała:

– To jakiś bajzel.

Simonsen odzyskał kontrolę nad sytuacją. Sprawa dwóch pokiereszowanych mężczyzn wkrótce została wyjaśniona. Doszedł do porozumienia z Mikkelsenem, że błędy zdarzyły się po obu stronach, dlatego najlepiej dla wszystkich będzie, gdy zapomną o całym zajściu. Gdy obaj ochroniarze, kuśtykając, opuszczali pomieszczenie, inspektor posłał Arnoldowi

pełne irytacji spojrzenie. Jutlandczyk spuścił wzrok, świadomy, że czeka go niezbyt przyjemna rozmowa w związku z tą gwałtowną reakcją. Berg przekonała dziewczynę, żeby opowiedziała im swoją historię. Nastolatka mówiła niepewnym, łamiącym się głosem.

Półtora roku temu znalazła się na samym dnie. Pod koniec ósmej klasy rzuciła szkołę, uciekła z domu i po kilku wypadach za granicę wylądowała w Ålborgu, gdzie zamieszkała ze swoim chłopakiem. Zażywała wtedy narkotyki, a po przeprowadzce ćpała coraz częściej. Dragi kosztowały, dlatego parę razy w tygodniu poszukiwała klientów w okolicach Gøglergade albo brała zastępstwa w klinice masażu w Nørresundsby, jeżeli akurat nie była zbyt mocno odurzona. W listopadzie zeszłego roku wylądowała w szpitalu w Ålborgu z powodu zatrucia alkoholem i tutaj po raz pierwszy Mikkelsen nawiązał z nią kontakt, ale wtedy odrzuciła jego pomoc. Trzy tygodnie później wróciła do szpitala, tym razem po nieudanej próbie samobójczej. Mikkelsen odwiedził ją ponownie i po długiej rozmowie zdecydowała się przyjąć pomoc od niego i jego żony.

Dokumenty z dwóch teczek ustawionych na regale potwierdziły jej wersję. Nie była pierwsza, przed nią Mikkelsenowie pomogli też innym dziewczętom. Wielu innym. Simonsen i Arnold wertowali papiery. Młode dziewczyny, najczęściej z małych miejscowości, z terenów podmiejskich, które sięgnęły dna w Ålborgu albo też były na najlepszej drodze ku temu. Gdy okazywało się to konieczne, małżeństwo umieszczało je w prywatnej klinice leczenia uzależnień w Viborgu, a potem załatwiała im przyzwoite miejsce do mieszkania, pomagało wrócić do szkoły lub do pracy i bardzo często cały proces zaczynał się od nowa, po tym, jak dziewczyny wracały do dawnego stylu życia. Jednak gdy już zdecydowali się otoczyć opieką jakąś dziewczynę, byli niezwykle zdeterminowani, żeby jej pomóc odbić się od dna, i nie żalowali na ten cel środków. Arnold jako pierwszy odłożył teczkę na miejsce, chwilę później Simonsen zrobił to samo.

– Imponujące.

Właściciel dyskoteki nie odpowiedział, więc Simonsen kontynuował:

– Ośrodek Vesterhavsgården, czerwiec sześćdziesiątego dziewiątego roku, wakacje połączone z nauką.

Mężczyzna odwzajemnił jego spojrzenie bez obawy.

– Jutro rano o ósmej, tutaj, w moim biurze, w towarzystwie mojej żony i adwokata.

– Lucy Davison, mam zdjęcia przedstawiające was razem.

Mikkelsen nie odpowiedział. Simonsen zmienił miejsce jutrzejszej rozmowy na komendę policji w Ålborgu i poinformował go, że sami znajdują drogę do wyjścia.

Pia i Jesper Mikkelsenowie pojawili się na przesłuchaniu zgodnie z umową o ósmej rano i przyprowadzili ze sobą adwokatkę, która już na wstępie poinformowała, że chciałaby złożyć oświadczenie w imieniu swoich klientów. Simonsen i Hrabianka czekali pełni nadziei, licząc, że poranny lot tej ostatniej nie okaże się daremny, ale się pomylili. Prawniczka odszukała odpowiednią kartkę, a następnie odczytała:

– Pia Mikkelsen i Jesper Mikkelsen nie będą odpowiadać na pytania policji. Jeżeli zostaną ponownie zatrzymani, osobno lub razem, w związku z tą sprawą, życzą sobie, aby niezwłocznie mnie o tym powiadomiono i że-bym przybyła na miejsce, zanim padną jakiegokolwiek pytania.

– Przecież w ogóle nie powiedzieliśmy, o co chodzi – wszedł jej w słowo zdumiony Simonsen.

Został zignorowany, a adwokatka ciągnęła monotonnym głosem:

– Moi klienci informują, że Lucy Davison, Angielka, którą spotkali podczas wakacyjnego wyjazdu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, wsiadła do autobusu jadącego w stronę Varde w środę po południu, osiemnastego czerwca tego samego roku. Od tego czasu jej nie widzieli i nie mają w tej sprawie nic do dodania. Czy moi klienci zostają zatrzymani?

Hrabianka potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, ale chcielibyśmy...

Adwokatka wstała. To samo zrobili Mikkelsenowie.

– Chodźcie, wychodzimy.

I wyszli.

Trudno jest chwalić innych tak na zawołanie. Simonsen czuł się niczym aktor, który ma wypowiedzieć konkretną kwestię i zapomniał słów. Powstrzymał się więc od komentarza, a zamiast tego podążał za Berg podczas jej obchodu. Kroczyła w milczeniu i poświęcała sporo czasu na przyjrzenie się każdemu plakatowi, jak nabywca w prawdziwej galerii. Simonsen czuł się tak, jakby oceniała jego własne dzieła, i wprawilo go to w załopotanie. Próbował je wyprzeć.

– Opowiadałaś wczoraj, że czytasz o latach sześćdziesiątych. Czego się dowiedziałaś?

Berg ucieszyła się, gdy ją zapytał, czy nie chciałaby ponownie odwiedzić jego galerii, dlatego prosto z lotniska przyjechali do Søllerød.

– Nic konkretnego, a jednocześnie całe mnóstwo rzeczy, o których nie miałam pojęcia – odparła.

– Na przykład?

– Że wasza muzyka była od początku do końca naprawdę fantastyczna, natomiast książki nudne.

Wasza muzyka, wasze książki. Simonsen zaakceptował do przyporządkowanie. Pomyślał, że jeszcze miesiąc temu nie potrafiłyby tego zrobić. Berg ustawiła się obok zdjęcia, które przed chwilą oglądała. Wpatrywała się w podłogę, w miejsce na którym siedziała niemal dziesięć dni temu podczas ataku lęku. W końcu się odezwała:

– Gdy poczułam, że coś zaciska mi się na szyi, myślałam że to z powodu uduszonej Juli Denissen, ale teraz wiem, że chodziło o Lucy Davison.

Jej głos brzmiał rozsądnie, jakby przedstawiała jakiś banalny, ale istotny fakt. Simonsen milczał, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, aż w końcu odwzajemnił jej spojrzenie wzruszeniem ramion. Wtedy przymknęła oczy i przeszła do kolejnego zdjęcia, nie przerywając rozmowy:

– Wiem, jaki plakat wisiał w twoim pokoju w czasach młodości.

– Nie, nie masz pojęcia.

Daremnie próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

– Marilyn Monroe o platynowych włosach, różowych ustach i szarobłękitnych cieniach do powiek, Andy Warhol z sześćdziesiątego siódmego roku.

Simonsen aż się skulił. Doskonale pamiętał ten plakat i to, że swego czasu zamierzał go kupić, ale nigdy tego nie zrobił. Zapewne z powodu braku pieniędzy.

– Muszę przyznać, że byłaś bardzo blisko.

– Myślałeś, że powiem Che Guevara, prawda? Ten lekarz, który okazał się beznadziejnym partyzantem.

– Owszem, tak przypuszczałem.

– A co w takim razie powiesiłeś sobie na ścianie?

– Nic typowego dla tamtych czasów. Niczego takiego sobie nie przypominam... chyba że... miałem plakat wyborczy związany z wyborami do Wspólnot Europejskich. Nie był jako tako artystyczny, widniał na nim tylko napis WE – DZIĘKUJĘ NIE, dużymi, czerwonymi literami.

– Głosowanie w sprawie WE nie odbyło się przecież w latach sześćdziesiątych. Czy to nie było w siedemdziesiątym drugim roku?

– Późno zacząłem.

Rozmowa umilkła, bo Pauline przez moment skupiła się na jednym ze zdjęć, a Simonsen nie potrafił znaleźć tematu, aby zapęłnić tę ciszę.

– DZIĘKUJĘ NIE było typowe – stwierdziła chwilę później policjantka.

– Wszystko było wtedy DZIĘKUJĘ NIE – DZIĘKUJĘ NIE za to, DZIĘKUJĘ NIE za tamto. Swoją drogą to spodziewałabym się raczej, że zagłosujesz za wstąpieniem do Wspólnot Europejskich.

– Tak się też stało. Jednak przez pewien okres byłem temu przeciwny. A dziewczyna, którą wtedy znałem, powiesiła ten plakat...

– Rita?

Nie przypominał sobie, żeby przy niej wymienił jej imię, ale najwidoczniej musiał to zrobić. Chyba że rozmawiała o tym z Hrabianką. Porzucił tę myśl, bo to i tak nie miało znaczenia.

– Tak – potwierdził krótko.

– A ona głosowała przeciw?

– W ogóle nie głosowała.

Ponownie cisza, ale tym razem zostały jej tylko trzy zdjęcia, więc dało się jakoś przetrwać. Gdy skończyła, wróciła do jednej z fotografii, a potem się odezwała:

– Jest jedna rzecz, której nie mogę zdzierżyć. Chodzi o te wasze przechwałki. Wygląda na to, jakby w waszych oczach inne pokolenia nie były zbyt wiele warte i wydawały się mało istotne w porównaniu do tych waszych świętych lat sześćdziesiątych – powiedziała to bez agresji. Po prostu stwierdziła fakt.

Simonsen uśmiechnął się chytrze.

– Za trzysta lat będziemy jedynym zapamiętanym pokoleniem, chyba że w ciągu najbliższych dwudziestu kolejnych zajdą jakieś rewolucyjne zmiany. Zwróć uwagę, że użyłem określenia „jedynym”. Uchodzimy za wyjątkowych i bez precedensu.

Jeżeli chciał ją tym sprowokować, to mu się nie udało.

– Czy ty się słyszysz? – zapytała zrezygnowana. – To jest nie do wytrzymania.

– Jesteśmy jedynym pokoleniem w historii Danii, które nie doświadczyło ani wojny, ani głodu. Głęboko wierzę w to, że pojawią się kolejne takie pokolenia, ale niestety nie jestem przekonany, że to nastąpi.

Wreszcie odwróciła się w jego stronę i wtedy dostrzegł, że ma łzy w oczach. Przez krótką chwilę bał się, że zbliża się kolejny napad lęku. Wtedy zdał sobie sprawę, że się po prostu wzruszyła tym, co zobaczyła. Nie zrobiła nic, aby ukryć swoje emocje, tylko powiedziała:

– Już rozumiem, dlaczego tak bardzo chcesz ją znaleźć, i cieszę się, że mogłam tu przyjść. Dobrze było zobaczyć to pomieszczenie ponownie i oczywiście... cieszę się, że tym razem obyło się bez napadu lęku.

– Obawiałaś się, że to może się zdarzyć?

Pytanie było głupie, a Berg postanowiła na nie nie odpowiadać.

Usiedli na krzesłach, które Simonsen przytargał z jednego z licznych pokoi Hrabianki. Obok stał rower stacjonarny. W roztargnieniu uderzył

parę razy w pedał, który zaczął wirować, podczas gdy Berg ocierała łzy. W pewnym momencie się odezwał:

– Niedawno dzwonił tutaj mój kolega z Ålborga i potwierdził historię Pii i Jespera Mikkelsenów, więc nie ma co do niej żadnych wątpliwości.

– Szukają młodych dziewczyn, które poszły na dno albo są na dobrej drodze, żeby to zrobić, i pomagają im wrócić na właściwe tory?

– Tak, na to wygląda. I najwyraźniej przeznaczają na to swoje pieniądze. Odwyk, edukacja, mieszkanie, spłata ewentualnych długów i wiele innych wydatków. Ich projekty, jeżeli można je tak nazwać, przynoszą efekty.

– A ochroniarze Mikkelsena?

– Zwykła ochrona. Jak się domyślasz, nie wszyscy są zdania, że te młode dziewczyny, którym pomaga wraz z żoną, zasługują na nową szansę.

Berg potaknęła, sama już na to wpadła.

– Ale nie chcą rozmawiać o Lucy? Myślisz, że zabili Jørgena Kramera Nielsena? – spytała po chwili.

– Może, nie wiem tego. Ale w każdy razie zrobił to ktoś z ich czworga, jestem tego pewien.

– Musimy porozmawiać z tą kobietą z Norwegii.

– Helena Brage Hansen. Tak, musimy.

* * *

Drugie przesłuchanie Hanne Brummsted miało miejsce w Komendzie Głównej w Kopenhadze, w piątek, 31 października 2008 roku o godzinie siedemnastej i tym razem nie odbyło się w aksamitnych rękawiczkach. Zarówno Hrabianka, jak i Simonsen byli ciekawi, czy przyjdzie sama, czy też przyprowadzi ze sobą jakiegoś prawnika. Simonsen obstawiał prawnika, Hrabianka, że przyjdzie sama, i miała rację, bo pani ordynator zjawiła się bez osoby towarzyszącej. Z kwaśną miną zajęła wskazane miejsce i czekała na pytania. Nie było to dla niej przyjemne, ale trzymała nerwy na wodzy. Konrad Simonsen rozpoczął, machając kobiecie przed nosem plastikowym woreczkiem.

– Wie pani, co to jest?

– Niedopałek.

– Zgadza się, a dokładniej pani niedopałek.

Szybko się domyśliła, w czym rzecz.

– Nie macie prawa. Niedopałek należy do mnie, a to jest niezgodne z prawem.

– Bzdura, a poza tym już za późno. To jest analiza pani DNA z niedopałka, a to wyniki badania śliny ze znaczka pocztowego z widokówki Lucy Davison do jej rodziców, wysłanej przez panią w sobotę, dwudziestego pierwszego czerwca sześćdziesiątego dziewiątego roku.

– Naprawdę pan sądzi, że mnie w ten sposób przestraszy? Nie wyraziłam zgody na pobranie próbki do badania DNA. Mogłabym zobaczyć nakaz sądowy?

– Nie, bo takowego nie mamy, ale może pani spojrzeć na wyniki analizy. W końcu jest pani lekarką.

Położył przed nią dwa dokumenty.

– Nie chcę tego oglądać. Nie macie nakazu, a to tak jakby te dokumenty nie istniały.

– O nie, one naprawdę istnieją. I niech pani zwróci uwagę, gdzie wykonano badanie.

Zerknęła i wykrzyknęła zdumiona:

– Szwecja.

– Właśnie, a konkretniej uniwersytet w Lund, gdzie mają znakomite laboratorium, równie dobre jak duńskie. Teraz Szwedzi naprawdę bardzo chcą z panią porozmawiać. Nie zdradzę żadnej tajemnicy, jeśli powiem, że obecnie sprawą zajmują się prawnicy i wszystko wskazuje na to, że nasi sąsiedzi zamierzają wystąpić o pani ekstradycję. Jak pani pewnie wie, sprawy zabójstwa nigdy się nie przedawniają.

Pani ordynator nic na to nie odpowiedziała. Widzieli, że trawiła najnowsze informacje, które, najogólniej mówiąc, były czystą fikcją. Próbowała jakoś z tego wybrnąć. I niestety jej się to udało.

– Dobrowolnie pojedę do Szwecji i jeżeli zostanie udowodnione, że posłiniłam ten znaczek, to będzie znaczyło, że tak było. Mogłabym bez trudu wyobrazić sobie cały szereg racjonalnych wyjaśnień, ale to nie jest moje zadanie. Jak już mówiłam podczas ostatniego przesłuchania, nic nie pamiętam. Powtarzam to teraz i to samo usłyszą Szwedzi.

– Urząd pocztowy w Orsie znajduje się chyba ponad pięćset kilometrów w głąb Szwecji. Takich wypraw się nie zapomina.

– Proszę nie wysnuwać pochopnych wniosków. Moje DNA łączy mnie ze znaczkiem, a nie z Orsą, chyba że tam też coś polizałam.

– Zdradzi nam pani, co miała na myśli, mówiąc o racjonalnych wyjaśnieniach tego, co się wtedy stało? Znamy właściwie tylko jedno.

– Nie, nie zdradzę. To byłyby spekulacje, a to chyba zadanie policji.

Simonsen poczuł, że jego arsenał powoli się kurczy, a żaden z dotychczasowych nabożów nie sięgnął przesłuchiwaney. Jak dotąd dwukrotnie nagiął prawdę, a teraz sięgnął po kolejne kłamstwo:

– Angielska policja zdjęła w swoim czasie odciski palców z widokówki. Znalaziono sporo śladów, ale wszystkie udało się zidentyfikować. Z wyjątkiem jednego. Chcielibyśmy pobrać od pani odciski palców.

Kobieta znów się zastanowiła, zanim odpowiedziała:

– Proszę bardzo.

– Na klatce schodowej w domu przy Johannes Lindevej w Hvidovre również znalaziono odciski palców, których nie możemy zidentyfikować.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Jest pani pewna? Zupełnie nic pani nie świta? Jørgen Kramer Nielsen mieszkał pod tym adresem do lutego tego roku, zanim go pani zabiła.

– Nonsens. Nikogo nie zabiłam.

– Jest pani wysoka, silną kobietą, a w dodatku zna się pani na anatomii. Ramię wsunięte od tyłu i owinięte wokół jego głowy, silne pchnięcie po przekątnej od góry i można zepchnąć zwłoki ze schodów.

– Nikogo nie zabiłam, a moich odcisków palców nie ma ani na widokówce, ani na schodach. – Uniosła dłoń i dodała: – I zanim zacznie pan triumfować, że powiedziałam, że na widokówce nie ma moich odcisków,

choć nie pamiętam, co się wtedy stało, to przypominam, że przed chwilą zostałam oskarżona o zabójstwo. To każdego potrafi wytrącić z równowagi.

Simonsen zadawał kolejne pytania. Odpierała je jedno po drugim. Wtedy do akcji wkroczyła Hrabianka.

– Gramy tutaj sobie w takie różne gierki, droga pani. Pani kłamie i doskonale o tym wie, my też to wiemy. Wie pani też, że my wiemy, że pani kłamie. I niech już pani przestanie udawać, że nie rozumie, o co chodzi, bo doskonale zdaje sobie pani z tego sprawę.

– Rozumiem doskonale i nie kłamie. Przyznaję, pozapominałam mnóstwo rzeczy, ale nikogo nie zabiłam i uprzejmie proszę, żeby nie mówiła pani do mnie „droga pani”. Dla pani jestem Hanne Brummsted albo doktor Brummsted.

– Doktor Brummsted, jak wychowuje pani swoje dzieci?

– Moje dzieci nie mają z tym nic wspólnego.

– Myślę, że wychowuje je pani tak jak większość. W poczuciu bezpieczeństwa, z miłością, w imię dobrych, zdrowych wartości. Nie należy kłamać, należy być dobrym dla innych ludzi, brać odpowiedzialność za swoje czyny, przyznawać się do swoich błędów i wyciągać z nich wnioski. Mam rację?

– Moje dzieci nie mają z tym nic wspólnego.

– I to wszystko w połączeniu z obrzydliwą tajemnicą, która ciągle panią dręczy, niezależnie od tego, jak bardzo próbuje się jej pani pozbyć. Jest więc pani, pani doktor, dokładnym przeciwieństwem tego, czego uczy pani swoje dzieci. Każdy dzień jest kłamstwem – pani moralność, rozsądek – tak, nawet emocje, którymi powoli zaczyna się pani dzielić ze swoim najstarszym dzieckiem – to wszystko jest jednym wielkim wstrętnym kłamstwem.

– Moje dzieci nie mają z tym nic wspólnego.

Głos jej zadrżał. Wszyscy troje to zauważyli.

– Nie zdoła im pani tego wyjaśnić i gdy pewnego dnia prawda wyjdzie na jaw, słono pani za to zapłaci – ciągnęła dalej Hrabianka. – Straci pani

dzieci, a jedyna szansa, aby naprawić błędy przeszłości, właśnie przechodzi pani koło nosa, pani doktor.

Hrabianka zdecydowała się na długą, wymowną przerwę. Bez rezultatu.

– Wybór jest prosty. Teraz może pani nam opowiedzieć, co się zdarzyło podczas tamtych wakacji. Jeśli nie, znajdziemy sposób, żeby zmusić panią do wyznania prawdy, a potem do wyjaśnienia dzieciom, dlaczego pani milczała.

Pod okiem Hanne Brummsted zadrżał pojedynczy mięsień. Poza tym nie zareagowała.

– Przygotowywanie się na piekło też jest piekłem.

Lekarka zebrała się w sobie:

– Długo pani nad tym myślała? Brzmi zupełnie nieźle, ale w rzeczywistości to bzdura. Próbuje pani stopniować coś, czego stopniować się nie da.

– Z pewnością. Nie wątpię w pani inteligencję. Tylko moralność budzi moje wątpliwości.

– Skoro nie wątpicie w moją inteligencję, to dlaczego, u licha, nie przyszło wam do głowy, że gdybym zabiła Jørgena Kramera Nielsena, w życiu przyszedłbym tutaj bez adwokata?

– To my tutaj zadajemy pytania, wyjaśnialiśmy to już wcześniej. Chciała pani powiedzieć coś o swojej moralności?

– Nie, nie chciałam, ale mimo wszystko to zrobię. Całe swoje dorosłe życie ciężko pracowałam... każdego dnia... zawsze... Co powiedziałabym swoim dzieciom? Może to, że należy dotrzymywać obietnic... że złożyłam przysięgę...

W końcu pękła. Płytki wdech, jeszcze jeden, a potem łzy spływające po policzkach. A po nich eyeliner. Simonsen przygotowywał się do przejścia przesłuchania. Obietnica – zamierzał o to dopytać, ale zanim zdołał poruszyć ten wątek, zdążyła wygrać ostatnią partię, pozostawiając ich niczym nowicjuszy z rozdziawionymi buziami. Zwróciła zapłakaną twarz w stronę

kamery, którą inspektor demonstracyjnie ustawił w taki sposób, żeby wyrzeć na nią jeszcze większą presję.

– Ostatnio groziła mi pani, że o wszystkim dowie się kolorowa prasa – powiedziała do Hrabianki – chyba że przyznam się do rzeczy, których nie pamiętam. To się niestety nie nagrało. Obiecała mi pani wtedy, że jeszcze zapłacę. Osiągnęła pani swój cel. Czy to znaczy, że już skończyliśmy?

* * *

Pod adresem, który Simonsen otrzymał podczas koncertu w Frederiksværk, znajdował się garaż. Stróż sprawiał wrażenie uprzejmego. Gdy usłyszał jego nazwisko i cel wizyty, powiedział:

– Czeka na pana. Chwileczkę, sprawdzę, czy ją znajdę. – Spojrzał na rząd migoczących monitorów stojących po jego lewej stronie. – Jest teraz na czwartym poziomie, spróbuję się z nią skontaktować, ale nie mam pewności, że to się uda. Mamy tu kłopoty z łącznością – przerywa po tym, jak wyburzono sąsiednią nieruchomość. Ale kto by się w tym wszystkim połapał.

Simonsen go powstrzymał.

– Nie trzeba, chętnie pójde na górę.

Mężczyzna był dość sceptyczny.

– Jeżeli jej pan nie znajdzie, proszę tu wrócić. Dostaliśmy polecenie, żeby panu pomóc, gdy pan przyjdzie. Właściwie to był niemal rozkaz.

– Czy to ona tutaj wydaje rozkazy?

– Można tak powiedzieć. Jest właścicielką nieruchomości. Winda znajduje się po prawej stronie, proszę iść za znakami.

– Chyba wybiorę schody. Przyda mi się trochę ruchu.

– Nie ma problemu, ale proszę pamiętać, że tamtędy jeżdżą samochody. Ludzie niekiedy o tym zapominają.

Ku swemu zadowoleniu Simonsen dotarł na czwarte piętro w przyzwyczajonym tempie bez zadyszki. Następnie wszedł z powrotem do opustoszałego budynku i po chwili poczuł się dość przytłoczony. Zatrzymał się i rozejrzał wokół. Jasne dzienne światło sączące się przez niewielkie okna mieszało

się ze złotożółtym z sufitowych jarzeniówek, rzucając na betonowe elementy brudną, nierzeczywistą poświatę. Gdzieś monotonię przerywała jakaś ocynkowana rura, a nieliczne pojazdy błyszcząły niczym klejnoty w tym cichym, jakby wymarłym świecie. Rity nigdzie nie było widać. Zobaczył ją, dopiero gdy po deprymująco długiej wędrówce powoli skłaniał się ku temu, żeby wrócić do stróża.

Stała za czarnym passatem i wypełniała jakiś formularz w niewielkim białym zeszycie, niczym jakiś gorliwy parkingowy. Simonsen miał okazję się jej przyjrzeć. Czas jej nie oszczędził. Miała wyrazistą, niemal napiętą twarz i zaciśnięte usta, jakby chciała przekazać światu, że nie należy do tych, co narzekają. Jej dawne niesforne loki w kolorze lnu zostały ujarzmione i wyglądały na zniszczone, bez połysku. Nawet jej spojrzenie nie zestarzało się z wdziękiem. Najwyraźniej jej oczy już zobaczyły to, co było do zobaczenia, i nie zamierzały się ponownie wysilać. Wierzchnie okrycie w kolorze khaki, przypominające ponczo, sięgało do kostek i sprawiało, że wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości. A szary plecak na ramieniu przywodził na myśl emerytowanego oficera.

Simonsen stał przygnębiony. Dziewczyna z jego młodości zniknęła. Istniała tylko w jego wspomnieniach, zatrzymana w czasie niczym kosztowna iluzja, która teraz ustępowała miejsca nieznanej mu kobiecie. Ostrożnie zrobił krok w tył i zerknął w stronę wyjścia. Uniosła wzrok i go dostrzegła. I wtedy zdarzył się cud: jej uśmiech cofnął czas, jakby to był jakiś drobiazg, a przed nim stanęła Rita sprzed lat.

– Witaj, Konradzie. Tak się cieszę, że przyszedłeś.

Ten sam ochryply, zmysłowy głos co dawniej. Zwrócił się do niej tak jak dawniej:

– Cześć, cudowna Rito. Znajdziesz czas, żeby wypić ze mną herbatę?

Roześmiali się i dopiero gdy mijał ich jakiś samochód, zauważyli, jak blisko siebie stoją. Zaprosił ją na obiad.

– Oczywiście, jeżeli masz czas.

– Mam mnóstwo czasu. W zasadzie nic takiego nie robię, ale lubię się tu pokreć i powdychać zapach benzyny, coś zanotować, jakieś nieistotne drobiazgi, równie dobrze mógłby to zrobić kto inny.

– Słyszałem, że garaż należy do ciebie.

– Połowa jest twoja, Konradzie. Doskonale o tym wiem.

Przyłożył jej dłoń do ust, a potem palec do swoich i dość stanowczo ją uciszył.

– Jesteś pewny? Już rozmawiałam o tym ze swoim księgowym i...

Zareagował tak samo. Zrozumiała.

– Nigdy z nikim nie rozmawiałeś o tym, co się wtedy zdarzyło? – spytała po chwili.

– Nie.

– Ja też nie, ale parę razy miałam na to sporą ochotę. A ty?

– Tylko raz. Właściwie to zupełnie niedawno.

– Z żoną czy partnerką? Z dziećmi?

Wyraźnie próbowała coś z niego wyciągnąć.

– Nie, z kimś innym, ale nie rozmawiamy teraz o tym. Jest tyle innych tematów.

– Tak, oczywiście... chociaż chciałabym... tak, chciałabym porozmawiać też o tym.

Nic jej na to nie odpowiedział.

Gdy wrócił do domu, Hrabianka zaczęła go wypytywać. Nie chciał kłamać, a nie łatwo było zbyć ją półprawdami.

– Chciała ci oddać połowę garażu? Dlaczego?

– Oczywiście nie tak dosłownie, ale tak. Swego czasu dałem jej trochę pieniędzy, żeby mogła wyjechać do USA. Była wtedy w trudnej sytuacji. Właściwie to nie wiem dlaczego.

– Ile jej dałeś tych pieniędzy?

– Nie pamiętam, ale dość sporo.

– Skąd je wziąłeś?

– W tamtych czasach grywałem w totka. Wszyscy tak robili.

– I trafiłeś tę sławetną szóstkę?

– Wtedy to była piątka.

– Jesteś naprawdę hojnym człowiekiem i nieprawdopodobnym szczęściarzem, Simonie. Zamierzasz się z nią jeszcze spotkać?

– Nie, żadne z nas tego nie potrzebuje. Zrozumieliśmy to podczas obiadu.

Gdy jedli razem obiad, sporo się śmiali. I zapewniali się wzajemnie, że chętnie się znowu spotkają, doskonale zdając sobie sprawę, że to się nie zdarzy.

– Czy kiedykolwiek dotarłaś do San Francisco?

– Najpierw w Nowym Jorku poznałam Ryana. Jego ojciec był maklerem giełdowym i krezusem. Pomógł mi zainwestować pieniądze, większość w akcje IBM, zresztą w najbardziej odpowiednim momencie. Później Ryan i ja wyjechaliśmy na zachód i tam się okazało, że jestem w ciąży. Przez pewien czas mieszkaliśmy w Tiburon, na przedmieściach San Francisco, i korzystaliśmy z życia na koszt ojca Ryana, przyglądając się, jak rośnie mój brzuch. To były dobre czasy. Tak, oczywiście trochę o tobie myślałam, ale nie wolno mi było pisać i... z czasem o tobie zapomniałam. Dopiero gdy wróciłam do domu, do Danii, znowu stałeś się częścią mojego życia, oczywiście tak na odległość, na przykład gdy występowałeś w mediach.

– Kiedy wróciłaś?

– Dużo później, dopiero w dziewięćdziesiątym trzecim roku.

– Opowiedz.

– Przyłączyliśmy się do Rodziny Tęczy, no wiesz, do Świątyni Ludu i Jima Jonesa.

Simonsen nie był pewny, czy dobrze kojarzy.

– Chyba wiem, o kogo chodzi. To ta grupa, której członkowie popełnili samobójstwo, prawda?

– Zgadza się, tak było, ale to zdarzyło się dopiero później. A wcześniej, gdy się przyłączyliśmy, działo się tam wiele dobrych rzeczy – demonstracje, zaangażowanie i mnóstwo inicjatyw społecznych. Byliśmy bardzo różni pod względem rasowym, ale z wielu powodów doświadczyłam tam

tego, o czym zawsze marzyłam. Jednak po pewnym czasie zaczęłam dostrzegać sprawy, które mi się nie podobały – kwestie religijne, autorytaryzm, relacje seksualne – i to wszystko zaczęło się powoli spiętrzać. Wtedy postanowiłam odejść, ale Ryan chciał zostać.

Zamilkła.

– I to nie było takie proste?

– Mój teść – tak go nazywałam, chociaż Ryan i ja nie byliśmy małżeństwem –regularnie przyjeżdżał do ośrodka, żeby nas stamtąd wydostać, i myślę, że do tego celu wynajął chyba połowę ochroniarzy z Kalifornii. Nienawidził Świątyni Ludu. Jednak Jim Jones nie trzymał nas tam siłą. Mimo to w końcu tylko ja wyjechałam do Nowego Jorku i tam urodziłam córkę. Ryan niestety został aż do wydarzeń w Gujanie.

Potem wszystko jakoś się potoczyło. Simonsen uprzejmie przysłuchiwał się historii. O układaniu sobie życia w Sleepy Hollow pod auspicjami teścia, o dorastaniu córki, która w końcu sama urodziła dziecko, o kursie jej akcji – były to opowieści o dość spokojnym, dostatnim życiu. Interesowała go głównie podróż powrotna.

– Dlaczego wróciłaś?

– Tęskniłam za Danią. Tak było od samego początku, a... no tak, w mojej rodzinie, w linii żeńskiej, pokutuje pewna negatywna tradycja. Pamiętasz, że nie lubiłam swojej matki, ale kochałam babcię?

– Tak, oczywiście.

– Moja córka ma podobnie. Jej córka zresztą też. Teraz Teresa mieszka u mnie i tak jest już od dwóch lat. Pomyśl, że w tym czasie nauczyła się płynnie mówić po duńsku.

– Nie sądziłem, że to takie proste. Chodzi mi o łączenie rodzin.

– Moja rodzina ma pewne koneksje, między innymi w Waszyngtonie. Na początek została dzieckiem pracownika ambasady, chociaż nikt nie pytał którego, ale dzisiaj ma już zwykłe pozwolenie na pobyt. Jest cudowną dziewczynką. No tak, przecież sam słyszałeś, jak śpiewała. Nie uważasz, że to było fantastyczne?

– Owszem, fantastyczne. Ni mniej, ni więcej.

Rita zapłaciła rachunek.

* * *

Była sobota, drugi dzień ostatniego miesiąca jesieni, a Hrabianka dawała wyraz swojej nadopiekuńczości.

– W listopadzie może być ślisko, zwłaszcza o poranku, na dodatek tak daleko na północy.

Simonsen zamierzał zaprotestować. Umknęło mu, że nastał już kolejny miesiąc. Jednak gdy spojrział na zegarek, słowa utknęły mu w gardle.

– Zebrałam wszystkie rezerwacje internetowe i włożyłam je do schowka w samochodzie, żebyś mógł je pokazać, gdyby wyniknęły jakieś problemy w hotelach – ciągnęła zatroskanym tonem Hrabianka.

– To będą hostele i przydrożne karczmy. Kameralne miejsca.

– Więc w tych kameralnych miejscach. Jedź ostrożnie i nie dłużej, niż będziesz się czuł na siłach.

– Skarbie, już o tym rozmawialiśmy.

Gdy już wsiadł do jej samochodu, i był gotowy, by się pożegnać, znowu zaczęła swoje:

– Pamiętałeś o tabletkach?

– Pamiętałem o tabletkach.

– Obiecujesz codziennie dzwonić?

– Każdego dnia, bez wyjątku. A teraz daj mi buziaka, żebyśmy zdążyli przed korkami.

– Jest niedziela, nie ma żadnych korków, wiesz doskonale. W takim razie życzę wam udanej podróży.

Uśmiechnął się. Powiedziała „wam”, bo wzięła pod uwagę zdjęcie na tylnym siedzeniu. Po długim namyśle w końcu zdecydował się na to, które tak wzruszyło Berg i które należało również do jego ulubionych. Oprawił je. Z kolei to, które pierwotnie zabrał do siebie, zostało odstawione na miejsce i wkrótce – podczas jego nieobecności – cała kolekcja, siedemnaście zdjęć miała wrócić do kuratora spadku. Hrabianka mu to obiecała.

– To mogę liczyć na buziaka? – zapytał.

Dostał go i wyruszył w drogę.

Dopiero gdy przejechał most nad Sundem, poczuł, że rozpoczęła się podróż. Z Malmö ruszył wzdłuż wybrzeża Kattegat na północ do Göteborga. Tam skręcił w stronę lądu, a na swoją codzienną przebieżkę wybrał teren nad jeziorem Wener. Potem jechał jego zachodnim brzegiem aż do Karlstad, gdzie skręcił na wschód, i już po południu zameldował się w miejscu pierwszego noclegu w Gävle na północ od Sztokholmu. Wcześniej postanowił, że pierwszego dnia pokona stosunkowo dużą odległość. Uznał, że trzeba ambitnie rozpocząć podróż. Poza tym zdawał sobie sprawę, że szwedzkie lasy oglądane przez szybę samochodu szybko robią się dość uciążliwe, a już na pewno monotonne. Długie, wijące się wiejskie drogi, las, las i jeszcze raz las po obu stronach, kilometr za kilometrem bez żadnych zabudowań i tylko niewielki prześwit na końcu drogi, który oddalał się za każdym razem, gdy się do niego zbliżał. Tej nocy zasnął jak kamień.

Następnego dnia podążył wzdłuż Zatoki Botnickiej przez Sundsvall do Umeå – las liściasty zniknął, a drzewa iglaste stawały się coraz rzadsze, niższe i bardziej rozłożyste. Dwukrotnie dostrzegł orły. Za drugim razem zatrzymał samochód i siedział przez dłuższy czas, przyglądając się majestatycznemu ptakowi sunącemu po niebie. Niemal w połowie wysokości zatoki, w niewielkiej miéscinie, wynajął pokój i zrobił przerwę na nocleg.

Trochę rozmawiał z Lucy. Początkowo rzucał krótkie, niezobowiązujące słowa po to, aby urozmaicić sobie dzień. Z czasem zaczęły się składać w dłuższe zdania na temat krajobrazu i tego, jak daleko dotarli. Gdy robił przerwę, zabierał ją na zewnątrz i ustawiał obok siebie. Szczególnie w takich sytuacjach czuł, że są razem.

– Wielbię cię, Lucy, nic tego nie zmieni i nie ma sensu zaprzeczać. Spotkalibyśmy się w Kopenhadze, nie ma co do tego wątpliwości. Przypadkowo – w sklepie, na ulicy, w kolejce, a może w parku, tak, park byłby odpowiedni, park by do nas pasował. Ty z plecakiem i pięknym uśmiechem, a ja z odwagą, aby podążyć za tobą bez mrugnienia okiem. Moglibyśmy przyjechać tutaj stopem – podróżować tydzień, dwa, Boże drogi, dali-

byśmy radę. Mielibyśmy wtedy tak dużo czasu, że w końcu byśmy tu dotarli. Ale cię zabili, zabrali przyszłość nie tylko tobie, ale też mnie.

Im bardziej banalnie, tym lepiej. Do oczu napłynęły mu łzy i rozkoszował się każdą sekundą. Trzeciego dnia ruszyli na północ w kierunku Laponii. Gdy minęli koło podbiegunowe, powiedział:

– W końcu tu dotarłaś, moja dziewczynko. W tym roku już nie zobaczysz dnia polarnego, trzeba poczekać do kolejnego lata, a poza tym musisz przygotować się na długą, ciemną zimę. Nie mam na to wpływu.

W Karesuando zrobili postój, żeby popodziwiać wysunięty najbardziej na północ kościół w Szwecji. Potem ruszyli drogą wzdłuż granicy z Finlandią. Nieokiełznana natura zapierała dech w piersiach: wytrzymałe brzozy porastające brzegi rwących rzek, ogromne przestrzenie rozciągające się przez wiele mil, nietknięte ludzką ręką, i sklepienie nieba sprawiające, że człowiek nabierał pokory. Przed zmrokiem dotarli do trójstyku Treriksröset.

– W tym miejscu można być jednocześnie w Norwegii, w Szwecji i w Finlandii – tłumaczył niczym profesjonalny przewodnik swojej wyimaginowanej pasażerce. –W jednym i tym samym czasie, jak powiedział mój dawny nauczyciel geografii, chociaż nikt nie odważył się wtedy roześmiać. Przekonajmy się, czy miał rację.

Kolejnego dnia wstali wcześniej i przejechali przez Norwegię ostatni odcinek, w którym wijąca się droga to wciniała się w jeden fiord, to oddalała się od kolejnego, a każdy następny wydawał się większy. Gdy z niej zjechali i dojeżdżali już do Hammerfest, próbował nieco ostudzić jej oczekiwania:

– Złożyli obietnicę, że nigdy nie będą o tobie wspominać. Jestem tego pewny. Nikt z moich kolegów nie potrafi zrozumieć, jaką moc ma taka przysięga, ale ja to pojmuję. Na początku pamięta się każde słowo. Po jakimś czasie pozostaje wewnętrzny głos, a potem już tylko ogólny sens. Z każdym rokiem ten głos coraz mocniej osadza się w twojej świadomości. W końcu staje się częścią ciebie. Czymś naturalnym. Ani dobrym, ani złym, ale też niemożliwym do usunięcia, tak jak nie zmienia się swojego imienia, niezależnie od tego, czy się je lubi, czy nie. Teraz musimy pomóc

jednej osobie uporać się z tym lękiem, żebym mógł się dowiedzieć, gdzie cię pochowali, i zadbać o to, żebyś wróciła do domu. Jeżeli będziemy z sobą współpracować, to na pewno się uda.

Od tego czasu się do niej nie odzywał.

Helena Brage Hansen bardzo przypominała siebie ze zdjęć, które Simonsen oglądał wcześniej. Tyle że posiwała i nosiła teraz okulary. Złapał ją przed jej domem w czwartkowe przedpołudnie, gdy wspinała się pod górę, ciągnąc rower. Wsiadł z samochodu i czekał. Gdy się przedstawił, odparła spokojnie:

– Spodziewałam się tego, ale niestety nie mam nic do powiedzenia, więc obawiam się, że niepotrzebnie się pan fatygował.

– To była piękna wycieczka.

– Tak, wierzę. Przepraszam, ale nie chcę z panem rozmawiać.

– Nie przyjechałem tu tylko po to, żeby z panią porozmawiać, ale również dlatego, że mam nadzieję, że mi pani w coś pomoże.

Pokazał jej zdjęcie. Stała w bezruchu przez dłuższy czas, aż od trzymania ścierpło mu ramię.

– O mój Boże – powiedziała w końcu.

Nic ponad to krótkie, smutne westchnienie. Simonsen zdał sobie sprawę, że powinien pominąć sprawę autorstwa i okoliczności powstania zdjęcia. Być może coś o nich wiedziała, ale możliwe, że wtedy straciliby tę ciekawą nić porozumienia, które udało się nawiązać.

– Pomogłaby mi pani znaleźć dla niego odpowiednie miejsce? Jak pani myśli, gdzie powinno zawisnąć? Ja przecież nikogo tutaj nie znam. Najlepsze byłoby pomieszczenie, w którym jest wiele okien.

– Czy po to pan tu przyjechał?

– Tak, ale również po to, żeby z panią porozmawiać, chociaż nie spodziewałem się usłyszeć zbyt wiele.

– Niech pan poczeka.

Wróciła po chwili, ubrana w płaszcz i z plecakiem. Podążył za nią na obrzeża miasta, a potem wspinali się krętą dróżką po wzniesieniu i ten

marsz szybko pozbawił go tchu. Minęli kilka reniferów, które niewzruszone zajmowały się swoimi sprawami, a Helena przywitała się przelotnie ze starszym mężczyzną, stojącym przy stojaku z suszonymi rybami. Obrała szybkie tempo i chociaż przez pewien czas próbował za nią nadążyć, to nadszedł moment, że musiał odpuścić. Musiał także uważać na zdjęcie.

– To dla mnie za szybko, zwolnijmy trochę.

Spełniła jego prośbę. Dobre pół godziny wędrowali po przepięknej okolicy. Czarno-szare skały, na które słońce rzucało złotą poświatę, gdzieniegdzie porośnięte mchem i porostami lub pokryte błyszczącym białym śniegiem. Wkrótce znaleźli się wysoko nad miastem, a widok zapierał dech w piersiach, powietrze było tak jasne i czyste, że od rozglądania się wokół niemal rozbolały go oczy. W końcu dotarli do trzech domów położonych w wąwozie. Wybrała największy i bez pukania weszła do środka, a potem poprowadziła go po schodach na górę. Pomieszczenie, do którego wkroczyli, było jasne, przyjemne i pięknie urządzone. Przy przeciwległej ścianie siedział mężczyzna i w skupieniu pisał coś na komputerze, a gdy ich zauważył, żwawo się podniósł i pocałował ją na powitanie. Potem odbyli dłuższą rozmowę w języku migowym, po której mężczyzna podał rękę Simonsenowi.

– Kaare jest niezależnym dziennikarzem zajmującym się sprawami finansowymi, specjalizuje się w Szwajcarii – powiedziała Hansen. – Przemierzył niemal cały świat, a dzisiaj niechętnie schodzi do miasteczka.

– Wcale się nie dziwię, bo jesteśmy w pięknym miejscu.

– Tak, teraz jest tu pięknie, ale za miesiąc zrobi się zbyt ponuro jak na mój gust.

Wspólnymi siłami znaleźli miejsce dla Lucy Davison. To zajęło trochę czasu. Każdy z nich miał na ten temat własne zdanie, ale w końcu przychylni się do propozycji Kaarego. Mężczyzna przyniósł narzędzia i wkrótce obraz zawisł na ścianie.

– Co on mówi? – spytał Simonsen.

– Że powinien pan spróbować jego jagodowej nalewki.

– Bardzo chętnie, ale tylko spróbuję. Niedawno miałem zawał i niektóre przyjemności nie są dla mnie.

Przełożyła jego słowa na język migowy, a potem odpowiedziała:

– Kaare mówi, że nalewka jagodowa jest dobra na serce.

Zrobiło się sympatycznie i godzina zmieniła się w kilka godzin. Dom Kaarego okazał się miejscem, w którym szybko można było dobrze się poczuć. W pewnym momencie, niejako przy okazji, Helena Brage Hansen napomknęła:

– Zarezerwowałam dwa bilety na lot do Kopenhagi o dziesiątej trzydzieści, ale będziemy musieli się kilka razy przesiąść. Jeżeli odbierze mnie pan odpowiednio wcześniej, pomogę panu zorganizować transport samochodu do Danii.

Więcej nie rozmawiali na ten temat, a w drogę powrotną wybrali się dopiero, gdy nastąpiło popołudnie. Simonsen zwrócił uwagę, że sposób, w jaki pożegnała się z Kaarem, nie świadczył o tym, że spodziewa się długiej rozłąki.

Następnego dnia wydawała się małowmowna, ale nie była ani zdenerwowana, ani wstrząśnięta. W drodze na lotnisko niewiele rozmawiali i dopiero w samolocie zapytał ją:

– Co pani robi, gdy wylądujemy w Kopenhadze?

– Myślę, że pójdę do hotelu i się wyśpię.

– A jutro?

– Porozmawiam z pozostałą piątką.

– Mouritz Malmborg i Jorgen Kramer Nielsen nie żyją.

– No tak, można się było tego spodziewać. Tak czysto statystycznie.

– Co zamierza im pani powiedzieć?

– Umówię się na spotkanie?

– Wie pani, gdzie mieszkają?

– Nie, ale pan wie.

– Tak. Gdzie się spotkacie?

– W ośrodku Vesterhavsgården.

– Pamięta pani tę nazwę.

– Pamiętam każdą sekundę, podobnie jak pozostali.

– Złożyliście obietnicę.

– Tak, ale nigdy nie powinniśmy byli tego robić, nigdy. A to, co nastąpi teraz, powinno się zdarzyć dużo, dużo wcześniej. Może wtedy moje życie byłoby coś warte.

Nie skomentował tego, ale nieco później powiedział:

– Jørgen Kramer Nielsen został zamordowany.

Jej reakcja była powściągliwa. Pomyślał, że być może wcześniej wzięła coś na uspokojenie.

– Sądzę, że ktoś z waszej czwórki go zabił. Albo kogoś do tego wyznaczył.

– Nie wydaje mi się.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem.

– Była pani przywódczynią grupy?

– Można tak powiedzieć. Do czasu pojawienia się Lucy. Z łatwością przejęła tę rolę.

– Zabiliście ją?

– Niedługo sam pan to oceni.

– Teraz pytam panią.

– Tak, zabiliśmy.

Rozdział 11

Konrad Simonsen umówił spotkanie z duchownym na sobotę, dzień po swoim powrocie z Norwegii.

– Nie sądzisz, że powinieneś trochę odpocząć? – skomentowała Hrabianka. – To mogłoby poczekać do przyszłego tygodnia. Pamiętaj, że masz przed sobą daleką podróż.

Miała rację. Spotkanie z powodzeniem mogło poczekać, a w rzeczywistości nawet zostać anulowane. Przypuszczalnie nie miało najmniejszego znaczenia dla śledztwa. A mimo to, ku swojemu zaskoczeniu, zadzwonił i się umówił. Ksiądz natomiast nie sprawiał wrażenia zdziwionego. Nawet nie spytał, po co Simonsen chce się z nim spotkać, tylko dopasował go do swojego grafiku, chociaż sam nie użył takiego sformułowania.

– O czym właściwie chcesz z nim rozmawiać? – dopytywała Hrabianka.

Często drażyła tematy, w których czuł się niepewnie. Niekiedy bywało to miłe i pomagało mu dojść ze sobą do ładu, ale nierzadko go irytowało i sprawiało, że czuł się dość bezbronny. Tak jak teraz.

– Nie wiem. – Postanowił być szczery. – Po prostu mam ochotę z nim porozmawiać, może opowiedzieć mu, jak daleko zaszedłem ze sprawą Lucy, i poinformować, że jutro ekshumują ciało.

Po tym, jak wylądowali w Kopenhadze, Helena Brage Hansen zatrzymała się w hotelu w Christianshavn. Już parę godzin później ponownie skontaktowała się z Simonsenem i przekazała mu krótką wiadomość, że ona i pozostali pojawiają się w niedzielę w Vesterhavsgården. Najpewniej chodziło o Pię i Jespera Mikkelsenów oraz Hanne Brummsted – nie zapytał, bo to wydało się oczywiste, upewnił się tylko, że przybędą bez adwokatów oraz innych postronnych osób. Obiecała mu, że tak będzie. Oddelegował Klavsa Arnolda, żeby przypilnował, by na terenie ośrodka nie było w tym czasie dzieci.

– Wydajesz się bardzo pewny swojej sprawy – oceniła Hrabianka.

Był. Jutro zostanie odnaleziona. Po niemal czterdziestu latach w piasku. Sam usłyszał, jak to patetycznie zabrzmiało, i pospiesznie dodał:

– Przyznam się księdzu, że ukradłem jedno z jego zdjęć, czy też komukolwiek, kto stanie się ich właścicielem.

Była jeszcze jedna sprawa, którą chciał z nim omówić. Pewna rzecz, którą planował wyznać duchownemu... to było słowo, które utkwiło mu w głowie – wyznać – tak powinien o tym myśleć, jeżeli będzie potrafił. I wyznanie nie miało nic wspólnego z jego sprawą. Nawiasem mówiąc, z księdzem też nie. Jednak Simonsen czuł, że trafił na człowieka, z którym łatwo mu się rozmawiało nawet na trudne tematy.

– To brzmi rozsądnie – podsumowała Hrabianka.

On też tak uważał. Porzuciła temat. Przed kolacją zdążył jeszcze ze swoją przebieżką.

Hrabianka naprawdę się postarała z kolacją, to było miłe z jej strony, chociaż szybko się domyślił, co przygotuje. Koktajl krewetkowy z awokado i dip twarogowy domowej roboty. Następnie culotte cielejące ze smażonymi warzywami oraz ziemniaki szparagowe – dokładnie wyliczone, po cztery dla każdego. Jako nowość kupiła czerwone wino bezalkoholowe. Wzniesli toast, a potem wnikliwie, niczym kiperzy, smakowali trunek. Simonsen postanowił milczeć, miała przecież jak najlepsze intencje.

– Smakuje jak zatęchły sok owocowy. – Hrabianka sama wydała werdykt. – Otworzę butelkę prawdziwego wina, a ty będziesz musiał jutro przebiec dodatkowy kilometr. Jak ci to teraz właściwie idzie? Jesteś w stanie przebiec całą trasę?

Pokiwał przecząco głową, jeszcze trochę mu brakowało, ale coraz mniej. Gdy nieco później siedzieli przy winie, nagle wyznał:

– Nie powinienem był szukać Rity. To był błąd, wielki błąd. – Upił kolejny łyk i wyjaśnił: – Gdy teraz o niej myślę, to tylko negatywnie. Nasz ostatni wspólny czas był... specyficzny. Jestem zły z powodu tego parkingu, chodzi mi o to, że skoro rzeczywiście postanowiła w coś zainwestować, to dłaczego, do cholery, nie wybrała... – Urwał w pół zdania, a potem dodał niepewnie: – Może po prostu jestem na nią zły, bo się zestarzała.

– Ty też się zestarzałeś.

– Owszem, i właśnie dlatego nie stać mnie na to, aby rozpadły się moje marzenia. A na dodatek, jeżeli wszystko potoczy się tak, jak zakładamy, to jutro zobaczę również Lucy... tak jak wygląda dzisiaj. To nieuniknione. A swoją drogą, czy ona już stąd odeszła?

Odwrócił głowę w stronę domku dla gości. Hrabianka potwierdziła – owszem, Lucy odeszła. Kilka dni temu. Jej zdjęć już tam nie było.

* * *

Duchowny podał Simonsenowi adres – konkretny numer przy niewielkiej uliczce w Valby, położonej w pobliżu parku Søndermarken. Wybrał się kolejką, a potem przeszedł się pieszo ze stacji Valby. Miejsce okazało się kawiarnią w iście starym stylu, w której można było kupić filiżankę kawy za piątaką, a potem zamówić dolewkę za trzy korony, a także cukier i śmietankę bez dodatkowej opłaty. W ofercie tej niewielkiej kawiarni nie było wiele więcej. Sześć stolików i bar, za którym stała kobieta pasująca wiekiem do lokalu. Uprzejmie nalała Simonsenowi kawy z serwisu Madame Blå i zanim przyjęła pieniądze, zapewniła, że kawa jest świeża. Usiadł przy najbliższym stoliku i sączył ciepły napój. Przez wzgląd na swoje serce powinien raczej wybrać herbatę, ale w tym miejscu to byłaby profanacja. Był jedynym gościem i miał cały lokal dla siebie, a ponieważ nie przyniósł ze sobą niczego do czytania, ograniczył się do oglądania widoku za oknem. Było dość słonecznie i wietrznie, a na ulicy panowała przyjemna cisza. Nie myślał o niczym istotnym, ale po pewnym czasie zaczął mieć wątpliwości, czy nie pomylił godziny.

Wtedy zjawił się duchowny. Przeprosił za spóźnienie i usiadł po przeciwnej stronie stolika. Starsza kobieta przyniosła mu filiżankę kawy, chociaż nie składał jeszcze zamówienia. Simonsen pomyślał, że pewnie często tutaj bywa, może jest stałym gościem w tym skromnym miejscu. Zapytał go o to, bo nie potrafił znaleźć innego wyjaśnienia.

– Często ksiądz tu przychodzi? – Wskazał głową na filiżankę i poczuł się trochę jak natręt.

– Znam w tej dzielnicy dwoje ludzi i odwiedzam ich, jak mam czas. Wtedy zazwyczaj wpadam tu na filiżankę kawy. To jedyne miejsce, gdzie zawsze zamawiam kawę, choć zwykle pijam herbatę, ale tutaj to stało się już tradycją.

– Rozumiem.

Simonsen uznał sytuację za niezręczną, a przerwę w rozmowie za zbyt długą. Ksiądz jakby wyczuł jego niepewność i zaczął opowiadać o ludziach, których odwiedził. Samotnych ludziach, takich, którzy czuli się niepotrzebni i żyli głównie przeszłością. Gdy skończył, Simonsen w naturalny sposób włączył się do rozmowy. Opowiedział o Helmerze Hammerze, starannie omijając nazwisko sekretarza stanu. Ksiądz słuchał z zainteresowaniem, to były ciekawe historie i przyjemnie się o nich rozmawiało.

– No, ale gdy ten urzędnik powiedział mi, że Kościół chciałby kupić zdjęcia Lucy, to w wydziale zabójstw błyskawicznie zaczęliśmy snuć różne teorie na ten temat. – Inspektor postanowił przejść do sedna. – Jedna wersja była gorsza od drugiej. Tak to już jest w mojej pracy – wszystko, cokolwiek by to nie było – przyjmujemy z pewną dozą sceptycyzmu. To siedzi w nas głęboko.

Duchowny pokiwał na znak, że go rozumie. To oczywiste, że policja kryminalna musiała rozważać różne opcje. Simonsen opowiedział też, jak Pauline Berg – nazwał ją jednym ze swoich młodszych współpracowników – wkurzyła się z powodu tych wszystkich teorii i po prostu sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do tego angielskiego prominenta, tego katolickiego urzędnika, który złożył ofertę zakupu zdjęć Lucy Davison z masy spadkowej Jørgena Kramera Nielsena. I najzwyczajniej w świecie poprosiła o wyjaśnienie, które zresztą otrzymała.

– Nasza organizacja, Missing Children, odziedziczy przecież po Nielsenie półtora miliona koron, a to znaczna kwota. I bardzo potrzebna – wtrącił z uśmiechem ksiądz. – Oddział organizacji w Liverpoolu ma siedzibę w budynku wymagającym remontu, w podwórzu przy Romer Road w Kensington, gdzie zresztą brakuje już miejsca. Niedawno zakupili kilka świetnych pomieszczeń, położonych centralnie przy Rydal Avenue w Formby. I są w trakcie wyposażania. Pomyślałem więc, że to będzie odpowiednie

miejsce do umieszczenia zdjęć Lucy. Dlatego też skontaktowałem się z tym angielskim prominentem, jak go pan nazwał. Znam go osobiście i wiem, że rok temu sam był szefem Missing Children w Liverpoolu, dlatego... postanowiłem się wstawić za tym pomysłem.

Simonsen oparł przedramiona na stole i pochylił się nieco do przodu.

– Lucy!

Duchowny poszedł za jego przykładem i również oparł łokcie o blat, po czym splótł dłonie i podparł brodę kciukami. Patrzył na inspektora w skupieniu, niemal przyjaźnie.

– Tak, Lucy.

– Jutro się dowiem, co się z nią stało. W Esbjerg, dawno temu.

– Mam nadzieję. Niech mi pan powie – lubi pan zupę cebulową?

Simonsen się roześmiał:

– Dawno nie słyszałem tak subtelnej próby zmiany tematu. I owszem, uwielbiam cebulową.

Ksiądz ruszył przodem, zapewniając, że to niedaleko. Skręcili w jakąś mniejszą willową uliczkę i zaraz potem w prawo, na podjazd.

– Mój brat pracuje w tutejszej stołówce jako kucharz – wyjaśnił duchowny. – To wspaniałe miejsce, nie sądzi pan?

Simonsen rozejrzał się wokół. Duże hale magazynowe, stare, pięknie odrestaurowane budynki, nowoczesne pawilony – wszystko subtelnie współgrające ze sobą. Człowiek miał wrażenie, że wkracza do jakiejś wioski. Gwarnej wioski, bo między budynkami kręcili się ludzie, pojedynczo lub grupkami. Mimo że był weekend. Minęli garstkę turystów, oprowadzanych przez przewodniczkę, wykrzykującą coś po angielsku. Inspektor chwycił księdza za ramię i go zatrzymał.

– Niech mi ksiądz powie: gdzie my jesteśmy?

– Nordisk Film. Nie widział pan szyldu?

Simonsen pokiwał przecząco głową.

– A sądziłem, że znam Kopenhagę. A w dodatku szmat życia mieszkałem w Valby, ale tutaj nigdy nie byłem.

– To miejsce nieco na uboczu. I może właśnie to sprawia, że jest tu tak urokliwie. Wiedział pan, że Nordisk Film to najdłużej funkcjonująca wytwórnia filmowa na świecie? Za chwilę opowiem panu jej historię, ale najpierw zjemy zupę. Proszę tu poczekać.

Duchowny zniknął za drzwiami, ale już po chwili powrócił, balansując z dwiema miskami zupy. Jedną z nich podał Simonsenowi, po czym obaj mężczyźni wolno podreptali alejką prowadzącą pomiędzy tyłami dwóch budynków. Duchowny nadal prowadził. W końcu dotarli do trawnika, na którym stały trzy mikroskopijne, położone blisko siebie chatki. Przypominały domki do zabaw dla małych dzieci, tak chętnie stawiane w pobliżu piaskownicy. Nie były wcale duże większe. Każda z nich miała swoją nazwę, wyciętą w desce umieszczonej nad drzwiami. Wiara, Nadzieja i Miłość. Wybór należał do Simonsena i inspektor wskazał chatkę pośrodku.

– Wejdzmy do Nadziei. Do czego są wykorzystywane?

– Najczęściej przez scenarzystów, którzy potrzebują dla siebie paru godzin.

Mężczyźni wcisnęli się do środka i zajęli miejsca. Jakoś im się udało, chociaż było ciasno. Simonsen usiadł na jedynym krześle, a duchowny usadowił się na wersalce, stojącej tuż obok. Podczas posiłku zaczął opowiadać o Olem Olsenie, założycielu wytwórni filmowej, a także handlowcu, przedsiębiorcy, kolekcjonerze sztuki i boskim żartownisiu.

Simonsen słuchał uważnie, ale w pewnym momencie się wtrącił:

– Przywłaszczyłem sobie jedno ze zdjęć Lucy. Missing Children w Liverpoolu będzie musiało się zadowolić siedemnastoma plakatami, choć pierwotnie było ich osiemnaście.

Obawiał się reakcji. Ostatecznie ksiądz mógł przecież zgłosić kradzież, bo tego właśnie dopuścił się Simonsen. Okazało się jednak, że inspektor nie musi się o to martwić.

– No tak, dziewięć plus dziewięć zazwyczaj daje osiemnaście, ale czy w tym przypadku to jednak nie będzie siedemnaście? – odparł spokojnie duchowny.

Oczywiście, że o tym widział. Dziewięć zdjęć na jednej ścianie szczytowej, drugie tyle na kolejnej. Przecież zgodnie z tym, co zeznał, spędził na

schodach trochę czasu, przyglądając się lustrzanemu wnętrzu pokoju Nielsena. Simonsen opowiedział o swojej wyprawie do Hammerfest i o umieszczeniu zdjęcia w pracowni Kaarego, wysoko w górach. Ksiądz przyklasnął tej lokalizacji i dopytywał o podróż, bo w młodości też wybrał się do Tromsø. Wkrótce rozmowa potoczyła się zupełnie innym torem i brakująca fotografia należała już do przeszłości. Simonsen zaczął opowiadać o Ricie, ostrożnie, niejako na próbę. Duchowny słuchał uważnie i niewiele komentował.

– Jest pewna historia z przeszłości, o której chciałbym księdzu opowiedzieć.

– To proszę opowiedzieć.

– Nie, to raczej na później. Nie jestem... jeszcze gotowy, chyba tak to się mówi. Ale może jeszcze nadarzy się okazja?

– Jestem pewien, że tak będzie.

Pożegnali się na ulicy przed studiem filmowym. Simonsen, który dotąd nie zadał ani jednego pytania związanego z prowadzonym śledztwem, na koniec spróbował się czegoś dowiedzieć.

– Wziąłem ze sobą cztery fotografie uczniów, którzy byli wówczas z Lucy i Nielsenem w Esbjerg. Nie zdążyłem ich księdzu pokazać.

– To nie ma znaczenia. Nie znam nikogo z nich.

– Jedna z tych osób zabiła Nielsena.

– Jest pan zdolnym śledczym. Ufam panu i wierzę w pana zdolność oceny.

Podali sobie dłonie. W drodze powrotnej Simonsenowi dopisywał humor. Był zadowolony, że zdecydował się na ten wyjazd, i jeszcze bardziej z powodu tego, co udało mu się powiedzieć. Szedł tak pogrążony we własnych myślach, że niemal minął stację. Zawrócił tylko dlatego, że usłyszał pociąg wjeżdżający właśnie na podziemny peron. Jesper Mikkelsen, Pia Mikkelsen, Hanne Brummsted, Helena Brage Hansen. „Ufam panu i wierzę w pana zdolność oceny”. Dziwne sformułowanie. I napawające optymizmem. Przeciął ulicę i zszedł na peron, czując, że uda mu się spełnić oczekiwania. Uważał, że i tak zaszedł dość daleko i ... przecież naprawdę był zdolnym śledczym.

Było już dobrze po wpół do dziewiątej w niedzielny poranek dziewiątego listopada, a z zachodu nadciągnął porywisty wiatr targający sosnami i pospiesznie przeganiający chmury. Dzień jeszcze się na dobre nie rozpoczął i było zimno. Simonsen się wzdrygnął i zerknął z ukosa na stojącą obok Berg. Była zbyt lekko ubrana, ale nie wydawało się, że marznie.

– Dlaczego zabrałeś właśnie mnie i Arnego? – spytała policjantka.

Wczoraj w samochodzie, gdy jechali z stronę Esbjerg, zadała to samo pytanie, a potem jeszcze raz podczas kolacji w hotelu. Za każdym razem ją zbywał.

– Tak to po prostu wyszło – odpowiadał zdawkowo i zmieniał temat.

Później, gdy Berg poszła już do swojego pokoju, a on siedział z Pedersemem w barze, każdy ze swoją wodą mineralną, kolega również zadał mu to pytanie i także nie otrzymał odpowiedzi.

– Pytasz o to już trzeci raz. To chyba nie ma wielkiego znaczenia – odparł jej teraz wyraźnie poirytowany

– Simonie, dla mnie ma. – Pauline nie ustępowała.

Wsunęła dłoń pod jego ramię. Odsunął ją i wyjaśnił:

– Hrabianka została zdyskwalifikowana ze względu na kiepską relację z Hanne Brummsted, chociaż najchętniej zabrałbym ze sobą właśnie ją.

– Zezłościła się?

– Dziś nie mogę się kierować żadnymi względami osobistymi, więc będzie musiała z tym żyć, zresztą doskonale da sobie radę, jest profesjonalistką. A ciebie zabrałem, bo przyda się kobiecie spojrzenie.

To było kłamstwo. Hrabiankę wykluczył z powodów osobistych. Mało profesjonalnie, musiał to przyznać, ale tak właśnie było. Nie chciał, żeby była obecna przy odnalezieniu Lucy. Właściwie to przez dłuższy czas zastanawiał się, czy nie lepiej będzie, gdy załatwi to sam, ale ostatecznie porzucił ten pomysł. Potrzebował jeszcze kogoś, żeby przyjrzał się reakcji czworga ludzi, którzy za chwilę spotkają się ponownie po czterdziestu latach rozłąki. Nie chodziło o reakcje związane z Lucy Davison, ale te dotyczące Jørgena Kramera Nielsena.

– A dlaczego Arne, a nie Klavs? – drążyła Pauline.

– Bo Klavs przeprowadza się dzisiaj do Kopenhagi. Między innymi dlatego.

– Cieszę się.

Nie bardzo wiedział, co ją tak ucieszyło, ale wymamrotał „To dobrze” i rozejrzał się po okolicy. Stali ukryci za szopą na drewno opałowe, znajdującą się przed głównym wejściem do domku dla skautów, w miejscu, gdzie podmuchy wyjącego wiatru co jakiś czas szarpały papą na dachu. Wydawało się, że wieje coraz mocniej, choć meteorolodzy obiecywali coś przeciwnego. Berg potupała kilkakrotnie po piaszczystej ziemi, a potem powiedziała:

– Myślałam, że chciałeś dać mnie i Arnemu szansę, żebyśmy znowu pracowali razem.

– Aha, ale nie tym się kierowałem.

– Wydaje mi się, że Arne myśli tak samo jak ja.

Zwrócił się w jej stronę.

– Czy mogłabyś, do jasnej cholery, choć na chwilę skupić się na czymś innym niż na sobie, chociaż przez kilka następnych godzin?

Niekiedy zapominał, na co było ją stać. Zwłaszcza jeżeli przez dłuższy okres zachowywała się normalnie, tak jak jeszcze półtora roku temu. Teraz jej głos się zmienił, jakby cytowała jakąś książkę. Fragment, na który nie miała ochoty, ale który należało wygłosić.

– Wtedy, gdy byłeś u mnie w nocy, a ja zasnąłam, nie miałeś ochoty położyć się koło mnie?

– Pauline, zamknij się. Nie i doskonale o tym wiesz. Ale w tym momencie mam ogromną ochotę odesłać cię do domu.

Wydał z siebie pogardliwy, nosowy odgłos i wściekł się na swoją reakcję. To oczywiste, że go sprowokowała, a on powinien nie odpowiadać, to byłoby o wiele lepsze.

– Gdzie, do cholery, podział się Arne? – spytał, żeby dać upust swojej irytacji.

– Poszedł się wysikać.

– Wiem, po co poszedł. Wiem też, że otacza nas co najmniej dziesięć tysięcy sosen, mógł po prostu skorzystać z jednej z nich.

Ponownie wsunęła dłoń pod jego ramię. Pojedynawczo zauważyła, że przecież nie jest mężczyzną, więc powstrzyma się od komentarza. Potem ścisnęła jego przedramię i cofnęła rękę, zanim zdołałby ją od siebie odsunąć. Rozmowa umilkła, gdy oboje usłyszeli nadjeżdżający samochód.

Chwilę później na parkingu znajdującym się po lewej stronie od domku dla skautów zachrzęściły opony niebieskiego citroena. To była Hanne Brummsted. Funkcjonariusze umówili się wcześniej, że przywita ją Pedersen. Simonsen wypchnął Pauline do przodu.

– Skoro Arne gdzieś się zapodział, musisz...

W tym samym momencie zza rogu budynku wyłonił się Pedersen. Simonsen milczał, obserwując, jak Pauline prowadzi ordynatorkę do świetlicy, gdzie siedziała już Helena Brage Hansen. Świetlica była miejscem, z którego najczęściej korzystali w 1969 roku. Chwilę później dołączył do niego Arne.

– Sprawia wrażenie opanowanej. Nie powinieneś mieć z nią problemów.

– Opanowanej? – Simonsen postanowił się upewnić, że dobrze usłyszał.

Pedersen próbował wyjaśnić, ale to niewiele dało.

– Jak wypadło to ponowne spotkanie?

– Obco, z rezerwą.

– Rozmawiają?

– Skąd mam to wiedzieć? Nigdy mnie nie nauczyłeś patrzeć przez ścianę.

– Chodziło mi o to, czy sądzisz, że rozmawiają.

Pedersen się zawahał, a Berg pokręciła głową jakby chciała odrzucić jakiegokolwiek wyjaśnienie od dwóch uczniów, którzy się pogubili. Po chwili zrobiła dziesięć niewielkich kroków w stronę okna pomieszczenia, w którym siedziały kobiety, i zajrzała do środka.

– Nie, nie rozmawiają – poinformowała ich, gdy wróciła. – Ta ordynatorka tylko siedzi i gapi się w przestrzeń. Z kolei ta mała, chuda pisze coś w telefonie.

– Nie zdołałaś się jeszcze nauczyć ich nazwisk? – spytał poirytowany Pedersen.

Berg zacisnęła pięści, jakby chciała kogoś uderzyć. Oczywiście, że zdołała. Może chce ją przeegzaminować? Zamilkła na moment, a potem wyburczała nazwiska kobiet. Wtedy zawibrowała komórka w kieszeni Simonsena. Z trudem odnalazł esemesa od Heleny Brage Hansen. Przeczytał go i przekazał reszcie:

– Małżeństwo dotrze tutaj za pół godziny. Są spóźnieni.

Pedersen znalazł jakieś pomieszczenie, do którego prowadziły drzwi w węższej ścianie budynku, żeby tam poczekać. Ogrzewane pomieszczenie. A potem sobie gdzieś poszedł. Oddalając się, wyrzucił oczami i skinął głową w stronę Berg. Ta odprowadziła go spokojnie wzrokiem, a następnie zapytała słodkim głosem:

– Przejdziemy się po okolicy?

Simonsen się wahał, a ona trajkotała lekkim tonem:

– W zeszły piątek wybrałam się na miasto i spotkałam tego faceta w jednym z barów. Wiesz co mi powiedział? Niczym jakiś palant zaliczający kobiety, Boże dopomóż, pochwalił mnie za rozłożyste, dobre do rodzenia dzieci biodra. Co na to powiesz? Biodra odpowiednie do rodzenia dzieci!

Inspektor nie dał niczego po sobie poznać, jedynie lekko się uśmiechnął w reakcji na jej egzaltowany chichot. Nagle zmieniła temat.

– Co powiedział ten ksiądz od Jørgena Kramera Nielsena, którego wczoraj przesłuchiwałeś?

– To nie było żadne przesłuchanie. Rozmawiałaś z Hrabianką?

– Zadzwoiłam, kiedy pojechałeś się z nim spotkać. Mówisz, że to nie było przesłuchanie. A więc co?

Simonsen pomyślał, że spotkanie najlepiej byłoby opisać jako wstęp do rozmowy o tym, co skrywał w sobie od wielu lat. Kiedyś, w przyszłości, jak

nadarzy się odpowiednia okazja.

– Nie dołączyłabyś do Arnego? – zapytał Berg. – Chciałbym przez chwilę pobyc sam.

Zostawiła go bez ociągania się i pretensji. Sfrustrowana kobieta. Odprowadził ją wzrokiem, a potem zagłębił się we własnych myślach.

* * *

Nie pamiętał dokładnie kiedy, ale to musiało być w okolicy św. Jana, bo gdy skończył się film i opuszczali kino, na dworze było jeszcze jasno. Chodziło chyba o Grand Teatret przy ulicy Mikkel Bryggers Gade, ale nawet tego nie był pewny. Co do filmu nie miał natomiast najmniejszych wątpliwości: *Swobodny jeździec* z Peterem Fondą i Dennisem Hopperem, przemierzającymi USA od Wschodniego Wybrzeża na Zachód.

Kiedy wyszli z kina, rzuciła się na automat z pluszakami, taki, w którym manewrowało się „łapą szczęścia” pośród stosu zabawek, próbując złapać jedną z nich. Zatrzymała się pośrodku tłumu, nieruchomiejąc, jakby nie była zdolna do niczego innego poza wrzucaniem monet do maszyny i wyławianiem jakichś małych, nieistotnych pluszaków. Złowiła trzy, wszystkie zielone, z czego dwa za jednym razem, a gdy jej się to udało, nawet nie zareagowała. Nagle wszystko w niej puściło.

Chciała wyjechać. Do USA. Powinni wyjechać razem, zacząć od nowa, tylko we dwoje. Właśnie to powinni zrobić – wyjechać do USA, z dala od Danii. Ona mogła tam grać i śpiewać, a on... znaleźć jakąś inną pracę. Była pewna, że im się uda. Ale w USA, a nie tutaj, w Danii.

Gdy powracał myślami do tego epizodu, uświadamiał sobie, że gdy wypowiadała te słowa, sprawiała wrażenie zarówno roztropnej, jak i egzaltowanej, a nawet owładniętej manią. Choć to wydawało się niemożliwe, właśnie tak ją zapamiętał.

Wrzuciła do automatu ostatnie dwadzieścia pięć øre. Nie zdobyła żadnego pluszaka, nawet się nie starała.

– W przyszłym tygodniu wybieram się z pieniędzmi do Niemiec – powiedziała po chwili. – Wtedy je ukradnę i wyjadę.

Nie skomentował, tylko potrząsnął głową, świadomy tego, że jest do tego zdolna. Pojechali do niego do domu. Maskotki zostawili na automacie.

Kolejnego dnia zadzwonił do pracy i powiedział, że jest chory, ten jeden jedyny raz w swojej karierze zdecydował się tak skłamać. Zamknęli się w jego mieszkaniu, a pierwszy dzień upłynął na próbie odwiedzenia jej od tego beznadziejnego pomysłu. Potem wyszedł do księgarni i kupił sześć zeszytów, które zapełniała przez następne cztery doby. Osoby, nazwiska, daty, miejsca, przebieg rozmów – wszystko z najmniejszymi szczegółami, które udało jej się zapamiętać. Wyjazdy z pieniędzmi: ile miała ze sobą?, komu je przekazywała?, gdzie i komu je oddawała?, kto prowadził rozliczenia?... i tak dalej. Gdy wspominał tamte dni, postrzegał je jako swoje pierwsze przesłuchanie. Pierwsze i najtrudniejsze. Gdy skończyła, dokładnie przeczytał jej sprawozdanie, postawił dodatkowe pytania i zanotował odpowiedzi. W zeszytach. Chętnie współpracowała, pozbawiona złudzeń. Niczego przed nim nie ukrywała.

To była dla niego lekcja, której nigdy nie zapomniał: zdał sobie sprawę, że prowadzący przesłuchanie musi niemal przeniknąć przez skórę swojego świadka, zrozumieć i zaakceptować jego emocje do tego stopnia, żeby móc się z nim identyfikować. Jak na ironię losu to właśnie Rita jako pierwsza w ogóle – podczas jednej z nielicznych przerw w rozmowach – dostrzegła jego potencjał.

– Nadajesz się do tego, Konradzie – stwierdziła wtedy.

Trzeźwa uwaga wypowiedziana stanowczym, ale i smutnym głosem. Dystans pomiędzy nimi, w chwilach gdy jej nie przesłuchiwał, był wyraźny. Spali już wtedy osobno.

Gdy skończyli, odszukał Kaspera Plancka, który już raz im pomógł. Miał nadzieję, że tym razem też się zgodzi. Do kogo innego mógłby się zwrócić? Nikogo nie znał.

Zdenerwowany i niepewny podszedł do mężczyzny czekającego na niego przed posterunkiem przy Store Kongensgade. Wybrali się na przechadzkę w kierunku promenady Larsens Plads, na wysokości mostu Kvæsthusbroen. Spacerowali tam i z powrotem, w kółko po tym samym

bruku, a on wyjaśniał całą sytuację. Planck zabrał ze sobą zeszyty, postępując poirytowanym tonem niczym nauczyciel, który odbiera pracę domową od spóźnionego ucznia. Dwa dni później spotkali się w tym samym miejscu, tym razem usiedli na ławce. Mżyło. Planck miał ze sobą parasol. Tylko dla siebie. Rozpoczął od zadania Simonsenowi podstawowego pytania:

– Ty też chcesz wyjechać do Ameryki?

– Nie.

Simonsen długo próbował rozstrzygnąć ten dylemat, pół nocy nie zmrużył oka, zastanawiając się właśnie nad tym pytaniem, rozważając wszystkie za i przeciw, a teraz, jakby nigdy nic, po prostu odpowiedział. I jak tylko wymówił to słowo, dotarło do niego, że nie ma żadnych wątpliwości.

– Domyśliłem się – przyznał Planck, gdy potwierdziły się jego przypuszczenia.

Oddał Simonsenowi zeszyty, a także mały plik papierów: trzy zapisane na maszynie strony z dodatkowymi pytaniami, jeden wniosek o wizę do USA oraz formularz z prośbą o przeniesienie do policji kryminalnej.

– Gdy do nas przejdiesz, zabiorę ci osiem dni urlopu – uprzedził Planck. – Nie uznaję takiej samowolki.

– Osiem dni? Nie było mnie tylko przez pięć.

– Te kolejne trzy są po to, żebyś raz na zawsze zapamiętał, że tak się nie robi.

I właściwie było już po sprawie. Następnie Planck poinstruował Simonsena, co ma zrobić, przedstawił plan, który on zrealizował co do joty. W księgarni zakupił kolejne dwa zeszyty, w których Rita zanotowała odpowiedzi na dodatkowe pytania. Wypełniła również podanie o wizę i oddała mu swój paszport. W pewnym momencie musiała zdać sobie sprawę, że wyjedzie sama, ale nigdy o tym nie rozmawiali.

Na komisariacie w Bellahøj Simonsen przekazał zeszyty oraz dokumenty Rity funkcjonariuszowi policyjnej służby wywiadowczej – starszemu w okularach z rogowymi oprawkami i z nieprzenikniętym wyrazem twarzy. Mężczyzna przez kilka minut przeglądał materiały. Nie sko-

mentował wniosku o wizę, skinął tylko nieznacznie głową, gdy go dostrzegł, a potem wyznaczył termin kolejnego spotkania na za tydzień. Coś jak u stomatologa.

Wizę i paszport Simonsen wręczył jej w akademiku Grønjordskollegiet pewnego pięknego letniego wieczoru, skłaniającego do melancholii. Połakała się i zapytała ze smutkiem w głosie:

– Pokochamy się?

To wisiało w powietrzu: po raz ostatni. Odmówił, a ona zapytała:

– I co teraz?

– Potrzebujemy pieniędzy.

* * *

Trochę się pokręcił po okolicy, aż w pewnym momencie znalazł się na końcu parkingu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, i odwrócił się lekko przestraszony, gdy z lewej strony minęło go bmw i zaparkowało przed wejściem do chatki niedaleko od niego. Z tylnego siedzenia wysiadła Pia Mikelsen, prowadził jej mąż, który zaraz również wyszedł z samochodu. Simonsen tylko się odwrócił i podążył ścieżką w przeciwnym kierunku, nie zadając sobie trudu, aby się z nimi przywitać. Gdy nieco naokoło wrócił do głównego wejścia, Berg i Pedersen już tam na niego czekali. Przez krótką chwilę uważnie spoglądał w oczy każdemu z nich z osobna, a potem w skupieniu ruszył jako pierwszy w stronę głównego wejścia.

Czworo starych przyjaciół rozsiadło się każde w swoim fotelu, możliwe jak najdalej od siebie. Nawet małżeństwo szukało nieco odosobnienia. Helena Brage Hansen przeglądała bez przekonania jakieś czasopismo leżące przed nią na stole, a pozostali wpatrywali się tępo przed siebie. Powaga wisiała w powietrzu. Za nimi ustawiono stół ze śniadaniem, więc Simonsen podziękował w myślach gminie Esbjerg. Następnie ustawił się pośrodku pomieszczenia i rozpoczął lekkim, niemal prowokacyjnym tonem:

– Dzień dobry, dzień dobry i dziękuję, że zechcieli państwo przyjechać. Po państwa twarzach widzę, że macie państwo świadomość powagi sytuacji. Dobra wiadomość jest taka, że gdy za jakiś czas ulżycie swoim sercom, znów zaczniecie się uśmiechać i poczujecie się lepiej. Jestem tego

pewien. Zwłaszcza jeżeli zdecydujecie się na małą wycieczkę do starej szkoły...

Przerwała mu Hansen. Jej słowa były niczym smagnięcie biczem – ostre i zdecydowane.

– Hanne, zostaw wreszcie tę gazetę. Co ty sobie wyobrażasz?

Ordynatorka natychmiast zastosowała się do polecenia i się zarumieniała.

– Widzę, że nic się nie zmieniło i wszystko pozostaje po staremu – ciągnął Simonsen. – Nie mam nic więcej do dodania, może poza tym, że raz jeszcze witam państwa serdecznie. Teraz państwa kolej.

I tak jak się spodziewał, zaczęła Hansen:

– Najpierw potrzebujemy dla siebie około dziesięciu minut. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Za bardzo nie miał wyboru i już po chwili wrócił z Berg i Pedersenem na dawne miejsce przed budynkiem. Wiatr nieco ucichł, a nad ich głowami przeleciały dwa wojskowe samoloty. Mimowolnie spojrzeli w górę.

– Dlaczego ich prowokowałeś? Uważasz, że to było potrzebne? – zapytał Pedersen, gdy maszyny zniknęły.

– To było bardzo świadome. Zrobiłem to celowo.

– Tak, widziałem, ale dlaczego?

– Nie chciałem, żeby sądzili, że mają do czynienia z jakimś sympatycznym wujaszkiem. Trzeba wyjaśnić sprawę dwóch zgonów, a oni nie przyjechali tutaj na wakacje.

– Mogę cię zapewnić, że tak nie uważają. – Berg myślała tak samo jak Arne. – A ty ryzykujesz, że się wściekną i nie będą chcieli z nami gadać.

– Nie, nie wściekną się. Przebyli długą drogę i w głębi duszy doskonale wiedzą, że nie wyjadą stąd, zanim nie powiedzą, co się zdarzyło i gdzie została pochowana Lucy. Żadne z nich nie wytrzymałoby tego psychicznie, nie po tym, jak przez dwa dni oswajali się z tą myślą. Jestem przekonany, że dla nich to też będzie spora ulga. A raczej dla trojga z nich.

– Z tym argumentem mogę się zgodzić. – Pedersen zmienił zdanie. – Ale mówisz o trojgu. Czy uważasz, że osoba, która zabiła Nielsena, ma ja-

kieś inne intencje?

– Tak, a ja chcę się dowiedzieć wszystkiego. I jednego, i drugiego, i to jeszcze dzisiaj.

– To raczej mało realne. Jak myślicie, co oni tam teraz robią?

Berg wzruszyła ramionami. Kto to mógł wiedzieć?

– Zwalniają się wzajemnie z przyrzeczenia, które złożyli czterdzieści lat temu – powiedział Simonsen, a po chwili dodał: – Pamiętajcie, że każde z was ma się skupić na wyznaczonej parze.

Umówili się, że Pauline będzie ze szczególną uwagą obserwowała Helene Brage Hansen i Hanne Brummsted, a Pedersen miał śledzić reakcje małżeństwa. Mimowolne gesty, krzywe spojrzenia, przejęzyczenia, nerwowe drżenie. Zabójca listonosza nie będzie w stanie zachować pozorów, tego Simonsen był pewien.

W drzwiach stanęła Hansen i zawołała ich do środka.

Wewnątrz czuć było napiętą atmosferę. Trzy kobiety cicho popłakiwały, a Mikkelsen siedział jak skamieniały. W końcu wziął się jednak w garść i zwrócił się do Simonsena:

– Opowiemy o wszystkim, ale potrzebujemy pana pomocy. Pomyśleliśmy, że mógłby pan zacząć od zadawania pytań, a z czasem sami zaczniemy mówić więcej. To nie jest... – głos mu się łamał i musiał na chwilę uciec wzrokiem, zanim zdołał dokończyć zdanie – ...dla nas takie łatwe.

Jego propozycja brzmiała rozsądnie. Inspektor postanowił nie siadać i wskazał palcem na mężczyznę. W ogóle nie dbał o to, żeby zabrzmieć uprzejmie.

– W takim razie chcę, żeby zaczął pan od wskazania miejsca, w którym pochowaliście Lucy Davison.

– Nie ma powodu, żebyśmy wychodzili na zewnątrz, pochowaliśmy ją pod paleniskiem, w miejscu na ognisko.

– Natychmiast!

Mikkelsen wykonał polecenie, ale kobiety nie opuściły swoich miejsc. Simonsen udał się w ślad za nim. Mężczyzna nie płakał, ale od czasu do

czasu wstrząsały nim krótkie spazmy i nie miał siły mówić. Jednak ten spacer był dla inspektora czymś więcej niż tylko okazją do zademonstrowania władzy, bo w ciągu czterdziestu lat położenie paleniska mogło się kilkukrotnie zmienić.

Przeszli ścieżką nie więcej niż dwadzieścia metrów, zanim znaleźli się u celu. Mężczyzna wskazał palcem na środek kamiennego kręgu, wypełnionego popiołem i na wpół zwęglonymi szczapkami drewna.

– Leży tam pod spodem?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Jest pan pewien? Może miejsce na ognisko znajdowało się wtedy gdzie indziej?

Mikkelsen rozejrzał się dookoła, po czym wydukał z trudem:

– Jestem pewny.

– Jak głęboko ją zakopaliście?

Uniósł dłoń nad głowę, a Simonsen oszacował głębokość na jakieś dwa do trzech metrów.

Wrócili do budynku. Kobiety nadal popłakiwały, ale zarówno Brummedsted, jak i zdążyły posilić się bułką, a Mikkelsen, zanim usiadł, sięgnął po szklankę soku.

– Tak dla jasności: możecie sobie płakać, pisać, modlić się, a nawet ryczeć, ale i tak będziecie musieli wyznać prawdę co do najdrobniejszego paskudnego szczegółu, więc lepiej dla wszystkich, żebyście wzięli się w garść. Zaczniemy od początku, czyli od faktu, że wszyscy w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt siedem–tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć uczęszczaliście do tej samej szkoły średniej i w liceum utworzyliście klub, który nazwaliście Klubem Samotnych Serc. Przez innych byliście nazywani Sercami. Czy wy sami też tak na siebie mówiliście?

– Tak, to my skróciliśmy nazwę – odparła Hansen. – Ta druga wydawała się przydługa.

– To pani założyła klub?

– Tak.

– Kto z waszej klasy do niego należał?

– Ci, którzy tu siedzą, a także Jørgen, Mouritz i Bendt.

– Bendt, czy chodzi o Bendta Schultza?

– Tak, wydaje mi się, że tak się nazywał. Nie jestem pewna.

– Tak się nazywał – zapewniła Brummested, która najwyraźniej nieco odzyskała pamięć. Simonsen tego nie skomentował, tylko dopytywał dalej:

– Czy Bendt Schultz też pojechał do Vesterhavsgården?

– Nie, wtedy zachorował.

Pani ordynator brzmiała żałośnie, niemal prosząco.

– Czy gdy wróciliście, opowiedzieliście mu o tym, co się zdarzyło? – ciągnął niezrażony Simonsen.

– Nie, naturalnie, że nie.

Inspektor ponownie zwrócił się do Hansen:

– W porządku, wracamy do Serc. Dlaczego utworzyliście klub?

– Po to, aby ci, którzy znaleźli się poza, też mogli należeć do jakiejś grupy.

– Poza czym?

– Poza klasą, poza imprezami, rozmowami... różnymi inicjatywami, nieważne, jak bardzo nieformalne by one nie były, hipisami, prowokatorami, piosenkami i grą na gitarze, poza czasem... poza tym wszystkim.

– Byliście prześladowani?

– Można tak powiedzieć. Chociaż nasi tak zwani koledzy z klasy chętnie rozprawiali o miłości i poczuciu wspólnoty, to jednocześnie potrafili zachowywać się okropnie, wręcz złośliwie, i to do takiego stopnia, że aż trudno w to uwierzyć. Wszyscy nosimy w sobie historie i wydarzenia, które pozostaną w nas do końca życia... jak ta, o której teraz rozmawiamy.

Simonsen się odwrócił, a potem palcem wskazał Hanne Brummested.

– Niech mi pani opowie swoje historie.

Pani ordynator nie wydawała się zaskoczona tym poleceniem i po prostu zrobiła to, o co inspektor poprosił.

– W pierwszej klasie próbowałam przez pewien okres zachowywać się jak inni i kiedyś przyszłam do szkoły bez biustonosza – zaczęła smutnym głosem. – Tak się złożyło, że wtedy robiono nam zdjęcie klasowe. Wtedy

ktoś napisał do ministra sprawiedliwości z wnioskiem, żeby mnie wyrzucić ze szkoły. – Wyrzucała z siebie słowa bez większego namysłu. – Prawie wszyscy w klasie go podpisali. To było jeszcze w czasach przed zniesieniem kar za pornografię. Przepisy zmieniły się dopiero parę lat później, więc oskarżyli mnie wtedy o rozwiązłość. W klasie powiesili odpowiedź ministra, zresztą kopię wysłali nawet do moich rodziców. Poza tym przez pewien okres nazywali mnie Nia – to był skrót od ZS, czyli „zdechłe sutki”, ale dzięki temu uniknęłam ksywek takich jak Tłuscioch, Buła czy Panna Sadełko. Sporo było nieprzyjemnych sytuacji. Najbardziej mnie zabolalo, gdy na osiemnaste urodziny dostałam od nich patelnię. Przeplakałam wtedy prawie cały dzień, chociaż wtedy miałam już wsparcie. – Wskazała palcem troje swoich kolegów z klasy.

Simonsen z trudem stłumił ogarniające go współczucie i skomentował:

– Czyli założyliście klub, żeby w jakiś sposób powstrzymać takie zachowania?

– Najgorsze było to, że na początku my też naśmiewaliśmy się z innych po to, żeby zdobyć sympatię kolegów – wtrąciła niepytana Pia Mikkelsen. – Ja na przykład podpisałam list, o którym wspomniała Hanne, ale już w trzeciej klasie odpyskowałam tym, którzy postanowili kupić patelnię, i natychmiast wycofałam się ze składki na prezent. Ale mimo to nie ma wątpliwości, że Serca były wyjściem awaryjnym, środowiskiem, w którym mogliśmy zaistnieć, bo nikt inny nas nie chciał.

Pozostała trójka skinęła głowami na znak potwierdzenia. Nawet Hanne się z nimi zgodziła, po czym dodała:

– Nie chodziło tylko o wygląd, chociaż bez wątpienia był ważny, ale trzeba było też myśleć, robić, czuć i sądzić to samo co inni. Ten, kto się temu sprzeciwiał, narażał się na problemy, również ze strony młodszych nauczycieli. To było bardzo niesprawiedliwe i bardzo... niewłaściwe.

Simonsen uznał, że zdołał już uchwycić kwintesencję tych wypowiedzi, i zasadniczo potwierdziły się jego przypuszczenia. Choć trudno było w tym przypadku mówić o wiarygodnych świadkach. Najpewniej wyolbrzymiali to, co działo się w klasie, żeby przedstawić samych siebie jako

ofiary, chociażby po to, żeby nieco załagodzić sytuację. Wyjaśnienie sprawy było przecież nieuniknione.

– W piątek, trzynastego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku wszyscy zdaliście przedostatni ustny maturalny egzamin – dociekał dalej inspektor. – Została tylko matematyka, a termin egzaminu wyznaczono na piątek, dwudziestego czerwca. Czyja teraz kolej?

Zgłosił się Mikkelsen.

– Już dużo wcześniej umówiliśmy się na wspólny wyjazd, na którym będziemy się uczyć matematyki. Żadnemu z nas nie groziło, że nie zdamy, nie w tym rzecz, ale to był nasz najważniejszy przedmiot, bo od niego zależało, na jakie studia się dostaniemy. Hanne na przykład bardzo chciała zostać lekarką i dlatego musiała dostać co najmniej czwórkę, a nawet więcej...

– Pamięta pan to po tylu latach? – przerwał mu Simonsen.

– Pamiętam każdy kwadrans z tego wyjazdu. Od tamtego czasu nie było dnia, żebym o tym nie myślał. Pamiętam, o czym wtedy śniłem nocami i ile kosztowały nasze bilety na pociąg.

– Świetnie, proszę mówić dalej.

– Helena wynajęła domek przez swojego ojca. Skauci używali go tylko w weekendy, oczywiście poza sezonem, i nawet nie musieliśmy płacić. Planowaliśmy, że Jørgen wystąpi w roli naszego nauczyciela, bo był bardzo dobry z matematyki. On i Pia przygotowali dość napięty harmonogram, więc to nie był żaden wakacyjny wypad. Przyjechaliśmy do Vestershavsgården w niedzielę wieczorem, to było piętnastego czerwca, a z Esbjerg do Nørballe dotarliśmy autobusem.

Zamilkł.

– Proszę mówić dalej.

– Czy nie mógłby mnie ktoś zastąpić?

– Dalej, powiedziałem.

– W poniedziałek uczyliśmy się zgodnie z harmonogramem przez pół dnia. Świetnie nam szło i zrobiliśmy więcej, niż było w planie... a potem Jørgen i Mouritz pojechali do Esbjerg po zakupy, podczas gdy pozostali

rozwiązywali zadania. Pamiętam, że to były całki. Pojechali rowerami należącymi do skautów.

– A Mouritz nie musiał się uczyć?

– On najmniej ze wszystkich potrzebował dobrych ocen. Miał zostać zatrudniony w firmie ojca i dostałby pracę niezależnie od wyników matury. Poza tym trzeba było zrobić spore zakupy, Jørgen sam nie dałby rady.

– W pobliżu też znajdował się sklep. Dlaczego tam nie zrobiliście zakupów?

– Helena wiedziała, że tam jest o wiele drożej, a my nie mieliśmy zbyt wiele pieniędzy.

– W porządku, co było potem?

Dał Mikkelsenowi odsapnąć i wskazał na Hansen.

– Wrócili stamtąd nieco po piętnastej z Angielką, którą spotkali w Esbjerg – zaczęła cicho. – Siedziała z tyłu na rowerze Jørgena. To była Lucy.

– Lucy Selma Davison?

– Tak, Lucy Selma Davison, ale oczywiście mówiliśmy do niej po prostu Lucy.

Simonsen niepotrzebnie skomentował: „To oczywiste”. Nikt więcej się nie odezwał, a wtedy inspektor zapytał:

– Czy ktoś tutaj potrzebuje przerwy?

Rozmowa trwała co prawda tylko nieco ponad dziesięć minut, a mimo to wszyscy potwierdzili, że przydałaby im się przerwa. Berg i Pedersen spojrzeli zaskoczeni na Simonsena. Jednak on zignorował dyskretne protesty współpracowników i dał im do zrozumienia, że mają pozostać na miejscu. Sam wykorzystał przerwę, żeby wyjść na zewnątrz, bo poczuł taką potrzebę.

Pogoda całkowicie się zmieniła – wiatr ucichł, a od wschodu wyraźnie się przejaśniało. Zapowiadał się słoneczny jesienny dzień. Simonsen powlókł się w stronę miejsca na ognisko i stał tam przez kilka minut ze złożonymi dłońmi, wściekając się, że nie pamięta żadnej modlitwy.

Gdy zebrali się z powrotem w budynku, wybrał Pię Mikkelsen na kolejną rozmówczynię. Do tej pory niewiele się odzywała, a on chciał, żeby

wszyscy wzięli udział w tej rozmowie.

Długo nie wiedziała, jak zacząć, ale znikąd nie miała pomocy – ani od Simonsena, ani od kolegów z klasy. Jej proszące spojrzenia na nic się zdały. W końcu wzięła się w garść.

– Od samego początku było wyraźnie widać, że każde z nas jest nią głęboko zafascynowane. Miała w sobie wszystko to, czego nam brakowało: była ładna, żeby nie powiedzieć piękna, niezależna i impulsywna, Angielka – na dodatek z samego Liverpoolu – ale najważniejsze, że chciała z nami przebywać. Była miła i zainteresowana wszystkimi, a nie często nas to spotykało. Na przykład Mouritz, gdy się zdenerwował, nie potrafił wydobyć z siebie słowa, po prostu się rumienił i milkł. Sprawy nie ułatwiało to, że musiał rozmawiać po angielsku, i na dodatek z nią... chodzi mi o jej wygląd... jeżeli pan rozumie, co mam na myśli.

Simonsen dobrze rozumiał.

– Siedzieliśmy sobie na trawniku, choć wydaje mi się, że nie wszyscy.

– Jørgen i Helena przygotowywali jedzenie – smażoną wieprzowinę w sosie pietruszkowym – wtrącił Mikkelsen.

– Pewnie właśnie tak było. I wtedy Mouritz zaczął opowiadać, najlepiej, jak potrafił, o rodzinnej firmie i o tym, co będzie robił po wakacjach. Z długimi, niezręcznymi przerwami, jeszcze gorszymi niż zwykle, a wtedy Lucy oparła głowę o jego kolana, tak bez słowa, po prostu to zrobiła. To oczywiście nie pomogło mu w mówieniu, wydaje mi się, że wtedy zupełnie się poddał, ale to... jakby mu posłużyło. Bardzo się ucieszył.

– W ciągu ułamka sekundy wszystko zaczęło się kręcić wokół niej – wtrąciła Hansen. – Nikt już nie wspominał o matematyce, nasz egzamin błyskawicznie zszedł na drugi plan, liczyła się tylko Lucy. Można było odnieść wrażenie, że nami zawładnęła. Nie dlatego, że sama tego chciała, to my chcieliśmy. Co prawda nie mieliśmy żadnego formalnego statutu, ale gdy się w jakiejś sprawie różniliśmy, to ja miałam decydujące słowo. A wtedy zaczęliśmy po prostu słuchać przypadkowej Angielki. Na kwadrans przed zaplanowanym posiłkiem zaproponowała, żebyśmy poszli na spacer, i tak się stało. Wszyscy poszliśmy, trzymając się za ręce. To też wy-

dawało się takie nowe i choć brzmi dosyć niewinnie, to dla nas... Nie wiem, jak to ująć... było to ekscytujące. Zaraz zapomnieliśmy o jedzeniu.

– Rozmawialiście o tym, jak długo u was zostanie? – zapytał Simonsen.

– Nie przypominam sobie, ale rozbiła swój namiot, więc na pewno zamierzała przenocować.

– Dlaczego nie spała w domku? Przecież znalazłoby się dla niej miejsce.

Hansen pokręciła głową. Wszyscy zwrócili wzrok na Mikkelsena, który powiedział:

– Wolą spać na zewnątrz, potrzebowała świeżego powietrza.

Teraz to Brummsted zdecydowała się przejąć opowieść. Co było nieco zaskakujące.

– To jasne, że tego dnia już się nie uczyliśmy – wyjaśniła. – Wieczorem, przy ognisku, grała na ustnej harmonijce i śpiewała dla nas. No tak, od czasu do czasu śpiewaliśmy wspólnie, nauczyła nas kilku nowych piosenek, wydaje mi się, że to były takie piosenki dla dzieci. W pewnym momencie – nie było jeszcze tak późno – poszła spać. Była zmęczona po rejisie. My próbowaliśmy jeszcze się uczyć, ale nie potrafiliśmy się skoncentrować, więc zdecydowaliśmy, że zamiast tego wstaniemy wcześniej następnego dnia. Co prawda nie pamiętam, czy ktoś powiedział to głośno, ale nazajutrz wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że z matematyką może być krucho. W każdym razie po tym, jak Lucy wstała.

– Ja też wolałam spędzić czas z Lucy, zamiast uczyć się matematyki – wtrąciła Pia Mikkelsen – a chłopcy pewnie czuli to samo. To było wyraźnie widać.

– Wszyscy tak czuliśmy – zapewniła ostrzejszym tonem Brummsted.

– Rozmawialiście o niej, gdy poszła spać? – spytał Simonsen. – Czy ktoś sobie przypomina?

Pokręcili głowami, nawet Jesper Mikkelsen wydawał się bezradny.

– Dlaczego to pana interesuje? – spytał po chwili. – To przecież bez znaczenia.

– To ja tu zadaję pytania – odparł obcesowo inspektor. – Nie powinniście się zastanawiać, po co to robię. Macie się skoncentrować na mówieniu prawdy. Zakładam, że przejdziemy teraz do kolejnego dnia. Był wtorek, siedemnastego czerwca. Może przypomnicie sobie więcej szczegółów, gdy powiem, że w Esbjerg panowało typowe duńskie lato: umiarkowane zachmurzenie, przelotny deszcz na przemian ze słońcem, temperatura dziewiętnaście stopni, trochę mniej na wybrzeżu. Paradowanie bez odzieży w takich okolicznościach raczej nie było dobrym pomysłem. Chciałbym, żeby teraz pani kontynuowała – dodał, wskazując na Hanne Brummsted.

– Wszyscy wstaliśmy wcześniej i uczyliśmy się od rana do przedpołudnia. Lucy obudziła się dość późno. Siedzieliśmy w jadalni, gdy do nas przysła. Zjadła śniadanie, a potem udała się pod prysznic. Poszłam razem z nią do łazienki, żeby ją poinstruować, bo był tam taki automat, do którego należało wrzucić dziesięć øre, aby wykapać się w ciepłej wodzie. Dałmy jej drobne, nie dlatego, że chciała nas wykorzystać, po prostu nie miała bilonu. No, w każdym razie poszła pod prysznic, a my zajęliśmy się nauką, ale gdy wyszła... to właśnie wtedy wszystko się zaczęło... przysła do jadalni... – Brummsted się rozplakała i próbowała się przemóc. – ... Nie, nie, chcę o tym opowiedzieć, ale to takie trudne. Chodzi o to, że była naga. Po prostu stanęła w drzwiach z bielizną i piżamą zawiniętą w mokry ręcznik, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. Zapytała nas, co będziemy dzisiaj robić.

– Próbowwała was sprowokować, wyśmiać, a może kokietować?

– Nie, zupełnie nie. Dla niej nie było w tym nic nadzwyczajnego, to tylko my gapiliśmy się na nią, jakby miała dwie głowy zamiast jednej. A chłopcy... oni zapewne nie wyobrażali sobie tego w najśmielszych fantazjach.

– Owszem, wyobrażaliśmy sobie – wtrącił Mikkelsen. – Właśnie w najśmielszych fantazjach.

– No, w każdym razie stanęła naga i gdy się zorientowała, że się jej przyglądamy... dobry Boże, przyglądamy... my się na nią gapiliśmy, rozśmiała się i ... nie pamiętam teraz, co dokładnie powiedziała. Chodziło jej

o to, że nie musimy być tacy wstydlivi. Wydaje mi się, że użyła słów: Not to be shy. Jej słowa w jednej chwili stały się motywem przewodnim naszego wyjazdu.

– Czy ona to narzuciła?

– My też tego chcieliśmy. To była też nasza decyzja.

– To był skok na głęboką wodę, a jednocześnie coś niesamowicie interesującego i ekscytującego, wprost ociekającego seksem – kontynuowała opowieść Hansen. – Pojawiła się szansa, żeby nadrobić to wszystko, z czego wykluczyli nas koledzy z klasy, przynajmniej tak nam się wtedy wydawało. W rzeczywistości było zapewne zupełnie inaczej. Poza tym chyba żadne z nas nie miało wtedy doświadczenia z seksem, no, prawie żadnego, i nigdy sami nie wpadlibyśmy na to... Jak mam to ująć?... Żeby spróbować się pozbyć wstydu. Lucy okazała się katalizatorem, chociaż ona musiała to postrzegać inaczej. Dla niej to była bardziej zabawa niż seks.

Simonsen ponownie wskazał palcem na Brummsted.

– Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak to działało?

– Sądziliśmy, że jest doskonale zorientowana w tym wszystkim, o czym my tylko czytaliśmy i słyszeliśmy: wolnej miłości, hipisowskich orgiach, seksie grupowym, strefach pieprzenia w akademikach, orgiach z przyjaciółmi – rzeczach, które zapewne rzadko się odbywały, ale którymi gazety karmiły swoich czytelników, żeby podkreślić sprzedaż. To oczywiście było naiwne. Dobry Boże, miała zaledwie siedemnaście lat, a w każdym razie nie miała pojęcia, co w nas wyzwoliła. Żadne z nas nie miało kontroli nad czymkolwiek, a już na pewno nie nad tym, kiedy należy przestać.

– Zrzuciliście ubrania. Widziałem zdjęcie, które zrobił Jørgen Kramer Nielsen.

– Upłynęło trochę czasu. To było takie wyzwalające, zwłaszcza dla nas, dziewczyn, choć żadna z nas nie mogła, nawet w najmniejszym stopniu, porównywać się z Lucy. Koniec końców chodziliśmy wtedy nago, próbowaliśmy być dumni ze swoich ciał, no, a chłopcy, zwłaszcza na początku... oni po prostu mieli wzwód... ale ona tylko się z tego śmiała, więc my też. Po pewnym czasie się do tego przyzwyczailiśmy. Nawet gdy przyjechał li-

stonosz z ciastkami od mamy Mouritza. Usłyszeliśmy motocykl i poszliśmy tam wszyscy razem, żeby odebrać przesyłkę. Tak jak staliśmy.

– Ale nie doszło między wami do żadnych czynności seksualnych?

– Wtedy jeszcze nie, to zdarzyło się później, chociaż już wtedy czuliśmy, że powinno się zdarzyć coś więcej. Wydaje mi się, że wszyscy tak myśleli, z wyjątkiem Lucy.

– Czyli później doszło do czegoś więcej?

– Ustaliliśmy, że trzeba kupić kilka piw. Lucy przekonała nas do zrobienia zrzutki, sama też się dołożyła, więc poszliśmy za jej przykładem, a potem chłopcy pojechali do sklepu. Gdy wrócili, rozpaliliśmy ognisko i popijaliśmy piwo. Było późne popołudnie.

– Nadal bez ubrań?

– Nie, wtedy już byliśmy ubrani, było zbyt zimno. Ale przyszedł Troels. Miał zespół Downa, ale wtedy mówiło się, że jest umyślowo chory, albo nazywało kogoś takiego Mongołem, jednak Lucy nazwała go Szczęśliwym Troelsem. Helena знаła Troelsa z wcześniejszych wyjazdów i wiedziała, że jest nieszkodliwy, dlatego pozwoliliśmy mu siedzieć z nami, a nawet daliśmy piwo. Potem dostawał już tylko oranżadę, bo nie widzieliśmy, co się stanie, jak się upije. W pewnym momencie zagwizdano na niego z sąsiedniego gospodarstwa. Tak, zagwizdano na niego jak na jakiegoś psa. I Troels wrócił do domu, a my przenieśliśmy się do środka. Wtedy było nam już wesoło, chociaż nie byliśmy specjalnie pijani, i wpadliśmy na pomysł, żeby zagrać w rozbieranego pokera. To nie było nic takiego, po tym, jak przez prawie cały dzień paradowaliśmy nadzy. Dlatego szybko z tego zrezygnowaliśmy. Za to Lucy postanowiła nas nauczyć pewnej zabawy.

Brummsted zamilkła i rozejrzała się wokół. Simonsen poczuł, że do tej pory opowiadała tak chętnie, licząc, że ktoś ją teraz zastąpi.

– Proszę mówić dalej – powiedział.

Posłuchała go i zrezygnowana ciągnęła:

– To była taka gra z czterema kostkami, w której częściowo liczyło się szczęście, ale wymagała też zręczności. Trzeba było wyrzucać cztery kostki do góry, a potem łapać je w coraz trudniejszych pozycjach. Gdy się przegrywało, trzeba było zrobić to, czego się domagała osoba stojąca

przed nami w kręgu. Z każdą kolejną przegraną polecenia były coraz odważniejsze.

– Polecenia?

– Czynności seksualne, coraz bardziej intymne. Najpierw zdejmowało się części ubrania, ale z czasem chodziło o coś bardzo, bardzo erotycznego... Nie widzę powodu, żeby wdawać się w szczegóły.

– Jest wiele powodów, by wchodzić w szczegóły. Poza tym może pani spróbować zachować medyczny dystans, pani doktor.

W jej spojrzeniu więcej było smutku niż złości.

– Na początku tylko się dotykaliśmy, parami, w zależności od tego, kto przegrał, a pozostali się temu przyglądali, ale stopniowo wszystko zaczęło eskalować. W pewnym momencie wrócił do nas Troels i chciał się do nas przyłączyć. Gdy zobaczył, że jesteśmy nadzy, zrzucił ubranie, a potem siedział ze sterczącym członkiem i się onanizował. W pewnym momencie to ja przegrałam i miałam za zadanie mu w tym pomóc. To znaczy rękoma. I to był błąd – duży, naprawdę duży błąd. Po jakimś czasie znowu sobie poszedł, a my bawiliśmy się dalej i wszystko wymknęło się spod kontroli. Robiliśmy różne rzeczy, których nie powinniśmy byli robić: otwieraliśmy się na siebie, dotykaliśmy się, obmacywaliśmy, całowaliśmy i lizaliśmy.

– Czy to Lucy dowodziła?

– Nie, zupełnie nie. Uważała jedynie, że to zabawne. Poza tym rzadko przegrywała, bo okazała się świetna w zonglowaniu kostkami. O wiele lepsza od nas. Pamiętam też, że zdjęła ubranie, chociaż nie musiała tego robić.

– Czyli nie angażowała się fizycznie? Jeżeli mogę to tak nazwać.

– Prawie nie, co prawda pocałowała mnie i obie byłyśmy przy tym nagie, pieściła też członek Jørgena, gdy my liczyliśmy do dwudziestu, ale w tamtym momencie to nie było nic nadzwyczajnego. Do tego czasu Pia i Jesper zdążyli już odbyć stosunek, a krótko potem przypadła kolej na mnie i Mouritza. Byłam dziewicą, więc krwawiłam i czułam ból, ale zdusiłam to w sobie.

– Wygląda na to, że przynajmniej niektórzy chcieli to powstrzymać – powiedział Simonsen do Hansen. – Czytałam pani odpowiedzi na listy

w rubryce gazetki ruchu skautowego. Była pani dojrzałą i rozsądną dziewczyną, która potrafiła odmawiać. Dlaczego pani tego nie powstrzymała? Albo przynajmniej od nich nie odeszła?

– Na pewno przyczynił się do tego alkohol, choć to nie był najważniejszy powód – odparła bez najmniejszego wahania. – Bawiliśmy się wspólnie, mając nadzieję, że Lucy w końcu też kiedyś przegra, tak naprawdę przegra. Chłopcy z oczywistych powodów, a dziewczyny, no cóż – przeszliśmy już tak daleką drogę, spróbowałyśmy właściwie wszystkiego, więc uważaliśmy, że teraz jej kolej.

– I przyszła jej kolej?

– Nie, nigdy.

– Oszukiwała?

– Nie, po prostu była w tym dobra.

– W takim razie jak to się zakończyło? Pomogliście trochę szczęściu?

– Nie, nic takiego nie zrobiliśmy. Pii zrobiło się niedobrze i zaczęła wymiotować, a chłopcy byli już wtedy... dość wykończeni. Piwo też się skończyło, dlatego poszliśmy spać.

– Poszliście spać?

– Tak.

– A co z Lucy?

– Poszła do swojego namiotu.

– I nic więcej się nie zdarzyło?

– Nic, aż do kolejnego przedpołudnia.

– Ach tak. Zamieniam się w słuch.

– Tym razem również wstaliśmy przed nią, to znaczy przed Lucy. Poranek okazał się koszmarem. Wszystkim było głupio, trudno nam było spojrzeć sobie nawzajem w oczy, więc uciekliśmy w matematykę. Każde z nas marzyło tylko o tym, żeby wrócić do domu. Myślę też, że byliśmy źli na Lucy, bo to ona w pewien sposób uruchomiła to wszystko, a do tego nie do końca wzięła w tym udział. W każdym razie jak to tak odbierałam.

Simonsen powiódł pytającym spojrzeniem po wszystkich twarzach. Przytaknęli, że tak właśnie było.

– No i wtedy po raz trzeci przyszedł Troels, ten upośledzony. Nie było najmniejszych wątpliwości, czego chciał. Trzymał dłoń w spodniach i takie tam. Najpierw chcieliśmy go wyrzucić, ale potem wpadliśmy na pomysł, żeby wysłać go do Lucy.

– Tylko nie to.

– Niestety, tak. Rozmawialiśmy o tym, że powinna spróbować tego, co nam zapewniła, a potem ustawiliśmy się przy oknach i patrzyliśmy, jak Troels wchodzi do jej namiotu. Jednak niewiele udało nam się zobaczyć, a on po pewnym czasie po prostu wyszedł i poszedł w swoją stronę.

– Mieliście nadzieję, że ją zgwałci?

– Nie, to nie o to chodziło. Pomyśleliśmy, że będzie miała okazję zająć się Szczęśliwym Troelsem tak jak my, to znaczy Hanne, poprzedniego wieczoru, ale gdy nic się nie działo, wróciliśmy do matematyki i własnych kaczek – tych fizycznych i moralnych. Dopiero po lunchu zorientowaliśmy się, że coś jest nie tak. Zaczęliśmy ją wołać, a gdy nadal nie wstawała, zjrzeliśmy w końcu do namiotu, a ona leżała tam martwa. Uduśli ją.

– Sześcioro ludzi nie wpada jednocześnie na ten sam pomysł. Kto zaproponował, żeby chłopak do niej poszedł?

– Nie pamiętam nic poza tym, że wspólnie się na to zgodziliśmy.

Mikkelsen pamiętał lepiej.

– To byłem ja – przyznał słabym, ale wyraźnym głosem.

Pozostała część przesłuchania była przewidywalna i jeszcze bardziej przygnębiająca. Pia Mikkelsen doskonale to ujęła:

– Wpadliśmy w panikę, w kompletną panikę. Jediną właściwą reakcją byłoby oczywiście wezwanie policji i opowiedzenie o tym, co się wydarzyło, ale tej możliwości nawet nie rozważaliśmy. Już sama myśl o tym, że nasi rodzice mogliby się dowiedzieć, co tutaj wyprawialiśmy, była nie do zniesienia, nie mówiąc już o tym, co by się wtedy z nami stało. Postanowiliśmy ją pochować i ja zaproponowałam, żeby zrobić to w miejscu paleniska. Pomyślałam, że jeżeli ukryjemy ją wystarczająco głęboko, to nie odkryją jej żadne psy. Chłopcy pracowali jak opętani, a my, dziewczyny, spakowałyśmy jej plecak i namiot. Jej afgańskie futerko się nie zmieściło, więc je spaliliśmy.

– Gdzie się w tym czasie znajdowały jej zwłoki?

– Wynieśliśmy ją z namiotu. Potem nakryliśmy prześcieradłem, które przymocowaliśmy do ziemi kamieniami, żeby go nie zwiało.

– Miała na sobie ubranie?

– Majtki, zdjęliśmy je i zapakowaliśmy. Sądziłyśmy, że jej zwłoki się rozłożą, ale ubrania zostaną.

– Co zamierzaliście zrobić z jej rzeczami?

– Zmyśliśmy również spermę z jej ud – wtrącił Mikkelsen. – Troels oblał ją swoim nasieniem, ale nie została zgwałcona, tylko zabita.

Simonsen odwrócił się w jego stronę, ponury jak chmura gradowa.

– Przepraszam, niewłaściwie się wyraziłem. – Mikkelsenowi udało się zdusić wybuch złości. – Chodziło mi tylko o to, że mimo wszystko nie została zgwałcona.

Simonsen się uspokoił, a potem zwrócił się do Pii Mikkelsen:

– No więc, co się stało z jej rzeczami?

– Najpierw rozmawialiśmy o tym, żeby wyrzucić je do morza, ale porzuciliśmy ten pomysł. Potem przypomnieliśmy sobie, że napisała wido-kówkę, której jeszcze nie wysłała. Znaleźliśmy kartkę, z której wynikało, że wybiera się do Norwegii, żeby zobaczyć dzień polarny, a wtedy Helena wymyśliła, żeby zawieść jej rzeczy do Szwecji i stamtąd wysłać wido-kówkę. Zabraliśmy jej plecak i namiot pociągami do Kopenhagi.

– Kto pojechał do Szwecji?

– Hanne i Jørgen.

Inspektor odwrócił się w stronę Hanne Brummsted.

– Dlaczego to właśnie pani i Jørgen pojechaliście do Norwegii?

– Ja miałam prawo jazdy, a Jørgen pojechał, żeby mi pomóc. Sam się zgłosił.

– Nie lepiej było pojechać samej? I tak na niewiele się zdał.

– Dzisiaj to wiem, ale wtedy wydawało się oczywiste, że pojedziemy we dwoje.

– Jak zdobyliście samochód? No i jak pani rozwiązała sprawę z egzami-nem?

– Powiedziałam starszemu bratu, że zaszłam w ciążę, i pożyczyłam od niego pieniądze na aborcję. Wynajęliśmy samochód, a w domu powiedziałam, że egzamin został przesunięty o tydzień i że wracam do Esbjerg, aby się uczyć. Już później wyjaśniłam, że się pomyliłam, i przystąpiłam do egzaminu poprawkowego w sierpniu.

– I pani rodzice w to wszystko uwierzyli?

– Nie, sądzili, że zaszłam w ciążę i ją usunęłam. O to też mi chodziło. Jak Jørgen się tłumaczył, nie mam pojęcia. Prowadziłam samochód, spałam, prowadziłam, spałam i prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. W pewnym momencie wysłaliśmy widokówkę i pojechaliśmy dalej, a w końcu znaleźliśmy jakiś las i tam rozbiliśmy namiot. A po tym wszystkim wróciliśmy do domu.

– W jej portfelu znaleziono pieniądze.

– Włożyliśmy tam parę szwedzkich banknotów, nie pamiętam kwoty, tylko to, że mieliśmy na sobie rękawiczki, żeby nie zostawić śladów. Przylegające żółte gumowe rękawiczki, ledwo się dało w nich wytrzymać.

Inspektor polecił Mikkelsenowi, żeby dokończył historię.

– Gdy grób był gotowy, wrzuciliśmy ją do środka i zasypaliśmy. W dole wylądowały również pozostałości ogniska wraz z jej futerkiem. Przez pewien czas mocno ubijaliśmy stopami ziemię. Gleba była piaszczysta i dość łatwo się uklepywała. Na koniec ułożyliśmy kamienie w okrąg i rozpaliliśmy olbrzymie ognisko, żeby mieć trochę popiołu.

– To wszystko? Po prostu dziewczyna do dołu i z głowy, a potem wróciście do matematyki?

– Nie mogliśmy wrócić do domu przed czasem, dlatego zostaliśmy. Myślałem, że nikt nie był w stanie się uczyć.

– Czyli ten kolejny dzień nie był szczególnie zabawny?

– Żaden dzień od tego czasu nie był zabawny.

– Nie zapomniał pan opowiedzieć o obietnicy, którą sobie złożyliście? Przysiędze, czy jak ją tam nazwaliście...

– Pakt, nazwaliśmy to paktem. To był pomysł Heleny. Ustawiliśmy się wokół ogniska...

– Grobu Lucy Davison! A nie żadnego ogniska – warknął Simonsen.

– Przepraszam, ustawiliśmy się wokół grobu Lucy Davison i powtarzaliśmy w kółko: „Nigdy, przenigdy nie będziemy o tym rozmawiać. Nigdy, przenigdy nie będziemy o tym mówić”. Powtarzaliśmy to w nieskończoność.

Zapadła długa cisza. Dotarli do końca, a oczy wszystkich były teraz zwrócone na Simonsena. Brummsted i Hansen znowu zaczęły płakać.

– Co się teraz z nami stanie? – zapytała po pewnym czasie ta ostatnia.

– Zostaniecie przesłuchani pojedynczo w Kopenhadze. Potem razem z prokuratorem zadecydujemy, co dalej. Może nie stanie się nic, to niestety dosyć prawdopodobne. A jeżeli chodzi o najbliższe godziny... to po prostu wam pokaże. – Po chwili wrócił, trzymając w dłoniach cztery łopaty.

Zajęło im to dobre trzy godziny. Simonsen nie okazał im krzty współczucia. Zgodził się na krótkie przerwy na posiłek i odpoczynek, więc nikt nie ucierpiał fizycznie, ale poza tym nie tolerował niczego poza pracą. Zaakceptowali to i się podporządkowali. Pedersen i Berg, którzy nie odrywali się od paru godzin, odeszli na bok i z dystansu przyglądali się całemu zajściu. Lekka, piaszczysta gleba ustępowała pod naporem łopat i choć dziura przybierała formę bardziej krateru niż studni, to i tak w pewnym momencie było miejsce tylko dla dwóch łopat. Pracowali na zmianę. Simonsen liczył na słoneczną pogodę, ale niebo pociemniało, a pogoda ponownie się zmieniła. Dopiero po południu, gdy niebo nabierało już szarej barwy, dokopali się do czarnej ziemi. Wtedy odebrał od nich łopaty i wręczył im wiadro. Teraz pracowali rękoma. To Jesper Mikkelsen natknął się na ciało. Wyprostował się bez słowa. Z grobu wystawała biała kość udowa.

– Wystarczy, resztą zajmą się technicy – powiedział Simonsen. – Teraz musimy tylko ustalić, kto z waszej czwórki zabił Jørgena Kramera Niesena.

Rozdział 12

– Żadne z nich!

Wniosek wydawał się oczywisty, ale Pedersen i Berg chcieli, żeby Simonsen sam do niego doszedł. Mogli się wypowiadać tylko w kwestii przydzielonych do obserwacji osób – Berg śledziła reakcje Hanne Brummstedt i Helena Brage Hansen, a Pedersen przyglądał się Mikkelsenom. „Mylą się” – pomyślał Simonsen. Wstał z krzesła i sfrustrowany zaczął przechadzać się tam i z powrotem po swoim niewielkim aneksie. Hrabianka wodziła za nim zatroskanym spojrzeniem. Pedersen i Berg, siedzący obok siebie na sofie, odwrócili wzrok i czekali, podczas gdy Simonsen zastanawiał się, czy zaangażowanie tych dwojga w przesłuchanie w Esbjerg nie było pomyłką. Pedersen był z nich wszystkich najslabiej wdroniony w sprawę, mocno zajęty budżetami, raportami i innymi sprawami. A Berg? No właśnie, przecież i tak trudno się z nią współpracowało, a teraz też nic nie wносиła do sprawy. Dwie błędne inwestycje. A w każdym razie przynajmniej jedno z nich, to, które nie miało racji. Ponownie usiadł i pomyślał mało konstruktywnie: „Pieprzony wtorek”.

– Simonie, co w takim razie teraz robimy? – Hrabianka ośmieliła się zadać pytanie.

– Musimy się temu przyjrzeć ponownie.

Wskazał palcem na Pedersena, który niepewnie zapytał:

– Chcesz, żebym powtórzył to, co przed chwilą powiedziałem?

– Tak, to właśnie znaczy „ponownie” – od początku, jeszcze raz.

Berg pokręciła głową.

– To przecież bez sensu, rozmawialiśmy o tym pięć minut temu.

– Skoro uważasz, że moje śledztwo jest bez sensu, to tam są drzwi. – Wskazał je palcem. – Wyjdź stąd i awanturuj się gdzieś indziej. Do przy-

słego roku i tak nie jesteś moim problemem, a poza tym świetnie poradzę sobie bez ciebie.

Hrabianka próbowała załagodzić sytuację.

– Dobrze, dobrze, już wystarczy, Simonie.

Berg pozostała na miejscu z kwaśną miną, natomiast Pedersen po raz kolejny podzielił się swoimi spostrzeżeniami z Esbjerg sprzed dwóch dni. Ponownie, jeszcze raz, na nowo, tak jak mu polecono.

Pia i Jesper Mikkelsenowie znajdowali się pod ekstremalnie silną presją psychiczną. Jednak żadne z nich – ani z osobna, ani razem – nie skrywało jakichś dodatkowych intencji, czy jak należało to nazwać, związanych z Nielsenem. Przez cały długi dzień w zasadzie w ogóle się ze sobą nie komunikowali – nie było żadnych ukradkowych spojrzeń, nie zwracali na siebie szczególnej uwagi. Przede wszystkim jednak ani on, ani ona nie wzmogli czujności, gdy padło imię listonosza. Pedersen przytoczył kilka konkretnych przykładów ze swoich notatek i zakończył z żalem:

– O ile nie są najlepszymi aktorami na świecie, lepszymi od wszystkich podejrzanych, których widziałem, to żadne z nich nie zabiło listonosza. Ani też nie namówiło nikogo, żeby to zrobił w ich imieniu.

Simonsen przypominał teraz skąpca, który właśnie otrzymał pięć kopert z zaległymi rachunkami. Pedersen niemal przeproszał, ale nadal upierał się przy swoich wnioskach.

– Simonie, zdaję sobie sprawę, że nie podoba ci się to, co usłyszałeś. Ale oni nikogo nie zabili.

Oczy Simonsena ciskały pioruny, więc Hrabianka szybko wtrąciła:

– Oczywiście poza Lucy Davison.

Relacja Berg na temat reakcji Hanne Brummsted i Heleny Brage Hansen okazała się żalostną kopią wypowiedzi Pedersena. W ocenie funkcjonariuszki te dwie kobiety też nie miały nic wspólnego z zabójstwem w Hvidovre. Simonsen ponownie pokręcił głową, dając tym samym znać, że w to nie wierzy. Potem zaczął wypytywać o Brummsted. Od dawna typował ordynatorkę jako główną kandydatkę na zabójczynię Nielsena.

– Jak zareagowała, gdy powiedziałem, że jedyne, czego nam jeszcze brakuje, to wskazanie zabójcy listonosza?

– W ogóle nie zareagowała. Stała jak skamieniała, spoglądając na szczątki.

– A kiedy wspominałem o obietnicy, którą wszyscy złożyli? I dodałem, że jedno z nich ją złamało?

– Nie rozumiała, o co ci chodzi. Ja zresztą też nie. Prawdopodobnie nikt nie rozumiał.

Postanowił, że zacznie w innym miejscu, spróbuje z nieco innej perspektywy, może to w czymś pomoże. Klasnął w dłonie i odezwał się optymistycznym tonem:

– W porządku, zapomnijmy na moment o ich reakcjach i spójrzmy na to wszystko z dystansu. Powiedzcie mi: kto tego dnia zrobił na was największe wrażenie?

Spojrzał wymownie na Berg, a potem przeniósł wzrok Pedersena i wrócił spojrzeniem do policjantki, która wyznała:

– Ty, zwłaszcza jak kazałeś im odkopywać zwłoki. To było kompletnie niepotrzebne i naprawdę okrutne.

– Zabili młodą dziewczynę.

– Młodą dziewczynę, przez którą przez kilka miesięcy kompletnie odleciałeś. A teraz pomściłeś jej śmierć, gdy tylko nadarzyła się okazja. A poza tym to nie oni ją zabili, tylko ten niedorozwinięty umysłowo.

Simonsen łąpczywie łąpał powietrze i czuł, jak narasta w nim złość. Tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi udało mu się stłumić pierwszy odruch, żeby krzyknąć na całe płuca. Krótka przerwa, która nastąpiła po wypowiedzi Berg, rozjuszyła go jeszcze bardziej, gdyż zdał sobie sprawę, że ani Hrabianka, ani Pedersen nie zamierzają zwrócić jej uwagi. To mogło oznaczać tylko jedno – zgadzali się z nią, ale sami nie mieli odwagi, aby mu to powiedzieć.

Już miał wyjść. Wynieść się w złości z własnego biura i zostawić ich z tymi beużytecznymi wnioskami, żeby mogli się pławić w swojej beuży-

teczności. W końcu jednak wybrał inne rozwiązanie. Zaczął wydawać polecenia:

– Arne, ponownie sprawdzisz ich alibi. Wiem, że już to robiliśmy, ale chcę, żebyś zrobił to jeszcze raz, i mam w nosie, czy będzie to po raz piąty, szósty czy ósmy. Będziesz też odpowiedzialny za to, żeby cała czwórka udzieliła pisemnej zgody na przeszukanie swoich domów i ewentualnych domków letniskowych. Dobrowolnie, nawet jeśli będziesz ich musiał przycisnąć. Zadbasz też o to, żeby przeszukaniem zajęli się doświadczeni policjanci. Poinformujesz również norweską policję, tak dla porządku, ale wyślesz trzech naszych ludzi do Hammerfest, jak tylko Hansen podpisze swoją zgodę.

Pedersen zaakceptował ten pomysł, wyraźnie zmęczony. Inspektor zwrócił się teraz do Berg.

– Pauline, ty zadbasz o to, żeby cała czwórka pozostała w Kopenhadze i była do mojej dyspozycji przynajmniej przez tydzień – przykazał oziębłym, rzeczowym tonem. – Zamierzam ich przesłuchiwać do skutku, aż któreś z nich pęknie. Będą się stawiali bezzwłocznie na przesłuchania w komendzie we wskazanym przeze mnie czasie. W przeciwnym wypadku ich zdjęcia trafią na okładki brukowców, a na stronach trzeciej, czwartej, piątej i siedemnastej znajdą się stosowne informacje o sprawie Lucy Davison. Jeżeli będą mieli wątpliwości co do zasadności groźby, to przypomnij im, jak piękna była Lucy. Zapytaj, czy nie sądzą, że jej zdjęcie podkreśli sprzedaż gazet. A jeżeli to nie wystarczy, osobiście przekonam prokuratora, aby wniósł przeciwko nim oskarżenie o nieumyślne zabójstwo, gwałt grupowy, zbezczeszczenie zwłok oraz pochówek w niepoświęconej ziemi.

– Z korzyścią dla kogo? – spytała zaczepnie Berg.

Simonsen walnął pięścią w stół.

– Dla mnie! A ty, Hrabianko, zdobędziesz solidne opinie lekarskie na temat Troelsa Høsta, tego mężczyzny z zespołem Downa, który ich zdaniem zabił dziewczynę. Chodzi o to, żeby ustalić, czy Troels był w stanie popełnić przestępstwo. O ile się orientuję, ludzie z tą chorobą są zazwyczaj przyjaźni i całkowicie nieszkodliwi. Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś taki... żeby taki człowiek popełnił zabójstwo. Potrzebuję tych informacji

z co najmniej dwóch nienależnych źródeł. – Wstał i ponownie klasnął w dłoń. – No, to w takim razie do roboty.

Pedersen i Berg opuścili aneks bez słowa komentarza, Hrabianka została na swoim miejscu. W milczeniu opadł na sofę, tuż obok niej. Z nieznanых przyczyn myślał teraz o Berg, na którą przed chwilą tak bardzo się wściekł. Jednak tym razem nie chodziło o złość, to było coś innego, ale nie potrafił tego nazwać. Pokręcił głową, aby pozbyć się jej z własnych myśli, a gdy to się nie udało, zaczął mówić o Lucy Davison.

– Stałem tam, gdy technicy ją odsłaniali, fotografowali, a potem wkładali kolejne kości do ocynkowanej skrzynki. Gdy podnieśli czaszkę, stwierdziłem, że dziewczyna musiała być piękna. Tak pomyślałem – że była piękna. Miała równe, białe zęby, a kształt jej głowy był taki... perfekcyjny.

Hrabianka uśmiechnęła się nieznacznie i zapytała tym samym tonem:

– Zjemy dzisiaj coś na mieście? W jakimś przyjemnym miejscu, może w Helsingør? Potrzebuję tego.

* * *

Zdecydował, że samodzielnie poprowadzi przesłuchania Bandy Czworga. Ponad godzinę na każdego członka grupy i pół godziny przerwy pomiędzy, żeby nie mogli się spotkać. Najbardziej podejrzewał Hanne Brummsted, ordynatorkę, która zachowywała się tak arogancko i asertywnie podczas wcześniejszych przesłuchań. Teraz jej arogancja gdzieś zniknęła, miała błyszczące oczy i sprawiała wrażenie, jakby ostatnio niezbyt dobrze sy-
piała.

– Czy nie nadszedł już czas, aby ulżyć sercu? – spytał ojcowskim tonem. – Wiemy, że miała pani kontakt z Jørgenem Kramerem Nielsenem. Zanotował to wielokrotnie w swoim dzienniku.

Pokręciła z rezygnacją głową.

– To musi być pomyłka, od czasu wyjazdu do Szwecji nie widziałam go ani razu... W każdym razie tak mi się wydaje.

– Wydaje? No dalej, proszę mówić. – Osaczył ją.

Poczuł, jak narasta w nim napięcie, ale jej wyjaśnienie okazało się bezwartościowe. To było zapewne pod koniec lat dziewięćdziesiątych, chyba w 1997, nie była pewna, wtedy prawdopodobnie spotkała go w Ikei, w Gentofte. Jednak chciała go uniknąć, poszła w swoją stronę, a on jej nie zauważył, była o tym przekonana.

– Dlaczego w takim razie wspominał o pani w swoim dzienniku? Jak pani to wyjaśni?

Nie potrafiła, naprawdę chciałaby móc to wytłumaczyć, ale nie... niestety to było dla niej niezrozumiałe. Najwyraźniej nie wyczuła, że ją okłamuje.

Helene Brage Hansen potraktował nieco ostrożniej. Nie chciał, żeby z powodu silnej presji przeszła załamanie nerwowe, o którego ryzyku wspominał jej brat. Zadawał pytania cichym głosem, jakby gra była skończona, a on nie miał jej nic do zarzucenia.

– Nielsen odwiedzał panią w Norwegii. Kiedy przyjechał po raz pierwszy?

– Nie, nie, nigdy nie był w Norwegii, to znaczy u mnie.

– Czy w takim razie to pani odwiedzała go w Kopenhadze?

– Myli się pan, nic takiego nie miało miejsca. Nie mieliśmy ze sobą kontaktu od... wtedy.

– Billingi nie kłamią, proszę pani.

– No to w takim razie musiało zajść jakieś nieporozumienie. Nie mógłby pan tego sprawdzić raz jeszcze? Nigdy do siebie nie dzwonił. Nigdy.

Mikkelsenowie próbowali grać przeciwko sobie. Jesper Mikkelsen płakał przez większość przesłuchania. Siedział, trzymając w dłoniach chusteczkę, która z minuty na minutę stawała się coraz bardziej postrzępiona. Simonsen przyglądał się z irytacją, jak mężczyzna co chwilę pociera zapłakane oczy. Gdy pomyślał o Lucy, ta odrobina współczucia, które żywił względem przesłuchiwanego, natychmiast się ulotniła.

– Niech pan już przestanie lamentować. Zamiast tego należałoby poszukać dobrego adwokata.

– Nie sądziłem, że to będzie potrzebne.

– Niestety tak. Naprawdę sądził pan, że żona będzie pana wiecznie kryła? No to wykazał się pan sporą naiwnością. Zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, jakie łączyły was relacje.

Rozplakał się i nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– W takim razie niech mnie pan ukarze za zabójstwo Jørgena, chociaż tego nie zrobiłem. Zasluguję na więzienie.

Pia Mikkelsen okazała się jedyną osobą stawiającą minimum oporu.

– Nie dociera do pana, że nie mam nic wspólnego z zabójstwem Jørgena?

– Ale jako jedyna miała pani z nim kontakt.

– Kompletna bzdura. Nie miałam.

Simonsen uderzył wnętrzem dłoni o biurko i krzyknął. Wtedy ona też się rozplakała.

Wieczorem udali się z Hrabianką do niewielkiej włoskiej restauracji w śródmieściu Helsingør. Towarzyszyła im Anna Mia, do której Hrabianka zadzwoniła z zaproszeniem. A może było odwrotnie – Simonsen nigdy tego nie ustalił.

Jedzenie okazało się smaczne, choć nie znakomite, a ceny rozsądne, jak zauważyła Hrabianka, gdy siedzieli przy kawie i herbacie.

– Nathalie, nie rozumiem cię – przyznała Anna Maria. – Masz do dyspozycji miliony i zazwyczaj jest ci wszystko jedno, na co je wydajesz, ale za każdy razem, gdy wychodzimy coś zjeść, porównujesz ceny i jakość, jakbyś z namysłem wydawała każdy grosz. Głodzili cię, gdy byłaś dzieckiem, czy o co chodzi?

Hrabianka się roześmiała, nie, nigdy jej nie głodzono. Anna Mia drażyła temat.

– Nie musisz przecież płacić za każdym razem. Czasem mógłby to dla odmiany zrobić ojciec... albo nawet ja. – Ostatnie słowa wypowiedziała po krótkim wahaniu.

– Sądziłam, że oszczędzasz – odparła Hrabianka.

– Bo tak jest – zapewniła Anna Mia – ale przede mną jeszcze daleka droga.

Simonsen nagle włączył się do rozmowy. Przez jakiś czas siedział, wyglądając przez okno, i nie bardzo się angażował. W jego myślach ponownie pojawiła się Berg – jako głos, jako emocja... trudno to było nazwać, ale od pewnego czasu zdarzało mu się to regularnie.

– O co chodzi z tym oszczędzaniem? – spytał córki.

Anna Mia potrząsnęła z rezygnacją głową.

– To właściwie bez znaczenia. Ceny nieruchomości w okolicy Kopenhagi i tak są zbyt wysokie. To znaczy w przypadku mieszkań własnościowych. Nigdy nie będzie mnie stać na wzięcie kredytu.

– Ale to twoje mieszkanie jest chyba zupełnie w porządku? – dopytywał zatroskany ojciec.

Hrabianka z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Simonie, daj już spokój.

Powiedziała to takim tonem, jakby przekonywała go, żeby przestał negować prawo grawitacji. Zgodził się z nią, rzeczywiście... miały rację.

– Tato, ja też się starzeję – powiedziała Anna Mia. – Zresztą to i tak nie wchodzi w rachubę, a zwłaszcza gdybym się chciała przenieść do centrum, do Frederiksberg czy do Valby. Niekiedy myślę o Aarhus albo Ålborgu. Tam ceny wydają się rozsądniejsze.

– To nie jest chyba taki zły pomysł, aby przez parę lat pomieszkać poza Kopenhagą – poparła ją Hrabianka. – Jeżeli chcesz, mogłybyśmy kiedyś razem pojechać pooglądać mieszkania. Uwielbiam to robić.

– To znakomity pomysł.

Anna Mia brzmiała na zadowoloną. W przeciwieństwie do Simonsena. Podał kilka przekonujących argumentów, przemawiających za pozostaniem w stolicy: mieszkanie w Kopenhadze z oczywistych powodów sprzyjało rozwojowi kariery, poza tym powinna wziąć pod uwagę swoich przyjaciół i znajomych. Nie należy też zapominać o odległościach na Jutlandii, znacznie większe niż te, do których się przyzwyczaiła. Dlatego musiałaby rozważyć także zakup samochodu. Koniec końców nic by nie oszczędziła.

A wręcz przeciwnie. Tak, gdyby dokładnie policzyć, jeszcze byłaby stratna, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

– Sprzedam ci tanio swój samochód, gdy będę go wymieniała na nowy.
– Hrabianka znów poparła Annę Mię. – Planuję zakup już za parę miesięcy, a wtedy będziemy cię też mogli częściej odwiedzać, chociaż to oczywiście nie będzie już to samo.

Po chwili ciszy – nie dłuższej niż pięć sekund – Simonsen wpadł na kolejny pomysł. Przecież on miał mieszkanie, a prawda była taka, że prawie w ogóle z niego nie korzystał. Anna Mia położyła dłoń na jego ramieniu.

– Ale to twoje mieszkanie, tato. Poza tym wiem, jak bardzo lubisz Valby.

To może i była prawda, ale był w swoim mieszkaniu nie więcej jak pięć razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, nie licząc odbierania poczty. Poza tym już od dłuższego czasu rozmyślał o tym, że może już pora na podjęcie jakichś decyzji...

Inicjatywę przejęła podekscytowana Hrabianka. Znała pewnego prawnika, który świetnie się orientował w tych sprawach. Anna Mia będzie mogła dość tanio nabyć mieszkanie, ona też chętnie się dołoży, a Simonsen będzie mógł odłożyć na koncie odpowiednią sumę, żeby w razie czego kupić coś dla siebie, jeżeli pewnego dnia nie będzie już mógł z nią wytrzymać. Wymachiwała rękoma, reagując na jego protesty. Nie, akurat w tym przypadku nie powinni jej odmawiać prawa do takiej inwestycji, a poza tym zaoszczędzi na samochodzie, skoro Anna Mia i tak nie będzie go potrzebować.

Nie zamówili żadnego alkoholu do kolacji, dlatego teraz Hrabianka poprosiła kelnera o trzy kalwadosy i mówiła dalej. Anna Mia przyznała, że Ålborg leży jednak dość daleko, więc byłoby wspaniale, gdyby w rachubę wchodziło to drugie rozwiązanie. Hrabianka uniosła kieliszek i zapewniła:

– Oczywiście, że wchodzi w rachubę. Przekonam prawnika, aby zjawił się u nas jutro wieczorem. Wypijmy za to.

Kobiety stuknęły się kieliszkami.

– To naprawdę miłe z twojej strony – powiedziała do ojca Anna Mia. – Jak to, że zdecydowałeś się z nami za to wypić, chociaż zwykle tego nie ro-

bisz. To jakby przypieczętowanie umowy, czyż nie tak się to kiedyś nazywało?

Wzniesli toast i opróżnili kieliszki.

Druga i trzecia runda przesłuchań Bandy Czworoga też nie przyniosła żadnych rezultatów. Krzyczał, wrzeszczał, błagał i zwodził, wykorzystał wszystkie znane sobie triki, a nawet kilka nowych, które przyszły mu do głowy przy okazji. Na nic się zdały, bo zabójca Jørgena Kramera Nielsena nadal się wśród nich ukrywał – i to bardzo skutecznie. Przeszukania, inwigilacja i podsłuchy telefoniczne, na które z trudem uzyskał zgodę, także nie posunęły sprawy do przodu. Nikt z czwórki podejrzanych nie miał kontaktu z pozostałymi, oczywiście z wyjątkiem małżeństwa, żadne z nich nie prowadziło rozmów, które można by uznać za podejrzane. Po trzech dniach ciężkiej pracy inspektor został z dużym, okrągłym zerem.

Nadeszły dni, w których Simonsenowi wydawało się, że wszyscy zmówili się przeciwko niemu, a najbardziej Hrabianka. Nawet Klavs Arnold zmienił front, chociaż na początku trzymał stronę inspektora. W czwartek Simonsen ponownie chwycił byka za rogi. Zebrał najbliższych współpracowników, aby uporządkować informacje, ale przede wszystkim, żeby zaznaczyć, że chociaż wszyscy odrzucili jego teorię, że ktoś z Serc zabił Nielsena, to on był osobą kierującą śledztwem i tylko on decydował o tym, jak poprowadzić sprawę.

Świadomie powtarzał te słowa i niemal cieszył się na widok ich zmęczonych spojrzeń, których się spodziewał i na które był przygotowany.

– Klub Samotnych Serc, Klub Samotnych Serc, Klub Samotnych Serc – właśnie wśród nich musimy szukać. Ktoś z nich zabił Jørgena Kramera Nielsena, a może nawet wszyscy razem, dlatego gdzieś musi istnieć jakiś związek i go znajdziemy. Dobre pomysły są mile widziane – powiedział tubalnym głosem.

I napotkał mur bardzo rzadko spotykanej solidarności. Jako pierwszy, śmiało i bezpośrednio, wypowiedział się Arnold:

– Mylisz się i nie chcesz tego przyjąć do wiadomości. W tej chwili największą przeszkodą w odnalezieniu zabójcy Nielsena jest twój upór.

– Przykro mi, ale nie wierzę w żaden związek. Już nie. – Pedersen był bardziej dyplomatyczny.

Potem wyjaśnił, że przeszukania okazały się marnotrawieniem zasobów. Oczywiście użył słowa „zasoby”, nie czas, nie siły. „Typowy dla szefów sposób postrzegania sprawy” – pomyślał Simonsen. Bez przekonania słuchał, jak Pedersen omawia negatywne rezultaty podjętych działań i potwierdza alibi Heleny Brage Hansen i Jespera Mikkelsena na okres, w którym mogło dojść do zabójstwa w Hvidovre.

– Wielokrotnie czytałem twoje raporty z przesłuchań i naprawdę za każdym razem próbowałem spojrzeć na nie z nowej perspektywy – zapewnił na koniec Pedersen. – I wciąż uważam, że wszystko się zgadza. W kwestii tego nieszczęśliwego wypadku z Lucy Davison też wyłożyli na stół wszystkie karty. Wyjaśnili każdy szczegół, nie ma tam żadnych luźnych wątków.

– Nie chodzi o Esbjerg, chodzi o Hvidovre.

– Wiem i moim zdaniem żadne z nich nie ma z Hvidovre nic wspólnego, co potwierdza fakt, że nie znaleźliśmy żadnego nowego powiązania – ani między nimi nawzajem, ani między nimi a Nielsenem. Nie znaleźliśmy, bo takiego nie ma. A tym bardziej żadnej zmywy.

– Simonie, po prostu się mylisz. – Hrabianka tylko dołała oliwy do ognia. – Za każdym razem, gdy konfrontujemy ich ze śmiercią listonosza, bez wahania i owijania w bawełnę, udzielają logicznych odpowiedzi. Poza tym musisz przyznać, że potraktowałeś ich ostro. Bardzo ostro.

– Hanne Brummsted – sama przez dłuższy czas ją podejrzewałaś.

– Przez pewien czas, owszem i nie jest żadną tajemnicą, że nie dażę jej sympatią, ale nie ma nic wspólnego ze śmiercią Nielsena. Tak przy okazji, to mam dla ciebie informacje dotyczące ludzi z zespołem Downa i kontrowersyjnego zachowań seksualnych.

Już chciał jej przerwać. To mogło poczekać – nie były to ani czas, ani miejsce na takie rewelacje. Jednak Hrabianka z irytującą skutecznością zdążyła wyciągnąć niewielką notatkę, którą skrupulatnie przeczytała:

Wynikało z niej, że u ludzi z zespołem Downa obserwuje się różny stopień braku samokontroli. Miewają oni problemy zwłaszcza z interpretowaniem zachowania innych osób, ich języka i sytuacji, ogólnie rzecz ujmując. W kontekście seksualnym mogą być postrzegani jako rozwiązli, dość powszechne było obnażanie się w miejscach publicznych czy masturbacja, wynikające z seksualnego zagubienia i dezorientacji. To z kolei mogło prowadzić do niewłaściwego, niedozwolonego molestowania i brutalnego fizycznego kontaktu. W związku z tym było wysoce prawdopodobne, że Troels Host zabił Lucy Davison. Nie dlatego, że tego chciał, ale dlatego, że stracił kontrolę nad sobą i sytuacją.

Simonsen podziękował jej szorstko, a potem znów próbował ich zmobilizować:

– Czy to oznacza, że naprawdę uważacie, że zabójstwo Nielsena nie ma związku ze śmiercią tej młodej dziewczyny? Pomyślcie o tym, jak rzadko, dzięki Bogu, dochodzi w Danii do zabójstw, a potem zapewnijcie mnie, że to wyjątkowy, niezwykle rzadki zbieg okoliczności.

Całe to przekonywanie okazało się stratą czasu. Tak uważali. Otrzymał jasne potwierdzenie od każdego z nich.

– Gdzieś jest jakiś szczegół, który przeoczyliśmy.

Wszyscy pokręcili głowami w milczeniu. Nie było żadnych szczegółów, które przeoczyli. Nigdzie.

– Chciałabym pomóc, ale nie wiem, co mam robić – zapewniła Berg. Wydawało się, że ma szczere intencje.

Simonsen nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

Kolejnego dnia Simonsen wziął pod lupę różne koncepcje, a każda kolejna była mniej prawdopodobna od poprzedniej. Właściwie tylko jedna wydawała się warta sprawdzenia i omówienia na forum. Przypadkowo padło na Pedersena.

– Posłuchaj, Arne. Załóżmy, że Jørgen Kramer Nielsen był chory, wiedział, że wkrótce umrze. Za życia nigdy nie złamałby tej ważnej obietnicy z czasów młodości, ale z drugiej strony jego wiara podpowiadała mu, że

powinien się z tego rozliczyć, zanim stanie przed Bogiem. Może w formie listu, który zostanie otwarty po jego śmierci, listu, w którym wyjawia okoliczności śmierci Lucy Davison. Hanne Brummsted dzięki swoim lekarskim kontaktom dowiaduje się o stanie zdrowia Nielsena, odwiedza go i łamie mu kark, zanim nie będzie za późno. Jak to brzmi?

– Jak równanie z siedmioma niewiadomymi. A on był chory?

– Musimy się tego dowiedzieć.

Po dwóch straconych godzinach i kilku rozmowach telefonicznych Simonsen musiał uznać, że nic nie wskazywało na to, żeby listonosz wybrał się na tamten świat. Książd też był tego zdania i o niczym takim nie wiedział, naczelnik poczty twierdził to samo, zwłaszcza że Nielsen do końca bez zarzutu wypełniał swoje obowiązki. Lekarz rodzinny zamordowanego i okoliczne szpitale nie przyjęły od niego żadnego zgłoszenia. Wśród pozostawionych rzeczy nie było żadnych lekarstw, z wyjątkiem paracetamolu, zresztą nieużywanego. W taki oto sposób upadła teoria o ciężkiej chorobie Nielsena. Simonsen upomniał sam siebie, że powinien o tym poinformować Arnego, ale zaraz o tym zapomniał.

Nieco więcej potencjału miały dwie koncepcje Pauline Berg. Nie ukrywała przy tym, że zgadzała się ze zdaniem solidnej większości, jak ich nazwała. Jednak z jakichś niezrozumiałych przyczyn wzięła sobie do serca słowa Simonsena, że dobre pomysły są mile widziane. Rano, gdy przyszedł do pracy, zastał ją leżącą na sofie w aneksie i czekającą na niego. Skomentował jej ubiór, który jeszcze niedawno, parę miesięcy temu, stanowił dla niej, i dla niego również, spory problem. Od tamtego czasu niewiele o nim myślał, ale teraz ocenił:

– Wróciłaś do swoich dawnych strojów, to znaczy, mam na myśli te sprzed...

Zawahał się i przeklął w duchu.

– Zanim zostałam porwana i poddana torturom – dokończyła za niego.

– Tak, to prawda. I co z tego?

– Nic z tego, po prostu pomyślałem, że pewnie czujesz się już lepiej, tak ze sobą.

Zachowała powściągliwość.

– Czuję się tak jak zwykle, raz lepiej, raz gorzej. Ale nie o tym chcę rozmawiać, nie dzisiaj.

Uszanował to, przeprosił i ponownie wściekł się na siebie, bo nie powinien był mówić takich rzeczy.

– Simonie, dwie sprawy. – Pauline sprowadziła go na ziemię. – A, co jeżeli któraś z tych osób biorących udział w wyjeździe do Esbjerg też wpadła na pomysł, żeby odwiedzić ośrodek, podobnie jak Nielsen, i w pewnym momencie znalazła jego ukrytą torbę?

– Była dobrze schowana, ale tego oczywiście nie możemy wykluczyć.

– Albo coś przeoczyłam, albo jak dotąd nie zdjęliśmy z tej torby odcisków palców i nie porównaliśmy ich z odciskami osób, które podejrzewasz o zabójstwo.

Tych, które my podejrzewamy. Musiał to zaznaczyć. Ci, których on podejrzewał, podejrzewał wydział zabójstw, a tym samym wszyscy jego pracownicy. Mimo to pochwalił ją, a potem sporządził notatkę. Berg zachowywała się, jakby była w siódmym niebie, to był jeden z tych dni.

– To, co zdarzyło się podczas tej wyprawy, wywarło wpływ na wszystkich – powiedział Simonsen. – I nie będzie przesadą twierdzenie, że w pewnym stopniu zdominowało ich życie.

– Całkowicie się zgadzam.

– Jørgen Kramer Nielsen miał swoje fotografie i matematykę, Hanne Brummsted skupiła się na ciężkiej pracy związanej z diagnostyką i genetycznymi aspektami zespołu Downa... – Urwał w połowie zdania.

– Zgadza się, nadażam, i co z tego?

– Brakuje Mouritza Malmborga. Zapomnieliśmy o nim. Nie wiemy, w jaki sposób wpłynęła na niego śmierć Lucy Davison. A poza tym czy kiedykolwiek przyjrzeliliśmy się krytycznie okolicznościom jego śmierci?

Simonsen sporządził kolejną notatkę, mamrocząc coś w zamyśleniu, a Berg doczekała się kolejnej porcji pochwał. Inspektor zastanawiał się,

czy ona – w przeciwieństwie do tego, co mówiła i jak się zachowywała – w gruncie rzeczy nie była jednak bardzo dociekliwa, jeśli chodziło o różne teorie. O wiele bardziej niż wszyscy pozostali razem wzięci. A może pracowała głównie dla pochwał? Stwierdził, że będzie musiał przy okazji zapytać o to Hrabiankę.

Ale już tego samego przedpołudnia oba wątki zostały satysfakcjonująco wyjaśnione. Na torbie i rzeczach Nielsena nie znaleziono żadnych odciśnięć palców należących do podejrzanych, a jeżeli śmierć Malmborga została zaaranżowana, to tego typu ustawka nie mogłaby się obyć bez przemęczonego kierowcę tira i dwóch przewróconych latarni. Simonsen poszedł do domu, a potem pobiegać.

Anna Mia już czekała w sportowym stroju i znakomitym humorze. Pogoda wydawała się idealna: było chłodno, ale nie przeraźliwie zimno, poza tym bezwietrznie, padała tylko mżawka, która działała orzeźwiająco podczas przebieżki. To był dzień, w którym po raz pierwszy zamierzał przebiec całą trasę od początku do końca, dzień tryumfu, bo był pewien, że jest na to gotowy, i tą chwilę chciał celebrować ze swoją córką.

Pobiegli. Ona mówiła, on oszczędzał oddech.

– To miłe z twojej strony, że mnie ze sobą zabrałeś. Ile ci jeszcze brakuje? Chodzi mi o to, żebyś przebiegł całą trasę.

Pokazał niewielką odległość pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Zrozumiała aluzję i przestała do niego mówić. Wytrzymała sto metrów, a potem ponownie zagaiła:

– Wiesz, nie musisz mi odpowiadać, ale uważam, że to świetnie, że udało ci się znaleźć tę dziewczynę.

– Dziękuję.

– No, a teraz wszyscy twierdzą, że z pewnością wyjaśnisz też sprawę listonosza.

– Aha.

– Ale to głupie. Przecież nie jesteś cudotwórcą.

– No nie.

Zaczął się pocić, a przyjemne uczucie kontrolowanej ucieczki, od którego stopniowo się uzależniał, zaczęło się rozlewać po jego ciele i umyśle. W milczeniu przebiegli kolejną willową uliczkę, a chwilę potem, po raz trzeci, udało mu się dobiec do oznakowania oznaczającego połowę trasy. Niedługo później pojawił się ból i zaczęły go palić płuca.

– Jak ci idzie? Dasz radę? – zapytała Anna Mia.

Nie odpowiedział, a ona potraktowała jego reakcję jako zachętę do rozmowy:

– Jeżeli nie uda ci się wyjaśnić sprawy zabójstwa listonosza, to trudno. Nie musisz starać się sprostac temu choremu wizerunkowi, który wykreowali inni ludzie. No, został ci jeszcze kilometr, najwyżej dwa – ależ nam dobrze idzie.

Trudno mu było zebrać myśli. Słowo „kilometr” powinno się wyrzucić ze słownika, a zakaz bicia własnych dzieci nie został do końca przemyślany. Jednak o niczym innym nie potrafił już myśleć i brakowało mu tchu. Udręczony przebiegł kolejną uliczkę, skręcił w lewo i zrozumiał, że jeżeli teraz uniesie wzrok, żeby zobaczyć, ile mu jeszcze zostało, to natychmiast się zatrzyma. Wtedy dostrzegł samochód. Jechał wolno, po przeciwległym pasie ruchu, a on miał sporo czasu, żeby mu się przyjrzeć: wartburg cabrio z 1969 roku, oczywiście odrestaurowany. Simonsen stanął.

* * *

– Rito, skup się.

Wstali wcześniej i zaczęli na placu Ratuszowym, gdzie znalazł ławeczkę na przystanku wychodzącym na Vester Voldgade. To było dobre miejsce do ćwiczeń. Ona nie znała się na markach samochodów, on miał wszystkie w małym palcu, a musiał ją nauczyć rozpoznawać tylko jedną, co i tak okazało się niezwykle trudne. Zwłaszcza że nie chciał jej wytłumaczyć, w jakim celu to robili. Zapytała go o to ostrożnie i pokornym tonem, jak zresztą o wszystko w tym tygodniu.

– Konradzie, ale dlaczego mam się tego uczyć? Nie interesują mnie samochody.

Odburknął jej. Taki był plan i skoro potrafiła podróżować przez pół Europy, żeby dostarczyć pieniądze podejrzanym ludziom, nie wiedząc, nawet w jakim celu, to teraz mogła się nauczyć rozpoznawać jedną markę samochodu, skoro ją o to poprosił. Mógł jeszcze dodać, że to zadanie przynajmniej nie prowadziło do śmierci niewinnych ludzi, ale sobie darował. Posłuchała go i próbowała się skupić na porannym ruchu ulicznym, ale wyraźnie było widać, że jej brak wiedzy hamuje motywację. Była nieprawdopodobnie kiepska, co chwilę się myliła, wskazując niekiedy marki takie jak datsuna czy chryslera, które kompletnie nie przypominały wartburga cabrio. Z rezygnacją wzniosł ramiona w stronę pomnika dwóch grajków z lurami.

– Staram się, jak mogę – zapewniła głosem małej dziewczynki.

Spróbowała ponownie i tym razem po raz pierwszy wytypowała poprawnie. Pochwalił ją, powiedział, że jest w tym całkiem niezła i że teraz już powinno się udać. Jednak nie zauważyła dwóch kolejnych wartburgów. Co prawda przeznaczył cały dzień na ten projekt, ale teraz naszły go wątpliwości, czy to wystarczy. Mimo to z czasem szło jej coraz lepiej i przed południem typowała całkiem dobrze. Zapytał, czy już się spakowała i uporządkowała swoje sprawy. Okazało się, że tak, wszystko było gotowe. Zaczęła mu wyjaśniać, że jutro zamierza się spotkać ze starymi przyjaciółmi. Mieli się zobaczyć w parku Kongens Have i miała nadzieję, że on też dotrze. A kolejnego dnia wylatywała boeingiem 747 z Kopenhagi do Nowego Jorku. Mówiąc to, wskazała na przejeżdżającego wartburga cabrio. Wszystko czekało zapakowane i przygotowane: walizki, bilet lotniczy, paszport, wiza – wszystko z wyjątkiem pieniędzy.

– Będę za tobą tęsknić. – Zabrzmiiała szczerze.

Powiedział jej, że jeszcze nigdy nie spotkał takiej dziewczyny jak ona. W całym swoim życiu... Dzisiaj to wydawało się śmieszne, dobry Boże, miał wtedy nie więcej niż dwadzieścia parę lat.

– A ty przyjedziesz do mnie w odwiedziny. – Próbowała zabrzmieć optymistycznie. – Obiecujesz?

Naturalnie, że tak. Oczywiście, mogła na to liczyć.

Wydawał się mniej poruszony tym wyjazdem niż ona. Gdzieś w głębi duszy odczuwał nawet pewną ulgę, a jednocześnie czuł, że ją kocha. I do tego wystarczająco mocno, aby móc znieść myśl o tym, że mogła pójść na dno w USA – bez środków do życia... bez pieniędzy.

Mimo to nawet przez chwilę nie zwątpił w swój projekt. A na dodatek jego plan był mało ryzykowny, łatwy i prosty, chociaż akurat on, jak mało kto, wiedział, że duńskie więzienia wypełnione są ludźmi, którzy sądzili, że ich przestępstwa są łatwe i proste.

Próba generalna odbyła na parkingu przy stacji Nørreport i uliczkach na tyłach Grøntorvet w stronę Nansensgade, po których jeździli rowerami. Rita bez wahania wskazała cztery mijające ich wartburgi cabrio.

Jej chrzest bojowy przypadł na kolejny dzień. Stali przed budką telefoniczną znajdującą się na końcu pewnej sennej kopenhaskiej uliczki. Była zamknięta dla ruchu, więc nie mogli wybrać lepiej. Zapamiętał, że widać było jedynie pojedyncze osoby z zakupami i bawiące się dzieci, poza tym żadnego ruchu.

Gdy zbliżył się do nich samochód, a potem ich minął, wydał jej jasne polecenie. Wskazał dyskretnie na pojazd i powiedział:

– Zostań w budce! Jak zobaczysz czerwonego wartburga cabrio skręcającego w tę uliczkę, zadzwoń. Odczekaj trzy sygnały, odłóż słuchawkę i idź do domu.

Wszedł do budki, wrzucił dziesięć øre do szczeliny na monety, dwukrotnie połączył się z jakimś numerem i poczekał do ostatniego sygnału. Nikt nie odebrał. Odłożył słuchawkę i ponownie ją poinstruował:

– Podaj mi numer telefonu.

Zrobiła to.

– Jeszcze raz.

Z tym samym rezultatem. Wtedy powtórzył:

– Czerwony wartburg cabrio i dzwonisz pod ten numer. Czekasz trzy sygnały, odkładasz słuchawkę i idziesz do domu.

Powiedział to ponownie, on powtórzyła, potem jeszcze raz on i znowu ona. Potem sobie poszedł.

Trzydzieści pięć lat później, na willowej uliczce w Søllerød, przyjął swoją porażkę ze spokojem. Jego płuca tłoczyły powietrze niczym miechy, aby dostarczyć tlenu jego wyczerpanemu ciału. Głowa zwisała mu między nogami, gdy opierał się rękoma o uda, jednak jego psychika miała się całkiem dobrze.

– Tato, wszystko w porządku, próbowałeś z całych sił, a za parę tygodni dopniesz swego i przebiegniesz całą trasę, nie ma co do tego wątpliwości.

– Anna Mia podtrzymywała ojca na duchu. – Dałeś z siebie wszystko i nikt nie powinien wymagać więcej. Dojdiesz do formy, uwierz w to.

Mimo że bolało go całe ciało, zdecydował się ruszyć do domu biegiem.

* * *

W sobotę, 15 listopada 2008 roku w piękny, kolorowy późnojesienny dzień Dania żegnała Lucy Selmę Davison. To był dla Simonsena trudny dzień.

Hrabianka próbowała go wspierać i pomogła dobrać odpowiedni strój. Sprezentowała mu garnitur, który teraz miał włożyć po raz pierwszy. Pewnego razu wyciągnęła Simonsena do krawca w śródmieściu, którego ekskluzywna pracownia przypominała wystawę w Muzeum Rzemiosła Artystycznego. Wewnątrz starszy mężczyzna zdjął z Simonsena miarę, kłując go przy tym swoim sztywnym palcem w brzuch i sprawiając, że poczuł się jak manekin. Inspektor musiał go odwiedzić jeszcze trzy razy w ramach przymiarek, zanim Hrabianka i krawiec poczuli się usatysfakcjonowani. Jego nikt nie zapytał o zdanie, nie pozwolono mu też zobaczyć rachunku. Teraz jednak był zadowolony z tego wysiłku. Mógłby też założyć mundur, który teraz z pewnością lepiej by na nim leżał, po tym, jak pozbył się sporej warstwy tłuszczu.

– Jesteś pewna, że kwiaty będą na miejscu?

– Tak, jestem pewna. Całkowicie.

– Przecież jej nie znałem.

– To przecież nie wyklucza kwiatów.

– Myślisz, że ktoś jeszcze przyjdzie z kwiatami?

– Nie.

– Czy to nie będzie głupio wyglądać?

– Nie.

Komendantka i jakiś małomówny mężczyzna z Ministerstwa Spraw Zagranicznych przyszli, w przeciwieństwie do Simonsena, w sprawach czysto służbowych. Niedawno wynik testu DNA dziewczyny i jej rodziców jednoznacznie potwierdził jej tożsamość.

Margaret i George Davisonowie mimo sędziwego wieku uparli się, żeby przyjechać do Kopenhagi i towarzyszyć córce w drodze do domu. Duński rząd szybko wysłał zaproszenie i zorganizował trumnę. Karawan dotarł do samolotu.

– To naprawdę miło z twojej strony, że przyniosłeś kwiaty – skomentowała komendantka.

Simonsenowi wcale nie było miło, czuł się raczej zdenerwowany, między innymi z powodu swojego kiepskiego angielskiego i obaw, że nie nadąży za liverpoolskim dialektem.

– Jeśli jej rodzice coś do mnie powiedzą, będziesz mi to musiała przetłumaczyć.

– Oczywiście, Simonie.

– Albo odpowiedzieć za mnie.

Mężczyzna z Ministerstwa Spraw Zagranicznych rzucił w przestrzeń:

– Witamy w Danii, królestwie błyskotliwych policjantów.

– Daruj sobie tę arogancję – warknęła komendantka. Po chwili zwróciła się do Simonsena: – Powinieneś złożyć wiązanekę na trumnie.

Pozostali pasażerowie zbliżyli się do samolotu, kapitan stanął obok komendantki, a drugi pilot zaczął wpuszczać gości do środka. Niedługo potem podjechał samochód z rodzicami Lucy Davison. Ojciec sprawiał wrażenie zniedołężniałego i niewidomego, matka, choć zgrabiona, wydawała się nieco zwawsza. Simonsen przywitał się, złożył kondolencje, a potem cofnął o kilka kroków, mając nadzieję, że wkrótce będzie po wszystkim. Jednak to, co trwało zaledwie kilka minut, wydawało się wiecznością, a zrobiło się jeszcze gorzej, gdy komendantka przyprowadziła do niego Margaret Davison.

– Nie musisz nic mówić, Simonie. Tylko jej wysłuchaj.

Starsza kobieta przez dłuższą chwilę przyglądała się mu wodnistymi oczami, trzymając jego dłoń w swoich powykrzywianych palcach. W pewnym momencie odezwała się cichym głosem:

– *God bless you, Mr. Simonsen, God bless you*!

Wszyscy towarzyszyli Lucy Davison w tej krótkiej drodze od karawanu do taśmy transportowej. Gdy wyjęto trumnę, Simonsen z z troskaniem przyjrzał się pochylni. Czy jej kości spadną teraz w głąb trumny, czy też technicy medycyny sądowej spakowali jej szczątki do foliowego worka? Nie wiedział tego i przez kilka pełnych napięcia sekund spodziewał się szeleszczącego dźwięku, który na szczęście nie rozbrzmiał. W drodze do ładowni samolotu wiązanka od Simonsena zaczęła się ślizgać po trumnie. Przesuwała się to w górę, to w dół, jakby nie mogła się zdecydować, czy wyjechać do Anglii, czy zostać w Danii. Pomyślał, że trumna jest o wiele za lekka.

Odebrała go Hrabianka. Początkowo niewiele się odzywał. Nagle zaczął wracać myślami do Pauline Berg i ogarnęło go uczucie, jakby był bliiski uchwycenia jakiegoś związku, jakiejś oczywistej prawdy, podobnie jak miało to miejsce kilka dni temu. Poczul się niczym matematyk, który nagle przeczuwa rozwiązanie problemu, chociaż jeszcze wszystkiego nie przeliczył.

– Czy coś się stało? – zapytała Hrabianka. – Wydajesz się jeszcze bardziej nieobecny niż zwykle. Takie to było trudne?

– Nie, to sprawa Jørgena Kramera Nielsena nie daje mi spokoju – odparł z westchnieniem.

– Nie zawsze będziesz odnosił sukcesy, takie jest życie i powinienes o tym wiedzieć.

– Jasne, zdaję sobie z tego sprawę. To dziwne, jak nagle wszyscy zaczęli mnie pouczać, tłumaczyć mi, że nie da się osiągnąć wszystkiego, choć doskonale o tym wiem.

– Wszyscy – czyli kto jeszcze oprócz mnie?

– Anna Mia wczoraj podczas przebieżki.

– Ach tak. No wiesz, Simonie, Anna Mia jest twoja córką. Nie zalicza się do wszystkich...

– Przepraszam, niezręcznie to zabrzmiało – przerwał jej poirytowany.

– Przeprasiny przyjęte. A o co chodzi z Nielsenem? Przeszkadza ci, że nikt się z tobą nie zgadza w tej sprawie? Zazwyczaj nie bardzo się czymś takim przejmowałaś.

– Nie, oczywiście, że nie. Rozstrzygnięcie tego sporu jest oczywiste: ja mam rację, a wy się mylicie. Chodzi o coś innego. Trochę meczą mnie wyrzuty sumienia. Dopóki sprawa dotyczyła Lucy Davison, angażowałem się w każdej sekundzie, niekiedy może nawet za bardzo, ale teraz, gdy chodzi tylko o Nielsena... No widzisz, znowu pojawia się to „tylko”. To słowo bardzo dobrze oddaje, o co mi chodzi. Nielsen po raz kolejny zostaje nieudacznikiem. Przez całe jego dorosłe życie pies z kulawą nogą się nim nie interesował, a teraz, po jego śmierci... no tak, prawda jest taka, że nie chce mi się szukać jego zabójcy. I muszę się w tej sprawie cofnąć do początku, do samego początku, a potem pójść swoim własnym tropem.

– A czy przypadkiem niedawno nie twierdziłeś, że jesteś przekonany o związku między wydarzeniami w Esbjerg i Hvidovre? A wszyscy, którzy uważają inaczej, to durnie?

– Oczywiście, że istnieje związek, co nie oznacza, że na pewno go znajdzie. A jeżeli chodzi o durniów, to nigdy tego nie powiedziałem.

– Tak, oczywiście, że nie. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Tylko emanujesz tak irytującą pewnością siebie, że to działa prowokująco.

– To przecież nie moja wina, że mam rację.

Przejechali kawałek drogi w milczeniu, a potem zapytał:

– Czy to kłótnia?

– Nie, ale gdy wrócimy do domu, pójdziesz pobiegać.

To był dobry pomysł.

* * *

W niedzielę wieczorem wybrał się do Valby i pomyślał, że po raz ostatni prześpi się we własnym łóżku. Mimo wszystko mieszkał tu ponad dwa-

dzieścia lat. Ale gdy przestąpił próg mieszkania, nie czuł się już tutaj jak u siebie. Krążył po salonie jak jakiś obcy, zastanawiając się, jakie meble powinien stąd zabrać, a jakich się pozbyć. Nie bardzo mu się to udawało, bo gdy tylko zaczynał to rozważać, w głowie zaraz pojawiały się inne skojarzenia. Myśli o Berg nie chciały go opuścić, aż w końcu zaklął w duchu. Poczł, jakby w przypadku Lucy i Rity dotarł do końca drogi, chyba można było tak to ująć, a tym samym zrobiło się miejsce dla niej. Spróbował się skupić na kredensie, starym rupieciu, dziedziczonym w rodzinie od czasów prababci. Otworzył drzwiczki i popadł w zadumę, z obrazem pięknej, nieco chmurnej twarzy Berg z tyłu głowy.

Zasnąć też nie mógł. Poddał się kwadrans po pierwszej, wstał i się ubrał. Założył czapkę, szalik i ciepłą kurtkę przeciwdeszczową. Było diabelsko zimno, choć bezwietrznie, a zimno szczypało go w policzki i gdy wyszedł z budynku, aż się wzdrygnął. Wolno spacerował po pustych uliczkach i nagle poczuł się dobrze ze swoimi myślami. W półmroku budynki o różnych fasadach sprawiały wrażenie anonimowych i łudząco do siebie podobnych, a on z przyjemnością wtopił się w ten obraz. Z jednej z tych skromniejszych knajp rozległ się śpiew, ale nie pijacki, jak można by przypuszczać, tylko stosunkowo przyjemny bas w akompaniamencie nieco niedostrojonego pianina. Gdy mijał lokal, z ciekawością zerknął do środka, ale niczego nie dostrzegł, a po chwili śpiew umilkł i znowu zaległa cisza. Spacer okazał się długi.

W drodze powrotnej, w jednej z bocznych uliczek wychodzących na Pile Allé, był świadkiem pewnego incydentu. Trzy metry przed nim otworzyła się brama i dozorca w szarym roboczym stroju wypchnął brutalnie jakiegoś szczupłego mężczyznę, dwukrotnie od niego mniejszego, na chodnik, a potem na ulicę, wrzeszcząc na niego i trzymając go za kołnierz, jakby jeszcze go poganiał. Simonsen poszedł za nimi. Dozorca puścił mężczyznę na schodach po drugiej stronie ulicy. Ten się przewrócił, najprawdopodobniej otumaniony alkoholem.

– Co się tutaj dzieje? Przecież nie możesz go tu zostawić w taką pogodę.

Dozorca się nadał. On też może jeszcze zarobić w łeb, jeżeli będzie stwarzał problemy. Simonsen pokazał mu swoją policyjną odznakę, ale fa-

ceta mimo to aż świerzbilo, żeby mu przyłożyć. Najwyraźniej należał do takich, których ponoszą emocje.

– Tylko spróbuj, a załatwię ci dach nad głową na koszt państwa na kolejne trzy miesiące – ostrzegł inspektor. – A do tego za chwilę zaliczysz glebę.

Mężczyzna się opanował i warknął:

– Zszedłem na dół do pieca, bo to dziadostwo znowu się popsuło. Leżał tam na schodach do piwnicy, ci pieprzeni bezdomni wszędzie się wciśkają. Nie zamierzam mu zapewniać lokum. Jeżeli wyzionie ducha na mojej posesji, będę miał całe mnóstwo problemów. Już kilka razy przez to przechodziłem.

– Zwijaj się stąd, zanim cię aresztuję za narażanie życia innych ludzi.

Dozorca zniknął, a Simonsen spojrział na bezdomnego. Margines społeczny, ktoś obojętny i zbędny. Mężczyzna był cienko ubrany, więc inspektor zdjął kurtkę i go nakrył, a potem zadzwonił po radiowóz.

Doskonale znał statystyki – coraz więcej ludzi lądowało na ulicy, bo nie stać ich było na czynsz. Tylko w ciągu ostatnich pięciu lat ich liczba prawie się podwoiła. A nadchodzący kryzys finansowy bez wątpienia poskutkuje jeszcze większym wykluczeniem. Westchnął i cofnął się o krok. Mężczyzna cuchnął.

I nagle, lotem błyskawicy wszystko trafiło na swoje miejsce.

„Z korzyścią dla kogo?” – takie pytanie zadała i to dlatego wciąż o niej myślał. Nie dlatego, że łączył ją z tymi innymi kobietami, ale dlatego, że o to spytała, właśnie dlatego. *Cui bono?* „Z korzyścią dla kogo?” – najstarszy na świecie punkt wyjścia dla śledztwa. Dziękuję, droga Pauline, dziękuję.

Radiowóz dotarł szybko. Poprosił funkcjonariuszy, aby najpierw odwieźli go do komendy. To było głupie, bo powrót do domu, żeby zabrać samochód, zająłby mu nie więcej niż kwadrans. Jednak jego sprawa okazała się zbyt ekscytująca, żeby miała czekać aż piętnaście minut. Koledzy otworzyli szyby w samochodzie i wsunęli śpiącego włóczęgę na tylne siedzenie. Jeden z nich zapytał Simonsena, czy to jego kurtka. Potwierdził.

– Mamy w bagażniku reklamówki, możemy panu jedną dać.

Chodziło o to, żeby umożliwić inspektorowi oddanie kurtki do pralni, ale Simonsen uznał, że to zbędne, skoro nie nosił jej od roku.

– Nie, niech ją zatrzyma.

Dotarł do komendy, szybkim krokiem przemierzył budynek, kierując się do swojego biura. Otworzył drzwi kluczem, włączył światło i po chwili odnalazł teczkę, której szukał. Przekartkował jej zawartość i znalazł wydruk, o który mu chodziło. Przeczytał kilka linijek, a potem na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Cui bono?

* * *

Następnego dnia Simonsen przyszedł do pracy dopiero późnym przedpołudniem. Zebrał wszystkie tečky dotyczące sprawy listonosza i ustawił je na parapacie. Naliczył ich dziewiętnaście, akurat się zmieściły. Pomyślał, że niezależnie od tego, jakie działania prowadził wydział zabójstw, to papier zawsze dawał pewny rezultat. Potem zaczął krążyć po pomieszczeniu – wolno, powłócząc nogami – i w doskonałym nastroju spoglądał to w sufit, to w podłogę.

Godzinę później do jego biura weszła Pauline Berg. Siedział wtedy na swoim biurku ze zszywaczem w dłoni i strzelał do filiżanki, którą ustawił na podłodze. Wszędzie wałały się zszywki.

Rozejrzała się sceptycznie.

– Co ty wyprawiasz?

– Pracuję.

Oddał kolejny strzał i trafił obok filiżanki.

– Cały dowcip polega na tym, żeby znaleźć odpowiedni kąt, a potem naciskać powoli, żeby nie było wiadomo, kiedy padnie strzał. To ostatnie jest powszechnie znaną starą prawdą, a to pierwsze można sobie dopowiedzieć, ale ważne są jeszcze dwie sprawy. Wiesz jakie? – Strzelił ponownie i trafił prosto do celu. – To dwudzieste szóste trafienie na sto szesnaście, więc coś z tego muszę robić w miarę prawidłowo. No, co na to powiesz?

– Że Arne bardzo potrzebuje twojej pomocy przy redagowaniu notatki.

– Notatki, łał – brzmi poważnie, a dlaczego sam nie przyszedł?

– Bo siedzi i się nad nią biedzi, dlatego.

– Ja też jestem zajęty, sama zobacz. – Ponownie trafił do filiżanki. – Upór i szczęście. Te dwie ostatnie sprawy to upór i szczęście.

– To przyjdiesz czy nie?

– Przyjdem, przyjdem. Słuchaj, a nie mogłabyś mi załatwić kilku pudełek amunicji z magazynu, gdy będę z Arnem szlifował tę jego ważną notatkę?

– Mówisz poważnie?

– Nie, ale może udałoby ci się dotrzeć do adresu tej twojej nerwowej koleżanki, która ukradła telefon Jørgena Kramera Nielsena, choć w zasadzie go nie ukradła. Bardzo mi zależy, żeby się z nią skontaktować.

– Jej prywatny adres?

– Nie, to już byłaby przesada, wystarczy mail.

– Dlaczego nie zadzwonisz?

– Mail będzie lepszy, bo będzie się mogła spokojnie zastanowić nad odpowiedzią. Nie będzie się denerwowała, że ją ścigam z powodu tego telefonu.

Odłożył swoją broń i poszedł za Berg. Sprawiała wrażenie, jakby była w dobrym humorze – w dobrym okresie – jakby zapewne sama to ujęła, więc gdy znaleźli się na korytarzu, zapytał:

– Nie miałabyś ochoty posprzątać tych rzeczy z podłogi?

– W twoich snach.

– To trzeba będzie potem biegać slalomem między nimi. A zresztą i tak muszę sobie znaleźć zabawniejsze zajęcie niż strzelanie do filiżanek.

– A to zupełnie co innego.

Pedersen siedział w swoim biurze przed komputerem, tempo wpatrując się przed siebie. Simonsen klepnął go w ramię.

– Uszy do góry, przyjacielu, przecież ci pomogę. Dobry Boże, to tylko jedna notatka, dwóch dorosłych facetów powinno siebie z nią poradzić.

Pedersen się ocknął i powiedział:

– Nigdy nie pracowałem przy sprawie, która wymagałaby tyle papierkowej roboty co ta strzelanina w szkole. Bieg tych wydarzeń został dość szybko wyjaśniony, a to już chyba piąty raport, w którym piszę o tym, co należy zrobić, żeby sytuacja się nie powtórzyła. Chociaż prawda jest nieestetyka, że niewiele możemy zrobić, ale tego przecież nie napiszę.

Simonsen się z nim zgodził. Zapobieganie strzelaninom w szkołach to z oczywistych powodów nie było zadanie wydziału zabójstw.

– Nie chodzi wcale o tę notatkę, chociaż rzeczywiście utknąłem i świetnie, że chcesz mi pomóc – ciągnął smutnym tonem Pedersen. – Jednak siedzę tu i zastanawiam się nad jedną sprawą.

– No mów, mów, przyjacielu. Mam mnóstwo czasu.

– Gdy kręciłem się po sali lekcyjnej w szkole przy Marmorgade, po tym, jak zabrali te trzy ciała, na podłodze znajdowało się mnóstwo odłamków szkła po tym strzale w okno. Gdy się tam poruszałem, chrzęściły pod podszewami.

– Chrzęst pod podszewami, rozumiem. Jestem sobie w stanie to wyobrazić. To znaczy te chrzęszczące odłamki podczas twoich oględzin.

– Krążyłem tam przez dłuższy czas i zastanawiałem się nad tym, jak groźne mogą okazać się konsekwencje zastraszania czy wykluczenia wśród dzieci i młodzieży, jak głęboko potrafią wryć się w duszę ofiary i do jakich katastrofalnych skutków mogą prowadzić. Bo przecież, gdzieś w głębi duszy doskonale zdawałem sobie sprawę, że Robert Steen Hertz został wykluczony z powodu swojego wyglądu. A teraz ta sprawa z Esbjerg – gdyby koledzy z klasy okazali Sercom chociaż minimum zainteresowania, to ta Angielka nigdy nie straciłaby życia.

Simonsen po raz kolejny przyznał mu rację. To było błyskotliwe, poczające porównanie, z pewnością warte namysłu. Pedersen zerknął na niego podejrzliwie, ale nie doszukał się ironii.

Mimo to zdecydował się porzucić ten temat i zacząć wyjaśnić sprawę notatki.

Dobry humor, który nie opuszczał Simonsena przez ostatnie dni, towarzyszył mu również w domu, gdzie zdecydował się wyłożyć Hrabiance i swojej córce, jak ważne są upór i szczęście. W wyczerpujący i bardzo pedagogiczny sposób, jak sam mniemał.

– Ach, szkoda, że nie odziedziczyłam twojego genialnego umysłu, tato. Ale do jakich wniosków doszedłeś w sprawie listonosza? Jeżeli do jakichś doszedłeś.

Hrabianka skomentowała. Oczywiście, że do czegoś doszedł. Od trzech dni wydawał się odprężony i nie było dla niego rzeczy niemożliwych.

– Powiedz mi, gdzie ty właściwie dzisiaj byłeś? – spytała. – Ostatnią osobą, która cię widziała w komendzie, była Pauline. Wtedy podobno siedziałeś w biurze i bawiłeś się zszywkami. I byłeś w równie euforycznym nastroju jak teraz.

– W Instytucie Medycyny Sądowej u Kurta Melsinga przez większość dnia, zresztą jutro rano też się tam wybieram. To niezwykle pouczające, bo mają tam zdolnych ludzi, więc pewnie wystarczyłaby połowa tego czasu. Wyobraźcie sobie, że dysponują tam urządzeniem, do którego można wrzucić dowolną substancję, a potem szast-prast i voilà! – maszyna informuje, z czego ta substancja się składa. Nazywają ją chromatograf... reszty nie pamiętam, ale gdy włożymy tam na przykład gumkę do mazania, wtedy to ich ustrojstwo wypluje całą masę skomplikowanych wykresów, jednak nie należy za bardzo panikować, bo one wszystkie mają zupełnie zwyczajne nazwy numeryczne, takie jak wodorotlenek jeden przeciwiek dwa-xyd-trifenol czy coś w tym stylu. W każdym razie potem te nazwy zostaną wrzucone do komputera, następuje magiczna chwila: dzyń-dzyń i sprzęt pokazuje, że chodzi o gumkę do mazania. A cała aparatura jest do nabycia za nieco poniżej miliona.

– Okej, rozumiem, że na razie nie chcesz o tym mówić, ale zdradź przynajmniej, kiedy dowiemy się czegoś więcej.

– Tak, tato, ja też jestem tego bardzo ciekawa.

– Cierpliwości, moje panie, cierpliwości. Ten, kto potrafi czekać, doczeka się wszystkiego, aż w końcu, jak powiadają, będzie mógł zostać nawet królową Szwecji. Jest was co prawda dwie, ale Szwecja to przecież

duży kraj. Duży, piękny kraj. Wystarczy miejsca dla was obu. Jedna może dostać północną część, a druga południową, a od czasu do czasu będziecie się mogły zamienić.

Anna Mia się poddała.

– A ty możesz zostać Królem Palantem, wtedy znajdę sobie innego ojca. Chodź Natalie, idziemy, on na nas nie zasługuje.

* * *

Plotka szybko obiegała Komendę Główną. Konrad Simonsen rozwiązał sprawę zabójstwa listonosza. Wszyscy wiedzieli to od kogoś, a ten ktoś z kolei słyszał to od osoby będącej stuprocentowo wiarygodnym źródłem. Jeszcze parę miesięcy temu nie było żywej duszy, która interesowałaby się śmiercią Jørgena Kramera Nielsena, a teraz wszyscy popadli w drugą skrajność. Hrabianka ledwo mogła pracować. Do jej biura co chwilę ktoś wpadał pod pretekstem, który bez trudu mógłby zająć pierwsze miejsce w konkursie głupoty, i wszyscy, skoro już się tam znaleźli, chcieli usłyszeć najnowsze wieści w sprawie z Hvidovre. W końcu musiała nakleić na drzwiach kartkę ze zwięzłą informacją, że nic w tej sprawie nie wie. Gdy nawet to nie pomogło, po prostu poszła do domu. Nawet komendantka zajrzała do biura Simonsena, tak tylko, żeby zapytać o jego samopoczucie, ale i ona nadawała się na królową Szwecji, kraju najwyraźniej coraz bardziej rozczłonkowanego.

– Możesz mi obiecać, że będą pierwszą osobą, którą poinformujesz, gdy już uznasz, że jesteś gotowy? – spytała.

– Przysięgam na wszystkie świętości.

– Bo wiesz, nie chodzi o to, że... zazwyczaj nie muszę być na bieżąco z takimi sprawami, ale w całej Komendzie Główniej nie mówi o niczym innym... i ... no tak, znasz to przecież od podszewki.

– Jak swoją własną kieszeń – odparł Simonsen, nie mając pojęcia, o czym mówi komendantka.

Tego samego wieczoru Simonsen zwołał zebranie na ósmą rano następnego dnia. Informował o tym dość późno, a spotkanie miało się odbyć dość wcześnie, jednak uznał, że w takim razie wszystko się jakoś równoważy. Przybyli wszyscy, na dodatek punktualnie. On sam dotarł parę minut po czasie i przyniósł ze sobą spory koszyk z wypiekami oraz torebkę obranych marchewek.

Stanął pośrodku pomieszczenia, pełen zapału, niczym jakiś kaznodzieja.

– To naprawdę miło z waszej strony, że wszyscy przyszliście. Jak zapewne wiecie, po zawale musiałem drastycznie zmienić swoje życie i w związku z tym zacząłem codziennie biegać. Kiedy po raz pierwszy przeszedłem zaplanowaną trasę – tak, przeszedłem w dosłownym tego słowa znaczeniu...

Poświęcił dziesięć minut, aby im opowiedzieć o swoim tryumfie: wczoraj po raz pierwszy udało mu się przebiec całą trasę! Na koniec poczęstował ich drożdżówkami i ekologicznymi marchewkami.

Upłynęło trochę czasu, zanim zebrali się na odwagę.

– To wszystko? – spytał Arnold. – Nie masz dla nas nic więcej?

– No tak, nie obchodzę żadnego jubileuszu, więc to dość skromne spotkanie, ale mam też gdzieś jeszcze paczkę rodzynek, jeżeli jesteś bardzo rozczarowany.

Towarzystwo powoli się rozchodziło, żeby nie narażać się na kolejne żarty. W drodze do swoich biur spotkali wściekłą komendantkę. Pedersen zatrzymał ją i wszystko jej wytłumaczył, a Simonsen zaproponował jej marchewkę.

Kolejnego dnia żarty się skończyły. Wszyscy zebrali się kolejny raz, świadomi tego, że wczorajszy kawał już się nie powtórzy, chociażby z tego powodu, że ich szef zachowywał się dużo poważniej niż poprzedniego dnia. Zaczął od rozdania materiałów. Plik wydawał się dość gruby, a po powierzchownym przeglądaniu można było dojść do wniosku, że to niezbyt przystępna lektura.

– Simonie, co to jest? Jakaś rozprawa z fizyki czy co? – spytała Hrabianka, marszcząc brwi. – Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Kto to zrozumie?

Zignorował jej pytanie i zaczął oficjalnie:

– Przede wszystkim chciałbym podziękować za wasze zaangażowanie w tę sprawę. Wszyscy pracowaliście ciężko i rzetelnie. Niekiedy nawet na przekór mnie albo przeze mnie, za co chciałbym serdecznie przeprosić. A teraz parę słów o materiałach. Owszem, jest w nich sporo symboli, ale Melsing uznał, że to niezwykle ważne, aby tym razem wniosek był do bólu poprawny, co niestety wpłynęło nieco na jego zrozumiałość.

– Nieco, powiadasz. Przecież to czysty bełkot – skomentowała sceptycznie Pauline Berg.

– Wcale nie. Zawiera elementy matematyki, mechaniki oraz anatomii i fizjologii. Można by rzec, że to Newton i Hipokrates, ale może powinniśmy zacząć od wniosków, bo one mimo wszystko wydają się najistotniejsze. – Przekartkował materiały i zacytował: – „To oznacza, że o ile szacunkowe założenia i zarejestrowane wyniki pomiarów zastosowane w obliczeniach są prawidłowe, o tyle usytuowanie ciała denata na dole schodów z najwyższym prawdopodobieństwem stanowi wynik zwykłego wypadku”.

– Czy to oznacza, że Jørgen Kramer Nielsen jednak po prostu się potknął? – zapytała zdumiona Hrabianka.

– Jørgen Kramer Nielsen się potknął i złamał kark, spadając ze schodów. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– bezmyślny idiota – wtrącił Pedersen.

– Spokojnie, spokojnie, przecież facet nie jest winny temu, że nie został zamordowany.

– Nie on. Hans Ulrik Gormsen i jego głupkowata teściowa.

– No tak. Pamiętajcie jednak, że śledztwo przyniosło parę innych pozytywnych rezultatów, więc nasza praca na pewno nie poszła na marne. Może spróbuję teraz omówić raport, tak z grubsza, żebyście poznali całą koncepcję. No więc to Melsing osobiście go opracował i podzielił upadek na jedenaście etapów, z czego każdy został udokumentowany rysunkiem i cyklem równań, wykorzystanym jako narzędzie do obliczenia odpowied-

niego rozkładu sił. Te niebieskie strzałki to wektory prędkości dla wyróżnionych części ciała, czyli zwykła geometria przestrzenna, z klatką schodową jako układem współrzędnych. Poza tym wszystkie części ciała Nielsena, dla których przeprowadzono obliczenia, znajdują się w załączniku szóstym.

Pedersen się poddał i zamknął raport. Arnold jeszcze próbował nadążyć:

– A co to za mnóstwo liczb, na górze, nad każdym... jak to nazwałeś, cyklem równań? Chodzi mi o te długie ciągi w nawiasach klamrowych.

– Spozrzegawczy jesteś, Klavs. One są najważniejsze. To zestawienie oszacowanych lub analitycznie zmierzonych wartości parametrów, a z jakimi wartościami są połączone te parametry w danym momencie, możesz sprawdzić w załącznikach od czwartego do jedenastego. Tak dla przykładu – współczynnik tarcia kinetycznego między chodnikiem a denatem został określony jako jeden i dwie dziesiąte, z marginesem błędu wynoszącym osiem dziesiątych procenta. Oczywiście przy osiemnastu stopniach Celsjusza.

– Bardzo przepraszam, ale brzmi to jak jakaś przykrywka. – Hrabianka sprawiała wrażenie podejrzliwej.

– Bo tak jest. Wnioski są prawidłowe, oparte na określonych założeniach, ale Melsing chciał też... ochronić swojego asystenta, który niestety błędnie użył aplikacji i spowodował to wszystko, co się potem zadziało. Po jakimś czasie Melsing osobiście przeszedł szkolenie z obsługi programu i nauczył się go obsługiwać w tak zwanym trybie inżynierii odwrotnej. Podczas gdy jego asystent próbował przyjąć różne punkty wyjścia, żeby osiągnąć dany rezultat końcowy, Melsing wskazał rezultat końcowy i poprosił program o podanie odpowiednich pozycji wyjściowych. To brzmi jak kwestia natury technicznej, ale w gruncie rzeczy ma decydujące znaczenie. Jego decyzja, aby przedstawić swoje wyniki w taki sposób –bardzo poprawny, matematyczno-fizyczny – łączy się z chęcią ograniczenia ewentualnych krytycznych raportów rewizyjnych. Wykorzystaliśmy przecież sporo różnych środków i zasobów z powodu błędnego założenia studenta.

Sceptyczna dotąd Hrabianka uśmiechnęła się ciepło i się odezwała:

– Nie wiem, czy jestem odpowiednią osobą, aby to powiedzieć, ale i tak to zrobię. Gratulacje, Simonie. Jednak udało ci się rozwiązać obie sprawy.

Wszyscy jej przyklasnęli – wyjaśnienie to wyjaśnienie, niezależnie od tego, jak brzmiało.

Simonsen zerknął na zegarek, a potem powiedział:

– Bardzo dziękuję, ale jest jeszcze jedna sprawa, która musi zostać wyjaśniona. Niedawno stałem tu przed wami jak klaun. Mam nadzieję, że występ wam się podobał, ale czas to zakończyć. „Grzmiąłem w waszą stronę o Klubie Samotnych Serc, ale to wy mieliście rację, a ja się myliłem. Nie było żadnego wyraźnego związku między tymi sprawami, więc chciałbym przeprosić za swój upór i... jeszcze raz serdecznie wam wszystkim podziękować.

– Czy to już koniec? – zapytała Berg. Sprawiała wrażenie, jakby jeszcze nie do końca przetrwała to, co przed chwilą usłyszała.

– Nie, nie całkiem, ale można powiedzieć, że się do niego zbliżamy. Obiecałem za chwilę poinformować o wszystkim naszą szefową. Właściwie to miała być pierwsza, ale wybrałem was, więc gęby na kłódkę, dopóki nie wrócę. Jeżeli zatwierdzi raport, to sprawa będzie zakończona

– Z pewnością tak będzie – stwierdziła Hrabianka. – Arne, jak myślisz? Ty znasz ją najlepiej.

– Zdecydowanie. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Co innego miałyby zrobić?

1 Niech pana Bóg błogosławi, panie Simonsen. Niech pana Bóg błogosławi (ang.)

Rozdział 13

Był dwudziesty pierwszy listopada, piątek, a na zewnątrz bezwietrznie monotennie szaro. W Kopenhadze w nocy doszło do kilku brutalnych incydentów – w dobowym policyjnym raporcie odnotowano: strzelaninę w środowisku emigrancko-rockerskim na Nørrebro z trzema rannymi, w tym jednym poważnie, oraz zadźganie nożem na dyskotecę w dzielnicy Amager. A miało być jeszcze gorzej, znacznie gorzej. Nad ranem zabito młodą ekonomistkę, ekspertkę finansową, zatrudnioną w jednym z głównych banków, gdy kobieta opuszczała swój dom, aby udać się do pracy. Sprawcą okazał się czterdziestoczteroletni beneficjent pomocy społecznej z zaburzeniami psychicznymi, który został wypisany z oddziału pogotowia psychiatrycznego z garstką tabletek i receptą. Wypuszczono go nie dlatego, że już nie potrzebował pomocy – wręcz przeciwnie; wymagał jej w najwyższym stopniu – ale dlatego, że na oddziale zabrakło łóżek. Z tym chronicznym niedoborem miejsc pogotowie borykało się od niemal piętnastu lat. Do zabójstwa doszło w przypadkowych okolicznościach, bez najmniejszego powodu, a do tego było wyjątkowo brutalne: ofiara została skopana na śmierć. Na dodatek kobieta spodziewała się dziecka, a co gorsze, zdarzenie miało miejsce w Hellerup, przy Hambros Allé. Zazwyczaj coś takiego działo się na terenach dzielnic mieszkaniowych dla osób o niższych dochodach, znajdujących się w bezpiecznej odległości od centrum, na peryferiach, gdzie na prowincji, a dość rzadko w dzielnicach, w których mieszkańców stać było na prywatną opiekę lekarską, niezależnie od tego, czy chodziło o dolegliwości fizyczne, czy psychiczne. A już nad wyraz rzadko w gminie Gentofte, gdzie w promieniu kilkuset metrów mieszkało kilku parlamentarzystów, a także co najmniej troje prezenterów telewizyjnych oraz dwóch redaktorów naczelnych. Zajście okazało się na tyle przerażające, że stało się tematem dnia. W studiu telewizyjnym zasiadł je-

den z ministrów, pełen troski i powagi, bynajmniej nie udawanej. Jego córka też mieszkała w tej dzielnicy.

Simonsen wyłączył telegazetę z dziennymi wiadomościami, którą miał zwyczaj przeglądać przed rozpoczęciem pracy. Potem przez pół minuty oglądał wywiad z ministrem, a następnie zapytał siedzącą obok, na drugim końcu sofy, Pauline Berg:

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym wyłączył?

– Absolutnie nie. Nie mam zamiaru słuchać tych wyświechtanych frazesów.

Gdy wyłączył, zapytała go:

– Słyszałam, że z Hrabianką bierzecie wolne. Wybieracie się dokądś?

– Być może ja, jeszcze tego nie wiem.

– No to w takim razie miłego wypoczynku. A co się dzisiaj wydarzy?

– Za godzinę wybieram się razem z Keslingiem do pani komendant, żeby zreferować przebieg śledztwa w sprawie listonosza Hansowi Ulrikowi Gormsenowi i jego teściowej, wiesz, tej z Parlamentarnej Komisji Prawnej.

– Będziesz mnie potrzebował? – spytała, bo nie była zbyt zainteresowana.

– Nie, właściwie nie. Po prostu nie chciałem cię pomijać. Poza mną jesteś właściwie jedyną osobą, która uczestniczyła w sprawie od początku.

– Będziecie omawiać ten matematyczny bełkot?

– Tak, jasne, ale nie musisz się decydować już teraz, możesz zajrzeć, gdy będziesz miała ochotę.

Nie miała.

Przedstawienie raportu przebiegało zgodnie z planem. Żadna z słuchających go osób kompletnie niczego nie zrozumiała.

Kurt Melsing rozdał plik notatek i zaczął opowiadać o aplikacji HOMS, a potem o fizjologicznych i fizycznych parametrach cyklu równań, które doprowadziły do ustalenia poziomu istotności oraz uzasadnionych wniosków: śmierć Jørgena Kramera Nielsena była skutkiem upadku ze scho-

dów prowadzących do jego drzwi wejściowych, bez udziału osób trzecich. Tylko zasady dobrego wychowania sprawiły, że tych troje ważnych słuchaczy z krzykiem nie wybiegło na zewnątrz.

Simonsen był ucieleśnieniem uprzejmości:

– Czy życzycie sobie państwo powtórzenia wyводу? Gdy słyszy się go po raz pierwszy, może wydawać się dość skomplikowany.

Żadne z nich nie wyraziło takiej chęci.

Wtedy odwrócił się do Gormsena.

– A może ty chciałbyś to podsumować w przystępniejszej formie?

Pani polityk uznała to za znakomity pomysł i wyczekująco spoglądała na dawnego funkcjonariusza, który uruchomił całą sprawę. Mężczyzna nerwowo przekartkował notatki, a potem, nieco się rumieniąc, zaczął wyjaśniać:

– No więc, można z całą stanowczością stwierdzić, że listonosz spadł z własnych schodów. Tak wynika z obliczeń. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. To całkowicie pewne. I bardzo naukowo uzasadnione.

Teściowa promieniała, jej zięć okazał się znakomitym mówcą. Simonsen pozbiierał notatki.

W sobotę inspektor wyprowadzał się ze swojego mieszkania w Valby. Wcześniej obawiał się tego dnia, ale jego melancholijny nastrój związany z przeprowadzką zastąpiła radość spowodowana zachwytem Anny Mii nad nowym mieszkaniem. Sama przeprowadzka przebiegła bardzo sprawnie. Hrabianka wynajęła profesjonalną firmę, która błyskawicznie uprzątnęła mieszkanie i przewiozła jego rzeczy do dawnej galerii.

W niedzielne przedpołudnie wybrał się na chwilę do Komendy Głównej, gdzie przez niecałą godzinę porządkował dokumenty zakończonej sprawy, aby wszystko było na swoim miejscu, gdy wróci po urlopie. Dołożył również kilka raportów, które ciągle odkładał, zadbał też o to, aby sprawa została właściwie zarchiwizowana. W drodze powrotnej zabrał ze sobą Arnolda, który przyszedł do pracy, aby urządzić swoje biuro. Obiecał mu podwiezienie do Farum.

– Najpierw pojedziemy do Valby, muszę oddać córce klucze – powiedział Simonsen, gdy wychodzili z budynku.

Dla Arnolda nie stanowiło to żadnego problemu. Nie miał pojęcia, gdzie leży Valby, a gdzie Farum.

Jutlandczyk wszedł z nim na górę do mieszkania. Chciał poznać córkę swojego szefa. Simonsen wszedł na górę jako pierwszy i stwierdził, że drzwi wejściowe są otwarte. Z wnętrza dochodził stukot młotka. Weszli do środka i podążając za hałasem, skierowali się do kuchni. Połowa szafek została zdemontowana i leżała na podłodze, tworząc chaotyczną stertę. Z jednej z szafek wystawała para nóg w niebieskich dżinsach i sneakersach, które z pewnością nie należały do Anny Mii. Z głębi szafki rozległ się czyjś głos:

– Skarbie, mogłabyś mi podać łomik? Leży na parapecie.

Ręka wychyliła się do tyłu, a Simonsen włożył w nią klucz francuski.

– Dziękuję, ale nie o to mi chodziło. Jest niebieski i wygląda jak... no tak jak łomik.

Inspektor trzymał już w gotowości śrubokręt, ale nie miał okazji, aby wręczyć. Nieznajomy najwyraźniej postanowił sam znaleźć narzędzie. Wycofał się na czworakach.

Obaj mężczyźni spoglądali teraz na siebie. Arnold rozejrzał się wokół i skomentował oschle:

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Dwudziestoparoletni, wysoki mężczyzna o pól długich ciemnobrązowych włosach i niebieskich oczach miał na sobie flanelową koszulę w kratę i twierdził, że ma na imię Oliver.

Simonsen z rezerwą podał mu dłoń, którą chłopak mocno ścisnął na powitanie.

– Anna Mia poszła po lemoniady, za chwilę powinna wrócić – wyjaśnił nieco skrępowany Olivier.

Simonsen musiał się upewnić:

– Skarbie?

Chłopak starał się powiedzieć o sobie parę słów. Był stolarzem, co stanowiło satysfakcjonującą odpowiedź na pytanie Arnolda. Poznał Annę Mię, to znaczy córkę inspektora, latem i mieszkał w Rødovre. Razem z kolegą prowadzili niewielką firmę stolarską. Mówił sporo i nieco zbyt szybko, ale Simonsen stwierdził, że chłopak da się lubić. Wręczył mu klucze, a potem ostrożnie się wycofał, omijając stertę desek. Już w drzwiach odwrócił się w jego stronę.

– Jest jeszcze jedna sprawa: jeżeli nie będziesz przyzwocie traktował mojej córki, to przyjdę po ciebie z funkcjonariuszami policji z całego kraju. Masz tego świadomość?

Oliver się uśmiechnął i potaknął.

– A wtedy, człowieku, nie masz najmniejszych szans – dodał typowo po jutlandzku Klavs. – Miłej pracy.

Simonsen oświadczył się na grządce z bylinami.

W niedzielne popołudnie, pośród zwiędłych łodyg i koron kwiatów pozbawionych płatków, ukłękł należycie na mokrej ziemi przed Hrabianką, która zgodnie z weekendowym zwyczajem usuwała z grządek zgniłe liście. Gdy tylko to zrobił, zapomniał słów starannie przygotowanej przemowy, więc nie było odwrotu i musiał zapytać ją prosto z mostu, czy zechciałaby za niego wyjść. Zanim się zgodziła – a milczała przez pół sekundy – czuł, jakby czas stanął w miejscu.

– Myślałam, że już nigdy mnie o to nie poprosisz, Simonie, ale lepiej późno niż wcale. Chodź, wejdźmy do środka i uczcijmy to.

– Yyy, mam też dla ciebie prezent.

Ustawił obrazy na oddzielnych krzesłach i odwrócił je w stronę światła, żeby je najlepiej wyeksponować. Były to dwa zdjęcia petroglifów z arktycznego obszaru Nordkalotten. Kaare, niewidomy facet Heleny Brage Hansen, pokazał mu, jak należy wcierać korzenie określonego gatunku mchu w biały papier, aby uzyskać kontury w pięknym czerwono-brunatnym kolorze ziemi. Potem oprawił obrazy w ramki.

Hrabianka dopytywała z zadowoleniem:

– Co one przedstawiają? Wiesz?

– Ludzie świętują powrót słońca, w każdym razie zdaniem Kaarego.

Wieczorem wylegiwali się na sofie i oglądali telewizję. Nagle odezwał się spokojnym, opanowanym tonem:

– W czwartek wybieram się do Liverpoolu. Chcę być na pogrzebie Lucy Davison. Zostanie pochowana o jedenastej w kościele świętej Marii w Walton. Znalazłem kościół na mapie. Jeżeli polecę porannym lotem, wrócę jeszcze tego samego dnia.

Nic na to nie odpowiedziała i przez chwilę sądził, że się złości, że chce lecieć bez niej. Chociaż to było do niej niepodobne.

– Dałeś mi piękny prezent zaręczynowy, może i ja będę mogła się odwzajemnić czymś równie wspaniałym... poczekaj tutaj, Simonie... za chwilę wrócę – powiedziała tajemniczo, jakby do siebie.

„Za chwilę” oznaczało za prawie półtorej godziny. Zdrzemnął się i musiała go obudzić.

– Udało się. Wybierzemy się w narzeczeńską podróż, więc twój wylot został przyspieszony o dobę.

Ziewnął i pokręcił głową. Telewizor nadal grał, więc go wyłączyła.

– W środę wieczorem obejrzymy mecz.

– W Liverpoolu?

– Tak, i już możesz zacząć się cieszyć.

– Ale ja nie lubię futbolu.

– To co zobaczysz, na pewno ci się spodoba, to dużo więcej niż futbol. Obiecuję.

Nie wszystko jednak układało się idealnie. Miłe rozmowy o ślubie, drobne pieścizoty, które po zaręczynach zdarzały się nieco częściej i wspólną wiarę w świetlaną przyszłość przyćmiewał jakiś niepokój. Hrabianka dopytywała o sprawę listonosza – o drobne logiczne nieścisłości, których nie potrafiła zrozumieć i które Simonsen bez przerwy musiał jej wyjaśniać, orientując się przy okazji, że każda odpowiedź wywoływała kolejne dwa pytania. Czuł się, jakby go przesłuchiwała, zresztą tak właśnie było, i na domiar złego coraz bardziej ironicznym tonem, który sugerował,

że już nie wierzy w jego tłumaczenie. W końcu nie miał innego wyjścia i musiał jej wyznaczyć całą prawdę.

– Okej, Melsing i ja nie przedstawiliśmy całej prawdy.

Jej ironia sięgnęła zenitu.

– Poważnie, nigdy bym się nie domyśliła.

– Pewnego dnia opowiem ci całą historię.

– Kiedy?

– Cierpliwości, cierpliwości, jeżeli poczekaasz...

– Simonie, nie odważysz się ponownie pleść tych bzdur – przerwała mu poirytowana.

* * *

Konrad Simonsen nie należał do ludzi, którym łatwo było zaimponować, ale Anfield zaparł mu dech w piersi. Inspektor od pierwszej chwili sprawiał wrażenie głęboko zafascynowanego: ten zastrzyk adrenaliny pio-senki, których nie rozumiał, euforyczna duma i poczucie jedności – poz-bawione pokory, ale bez śladu arogancji, a co dopiero agresji.

– No i co, podoba ci się?

– To niezwykle fascynujące, fantastycznie piękne.

Hrabianka wykonała zamaszysty ruch ramieniem, jakby chciała poka-zać, że to jej publiczność.

– *This is Anfield.*

– Dlaczego to mówisz?

– To bez znaczenia, nawet nie wiesz, jak się cieszyłam, że ci to pokażę. Wiedziałam, że ci się spodoba.

– To imponujące. Śpiewają tak przez cały czas?

– Tak, prawie. W tym mieście ludzie naprawdę potrafią śpiewać, swego czasu mieli także zespół, który był dosyć znany.

Nie złapał aluzji. Po chwili wskazała na trybuny znajdujące się na końcu boiska i wyjaśniła:

– Ten sektor nazywa się The Kop i to oni mają przywilej decydowania, co i kiedy będzie śpiewane.

– A jak się nazywa nasz sektor?

– Nazywamy się Paddock, ale nie cieszymy się zbyt dużą popularnością.

– Od kiedy o tym wszystkim wiesz?

– Co masz na myśli? To przecież żadna tajemnica.

– Nie... oczywiście, że nie, głupie pytanie. Po prostu żałuję, że tak późno tu przyjechaliśmy.

– Doskonale cię rozumiem. Mój ojciec zawsze mówił: „Musisz odwiedzić piramidy, kochać się przy pełni księżyca i zobaczyć, jak Liverpool gra przy Anfield Road – dopiero wtedy poczujesz, że żyjesz”.

Nagle przyłączyła się do krzyczącego tłumu. Simonsen spojrział w górę, na dół, rozejrzał się wokół stadionu: zobaczył nieprzebraną liczbę falujących czerwono-białych szalików, wzniesionych w uwielbieniu przez ponaddziesięciotysięczny tłum – morze radości. Sam mecz interesował go dużo mniej.

– Bycie tutaj ma sens. Był gol?

– Nie, jeszcze nie. Uwierz mi, nie będziesz miał wątpliwości, gdy do tego dojdzie.

Potaknął i ponownie się obrócił, żeby spojrzeć do góry. Chwilę później zapytał chytrze:

– Widziałas już piramidy i kochałaś się przy pełni księżyca?

– Nie, ale na Anfield jestem już po raz dziewiąty.

Pogrzeb Lucy Davison nie wywołał u Simonsena żadnych głębokich emocji. Pożegnał ją wtedy, na lotnisku w Kastrup, i nie potrafił się zaangażować kolejny raz. Nawet wówczas, gdy po modlitwie wstawienniczej i udzieleniu błogosławieństwa została odprowadzona na cmentarz i złożona do grobu, nie czuł wzruszenia. Ceremonia była piękna, wierni stawali się licznie, ale on trzymał się z boku, w kościele usiadł z samego tyłu i jako jeden z pierwszych opuścił kościół po zakończonej ceremonii. Nikt go nie rozpoznał i nie interesował się jego obecnością. Po wyjściu ustawił się na rogu ulicy po przeciwnej stronie kościoła i czekał. Po raz pierwszy od dawna poczuł ochotę na papierosa. Nie upłynęło dużo czasu, gdy za-

uważył mężczyznę, który właśnie przecinał ulicę i zważym krokiem zmierzzał w jego stronę.

– Wygląda na to, że znów się spotykamy – zagadnął Simonsen.

Duchowny obrócił głowę, a jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu, jakby spotkał starego przyjaciela.

– Co za miła niespodzianka. Tak, znowu się spotykamy.

– Spotkanie między ludźmi, czy nie tak to ksiądz kiedyś nazwał?

– Owszem, spotkanie między ludźmi.

– Znajdziesz ksiądz czas na rozmowę ze mną? Mam księdzu sporo do opowiedzenia i chciałbym zapytać o parę spraw.

– Mnóstwo czasu, poszukamy jakiegoś pubu?

– A może się przejdziemy? Pogoda jest fantastyczna.

– Chciałbyś pan pójść w jakieś konkretne miejsce?

Simonsen nie znał okolicy, więc nie miał żadnych preferencji. Postanowili ruszyć przed siebie i przez chwilę szli w milczeniu.

– Jest pewna historia, którą już od dawna chciałem księdzu opowiedzieć – powiedział w końcu inspektor. – Prawie mi się udało, wtedy w Valby, ale teraz okoliczności są jeszcze lepsze.

– Słucham.

– Nie ma nic wspólnego z naszym... „punktem styczności”. Szczerze mówiąc, sprawa ma charakter czysto prywatny i właściwie to nie wiem, dlaczego właśnie księdzu chcę o niej opowiedzieć. Tak po prostu czuję.

– Chętnie posłucham.

– Dawno temu, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, miałem dziewczynę, która wpadła w kłopoty. Stanowiliśmy bardzo dziwną parę: ja byłem funkcjonariuszem policji, a ona aktywistką.

Simonsen opowiedział o tym, jak Rita po masakrze w Monachium bardzo chciała zerwać ze swoim środowiskiem, w każdym razie z jego polityczną sekcją. To nie była do końca prawda, bo doszła do takiego wniosku dopiero po roku, ale w ten sposób łatwiej mu było wszystko wyjaśnić, a szczegóły nie miały znaczenia dla jego opowieści.

– Chciała wyjechać do USA i zacząć wszystko od nowa. Jednak brakowało jej pieniędzy, a jej pomysły, jak je zdobyć były... nie do końca wiem, jak to ująć... naiwne i niebezpieczne.

– To się często zdarza, gdy szukamy szybkich pieniędzy.

– Tak, mógłbym sporo na ten temat powiedzieć. Niestety albo na szczęście... nie bardzo wiem, jakich słów powinienem w tym przypadku użyć... moje pomysły zdobycia pieniędzy nie były ani naiwne, ani szczególnie niebezpieczne. Pewnie był ksiądz wtedy jeszcze chłopcem, ale może ksiądz pamięta, że na początku lat siedemdziesiątych przez kraj przetoczyła się fala protestów.

Opowiadał o tym, jak różne grupy zaczęły strajkować z wszelkich możliwych powodów – czasami politycznych, innym razem chodziło o podwyżki płac albo solidarność z innymi strajkującymi, a potem to wszystko przerodziło się w jeden wielki chaos, i w rzeczywistości nikt już nie wiedział, dlaczego strajkowano, ale strajkowano.

– Protesty nazywano dzikimi strajkami i naprawdę były dzikie, ale oczywiście nie bezprawne, jak od czasu do czasu próbuje się je przedstawić.

– No tak, w Danii nie ma przecież przymusu pracy. Wtedy też nie było.

– To prawda, i Bogu dzięki za to.

Jednak fakty były takie, że część tych strajków wymykała się częściowo, a niekiedy całkowicie, spod kontroli istniejących związków zawodowych. Wiele z nich było podejmowanych przez przypadkowe grupy ad hoc, z inicjatywy różnych przewodniczących, sztab generalnych aktywistów i tak dalej. Przytoczył kilka przykładów, które zapamiętał. To był jednocześnie okres, w którym wysoko ceniono solidarność, więc dość często strajkujący mogli liczyć na tak zwanego mężczyznę z kartonem, który rekompensował utratę wynagrodzenia z powodu strajku.

– W kartonie były pieniądze? – dociekał ksiądz.

– Tak, jak najbardziej. Mnóstwo pieniędzy.

Ale wszystko odbywało się dyskretnie, w przeciwnym razie darczyńca, jeżeli był nim jakiś inny związek zawodowy, ryzykował zasądzenie kary grzywny przez sąd pracy, a to nie była tania przyjemność. Simonsen wyja-

śnił, że oficjalnie nikt nie wiedział więcej ponad to, że jakiś nieznany mężczyzna ze sporą ilością pieniędzy postanowił zostać dobroczyńcą.

– Co dziwne, to było zawsze kartonowe pudełko – nigdy reklamówka czy plecak, musiało być pudełko.

– Wszystko w myśl hasła „nie widzę, nie słyszę, nie mówię”.

– Tak, coś w tym rodzaju.

Duchowny potaknął i z zainteresowaniem słuchał dalej. Simonsen ciągnął swoją opowieść. Odbiorcą tych kartonów byli zazwyczaj mężowie zaufania reprezentujący strajkujących. Z wiadomych powodów nie było mowy o jakichkolwiek rozliczeniach, a tym bardziej o angażowaniu w to banków, bo w ten sposób można by wysledzić obieg pieniędzy. Ufano sobie, musiano.

– Koniec końców nie trzeba było być zbyt przebiegłym, aby ustalić, którzy ludzie pod koniec miesiąca dysponowali ogromnymi kwotami, schowanymi w domach, w szufladzie komody, dosłownie rzecz ujmując.

– Rozumiem.

– Ten mąż zaufania, którego sobie upatrzyłem, mieszkał sam. W mieszkaniu na czwartym piętrze przy Nørrebro.

Ukradł rower, który stał nieprzypięty przy dworcu głównym, i odjechał krótką uliczką, oddalając się od Rity i budki telefonicznej. Za dwieście metrów wjechał w bramę i zsiadł. Potem zaciągnął rower na tyły podwórka i ustawił go w stojaku, bo zdawał sobie sprawę, że osoba, która grzecznie odstawia rower na miejsce i go zapina, nie budzi zbyt wielkiego zainteresowania. Regularnie rozglądał się dookoła. Podwórko było puste, a w wychodzących na nie oknach nie zauważył żadnej aktywności. Zdecydowanym krokiem, ale bez pośpiechu, ruszył w stronę drzwi prowadzących do tylnych schodów, otworzył je i wszedł do środka. Tutaj postać przez chwilę, tak jak zaplanował, spodziewając się, że ze zdenerwowania będzie musiał wyrównać oddech. Ku swojemu zdumieniu odkrył, że w ogóle nie jest zdenerwowany. Mimo to postanowił trzymać się planu i policzył do trzydziestu, a potem ruszył po schodach na czwarte piętro.

Przyłożył ucho do obu par drzwi kuchennych, najpierw do jednych, potem do drugich i długo nasłuchiwał, a następnie wyjął z plecaka swoje narzędzie. Wytrych okazał się wystarczający, bo zamek był typowy, bez dodatkowych zabezpieczeń, i włamanie się do środka zajęło mu mniej niż minutę. Wszedł do wąskiej kuchni i dostrzegł w zlewie wczorajsze naczynia. Mieszkanie było niewielkie: poza kuchnią znajdowały się tam tylko pokój dzienny, korytarz i sypialnia. Jak tylko się upewnił, że poza nim nie wewnątrz nikogo nie ma, otworzył drzwi wejściowe, wsunął złamaną zapalkę do zamka i ostrożnie zatrzasnął drzwi. Wiedział, że będzie miał mnóstwo czasu na ucieczkę, gdyby się okazało, że właściciel nagle wrócił do domu swoim wartburgiem cabrio, a Rita z jakiegoś powodu nie zadzwoniła. Potem rozpoczął systematyczne przeszukanie – szybko, efektywnie, ale niczego nie niszcząc.

Związkowy mąż zaufania włożył pieniądze do drugiej szuflady komody stojącej w sypialni. Pliki banknotów upchał w dziewięć skarpetek, które wetknął na dno szuflady. Simonsen wsunął dłoń do połowy skarpetki i stwierdził, że schowano w niej używane banknoty o dużych nominałach – nie mógł lepiej trafić. Wsadził skarpety do plecaka, zamknął szufladę i opuścił mieszkanie.

– Ukradł pan pieniądze, które ten mężczyzna miał w szufladzie? – podsumował cicho duchowny. Był daleki od oceny.

– Wszystko, całą kwotę. Prawie trzysta tysięcy koron, wtedy to była prawdziwa fortuna. Dziś byłaby to niemal dziesięciokrotność. I tak jak się spodziewałem, nikt nigdy nic nie zgłosił. Sprawę załatwiono we własnym zakresie, chociaż z pewnością nie była zabawna dla tego biednego człowieka. I to właśnie spędzało mi sen z powiek, a nie fakt, że ukradłem czyjeś pieniądze, choć prawdę powiedziawszy, nie odczuwałem wielkich wyrzutów sumienia z powodu tego, co zrobiłem. Zamiast tego zająłem się przelewaniem środków, aby moja dziewczyna mogła je, w miarę bezpiecznie, wypłacić w USA. To nie było takie proste i zajęło sporo czasu.

– Tak, nie mogę powiedzieć, że pochwalam to, co pan zrobił, tym bardziej że był pan przecież policjantem. Ale przecież sam pan to wie od dawna.

– Tak, to prawda, ale udało mi się wyprzeć tę historię z pamięci na wiele lat. Teraz jednak w moim życiu wydarzyło się parę rzeczy, które sprawiły, że ponownie wypłynęła na powierzchnię. Przede wszystkim sprawa Lucy Davison i jej śmierć... taka bezsensowna... taka przypadkowa... a mimo to wpłynęła na życie kilkorga ludzi. Poczuję, że to tak, jakby zagrać w kości o swój los, bo gdybym został przypadkowo nakryty w siedemdziesiątym drugim, moje życie potoczyłoby się kompletnie inaczej.

– Nie wydaje mi się, aby to wszystko było takie beznadziejnie przypadkowe, jak pan mówi, chociaż oczywiście nie potrafię uzasadnić wszystkiego. Szczerze mówiąc, niewiele potrafię wyjaśnić. Gdy ukraść pan te pieniądze, Lucy Davison leżała w ziemi już od trzech lat. Może nie został pan przylapany po to, żeby móc ją kiedyś znaleźć. Kto to wie?

– To brzmi jeszcze bardziej przerażająco.

– Tak pan uważa? Nie sądzę. Nie wydaje mi się też, że musi się pan zamartwiać tym, co wtedy zrobił. Od tego wydarzenia minęło sporo czasu, a pan już chyba niczego więcej nie ukraść.

– Nie, jasne, że nie.

– Mogę tylko powiedzieć, że słyszałem o dużo gorszych sprawach. Nie ja mam panu wybaczyć, a teraz, z perspektywy tylu lat, pana bezprawne działanie to drobnostka.

– Drobnostka? Czy to są te wasze kościelne grzechy lekkie?

Duchowny zaśmiał się i odparł:

– Możemy to nazwać w ten sposób.

– Potrzebowałem to komuś wyznać – przyznał Simonsen i się uśmiechnął. – Nawet moja ówczesna dziewczyna, Rita, nie do końca wiedziała, co wtedy zrobiłem. Przez ostatnie miesiące ciężko mi się żyło z tym wspomnieniem, dlatego chciałem księdzu o nim powiedzieć.

– Cieszę się.

– Niech mnie ksiądz źle nie zrozumie. Nie chodzi o to, żebyśmy się wymienili tajemnicami czy coś w tym stylu.

– Nawet tak nie pomyślałem.

Szli dalej w milczeniu, obaj przygotowywali się do kolejnej odsłony, która musiała nastąpić. Nagle znaleźli się obok stadionu Anfield. Simonson wskazał dłonią w stronę budynku i powiedział:

– Byłem wczoraj w środku i słyszałem, jak śpiewają.

– Widziałem dziś rano w telewizji, że angielska armia wygrała wojnę.

– To nie była wojna, coś zupełnie innego, nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego. Nie chodzi o piłkę nożną, bo się na nią nie znam, ale ten klimat. Zostaliśmy na stadionie, żeby poobserwować wychodzącą publiczność. Musiałem zostać i popatrzeć... wszystko obejrzeć, aż w końcu jeden z kontrolerów musiał wyprosić mnie i moją narzeczoną.

– Przeczytałem o meczu w gazecie. Tak jest szybciej.

– To nie to samo. – Ku swemu własnemu zdumieniu Simonsen niemal naskoczył na duchownego.

– Nie, oczywiście, że nie, ale ludzie w tym mieście mają hopla na punkcie piłki nożnej i niekiedy lubię się z nimi podrażnić. Prawda jest taka, że sam byłem na stadionie kilkakrotnie.

– Żałowałem, że nie potrafiłem śpiewać z nimi.

– To przyjdzie z czasem.

– Zna ksiądz te piosenki?

– Kilka z nich, znam tę najważniejszą, może pan ją później usłyszy, ale chyba nie o futbolu chce pan rozmawiać?

– Tak, to prawda. Wie ksiądz, jak doszedłem do prawdy? To w sumie dość dziwne.

– Kwintesencja prawdy, to całkiem sporo. Niech pan wreszcie opowie.

Trudno mu było zdecydować, od czego ma zacząć. Po tamtej nocy w Valby, gdy doznał olśnienia, wszystkie klocki układanki wskoczyły na swoje miejsce, ale kolejność, w jakiej odkrył bieg wydarzeń, była odwrotna do tego, co zaszło. Opowiedział księdzu o funkcjonariuszce, która zabrała ze sobą telefon Nielsena. Niedawno się z nią skontaktował i odkrył istotny szczegół, który już na początku powinien go zdziwić, ale wcześniej nie zwrócił na niego uwagi.

– Zamknął ksiądz oczy Jørgenowi Kramerowi Nielsenowi, gdy go ksiądz znalazł, prawda?

– Tak, tak było.

– To mógł być przypadek, ale założyliśmy, że powinien mieć otwarte oczy. Zarówno w przypadku zabójstwa, jak i sytuacji, kiedy sam spadłby ze schodów. Jednak było inaczej.

– Nie zastanawiałem się nad tym do tej pory. To wydawało mi się naturalne.

– *Cui bono?* Z korzyścią dla kogo? Właśnie to pytanie naprowadziło mnie na trop, bo odpowiedź wydawała się oczywista – z korzyścią dla mnie.

Znalazł Lucy Davison, która wreszcie dotarła do domu. Szczęśliwe zakończenie, z którego cieszył się jak mało kto. Ale nie tylko on. Duchowny oczywiście również. Nagle zaczął postrzegać mężczyznę idącego teraz obok niego w zupełnie inny sposób.

Zdecydował się wtedy, aby przejrzeć ponownie zapiski z przesłuchania jego i biskupa, tym razem ze świeżym umysłem. I był pod wrażeniem. Ksiądz nie skłamał ani razu, ani razu też nie naruszył tajemnicy spowiedzi, a jednocześnie udało mu się zasugerować policji, aby uwierzyła w to, co chciała wierzyć. Mianowicie w to, że musiał przyznać, że znał Lucy Davison i że wiedział o jej śmierci. Simonsen wytłumaczył wszystko szczegółowo i podsumował z uśmiechem:

– Z drugiej strony czego innego oczekiwać od kogoś, kto podczas nauki w seminarium dwa lata z rzędu wygrał konkurs retoryczny.

– Rzeczywiście dokładnie mnie pan przeświecił.

– Żeby ksiądz wiedział.

– Może podczas tego przesłuchania mieliśmy wspólny cel.

– Tak też było. Tylko że my tego wtedy nie widzieliśmy, a ksiądz tak. Zna ksiądz tę historię o Mefiście i tabloidzie „Ekstra Bladet”?

Ksiądz znał ją doskonale, ale Simonsen i tak postanowił ją przytoczyć. Erling Olsen, zdolny nauczyciel akademicki – zwany również Olsenem Sową – był ministrem budownictwa w rządzie Ankera Jørgensena, a jed-

nocześnie od czasu do czasu pisywał cięte i z reguły niezwykle przenikliwe polityczne artykuły do „Ekstra Bladet” pod pseudonimem Mefisto. Nikt nie wiedział, kim jest Mefisto, ale było jasne, że musiała to być osoba należąca do politycznych elit. Jak wieść gmina niosła, szef rządu powoli zawęzał krąg podejrzanych i na jednym ze spotkań Jørgensen zapytał Olsena prosto z mostu, czy to on był Mefistem, na co minister budownictwa oburzonym tonem odpowiedział: „To jednak dość niewiarygodny pomysł”. Więcej nie rozmawiali na ten temat.

– Nigdy nie podejrzewałem księdza o to, że mnie ksiądz wprost okłamał, więc gdy zapewnił ksiądz, że nie przenosił zwłok Jørgena Kramera Nielsena, to po prostu uwierzyłem – tłumaczył dalej Simonsen. – Do czasu, aż pewnej nocy dotarło do mnie, że nigdy ksiądz tego nie powiedział. Wtedy, w ogrodzie, zapytałem, czy przenosił ksiądz denata albo w jakikolwiek sposób zmieniał jego pozycję, na co ksiądz, cytuję z pamięci, odparł: „Dlaczego, na litość boską, miałbym to robić?”. Stwierdził ksiądz, że sąsiad był martwy, więc już nic nie można było zrobić. Miał ksiądz rację, ale w sumie nigdy nie odpowiedział mi ksiądz na pytanie, czy przeniósł zwłoki. Tak mi się tylko wtedy wydawało. Nasz dawny minister budownictwa z pewnością pochwaliby księdza za tę odpowiedź.

– Naprawdę sporo udało się panu ustalić, wygląda na to, że wie pan więcej ode mnie – odparł ostrożnie duchowny.

Simonsen się zaśmiał.

– Nie już ksiądz nie będzie taki skromny, ale może nadszedł czas, żeby uzgodnić nasze wersje. Gdy wrócił ksiądz z wakacji, Jørgen Kramer Nielsen leżał martwy na schodach. Upadł i złamał kark, a co istotne, zdarzyło się to na tych dużych schodach z trzynastoma stopniami, które kończą się przy księdza drzwiach wejściowych, a nie na tych krótkich, odchodzących od jego wejścia. Kiedy zobaczył ksiądz przed swoimi drzwiami martwego sąsiada, dotarło do księdza, że nie ma już szans na odnalezienie Lucy Davison i pochowania jej w poświęconej ziemi. Dręczyło to księdza, podobnie jak dręczyło Nielsena, ale obaj byliście związani świętą przysięgą, której nie można było złamać. Wtedy wpadł ksiądz na inny pomysł. Przeniósł go ksiądz na wyższy podest, a potem wezwał pogotowie. Gdy go ksiądz

wnosił, z kieszeni Nielsena wypadł telefon, ale ksiądz tego nie zauważył. Zmieniając położenie denata, liczył ksiądz na to, że policja nabierze podejrzeń i dokładniej przyjrzy się jego przeszłości, aby dotrzeć do tajemnicy, którą tak długo w sobie nosił. Tak się też zdarzyło, dokładnie w sposób, w jaki ksiądz sobie założył. Jest tylko jedna rzecz, której nie potrafię zrozumieć – dlaczego nie wniósł go ksiądz na samą górę pod jego własne drzwi, a ograniczył się do zostawienia go u dołu tych krótszych schodów?

– To dość pocieszające, że jednak nie wszystko udało się panu ustalić.

– Nie odpowiedział ksiądz na moje pytanie. Ale w rzeczy samej miał ksiądz naprawdę dużo, dużo szczęścia. Gdyby początek śledztwa nie przebiegał tak chaotycznie, technicy doszliby do prawdy w ciągu kilku dni.

– Bardzo często operuje pan pojęciem szczęścia i nieszczęścia.

– Taki jest mój ogląd świata, ale jeżeli ksiądz woli, możemy to nazwać opatrnością Bożą czy jak wy to nazywacie.

– Boża opatrność to cudowne określenie. Chętnie się do niego przyłączę.

– Niech tak będzie. Tak czy owak, początkowo sądziliśmy, że brak fizycznych dowodów na tych krótkich schodach wynika z upływu czasu i gruntownego sprzątnięcia. Później znaleźliśmy komórki naskórka na chodniku pokrywającym te duże schody, dokładnie w tych miejscach, w których się spodziewaliśmy, więc został ksiądz oczyszczony z podejrzeń o jego zabójstwo, chociaż – no tak – oczywiście nigdy nie wierzyłem, że byłby ksiądz do tego zdolny.

Minęli skrzyżowanie. Simonsen spojrział w lewo i wtedy, nie wiedząc który to już raz, o mało nie wpadłby pod przejeżdżający samochód, ale duchowny pociągnął go za ramię do tyłu.

Inspektor dochodził do siebie przez minutę, a potem przyznał:

– Ciekawi mnie pewna rzecz. Gdy przesłuchiwałem księdza po raz pierwszy, sądziłem... nie wiem, jak to ująć... że dał się ksiądz przechytrzyć i dlatego opowiedział o swojej spowiedzi u biskupa. Teraz już nie jestem tego taki pewien.

– A nie powinien pan mieć wątpliwości. Byłem wtedy zupełnie nieprzygotowany i przepadłem z kretelem, ale też zastawił pan na mnie zdra-

dliwą pułapkę, która okazała się całkiem skuteczna.

– Spotkanie między ludźmi.

Duchowny się uśmiechnął.

– Tak, spotkanie między ludźmi.

Ponownie zamilkli, trzymając się bocznych uliczek. Obraz okolicy wydawał się mocno zróżnicowany: niewielkie domki szeregowe ustawione obok siebie, dokładnie takie, jakich mógłby się spodziewać w Anglii zapalony turysta, a za chwilę okazałe budowle z XIX wieku, po nich bezpretenjonalne sklepy z artykułami codziennego użytku, często z właścicielem stojącym w drzwiach, aż wreszcie chrom i szkło, wznoszące się kilka pięter do góry. Piękno i brzydota pozostające w urzekającym beładzie.

– I co się teraz stanie? – zapytał w pewnym momencie ksiądz.

– Nic.

– Nic? Z bożą łaską uszło mi to płazem.

Miał rację, naprawdę mu się upiekło. Zgodnie z paragrafem sto dwudziestym piątym kodeksu karnego za to, co zrobił, groziła mu kara do dwóch lat więzienia, a w najlepszym wypadku musiałby zapłacić gigantyczną grzywnę. Właśnie z tego powodu Simonsen i Melsing podjęli tak duży wysiłek.

– Cieszę się, że go ksiądz przeniósł, bo fakt, czy upadł na tych, czy innych schodach ma drugorzędne znaczenie. Ja i mój współpracownik z Instytutu Medycyny Sądowej jesteśmy w tej sprawie zupełnie zgodni. Sporządził raport, w którym stwierdził, że do upadku doszło na tych krótkich schodach, a co zabawne, jego obliczenia są zupełnie prawidłowe.

– To brzmi dość dziwnie.

Simonsen zaczął opowiadać o zaawansowanym programie komputerowym używanym przez FBI i zakończył swoją historię słowami:

– Wniosek jest więc taki, że jeżeli założenia są poprawne, to doszło do upadku z tych krótkich schodów, bez udziału osób trzecich.

– Ale założenia nie są do końca poprawne?

– Jakiegoś nadgorliwego eksperta, z niezbędną wiedzą z zakresu matematyki i fizyki, mógłby zdziwić jeden szczegół. Jest ksiądz świetnie wy-

kształcony, więc pewnie zna ksiądz tę stałą fizyczną opisywaną symbolem g ?

– To stała grawitacji, jeżeli ma pan na myśli duże G , bo małe g oznacza przyspieszenie grawitacyjne, które, jeżeli dobrze pamiętam, wynosi około dziewięć i osiemdziesiąt jeden setnych metra na sekundę.

– Bardzo przekonujące. Chodzi o stałą grawitacji i niech sobie ksiądz wyobrazi, że to jeden z dziesiątek paramentów, których wartość można zmienić w programie komputerowym. Po co stworzono taką możliwość, nadal pozostaje tajemnicą – być może dlatego, by w przyszłości można było wyjaśniać zbrodnie dokonane na Księżycu. Okazuje się przy tym, że zwiększenie stałej grawitacji tylko o trzydzieści procent, sprawia, że upadek Jørgena Kramera Nielsena z najwyższych schodów dokładnie odpowiada miejscu znalezienia ciała... i, no tak... świetnie zna ksiądz to miejsce... czy wchodzenie na samą górę niekiedy nie wydaje się księdzu dość uciążliwe?

– Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem, chociaż... gdy pan o tym wspominał... to owszem, od czasu do czasu. Ale niech mi pan powie – czy nikt nie nabrał w tej sprawie podejrzeń?

– Do tej pory nikt i wątpię, żeby to nastąpiło. Nikt nie czyta niczego poza wnioskami. Treść wydaje się zbyt trudna i nudna, więc śmierć Nielsena została gruntownie ukryta w matematyce. To dość kuriozalne: przez całe swoje dorosłe życie nosił w sobie okropną tajemnicę i zajmował się matematyką, aby powstrzymać swoje demony, a teraz prawdziwe okoliczności jego śmierci również zostały ukryte właśnie w matematyce. – Simonsen uniósł rękę w powstrzymującym geście. – Zdaję sobie sprawę, że nie może ksiądz mówić o tej pierwszej kwestii i wcale nie próbuję księdza wypytywać. Po prostu uderzyło mnie, jak ironiczny potrafi być los. Tak na marginesie powinien ksiądz wiedzieć, że w pewnym momencie zamierzam uświadomić ten fakt pewnej osobie, ale ona potrafi dotrzymać tajemnicy. Zapewne równie dobrze jak ksiądz.

Gdy mijali kościół, duchowny zatrzymał się i przyglądał mu się przez chwilę, a potem odezwał się nieco smutnym tonem:

– Bardzo lubię matematykę i fizykę, zresztą retorykę też, chociaż to zupełnie inna dziedzina. Jest jednak coś, co zawsze zastanawiało mnie w ludziach, którzy wykazują zamiłowanie do nauk przyrodniczych. Oni nigdy nie wątpią w swoją nieomyślność. Zwłaszcza gdy sprawa dotyczy logiki – jeżeli coś jest logiczne, musi również być prawdziwe, a wtedy wszystkie inne nauki i podejścia nie mają żadnych szans.

Simonsen nie bardzo wiedział, co ma na to odpowiedzieć, dlatego zdecydował się milczeć.

– Muszę przyznać, że pana dochodzenie opierało się na całkiem logicznym rozumowaniu – ciągnął duchowny. – Niech mi pan powie: czy, mimo iż słabo mnie pan zna, naprawdę uznał pan, że gdy wróciłem do domu i znalazłem martwego człowieka, od razu pomyślałem, żeby wykorzystać te szansę, zmanipulować policję i wymusić poszukiwanie kolejnych zwłok? Wiem, że tak podpowiada panu logika, ale czy to samo sugeruje panu pańska znajomość ludzkiej psychiki?

Simonsen długo milczał, zanim niepewnie odpowiedział:

– Nie, nie sugeruje. Ale jak to właściwie przebiegło? Bo przecież go ksiądz przeniósł.

– Owszem, chociaż nie sądzę, żeby zrozumiał pan dlaczego.

– Proszę mnie sprawdzić.

Tym razem to ksiądz przeszedł spory kawałek drogi, zanim się odezwał:

– Jørgen, tak jak pan mówił, leżał w cieniu, pod dolnymi schodami. Zamknąłem mu oczy, przyklęknałem i zmówiłem modlitwę w jego intencji. Gdy już miałem wejść do siebie, aby zadzwonić po karetkę, zerknąłem w górę. Przez szybę, na wysokości górnego podestu przebijało się w naszą stronę najbardziej niezwykle światło, jakie kiedykolwiek widziałem. Żółte, zielone, czerwone, niebieskie sączyło się dokładnie w naszym kierunku przez oprawione w ołowiane ramki szyby, załamując się we wszystkich odcieniach tęczy. Jakby nas wzywało. Długo wtedy stałem i się mu przyglądałem. Potem podniosłem Nielsena i wyniosłem z cienia na światło, bo musiałem to zrobić. Gdy go ponownie położyłem, poczułem, że przenika

mnie cudowny spokój, taka radość, której nigdy wcześniej nie doznałem. Wtedy już wiedziałem, że postąpiłem właściwie.

Simonsen przyznał, że taka wersja bardziej mu odpowiadała. O wiele bardziej.

Nie było już nic do dodania w tym temacie. Mimo to się nie zatrzymali. Przypominali stary longplay. Muzyka już zamilkła, ale płyta nadal kręciła się ze zgrzytem, jakby jeszcze niegotowa się zatrzymać.

– *Road, street, place, avenue, way, drive* – nie trafiłbym z powrotem, nawet po miesiącu prób – zagadnął inspektor.

– Zapomniał pan, że są jeszcze: *park, lane, grove, hey, croft i close*. Tak, to może być dość mylące.

– Kiedy coś nazywa się tak, a nie inaczej?

– Nie mam pojęcia.

Przy Croxteth Lane duchowny zaproponował:

– Moglibyśmy znów się tu wybrać, gdy gotowe będą już pomieszczenia Missing Children przy Rydal Avenue. Zobaczyłby pan wtedy, jak wyglądają powieszane zdjęcia Lucy. Myślę, że będą tam pięknie pasować.

Simonsen przystał na to z przyjemnością, a potem dodał:

– Może przy okazji obejrzelibyśmy też mecz. Po prostu muszę ponownie doświadczyć tego klimatu.

– Wszyscy, którzy byli na Anfield, mówią to samo, ze mną włącznie, więc to rzeczywiście znakomity pomysł.

– Niech mi ksiądz powie, kiedy w północnej Norwegii słońce znajduje się najwyżej nad horyzontem? – Simonsen zmienił temat.

– W noc świętojańską, gdy nachylenie Ziemi do płaszczyzny orbity jest największe. To dotyczy całej półkuli północnej.

Zaczęli rozmawiać o wyprawie Simonsena do Hammerfest, tak jak wtedy w Valby.

– Czy mógłby ksiądz zmówić modlitwę za Lucy w noc świętojańską?

– Tak, oczywiście, zrobię to, ale pan też może.

– Nie znam żadnej.

– Niech się pan pomodli własnymi słowami. Takie modlitwy są zwykle najlepsze.

Doszli do Knowsley Park i podążyli krętymi ścieżkami pośród czarnych, na wpeł ogołconych koron drzew.

– Obiecał mi ksiądz zaśpiewać.

Duchowny potaknął, a potem zaczął śpiewać wysokim, silnym tenorem:

*When you walk through a storm
Hold your head up high
And don't be afraid of the dark
At the end of the storm
Is a golden sky
And the sweet silver song of a lark
Walk on through the wind
Walk on through the rain
Tho' your dreams be tossed and blown
Walk on, walk on
With hope in your heart
And you'll never walk alone
You'll never walk alone*

Ludzie, których mijali, uśmiechali się do nich, a ksiądz powtórzył dwie ostatnie zwrotki:

*Walk on, walk on
With hope in your heart
And you'll never walk alone
You'll never walk alone*

Simonsen mu zawtórował. Kiepsko śpiewał i rzadko udawało mu się trafić w dźwięk, ale to nie miało znaczenia. Dwaj śpiewacy byli lepsi od jednego. Teraz tworzyli chór.